

Rafał Kosik

FELIX, NET i NIKA

oraz Sekret Czerwonej Hańczy



Rafał Kosik

FELIX, NET i NIKA

oraz Sekret Czerwonej Hańczy



Rafał Kosik

**Felix, Net i Nika oraz Sekret
Czerwonej Hańczy**



powergraph

Warszawa 2013

Rafał Kosik
Felix, Net i Nika oraz Sekret Czerwonej Hańczy

ISBN: 978-83-61187-97-4

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2013 by Rafał Kosik
Copyright © 2013 by Powergraph
Copyright © 2013 for the cover and illustrations by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

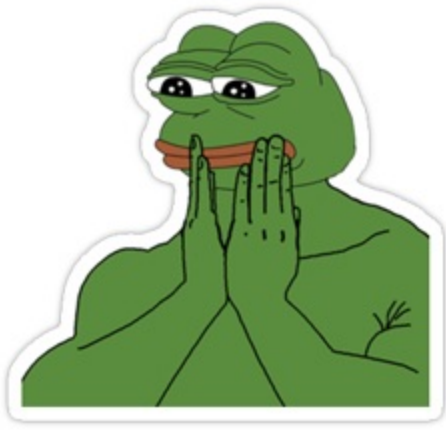
PROJEKT GRAFICZNY: Rafał Kosik
ILUSTRACJA NA OKŁADCE: Rafał Kosik
REDAKCJA: Kasia Sienkiewicz-Kosik
KOREKTA: Maria Aleksandrow

Wyłączna dystrybucja:



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer



RARE



Pamiętaj, nie opowiadaj o tym, co dzieje się w domu, o tym, o czym rozmawiamy, o tym, o czym ci mówię. Najlepiej mało mów. Za to słuchaj uważnie wszystkiego, co on będzie mówił. Potem mi powtórzysz.

Dziewczyna o mysich włosach przytaknęła, nie podnosząc wzroku.

— Dobrze, mamó.

Kobieta po raz trzeci poprawiała kołnierzyk sukienki córki, choć kołnierzyk leżał idealnie.

— Pamiętaj, że będzie chciał cię przekabacić. Będzie kłamał, nęcił i łudził. Będzie próbował oczernić mnie i tatę. Nie wierz mu. Nie wierz w ani jedno słowo. Ale zapamiętuj, co mówi.

Dziewczyna znów przytaknęła smutno. Matka rozpięła trzy górne guziki jej sukienki i zapięła ponownie.

— Musisz być dzielna. Masz już prawie szesnaście lat. Dasz radę.

— Dam radę, mamó — przytaknęła cicho. Wciąż patrzyła w ziemię.

— Wierz mi, że wolałabym tego uniknąć. — Pocałowała córkę w głowę i odsunęła się na bok.

Zosia Frankowska wolno ruszyła w stronę mężczyzny stojącego na końcu słonecznej parkowej alejki.



Kobieta w eleganckim szarym kostiumie wsiadła do windy i wcisnęła najwyższy przycisk. Mignął na czerwono i zgasł, a winda skarciła użytkownika przykrym piknięciem. Kobieta przyłożyła do czujnika zbliżeniowego identyfikator i ponownie wcisnęła najwyższy przycisk. Liczba „50” zapaliła się na niebiesko, a winda miękko ruszyła. Rozpoczęła się ekspresowa podróż na najwyższe piętro z gwarancją, że nikt tej windy po drodze nie zatrzyma, żeby wstąpić do bufetu na trzydziestym piątym albo skserować dokumenty na czterdziestym drugim.

Światło w windzie przygasło o połowę, a drzwi otworzyły się bez znanego z innych pięter dźwięku. Kobieta wkroczyła do ciemnej i cichej przestrzeni. Wzrok dopiero po chwili przyzwyczaił się do ciemności. Otworzyły się kolejne drzwi, a ona przeszła przez nie po miękkim dywanie. Była tu już kilka razy, ale i tak czuła niepokój, jaki można czuć na wybiegu dzikich zwierząt.

Światło nie padało na niego bezpośrednio, lecz jedynie oświetlało jego kontur odbiciami. Wobec kogoś innego można by użyć określenia otyły, ale o nim można było powiedzieć tylko, że jest wielki. Można było mieć w ogóle wątpliwości, czy ma się do czynienia z człowiekiem. Sprawienie takiego właśnie wrażenia niewątpliwie było zadaniem architekta, który projektował to wnętrze. Pomieszczenie zdawało się nie mieć wymiarów. Gdzieś tam z boku były okna, za którymi rozciągała się panorama nocnej Warszawy. Całe pomieszczenie wyglądało tak, jakby okna nie miały ram, a cały pokój pozbawiony był podłóg i sufitów. Wszystko tonęło w czerni, a gdzieś tam przez szparę w naturze tego miejsca widać było miasto. Miasto jako dodatek do tego miejsca.

Zaciągnął się cygarem. Pomarańczowe światełko na tle czarnej sylwetki, a zaraz potem kłęb dymu, jaśniejącego niespodziewanie w tej nieokreślonej przestrzeni, pochłaniającego obraz miasta.

— Spadek z pięciu milionów do trzech i pół.

On zawsze mówił w ten sposób. Nie pytał, nie żądał, lecz informował. A informacja była dobrana w taki sposób, że choćbyś nie chciał, i tak po chwili zaczynałeś myśleć to, co on chciał, żebyś myślał.

— Pracuję nad tym — odpowiedziała kobieta, zdając sobie sprawę z tego, że próbuje się schylić, jakby chciała się umniejszyć w jego oczach. — Ale przecież najpierw był milion. Niecały milion. W rok zwiększyłam to pięciokrotnie.

Nic nie powiedział. Palił, wypuszczając w powietrze gryzący dym, który jakimś cudem nie aktywował czujników przeciwpożarowych. Może dlatego, że ich nie było.

— Gdybym nie wzbiła się ponad trzy miliony — kontynuowała drżącym głosem kobieta — nie byłoby tematu. A że wzbiłam się na pięć, to spadek o półtora miliona źle wygląda? O to chodzi? To i tak więcej, niż pierwotnie miało być. Jest przecież lepiej, niż miało być. W śmiałych planach miały być trzy miliony.

Rozmowa była skończona. W tym momencie stało się to oczywiste. Kobieta pochyliła głowę, odwróciła się i wyszła. Winda czekała na nią z otwartymi drzwiami i przygaszonym światłem. Drżącym palcem ledwo trafiła w przycisk. Wcisnęła dowolny, byle nisko.

Jedno jego zdanie potrafi określić całe twoje życie, aż sobie przypominasz smak kompotu z przedszkola.



1. Goście

Felix, Net i Nika z ulgą odstawili ciężkie torby z zakupami i wygłaskali rozradowanego Cabana. Tego etapu nie można było pominąć, odwiedzając dom państwa Polonów.

— Mamo! Tato! — zawołał Felix. — Jestem w domu.

Odpowiedziała mu cisza.

— Są w teatrze z moimi starymi — przypomniał Net.

— Wnieście zakupy do kuchni — poprosiła Nika. — Mamy mało czasu.

— Czekał, loguję się do psa — odparł Net, miziając Cabana pod brodą.

— *Rodzice zapowiedzieli, że wrócą po dziewiątej* — oznajmił Golem Golem, pojawiając się w drzwiach salonu.

Golem Golem miał dwa metry wzrostu, ważył prawie dwieście kilogramów i był złożonym ze stalowych elementów androidem wyposażonym w sztuczną inteligencję. Normalnie obecność takiego monstrum w domu mogłaby się wydać dziwna, ale ani ten dom, ani trójka przyjaciół nie pasowała do ogólnie przyjętej definicji normalności.

— Możesz nam pomóc — powiedział Net. — Zanieś to do kuchni. Mamy już ręce jak orangutany. Nienawidzę robienia zakupów.

Robot skinął głową i nad wyraz miękko jak na swoją masę podszedł do toreb i podniósł je.

— Babcia Lusja, gdyby żyła, obraziłaby się na nas za kupowanie warzyw w supermarkecie — stwierdził Felix.

— Nie mieliśmy czasu na szukanie specjalistycznego sklepu z marchewkami — odparł Net. — Ech... znowu wszystko na ostatnią chwilę.

— Przypomnieć ci, kto to odkładał na później? — zapytała Nika.

Net skrzywił się.

— Za słabo nalegałaś. Laura wpadnie?

Felix pokręcił głową.

— Ona też ma testy. Siedzi i się uczy. Bierzmy się do roboty.

— Muszę jeszcze wystawić na sprzedaż stary bulbulator. — Net wyjął laptop i zaczął klikać w przyspieszonym tempie w klawiaturę. — Kupiłem nowy model, a większość ludzi jeszcze nie wie, że nowy już jest. To zajmie chwilkę.

Felix ocenił leżące na blacie kuchennym produkty, które zgarnęli ze sklepowych półek w pośpiechu i raczej chaotycznie.

— Tak to jest, jak się nie działa według planu — ocenił. — Schabowy z kapustą zasmażaną i purée ziemniaczanym to jedyna pewna rzecz, którą na pewno da się zrobić. Myślcie co jeszcze.

— Coś polskiego — podsunął Net, nie odrywając wzroku od ekranu. — Coś, czego nie będą znać. Przecież nie podamy im hamburgera z frytkami. Trochę szkoda w sumie...

— Na pewno nie znają zupy ogórkowej — zaproponowała Nika.

— Brzmi jak pozycja ze szpitalnej stołówki. — Net zamknął laptop i odetchnął. — A co tam! Bierzemy. Umiesz to zrobić, czy szukać przepisu w sieci?

— Umiem, i to dobrze. Dzięki temu pod koniec miesiąca za dziesięć złotych mam obiad na trzy dni.

— Jak sprzedam jutro ten bulbulator, to zafunduję ci dziesięć mrożonych pizz... czy tam pizzów. Jak to się mówi.

— OK — zdecydował Felix. — Zupa ogórkowa i schabowe.

— Ja robię kotlety. — Net szybko sięgnął po paczkę ze schabem, deskę i tłuczek do mięsa.

— Umyj to najpierw — poradziła Nika. — I jeszcze przykryj —

— Spoko, dam sobie radę.

Net pobieżnie opłukał mięso, położył na desce i zamachnął się tłuczkiem, jakby miał wbić solidny gwóźdź. Gdy uderzył, rozległo się *łup!* i natychmiast po nim *chlap!*

— Ups... — Net popatrzył zaskoczony na zachlapaną bluzę. Na obryzgany mięsnymi kawałeczkami rękaw Niki, toster i kilka elementów najbliższego otoczenia. — Coś tu nie bangla. Jak skończę, kuchnia będzie wyglądała jak rzeźnia.

— Przykryj folią. — Nika ręcznikiem papierowym wytarła rękaw i podała mu torebkę foliową.

— A może jednak ty to potłuczysz? A, sprawdzę przepis. — Wytarł dłonie i otworzył laptop. — Manfred ¹? A... zapomniałem. Odinstalowany.

— Właśnie, czemu mamy z nim nie rozmawiać?

— Wprowadzają mu na wyposażenie drony ². Standardowe kamery to było za mało. On musi opanować sztukę synchronizowania się z kilkunastoma maszynami, więc przez najbliższe dwa tygodnie mamy się z nim nie kontaktować. To może potłuczysz kotlety. Golem Golem by pokroił w tym czasie ogórki.

— Ostatnio pokroił marchewkę razem z deską.

— Poprawiłem mu regulację potęgiera wstrzemięźliwości — odparł Felix. — Ale z nim nie zmieścimy się tu wszyscy. Golem Golem, przynieś drewno do kominka.

Robot skinął głową i odszedł w stronę drzwi ogrodowych. Felix spojrział na zegarek.

— Pół godziny do wyjścia. Ja robię kapustę zasmażaną, ty rozklepujesz kotlety i obierasz ziemniaki, Nika robi zupę ogórkową i sernik.

— Zaraz, dlaczego ja mam obierać ziemniaki? — oburzył się Net.

— Maszyna obierająca się zepsuła. Nie dam rady naprawić, bo muszę robić kapustę zasmażaną. Nie marudź.

* * *

Nowy terminal portu lotniczego im. Fryderyka Chopina wyglądał jak pospiesznie przerobiona hala po hurtowni pasz. Wstawiono tylko ekrany informacyjne, schody ruchome, stanowiska odprawy bagażowej i sklepiki. Zadbano przy tym, by wszystkie te elementy pasowały stylistycznie do pierwotnego przeznaczenia obiektu, czyli były szare, proste i tanie. Takie przynajmniej wrażenie mógł odnieść podróżny, który widział ten terminal po raz pierwszy, bo tak naprawdę z hurtownią pasz nie miał on przecież nic wspólnego.

Felix, Net i Nika stali przed informacją o przylotach. Wokół przelewał się tłum mówiący różnymi językami. Samolot z Edynburga miał wylądować za dziesięć minut, co oznaczało co najmniej pół godziny czekania.

— Mówiłem, że będziemy za wcześnie — odezwał się Net.

— Lepiej tak, niż gdyby to oni musieli czekać — zauważył Felix.

— Zresztą w ogóle nie podoba mi się ten pomysł. Powinniśmy się uczyć do egzaminów.

— To już mówiłeś z dziesięć razy. Nic nie poradzimy, a przy okazji pokonwersujemy sobie i podszkolimy język. Zresztą i tak byś się nie uczył.

— Ale teraz mam na co zwalić.

Podróżni przemieszczali się w różne strony. Przyjaciele stanęli pod filarem, skąd mogli obserwować wyjście z odprawy celnej. Co chwila drzwi się rozsuwały, wypuszczając jedną lub kilka osób. Tłumek, oczekujący za barierkami ze zwijanych taśm, wypatrywał znajomych lub rodziny. Niektórzy trzymali kartki z nazwiskami.

— Przynajmniej spróbujmy wypaść przyzwoicie — powiedziała Nika. — To tylko tydzień. Postaraj się być... — spojrzała na Neta — uprzejmy.

— Spoko. Pełna kontrola. — Net skrzywił się w grymasie pobłażliwości. — Zadbam o ich komfort. Wziąłem to, żeby się nie nudzili po drodze.

Wyjął z kieszeni złożoną gazetę, a właściwie tylko arkusz z pierwszą i ostatnią stroną. Podał Nice. Dziewczyna rozprostowała papier i uniosła brwi, widząc wielki tytuł artykułu „Kolejne ofiary niedźwiedzi polarnych. Warszawiacy, ryglujcie dobrze drzwi!”.

— Co to ma być? — zdziwiła się.

Felix wziął od niej gazetę i otworzył na drugiej stronie. Przeczytał nagłówki: „Porachunki czarownic na Mokotowie. Dwie ofiary śmiertelne, jedna transmutowana w kozę”, „Inkwizycja wkracza na Wydział Biologii Uniwersytetu Warszawskiego”, „Prezydent miasta celebrytuje rytuał ofiary całopalnej z okazji przesilenia wiosennego”.

— Jestem pewna, że oni odróżniają Polskę od Syberii — powiedziała wolno Nika. — I nie myślą o nas jak o dzikim kraju tkwiącym w średnio-wieczu. „Modły prewencyjne w parlamencie przeciwko suszy”?

— Jak to przeczytają, to może zaczną tak myśleć — mruknął Felix. — „Wzrost stawki VAT na rzucanie uroków”. Brawo.

— No właśnie! — przytaknął Net. — Przeczytają to i się przestraszą, a potem na każdym kroku będzie ich czekało pozytywne zaskoczenie.

— Skąd ty to wytrzasnąłeś? — Felix przyjrzał się bliżej arkuszowi. — To nie jest papier gazetowy.

— Jasne, że nie. Wydrukowałem to przecież sam. Pół dnia wymyślałem te artykuły. — Zabrał „gazetę”. — Spodoba im się.

— To ma być wymiana międzyszkolna — przypomniała Nika. — Mamy ich ugościć i pokazać się od jak najlepszej strony. Szczerze

mówiąc, nie wiem, jak to będzie wyglądało.

— Boisz się o swoje półtorapokojowe mieszkanie? — zapytał Net.
— Może to okaże się dla tej Irlandki atrakcją.

Nika westchnęła i wzruszyła ramionami.

— Cześć!

Odwrócili się na dźwięk głosu. Obok, z rękoma w kieszeniach, stał Gilbert.

— Odbieram Niemca — wyjaśnił. — Chciałem Francuzkę, ale się skończyły.

— Zosia ci zabroniła — zgadła Nika.

— Miała jakieś nieuzasadnione obawy, więc odpuściłem. Gość nazywa się Michael i mieszka w Hamburgu.

— Spodziewam się incydentu międzynarodowego po twoim pierwszym surrealistycznym dowcipie — stwierdził Net. — Ale to nawet dobrze, bo to odwróci uwagę od naszych potknięć dyplomatycznych.

— Twoich — sprecyzowała Nika. — Do pierwszego spotkania już przygotowałeś tę gazetę.

— Skąd wiesz o mojej gazecie? — zapytał podejrzliwie Gilbert.

— O twojej? — parsknął Net. — Ja przygotowałem fikcyjną gazetę i mam do niej prawa autorskie.

— Ja mam prawdziwą gazetę. — Gilbert wyjął z kieszeni złożone arkusze papieru. — No, może nie całkiem prawdziwą, to przedruk gazety historycznej.

Nika wzięła arkusik i pokiwała głową.

— Chcesz Niemcowi dać na powitanie „Kurjer Warszawski” z 1 września 1939 roku?

— Najpierw myślałem o 1 sierpnia '44, ale nie znalazłem, chyba już się nie ukazywał³. A co nie tak z tą gazetą? Chodzi o to, żebyśmy się nie nudzili wieczorem. Tak przynajmniej będą jakieś wspólne tematy.

— To dla waszego dobra. — Nika wrzuciła papier do najbliższego kosza na śmiecie i wyciągnęła rękę do Neta. Ten niechętnie podał jej swoją gazetę, która również wylądowała w śmieciach.

— Dobra, może to byłoby nudne — przyznał Gilbert. — Mam karty, zagramy sobie w wojnę. W kampanię wrześniową konkretnie.

Drzwi w szklanej przegrodzie hali rozsunęły się, wypuszczając podróżnych z kolejnego samolotu. Gilbert rozprostował kartkę z napisem

„Michael” i ze znużoną miną zaczął się przyglądać wychodzącym, szukając szesnastoletniego blondyna.

— O, jest i Klemens — zauważył Net.

Po drugiej stronie wyjścia, między kilkunastoma oczekującymi, Klemens nerwowo miał w dłoniach kartkę z napisem „Marie Audrey”. Pod ramię trzymała go niższa o półtorej głowy Celina. Obok kręciła się zaaferowana Klaudia.

— Oni mają do wyboru dwie Francuzki — przypomniał sobie Felix.
— Jedną bierze Klaudia, drugą Klemens. Celina zaznaczyła, że on ma wziąć tę brzydszą, żeby go nie kusiło.

— Ciekawe, co miałyby skusić tę Francuzkę...

Rzeczywiście, powiedziec, że Klemens ma nadwagę, byłoby sporym eufemizmem. Z miejsca, gdzie stali przyjaciele, widać było, że sapie z emocji, a czoło błyszczy mu od potu.

— Gusta są różne — podsumowała Nika.

— A czemu właściwie ta druga nie zamieszka u Aurelii? — zapytał Net.
— Aurelia i Klaudia razem uczą się francuskiego.

— Aurelia ma jakieś nieprzewidziane problemy rodzinne — wyjaśnił Gilbert. — Rodzice Klemensa zgodzili się awaryjnie.

Przez drzwi przeszły dwie identyczne szczuplutkie blondynki w wieku przyjaciół z dwiema identycznymi czerwonymi walizkami na kółkach. Bliźniaczki.

— To nie są wasi Brytyjczycy — stwierdził Gilbert.

— Jeszcze nie wylądowali — mruknęła Nika.

Blondynki rozejrzały się i... ruszyły wprost do Klemensa, Celiny i Klaudii.

— Ja cię! — Net pokręcił głową. — Ciekawe, jak ona teraz wybierze tę brzydszą.

Przez drzwi przeszła smagła dziewczyna z długimi kruczoczarnymi włosami. Miała w sobie coś z Hinduski albo Indianki.

— A to nie jest twój Niemiec — stwierdził złośliwie Net.

Dziewczyna rozejrzała się i jej wzrok padł na... Gilberta. Podeszła do niego i uśmiechnęła się uroczo.

— Michael. — Wyciągnęła rękę. — A ty to pewnie Gilbert? ⁴

— Gilbert Kurtacz — odparł zaskoczony chłopak. Na jego twarz wpełzło szarmancki uśmiech. — Pozwól, że wezmę twój bagaż. — Szybkim ruchem przeszedł pod taśmą i przejął walizkę. — Lubisz grać w karty?

Przyjaciele odprowadzili ich wzrokiem.

— Michael to imię żeńskie — stwierdził oczywistość Net. — Nawet widziałem kiedyś taki film, na którym bohater popełnił identyczną pomyłkę.

— Jak się pisze po angielsku, to nie wiadomo, jakiej płci jest rozmówca — zauważył Felix.

— Biedna Zosia — szepnęła Nika.

— Ma przekichane — zgodził się Net, po czym się zreflektował. — Ale o czym ty właściwie mówisz? Przecież to tylko wymiana międzyszkolna. Zacieśnianie więzi... takie lekkie zacieśnianie. Nie zaraz od razu w jakiś tam węzeł.

Nika tylko pokiwała głową.

Drzwi rozsunęły się i wyszło dwóch chłopaków: jeden czarnowłosy w okularach, drugi rudy i piegowaty.

— Wyglądają trochę jak Harry Potter i Ron Wesley — przyznał Net. — Zaraz! To pewnie nasi.

— A gdzie Hermiona? — zapytała Nika.

Felix i Net popatrzyli na siebie.

— Wyciągamy kartkę? — zapytał Net.

— Wyciągamy — zgodził się Felix i wyjął z kieszeni kartkę z napisem „William, Angus Emma”. Emmę niby przypadkiem zasłonił palcami.

Tamci z uśmiechem ruszyli w stronę przyjaciół. Rudy miał tweedową marynarkę, sztruksowe spodnie bliżej nieokreślonego koloru i starą walizkę bez kółek, tylko z rączką. Wydawał się staromodny nie z braku pieniędzy bynajmniej, lecz taki miał właśnie styl. Drugi był jego przeciwieństwem. Ubrany nowocześnie, lecz nie sztywniacko, w prostą ciemną bluzę i czarne spodnie, ciągnął za sobą lekko poobijaną aluminiową walizkę.

— Oldskul — zdążył szepnąć Net, nim tamci się zbliżyli.

— Cześć! — Pierwszy przywitał się czarnowłosy. — Nazywam się William, a to Angus. Będziemy wam przeszkadzać przez najbliższy tydzień.

Felix, Net i Nika również się przedstawili.

— Nie będziecie nam przeszkadzać. — Nika z uśmiechem wyciągnęła rękę. — A gdzie Her... znaczy Emma?

— Rozchorowała się. — William rozłożył ręce, wpatrując się w Nikę. — Do ostatniej chwili wydawało się, że się wykuruje, ale nic z tego nie wyszło. Grypa. Może przeżyje.

Przyjaciele patrzyli na niego chwilę z niepokojem, aż się uśmiechnął.

— A, taki żart... — mruknął kwaśno Net.

— To przykre — odparła Nika, starając się nie okazywać ulgi. Uśmiechnęła się jednak. — Miło, że chociaż wy dotarliście.

— Wiemy, że zwałamy się wam na głowę — powiedział William. — W ramach zadośćuczynienia przygotowaliśmy po dwa dowcipy na każdy dzień.

— Lubimy angielski humor — odparł ostrożnie Felix.

— Bo inny nie istnieje — dodał mniej ostrożnie Net. — A co ze szkockim humorem?

— Szkocki humor to dowcipy o Anglikach — wyjaśnił Angus, po czym obaj z Williamem przybili piątkę. — Luz, jesteśmy Brytyjczykami.

— Ale przecież wiemy, że wam zakłócamy przygotowania do egzaminów — dodał William. — Szkoda, że wymiana nie odbyła się tydzień temu.

— To dlatego, że nasz dyrektor jest trochę... — Net zawiesił głos. — Zresztą sami zobaczycie. Na szczęście będziecie mogli podpowiadać na egzaminach, bo większość nauczycieli chyba nie zna angielskiego. Dobra. — Zatarł ręce. — To lecimy na obiadek.

— Potrzebne taxi? — rozległ się konspiracyjny szept z boku.

Mężczyzna w skórzanej kurtce ze ściągaczem patrzył na nich wyczekująco. Na smyczy miał przypięty wyświechtany identyfikator, z którego nie dało się zupełnie nic wyczytać.

— *Sziur!* — ucieszył się William.

— Zaraz, momencik — powstrzymała go Nika.

— Chyba dziękujemy — poparł ją Felix.

Net szturchnął ją, mrugnął porozumiewawczo do Felixa i szepnął:

— To ten sam koleś. Ten, z którym jechaliśmy, kiedy przyleciała babcia Adelajda.

— No właśnie — odszepnął Felix. — To oszust. Chodźmy do pociągu. Za dwadzieścia minut będziemy w Centrum.

Brytyjczycy przyglądali im się z zainteresowaniem.

— Nie wypada szeptać przy gościach. — Nika nachyliła się do przyjaciół. — Co wy kombinujecie?

— Zobaczysz. — Net wyprostował się i powiedział z teatralną emfazą do kierowcy — z ochotą skorzystamy z pana usług. Przyniosę tylko resztę naszych bagaży.

Net pobiegł za załom ściany. Nika spojrzała pytająco na Felixa, który tylko wzruszył ramionami. Net wrócił, niosąc dwa pełne i zawiązane na supeł worki na śmiecie. Wręczył je zdziwionemu kierowcy.

— To wygląda jak... — mężczyzna zawiesił głos.

— Rozwaliła nam się walizka i przepakowaliśmy się do worków — odparł z kamienną twarzą Net.

— Można było walizkę owinąć taśmą... czy coś.

Net zdecydowanie pokręcił głową i wyjaśnił:

— Walizka musi zostać przebadana na miejscu. To standardowa procedura. Chodzi o bezpieczeństwo. Terroryści, suwaki, hemoglobina, rozumie pan.

— Oczywiście, tak, oczywiście. Daleko państwo jadą, jeśli można zapytać?

— O, daleko! — Net machnął ręką. — Jedziemy do wujka na Ursynów. To zdaje się na drugim końcu miasta.

Kierowca zamrugał i uśmiechnął się chytrze.

— O tak, rzeczywiście kawał drogi — przytaknął gorliwie. — Trafimy, państwo się nie martwią. Proszę za mną.

Odwrócił się, ale Net usadził go w miejscu.

— Czekamy jeszcze na dwie pozostałe walizki. One też się rozpadły. Może pan na razie zanieś tę część do samochodu i wróci tu do nas po resztę bagaży.

— OK. Wracam w try miga! — Kierowca szybkim krokiem, niemal biegiem ruszył z workami pełnymi śmieci do wyjścia.

— Co tu się właściwie wydarzyło? — zapytał William. — Czemu dałeś temu człowiekowi worki ze śmieciami?

— W naszym kraju wszyscy obywatele dbają o czysto... — Net nie skończył, Nika szturchnęła go bowiem łokciem.

— To oszust — wyjaśnił Felix. — Taksówkarz, który wozi pasażerów trzy razy drożej niż inni. A dodatkowo jedzie okrężną trasą, żeby jeszcze więcej zarobić.

— Ursynów nie leży na drugim końcu miasta, tylko kilka kilometrów stąd — dodała Nika.

— To w Polsce tak wolno? — Angus zerkał ukradkiem na dziewczynę.

— Czy wolno? — Felix podrapał się w głowę. — Hm... Po drodze opowiemy wam, jak to jest z tym, co w Polsce wolno, a czego nie. Teraz powinniśmy się stąd ulotnić, nim on wróci. Net?

Net wykonał bliżej nieokreślony gest i pobiegł w przeciwną stronę niż poprzednio. Po chwili wyłonił się zza winkła z dwoma kolejnymi workami.

— Przeginasz — oceniła Nika. — On się zorientuje.

— Eee tam. Zachłanność go zaślepia.

— Net postanowił go wychować — wyjaśniła Nika.

— Ukarać — sprecyzował Felix.

Do hali wbiegł taksówkarz, zwolnił kroku i z uśmiechem, ciut tylko mniej chytrym, zbliżył się do przyjaciół. Net wręczył mu kolejne dwa worki.

— Zawartość drugiej walizki. Czekamy jeszcze na trzecią. Powiedzieli, że to zajmie najwyżej trzy minutki.

— Aha... — Taksówkarz zerknął na worki już bez uśmiechu. — To ja... zaniosę je i wrócę.

— Będziemy tu czekać — zapewnił go Net. Kiedy taksówkarz z workami wyszedł z hali, Net rzucił — się zmywajmy do pociągu.

Szybkim krokiem przeszli przez zatłoczony terminal i wyszli wyjściem najbliższym stacji kolejki. Słońce już chowało się za budynki lotniska. Nieba nie szpeciła ani jedna chmurka, a czerwcowe powietrze po raz pierwszy tego roku pachniało latem. Przy takiej pogodzie pojawia się zwykle optymistyczne przekonanie, że wszystko się uda i każdy plan zostanie zrealizowany bez najmniejszych potknięć. I zapewne tak by było i tym razem, gdyby nie...

— O, jesteście państwo! — ucieszył się idący z naprzeciwka taksówkarz. — Właśnie wracałem po zawartość trzeciej walizki.

Cała piątka zatrzymała się, zaskoczona.

— Upchnęliśmy po kieszeniach — wypalił Net. — Więc tu pan stoi...

— Właśnie tu, z dala od zgiełku lotniska.

Stary Opel Omega ⁵ rzeczywiście parkował kawałek dalej w cieniu między filarami wiaduktu i nie rzucał się w oczy.

— Eem... — Net spojrzał błagalnie na przyjaciół.

— Mistrzu ceremonii... — zachęciła go Nika.

* * *

Tylna kanapa konwersowała po angielsku, co było bezpieczne, bo kierowca z tego języka najwyraźniej znał tylko liczebniki. Jednocześnie nie przeszkadzało mu, że siedzą tam cztery osoby, w dodatku nieprzypięte

pasami. Z przodu usadowił się Net, ponury jak chmura gradowa. Zerknął na Nikę, która rozluźniona i roześmiana siedziała pomiędzy Felixem a Angusem, i na licznik, który przeskakiwał podejrzanie szybko i zbliżał się już do stu złotych, choć dopiero dotarli do Centrum. Zgodnie z przewidywaniami taksówkarz zamierzał ich obwieźć po całym mieście za co najmniej trzykrotną stawkę. Trudno było z tym coś zrobić, skoro przyznali, że nie znają miasta.

Nika tymczasem opowiadała gościom o mijanych miejscach, czym wprawiała w zdziwienie Felixa, który sądził, że to on wie o Warszawie dużo.

— To wygląda lepiej, niż myśleliśmy — odezwał się William, gdy mijali wieżowce Centrum.

— Obawialiśmy się szarych blokowisk i szarych ludzi — dodał Angus.

— Dwadzieścia lat temu by tak było — przyznała Nika.

— Możemy zrobić skrót przez Krakowskie Przedmieście? — zapytał po polsku Felix. — Wujek nam mówił, że to po drodze.

— Aaa... tak — zreflektował się kierowca. — Rzeczywiście będziemy tamtędy jechać.

Net posłał Felixowi wściekle spojrzenie. Jechali teraz na północ przez środek Woli, czyli Krakowskie Przedmieście mieli kilka kilometrów w prawo, a „docelowy” Ursynów kilkanaście kilometrów z tyłu. Kierowca zaraz jednak wykonał kilka skrętów, których celem było zmylenie poczucia kierunku u pasażerów i po kilku minutach goście ciekawie rozglądali się już po Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie.

— A pod jaki konkretnie adres państwa zawieźć? — zapytał kierowca.

— Eem... — Net obejrzał się na zagadanych przyjaciół. Pomoc stamtąd raczej nie mogła nadejść. — Moment, sprawdzę.

Z jeszcze bardziej ponurą miną wyciągnął telefon. I wtedy nagle doznał olśnienia. Uśmiechnął się pod nosem, połączył z internetem i podał taksówkarzowi nazwę ulicy.

— Jakoś dziwnie ten adres wydaje mi się znajomy — zastanowił się kierowca. — Może już tam kiedyś byłem.

— To całkiem prawdopodobne — przyznał Net.

Dojazd na Ursynów zabrał kolejny kwadrans. W miarę zbliżania się do podanego adresu kierowca stawał się coraz bardziej nerwowy, za to Net rozluźnił się całkowicie. Niewiele brakowało, a rozłożyłby fotel i wyciągnął w nim, wysuwając nogi przez okno. Pasażerowie z tylnej kanapy zamilkli,

zaciekawieni rozwojem wydarzeń. Przed samym wjazdem na parking kierowca zatrzymał się gwałtownie.

— Pod tym adresem jest komenda policji — oznajmił zaniepokojonym głosem.

— Tak, mój wujek jest komendantem — przytaknął Net. — Przylecieliśmy do Warszawy na jego zaproszenie. Zapłacił za nasze bilety i obiecał zapłacić też za taksówkę. Zaraz do nas wyjdzie. Aha, będzie potrzebna faktura.

Taksówkarz wysiadł. Obiegł samochód i zaczął wyciągać z bagażnika walizki i worki ze śmieciami. Stawiał je wprost na chodniku. Przyjaciele i Brytyjczycy wygramolili się z Opla.

— Kurs był gratisowy — rzucił kierowca, wskoczył do samochodu i odjechał z piskiem opon, zostawiając za sobą aromat przypalonych frytek.

Był już wieczór, miasto szumiało w oddali, a w miejscu, gdzie stali, parkowało jedynie kilka sennych radiowozów. Rzadko przejeżdżał jakiś samochód.

— Brawo — podsumowała Nika. — Po godzinie krążenia po mieście jesteście na Ursynowie z czterema torbami śmieci.

— Zaoszczędziliśmy na biletach — odparł Net.

— Przecież mamy karty miejskie. Jesteśmy za to po drugiej stronie miasta.

— Punkt programu „wycieczka krajoznawcza” odwołany za *free*. Tak? Zresztą nic nie mów. Nie chcieliście mi pomóc, to musiałem sam coś wymyślić.

— Miałem plan B — powiedział Felix. — Stawkę za kurs kierowca negocjowałby z Golemem Golemem uzbrojonym w regulamin przewozów osobowych i cennik Urzędu Miasta.

— Czyli go przekreśliśmy? — upewnił się William.

— Tak. — Felix chwycił dwa najbliższe worki ze śmieciami. — Satisfakcja nas przepełnia. Chodźmy do metra.

* * *

Caban nieufnie obwąchał nieznanymi, ale nawet nie warknął.

— Na starość nie chce mu się rozpętywać nowych konfliktów — stwierdził Net. Pociągnął nosem. — Zaraz, czy tu się coś aby nie podfajczyło?

Obok lodówki stał całkowicie nieruchomo Golem Golem i udawał, że go tam nie ma. W normalnej kuchni nie byłoby to łatwe, zważywszy, że wyglądał jak człekokształtny buldożer. Jednak w kuchni państwa Polonów, wypełnionej wszelakiego rodzaju automatami, mogło się udać. Spod zamkniętych drzwiczek piekarnika wydobywała się smużka czarnego dymu.

— Ups... — szepnął Net. — To chyba sernik.

— Włożyłeś sernik do piekarnika?! — wykrzyknęła Nika.

— Myślałem, że obrócimy tak ciach-ciach, bez zwiedzania miasta. — Dopadł piekarnika i otworzył go z rozmachem. Porwane prądem powietrza drobinki sadzy wyleciały na kuchnię, pokrywając twarz i włosy Neta czarnymi kropkami sadzy. — Pizzę zawsze podgrzewam dwadzieścia minut w dwustu stopniach. Khe, khe... To przecież logiczne, że jeśli sernik mam piec czterdzieści minut, to temperaturę trzeba zmniejszyć o... zaraz to policzę.

— Nic nie licz — powiedział przez zaciśnięte usta Felix. — Jeśli ustawisz timer na czterdzieści minut, to po czterdziestu minutach zadzwoni dzwonek. Piec będzie działał dalej.

— O! — Net zmarszczył brwi. — To inaczej niż u mnie. U mnie, jak ustawisz czas —

— To sernik na zimno — przerwała mu Nika. — Jego się wkłada do lodówki.

— No właśnie zauważyłem, że jest w lodówce. — Net próbował zetrzeć z twarzy sadzę, ale tylko ją rozsmarował. — Tak jak te kotlety schabowe. Ale schabowe usmażysz w pięć minut, a sernik będzie się piekł z godzinę.

— To jest sernik na zimno — powtórzyła Nika. — Jego się w ogóle nie piecze. Wsadza się go na czterdzieści minut do lodówki, żeby zastygł, a potem od razu się go je.

Smród spalenizny stał się intensywniejszy. Dym wydobywał się ze stygnącego piekarnika rzędącymi kłębami, a kawałeczki sadzy opadały na kuchenną podłogę, blaty i stół.

— Aha... — Net skinął głową. — Tak, to wiele wyjaśnia. Pójdę się umyć.

Felix ogarnął smutnym spojrzeniem kuchnię.

— Naprawdę piękna akcja.

— *Mówiłeś, że mam nie wychodzić z piwnicy, cokolwiek by się działo* — odezwał się niespodziewanie Golem Golem, rozkładając stalowe ramiona. — *Pozwoliłem sobie przeprogramować pętlę logiczną „cokolwiek by się działo” poprzez wykluczenie z warunku sytuacji zagrożenia pożarowego. Wyłączyłem piekarnik.*

William i Angus zastygli i wpatrywali się w androida szeroko otwartymi oczami.

— Akurat nie pytałem ciebie. — Felix machnął ręką. — Ale teraz to już nieważne. Znaczy, dobrze że wyłączyłeś.

— Masz własnego robota? — zapytał zafascynowany William. — *Wow!*

— Nie chciałem was straszyć. Ludzie różnie reagują.

— Nie, jest spoko. Gdzie kupiłeś?

— Sam go zrobił — dobiegło zza otwartych drzwi łazienki przez szmer wody. — Jest konstruktorem. Ale ja programowałem mózg, a Nika przekonała go, że nieładnie jest zabijać obcych, nawet niechcący.

William chciał podejść do dwumetrowej maszyny i przyjrzeć jej się z bliska, ale Nika powstrzymała go gestem.

— Czekaj. Trzeba umyć podłogę, bo rozniesiemy to po całym domu. Gdzie trzymasz mopa?

To ostatnie było skierowane do Felixa. Chłopak pokręcił głową.

— To sadza. Na mokro tylko ją rozsmarujesz. Golem Golem, przynieś odkurzacz i zbierz sadzę.

— Na sucho? — dobiegło z łazienki. — Teraz to mówisz?

Nika odwróciła się i mimowolnie parsknęła śmiechem. Net miał czarną twarz, czarne włosy i czarne okulary.

— Wyglądasz jak Murzyn w afro — stwierdziła.

Stojący obok umywalki Net spojrział na swoje czarne dłonie. William i Angus nie wytrzymali i również parsknęli śmiechem. Felixowi na ten widok przeszła cała złość na przyjaciela.

— Czekaj, bo tylko pogorszysz. — Nika weszła do łazienki i zamknęła drzwi. — Znasz takie słowo „mydło”?

Brytyjczycy zapomnieli o rozbawieniu, gdy tuż obok nich przeszedł Golem Golem i otworzył drzwi schowka. Wpatrywali się w niego z fascynacją, podczas gdy on sprawnie zmontował odkurzacz, przeniósł go do kuchni, podłączył i zaczął czyścić podłogę z sadzy, precyzyjnie utrzymując końcówkę rury centymetr nad terakotą.

— Więc jesteś konstruktorem — odezwał się Szkot.

— Trochę tak sobie dłubię w wolnym czasie — skromnie przyznał Felix. — Skonstruowałem też automatyczny odkurzacz, ale on nie potrafi sprzątać niczego poza podłogą. Aha, druga łazienka jest na piętrze, na wprost schodów. Gdybyście chcieli się na przykład odświeżyć po podróży.

Nika wyszła pierwsza, dłonią tłumiąc śmiech. Net był w nieco gorszym humorze. O ile udało się umyć twarz i okulary, o tyle próby wyczyszczenia włosów spelzły na niczym i Net miał teraz smoliście (dosłownie) czarną czuprynę.

— Się umyje wieczorem — zbagatelizował. — Przestańcie już rzeć. Jedzmy wreszcie.

Golem Golem skończył odkurzanie. Nika włączyła gaz pod garnkiem z zupą i już na zapas pod ziemniakami, a reszta usiadła do stołu. Goście przyglądali się automatom zgromadzonym w kuchni.

— Wygląda trochę jak z filmu science fiction — odezwał się William.

— Niskobudżetowego — uzupełnił Net.

— Mój tata jest wynalazcą — wyjaśnił Felix. — Większość tych automatów doskonale się sprawdza. To jego dzieło sprzed lat, kiedy miał więcej czasu i prowadził warsztat naprawy wszystkiego. Po nim mam takie zainteresowania.

Net otworzył laptop i przejrzał stronę swojej aukcji.

— Żadnych ofert — stwierdził z rozczarowaniem. — Może przesadziłem z ceną?

Nika napełniła pięć talerzy, a Felix postawił je na stole.

— Pachnie dziwnie — stwierdził ostrożnie William. — Spróbujemy, nie znamy za dobrze polskiej kuchni.

— Nie bądź taki angielsko grzeczny — dodał z uśmiechem Angus. — Ani trochę jej nie znamy.

— Ale chętnie poznamy.

Goście jednocześnie nabrali zupę na łyżki, jednocześnie włożyli do ust, jednocześnie wypluli i sięgnęli po serwetki.

— Wybaczcie, ale chyba coś poszło nie tak — odezwał się przeproszającym tonem William. — Odnoszę wrażenie, że ta zupa skwaśniała.

— Robi się ją z ogórków kiszonych — wyjaśniła zaskoczona Nika.

— Ogórki kiszone... — Angus odsunął od siebie talerz i wstał. — Jezu, słyszałem o tym. Proces przyspieszonego gnicia.

— Nie są zgniłe, tylko kiszone.

— Na jedno wychodzi.

— To zupełnie inny proces biochemiczny — próbował wyjaśniać Felix.

— Szybko! — Angus jedną ręką zasłaniał usta, drugą machał, by oddalić od siebie aromat zupy. — Dajcie mi coś sztucznego i niezdrowego!

Nika rzuciła się do lodówki, wyjęła puszkę coli i podając gościowi, jednocześnie ją otworzyła. Angus łąpczywie upił kilka łyków, zakrztusił się i wypił kilka kolejnych.

— Uch... — Odstawił puszkę. — To powinno zneutralizować toksyny.

William obszedł stół i też łyknął coli.

— *Sorry*, ale to nie na nasze żołądki — wyjaśnił.

— Ale spleśniałe sery jecie? — zapytał z przekąsem Net.

— To co innego. One są francuskie. Nasze organizmy wytworzyły już odpowiednie enzymy do trawienia camemberta i spółki.

— Ogórki kiszzone same się trawią. Jeszcze zanim je zjesz.

Angus spojrział na niego dramatycznie i sięgnął po puszkę, by wypić kilka kolejnych łyków.

— Proszę. Już mi nic więcej na ten temat nie mów.

— OK. Ale wy też macie marynowane jajka, a chleb smarujecie Marmite'em ⁶.

— Kiedyś spróbowałem odrobinę Marmite'a — skrzywił się Felix. — Musiałem ze trzy razy myć zęby, zanim pozbyłem się tego posmaku.

— Nie wiem, co złego może być w Marmicie — zdziwił się William.

— Pychotka. Ale muszę przyznać, że w Szkocji to rzeczywiście jedzą niezłe paskudztwo. Haggis ⁷.

— Nie słuchajcie go, on się nie zna. — Angus wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Niki. — To podroby zaszyte w owczym żołądku, rewelacja. Każdy szkocki klan ma własny, pilnie strzeżony przepis na to danie.

— Zróbmy przerwę, jakoś mi przeszedł apetyt. — Net odsunął od siebie talerz.

Przyjaciele zebrali talerze i postawili w najdalszym końcu blatu.

— Na drugie danie są kotlety schabowe — zapowiedziała Nika. — One powinny wam smakować.

— To tradycyjne polskie danie bezogórkowe — dodał Net.

— Tak właściwie to nie jest polskie danie — powiedział cicho i po polsku Felix.

— Nieistotne detale — odparł Net, po czym dodał głośniej — kotlety schabowe są neutralne kulinarnopoglądowo. A w razie czego dowożą tu

pizzę w dwadzieścia minut.

Nika sprawnie rozłożyła trzy talerze do panierowania: z mąką, surowym jajkiem i bułką tartą. Felix postawił na gazie największą patelnię i wylał na nią trochę oliwy. Net natomiast przyglądał się tym działaniom z bezpiecznej odległości, starając się chwilowo pozostać poza obszarem zainteresowań Niki. Nie udało się.

— Sprawdź, czy ziemniaki są już miękkie, i zrób purée — rzuciła przez ramię.

— Jak mam sprawdzić? — Net popatrzył na garnek. — Przecież to się gotuje.

— Widelcem.

— To w ogóle niesamowite, że wy potraficie sami gotować — odezwał się William. — Gdybym ja miał przyjąć gości, to pewnie bym kupił gotowe danie do mikrofalówki.

— Gotowanie dobrze odstresowuje. — Felix mieszał kapustę. — No i można przy tym rozmawiać.

— Aż tak zestresowany nie jestem. — Net przez silikonowe ochroniacze wziął garnek z przykrywką i podszedł do zlewu. — Ale dzięki temu przestałem się brzydzić kapusty.

— Wiesz, chodzi o to, żeby woda wyleciała, a ziemniaki zostały — poradziła ironicznie Nika.

Net mruknął coś niewyraźnie i zaskakująco sprawnie odlał ziemniaki. W powietrze wzbily się kłęby pary i teraz Net dla odmiany miał matowo-białe okulary.

— Teraz dodaj łyżkę masła — poinstruowała go rozbawiona tym widokiem dziewczyna — rozgnieć je tym czymś, co wygląda jak rozplaszczona sprężyna, i wymieszaj z mlekiem.

Goście przyglądali się całej krzątaninie z fascynacją.

— Czuję się jak w programie kulinarnym — przyznał Angus. — Nie mogę się doczekać, co z tego wyjdzie.

— Zaraz — zastanowił się Net, rozgniatając ziemniaki. — Ty mieszkasz w Edynburgu. A Ty...?

— W Londynie — powiedział William.

— To w jaki sposób się tak dobrze znacie?

— Chodzimy do tej samej szkoły w St. Andrews. — William wstał i zajrzał do garnka z ziemniakami. — Nigdy nie widziałem, żeby moja mama coś takiego robiła. Purée to proszek do rozrobienia z wodą.

— Momencik... — Net zaczął liczyć w głowie. — Kawał drogi dojeżdżacie, szczególnie ty. — Spojrzał na Anglika. — St. Andrews to chyba Szkocja.

— Dojeżdżamy, ale tylko kilka razy w roku.

— Luźna ta szkoła.

— Wprost przeciwnie. — William pokręcił głową. — To szkoła z internetem. Mieszkamy tam, a do rodziny przyjeżdżamy na wakacje i na święta. Nie ma więc znaczenia, czy mam sto, czy pięćset mil do domu. Na studia pójde już pewnie bliżej Londynu.

To oświadczenie zrobiło spore wrażenie na przyjaciółach.

— Ja to na jeden dzień nie mogę wyjechać bez specjalnych pozwoleń — mruknął Net.

Kuchnia wypełniała się aromatem smażonych kotletów.

— Pachnie międzynarodowo — przyznał Angus i uśmiechnął się do Niki. — To zjemy nawet my.

Po chwili talerze ze schabowymi i kapustą zasmażaną wylądowały na stole. Goście jednocześnie nabrali kapustę zasmażaną na widelce, jednocześnie włożyli do ust, jednocześnie wypluli i sięgnęli po serwetki. Felix zorientował się, na czym polega kłopot związany z tym daniem.

— To kapusta... — powiedział wolno — kiszona... Chociaż zasmażana...

Nika bez dalszych zachęt wyciągnęła z lodówki dwie puszkę coli i podała gościom.

— Przepraszamy — powiedziała. — Nie skojarzyliśmy, że kapusta i ogórki...

William duszkiem opróżnił pół puszkę i stłumił beknięcie.

— Chyba jesteśmy zbyt wybredni — powiedział przepaszającym tonem.

— Reszta za to wygląda przepysznie — zapewnił Angus. — Po prostu... nie zjemy tej kapusty.

— Mamy jeszcze surówkę z kap... — Nika uniosła się z krzesła, ale od razu usiadła z powrotem. — Zresztą nieważne.

— To jest dobre — powiedział szybko Angus, gryząc kotlet. — To jest naprawdę dobre.

Po kolacji wszyscy przeszli do salonu, gdzie Golem Golem już zdążył rozpalić w kominku.

— Ładna spódniczka — rzucił mimochodem Angus. — Celowo się tak dziś ubrałaś?

Nika spojrzała w dół i odruchowo wygładziła materiał.

— Dzięki. Rzeczywiście, to szkocka krata. — Uśmiechnęła się. — Nie, często ją noszę. Lubię tartan ⁸.

Niespodziewanie Caban zerwał się z posłania i zaczął szczeakać. Jednocześnie w hallu pojawił się Golem Golem. Goście zaniepokoiili się lekko.

— Przyjechali nasi rodzice. — Net wstał. — Byli w teatrze. Pora się zbierać. To znaczy, fajnie się gada, ale jutro na drugiej lekcji mamy test z informatyki.

Rodzice Felixa i Neta przywitali się z gośćmi, ale wszystko wskazywało na to, że nie zamierzają zostać dłużej. Net i Angus pożegnali się więc z gospodarzami i narzucili bluzy.

— Jutro zapraszamy wszystkich do nas na obiad — powiedziała z uśmiechem pani Bielecka. — Ugotuję dla was tradycyjną polską zupę – kapuśniak.

* * *

W furgonetce, zaparkowanej w bocznej uliczce, panowała cisza przerywana tylko skrobaniem długopisem po papierze. Kierowca rozwiązywał sudoku. Siedząca obok kobieta w szarym kostiumie rysowała szlaczki na wydruku wpiętym w clipboard. Wydruk zawierał siedem pozycji z krótkimi opisami. Przy każdym z nich stały już długopisowe znaki zapytania, wykrzykniki, podkreślone wykrzykniki i jeszcze większe wykrzykniki.

— Pięć milionów... Łatwo mu powiedzieć — mruknęła kobieta. — Trzeba podjąć decyzję.

— Ustal limit czasowy — poradził kierowca. — Mnie to pomaga.

— Powiedzmy, że mam na decyzję trzydzieści sekund.

Podkreśliła kolejno numery pozycji. Każda kusiała.

— Dwie trójki — mruknął kierowca i zmiął kartkę. — Wolę krzyżówki.

— Dwie trójki. — Kobieta pokiwała głową i zakreśliła szóstą pozycję na liście „Walka o dziecko”, mocno przyciskając długopis. — Jak człowiek nie może zdecydować, niech decyduje los. Bierzmy się do tego.

Wstała z fotela i przygarbiona, by nie zaczepić o dach, przeszła do oddzielonej zasłonką tylnej części furgonetki. Usiadła w obrotowym, przykręconym do podłogi fotelu przed konsolą z wygaszonymi monitorami

i klawiaturami. Palcem, z pomalowanym na czerwono, ale krótko przyciętym paznokciem, nacisnęła czerwony guzik. Ukryte królestwo ożyło kolorami kontrolki i monitorów. Tu nie było okien, zapaliła więc małą lampkę i podłożyła pod nią pokreślony wydruk.

— Skocz po kawę i kanapki — rzuciła. — Tylko żadnych dżemów ani konfitur. Kawa bez cukru.

Mężczyzna nie był zachwycony, ale bez dyskusji otworzył drzwi, by spełnić życzenie, czy może bardziej polecenie.

— I kup sobie krzyżówkę — powiedziała jeszcze kobieta. — Mam przed sobą dobre dwie godziny pracy.

1. Manfred – zaprzyjaźniony program sztucznej inteligencji, który na co dzień zajmuje się sterowaniem ruchem w Warszawie. [\[wróć\]](#)
2. Dron – bezzałogowy aparat latający. [\[wróć\]](#)
3. „Kurjer Warszawski” – gazeta codzienna wydawana w Warszawie od 1821 r. do 9 października 1939 r. [\[wróć\]](#)
4. Oczywiście wszystkie te rozmowy z przybyłymi na wymianę cudzoziemcami odbywają się po angielsku. Wyjątkiem są te rozmowy, które nie odbywają się po angielsku. [\[wróć\]](#)
5. Ze względu na miłość autora do motoryzacji w tej książce nazwy samochodów są pisane wielką literą. [\[wróć\]](#)
6. Marmite [czyt. Marmejt] – wyciąg drożdżowy, powstający jako produkt uboczny podczas warzenia piwa. W kuchni brytyjskiej wykorzystywany jest głównie jako smarowidło do chleba. Jest to jedna z bardziej obrzydliwych rzeczy, jaką można zjeść (zdaniem autora). [\[wróć\]](#)
7. Haggis – specjał szkockiej kuchni narodowej, przyrządzany z owczych podrobów (wątroby, serca i płuc), wymieszanych z cebulą, mąką owsianą, tłuszczem i przyprawami, zaszytych i duszonych w owczym żołądku. Wbrew temu, jak to brzmi, jest to całkiem smaczne (zdaniem autora). [\[wróć\]](#)
8. Tartan – tkanina, zwykle z wełny owczej, o kraciastym wzorze utworzonym z krzyżujących się pasów o różnej szerokości i barwie. Szyte są z niej spodniczki (kilty), szaliki, berety, spodnie. [\[wróć\]](#)



2. Różnice kulturowe

— Nigdy wcześniej nie jadłam na śniadanie lodów — powiedziała Zosia.

— To chyba nie jest zbyt zdrowe. — Mężczyzna uśmiechnął się. — Ale raz na jakiś czas nie zaszkodzi.

Czerwcowy poranek był chłodny. Nowy Świat, zalany światłem stojącego jeszcze nisko słońca, był o tej porze niemal pusty. W jednej z nielicznych otwartych kawiarni siedziało ledwie kilku klientów.

— Raz na jakiś czas można zrobić coś głupiego — powiedziała Zosia. Jej nieśmiałość chwilowo gdzieś znikła.

Kilka minut siedzieli w kawiarnianym ogródku, ciesząc się tym czasem, słońcem i smakiem lodów.

— Najchętniej bym cię porwał na koniec świata — powiedział mężczyzna. — Porwałbym cię daleko stąd, tam, gdzie nikt by nas nie znalazł.

— Chodzę do szkoły — przypomniała Zosia.

— Wiem. To tylko takie marzenia. — Pogłaskał ją po głowie. — Chciałbym cię mieć tylko dla siebie.

— To samo mówi mama. Zabroniła mi z tobą rozmawiać. Miałam tylko słuchać i potem jej wszystko powtórzyć.

— Co jeszcze mówiła o mnie?

— Każe mi cię nazywać „panem Kamińskim”.

* * *

Felix i William wysiedli z autobusu za kwadrans ósma. Felix na wszelki wypadek wybrał wcześniejszy. Zwykle dojeżdżał osiem minut później, ale

głupio byłoby już pierwszego dnia spóźnić się z zagranicznym gościem. Mogli więc teraz spacerkiem pokonać trzysta metrów dzielące ich od szkoły, tym bardziej że zapowiadał się słoneczny i ciepły dzień.

— I jak autobus? — zapytał Felix.

— Autobus... jak autobus — odparł William.

— A w porównaniu do brytyjskich autobusów?

Skręcili w boczną uliczkę, przy której znajdowało się główne wejście do szkoły. William zastanowił się nad odpowiedzią.

— Trzęsie bardziej, nie ma pietra. No i wsiada się ze złej strony. Czemu pytasz?

Felix poczuł się, jakby palnął głupstwo.

— Interesuję się takimi... szczegółami. A to nasza szkoła. — Szybko zmienił temat i wskazał budynek.

— Duża, szara — ocenił William. — Wzbudza szacunek.

Nie byli pierwsi. Po drugiej stronie uliczki, naprzeciwko szkoły przed kawiarnią „Zbędne Kalorie”, stali Net, Nika, Angus i Oskar i najwyraźniej również rozmawiali o budynku, który zdaniem Felixa nie był wybitnym dziełem architektury, choć i do szczególnie paskudnych też nie należał.

Podeszli i przywitali się. Net miał nadal czarne włosy, nieco tylko jaśniejsze niż wczoraj.

— Myłem dwa razy — wyjaśnił. — Ten sernik nie był naturalny.

— Jak to w ogóle możliwe, że wstałeś tak wcześnie? — zapytał Felix.

— Zwykle wpadasz do szkoły w ostatniej chwili.

— On mnie obudził, strzelając stawami. — Net wskazał kciukiem Szkota.

— Poranna gimnastyka — wyjaśnił Angus. — Dziesięć pompek, dziesięć przysiadów i dziesięć wymachów rękoma.

— Siódmy wymach mam tutaj. — Net dotknął swojej skroni.

— Za szybko wychynałeś z pokoju.

— Myślałem, że jakiś włamywacz biega po domu.

Nika przez witrynę pomachała pani Basi.

— To kawiarnia, gdzie czasem wpadamy na przerwie albo po lekcjach — wyjaśniła. — Dziś też możemy wpaść. Tutejszy sernik na pewno jest naturalny.

— Cola też jest naturalna — dodał Net. — Wiecie, że na pierwszej lekcji ma być apel?

— Czytasz codziennie, co piszą na stronie szkoły? — zapytał Oskar.

— Używam RSS ¹.

Obok przeszedł sapiący Klemens, nawet ich nie zauważając. Na plecach miał własny plecak, a w dłoni niósł czerwoną torbę należącą do Francuzki, która podążała krok za nim. Dziewczyna nie wyglądała na szczęśliwą. Oboje przeszli przez ulicę, Klemens potknął się w połowie schodów prowadzących do wejścia i przy tej okazji wyrzucił torebką o ziemię. Otrzeptał ją pobieżnie, po czym otworzył drzwi, by przepuścić dziewczynę przodem.

— Dobrana para — zauważył Oskar. — Nie ma co.

Od strony przystanku wolnym krokiem nadeszli Gilbert i Michael. Dziewczyna trzymała go pod ramię.

Przywitali się i przedstawili.

— Piękny dzień, nieprawdaż? — zapytał po polsku Gilbert.

— Zaiste, nie śnieży — odparł Net.

Nika spojrzała smutno na Gilberta, potem na Michael. Zastanawiała się, czy dziewczyna wie o tym, że on chodzi z Zosią. Miała na końcu języka to pytanie, powstrzymała się jednak, uznając, że to nie jej sprawa. Zresztą nie było na to czasu. Celina, głośno stukając obcasami, podeszła do nich.

— Przechodził tędy Klemens? — zapytała groźnie. — Była z nim ta rogalikożerna tleniona Marie?

— Tak — odpowiedziała ostrożnie Nika. — Jakąś minutę temu.

— Czy byli... — Celina zawiesiła głos, szukając odpowiedniego określenia — jakoś wczepieni w siebie czy coś takiego?

— Klemens jest dla niej bardzo nieczuły — odparł Net. — Znaczy nie-miły. Traktuje tę Francuzkę jak zło konieczne. Rzucił jej torebką o ziemię. Niby niechący, ale ja czuję, że on robi to wszystko, żeby ją do siebie zniechęcić. Żeby żadna niteczka sympatii nie zakiełkowała na tym uczuciowym ugorze grubiaństwa.

Celina spojrzała na niego badawczo. Nie była pewna, ile w tej wypowiedzi było ironii, a ile prawdy. Postanowiła jednak potraktować ją optymistycznie. Uśmiechnęła się słabo, skinęła głową i odeszła.

— Wolę określenie rozwielitka — wtrącił Gilbert.

— W sensie że jak? — zapytał Net.

— Zamiast „nawiązuje się między nimi nic sympatii”, wolę mówić „krępują wspólną rozwielitkę”.

— Dlaczego?

— A dlaczego nie? — Gilbert z uśmiechem podsunął Michael ramię, a ona z uśmiechem wzięła go pod rękę. Przeszli przez ulicę.

— Gilbert nie zasypuje patatów na rżysku — podsumował Net — że tak sparafrazuję klasyka.

— Już pierwszego dnia wychodzą z tego grubsze zawirowania — odezwał się Angus, spoglądając na Nikę. — Oby się to źle nie skończyło.

— Trzymanie się pod rękę to zwykły dżentelmeński elementarz. Nie wiem, czemu się czepiacie. Chodzi o to, żeby się dama nie wyglebiła.

— Nie byłabym taka pewna — stwierdziła Nika.

Obok niemal niezauważalnie przeszła Zosia. Powiedziała szeptem coś, co zapewne miało znaczyć „cześć”.

— To tylko wygląda jak krępowanie wspólnej rozwielitki — pocieszył ją Net. — Tak naprawdę to oni bardziej dzielą skórę na niezłowionym jamochłonie.

— Och, zamknij się lepiej — powiedziała cicho Nika.

Zosia odeszła ze spuszczoną głową. Nad ulicą przeleciał dron. Wyglądał jak kulka, pomalowana od spodu na jasnoszaro, z góry na ciemnoszaro. Z kadłuba wystawały cztery wsporniki zakończone śmigłami, a na samym spodzie znajdował się szerokokątny obiektyw. Przyjaciele pomachali mu, bo zapewne był to dron Manfreda.

Felix spojrzął na zegarek. Była za trzy ósma.

— Zbierajmy się — powiedział.

— Bo najlepsze miejsca będą zajęte — przytaknął Net. — Najlepsze, czyli te na końcu — doprecyzował i uniósł łokieć, identycznie jak przedtem Gilbert.

Nika wzięła go pod rękę. Przeszli przez ulicę i obserwowani cały czas przez Angusa, weszli do chłodnego wnętrza budynku.

W hallu nad portiernią, na rozwieszonych między lampami sufitowymi sznurkach, wisały wielkie kolorowe litery „WELCOME”. Poniżej napis powtórzono w kilku językach, mniejszymi już literami. Z rozpędu ktoś wydrukował nawet tajskie znaczki, choć wszyscy goście przybyli z Unii Europejskiej. Felix, który jako jeden z nielicznych zwracał uwagę na zawartość wiszącej obok portierni gablotki dyrekcji, przystanął przed szybą. Tym razem nie przybyło żadne obwieszczenie, lecz zmieniło się wszystko. Informacje w gablotce były teraz dwujęzyczne. Na angielski przetłumaczono wszystko, nawet informacje o zasadach przyjęć do pierwszych klas, które z pewnością nie mogły się przydać gościom z wymiany.

Zaczęli się wspinać po schodach do sali gimnastycznej, kaprysem projektanta umieszczonej na samej górze. Na pierwszym piętrze Felix wskazał drzwi toalety.

— Zrobiło się światowo.

Nad napisem „Toaleta damska” widniał teraz drugi napis „Ladies”. Co więcej, na ścianach pojawiły się strzałki z napisami w stylu „Punkt medyczny” czy „Gabinet dyrektora magistra inżyniera Juliusza Stokrotki”.

Nie mieli czasu, aby dokładniej przyjrzeć się nowemu wystrojowi korytarza, zabrzmiał bowiem dzwonek.

— O! A dzwonka nie przetłumaczyli — zauważył Net.

W sali gimnastycznej panował chaos. Jak zwykle uczniowie przepychali się między rzędami krzesel, a nawet je przestawiali. Każdy chciał siedzieć jak najdalej od umownej sceny, a do tego z kumplami i jeszcze w miarę daleko od tego, kogo nie lubił. Trwało dobre dziesięć minut, nim czwarty rząd stał się pierwszym, a tumult ucichł wystarczająco, aby można było zaczynać. Tym razem stół nakryty zielonym sukniem został zastąpiony przez wysoki na trzy metry plakat z dość niestarannie narysowanym konturem Polski, zarysem Wisły i naniesionymi największymi miastami. Na krzesłach ustawionych z boku siedzieli nauczyciele, a na środku, przy stojaku z mikrofonem przebierał nogami dyrektor. Miał na sobie beżowy garnitur z kamizelką, do którego dopasował zieloną koszulę i wściekle pomarańczową muszkę, choć określenie „dopasował” nie było może najodpowiedniejsze. Stojąca obok Christina, jeszcze niższa od dyrektora nauczycielka angielskiego, miała na sobie jak zawsze, kiedy tylko pozwalała na to temperatura, ramoneskę. Ubierała się bardziej elegancko jedynie na szczególne okazje, a ta najwyraźniej do nich nie należała.

Stokrotka przyglądał łąsinę i obniżył stojak z mikrofonem.

— Witam wszystkich uczniów i nauczycieli — zaczął uroczyście. — A szczególnie serdecznie chciałbym powitać naszych gości spoza granic naszej pięknej ojczyzny. Hm... Gości z pięknych krain poza naszą ojczyznę... Nazywam się dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka i mam zaszczyt kierować tą placówką oświatową.

Christina przetłumaczyła jego słowa do drugiego mikrofonu. Uprościła przy tym wypowiedź i pozbawiła ją ozdorników. I tak na przykład „placówka oświatowa” zamieniła się po prostu w *school*.

Net wychylił się do Angusa i powiedział szeptem:

— Teraz przez kwadrans będzie tak nadawał. Z tłumaczeniem zrobi się z tego drugie tyle. Szkoda, że nie można się zdrzemnąć.

— Nasz dyrektor robi dokładnie tak samo — odparł Szkot.

Przemowa trwała jednak krócej niż zwykle, może z pięć minut.

— A teraz zaprosimy na środek wszystkich naszych zagranicznych gości — zakończył dyrektor i odsunął się, by zrobić miejsce.

Gdy Christina to przetłumaczyła, goście zaczęli wstawać i bez entuzjazmu przeciskać się do przejścia.

— O nie... — William też ruszył ku dyrektorowi. — Tego się właśnie obawiałem.

Goście, a było ich ponad dwadzieścioro, ustawili się półkolem na wprost widowni.

— Teraz opowiedzcie nam coś o sobie — poprosił z szerokim uśmiechem dyrektor. — Skąd przybywacie, jakie są wasze pasje i zainteresowania.

Podał mikrofon stojącej najbliżej Francuzce. Ta zrobiła najpierw wielkie oczy, spojrzała na dyrektora, na mikrofon i zaczęła coś mówić. Jedyne, co dało się z tego zrozumieć, to że dziewczyna nazywa się Marie.

— Mam problemy ze zrozumieniem Francuzów mówiących po angielsku — stwierdził Net.

— Bo ona mówi po francusku — odparł Felix.

Z siedzącego na sali tłumy nieśmiało uniosła się w górę dłoń. Dziewczyna zamilkła, wskazała dyrektorowi tę dłoń i oddała mikrofon.

— Tak, słucham — zachęcił dyrektor. — Pierwsze pytania z sali?

Klemens, bo do niego należała podniesiona ręka, wolno wstał.

— Marie nie mówi po angielsku — powiedział stremowany. — Ani nie słucha po angielsku. Znaczy... słucha, ale nie rozumie.

— Nie rozumie? — zapytał dyrektor.

— No właśnie... tak jakoś ma.

Dyrektor uniósł brwi i zamarł, zaskoczony tą informacją. Net nachylił się do Niki i szepnął:

— Jak to? Mieszka za granicą naszej pięknej ojczyzny i nie mówi po angielsku? Przecież tylko w Polsce ludzie nie mówią po angielsku.

Nika uśmiechnęła się i uciszyła go.

— To w takim razie... — Dyrektor sapnął, bezradnie spojrzał na grono pedagogiczne, potem na Klemensa. — To w takim razie... podejdź tutaj.

Klemensowi opadły ramiona. Zerknął na Celinę i zaczepiając o krzesła i plecaki, wygramolił się do przejścia, przyczłapał na środek i stanął obok Marie. Dyrektor uśmiechnął się z ulgą. Kryzys został zażegnany. Podał mikrofon dziewczynie i gestem pokazał, by opowiedziała o sobie jeszcze raz. Dyrektor wprawdzie znał trochę francuski, ale sam uważał, że ma fatalny akcent. Marie powtórzyła całą przemowę. Dyrektor podziękował skinieniem głowy i przekazał mikrofon Klemensowi.

— Przetłumacz nam, proszę, co opowiedziała Marie.

— Ale... — Klemens nerwowo obracał w dłoniach mikrofon, czemu towarzyszył dobywający się z głośników dźwięk wyżymanej mokrej dętki. — Ale ja...

Ze wzmocnionym przez głośniki hukiem odpadła siatkowa osłona z końcówki mikrofonu. Klemens rzucił się, by ją złapać, ta jednak wtoczyła się pod nogi gości. Przez salę przeszedł szmer rozbawienia.

— Mam... — Chłopak sięgnął, ale kulka potoczyła się dalej. — Nie mam.

Położył mikrofon na ziemi, na co głośniki zareagowały głośnym piskiem. Wreszcie zlitował się William, podniósł osłonę i podał ją Klemensowi.

— Dzięki... — Klemens próbował wcisnąć osłonę na miejsce. Towarzyszył temu dźwięk walących się płyt betonowych. Udało się, z odgłosem wystrzału, od którego zatrzęśły się szyby. — Chodzi o to, że ja... — Klemens nabrał powietrza — że ja nie znam francuskiego.

Ostatnie rzędy tłumy chichot.

— Marie mieszka u ciebie. To jak rozmawiacie?

— Na migi.

Ktoś zaśmiał się i szybko ucichł. Net nachylił się do Niki i zapytał szeptem:

— Jak jest w języku migowym „zapal światło, chciałam ci coś powiedzieć”?

Nika szturchnęła go lekko. Dyrektor potarł czoło.

— Eeem... To w takim razie poprosimy do nas panią Zdrój, która przetłumaczy to, co powie pani Christina... to znaczy to, co ja powiem, również na francuski oraz w drugą stronę. To bardzo ułatwi.

Zuzanna Zdrój, nauczycielka plastyki, uczyła również francuskiego. Wstała, zwiewnym krokiem przeszła przed gośćmi i stanęła obok Christiny.

Uniosła się kolejna dłoń.

— Tak? — Dyrektor zachęcająco wskazał Violę z drugiej „b”.

Dziewczyna wstała i oświadczyła:

— Jesus też mówi słabo po angielsku.

Hiszpan z czarnymi prostymi włosami na dźwięk własnego imienia przytaknął gorliwie.

— Dobrze... dobrze... — Dyrektor przekładał mikrofon z dłoni do dłoni. — A ty dobrze znasz...? Nie, lepiej poprosimy pana Sapieżyńskiego, żeby on tłumaczył.

Tymczasem z sali uniosła się kolejna ręka.

— Słucham? — zapytał już mniej zachęcająco dyrektor.

— Giuseppe też ledwo duka po angielsku — oznajmił Wincenty, również z drugiej „b”, a kędzierzawy Włoch pokiwał głową.

— Nie mamy nauczyciela włoskiego w tej szkole. — Stokrotka chusteczką starł pot z czoła. — Język włoski jest podobny do francuskiego i hiszpańskiego. Powiedz Giuseppe, żeby... żeby wyciągnął sobie średnią z tamtych dwóch języków.

— Nie mogę. Nie znam włoskiego.

Widownia coraz lepiej się bawiła. Dyrektor wprost przeciwnie, tym bardziej że uniosła się kolejna dłoń.

— Co jeszcze? — zapytał z niecierpliwością.

— Ja trochę znam rumuński — oświadczyła Eryka Surowiec. — Gdyby to się mogło przydać, to chętnie pomogę.

— To bardzo miło z twojej strony, ale wśród gości nie mamy żadnego Rumuna. — Westchnął i głośno wypuścił powietrze. Niestety, zrobił to, trzymając przy ustach mikrofon, salę wypełnił więc huk wodospadu. — Zaczynamy wreszcie — zadecydował. — Pani Zuziu. Może pani przetłumaczyć wszystkim, co opowiedziała o sobie Marie?

Zuzanna Zdrój wzięła w dłonie mikrofon, otworzyła usta i od razu je zamknęła.

— Marie powiedziała, że... — zawiesiła się. — Boże, nie pamiętam, co powiedziała.

— Cisza! — Dyrektor skarcił rozbawione ostatnie rzędy. — Słuchajcie, to jest bardzo interesujące.

Nauczycielka zamieniła kilka słów z Marie, po czym przetłumaczyła:

— Marie przyjechała do nas z Lyonu i bardzo jej się podoba w Polsce.

— Tylko tyle powiedziała? — zapytał dyrektor, na szczęście nie do mikrofonu.

— Język francuski ma bardziej rozbuchaną formę — wyjaśniła nauczycielka, niestety do mikrofonu. — Jest lekki, szybuje, kręci piruety, miast pełzać.

— Hm, dobrze. — Dyrektor czym prędzej przekazał mikrofon anglicyście. — Christino... przetłumacz, proszę.

— To, co powiedziała Marie? OK... — Christina skinęła głową i powtórzyła po angielsku, że Marie przyjechała z Lyonu i bardzo jej się podoba w Polsce.

Stokrotka przekazał mikrofon panu Sapieżyńskiemu, nauczycielowi hiszpańskiego.

— Nie możemy dyskryminować tych z nas, którzy nie mówią po angielsku — wyjaśnił.

— Poważnie? — upewnił się nauczyciel, a gdy dyrektor skinął głową, powtórzył po hiszpańsku to samo zdanie.

Jesus, który do tej pory stał nieruchomo, odezwał się po hiszpańsku.

— Jesus mówi, że trochę zna włoski — powiedział nauczyciel. — Może tłumaczyć dla Giuseppe.

— Bardzo dobrze, doskonale — ucieszył się dyrektor. — W ten sposób absolutnie nikt nie będzie dyskryminowany.

Pan Sapieżyński powiedział coś do Jesusa po hiszpańsku, a Jesus wolno wypowiedział włoskie zdanie. Giuseppe uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową, że rozumie i że się cieszy.

Net zerknął na zegarek. Minęło piętnaście minut, a nadal nie wydarzyło się nic konkretnego.

Jako następny płynną angielszczyznę wypowiedział się Szwed. Pod czujnym okiem dyrektora Christina przetłumaczyła to na polski, co nie było konieczne, bo angielskiego uczyli się przecież wszyscy, Zuzanna Zdrój – na francuski, a pan Sapierzyński na hiszpański. Na koniec jeszcze Jesus przetłumaczył to na włoski dla Giuseppe, który z grzeczności udawał, że go to interesuje. Według tego samego schematu opowiadali o sobie kolejni goście. Przy czwartej lub piątej osobie publiczność z uprzejmego milczenia przeszła do mniej uprzejmego szeptania między sobą lub w ogóle niegrzecznego przysypiania. Po półgodzinie, gdy wypowiedziała się połowa gości, publiczność straciła wszelkie zainteresowanie tym, co się działo na środku sali. Gdy rozległ się stłumiony zamkniętymi drzwiami dzwonek, drzemiący obudzili się, znużeni ożywili, a wszyscy przygotowali do wstania i wyjścia na przerwę. Dyrektor nie miał jednak najmniejszego zamiaru

przerywać apelu. Zostało jeszcze do odpytania pięcioro gości, a każda prezentacja przeciągała się przez tłumaczenie każdej wypowiedzi na wszystkie języki. Właściwie nikt tego nie słuchał, a – co gorsza – opowiadający mieli tego świadomość. Gdy zabrzmiał kolejny dzwonek, ten kończący przerwę, zrobiło się nieco nerwowo, na drugiej lekcji miały się bowiem rozpocząć kolejne testy na koniec roku.

Atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa. Goście starali się zmieścić w kilku zdaniach, co jednak niewiele pomagało, bo i tak te zdania były tłumaczone na trzy języki. Gdy przyszła kolej Williama, ten powiedział tylko „*Hi, I'm William from UK*”. Gdy to samo powtórzył stojący na końcu Angus, wydawało się, że apel dobiegł końca. Dyrektor przejął mikrofon, podziękował gościom i poprosił ich, by wrócili na swoje miejsca.

Net nachylił się do Williama i Angusa i szepnął:

— Teraz już wiecie, dlaczego mieliśmy zabory.

— Zabory? — zapytał Angus.

— Aaa... organizowaliśmy takie apele, a w tym czasie sąsiedzi podzielili między siebie naszą ziemię. — Spojrzał na zegarek. — Pięć minut po dzwonku.

— Macie test z informatyki — przypomniał sobie Angus. — Ale ty chyba jesteś w tym dobry.

— Tym gorzej dla mnie. Nauczyciel jest zazdrosny.

— Dobra, zbierajmy się — zdecydował Felix. — Zaraz będzie korek na schodach.

Wszystkich osadził w miejscu dyrektor, który entuzjastycznym tonem oznajmił:

— No to pierwszy punkt programu mamy za sobą. Teraz nastąpi część artystyczna, a po niej przedstawimy gościom historię naszej szkoły.

— Też w czterech językach? — zapytał z końca sali ktoś, kto nie zamierzał się ujawnić.

Dyrektor zaczął się zastanawiać nad odpowiedzią. Zwolnili go z niej koledzy owego ktosia.

— Zamknij się!

— Kretyn!

— Hm... dobrze. — Dyrektor z trudem przywołał na twarz uśmiech. — Zapraszamy na scenę Violę, która wykona dla nas balladową interpretację hymnu naszej szkoły oraz kilka innych przykładów poezji śpiewanej. No, ale niech to na razie będzie niespodzianką.

Dziewczyna wstała z uśmiechem i entuzjastycznie sprężystym krokiem ruszyła w stronę mikrofonu. W zupełnej ciszy, odprowadzana nienawistnymi spojrzeniami, przeszła przez salę. Z każdym krokiem uśmiech zniknął z jej twarzy, a ruchy traciły pewność. Gdy stanęła wreszcie przed mikrofonem, wyglądała, jakby była tam za karę. Jerzy Wierszewski, czyli Eftep, przeniósł się do stolika, na którym stał jego laptop podłączony do wzmacniacza. Dał uczennicy znak i puścił muzykę. Smętne dźwięki harfy, lutni czy może klawikordu mieszały się z trzaskami zużytych kabli głośnikowych. Dziewczyna odchrząknęła, czekając na odpowiedni moment, by zacząć śpiewać. Ponad setka wbitych w nią spojrzeń, zdecydowanie nieprzychylnych, nie ułatwiała jej zadania. Wreszcie otworzyła usta:

— Przepraszam, ale boli mnie brzuch.

Ukloniła się i przemknęła na swoje miejsce. Ktoś klasnął, co zapoczątkowało reakcje łańcuchową w postaci kilkunastosekundowej owacji. To nieco poprawiło humor Violi. Nika odwróciła się, a jej spojrzenie zamiast na Violę, padło na Zosię, która smutno przygarbiona siedziała za Gilbertem. Chłopak nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Zamiast tego nie odrywał wzroku od Michael.

Kiedy oklaski już ucichły, przez chwilę nic się nie działo. Wreszcie Eftep ze złością wyłączył muzykę, a dyrektor podszedł do mikrofonu.

— Z przyczyn... ekhem... technicznych obejrzymy teraz prezentację na temat historii naszej szkoły. Jurku?

Eftep znów skinął głową. Z trzaskiem rozległa się inna muzyka, a rzutnik umieszczony na stoliku obok nauczycieli włączył się i wyświetlił na ścianie... coś. Nie sposób było określić, co to jest, gdyż rzutnik nie dorównywał jasnością światłu słonecznemu wpadającemu przez okna. Monotonny głos zaczął czytać historię imiennika szkoły, profesora Stefana Kuszmińskiego, która sama w sobie była nawet interesująca, ale na pewno nie podana w ten sposób.

— Ktoś się nie przyłożył do czytania — szepnęła Nika.

— To syntezytor mowy — ocenił Net. — Zaraz...

Nika spojrzała z niepokojem na przyjaciela. Znała dobrze ten uśmiech, który właśnie pojawił się na jego twarzy. Oznaczał kłopoty. Ściślej mówiąc, oznaczał, że Net planuje zrobić coś niecałkiem dozwolonego, a kłopoty miały się pojawić wkrótce potem.

— Co ty planujesz? — zapytała ostrożnie.

— Zobaczysz. — Net dyskretnie wyciągnął laptop i z niewinną miną uruchomił go.

— Chcesz się władować w kłopoty tuż przed końcem roku?

— Syntezator mowy czyta tekst zapisany w pliku tekstowym na komputerze Eftepa — wyjaśnił, cicho klawiszując. — A ja znam hasło zdalnego dostępu do tego komputera. Cokolwiek wpiszę, syntezator to przeczyta.

Nika zamknęła oczy i pokręciła głową.

— Za chwilę idziemy na test z informatyki — powiedziała. — On się wkurzy.

— O właśnie, to przy okazji ściągnę zestaw pytań testowych.

— Nie możesz sobie dziś po prostu odpuścić?

— Ona ma rację — odezwał się Felix. — Robienie tego tuż przed testem to zły pomysł.

— Za późno... Słuchajcie.

Z głośników dobiegło wypowiedziane tym samym monotonnym głosem:

— ... pod koniec lat trzydziestych profesor Kuszmiński zdobył złoty token prestiżu na osiemdziesiątym pierwszym levelu uzdrowiska w Konstancinie...

Nika rozejrzała się dyskretnie. Wyglądało na to, że nikt, zupełnie nikt, włączając w to grono pedagogiczne, nie zauważył zmiany. Nauczyciele coraz częściej zerkali za to na zegarki.

— No i sami powiedzcie — zaczął szeptem Net, wciąż klikając — czy siedzenie tu nie jest bezsensownym marnowaniem czasu?

— Jest, ale już przestań — poprosiła Nika.

— Czekaj, mam lepsze.

— ... odebrał z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego komplet rewolucyjnych noży ceramicznych do sushi oraz trzyrzędowy siekacz do mięsa za jedyne sześćdziesiąt dziewięć dziesięć...

Felix i Nika z trudem zdusili śmiech. Jeżeli ktoś jeszcze zwrócił uwagę na dziwny fragment, to również zachował się cicho. Nauczyciele siedzieli jak na kazaniu, ale najwyraźniej myślami byli zupełnie gdzie indziej. Jedyne profesor Butler nie przejmował się konwenansami i rozwiązywał krzyżówkę.

— Właśnie — mruknął nieco zbyt głośno. — Mościcki. — Po czym wpisał hasło w odpowiednie miejsce.

Chemiczka spojrzała na niego z oburzeniem, co oczywiście zignorował. Net przejrzał dalszy ciąg pliku.

— Wiecie, że to dopiero pierwsza część prezentacji? — powiedział poważniejszym tonem. — Druga ma być o życiu prywatnym Kuzmińskiego, a trzecia o samej szkole. Nie jesteśmy nawet w połowie. Trochę go... skrócę. Tu jest napisane, że poznał żonę w szkole. Hm... Przerobię, że poznał ją w przedszkolu, to przeskoczmy kilka ładnych lat. — Spojrzał na Nikę. — No co? Przecież i tak nikt tego nie słucha. Jeszcze bardziej skrócę... więc skończył podstawówkę z tytułem profesorskim i urodziła mu się piętnastoletnia córka. Zrobione.

Net klikał jednak dalej. Pufnął z niezadowoleniem i pisał coraz szybciej.

— Co tam znowu piszesz? — zapytała z rezygnacją Nika.

— Odpowiadam na maila do takiego głupka, co mu sprzedaję bulbulator. Chce się targować, gnom jeden. Napisałem, że cena nie podlega negocjacji, a on jeszcze mnie obraża. Tak nie będziemy rozmawiać. Oj... — jęknął nagle Net i uniósł dłonie znad klawiatury. — Nie w to okienko wkleiłem.

— ... *podczas słynnej przemowy profesora Kuzmińskiego w parlamencie padły mocne słowa, będące odpowiedzią na żądania terytorialne Hitlera wobec Polski: „Kulaj beret, pampersie. Masz do mnie chore sapy, to całuj psa w kota i spirulalaj świńskim truchtem”...*

Net spojrzał z przerażeniem na Nikę, Nika na niego. Chłopak dyskretnym ruchem zamknął laptop i wsunął go do plecaka. Ktoś z tyłu parsknął śmiechem, kilkoro uczniów zachichotało. A jednak żaden z nauczycieli nie poruszył się.

Przez resztę apelu Net siedział blady i przygarbiony. Już nie próbował wyjmować komputera. Na koniec dodał tylko cicho:

— To się zdziwi koło, jak dostanie mailem odpowiedź na żądania terytorialne Hitlera wobec Polski.

* * *

Do sali informatycznej dotarli kwadrans po rozpoczęciu lekcji. Usiedli na swoich miejscach przy złączonych w podłużną wyspę stołach i włączyli komputery. Nieprzytulne wnętrze wypełniło się szumem starych wentylatorów. Zagranicznych gości nie było.

— Myślałem, że zagranicznicy będą siedzieli tu z nami, w ławkach ustawionych gdzieś w kącie — odezwał się Net.

— Może nie doceniamy zdolności organizacyjnych Stokrotki — odparła Nika.

— Zaprosił gości na tydzień, kiedy mamy egzaminy — zauważył Felix.
— To nie świadczy o wybitnych zdolnościach organizacyjnych.

— Może zwiedzają miasto.

— A jeśli Stokrotka wysłał ich z Cedynią do Muzeum Gazownictwa?
— zapytał Net. — To chyba najtańsze muzeum w Warszawie.

Eftep usiadł przy biurku, ciut wyższym od pozostałych stołów, i otworzył swój laptop.

— Zgodnie z zapowiedziami dziś rozwiążecie test podsumowujący — powiedział. — Żeby nie tracić cennego czasu, zaczniemy od razu. Macie kwadrans.

— Miało być pół godziny — przypomniał Net.

— Egzamin był zapowiedziany na pierwsze trzydzieści minut drugiej lekcji.

— Przecież apel się przeciągnął.

— Takie tłumaczenie nie pomoże — odparł Eftep.

— Zostało pół godziny lekcji — zauważył Felix. — Wystarczy –

— Test był zaplanowany na p i e r w s z e pół godziny. Nie było was tutaj na czas, został wam więc kwadrans.

— Pana też nie było — odezwał się Net. — Sala była zamknięta na klucz.

— Net... — szepnęła Nika.

Nauczyciel nacisnął stoper w zegarku.

— Dalsza dyskusja skraca tylko czas — powiedział. — Uruchomcie aplikację „test”, którą każdy z was ma teraz na środku ekranu.

Wszyscy uruchomili test i zaczęli go rozwiązywać. Pytania w rodzaju „Do jakiego portu wkładamy pendrive’a?” wraz z czterema możliwymi odpowiedziami sprawiały kłopoty tylko nielicznym. Tym bardziej że jedną z odpowiedzi był „Port Gdyński”. Prawdziwym problemem była liczba pytań – pięćdziesiąt. To oznaczało, że na każdą odpowiedź jest mniej niż dwadzieścia sekund.

— Mieli mi — poskarżył się w pewnym momencie Oskar.

Eftep uniósł wzrok znad swojego laptopa.

— Masz na myśli zbyt intensywne wykorzystanie dysku twardego przez system operacyjny?

— Tak... chyba tak. Po każdej odpowiedzi komputer kręci dyskiem kilka sekund, zanim wyświetli następne pytanie.

— Uruchom defragmentację dysku.

— Co mam uruchomić? — Oskar spojrział na klawiaturę, jakby spodziewał się znaleźć tam klawisz z napisem „defragmentacja dysku”.

— Przerabialiśmy to na zajęciach w pierwszym semestrze pierwszej klasy.

— Aha... — mruknął bez przekonania Oskar i zajął się przeszukiwaniem menu.

— Masz to w akcesoriach, narzędziach administracyjnych — podsunął siedzący obok Wiktor.

Eftep syknął ostrzegawczo. Oskar skinął głową i znalazł. Przez następną minutę salę wypełniał tylko szum wentylatorów i klikanie myszek. Pytania nie były trudne.

— Teraz mieli jeszcze dłużej — odezwał się Oskar. — Czy mógłby pan zerknąć?

— Trwa test — odparł Eftep. — Serwisowanie komputerów jest zaplanowane na piątek.

— Ta defragmentacja będzie trwała godzinę — stwierdził Net, klikając odpowiedzi niemal bez czytania. Były oczywiste. — Zwiększ ilość pamięci wirtualnej, to się przestanie mulić.

— Dość tego! — Eftep spojrział groźnie znad laptopa. — Net Bielecki, wyjdź z sali.

— Zostały mi jeszcze trzy odpowiedzi. — Net sięgnął do myszki, ale w tym momencie jego ekran zgasł.

— Wyjdź — powiedział Eftep. — Zakończyłeś już test.

Net zacisnął usta, wziął plecak i wyszedł. Felix i Nika odprowadzili go smutnym wzrokiem.

— Nic nie zrobimy — szepnął Felix. — Kończ test.

Cała klasa w minorowych nastrojach klikała dalej. Kiedy minęło zaplanowane piętnaście minut, Eftep zatrzymał stoper i nieco przesadnym gestem kliknął klawisz na swojej klawiaturze. Ekran komputerów zgasł, czemu towarzyszyło kilka westchnień zawodu. Nie wszyscy zdążyli odpowiedzieć na ostatnie pytania.

— Jedenastu punktów nie mam — stwierdził Oscar. Jego komputer miał dyskietki dobre piętnaście sekund, nim ekran również zgasł.

— Ledwo, ale zdążyłam. — Nika spojrzała na Felixa. — A ty? Felix skinął głową.

— Ledwo ledwo.

— Wiem, że ten test był dla was sporym stresem — powiedział z uśmiechem Eftep. — Dlatego teraz możecie pograć albo posurfować po internecie. Do końca lekcji macie czas wolny.

* * *

Kilka minut po zakończeniu apelu ostatni uczniowie wyszli z sali gimnastycznej, niosąc krzesła, na których wcześniej siedzieli. Wyszli też nauczyciele, zabierając rzutnik i mikrofony. W powietrzu unosił się kurz, a przez stare drewniane okna dobiegały dźwięki z ulicy.

— Chyba o nas zapomnieli — odezwał się William.

Pozostali goście pokiwali głowami. Stali sami na środku sali gimnastycznej i nie wyglądało na to, by ktoś miał zamiar się nimi zająć.

— Nie będziemy tak stać. — Angus ruszył w stronę drzwi. — Chodźcie na dół.

Cała grupa zeszła piętro niżej i zatrzymała się przy pierwszych drzwiach. Dobiegały zza nich odgłosy kroków, jakby ktoś podskakiwał. William zapukał i otworzył drzwi. Wszyscy zamarli. Na środku sali tańczyła szczupła kobieta ubrana w zwiewne ni to sukienki, ni koszule, nałożone jedno na drugie.

— Przepraszamy... — zaczął William.

Kobieta nie słyszała. Na uszach miała wielkie słuchawki. W jednej dłoni trzymała paletę z rozmazanymi farbami, w drugiej zaś pędzel. W przerwach między figurami baletowymi chlapała farbą na porozkładane wokoło arkusze papieru. Pokrywały je już różnokolorowe chłapy.

— Przepraszamy — powtórzył głośniejszym głosem William i zamachał ręką, by zwrócić na siebie uwagę.

— Nie teraz, kochani — powiedziała malarka, nie zatrzymując się. — Taniec, muzyka, barwy... krążą i zaplatają się kwiecicie. Nie płoszczcie ich, bo umkną bezpowrotnie nieuchwycone w momencie trwania. Ta konstelacja istnieje ledwie chwilę.

I chlapała dalej. To była ta sama kobieta, która tłumaczyła na francuski podczas apelu. William westchnął i wycofał się na korytarz. Ruszyli dalej. Anglik pukał do kolejnych drzwi i po chwili naciskał klamkę. Wszystkie były jednak zamknięte na klucz. Gdy któreś kolejne okazały się otwarte, aż się zdziwił.

— Już myślałem, że nikogo nie ma w całej szkole — odezwał się Angus.

— Nikogo normalnego — poprawił go William.

Weszli do sali pogrążonej w półmroku, okna przesłaniały tu drewniane żaluzje. Całą ścianę od strony korytarza zajmował wielki regał z szafeczkami, klatkami, akwariami i terrariami. Niektóre z nich były podświetlone halogenami, inne pozostawały ciemne. Jesus zajrzał za najbliższą szybkę. Siedział tam włochaty pająk i przy małej lampce, takiej z domku dla lalek, czytał małą książeczkę. Spojrzał na człowieka i machnął jednym odnóżem, by mu nie przeszkadzać.

— Co to za paskudztwa? — skrzywił się Jesus. Przy okazji okazało się, że całkiem nieźle mówi po angielsku.

— To wygląda na pracownię szalonego naukowca — odpowiedział płynnym angielskim Giuseppe.

Większa część regału była zamieszkała przez pająki, węże, mrówki, ślimaki, robaki i inne trudne do rozpoznania stworzenia. Zresztą goście wcale nie wyglądali, jakby zamierzali cokolwiek rozpoznawać. Nie mieli nawet ochoty przyglądać się bliżej doniczkom z małymi kwiatkami, które kołysały się wolno w rytm melodii słyszanej tylko przez nie. Na przyzmi ziemi pod szklanym kloszem rosły czterolistne koniczyny. Co kilka sekund któraś z nich machała listkami, jakby chciała się zamienić w małego zielonego motylka. Obok spał kameleon. Na jego zielonym boku zółcił się napis „stand by”.

Francuzki cofały się krok za krokiem w stronę stojącej przy oknie wysokiej rośliny.

— Nie podoba nam się tu — powiedziała Marie.

— Lepiej stąd wyjdźmy — poparła ją Audrey.

— To wy mówicie po angielsku? — zapytał Angus.

— Tylko kiedy się boimy.

Giuseppe i Jesus spojrzeli na siebie.

— My tylko udajemy, że nie mówimy — powiedział Włoch.

— Żeby było śmieszniej — dodał Hiszpan.

Francuzki oparły się o roślinę.

A roślina się poruszyła. Czerwony kwiat na jej szczycie uśmiechnął się szeroko, ukazując pakiet ostrych zębów. Rozłożyła liście, by pokazać, że nie ma złych zamiarów. Gest ten pozostał jednak niezrozumiały. Pierwsze zaczęły krzyczeć Francuzki, a chwilę po nich wszyscy. Cała grupa rzuciła się do drzwi akurat w chwili, gdy z zaplecza wyłonił się zaspany mężczyzna w białym (niegdyś) fartuchu i okularach w grubych oprawkach.

— Niech pan ucieka! — krzyknął do niego Angus.

Trzasnęły drzwi i profesor Butler został w sali sam. Nie licząc rosiczki. Ziewnął, spojrzął na roślinę i powiedział:

— Nie uwierzysz, śniła mi się wrzeszcząca grupa obcokrajowców.

Goście przestali biec dopiero za załomem korytarza.

— Co to było za miejsce? — zapytał Giuseppe.

— Nie mam pojęcia — odparł Jesus. — Ale nigdzie już nie zaglądamy. To bardzo dziwna szkoła.

Stali na środku korytarza. Skądś dobiegał głos nauczyciela prowadzącego lekcję. Nie zamierzali już otwierać przypadkowych drzwi.

— E-mailem dostaliśmy informacje — przypomniała sobie Michael. — Tam było wszystko napisane. Z kim mamy się kontaktować w razie problemów.

Wyjęła smartfon, żeby sprawdzić pocztę. To samo zrobiło kilkoro innych.

— Łapiecie jakąś sieć? — Niemka zapytała stojących najbliżej Francuzek.

Te spojrzały na nią szeroko otwartymi oczami.

— Już się pewnie nie boją — wyjaśnił Jesus. — Przestały rozumieć po angielsku.

— Tu nie ma Wi-Fi — zdziwił się Angus. — Jak w szkole może nie być sieci?

— Za roaming zapłacimy majątek — ocenił William. — Chodźmy do biblioteki. Widziałem strzałkę, jak tam dojść. Sprawdzimy pocztę na szkolnych komputerach.

Zeszli na parter i kierując się drogowskazami, dotarli do starych drzwi znajdujących się na końcu korytarza.

Tym razem również nikt nie odpowiedział na pukanie. William nacisnął więc klamkę i wszedł do środka, a za nim wsunęła się reszta. Wysokie regały pełne książek tłumiły dźwięki, a cały sufit był wyłożony miękkimi

plytami. W tej ciszy dało się słyszeć nawet trzeszczenie podeszew. Dopiero po chwili zorientowali się, że ktoś tu jest. Starsza kobieta w wielkich okularach ledwo wystawała zza drewnianej lady obstawionej szufladkami indeksów tematycznych, przegródkami z rewersami, stojaczkami z zakładkami, stosikami fachowych magazynów i gazet codziennych sprzed kilku lat. Błat otaczał tę twierdzą ze wszystkich stron i na pierwszy rzut oka nie było stamtąd wyjścia.

— Dziń dybry — zaczął po polsku William, kłaniając się. Niestety niczego więcej nie potrafił powiedzieć w tym języku, kontynuował więc po angielsku — jesteśmy gośćmi z wymiany międzyszkolnej. Trochę się zgubiliśmy i chcieliśmy się zapytać, czy możemy skorzystać ze szkolnych komputerów.

Bibliotekarka jak zakłeta patrzyła na dwudziestoosobowy tłumek.

— *Computers* — powiedział powoli William. — *We are looking for computers.*

— Kompiuters? Kompiutery! — skojarzyła sobie. Przesunęła stosik „Młodego Technika” sprzed dziesięciu lat, obróciła stojaczek z miniaturowymi wydaniem poezji, odstawiła szklanekę z wystygłą herbatą, zrolowała podkładkę do pisania, uniosła fragment blatu, otworzyła ukryte pod nim drzwiczki i wyszła ze swojej twierdzy.

— Kompiutery? — upewniła się.

Wszyscy gorliwie przytaknęli.

— Kompiutery... kompiutery. — Przysunęła do siebie wózek biblioteczarski i wolno zaczęła do niego wkładać leżące na blacie książki. Trwało to i trwało.

— Chyba chodzi o to, żeby nie było kursu na pusto — powiedział cicho Angus.

Wreszcie kobieta pchnęła wózek i ruszyła przejściem między regałami. Biblioteka była podłużną salą z rzędami regałów poustawianych prostopadłe do ścian, a jedyne przejście prowadziło środkiem. Przy każdym regale bibliotekarka zatrzymywała się, sprawdzała tytuły książek w wózku i odstawiała odpowiednie na konkretne miejsca. Wszyscy szli kilka kroków za nią, po czym następował postój, i znów trzy kroki. Dość irytujące, ale nawet nie było specjalnie jak jej wyprzedzić. Sala komputerowa pewnie musiała się znajdować na samym końcu.

Goście patrzyli na zegarki. William wysunął nawet rękę, jakby chciał popchnąć kobietę. Może by nie zauważyła, gdyby ją przesunąć o dwa

regaly? Nie zrobił tego oczywiście.

Mniej więcej w połowie sali wskazała dłonią w prawo i oznajmiła:

— Kompiutery.

Goście podziękowali i skreścili. Nie znaleźli tam jednak żadnych komputerów ani przejścia do innego pomieszczenia.

— Kompiutery — powtórzyła kobieta, pokazując jedną z półek.

Ponieważ goście byli dobrze wychowani, udali zainteresowanie i sięgnęli po kilka książek. Tytuły nic im nie mówiły, ale przez grzeczność obejrzyli je: *Rewolucja szesnastobitowa*, *Czy dyskietka wyprze taśmę magnetofonową oraz inne rozważania futurologiczne*, *Kolorowe monitory – przyszłość czy sezonowa moda*, *Windows 3.11 dla opornych*. Wszystkie książki wyglądały na stare. Przy ostatnim tytule Williamowi zaczęło świtać, że być może doszło tu do sporego nieporozumienia. Odstawił książkę i wyjrzał spomiędzy regałów. Bibliotekarka wracała z pustym wózkiem do swojej twierdzy. Po cichu przeszedł do końca sali. Nie było tam stołów z komputerami, nie było tam nawet żadnych drzwi. Wrócił do reszty i powiedział:

— Możemy już iść. Tu nie ma żadnego komputera.

— Nie ma komputera? — zdziwiła się Michael. — W bibliotece? Niemożliwe. Popatrzcie na te książki. — Wskazała półki. — Wyglądają na takie sprzed dwudziestu lat, więc to pewnie sala archiwum. Musi być druga sala z nowymi książkami.

— Tam mogą być komputery — poparł ją Jesus.

— Naprawdę wątpię. — William pokręcił głową. — Tu nie ma nawet kalkulatora. Chodźmy stąd.

Uklonili się bibliotekarce i wyszli.

Michalina Małolepsza odprowadziła ich wzrokiem, aż zamknęli za sobą drzwi. Osobliwi ludzie, nie znają polskiego, a przychodzą do biblioteki, gdzie są tylko polskie książki. Jej wzrok padł na piętrzące się za drzwiami paczki z nowymi pozycjami, które przysły w ciągu ostatnich kilku lat. Może warto by je wreszcie rozpakować? Dłuższą chwilę rozważała tę przykrą myśl. Nie, trzeba odrzucić pokusę. Przecież na półkach i tak nie ma miejsca.

Goście zatrzymali się przy schodach i rozejrzeli bezradnie.

— Człowiek! — Giuseppe wskazał sprzątaczkę, która wyłoniła się zza załomu korytarza. Rutynowo przecierała lekko wilgotnym mopem podłogę przy drzwiach wejściowych. Po bliższych oględzinach okazało się, że to nie mop, lecz filcowa szmata nawinięta na szczotkę.

— Portiernia! — poparł go Jesus. — Tam jest portiernia. Cywilizacja!
— Portier musi znać angielski — ucieszyła się Michael. — Inaczej by nie dostał tej pracy.

— Chodźcie — poparł ją Giuseppe. — To mi przypomina, że muszę podciągnąć angielski, żeby móc zostać chociaż portierem.

Przeszli pod kolorowym napisem „Welcome” do hallu, w którym stało kilka skórzanych foteli i kwiaty w wielkich donicach. Schodkami w dół można było dojść do przeszklonych drzwi na patio. Po lewej stronie znajdował się sklepik opatrzony radosnym napisem „Hello! We don't speak English”, po prawej lada portierni. O ladę opierała się sprzątaczką w ortalionowym fartuchu w żółwici albo zajączki – nie było pewności. W dłoni trzymała szmatę zdjętą ze szczotki. Za ladą stał posępny woźny w podobnym fartuchu, tyle że granatowym. Oboje patrzyli na przybyłych, tak jak się patrzy na niebezpieczne zwierzęta egzotyczne w zoo: z jednej strony to są dziwadła, z drugiej czy aby na pewno nie przeskoczą ogrodzenia?

— Przepraszam — odezwał się William. — Szukamy kogoś odpowiedzialnego za ten bałagan.

Mężczyzna złapał kobietę za rękaw.

— Niech pani nic nie mówi — ostrzegł ją po polsku. — Nie wiadomo, czego chcą.

— Ani słowa. — Sprzątaczką zasłoniła usta szmatą.

William westchnął i odwrócił się do sklepiku. Za witryną zastawioną kubeczkami jogurtów, przywiedłymi owocami, chipsami i sporą ilością słodyczy siedział niski mężczyzna z czarnymi wąsami i łysiną łączącą czoło z czubkiem głowy. On również miał na sobie fartuch, tyle że szary. Chłopak nachylił się do zamkniętego okienka i zapytał:

— Przepraszam, czy pan mówi po angielsku?

Mężczyzna czytał gazetę, w której zdjęcia zajmowały całą stronę, a tekstów nie było prawie wcale. Odwrócił niechętnie wzrok i wskazał palcem przylepioną do szyby kartkę z napisem po polsku zrobionym flamastrem.

— *Spedaz tilko ł trakszyn pszerli* — wydukał William. — Nie mam pojęcia, co to znaczy.

— Patrzcie! — Michael wskazała drogowskaz „Infotmation centre”. — Jesteśmy w domu.

Cała grupa z ulgą ruszyła w kierunku wskazywanym przez strzałkę.

— To mogą być dealerzy narkotyków — ocenił pan Brudnica, portier.
— Mówią tak jakoś niewyraźnie.

— Myśli pan, że to charakterologiczne dla nich? — Pani Pumpernikiel opuściła szmatę i wypluła kilka kłaków.

— Widziałem kiedyś holenderski film dokumentalny o narkomanach. Tam też wszyscy mówili tak, że nie szło zrozumieć ni słowa.

Pan Robert odsunął szybkę w sklepiku i położył się na blacie górną połową ciała, by móc rozmawiać przez mały otwór.

— Widzieli państwo, co za maniery? — rzucił. — Przyjechali do Polski, a nie znają polskiego. Ja się nie pcham za granicę, jak nie znam zagranicznego. Kultura jakaś obowiązuje, nie?

— Widać w Holenderii jest insza kultura — odparła sprzątaczką.

Goście zostawili za sobą nieprzychylny personel szkoły i skręcili w kolejny korytarz, którym dotarli do drzwi oznaczonych „Information centre”. William ze zboląłym wyrazem twarzy zapukał. Gdy z wnętrza dobiegło coś po polsku, otworzył drzwi. Urządzony w stylu *vintage* pokój wypełniał zapach lakieru do paznokci. Natapirowana blondyna w fioletowym sweterku opinającym liczne krągłości spojrzała na nich znad klawiatury komputera. Powiedziała coś po polsku, czego oczywiście nie zrozumieli.

— Przepraszamy, ale wynikło chyba jakieś nieporozumienie — odezwał się William. — Zostaliśmy sami i nie bardzo wiemy, co mamy robić.

Kobieta odpowiedziała coś po polsku.

— *We don't speak Polish, madam* — uzupełnił William.

Kobieta patrzyła na tłumek wypełniający pomieszczenie, jakby to były mówiące manekiny, a nie ludzie. Odpowiedziała głośno i bardzo powoli, jakby mówiła do małych dzieci. Wciąż jednak mówiła po polsku.

William odwrócił się, pokręcił głową i dał znak do odwrotu. Wszyscy wyszli. Pani Helenka zaczekała, aż drzwi się zamkną, po czym powróciła do cieniowania paznokci tak, by róż płynnie przechodził w fiolet. Fioletowego lakieru została bowiem tylko końcówka. Trzeba będzie dopisać do listy szkolnych zakupów razem z tuszem do rzęs.

— Wyglądała osobliwie — stwierdził Angus.

— Wyglądała, jakby miała trzy biusty, jeden nad drugim — zgodził się William.

— Nie to miałem na myśli. — Szkot zastanowił się. — Chodzi mi o to, że jej zupełnie nie zależało na tym, by nam pomóc. Tak samo jak tamtym obok portierni.

— Masz rację. Tu żyje jakaś kasta ludzi nieżyczliwych.

— Ale reszta jest spoko — zauważył Jesus.

— Tylko że od półgodziny nie możemy trafić na żadnego przedstawiciela tej reszty — zauważył Angus.

Doszli do załomu korytarza, zza którego wyszedł wprost na nich Net. Zatrzymali się gwałtownie, niemal na siebie wpadając.

— Wróciliście z wycieczki? — zdziwił się Net.

— Można to tak nazwać — pokiwał głową Angus.

— A można też tułaczką — uzupełnił William. — Mamy takie delikatne wrażenie, że wszyscy nas olali.

— Zaraz, zaraz... — Net podrapał się po głowie. — Ja myślałem, że macie tu jakiegoś opiekuna.

— My też tak myśleliśmy — przyznała Michael.

— Tylko ten opiekun myśli inaczej — dodał William.

Net pokiwał głową.

— Istnieje więc jasna strona ciemnej strony tego, że wypadłem z testu.

* * *

Dyrektor wpadł do pokoju nauczycielskiego jak burza gradowa.

— Jak to możliwe, że zagraniczni goście podczas pierwszego dnia wizyty w naszej szkole zostają bez opieki?

Wszyscy zamarli i zapatrzyli się na niego. Pierwszy poruszył się pan Borkowski, wuefista.

— Zapytaj dyrektora — poradził.

Stokrotka sapnął.

— Zorganizowałem wszystko w zeszłym tygodniu. Mieliście się kolejno zająć nimi, opowiedzieć o szkole... coś więcej, niż było na prezentacji, pokazać ciekawe miejsca w pobliżu. Zaplanowana jest wycieczka. Wiesiu — spojrzał na panią Czartoryską — ty miałaś się nimi zająć na poprzedniej godzinie.

— Nikt mi nie powiedział, że mam się nimi zająć — odparła spokojnie chemiczka. — Pierwsze słyszę, Juliuszu.

— Ja też nic o tym nie wiem — poparła ją geograficzka.

— Mówiłeś nam o tym? — zapytał Antoni Czwartek. — Jest mało prawdopodobne, żebyśmy wszyscy o tym zapomnieli.

Dyrektor popatrzył po pozostałych i minęły długie dwie sekundy, nim zorientował się, że wpatruje się w nich z głupim wyrazem twarzy człowieka, który nie wie, co się dzieje. Dwie sekundy słabości! To nie może się

powtórzyć. Przywódca musi być przywódcą. Stokrotka zebrał się w sobie, wyprężył plecy i zmarszczył władczo brwi.

— Sprawdzę, gdzie nastąpił błąd w komunikacji wewnętrznej — oświadczył. — Na następnej lekcji twoja kolej, Konstancjo.

— Na następnej lekcji mam lekcję z drugą „a” — odparła geograficzka. — Nie sądzisz chyba, że można jednocześnie prowadzić lekcję i zajmować się międzynarodową bandą rozmawiającą w kilku językach. Mam jeszcze dwie rubryki na jedyn... na oceny. Muszę je jakoś zapełnić.

— Masz na miejscu przedstawicieli kilku państw — zauważył fizyk. — Czy można sobie wyobrazić lepszą lekcję geografii? Niech opowiedzą o swoich krajach. To doskonale pobudza aktywność uczniów na lekcji.

— Aktywność na lekcji oznacza przeszkadzanie nauczycielowi.

Dyrektor wypuścił głośno powietrze.

— Jako doświadczony pedagog jakoś sobie poradzisz.

Nim geograficzka odpowiedziała, wyszedł krokiem kogoś, kto doskonale wie, gdzie idzie i po co. Szedł do sekretariatu, by zapytać Helenkę, czemu nie wysłała e-maili do nauczycieli z informacją, kto i kiedy ma się zajmować gośćmi. Odpowiedź mogła być tylko jedna, bo przecież, skoro e-maile nie dotarły, to znaczy, że nie zostały wysłane.

Pół minuty później stał już przed drzwiami sekretariatu i z ręką na klamce zastanawiał się, jak zadać pytanie, by zabrzmiało stanowczo, lecz nie niegrzecznie. Zrobił trzy głębokie wdechy, rozluźnił mięśnie i dopiero wtedy nacisnął klamkę. Wszedł do wnętrza wypełnionego zapachem zmywacza do paznokci i starając się doskonale ukryć rozdrażnienie, spojrzał na sekretarkę.

— Helenko, czy wysłałaś do nauczycieli e-maile z informacją, że mają się zająć naszymi zagranicznymi gośćmi?

— Imejle? — zapytała szczerze zdziwiona sekretarka.

— Listy elektroniczne — poprawił się dyrektor.

— Tak, oczywiście. Wysłałam je do wszystkich w czwartek. Zaraz po tym, jak przekazał mi pan harmonogram.

— Na jakie adresy wysłałaś te listy... — przed ostatnim słowem przełknął z trudem — kochanieńka?

Dyrektor sam osobiście wpisał adresy e-mailowe nauczycieli do komputera sekretarki, żeby uniknąć jakiegokolwiek pomyłki.

— Na adres szkoły oczywiście — odparła Helenka. — Nie mogę wysyłać korespondencji służbowej na prywatne adresy nauczycieli. A zaraz,

chyba nawet dzisiaj przysły. — Przejrzała mały stosik nieotwartych kopert. — O tak. Są wszystkie. Zaraz zaniosę je do pokoju nauczycielskiego i włożę do odpowiednich przegródek.

Dyrektor patrzył na pakiet kopert w pulchnej dłoni zakończonej fioletowo-różowymi paznokciami i dopiero po chwili zrozumiał, na co patrzy.

— Ja to zrobię. — Powstrzymał się, by nie wyrwać jej kopert z rąk i nie podrzeć ich na maleńkie kawałeczki. Wziął je przesadnie delikatnie. — Ty masz tu na pewno ważniejsze sprawy... kochanieńka.

— Dziękuję, panie dyrektorze — odparła Helenka i wyjęła z szuflady tusz do rzęs.

Stokrotka wyszedł, zamknął za sobą drzwi i położył koperty na parapacie. Pierwsza z wierzchu była zaadresowana do Jerzego Wierszewskiego, przy czym adresy nadawcy i odbiorcy były zwykłym, pocztowym adresem szkoły. Znaczkę na kopercie opatrzone stemplem z czwartku. Dziś był poniedziałek. Dyrektorem wstrząsnął nerwowy dreszcz. Chwilę zastanawiał się nad tajemnicą korespondencji, ale uznał, że nie ma ona tu zastosowania, skoro on sam jest autorem tego listu. Rozerwał kopertę i wyjął złożoną na trzy kartkę. Był to e-mail, który sekretarka wydrukowała i włożyła do koperty, zamiast nacisnąć „wyślij” w programie pocztowym. Co więcej, poszła na pocztę i nadała ten list do samej siebie.

Obejrzał się na drzwi, za którymi Helenka malowała już paznokcie na drugi albo i trzeci tego dnia kolor. Z tym coś trzeba będzie zrobić i to coś radykalnego, bo dalej sytuacja nie może tak wyglądać. Może nawet trzeba będzie się zachować stanowczo i ograniczyć jej możliwość malowania paznokci do jednego razu dziennie. Do przemyślenia.

Wyjął wszystkie listy z kopert. Koperty wyrzucił do kosza, a listy włożył do kieszeni. Jak wytłumaczy, skąd się wzięło to opóźnienie? A jeszcze trudniej będzie to wszystko odkręcić. To zadanie godne prawdziwego przywódcy.

* * *

Konstancja Konstantynopolska odczytywała kolejne nazwiska z listy obecności i przez zwężone w szparki powieki sprawdzała, czy ten, kto powiedział „obecny”, jest obecny naprawdę. Każdy, na kogo padł wzrok geograficzki, robił się ciut niższy. Sześćdziesięcioletnia chuda, zasuszona wręcz kobieta siedziała nieruchomo za swoim biurkiem i metodycznie

odznaczała kolejne pozycje. Netowi jej głowa nieodmiennie kojarzyła się z wieżyczką optoelektroniczną robota bojowego. Na okularach z pewnością miała wyrysowane krzyżyki celownicze, a po obu stronach oprawek bujały się łańcuszki-kable transmisji danych. Okrągłe czarne kolczyki były sensorami podczerwieni, trwała ondulacja na głowie służyła rozpraszaniu fal radarowych przeciwnika, a sweter w kolorze *écru* nie był niczym innym jak lekkim pancerzem aktywnym. Brakowało tylko dwóch działek szybkostrzelnych na ramionach, ale te skutecznie zastępowała broń psychologiczna, czyli zestaw długopis i dziennik.

Piątka zagranicznych gości siedziała na dostawionych krzesłach pod ścianą pokrytą w całości fototapetą przedstawiającą tropikalną plażę. W przeciwieństwie do Polaków, nie byli szczególnie spięci. Raczej zaciekawieni. Nauczycielka po odczytaniu listy zamilkła na chwilę, co się zwykle nie zdarzało.

— Wykorzystamy okazję, że towarzyszą nam dziś zagraniczni goście.
— Zerknęła na kartkę z dodatkową listą. — Opowiedzą nam o swoich krajach, co będzie doskonałą okazją do pobudzenia waszej aktywności. Będzie wolno zadawać pytania. Mam nadzieję, że ta lekcja będzie ciekawa.
— Wyraz twarzy nauczycielki i zaciśnięte usta, których prawie nie otwierała podczas mówienia, doskonale zaprzeczały jej słowom. — Jaki kraj najbardziej was interesuje? — Nie czekając na propozycje, sama odpowiedziała — zaczniemy od Wielkiej Brytanii. Angusie, zapraszam.

— Podejdź do tablicy — podpowiedział po angielsku Net.

— Dziękuję, Bielecki, poradzę sobie — odparła również po angielsku, po czym zwróciła się do Angusa — podejdź do tablicy, proszę, i opowiedz nam o swoim kraju.

Szkot podszedł do tablicy i narysował kredą mocno przybliżony kształt Wysp Brytyjskich.

— Zjednoczone Królestwo składa się z czterech części. — Narysował przerywane linie w miejscu granic. — Z Anglii, Walii, Irlandii Północnej, no i oczywiście ze Szkocji, która jest najfajniejsza.

— Padają tam najfajniejsze deszcze — wtrącił William.

Nauczycielka spojrzała na niego groźnie. Niestety jej najpotężniejsza broń (dziennik i długopis) nie działała na gości. Mogła więc tylko zapytać retorycznie:

— Wolisz sam opowiadać?

William nie zrozumiał retoryczności pytania, przytaknął więc, wstał i podszedł do tablicy.

— Tam naprawdę ciągle leje — wyjaśnił i dorysował nad Szkocją chmurkę z deszczem z kreseczek.

— Nie ciągle, lecz często. — Angus uzupełnił chmurkę o wyłaniające się zza niej słońce. — Dlatego jest tam tak ładnie. Najbardziej urozmaicona linia brzegowa na świecie. Łagodny klimat i dużo opadów – wszystko rośnie. Mamy mnóstwo zielonych pagórków i owiec. Za to nie ma tyle mgły, co w Londynie.

— Zostawmy te pagórki i owce. Powiedzmy coś ciekawego. Hm... — William teatralnie potarł brodę. — Opowiedzmy o nazwach. Wielka Brytania to tak naprawdę nazwa wyspy, nie kraju. To ta większa wyspa, na której leżą Anglia, Szkocja i Walia.

— Mniejsza wyspa to Irlandia i ona też nie jest państwem. — Angus przedzielił ją przerywaną linią. — Leżą na niej dwa państwa. Jedno to Republika Irlandii, zwana Irlandią Południową, a druga to Irlandia Północna, która jest częścią Zjednoczonego Królestwa.

— Ale nie Wielkiej Brytanii.

— Bo to nie państwo, tylko inna wyspa.

— Bo Wyspy Brytyjskie są dwie.

Między obiema wyspami przybył wieloryb z obowiązkową fontanną.

— Dwie duże. Jest jeszcze cała masa mniejszych wysp wokoło.

— I kilkanaście wysp i terytoriów w różnych miejscach globu. — William przeszedł wzdłuż całej tablicy i w losowych miejscach dorysował paręnaście nieregularnych kształtów.

— Kiedyś było ich więcej. W okresie świetności imperium brytyjskiego nad terytorium Zjednoczonego Królestwa nigdy nie zachodziło słońce.

— Ponieważ w każdym momencie doby w jakiejś części imperium panował dzień.

— Bo to było największe imperium w historii świata, obejmowało jedną czwartą powierzchni wszystkich lądów na tej planecie, a poddanymi królowej była jedna czwarta populacji ziemi. Rzym się przy tym chowa.

— Było największe. Ale się zmyło.

— Na szczęście odbyło się to w miarę pokojowo. Został *Commonwealth*, czyli Wspólnota Narodów zrzeszająca były kolonie brytyjskie, a nawet państwa, które nigdy nie należały do imperium. Większość z nich nadal

uznaje królową za głowę swojego państwa, a profil Elżbiety II jest popularnym motywem banknotów.

— Czyli wszyscy nadal się lubią.

— Ale nie są już częścią Zjednoczonego Królestwa.

— Tak, to dość skomplikowane. Natomiast w kwestii tych owiec...

Atmosfera w klasie nieco się rozluźniła, co nie uszło uwagi nauczycielki.

— Myślę, że już wystarczy tych żarcików — oznajmiła. — Wszystkich na pewno bardziej zaciekawią dane na temat waszego kraju.

Przez salę przeszedł szmer niezadowolenia.

— Dane...? — zapytał ostrożnie William.

— Liczba obywateli, powierzchnia kraju, długość linii brzegowej i tak dalej. Te najważniejsze informacje.

Brytyjczycy spojrzeli na siebie i unieśli brwi.

— Ludność to sześćdziesiąt parę milionów, a reszta... — William wzruszył ramionami. — Pojęcia nie mamy.

— Nie uczycie się tak ważnych informacji o waszym kraju? — szczerze zdziwiła się geograficzka.

— Po co mielibyśmy to wkuwać? To można w każdej chwili sprawdzić.

— To czego was uczą w waszej szkole?

— Samodzielnego myślenia.

Nie miało to być złośliwe, ale Konstancja zrozumiała to po swojemu. Zacisnęła usta jeszcze bardziej i wysyczała:

— Siadajcie, macie po jedyńce.

Gdy pochylila się nad dziennikiem, zrozumiała, że palnęła głupstwo. Nie mogła przecież wstawić oceny gościom z zagranicy. Ze złością odłożyła więc długopis i popatrzyła po klasie. Decyzja o postawieniu jedyńki już zapadła i nie można jej było cofnąć. Pozostało więc znaleźć odpowiedniego odbiorcę owej jedyńki.

Net nachylił się do Niki i szepnął:

— To było najciekawsze pięć minut geografii od początku tej szkoły.

— Bielecki, co tam szepczesz? — Geograficzka znalazła sposób na wybrnięcie z trudnej sytuacji. — Podejdz do tablicy i powiedz to tak, żeby wszyscy słyszeli.

Stołówka, która rodziła się w bólach przez ponad rok, wreszcie powstała przy korytarzu prowadzącym do biblioteki, po połączeniu muzeum szkolnego, którego i tak nikt nie zwiedzał, jeśli nie został do tego zmuszony, archiwum dokumentów z zamierzonych czasów oraz magazynu rzeczy, jak się okazało, doskonale niepotrzebnych. Uczniów chętnych na szkolne obiady zebrało się wystarczająco dużo, by zapełnić większość z kilkunastu stolików. Nika z przyczyn oczywistych nie mogła sobie pozwolić na opłacanie stołówki, a chłopcy przez solidarność z nią również zadowalali się kanapkami. Net, który był głodomorem, wolałby dwudaniowy posiłek, lecz udawał, że o tej porze nie potrafiłby w siebie wepchnąć niczego ciepłego. Felix, Net i Nika byli tu więc po raz pierwszy. Wykupili obiady na jeden tydzień z powodu gości. Woleli, żeby obcokrajowcy nie spotkali się bez asysty z panią Lucyną Apis, kucharką, o której w szkole krążyły już legendy.

Pani Lucyna była postawną kobietą około czterdziestki. W białym fartuchu i czepku, spod którego wystawały czarne loki, wyglądała jak żywcem wyjęta z polskich filmów z czasów PRL-u². Co gorsza, jej stosunek do ludzi też pochodził z tego okresu. Nie pasowała tylko scenografia: pojemniki na sztuce, blaty, okap i półka do suwania tac wykonano z polerowanej stali nierdzewnej, a lodówka z napojami była nowoczesnym modelem ze szklanymi drzwiami i podświetleniem. Ku ogólnemu niezadowoleniu wewnątrz znajdowały się jedynie kubki z kompotem.

Przyjaciele wraz z Brytyjczykami stali na początku kolejki, dalsza jej część przyjmowała już postać węża wypełzającego na korytarz, a pani Lucyna z kamienną twarzą mieszała chochlą w wielkim garze. Zanurzyła palec w zupie i oblizła go.

— Nie podgrzało się jeszcze — oznajmiła. — Czekaają!

— Kto czeka? — Net spojrzał na salę. — A, że my czekamy.

— Dla niej „oni” to „my” — wyjaśniła ciszej Nika. — Niektórzy tak mówią.

— Jeżeli już, to powinna powiedzieć „Niech czekają”. A co dziś na ten obiad jest?

— To zawsze jest niespodzianka — wyjaśniła dziewczyna z pierwszej klasy, której imienia przyjaciele nie pamiętali. — Niestety, nie zawsze miła.

Stojące za przyjaciółmi Francuzki rozmawiały z Aurelią i Klaudią. Wyglądało na to, że Polki znają francuski całkiem nieźle. Gilbert był pochłonięty rozmową z Niemką, która z uśmiechem mu przytakiwała. Zosia

obserwowała to z końca kolejki z taką miną, jakby się miała rozplakać. Wreszcie kucharka wyłączyła gaz i zaczęła rozlewać zupę. Był to żurek i wyglądał całkiem smakowicie. Uczniowie kolejno podawali kucharce podstemplowaną w sekretariacie karteczkę, stawiali talerz z żurkiem na tacy, przesuwali ją do końca lady i wyjmowali z lodówki kompot.

— Bon žur — powiedział Net, podając kucharce kartkę.

Gdy przyszła kolej Williama, spróbował otworzyć lodówkę. Drzwi jednak nie ustąpiły.

— Czeka na sygnał, bo urwie! — ryknęła kucharka. Nacisnęła guzik ukryty pod blatem i dopiero teraz bzyknął elektryczny zamek blokujący drzwi. — Zamknie dokładnie, żeby dźwięknęło.

Anglik nie rozumiał oczywiście ani słowa. Domyślił się jednak, o co chodzi, i zatrzaskał drzwi. Angus powtórzył dokładnie jego czynności, a następnie to samo zrobili przyjaciele.

— Niektórzy ludzie wyprzedzają swoją epokę — powiedział Net, gdy usiedli przy stole. — Ta baba urodziła się pół wieku za późno. Podobnie jak Konstancja.

— Nie musiałeś być... szczery — zauważyła Nika.

— I to mówi nasz kręgosłup moralny? Przecież Konstancja sama chciała, żebym powtórzył głośno.

— Po prostu tryb buntowniczy włączył ci się w nieodpowiednim momencie — zauważył Felix. — Mogłeś to zrobić dwa miesiące temu, a nie na sam koniec roku szkolnego, kiedy wszyscy wystawiają oceny.

— Ale ciekawa lekcja była teraz, a nie dwa miesiące temu. Ech, nieważne.

— Ta lekcja wyglądała trochę dziwnie — odezwał się William. — Po co ona was uczy tych wszystkich liczb? Po co macie wiedzieć, ile owiec pasło się na szkockich pastwiskach trzy lata temu. To bez sensu. Nas uczą w szkole zasad przyczyny i skutku oraz sposobu znalezienia tej liczby owiec, gdyby dziwnym trafem była potrzebna.

— Powiedz nam coś, czego nie wiemy — zgodził się Net. — Ale najpierw zaczekaj na chemię i informatykę.

— Dobra. — Anglik pokiwał głową. — Jedzmy, bo wystygnie.

William i Angus jednocześnie nabrali po łyżce żurku, jednocześnie włożyli je do ust i jednocześnie wypluli.

— Kwaśne — skrzywił się William.

Obaj sięgnęli po kubki z kompotem, by wypłukać smak, upili po łyku i obaj wypluli kompot.

— Jeszcze bardziej kwaśne! — stwierdził Angus.

— Kwaśne? — Net pokręcił głową. — Wy macie chipsy o smaku octu i marynowane jajka w słoikach. Uch...

Angus wyciągnął z plecaka puszkę coli, otworzył ją, łąpczywie wypił kilka łyków i podał Williamowi.

— Czy ktoś tu otworzył puszkę?! — rozległo się zza lady.

W stołówce zapadła cisza. Felix dyskretnym ruchem sięgnął po kubek Angusa, dyskretnie rozlał większą część kompotu do pozostałych czterech kubków i równie dyskretnie umieścił puszkę w kubku. Dopchnął palcem, by zatonęła.

— Wszyscy kładą ręce na stół i nie ruszają się — warknęła kucharka. Wyszła na salę i trzymając chochlę niczym topór, rozpoczęła obchód. Czujnie lustrowała kolejne stoliki ze znieruchomiałymi gimnazjalistami. — Nie wolno spożywać własnych posiłków ani napojów — wysyczała. Nie znalazła puszek, choć komu innemu bąbelkujący kompot mógłby się wydać podejrzany. Popatrzyła groźnie po sali. — Wracać do konsumpcji.

— To wszystko tak na poważnie? — zapytał ostrożnie William.

— Obawiam się, że tak — przyznał Net. — Wcześniej znaliśmy to tylko z relacji świadków.

— I nie wierzyliśmy — uzupełniła Nika.

— Zwykle w Polsce to tak nie wygląda — dodał Felix. — To jest specyficzna stołówka.

— Poznaliście już naszego dyrektora, to wiecie dlaczego. — Net mówił między kolejnymi łyżkami zupy. — Co nie zmienia tego, że ta zupa jest wyrąbista. Chociaż wolę żurek w chlebie, bo tam trudno ustalić moment, w którym zjadło się całą zupę. Ona po prostu staje cię coraz gęstsza.

Brytyjczycy spojrzeli na swoje talerze i pokręcili głowami.

— Zaraz będzie drugie danie — pocieszyła ich Nika. Czuła lekkie wyrzuty sumienia, bo żurek jej również bardzo smakował.

Niektórzy już skończyli i wstawali, by przynieść drugie danie.

— Drugie danie dostaną, jak zjedzą zupę — zagrzmiała kucharka pod adresem Oskara. — Pełny talerz za pusty talerz.

Oskar z niezadowoloną miną wrócił do stolika, by dokończyć zupę.

— To pewna trudność logistyczna — zauważył Net.

— Może dałoby się przelać. — Felix ocenił objętość kubka z kompo-
tem i talerza. — Na styk będzie...

— To chyba niewiele da. — Nika wskazała Wiktora, który niósł talerz
z drugim daniem. — Na drugie jest bigos.

* * *

Taras widokowy Pałacu Kultury był raczej pustawy. Na tej wysokości
solidnie wiało i dzień nie wydawał się już taki ciepły, jak sto metrów niżej.

— Każdy, kto przyjedzie do Warszawy, powinien zobaczyć ją z góry —
oświadczył entuzjastycznie Net.

— To banalne — zaprzeczyła Nika. — W Warszawie jest dużo ciekaw-
szych miejsc.

— No a stąd widać je wszystkie.

— Wygląda przyzwoicie — przytaknął Angus.

— Tylko jeszcze przydałoby się coś dobudować — dodał William.
— Macie tu masę pustych miejsc.

— Trochę czasu to zajmie — wyjaśnił Felix. — Tu są niestety stare
budynki mieszkaniowe.

— Ten hotel stoi na jednej nodze, żeby komuś tam na słońcu lepiej
rosła pelargonja — poparł go Net. — A ten tutaj budynek w kształcie żagla
kilka lat czekał zbudowany do połowy, aż czyjaś inna pelargonja wreszcie
uschnie.

— Poważnie? — William nie mógł uwierzyć. — To u was tak działa?

— No... niedosłownie.

— To nie jest takie proste — wtrąciła Nika. — Ktoś tu mieszka od
zawsze i nie chce się wyprowadzać.

— Tu wszędzie kiedyś były czyjeś drewniane chatki. — Net zatoczył
krąg dłonią. — Ale wystarczy poczekać cierpliwie, za kilkadziesiąt lat będą
tu budynki dwa-trzy razy wyższe. Chcecie wiedzieć, co jest co?

— Ciekawi was to? — zapytała pragmatycznie Nika.

Brytyjczycy przytaknęli.

— A gdzie ty mieszkasz? — zapytał Angus.

— Stąd nie widać. — Nika uśmiechnęła się. — Tam, za rzeką.

Przez następnych kilka minut przyjaciele prowadzili ich dookoła tarasu,
jedno przez drugie opowiadając o budynkach i miejscach, które można było
stamtąd dostrzec.

— To miło, że spędzacie z nami czas — powiedział Angus, gdy wrócili do punktu startu — ale wiemy, że macie teraz testy na koniec roku. Zajmiemy się sami sobą, pospacerujemy.

— Właściwie to powinniśmy się uczyć do jutrzejszego testu z chemii — przyznała Nika. — Ale też... to nie zajmie aż tyle czasu.

— Można to trochę uprościć. — Net przysiadł pod ścianą, wyjął komputer i włączył go. — Wystarczy nauczyć się tych konkretnych pytań, które będą na teście. — Poklikał chwilę i wyświetlił listę. — Są dwa zestawy po czterdzieści pytań. Da się wykuć. Albo druknę ściągę.

— Ściągą? To trochę nieuczciwe — zauważył Angus.

— To wy nie ściągacie? — zapytał podejrzliwie Net.

— Niespecjalnie. Uczymy się nie po to, żeby zaliczyć testy, tylko żeby coś umieć.

— Też bym tak chciał, ale się nie da. Pamiętasz lekcję geografii?

Angus zastanowił się.

— To jest jakiś argument. Ale... skąd pewność, że na teście będą akurat te pytania?

Net już otwierał usta, żeby wyjaśnić, ale uprzedziła go Nika:

— Chodźmy już stąd. Zmarzłam.

Spojrzała wymownie na Neta, a ten zrozumiał. Przyznawanie się przed gośćmi z zagranicy, że włamał się do szkolnego serwera, niekoniecznie było dobrym pomysłem.

— Włamałeś się do szkolnego serwera? — zapytał podejrzliwie William.

— Mam tam konto — odpowiedział zgodnie z prawdą Net. Nie dodał, że sam je sobie założył, kiedy włamał się do serwera po raz pierwszy. — A te pytania, hm... dotyczą wiedzy encyklopedycznej. Trochę jakby nie ma sensu tego wkuwać. Sam mówiłeś, że was uczą samodzielnego myślenia. Nas tu hodują na jakieś biologiczne twarde dyski. Musimy się bronić. Nawet nasz kręgosłup moralny — wskazał Nikę — jakoś nie protestuje.

Dziewczyna wydeła wargi, nie chcąc się wypowiadać. W duchu przyznawała rację przyjacielowi. Mina Felixa świadczyła o tym, że również woli zająć się czym innym niż wkuwaniem nieprzydatnych ciągów liczb.

— To będzie okazja, żeby dopracować *software* Bulbota — zachęcił ich Net.

— Czego? — zapytali równocześnie Brytyjczycy.

— Ups... — Net zasłonił usta. — To jest takie... trochę tajne.

Nika wywróciła oczami.

— Ważne, żeby nie dowiedzieli się nauczyciele — powiedziała. — Nie przesadzajcie z tymi tajemnicami.

— Nie powiemy nikomu ani słowa — obiecał Angus. — To... co to jest?

— Zobaczycie — uśmiechnął się Net. — Pokażę wam model cyfrowy. Macie dziś zaproszenie na obiad u mnie.

— Ale... — William zawiesił głos.

— Spokojnie. — Net uniósł dłoń. — Nie będzie kapuśniaku. Tata zgodził się rozpocząć sezon grillowy.

* * *

Audrey z Klaudią wysiadły z autobusu po kilku przystankach. Zapanaowało niezręczne milczenie. Celina bez przerwy łypała groźnie to na Marie, to na Klemensa. Stali w połowie autobusu w przestrzeni bez foteli. Celina stanowiła całkowite przeciwieństwo Marie. Była niska i pulchna, podczas gdy Francuzka miała figurę modelki. Klemens kilka razy otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale widząc spojrzenie Celiny, rezygnował. Gdy autobus zatrzymał się po raz kolejny, zaniepokoił się lekko.

— To chyba twój przystanek — zauważył.

— Przejadę się z wami jeszcze kawałek — odparła zupełnie nie swoim głosem Celina. — Tak dla towarzystwa.

Francuzka wyglądała przez okno i tylko co jakiś czas uśmiechała się do Klemensa albo Celiny. Zaraz jednak uciekała spojrzeniem. Chłopak też starał się przyglądać doskonale znanym ulicom. To nie było łatwe, cały czasu czuł bowiem na sobie spojrzenie Celiny.

— Dlaczego się tak gapisz? — zapytał wreszcie.

— Co planujecie robić wieczorem?

— Nie wiem, przecież nie znam francuskiego.

— Jakiś pomysł musisz mieć.

— Może obejrzymy francuski film z polskimi napisami.

— Albo polski z francuskimi.

— Nie wiem. — Chłopak wzruszył ramionami. — O co ci chodzi?

— Może zaprosisz mnie na obiad?

— Eeem... — zająknął się. — Są tylko cztery kotlety.

— I tak nie jem mięsa.

— I cztery ziemniaki... To znaczy desery.
— Obejdę się. Pięć talerzy chyba macie?
— Będziesz siedzieć nad pustym talerzem? — Klemens gwałtownie pokręcił głową. — Muszę wcześniej ustalać gości obiadowych z mamą. Będzie zła.
— To zaproś mnie na jutro.
— OK.
Celina uniosła brwi.
— No ale powiedz to.
— Co?
— Że mnie zapraszasz.
— Przecież powiedziałem.
— Nie, powiedziałaś „OK”.
Klemens westchnął bezgłośnie.
— Zapraszam cię jutro na obiad.
— Dzięki. Wpadnę na pewno. — Celina uśmiechnęła się. — Wysiadam tutaj.

Stała na palcach i pocałowała chłopaka na pożegnanie. A dokładniej wpiła mu się w usta w filmowym pocałunku, jakim hollywoodzkie aktorki żegnają hollywoodzkich aktorów udających się na hollywoodzkie wojny. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej do Marie, pomachała i wysiadła. Gdy zamknęły się za nią drzwi, uśmiech momentalnie zniknął z jej twarzy. Odprowadziła odjeżdżający autobus groźnym spojrzeniem.

— Normalnie się tak nie zachowuje — wyjaśnił po polsku Klemens.

Francuzka uśmiechnęła się współczująco. Wyglądało na to, że doskonale rozumie sytuację. Klemens chodził z Celiną od dawna i rzecz jasna ją lubił, ale perspektywa znoszenia jej zazdrości przy obiedzie nie była miła.

Wysiedli na następnym przystanku. Klemens podał dziewczynie rękę na ostatnim stopniu, choć nie było to konieczne. Podziękowała, mówiąc „*merci*”, co akurat zrozumiał. Starał się, jak mógł, żeby wypaść wobec gościa na gentlemana. Niestety im bardziej się starał, tym gorzej mu to wychodziło. Nie miał pojęcia, czy powinien iść lekko z przodu, czy też równo obok niej, a może po prawej lub jednak po lewej. Problem stał się jeszcze większy, gdy przechodząc między blokami, dotarli do szerokiego jedynie na dwie płyty fragmentu chodnika. Po kilku zmianach pozycji względem dziewczyny nastąpił jej na but. Wymamrotał przeprosiny i zde-

cydował, że będzie szedł po trawniku, co zresztą skończyło się wdepnięciem w podejrżane coś, co nie było trawą.

Weszli na klatkę i rozklekotaną windą wjechali na ósme piętro. Przed zielonymi drzwiami z tabliczką „Rajkowscy” Klemens zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

— Gdzieś tu były... — mamrotał.

Dziewczyna uśmiechnęła się uprzejmie. Zajęła się obserwacją farby odłóżającej z biegnących pod sufitem rur, brzydkich skrzynek z licznikami gazu i poobtłukiwanych donic z podeschniętymi paprotkami.

Wreszcie Klemens klepnął się w czoło i nacisnął dzwonek. Marie dyskretnie starła z policzka kropelki Klemensowego potu. Drzwi otworzyła pani Rajkowska, korpulentna kobieta o dobrotliwym spojrzeniu. Wycierała dłonie w ścierkę.

— Jesteście nareszcie! — Objęła i przytuliła większego od siebie syna, a następnie, nieco tylko mniej energicznie, Marie i przesunęła się, by ich wpuścić. — Jak poszły testy? A, ty nie pisałaś.

Klemens wzruszył ramionami.

— Napisałem jako tako. Było za mało czasu.

— Zawsze się tak mówi, że było za mało czasu — rzuciła, uśmiechając się do Marie. — Za mało to się on uczy.

Marie nie rozumiała ani słowa, więc tylko się uśmiechała. Mieszkanie pachniało smażonym tłuszczem i chlebem. Jak się zorientowała, rodzice Klemensa mieli piekarnię. Dlatego jego tata wychodził do pracy w środku nocy, a wracał wczesnym popołudniem. Mama z kolei wychodziła po południu, a wracała wieczorem.

Marie poszła do swojego pokoju, małego, ale czystego i przytulnego. Otworzyła różowy laptop i zalogowała się do sieci. Na Facebooku znajomi z klasy zasypywali ją pytaniami, jak jej się mieszka w tej dzikiej Polsce. Nie chciała pisać źle, bo w sumie jej gospodarze wydawali się sympatyczni, a Warszawa wyglądała znacznie lepiej, niż dziewczyna się spodziewała. Coś jednak musiała odpisać. Zdecydowała się na krótki status: „Miałam mieszkać u takiej jednej dziewczyny, ale ona ma problemy rodzinne i wylądowałam u sympatycznych ludzi. Niestety, nie mówią po francusku”. Szybko wyłączyła laptop, żeby nie musieć odpowiadać na kolejne pytania, które niewątpliwie zaraz by się pojawiły. A najważniejsze z nich brzmiałyby na pewno, czemu sama nie zna angielskiego. Odpowiedzi, której nie chciała udzielać, nie można zaliczyć do trudnych. Ojciec tradycjonalista

powiedział kiedyś bliźniaczkom, że mogą się uczyć każdego języka, byle nie mowy tych przeklętych Anglików. Ograniczyły się więc do podstawowych lekcji w szkole, z których nie wyniosły zbyt wiele.

Teraz czekał ją obiad i już się obawiała tego, co nastąpi. Zapach przenikający całe mieszkanie przywodził na myśl raczej przydrożną knajpę dla kierowców ciężarówek niż domową kuchnię. Patrząc na gospodarzy, można się było domyślić, że nie gustują w sałatkach i wodzie mineralnej. Wczorajsza kolacja nie przypadła jej do gustu. Nie chciała być niegrzeczna, a i zmęczenie podróżą dawało jej się we znaki, zjadła więc trzy kanapki z żółtym serem bez smaku i poszła spać.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Wstała więc, odetchnęła głęboko i otworzyła je. Klemens, nieśmiały jak zwykle, powiedział coś po polsku i wskazał na kuchnię. Więc to już. Przeszli do salonu, w mieszkaniu nie było bowiem jadalni. Marie usiadła na wskazanym miejscu przy stole nakrytym obrusem, gdzie dobiegł ją zapach smażonego tłuszczu i dźwięk skwierczenia. Mogła obserwować krzątanicę mamy Klemensa przez otwór łączący salon z kuchnią. Otwór, przypominający okno w tanim barze, z pewnością był dodany po wybudowaniu budynku. Mama postawiła na blacie owego okna wazę z zupą, a Klemens przeniósł ją na stół.

Marie miała chwilę, by obejrzeć salon. Całą jedną ścianę zajmowała meblościanka z półkami, na których stały wazon, gliniane kaczki i jakieś szklane naczynia udające kryształ. Nie było ani jednej książki. Aż podskoczyła, gdy rozległ się wyjątkowo głośny dzwonek do drzwi. Klemens wpuścił tatę, przy którym wyglądał jak nieco tylko mniejsza kopia. Mężczyzna powiedział coś wesoło do Marie, na co tylko się uśmiechnęła. Ten szeleszczący miękko język nie przypominał niczego znajomego. Tata przywitał się z mamą, umył ręce i z głośnym westchnieniem usiadł przy stole. W czarnych włosach wciąż miał sporo mącznego pyłu. Pilotem włączył jeszcze telewizor, jakiś program informacyjny, ale nawet na niego nie zerknął. Wreszcie usiedli wszyscy, a pani domu nałapała każdemu zupę. Marie poczuła ukłucie paniki, gdy wylądował przed nią wielki talerz wypełniony niemal po brzegi rosółem. To było ze trzy razy więcej zupy, niż zjadała zwykle. Ale nie to okazało się najgorsze. Na rosole zawsze pływają oka tłuszczu, podczas gdy powierzchnię tej zupy pokrywało jedno wielkie oko.

— *Bon appétit* — powiedział pan Rajkowski, co akurat zrozumiała.

Pierwszą porcję rosółu niemal wypluła. Miała wrażenie, że na łyżce jest sam ciepły tłuszcz. Z trudem przełknęła i dłonią odruchowo dotknęła ust.

Spróbowała przesunąć jego warstwę na talerzu, ale niestety w ułamku sekundy ponownie pokrywał całą powierzchnię. Po kilku próbach udało jej się opracować technikę jedzenia, częściowo rozwiązującą problem. Wyglądała następująco: zanurzyć łyżkę wolno, przesunąć w prawo, szybko unieść i minimalnie przechylić. Wówczas większość tłuszczu spływała z powrotem do talerza. Udało się w ten sposób zjeść ponad połowę zupy i wtedy metoda zaczęła zawodzić. Gospodarze skończyli jeść i uprzejmie czekali, aż skończy i Marie.

— Już dziękuję. — Odłożyła łyżkę. — To jest bardzo smaczne, ale to za dużo jak dla mnie.

Pani domu coś odpowiedziała z uśmiechem i gestem zachęciła dziewczynę, by spokojnie kończyła. Nikomu się przecież nie spieszy. Zaraz jednak zerwała się od stołu i pobiegła do kuchni, by ratować sytuację na patelni. I rzeczywiście zapach smażonego tłuszczu wzbogacił się o nutkę dymną.

Marie patrzyła na talerz i czuła, jak na myśl o kolejnej łyżce zawartość żołądka podchodzi jej do gardła. Na szczęście pan Rajkowski patrzył teraz na prezentera, który szeleścił z telewizora. Klemens kiwnął do niej porozumiewawczo głową i zabrał jej talerz. Odetchnęła z ulgą. Czuła się, jakby połknęła piłkę, a krzątanka w kuchni świadczyła o tym, że to jeszcze nie koniec koszmaru. Po chwili na stół wjechały półmiski z ziemniakami i ociekającymi tłuszczem kotletami mielonymi, na widok których Marie poblądła. Postawiono przed nią talerz z górą ziemniaków i gigantycznym, ociekającym tłuszczem kotлетem. Jak to zjeść? Nie było tu żadnej sałatki ani nawet odrobiny jakiejś zieleniny. W torebce miała wizytówkę dyrektora Stokrotki, który – jak się okazało – trochę znał francuski. Miała użyć numeru jego telefonu w razie kłopotów. Ale czy to straszne jedzenie to są prawdziwe kłopoty?

Gdy wydawało się, że gorzej już być nie może, okazało się, że owszem, może. Na stole pojawiła się sosjerka, z której mama łyżką nabrała tłuszcz.

— Już wystarczy... — zapewniła po francusku Marie, co niestety gospodyni odebrała jako zachętę. Marie chciała cofnąć talerz, lecz po dramatycznej chwili wahania zrezygnowała – gdyby to zrobiła, tłuszcz pobrudziłby obrus. W efekcie na jej talerzu wylądowały trzy łyżki płynnego smalcu ze skwarkami. Tak jak na pozostałych talerzach.

Uniosła minimalnie talerz za krawędź. Tłuszcz częściowo spłynął na jedną stronę, ale na ziemniakach wciąż go było dużo. Zsunęła wierzchnią

warstwę, by dobrać się do części nieprzesiákniętej smalcem, i zaczęła się zmuszać do kolejnych kęsów. Jadła powoli, więc reszta skończyła, gdy ona nie dotarła nawet do połowy.

Z tego, co wtedy powiedziała pani domu, Marie zrozumiała tylko słowo „deser”.

* * *

— I pomyśleć, że są tacy, którzy narzekają na polską kuchnię — Michael sięgnęła po kolejny kawałek pizzy.

— Grunt to dobra pizzeria z dowozem do domu — odparł Gilbert.
— To taka nasza specjalność, którą polscy emigranci ze dwieście lat temu zaszczypli w Italii.

Siedzieli otoczeni poduszkami na zabytkowej kanapie przed niezbyt-kowym telewizorem wyświetlającym napisy końcowe filmu *Kanał*.

— Polski kotlet schabowy zawędrował aż do Wiednia — kontynuował Gilbert. — Tam rozklepali go bardziej i nazwali sznyclem po wiedeńsku. Wiesz, dużo tego jest. Jak myślisz, skąd się wzięły frankfurterki?

Dziewczyna zaśmiała się.

— Nie mam pojęcia.

— Jak sama nazwa wskazuje, wymyślili to polscy emigranci we Frankfurcie. Tak samo berlinki i hamburgery. Wymyśliliśmy nawet makaron.

— Makaron też?

— Oczywiście! Makaron to po włosku pasta. A jak jest pasta po angielsku? *Polish*.

Michael śmiała się głośno.

— Sushi też powstało tutaj. — Gilbert grzebał w stercie pudełek z filmami. — Początkowo była to po prostu suszona ryba. — Wyjął *Listę Schindlera*, ale po namyśle odłożył pudełko na bok. — E, nie. To też czarno-białe. To co oglądamy następne? *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*, *Działa Nawarony* czy *Pianistę*?

* * *

Klaudia i Audrey siedziały na wysokich stołkach przy barze otaczającym kuchnię, w której dwóch Azjatów na bieżąco przygotowywało sushi. Wykładali podzielone na porcje różne rodzaje sushi na talerzyki w kilku kolorach, a talerzyki na małe łódki. Łódki opływały wolno bar kanałem

wypełnionym wodą. Każdy z gości mógł brać, co chciał, a płaciło się dopiero na koniec, oddając przy kasie talerzyki, uiszczając rachunek zależnie od ich koloru.

— Martwię się o Marie — odezwała się Francuzka. — Po wczorajszej kolacji pół nocy bolał ją brzuch, a na śniadanie dla trzech osób była jajecznica z dwunastu jaj. Na połowie kostki masła.

— U Aurelii mieszkałoby jej się wygodniej — odparła współczującym głosem Klaudia. — Niestety, Aurelia ma kłopoty rodzinne.

— Wy się przyjaźnicie, prawda?

— Tak, chodzimy razem na zakupy i do fryzjera. Reszta dziewczyn wzoruje się na nas, a chłopaki biją się, który pójdzie z nami do kina. We dwie tworzymy taką elitę naszej klasy.

Audrey pokiwała głową i bez entuzjazmu wzięła z łódki miseczkę z najmniejszą możliwą porcją sushi.

— To twoja ulubiona knajpa? — zapytała. — Lubisz sushi?

Klaudia pokręciła głową.

— Nie tknę tego paskudztwa — odparła. — Napisałaś mi, że w Paryżu często jesz sushi i że ci już obrzydło. Dlatego chciałam ci pokazać polskie sushi.

* * *

Felix usiłował rozpalić grill. Wiało tak silnie, że podpałka nie chciała się zająć ogniem.

— Tata miał wcześniej wrócić z pracy, ale się nie udało — powiedział Net, przekrzykując wiatr. — Sami musimy zacząć. Jeszcze nie jest za późno, żeby zamówić pizzę albo sushi.

— Kuchnia domowa jest najlepsza — stwierdził Angus. — Nie po to przyjeżdżaliśmy do Polski, żeby jeść to samo, co możemy zjeść w dowolnym miejscu na świecie.

Stali na równo przystrzyżonym trawniku, który od kilku tygodni odrabiał zimowe zaległości. Wokoło krzewy i niskie drzewka chwiały się na wietrze. Byli w ogrodzie na dachu penthouse'u rodziny Bieleckich, jakies sto metrów nad ziemią, czyli niewiele niżej niż taras widokowy Pałacu Kultury. Część pomieszczeń wystawała nad poziom trawnika, ale od strony Centrum znajdował się tylko metrowy ceglany murek.

Angus zerknął na łopoczącą na wietrze spódniczkę Niki.

— Wiesz, że każdy ze szkockich klanów ma inny wzór kraty? — zapytał. — To jest coś jak herb rodzinny.

Nika uśmiechnęła się.

— Do jakiego klanu należy mój kilt?

— Można sprawdzić. Wygląda na daleką północ. Bardzo fajnie w niej wyglądasz.

Net przysłuchiwał się tej wymianie zdań z kwaśną miną.

— Niepotrzebnie wjeżdżaliśmy na ten szary budynek. — William podziwiał panoramę Warszawy. — Stąd widok jest chyba nawet lepszy.

— Co się stało, to się nie odstanie — odparł Net. — A tak zaliczyliście dwa widoki. — Pomachał do mamy, która w swojej przeszklonej pracowni nad ogrodem pracowała nad kolejnym obrazem. — Mama nawet się ucieszyła, że nie musi gotować kapuśniaku. Jak tam grill?

Grill składał się z wielkiej misy na kółkach z odchylaną pokrywą oraz półeczkami na sztucce i jedzenie. Felix próbował kolejne ustawienia; niestety w żadnym nie dawało się go podpalić.

— Wiem, że to malowniczo wygląda — Nika próbowała okiełznać na przemian włosy i spódniczkę — ale ani tu nie porozmawiamy, ani się nie najemy. Trzeba go przysunąć bliżej ściany.

Felix pokiwał głową i przeciągnął urządzenie bliżej drzwi kuchennych.

— Stamtąd nie ma takiego widoku — stwierdził z pretensją w głosie Net, zezując na Angusa. — Trzeba tylko mocno dmuchać.

— Dmucha aż za mocno — odparł Felix.

— To jest akurat ten kierunek wiatru, który omija osłony. — Net podszedł do grilla i nachylił się nad nim. — Z tej strony wieje raz na... no, bardzo rzadko.

Dmuchnął na czarne węgle. Zamiast jednak wzbudzić płomień, wzbił w powietrze chmurę białego popiołu, która pokryła mu twarz i włosy.

— Znowu... — jęknął.

— Teraz jesteś siwy. — Nika aż zgięła się wpół ze śmiechu. — Chodź, coś z tym zrobimy. — Chwyciła go za rękę i pociągnęła do środka. — Nie dotykaj, bo znów wszystko rozsmarujesz.

Ledwie weszli do środka, Net powiedział przyciszonym głosem:

— Gapił się na twoje nogi.

— Na spódniczkę, nie na nogi.

— Jak by to była duża różnica.

— Słyszałeś, co mówił o klanach. To interesujące.

Gdy wrócili na taras, Net wyglądał znacznie lepiej. Zerkał tylko podejrzliwie na Angusa.

— Tak naprawdę to jesteśmy ciekawi, co to jest ten Bulbot — powiedział Szkot.

— A, OK. — Net uśmiechnął się, szczęśliwy, że zejda z tarasu, gdzie spódniczka Niki w nieunikniony sposób powiewała prowokacyjnie. — To chodźcie. Tylko jeszcze bliżej przysuniemy ten grill do ściany, żeby zająrzył, o co nam chodzi.

— Lepiej nie — poradził Felix i nawet odsunął go na dobre dwa metry.

— Przecież się prawie nie pali. Zaraz wrócimy.

— Na wszelki wypadek zawsze lepiej zachować odstęp.

Net pokręcił z dezaprobatą głową i dał spokój. Poszli do pokoju Neta. Panował tam względny porządek, zapewne dlatego, że wszystkie składające się na bałagan przedmioty zostały w pośpiechu upchnięte w niewidocznych miejscach. Na wprost drzwi znajdowało się szerokie na całą ścianę, przysłonięte żaluzjami okno, a przed nim na biurku stało kilka monitorów i innych urządzeń. Migąo to wszystko kolorowymi diodami, szumiało, czasem z cicha popiskiwało.

— Wygląda jak centrum sterowania wszechświatem — zauważył z podziwem William.

— To j e s t Centrum Sterowania Wszechświatem — sprecyzował dumnie Net. — CSW.

Usiadł w dużym skórzanym fotelu, poruszał palcami, by je rozgrzać i zaczął w niesamowitym tempie klawiszować. Na głównym monitorze przeskakiwały okna, linijki tekstu i obrazy. Pół minuty później uspokoiło się i teraz na czarnym tle przesuwały się tylko zielone słupki liczb.

— Czekaście, czekaście... — Net rytmicznie klikał w strzałkę. — Zaraz będzie... Jest! — Triumfalnie pokazał liczbę, nieróżniącą się na oko niczym spośród tysiąca innych wyświetlanych w tym samym momencie na ekranie. — Widzicie? Nieźle się rypsnęło, co?

— Wy coś z tego rozumiecie? — zapytał podejrzliwie William.

Felix i Nika wolno zaprzeczyli. Net pufnął z niezadowoleniem i wcisnął kilka klawiszy. Cyferki przeskoczyły na mniejszy ekran, a na większym pojawił się skomplikowany wykres trójwymiarowy poprzecinany kolorowymi płaszczyznami i liniami.

— Teraz jasne?

— A co niby symbolizują te wszystkie kreski? — Felix silił się na spokój.

— Nieważne co. Ważne, że różniczka funkcji wychodzi za wysoka. — Net popukał palcem w ekran. — Funkcja liniowa prędkości kinematycznej w tym miejscu załamuje się. Jeśli potraktować to równanie jako elementy nilpotentne pierścieni przemiennych, to przestrzeń styczna jest mniejsza od wartości granicznej³. Czyli lipa.

— Ale co to jest?

— Nieważne, co to jest. Jeśli model matematyczny mi się nie zgadza, to cokolwiek by to było, nie będzie działać. Matematyka to jest język natury.

— Nalegam, żebyś powiedział, co to jest.

— I co ci po tej wiedzy? I tak nie wyliczymy poprawnej różniczki w gładkim modelu teorii mnogości. — Net westchnął, przewrócił kilka papierów na biurku i dodał niechętnie — ster głębokości reaguje za szybko.

— Nie mogłeś tak od razu? — Felix wyprostował się i odetchnął. — Niepotrzebnie wszystko tak komplikujesz. Wystarczy dokonać korekty momentu serwa mimośrodowego. Teraz przetwornik sygnału wyjściowego powoduje za duży uchyb na członie korekcyjnym, więc na wzmacniacz trafia sygnał za duży względem wielkości wzorcowej. Banał.

— Jezus, mówcie po ludzku! — nie wytrzymała Nika.

— Trzeba przekręcić jedną śrubkę o dwa obroty w lewo.

— I nad tym siedzieliście przez cały weekend?

— To chyba przez to, że pracowaliśmy oddzielnie — przyznał Felix. — Musieliśmy siedzieć w domach, żeby się uczyć do testów. A się nie uczyliśmy, bo rozwiązywaliśmy ten problem.

— ... który byśmy rozwiązali w pół minuty, gdybyśmy siedzieli obok siebie — dokończył Net.

— Tak czy inaczej, trzeba to poprawić, bo Bulbot pójdzie na dno przy pierwszym zanurzeniu.

— To prościej chyba przekręcić tę śrubkę, nie? — zasugerowała dziewczyna. Felix i Net spojrzeli na siebie i pokiwali głowami. — To już to teraz zostawcie.

— Co to jest ten Bulbot? — zapytał wreszcie William.

Przyjaciele zamilkli i spojrzeli na siebie.

— Już skończcie z tymi tajemnicami — poprosiła Nika.

— Bulbot to robot podwodny — wyjaśnił Felix. — Musi być gotowy do końca tygodnia, a jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

— Moja mama — powiedział Felix.

— Mój grill! — Net zerwał się i wybiegł z pokoju.

Gdy pozostali dogonili go w ogrodzie, z grilla na metr w górę unosiły się płomienie.

— Gaśnica! Woda! Gaśnica! — Net miotał się wokół płonącego urządzenia. Dzwonek do drzwi zabrzmiał ponownie. — Gaśnica! Dzwonek! Woda!

— Gaście to, ja otworzę — powiedziała Nika.

— Nie! — Net zerknął na pracownię swojej mamy. Pani Bielecka, pochłonięta obrazem, niczego nie zauważyła. — Zgaśmy to najpierw, to nikt się nie dowie. — Net rozglądał się, szukając czegokolwiek do stłumienia płomieni. — Woda. Gaśnica. — Dzwonek rozległ się po raz trzeci. — Woda. Gaśnica. Dzwonek. Przyniosę prysznic. Nie, za krótki...

— Czeka! — uspokoił go Felix.

Wziął oparte o mur grabie, ich końcówką zamknął pokrywę i jeszcze przesunął regulator dostępu powietrza na minimum. Teraz przez wszystkie szczeliny grilla wydobywał się intensywny siwy dym, który wiatr rozwiewał wysoko nad miastem.

Net odetchnął i zatarł ręce.

— No proszę. Przynajmniej sam się rozpałił. Jeden problem z dyńki. Dzwonek! — Pobiegnij otworzyć drzwi.

Po chwili ilość dymu wyraźnie się zmniejszyła.

— Był też plan B. — Nika wskazała wystający ze ściany kran ogrodowy z węzem.

— Ale wtedy musielibyśmy się pożegnać z grillem na dziś. — Felix zajrzał do kuchni i dodał zdziwiony — moja mama. Myślałem, że przyjdzie, jak będziemy już sprzątać.

Wrócili do kuchni i przywitali się z panią Polon.

— I jak wam się podoba w Polsce? — zapytała. — Tylko nie mówcie, że jest super i że się wam podoba.

— Właśnie to chcieliśmy powiedzieć — przyznał William.

— Tu są dwie kasty ludzi — odparł za to Angus. — Młodzi są mili, jak w całej Europie, a starsi chodzą posępni. Nie uśmiechają się bez powodu.

— Coś w tym jest. — Mama Felixa pokiwała głową.

— A co z twoją mamą? — zapytał Angus, patrząc na Neta.

— Moja jeszcze pracuje. — Net wskazał kciukiem za siebie. — Nie można jej przerywać procesu twórczego. Może coś... — Net rozejrzał się po kuchni — do picia na przykład?

— Mocną kawę z mlekiem, jeśli można. — Mama Felixa położyła na stole kuchennym laptop. — Z grillem to zaczekamy chyba na wszystkich. Mną się nie przejmujcie. Mam jeszcze kilka maili do wysłania. Laura będzie?

— Uczy się — mruknął pod nosem Felix. W tym momencie rozległ się sygnał przychodzącego SMS-a. — Chyba że skończyła. — Wyjął telefon z nadzieją, ale ta okazała się płonna. — Nie. Tatowie będą za dziesięć minut.

— To możemy już wrzucać mięsko na grilla — oceniła Nika.

William przejrzał plan zajęć na smartfonie.

— Jutro po lekcjach mamy jakieś zwiedzanie. Co to są te Łazienki?

— Taki stary park. — Net wzruszył ramionami. — Schodzi się na dół, a potem trzeba się gramolić z powrotem.

— Bardzo stary? — upewnił się Angus.

— Bardzo. Ale odmalowali ostatnio.

— Ma ponad dwieście lat — sprecyzowała Nika. — I to jest całkiem ładny park. Spodoba się wam.

— Mój sklepik osiedlowy jest w budynku, który ma czterysta lat — odparł Angus. — A pub obok istnieje od ponad pół tysiąca lat.

— To dlatego, że mieszkacie na wyspie — zauważył Net. — Nie przechodzą po was regularnie armie sąsiadów.

— No tak — zgodził się William. — Przez jakiś tysiąc lat nikt nas nie najechał.

— Najeżdżaliśmy się sami w różnych konfiguracjach — uzupełnił Angus.

— Oj tam, oj tam. Stare dzieje. A musimy to zwiedzać? Nie ma czegoś... ciekawszego?

— Muzeum edukacji — powiedział Net. — No ale je już dziś zwiedziście.

1. RSS – rodzina języków znacznikowych do przesyłania nagłówków wiadomości. Czytnik kanałów pozwala wczytywać nagłówki wiadomości publikowanych w internecie. Nagłówek zawiera tytuł, zwięzły opis oraz link odsyłający do bardziej szczegółowej informacji. Dzięki temu użytkownik może w jednym miejscu sprawdzić np. czy na którymś z jego ulubionych blogów pojawiły się nowe wpisy. [\[wróć\]](#)
2. PRL (Polska Rzeczpospolita Ludowa) – oficjalna nazwa państwa polskiego w latach 1952–1989. [\[wróć\]](#)
3. Redaktor odmówił redakcji merytorycznej tego fragmentu. [\[wróć\]](#)



3. Wszystko naraz

Przed gablotką w hallu szkoły kłębił się spory tłumek złożony z uczniów pierwszych i drugich klas. Przyjaciele wraz w Brytyjczykami usiłowali dojrzeć, co wzbudza takie zainteresowanie.

— Są wyniki z informatyki — powiedział Oskar, wydostając się na wolną przestrzeń. — Ja zdałem, jakbyście chcieli wiedzieć. Dzięki za pomoc. — Uśmiechnął się do Neta.

Nie sposób było się dobić do gablotki. Net prychnął z niechęcią i powiedział:

— Już samo to, że nauczyciel informatyki umieszcza wydruk w gablotce zamiast na szkolnej stronie, wiele o nim mówi. — Stał na palcach, żeby zajrzeć ponad głowami innych. — No ileż można się napawać własnym nazwiskiem w gablotce?

— Ze cztery osoby zdążyły odpowiedzieć na wszystkie pytania — powiedziała Nika. — One nie były nawet trudne, więc może nie będzie tak źle.

— Wiem, że nie będzie źle, bo nie zdążyłem z trzema ostatnimi odpowiedziami. Jestem tylko ciekawy, czy ta ameba wpisała mi pięć czy pięć z plusem. Bo że szóstki mi nie dał, tego jestem pewien.

Minęło kilka minut, nim tłum rozluźnił się wystarczająco, by udało im się podejść bliżej. Lista była bez podziału na klasy, co rzeczywiście utrudniało znalezienie swojej rubryczki. Po dokładniejszym przyjrzeniu się okazało się, że nie była nawet alfabetyczna. Wyniki ułożono w kolejności od najwyższej do najniższej punktacji. Każdy musiał więc przeszukać listę, nim znalazł siebie.

— Mam trzydzieści dwie poprawne odpowiedzi — odczytał Felix.
— To daje czwórkę.

— Ja niestety trzy plus — stwierdziła Nika.

— Proszę! — Net puknął lekceważąco wierzchem paznokci w szkło.
— Trzeci wynik w całej szkole. Trzydzieści siedem punktów na czterdzieści możliwych. Byłby pierwszy wynik, gdyby nie... Zaraz! — Nachylił się, by upewnić się, że dobrze widzi. — Tu się coś źle wydrukowało, bo ja tu widzę jedynkę na końcu.

— Bo tu jest jedynka na końcu — potwierdził Felix.

— Ta ameba wstawiła mi pałę — nie mógł uwierzyć Net. — Będę musiał powtórzyć test. Noż po prostu!

Nika położyła mu dłoń na ramieniu.

— To nic nie zmienia — pocieszyła go. — Jutro poprawisz test i Eftep będzie musiał ci wstawić szóstkę. Jeśli będziesz się kontrolował, nic się nie stanie.

— Ja już się nie kontroluję. Trzydzieści siedem punktów i jedynka?

* * *

Na obiad był rosół. Celina stanęła w kolejce niby przypadkiem tuż za Aurelią i Klaudią.

— Rosół — powiedziała tak, by usłyszały. — Pycha.

Koleżanki spojrzały na nią tak, jak zwykle na nią patrzyły – jak na element otoczenia, który tylko z nazwy jest dziewczyną.

— Liczyłaś na *gaspacho* albo *chowder*? — zapytała Aurelia. — Nie ta knajpa.

— Nie no, wiem. Mówię, że mogło być gorzej. W szkole podstawowej codziennie jadłam w szkolnej stołówce. No nie dało się wytrzymać.

Zagadując je tak, poszła razem z nimi do stolika.

— Same siedzicie? — Nie czekając na odpowiedź, przysiadła się.

Aurelia i Klaudia nie były zachwycone niechcianym towarzystwem, ale nie zaprotestowały. Celina zaczęła więc jeść.

— Dobrze, naprawdę dobre — oceniła z zaskoczeniem. — Myślałam, że jedzenie w stołówce szkolnej będzie paskudne.

— To zależy od tego, do czego możesz je porównać — odparła niechętnie Aurelia.

— Dlaczego Marie nie mieszka u ciebie? — Celina starała się, by brzmiało to jak rzucone mimochodem pytanie. — Chyba taki był plan? Mówisz doskonale po francusku, a Klemens ani be, ani me.

— Tak miało być — przytaknęła Aurelia — ale... problemy rodzinne. Wiesz, różnie bywa w życiu.

— Mówiłaś, że to dlatego, że musisz się uczyć do testów — przypomniała Klaudia.

— Źle usłyszałaś. — Aurelia spojrzała na nią ze złością.

— Miałam o tym nie mówić tylko Audrey...

Celina popatrzyła na jedną, potem na drugą.

— Tak właśnie myślałam — oceniła, nabierając kolejną łyżkę. — To by się dało jeszcze pewnie odkręcić. Z tych ważnych testów została już tylko chemia. Reszta to formalność.

Aurelia spojrzała na nią ze znużeniem.

— Powiedz mi, czemu miałabym to odkręcać? Po co mam brać sobie kogoś na głowę? I tak możemy iść wieczorem do klubu, a potem nie muszę nikogo niańczyć.

— Z powodu rewizyty. — Celina pochłaniała rosół. — Pyszne. Nie pamiętam, żebym kiedyś jadła taki smaczny rosół.

Aurelia popatrzyła na nią z mieszanką politowania i kpiny.

— Nie ma w nim kawałków mięsa, ale jest na wywarze z kurczaka — powiedziała.

Celina zamarła z łyżką w pół drogi do ust.

— Mama zawsze robi rosół na samych warzywach... — Odłożyła łyżkę i zasłoniła usta. — Myślisz, że...?

Aurelia pokiwała głową.

— O Jezu... — Celina wstała od stołu i wciąż zasłaniając usta dłonią, wybiegła ze stołówki.

— Wegetarianie. — Aurelia pokręciła głową. — Biedaki żyją połową życia. — Zastanowiła się. — Myślisz, że z tą rewizytą to tak na poważnie?

— Audrey mnie już zaprosiła.

— I nic mi nie powiedziałaś?! — Aurelia spojrzała na Klaudię z pretensją.

— Nie pytałaś.

— Czyli trzeba się spieszyć, zanim zaprosi Klemensa. Celina się boi, że Marie go poderwie. Ciekawe... Bycie zazdrosnym o Klemensa, to jak obawa, że ktoś ci ukradnie kosz na śmieci.

— Ostatnio ukradli nam pojemnik na śmieci.

— To był przykład retoryczny. Zapomnij. Nie podejrzewam, żeby Marie chciała zaprosić Klemensa, ale może to zrobić z uprzejmości. Niektórzy ludzie tak mają. Jest więc mało czasu.

Musiały zakończyć rozmowę, bo Marie i Audrey przysiadły się ze swoimi talerzami. Teraz nadeszła pora na wysilanie mózgu w obcym języku.

Pani Lucyna Apis z tą samą zawziętą miną nakładała każdemu łyżkę purée ziemniaczanego, które rozpaćkiwało się na talerzu z odgłosem, jaki wydaje kalosz wpadający w błoto. Dodawała dwa pulpety, polewała sosem koperkowym i dodatkowo posypywała koperkiem. Net odebrał swój talerz i usiadł przy stoliku w głębi sali, razem z Felixem, Niką i Brytyjczykami.

— Obiektywnie patrząc, to jest niespodziewanie całkiem smaczne — stwierdził po pierwszym kęsie. — Chyba jeszcze nie ma stałej umowy ze szkołą.

William i Angus ostrożnie spróbowali po malutkim kawałeczku i pokiwali z uznaniem głowami.

— Tak, dziś nie jest kwaśne — przyznał William. — Jak postępy prac nad Bulbotem?

— Ja konstruuje część mechaniczną, a Net pisze *soft*. Dopiero w sobotę przetestowaliśmy go razem. Na sucho, bo jakoś nie możemy znaleźć odpowiedniego zbiornika.

— Jak się lepiej zastanowić — przyznał Felix — to okazuje się, że znalezienie miejsca do testów nie jest takie proste. Fontanny są za płytkie, a w stawie nie będzie widać, jak działa.

— Idźcie na basen — podsunął Angus.

— Trochę by się ludzie wystraszyli.

— Po godzinach idźcie. Możemy się wybrać z wami — dodał, zerkając na Nikę.

— To nie jest takie proste. Są kamery ochrony, alarmy...

— A nie możecie się dogadać z ochroniarzem? — zapytała Nika.

— Mówisz to w trzeciej osobie — zauważył Net. — „Możecie”? Czemu nie „możemy”? Dystansujesz się?

Nika westchnęła.

— Wydaje mi się, że zabieranie Bulbota na wycieczkę szkolną jest bez sensu. Przecież nie będziemy tam siedzieli na okrągło nad wodą. Zrobi się z tego kolejna afera. Moglibyśmy wreszcie choć raz normalnie odpocząć?

Felix i Net patrzyli na nią ze zdziwieniem.

— Frakcja niechętna nam rośnie w superpaczce — stwierdził z przekąsem Net. — Nie mów, że to początki dorosłości.

Nika pokręciła głową i zajęła się jedzeniem. Przy stoliku obok Francuzki podejrzliwie przyglądały się drugiemu daniu. Wąchały i próbowały, nabierając małe kawałeczki na czubek widelca.

— Francuzi chyba nie znają koperku — wyjaśniła cicho Nika. — To nie początki dorosłości, tylko chęć spokojnego odpoczynku.

— Marudzisz. To wystarczy do sterowania. — Net wyjął z plecaka siedmioletni tablet i pokazał Brytyjczykom. — To plus mały sterownik. Niestety napisanie programu na coś takiego nie jest proste.

— Taaa... bo skonstruowanie samego robota to jak pstryknąć palcem.

— Nie buduj martyrologii.

— Nie możecie kupić w sklepie modelarskim zwykłego nadajnika i odbiornika? — zapytał William.

— Bulbot musi być częściowo autonomiczny — odparł Felix. — Pod wodą nie będzie widać, gdzie on płynie. Zresztą zdalne sterowanie i transmisja wideo przestaną działać na pewnej głębokości.

— O jakiej głębokości mówisz?

— O około stu metrach, przy czym my będziemy na brzegu jeziora, więc fale radiowe będą miały do pokonania kilka razy dłuższą drogę.

— Zaraz... — Angus aż przerwał jedzenie. — Co to za jezioro, które ma sto metrów głębokości?

— Czerwona Hańcza, drugie co do głębokości jezioro w Polsce ¹.

* * *

Sala fizyczna, w przeciwieństwie do innych sal, nie miała ławek ustawionych w rzędy, lecz w podkowę. Centralną część zajmował solidny stół laboratoryjny, na którym wyposażenie zmieniało się w zależności od potrzeb. Pan Antoni Czwartek był nauczycielem, który wyrabiał trzysta procent normy w wykonywaniu doświadczeń. Starał się, by każdy wzór i każde wypisane na tablicy równanie przybliżyć przeprowadzonym doświadczeniem lub przynajmniej obrazowym opisem czy też rysunkiem. Tym razem na stole znajdował się przezroczysty pojemnik przypominający długie akwarium, którego wysokość i szerokość nie przekraczała trzydziestu centymetrów. Były też dwa wentylatory, coś w rodzaju dużego lejka,

metalowe pudełko na statywie, lampka biurowa, kilogramowy odważnik i szklanka wody.

— Akwarium na węgorza elektrycznego — zgadł Net. — I akcesoria do odzyskiwania prądu.

Fizyk, zajęty wypakowywaniem przedmiotów z plecaka, pokręcił głową i z boku włożył rękę do wnętrza „akwarium”. Z przodu i tyłu nie było ścianek, więc w rzeczywistości był to półtorametrowy szklany tunel.

— Przygotowałem dla was test na koniec roku — fizyk podniósł kartkę z testem, uśmiechnął się i ją przedarł — ale zdecydowałem, że nie będę go przeprowadzał.

— Ale ja się nauczyłem — zaprotestował Oskar.

— To bardzo dobrze. Mogę dać ci jeden test, rozwiązesz w domu, hobbystycznie. Teraz nie ma powodu robić testu, bo wszyscy mieliście w miarę wyrównane oceny przez cały rok. Dzięki temu mamy czas na małe doświadczenie. Ostatnie tego roku.

Spojrzenia większości chłopców wyrażały ostrożne zainteresowanie. Z entuzjazmem wśród dziewczyn było gorzej. Zosia, jako jedyna, zupełnie nie zwracała uwagi na to, co się dzieje na stole laboratoryjnym i przygarbiona rysowała wzorki w zeszycie. Nauczyciel otworzył okno i ustawił w nim wentylator w taki sposób, by wydmuchiwał powietrze na zewnątrz.

— Dzisiaj gościmy kilku uczniów z zagranicznych szkół — przeszedł na angielski. — Zapewne większość z was przyleciała tu samolotami. — Brytyjczycy i Niemka przytaknęli. Marie i Audrey niczego nie rozumiały, ale zdaje się, nie przeszkadzało im to. — Ktoś z was wie, dlaczego samolot lata?

— Ja wiem — powiedział Felix, zanim zdążył się ugryźć w język.

— Że ty wiesz, to oczywiste. Ktoś jeszcze?

Jeżeli nawet ktoś jeszcze wiedział, to na wszelki wypadek nie zamierzał się przyznawać. Czwartek wyjął z plecaka przedmiot wielkości zeszytu.

— To fragment skrzydła zepsutego modelu samolotu — wyjaśnił. — Spójrzcie, w przekroju wygląda jak rozciągnięta kropla. Z góry zdecydowanie bardziej wypukła.

Skrzydło umieścił na stojaczkę i wstawił do tunelu. Następnie z kieszeni wyjął... cygaro. Grube cygaro typu Churchill. Rozwinął je z folii, obejrzał ze wszystkich stron, włożył do ust i przypalił. Uczniowie, szczególnie Marie i Audrey, patrzyli na to w osłupieniu.

— Nie mówcie nikomu — poprosił Czwartek. — Obiecuję, że nie będę się zaciągał.

Kilka razy pyknął cygaro, by zaczęło się dobrze żarzyć, i umieścił je w podłużnym metalowym pudełku. Przysunął pudełko do początku szklanego tunelu, zasłonił lejkiem, który pasował wielkością do tunelu, przystawił drugi wentylator i włączył na najniższe obroty. Smuga dymu leniwie wlatywała z jednej strony, opływała skrzydło i wylatywała z przeciwnej, gdzie większość wyłapywał wentylator przy oknie. Jednak lekki zapach cygara i tak dawało się wyczuć.

— Jakieś pomysły, co to jest? — zapytał Czwartek.

— Tunel aerodynamiczny — odparł Felix.

Nauczyciel skinął głową.

— Bardzo niedoskonały, ale innego nie mamy.

Pilotem włączył silniki rolet wewnętrznych i na okna opuściły się czarne płachty materiału, pogrążając salę w półmroku. Roletę nad wentylatorem podwinął, by dym miał ujście. Zapalił lampkę nad tunelem aerodynamicznym, co sprawiło, że dym stał się doskonale widoczny na ciemnym tle.

— Ładnie to wygląda, ale niewiele wyjaśnia, prawda? — zapytał. — Skrzydło przecina smugę dymu. Ale zwiększmy prędkość. — Włączył wyższy bieg wentylatora. Smuga dymu nad skrzydłem zaczęła się wybrzuszać i rozszerzać. — Górna część skrzydła jest bardziej wypukła, powietrze na górze ma więc dłuższą drogę do pokonania, przez co rozrzedza się i powstaje podciśnienie. Skrzydło jest zasysane do góry. Jeśli je pochylimy... — Włożył rękę do tunelu i pochylił skrzydło przodem do góry. — Jeśli je pochylimy, siła nośna wzrośnie, ale wzrośnie też opór powietrza. Wszystkie samoloty latają na tej samej zasadzie.

— W samolocie z papieru nie ma obłych skrzydeł — zauważył Oskar.

— Słuszna uwaga. — Czwartek wyjął przekrój skrzydła z tunelu, rozejrzał się i wziął zeszyt. Włożył go do tunelu i przechylił przodem do góry. Dym zachowywał się tak samo jak poprzednio, tylko bardziej wirował na górze. — W tym wypadku różnica ciśnień jest wywoływana przez przechylenie płaskiego zeszytu. To mniej wydajna metoda, ale zasada pozostaje ta sama – różnica ciśnień. Dlatego samoloty sportowe mogą latać do góry nogami. A tu dochodzimy do kolejnego tematu. — Przechylił zeszyt odwrotnie, przodem do dołu. — Odwrócone skrzydło to na przykład spojler w samochodzie. — Stęknął, wyjął rękę z tunelu i wyprostował się. — Kto wie, po co w samochodach sportowych są spojlerzy?

— Taki bajer, żeby samochód lepiej wyglądał — rzuciła Klaudia.

— I żeby dziewczyny bardziej na nie leciały — dodał Lucjan.

— Absolutnie nie. — Fizyk zastanowił się. — No może to też, ale to temat na lekcję wiedzy o społeczeństwie, a w skrajnych przypadkach nawet na lekcję biologii. Teraz jednak zajmiemy się czysto fizyczną stroną spojlera. — Wyjął z plecaka model Astona Martina DB9 w skali 1:24² i postawił go na stole. — Z jaką siłą samochód wazący na przykład tonę naciska kołami na jezdnię?

— Z siłą jednej tony — podsunął Wiktor.

— Prawidłowo powinniśmy powiedzieć, że z siłą dziesięciu kilonewtonów, ale na to samo wychodzi. A jeśli ten samochód rozpędzimy do stu kilometrów na godzinę?

— Z tą samą siłą.

— Oczywiście. Natomiast jeśli doczepimy do samochodu bajeranckie spojlerzy z przodu, z tyłu, po bokach, to oprócz tego, że nie da się nim wjechać na krawężnik, siła nacisku wzrośnie. Spojlerzy to takie odwrócone skrzydła, które nie unoszą, tylko dociskają. Tak to działa bez spojlera. — Czwartek popchnął samochód w bok, a samochód przesunął się niemal bez oporu. — Szybko jadący samochód wypada z zakrętu. Siła docisku bolidu Formuły 1 przy dużej prędkości odpowiada nawet pięciokrotnej masie samochodu. To nie pozwala mu wypaść z zakrętu³. — Postawił na dachu samochodu kilogramowy odważnik. Pchnął samochód w ten sam sposób. Model przesunął się z wyraźnym trudem.

Za oknem przeleciał kolejny dron. Felix pomyślał, że sam Manfredowy dron byłby niezłym rekwizytem na lekcji o aerodynamice.

— A nie prościej zbudować ciężki samochód? — zapytał Oskar.

— Wtedy nie miałby odpowiedniego przyspieszenia, a z zakrętu wypadałby i tak – z powodu siły odśrodkowej. To ta siła, która próbuje wyrzucić dziecko z karuzeli, pamiętacie? A dzięki spojlerom rozpędzony samochód wyścigowy mógłby jeździć po suficie.

— Powaga? — Nie mógł uwierzyć Oskar.

— Powaga. — Nauczyciel wyjął z pudełka cygaro. — A teraz mniej przyjemna część. — Uśmiechnął się szeroko i zgasił cygaro w szklance wody. — Wzory.

* * *

Na przerwie Gilbert nie odstępował Michael na krok. Opowiadał, żartował, ona zaś się śmiała. Zosia kręciła się w pobliżu, czekając na odpowiedni moment. Gdy wreszcie Michael oddaliła się do toalety, Zosia podeszła do chłopaka.

— Musimy porozmawiać — powiedziała cicho.

Gilbert uniósł brwi.

— No, dawaj.

— Nie tak. Tak poważnie. Możemy się spotkać po szkole?

— Po szkole to średnio. Może jutro?

— Jutro będzie za późno...

Gilbert westchnął ciężko.

— Dobrze. To, powiedzmy, koło siódmej na Nowym Świecie, w tej knajpce, co byliśmy ostatnio. Może być?

— Nie dasz rady wcześniej?

— Siódma to najwcześniej. I tak mi to zaburza plan dnia.

— Dobrze. — Opuściła głowę. — Będę.

Odwróciła się i odeszła, wyminąwszy dużym łukiem zbliżającą się Michael.

— Co się stało? — zapytała Niemka. — Miała taką minę, jakby...

— Czasem miewa takie humory. — Wzruszył ramionami. — Nie wiem, o co jej chodzi. Przejdzie jej. Aha, mam te bilety do kina na piątą.

— Nie rozumiem ani słowa.

— Luz. W Polsce filmy są z napisami. Dźwięk jest oryginalny. Dzięki temu analfabeci muszą znać języki obce.

Stojąca obok Nika słyszała część rozmowy. Pokręciła smutno głowę. Stwierdziła, że to nie jej sprawa i nie będzie się wtrącać.

— Jak wy nic nie zauważacie — mruknęła.

— A co? — Net rozejrzał się po przechodzących korytarzem uczniach.

— Czego nie zauważamy?

— No właśnie. Nie chodzi o sprawy materialne.

— To o co? O duchy?

— Już nieważne.

Do opartych o parapet przyjaciół podeszli Brytyjczycy.

— Ten fizyk zrehabilitował waszą szkołę — powiedział Angus.

— W porównaniu do wczorajszej lekcji geografii to niebo a ziemia. Płacę mu jakoś specjalnie?

— Po prostu mu zależy — odparł Felix. — Dziś po szkole wgrywamy *soft* i robimy testy Bulbota. Doskonalić *soft* to możemy i rok. Bez sprawdzenia, jak to działa w praktyce, niczego nie osiągniemy. Hm... Mam nadzieję, że się wam spodoba.

Brytyjczycy przytaknęli.

— Napiszę emulator i to będzie, jakby testy odbywały się w praktyce — odparł Net. — Więc testy praktyczne możemy sobie darować.

— Więc chcesz tak po prostu wpuścić Bulbota do stumetrowego jeziora?

— Kto nie ryzykuje, ten złota nie znajduje. O, prawie się rymnęło.

— Ty ryzykujesz kopią programu, która nic nie kosztuje. A robot jest jeden.

— Niby tak — przyznał Net. — Ale gdzie ty znajdziesz stumetrowy basen w Warszawie? Ja rozumiem, półtora metra, dwa metry, ale sto?

— Nie ma takich basenów. Testy trzeba będzie przeprowadzić na małej głębokości. Ale dwa metry to trochę za mało.

Net wyjął komputer i chwilę poklikał.

— Na Żeraniu jest dziesięciometrowy... w jakimś silosie. — Otworzył szerzej oczy. — Nie zbliżę się do czegoś takiego na pół kilometra.

— Ten w Pałacu Kultury ma pięć metrów — przypomniała sobie Nika.

— To tam jest jakiś basen? Skąd wiesz?

— W podstawówce chodziłam tam na lekcje pływania.

— Dobra, niech będzie — zdecydował Felix. — Ale trzeba to zrobić wieczorem, jak już nie będzie ludzi, czyli... koło dziewiątej.

— Dogadamy się z ochroniarzem. — Net machnął ręką. — Luz, problem rozwiązany. Czyli dziś ładujemy *soft* u ciebie. Masz grilla w ogrodzie?

— Już żałuję, że nie pojedziemy z wami nad to jezioro — stwierdził Angus.

* * *

Klasa druga „a” wraz z piątką gości zebrała się przed szkołą. Towarzy-
szyło im aż czworo nauczycieli: Cedynia, CyBorek, Ekierka oraz Zuzanna
Zdrój.

— Przejdziemy na piechotę — zdecydował CyBorek. — To będzie okazja do wzmocnienia kondycji fizycznej.

— Na piechotę...? — skrzywiła się Aurelia.

Nikt nie był zachwycony pomysłem.

— Do Łazienek trzeba wchodzić od góry, od strony Alei Ujazdowskich — zaprzeczyła plastyczka. — Tylko wtedy urok tego założenia ogrodowego otwiera się stopniowo przed oczami łaknącymi piękna.

— Nie będę drałował naokoło, żeby mi się piękno otwierało stopniowo.

— Możemy przejechać autobusem — zauważyła Ekierka. — To kilka przystanków przez plac Trzech Krzyży.

— Chcecie objechać pół miasta, żeby łaknąć piękna w prawidłowy sposób? — Wuefista nabrał powietrza i głośno je wypuścił. — Weźcie dziewczyny i łaknijcie piękna autobusem. My z chłopakami pójdziemy piechotą. Spotkamy się przed tym... tym białym budynkiem, co jest na wszystkich pocztówkach.

— Przed Pałacem na Wodzie — poprawił go Cedynia.

— To właśnie miałem na myśli. Idziemy. Sprawdzimy, kto będzie pierwszy.

Włożył do ust gwizdek i w ostatniej chwili powstrzymał się przed gwizdnięciem. Machnięciem ręki nakazał męskiej części grupy, żeby szła za nim, i sam ruszył w stronę skrzyżowania. Chłopcy i Cedynia podążyli za nim. W zamieszaniu Nika zakręciła się i również poszła za wuefistą.

Dziewczyny i dwie nauczycielki odprowadziły ich wzrokiem.

— Może jednak pojedziemy od dołu — zaproponowała matematyczka. — To tylko dwa przystanki.

— Nie, w żadnym razie — odparła plastyczka. — To jak wchodzić do galerii sztuki przez okienko piwniczne.

Ekierka nie potrafiła dyskutować z tą logiką, więc cała grupa przeszła na przystanek. Czekali prawie dziesięć minut, a w tym czasie odjechały trzy autobusy w przeciwną stronę – te, które mogły ich zawieźć do dolnej bramy Łazienek. Zuzanna Zdrój w ogóle się tym nie przejmowała. Tak przyziemne sprawy były poza jej percepcją. Potwierdziła to zresztą, gdy nadjechał autobus.

Aurelia przeczytała numer linii i oznajmiła:

— Jest nasz autobus.

Celina próbowała coś powiedzieć, ale Aurelia stanęła między nią a nauczycielką.

— Nowe malowanie autobusów miejskich czyni naszą stolicę jeszcze piękniejszą — zauważyła ze sztuczną emfazą w głosie.

Klaudia spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami, za to Zuzanna poświęciła uwagę autobusowi.

— Wsiadamy! — zarządziła, gdy się zatrzymał. — Szybko, szybko, prędko.

Dziewczyny przepychały się w drzwiach, choć nie było powodu do pośpiechu.

— Ale proszę pani... — odezwała się Celina, gdy autobus ruszył. Aurelia próbowała ją uciszyć, ale tym razem się nie udało. — Ten autobus nam nie pasuje.

— Pasuje nam doskonale. Rozsiądźcie się, gdzie która zechce. Żadnego przymusu, żadnych ram.

— On skręca w przeciwną stronę — upierała się Celina.

Aurelia spiorunowała ją spojrzeniem. Plastyczka na chwilę została zmuszona do unurzania się w przyziemności i zapatrzyła się w wyświetlacz ze spisem przystanków.

— Przejeżdża przez plac Trzech Krzyży — orzekła — czyli idealnie.

— Tak, przejeżdża, ale potem skręca w inną stronę.

— Sprawdź to dokładniej — wtrąciła się Aurelia. — Sprawdź, zanim zawrócisz głowę artystce.

— Jestem pewna, bo jeżdżę tą linią do domu.

Aurelia wywróciła oczami. Nauczycielka ze zmarszczonym czołem studiowała trasę. Autobus zatrzymał się na następnym przystanku, a gdy wspinał się już Księżęcą, Zuzanna Zdrój skinęła głową.

— Tak, skręca w złą stronę. Musimy wysiąść.

— Teraz to już wysiądziemy, jak skręci — oświadczyła z ulgą Aurelia. — Ale to nawet lepiej, bo wpadniemy do jednego showroomu z najnowszymi kolekcjami, do którego nie mogę się wybrać od tygodnia.

— Nie możemy — zaprotestowała Ekierka. — Pan Borkowski z resztą klasy będzie na nas czekał.

— To zajmie dosłownie momencik. Niech pani idzie z nami. Spodoba się pani.

Gdy wysiadły, okazało się, że Ekierka nie ma wyboru. Została bowiem sama na chodniku i jedyne, na co się zdobyła, było podążenie za resztą swojej grupy.

* * *

Pan Borkowski wraz z męską częścią klasy oraz Niką snuł się po Łazienkach. Pałac na Wodzie wyglądał tak jak zawsze, amfiteatr wyglądał jak zawsze, Stara Pomarańczarnia również. Cedynia szedł na końcu i coś opowiadał o historii Łazienek, niespecjalnie się przejmując tym, że nikt go nie słucha. Grupa się wyraźnie nudziła, a wuefista był coraz bardziej podeenerwowany bezsensownym marnowaniem czasu. Co chwila zerkał na zegarek. William i Angus, nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje, zapytali przyjaciół wprost:

— Czy wy jesteście tak niegrzeczni, że musi się wami opiekować aż dwóch nauczycieli?

— Po tym, co Cedynia odwalił w Muzeum Gazownictwa, dyrektor nie chce go puszczać z nami samego — wyjaśnił Net. — A z kolei CyBorek nie opowie nam nic o zabytkach.

— A co on odwalił? — zapytał William.

— Zasnął kilka razy, potem coś wybuchło, takie tam ⁴. Zuzannę Zdrój dyr też się boi puścić samą, że jeszcze zacznie tańczyć na środku skrzyżowania albo coś.

— A po tej wczorajszej aferze, co o was wszyscy zapomnieli — dodała Nika — dyrektor chce mieć pewność, że wszystko będzie OK.

— Od godziny łazimy po parku. To jest tak średnio OK.

— Czeka, czeka — uspokoił go Net. — CyBorek zaraz pęknie, bo jest wkurzony bardziej od nas.

— I co zrobi, jak pęknie?

— A, to już trochę zależy od nas. — Net spojrział na Felixa i Nikę. — Kombinujcie, co byśmy chcieli robić dziś zamiast interakcji z łabędziami i karpami, a potem wprowadźmy to w życie.

— Zaraz przyjdzie reszta.

— Ej, no bądźmy elitą przez moment. Nafrzujemy wszystkich na nasze chciejstwa. Poćwiczmy sterowanie tłumem.

— Może Centrum Nauki Kopernik — zaproponował Felix.

— Zbyt ambitne. Może... gokarty?

— Lepiej nie — powiedziała Nika, a było to skierowane do Brytyjczyków, którzy szli teraz trawą obok alejki. — Zaraz ktoś się przyczepi.

— Nie wolno chodzić po trawie? — zdziwił się William. — Przecież trawa od tego jest, żeby po niej chodzić.

— To taka nasza lokalna polska... — Felix szukał odpowiedniego słowa — nazwijmy to... tradycja.

— Chodzi o to, że nie sprzątaacie psich kup? — zapytał całkiem poważnie Angus. — Nie można chodzić po trawie, żeby nie wdepnąć?

— Niezupełnie — wtrąciła Nika. — Chodzenie po trawie jest uważane za niekulturalne. Szczególnie przez starszych ludzi.

— Osobliwe... — Angus podrapał się po głowie. — Wszędzie, gdzie byłem, chodzenie po trawie w parku było czymś normalnym. O, ruda wieiórka!

— A jaka ma być?

— U nas najpopularniejsze są te szare, przywiezione z Ameryki w XIX wieku. Lubię rudy kolor.

Nika uśmiechnęła się. Net za to zerknął na niego czujnie.

Kręcili się w okolicy Pałacu na Wodzie. Podzielili się na mniejsze grupki. Lucjan z Oskarem i Wiktorem kilkanaście metrów od przyjaciół bawili się we wrzucanie kamyków do wody. Lucjan puszczał kaczki, ale nie szło mu to zbyt dobrze.

— Zmieniłam zdanie — powiedziała Nika. — Zróbmy coś, zanim oni wpadną na jakiś głupi pomysł.

Jej obawy potwierdziły się szybciej, niż można się było spodziewać. Lucjan upatrzył sobie nadpływające stadko kaczek i zaczął w nie celować. Ptaki nie przejmowały się śmigającymi niecelnymi pociskami.

— Puszczenie kaczek w kaczki? — mruknął Net. — Jakie to kreatywne.

Nika już miała iść do Lucjana i powstrzymać go, ale uprzedził ją wuefista.

— Lucjan!

Chłopak momentalnie spowaźniał, gdy zauważył, że CyBorek patrzy na niego. Gdy już otwierał usta, żeby zacząć się tłumaczyć, nauczyciel zapytał z niedowierzaniem:

— Spudłowałeś z takiej odległości? Tak się puszcza kaczki. — Pochylił się i przyjął pozycję przypominającą tę z rzeźby dyskobola. — Ważne jest ułożenie barków i nadgarstka.

W tym momencie zadzwonił jego telefon.

— Zuzi, nareszcie — westchnął z ulgą CyBorek. — Miałem na myśli pannę... panią Zdrój. Dobra, czekamy.

Pochylił się ponownie, wymierzył i rzucił kamieniem.

— Tak się rzu... O w mordę!

* * *

Zuzanna przeglądała sukienki w głębi sklepu i rozmawiała przez telefon. Aurelia i Klaudia wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, po czym podeszły do Celiny.

— Jak żołądek? — zapytała Aurelia z fałszywą troską w głosie.

— Przepłukany, a co? — Celina spojrzała na Aurelię, nieudolnie kryjąc nadzieję.

— Wspomniałaś, że Marie być może chętnie by się przeniosła do mnie.

Celina przytaknęła gorliwie.

— Karmi ją tam megatłustą odmianą kuchni polskiej. Nie może już wytrzymać. Dziś na śniadanie była kiełbasa podwawelska smażona z cebulą.

— Słyszałam o frankfurterkach na śniadanie. — Aurelia pokiwała głową. — Ale nie o podwawelskiej.

— Pół kilo na łebka. Do tego kanapki ze smalcem.

— Nie przesadzasz aby?

— N...ie. Nie! Sama zapytaj. Przekonaj ją, że u ciebie będzie jej lepiej.

— Taki właśnie mam plan. — Aurelia patrzyła gdzieś w bok, obracając w myślach możliwe scenariusze. — Jeśli tylko przestaniesz mi przeszkadzać, to może coś z tego wyjdzie. Nie można działać pochopnie. Zrobimy tak: dziś idziesz tam na obiad, prawda? — Celina przytaknęła. — Postaraj się więc, by Marie miała dość tego domu i tych ludzi. Jutro rano zaproponuję jej przeprowadzkę.

— Dopiero jutro? — Celina zerknęła na przeglądającą sweterki Marie. — Czemu nie teraz?

— Znajdź w encyklopedii hasło „strategia”, to zrozumiesz. Jeśli przy obiedzie się postarasz, jutro urobiona przez ciebie Marie zgodzi się natychmiast. A Klemens będzie cały twój. — Celina, nieco zawiedziona, przytaknęła. — A teraz etap urabiania wstępnego. Lepiej się nie wtrącaj i bierzmy się do robienia zakupów.

* * *

Wuefista nie bardzo wiedział, co zrobić z martwą kaczką, którą uczynnie dostarczył mu Oskar.

— Każdy człowiek ma w życiu takie chwile — powiedział — gdy stwierdza, że jest doskonalszy, niż myślał.

Znów zadzwonił jego telefon. Wetknął więc ptaka w dłoń Cedyni, który drzemał na stojąco obok śmietniczki. CyBorek chwilę rozmawiał na ubo-
czu, po czym schował telefon i oświadczył ze złością:

— Wsiadły do złego autobusu i są na Nowym Świecie. — Rozejrzał się po spacerujących wokół ludziach. — To wynik braku dyscypliny.

Cedynia rozbudził się, przeszedł kilka kroków i znów przysnął na stojąco. Trzymana za szyję kaczka bujała się w rytm chrapania.

— Jeszcze nam go tu sfilmują. — Nika wskazała ekipę telewizyjną na przeciwnym brzegu stawu.

— Śpiący na stojąco nauczyciel to nie jest ciekawy obiekt do filmowania. — Net skinął porozumiewawczo głową do przyjaciół i powiedział — będziemy się tu snuć co najmniej pół godziny. Mam pomysł.

— Już się boję.

Nad ich głowami przeleciał dron.

— Manfred! — Net pomachał dłonią, ale dron już odlatywał.

CyBorek sapnął ze złością. Spojrzał na zegarek, na Cedynię i znów na zegarek.

— Strata czasu i kondycji — ciągnął Net. — Czekanie tutaj to zwykłe marnowanie czasu. One pewnie teraz śmigają po sklepach.

— Szukają właściwego przystanku — odparł CyBorek. — Co za nieogarnięcie!

— Jak już znajdą, wsiądą do właściwego autobusu, skasują bilety, jeśli nie mają kart miejskich, dojadą tutaj, wysiądą i zaczną łaknąć piękna Łazienek stopniowo –

— Lepiej powiedz bez kręcenia, co knujesz?

Net przestał się chytrze uśmiechać. Zaraz jednak stwierdził, że jeszcze nie wszystko stracone.

— Myślałem o gokartach — wyznał szczerze. — Rozwijają kondycję, refleks, koordynację ruchową i tak dalej... Niedaleko jest tor. Zrobimy ze dwa okrążenia i wrócimy, akurat jak dziewczyny się namuszują tym stopniowym pięknem.

Reszta grupy energicznie przytaknęła. Pomysł się spodobał. CyBorek zmarszczył brwi, jakby poważnie rozważał propozycję. Cedynia ocknął się i powiedział:

— Możemy w tym czasie zwiedzić Starą Pomarańczarnię.

— Stoi dwieście lat — odparł wuefista — to postoi jeszcze godzinę. Idziemy na gokarty.

* * *

Ekierka bezradnie przyglądała się dziewczynom buszującym po kolejnym już dziale showroomu, tym razem obuwniczym. Czuła się tu niezręcznie, sukienki i spódnice w rozmiarze 34 i 36 z pewnością nie były dla niej. Jej nieśmiałe próby zaprowadzenia dyscypliny neutralizowała Zuzanna Zdrój, która wpadła w szał przymierzania. Wreszcie matematyczka zebrała się w sobie, klasnęła w dłonie i powiedziała:

— Droga młodzieży, już na nas czas. Autobus miał być za pięć minut.

— To było sześć minut temu. — Aurelia siedziała obok Marie i Audrey obłożonych otwartymi pudełkami. — Następny będzie za dziesięć minut.

— Musimy jeszcze dojść na przystanek. Pan Borkowski z panem Cedynią i resztą klasy na nas czekają.

— Eee, pewnie jeszcze idą. — Klaudia mocowała się z klamerką przy sandałku. — Kawał drogi mieli, a my ich przecież wyprzedziłyśmy autobusem.

— Mieli bliżej — zauważyła z nutką rozpaczony w głosie Ekierka. — Odłóżcie te pudełka i chodźcie. Przyjdziecie tu po lekcjach na spokojnie.

— Ktoś mi kupi te fajne czarne. — Aurelia oglądała buty ze wszystkich stron. — To ostatnia para. — Po czym dodała po francusku — przymierzcie jeszcze te. To ta sama kolekcja, co u was, a o połowę taniej.

Francuzki były zachwycone. Aurelia przynosiła im kolejne buty, zabawiała je, kierowała ekspedientkami. Celina przyglądała się temu, bez przekonania wciskając na grube łydki kozaczki, których i tak nie miała szansy zapiąć. Klaudia obracała w dłoniach buty składające się z podeszwy i cienkich różowych rzemyków.

— Kupiłabym — oceniła z niesmakiem — ale są za tanie.

— Jesteście w szkole — protestowała matematyczka. — To znaczy... w trakcie zajęć.

Aurelia zmarszczyła brwi i zacisnęła usta. Jednak gdy odwróciła się do nauczycielki, promieniała już życzliwością.

— A może pani coś sobie przymierzy. — Wstała i uśmiechnęła się do niej szeroko. — Pani też się należy coś od życia.

— Ale... ja jestem w pracy.

— Do autobusu jest dziesięć minut. — Dziewczyna zdjęła z półki zamszowe buty do półky z kozuszką w środku. — Co za różnica, czy czekamy tu, czy na przystanku?

Ekierka wzięła buty z lekką nieufnością.

— Od lat kupuję buty w tym samym sklepie — powiedziała. — I to takie same buty. Przyzwyczyłam się.

Aurelia zmrużyła lekko oczy, wskazała buty i dodała ciszej:

— Kiedyś przyszedłam w takich do szkoły, to sam dyrektor się za mną oglądał.

Matematyczka spojrzała na nią czujnie.

— Tak mówisz...?

Aurelia poważnie skinęła głową. Ekierka usiadła i nie bez trudu naciągnęła buty. Westchnęła, wstała i spojrzała bez przekonania na swoje nogi.

— Wyglądają jak ocieplane kalosze.

Aurelia została uwolniona od konieczności wymyślania kolejnych argumentów. W sukurs przysła jej bowiem Zuzanna Zdrój. Okrążyła matematykę dwa razy i aż złożyła dłonie, jak do modlitwy.

— Doskonale w nich wyglądasz, Cecylio! Jesteś wprost stworzona do takich butów.

— Nie są aby za ciepłe na lato?

— Nie neguj ulotnych praw mody! — Plastyczka chwyciła ją za ramiona i zaprowadziła do lustra. — Zobacz tylko, jak korespondują z twoją figurą. Jesteś jak krzew wiosenny, rozgrzany i senny, jak czapla na łące, jak wschód słońca nad rozlewiskiem.

Matematyczka obejrzała się ze wszystkich stron.

— W sumie, ciągle mi marzną stopy, a skoro i tak tu jestem...

Aurelia uśmiechnęła się do siebie i wróciła do Francuzek, które już zdecydowały się na identyczne, błękitne sandały. Wyjęła z torebki kartę kredytową.

— Niech to będzie prezent — powiedziała. — Taka pamiątka z Polski.

— Oj, nie powinnaś. — Marie rzuciła się jej na szyję. — Dziękujemy...

— Tu jeszcze mamy w okolicy trzy fajne sklepy, a potem pojedziemy do innego showroomu, gdzie mój ojciec często robi sesje. On jest znanym i cenionym fotografem, a nawet fotografikiem.

* * *

Wyścigi gokartowe przeciągnęły się na tyle, że nie było już sensu wracać do Łazienek, czym zresztą nikt się specjalnie nie zmartwił. Wszyscy byli poobijani, ale w doskonałych humorach, z wyjątkiem Klemensa, który zawsze przyjeżdżał na metę ostatni. Najgorzej poobijany był Angus. Wjechał w barierkę i podbił sobie oko o własną rękę. Było to niemałe osiągnięcie, zważywszy, że miał przecież na głowie kask.

Przyjaciele z Brytyjczykami dotarli do domu rodziny Polonów na ulicy Serdecznej. Felix otworzył furtkę, na co Caban zareagował szczekaniem.

— Super miałem pomysł, nie? — powtórzył chyba po raz piąty Net.

— Byłoby trochę bardziej super, gdybyś przy każdym okrążeniu nie wjeżdżał w Geralda — zauważyła Nika.

— Nie miał świateł hamulcowych. — Net machnął ręką. — Kurczę, miałem nadzieję zobaczyć Cedynię w gokarcie. To by było coś.

— Właśnie, nie było go na gokartach — przypomniała sobie Nika. — Pamiętacie, kiedy się odłączył?

Net wzruszył ramionami.

— Nie każdy musi lubić gokarty.

Felix wklepał kod odblokowujący zamek i po obowiązkowym wymianieniu psa wszyscy mogli wreszcie odłożyć plecaki, umyć się pobieżnie po wyścigach i opaść na kanapę w salonie. Felix przyniósł dzbanek soku i pięć szklanek. Odsapnęli nieco.

— Dobra, pokaż tego Bulbota — poprosił William.

Felix skinął głową i poprowadził wszystkich do swojej piwnicy. Większość ścian zastawionych było regałami z narzędziami, częściami maszyn i książkami. Pod małymi umieszczonymi wysoko oknami stał długi stół roboczy, którego fragment został zamieniony w biurko z komputerem i miejscem bardziej „czystym”. Stały tu również łóżko i stara kanapa. Na podłodze w dalszej części piwnicy panował, delikatnie mówiąc, bałagan. Mimo wszystko było tu przytulnie.

— Fajny masz pokoik — przyznał Anglik. — Wymieszany ze złomowiskiem.

— To nie jest złom — odparł lekko urażony Felix. — To wszystko czemuś służy. Kiedyś był tu warsztat taty. Gdy zaczął pracować w Instytucie Badań Nadzwyczajnych, oddał mi warsztat razem z wyposażeniem i częściami. A resztę już sam urządziłem.

Bulbot spoczywał na podstawce ze sklejk, otwarta z boku klapka ukazywała fragment jego wnętrza. Bulbot był obły, wielkości korpusu dużego

psa.

— Przypomina zabawkowy okręt podwodny ze steampunkowej bajki — ocenił William.

Rzeczywiście, Bulbot wyglądał, jakby żywcem wyjęto go z wiktoriańskich historii o zdobywcach oceanów. Zwarty, krótki kadłub z powgniatanej miedzianej blachy zakończony był z przodu półkulą, podejrzenie przypominającą część łyżki wazowej, a z tyłu wielołopatkową śrubą osłoniętą poziomym i pionowym sterem. Z przedniej części kadłuba wystawały poziome blaszane płetwy, a na samej górze znajdował się obły kiosk z wysoką anteną zrobioną z drutu. Z robota w kilku miejscach wystawały różnego rodzaju sensory.

— Miedziana blacha i elementy aluminiowe — wyjaśnił Felix. — Nitowane i lutowane, żeby zapewnić hydrodynamiczny ⁵ kształt. Polakierowałem go lakierem bezbarwnym, żeby mniej korodował.

— Nie wygląda na przesadnie wytrzymały — zauważył Angus. — Nie rozhermetyzuje się pod wodą?

— Kadłub nie musi być szczelny. On ma się napełnić wodą i tylko osłaniać wewnętrzne mechanizmy oraz zmniejszać opór wody podczas ruchu. Z początku próbowałem skonstruować kadłub hermetyczny, ale to było za trudne. Na stu metrach panuje ciśnienie dziesięć razy wyższe niż na powierzchni. Na każdy centymetr kwadratowy działa tam siła dziesięciu kilogramów. Zrezygnowałem więc z pancernej konstrukcji i hermetyczne są tylko te elementy, które muszą. Wszystkie płytki z elektroniką zaalałem żywicą epoksydową. Trudno, są już nienaprawialne, ale za to nie mają jak zamoknąć. Mam nadzieję, że się nie przegrzeją.

Angus przesunął lampę i zaświecił do wnętrza. Płaczące się w środku kable łączyły zielonkawe kostki żywicy z zatopionymi ścieżkami drukowanymi. Kostki przymocowane były do konstrukcji robota zwykłymi drutami, a z klapki wystawał banalny kabel USB. W centralnej części znajdowało się przyklepione taśmą plastikowe pudełko z grubą uszczelką. Wewnątrz spoczywał tablet, który miał sterować Bulbotem. Łączył się z serwomechanizmami przez bluetooth, więc mógł być zamknięty na głucho.

— Sam to zrobiłeś? — zapytał z niedowierzaniem Angus.

— Spędziłem nad nim ostatnie dziesięć dni.

— Dziesięć dni?! — zdziwił się William.

— No... zeszło mi się, bo miałem trochę innych zajęć. Testy w szkole na przykład.

— Dziwię się, że nie... pół roku.
— Mów mu tak dalej — wtrącił się Net. — On to uwielbia, tylko tego nie okazuje. To jak drapanie psa za uchem.
Felix mruknął coś niewyraźnie i zaczął grzebać we wnętrzu Bulbota.
— Daj laptop — poprosił po chwili. — Możemy załadować soft.
Wyjął tablet, a Net przypiął go kablem do komputera.
— Kablem będzie szybciej — wyjaśnił.
— Nawet jeśli przecieknie, to i tak nic się nie stanie. — Felix otworzył pudełko i wyjął tablet. — Pokryłem go powłoką hydrofobową. To znaczy — wyjaśnił szybko — taką, która odpycha wodę. Tak jak zatłuszczona łyżka, tylko bardziej. Woda nie wcieka w szczeliny, lecz zbiera się w krople.
— Sprytne.
— Wymyślono to jako impregnat do butów roboczych, żeby się nie brudziły. Okazało się, że jest bardziej uniwersalny. Na próbę zaimpregnowałem tym durszlak. Nie udało się odlać makaronu, bo durszlak zamienił się w miskę.
— Otwory się zalepiły?
— Otwory zostały, ale woda bała się przez nie przelecieć. Na tym polega hydrofobowość. Dopiero dziesięć sesji w zmywarce załatwiło tę powłokę. Zabezpieczyć twój smartfon?
— No nie wiem...
— Na wieczór zapowiadają deszcze.
— A co tam, psikaj. — Net podał mu swój telefon. — Sprawdzimy.
Felix pokrył Netowy smartfon sprayem i czekał, aż wyschnie. Zapisał jego telefon, ten, który z pewnością nie wymagał żadnych środków ochronnych, by wytrzymać zanurzenie. To był SMS od Laury: „Zaliczyłam! Spotkajmy się wieczorem :*”. Felix spojrzał na Bulbota, na wiadomość, znów na Bulbota, westchnął i odpisał: „Dziś nie dam rady. Jutro po szkole :*”.

* * *

Jakieś pół godziny później złożyli Bulbota i zapakowali do kontenera.
— Nie powinniście z nami iść — powiedział do obcokrajowców Net.
— Ej, czemu nie? — zapytał Angus. — Możemy się przydać.

— Lepiej, żebyście nie mieli problemów, nasze misje są często niebezpieczne i wymagają żelaznych nerwów, prawda? — Spojrzał wyczekująco na Nikę.

— Znając życie, wymyślimy jakiś misterny plan, a on rozejdzie się w szwach. — Dziewczyna poparła go bez entuzjazmu.

— I będą kłopoty. Nie możemy was w to wciągać.

— Skoro tak mówicie. — Angus posmutniał.

— To może się wydawać niegrzeczne, ale Net ma rację — przyznał Felix. — A my nie możemy odkładać tych testów. W sobotę wyjeżdżamy i Bulbot musi być gotowy.

— Dobra. — William machnął ręką. — Obejrzymy sobie jakiś polski film.

— Wrócimy, zanim skończycie oglądać — obiecała Nika.

Zarzucili plecaki, wzięli kontener i wyszli. Szybkim krokiem podążali do przystanku autobusowego.

— Trochę słabo wyszło — stwierdziła Nika.

— E tam. — Net skrzywił się bagatelizująco. — Też masz takie wrażenie, że Angus się na ciebie cały czas gapi?

Nika spojrzała na niego z zaskoczeniem.

— Nie zauważyłem niczego. On po prostu jest miły.

— Pod taką miłością coś się pewnie kryje.

Nika pokręciła głową i uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Ej, dopiero co sam mówiłeś, że jak Gilbert spaceruje z Michael pod rękę, to o niczym nie świadczy.

* * *

Zatrzymali się przed schodami Pałacu Kultury od strony Świętokrzyskiej. Felix ciągnął za sobą aluminiowy kuferek na kółkach skrywający Bulbota. Niebo ciemniało szybko. Zza drzew dobiegał jednostajny gwar miasta.

— Nie wiedziałem, że Pałac Kultury od tej strony nazywa się Pałacem Młodzieży — stwierdził Net. — Ja nawet nie wiedziałem, że Pałac Kultury ma tę stronę.

— Pałac Młodzieży istnieje od czasów, gdy nasi dziadkowie byli w naszym wieku — odparła Nika.

— Weź nie mów! Czyli od zawsze?

Felix zerknął na zegarek. Był kwadrans po dziewiątej.

— Wyczytaliście gdzieś, że w Czerwonej Hańczy leży skarb — powiedziała Nika. — I tylko na podstawie tej legendy chcecie przeszukiwać dno jeziora?

— Tak mniej więcej — przyznał Net. — Nie mam zdrowia do szukania skarbów w warszawskich podziemiach. A tam Bulbot załatwi sprawę za nas.

— Poczytałam trochę o tym jeziorze. Jest bardzo popularne wśród nurków. Gdyby coś tam było, już dawno znaleźliby to.

— E, nie mają takiego sprzętu.

— Wyposażyliśmy Bulbota w kilka eksperymentalnych sensorów — dodał Felix. — Znajdzie coś nawet pod mułem.

— A jak już coś znajdzie, to co dalej? — nalegała Nika.

— Wtedy pomyślimy.

— Chyba sami nie wierzycie w istnienie tego skarbu.

— Legenda mówi, że nazwa jeziora Czerwona Hańcza wzięła się od krwi śmiałków, którzy chcieli sięgnąć po skarb — wyjaśnił Net. — Oglądałem zdjęcia w internecie i rzeczywiście jest czerwone. Przynajmniej na niektórych zdjęciach. Skarbu pilnuje diabeł, który na wieki zatrzyma pod wodą każdego, kto spróbuje go wydobyć.

— Nie powiesz mi, że to was zachęciło.

— To nas zachęciło do skonstruowania Bulbota. Dodamy mu jeszcze sensor czarnej magii i przystawkę egzorcyzmującą. Będziemy się przyglądać jego walce z siłami zła z bezpiecznej odległości, chrupiąc opłatek i popijając go święconą wodą.

Nika nic nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową.

Ludzie wychodzili z pływalni coraz rzadziej, aż wreszcie Felix, pilnujący odstępów między wychodzącymi na swoim superzegarku, uznał, że wyszli już zapewne wszyscy. Chwycił rączkę kuferka i skinął głową, że mogą iść. Nim zdążyli zrobić pierwszy krok, z pałacu wyszła grupka roześmianych kobiet.

— Nieważne — ocenił Felix. — Jest dostatecznie pusto, by z nim pogadać.

Weszli po szerokich schodach obstawionych betonowymi donicami z czymś, co kilka lat temu było chyba kwiatkami, i pociągnęli ciężkie drewniane wrota z kwadratowymi szybkami. Wysoki na kilka metrów hall urządzony w stylu chłodnej elegancji soerealizmu odbijał echem ich kroki, choć

starali się stapać cicho. Nie na wiele się to zdało, za pierwszym zakrętem wyszli bowiem wprost na ladę stróżówki i siedzącego za nią strażnika. Wyglądał jak emerytowany leśniczy z siwymi włosami i takimiz wąsami oraz brodą. Widząc przyjaciół, zrobił groźną minę. Nie zmieniało to jednak tego, że wcale groźnie nie wyglądał. Chyba zresztą nie musiał, bo kogo miałby straszyć? O tej porze na basenie do ukradzenia była tylko woda i kafelki na ścianach. Mężczyzna wstał i wyszedł ze swojej twierdzy.

— Już zamknięte — warknął, prawie nie otwierając ust.

— Wiemy — odezwał się Felix, uprzedzając szykującego się do pogrążenia ich Neta. — Potrzebujemy właśnie pustego basenu.

— Jest w nim woda.

— No tak... Woda jest konieczna. Potrzebujemy bezludnego basenu z wodą. Chcieliśmy się zapytać, czy...

— Nie wolno wchodzić na basen. Jak nikogo tam nie ma, to nie ma też ratownika.

— Nie potrzebujemy ratownika.

Tymczasem Net dyskretnie przesuwiał się między strażnikiem a jego stróżówką w stronę wejścia na basen. Tak przynajmniej można było sądzić po zapachu.

— Wyłaź mnie stamtąd — warknął strażnik i Net w dwóch podskokach znalazł się obok przyjaciół. — Każdy potrzebuje ratownika. Nie ma ratownika, nie ma pływania.

— Naprawdę —

— My właśnie w tej sprawie — Net wszedł Felixowi w słowo. — Chodzi nam o pusty basen, bez ciekawskich spojrzeń. Nie będziemy tam pływać.

— Naprawdę nie chodzi o pływanie — poparła go Nika. — Chcemy przeprowadzić pewną próbę. Nie zanieczyścimy wody, obiecujemy.

Strażnik spurpurowiał na twarzy i dramatycznym gestem trzęsącej się ze wzburzenia dłoni wskazał im drzwi.

— Nie u mnie takie bezceństwa! — wykrzyknął. — Wynocha, zanim wezwę milicję ⁶!

* * *

W windzie Celina wcisnęła się między Marie a Klemensa. Od jednego i drugiego była niższa o głowę. Zrezygnowała więc z zadzierania jej i tylko

obserwowała ich odbicia w mijanych okienkach pięter. Ciszę przerywały kliknięcia styków kabiny na każdej kondygnacji.

Mama Klemensa otworzyła im w fartuszkach i ze ściereczką w dłoni.

— Witajcie, kochani. — Usunęła się na bok, by ich wpuścić. — Obiad zaraz będzie gotowy.

Uśmiechała się jak zawsze od ucha do ucha. Tu wszystko kręciło się wokół jedzenia. Pod koniec obiadu zaczynało się mówić o kolacji.

Zapach gorącego tłuszczu, który przywitał ich od progu, zwykle Celinę odrzucał. Tym razem jednak uśmiechnęła się. Dziś ten zgubny nałóg państwa Rajkowskich, którego objawem był zapach, miał się stać jej sprzymierzeńcem. Dyskretnie upewniła się, że Francuzka straciła humor i minimalnie zacisnęła usta, jakby chciała w ten sposób zabezpieczyć się przed obiadem. O nie, nie uda się, na pewno nie dziś.

Marie poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Celina była pewna, że otworzyła tam okno i wdycha powietrze wolne od kuchennych aromatów.

— Ty pewnie chcesz bez smalcu? — usłyszała pytanie.

Mama Klemensa traktowała wegetarian jako kogoś, kto nie lubi mięsa i z tego powodu je go mało. Tłumaczenia, że wegetarianie nie jedzą mięsa w ogóle ani nawet zwierzęcego tłuszczu, było zbywane uśmiechem i machnięciem ręki. Już się przyzwyczała, a nawet polubiła te przekomarzania. Dziś jednak...

— Może być podwójna porcja smalcu z cebulką i skwarkami — powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. — Jesteśmy padnięte po całym dniu. Marie też na pewno się ucieszy.

— Och, to świetnie! — Gospodyni odwróciła się na pięcie i pobiegła do kuchni. — Już kroję cebulkę.

Celina źle się czuła w takiej roli, ale cóż było robić? Innego sposobu na odsunięcie frankońskiego zagrożenia od Klemensa nie znała. Musiała ufać Aurelii, bo ta najwyraźniej wiedziała, co należy robić. Tylko to nie Aurelia będzie siedziała nad talerzem pełnym niezjadliwego białka zwierzęcego. To się da w ogóle trawić?

Zostało jeszcze kilka minut. Celina popchnęła Klemensa do jego pokoju, weszła za nim i zamknęła za sobą drzwi. Chłopak z niewyraźną miną cofnął się aż pod okno. Jego pokój, podobnie jak reszta mieszkania, sprawiał wrażenie ciasnego i obstawionego szafami i półkami, choć tak naprawdę nie było tu ani ciaśniej, ani nie znajdowało się tu więcej sprzętów

niż u Celiny. To tylko mieszkańcy byli więksi. Szczerze mówiąc, wrażenie ciasnoty potęgowały klatki z chomikami, które zajmowały pół regału.

— Umowa była jasna. — Dziewczyna opierała się o największą klatkę. — Miałeś wziąć brzydszą.

— No ale one są takie same. — Klemens rozłożył ręce.

— Właśnie! Więc nie dotrzymałeś obietnicy. Umowa jest nieważna. Pozbądź się jej.

Chłopak spojrział przez okno na podwórko osiem pięter niżej.

— No co ty, ktoś zauważy...

* * *

Przyjaciele znów stali u podnóża schodów prowadzących do Pałacu Młodzieży. Było już całkiem ciemno i robiło się chłodno.

— No i lipa — odezwał się Net. — Ale za to wiemy, gdzie się ukrywa Święty Mikołaj poza sezonem.

— Byłoby łatwiej, gdybyś się nie odzywał i dał mi mówić — odparł Felix.

— Przecież ty nawet nie wspomniałeś o pieniądzach! — odpalił Net. — I po co była ta ściepa? Nawet łapówki nie potrafimy dać. Zresztą wkurzyła go Nika, nie ja.

— Nieważne. Nici z testu.

Net uśmiechnął się szeroko i uniósł w dłoni coś błyszczącego i brzęczącego.

— Co to jest? — zapytała Nika.

— Klucze. — Net wyszczerzył zęby. — Zapasowe klucze z tej jego kanciapy.

— Nie wierzę. — Nice opadły ramiona. — Chcesz nas władować w kłopoty tuż przed końcem roku?

Felixowi również nie podobał się plan włamywania się na basen, jednak nie chciał też wracać z niczym. Popatrzył na kuferek, na wejście i powiedział:

— Wątpię, żeby on patrolował wszystkie korytarze. Na sam basen nikt nie zajrzy aż do rana, ale trudniej się tam będzie dostać.

Nika tylko westchnęła.

— Jest tylne wejście — powiedziała. — Chodźcie.

Ucieszony Net ruszył za nią. Nieco mniej ucieszony Felix szedł na końcu, ciągnąc kuferek. Dawno temu przerobił go z kontenera na profesjonalny wzmacniacz gitarowy, dorobił wysuwaną rączkę do ciągnięcia, a gumowe kółka umocował za pomocą wahaczy, drążków McPhersona^Z i pneumatycznych amortyzatorów, których rolę pełniły dwie piłeczki tenisowe. Ta pieczołowitość konstrukcyjna czasem się przydawała – kuferek, w przeciwieństwie do zwykłej walizki na kółkach, gładko toczył się po nierównościach chodnika.

Obeszli skrzydło pałacu i dotarli do dwóch bram ukrytych w portalach obok Sali Kongresowej. Za szlabanem niestety znajdowała się budka strażnika.

— Tu też jest strażnik — stwierdził z rozczarowaniem Net. — I ten jest taki jakby bardziej prawdziwy. Teraz to już lipa.

— Jest pewna szansa, że się uda. — Felix wskazał kierowcę, który na wewnętrznym dziedzińcu ładował do furgonetki pudła. — Wystarczy zaczekać.

Ustawili się tak, żeby strażnik ich nie widział. Po chwili usłyszeli uruchamiany silnik.

— Teraz! — zarządził Felix.

Weszli w wyjazd z dziedzińca akurat w momencie, gdy furgonetka zatrzymała się przy okienku strażnika. Schylili się i przemknęli pod osłoną pojazdu. Dalej było już łatwo, gdyż kilka zaparkowanych samochodów dawało im osłonę. Na razie jedynym niebezpieczeństwem mogły być kamery, ale tych nie było widać.

— I gdzie te drzwi? — zapytał Net.

— Nie wiem. — Nika rozglądała się.

— Mówiłaś, że wiesz.

— Mówiłam, że jest tylne wejście. Wiem, jak tam trafić od środka, ale nigdy przez nie nie przechodziłam.

— Dużego wyboru nie ma. — Felix wskazał drzwi za samochodami. — Jeśli to nie te, będziemy musieli wyjść na otwartą przestrzeń. Zaczniemy więc od nich.

Podeszli do drzwi, ciężkich, ale noszących ślady częstego używania.

— Wygląda na to, że nie ma alarmu.

— Jesteś pewien? — Net stracił większą część pewności siebie.

— Nie ma pewności, że alarmu nie ma — odparł Felix. — Można za to zyskać pewność, że jest, jeśli zacnie wyć.

— Dzięki... — Net przeglądał klucze, żeby sprawdzić, który wyglądem najbardziej pasuje do otworu w zamku.

— Nie mogę uwierzyć, że to robimy — szepnęła Nika.
Net włożył klucz w zamek i przekręcił.

* * *

Zamek otworzył się z ledwo słyszalnym kliknięciem, które Celina zamaskowała głośniejszymi słowami:

— Nie masz jej wyrzucić przez okno! Masz ją wyeksmitować.

— Ale... jak? — Klemens rozłożył ręce.

— Tak jak zaprosiłeś, tylko odwrotnie. To twój problem.

Chomiki doskonale znały dźwięk otwieranego zamka klatki i już się ożywiały, szykując się na odrobinę turystyki pokojowej. Dreptały po klatce, skacząc po sobie nawzajem i robiąc sporo zamieszania. Klemens nie zwracał na to uwagi, zbyt zestresowany rozmową.

— Nie mogę jej wystawić walizek przed drzwi. No i... to przecież tylko wymiana międzyszkolna.

— Widzę, jak ona na ciebie patrzy.

Klemens wydał usta i znów rozłożył ręce.

— Jak patrzy? Prawie wcale nie patrzy.

— Już ty wiesz, jak patrzy.

Klemens nie wiedział. Nie wiedział nawet, czemu zawsze miła Celina nagle zachowuje się w ten sposób. Nie wiedział, co powinien zrobić w tej sytuacji. Może dać jej jakieś lekarstwo, żeby była jak przedtem? Rękawem starł pot z czoła, zastanawiając się, co powiedzieć.

— Myślę, że Marie niespecjalnie mnie lubi — wyrzucił z siebie wreszcie.

— Pewnie udaje!

— Oobiad! — rozległo się z kuchni.

Celina głową nakazała Klemensowi, żeby wyszedł pierwszy. Upewniła się jeszcze, że drzwiczki klatki chomików są uchylone, i też opuściła pokój. Pora na ostateczne rozwiązanie kwestii francuskiej.

* * *

Alarmu nie było. Po pokonaniu korytarza i dwóch zakrętów stanęli przed kolejnymi drzwiami, zza których ewidentnie dochodził zapach

basenu. Net włożył w zamek kolejny klucz i po chwili znaleźli się w szerokim korytarzu wyłożonym białymi kafelkami. Gdzieś przed nimi były przebieralnie, po lewej natryski i wejście na sam basen. Panował tu półmrok rozjaśniany jedynie słabymi światełkami znaków ewakuacyjnych. Przyjaciele nie wiedzieli, gdzie jest kanciapa strażnika, więc na palcach weszli do pomieszczenia z natryskami.

Net spojrzął na Felixa z kuferekiem na kółkach i powiedział:

— Wyglądasz, jakbyś się bardzo zgubił.

— To znaczy? — Felix nie załapał.

— Dworzec Centralny to w tamtą stronę. — Wskazał kciukiem za siebie i zaśmiał się z własnego dowcipu. Przekroczył brodzik i zatrzymał się. Basen oświetlony był tylko słabymi lampami ukrytymi za filarami, które podpierały wysoki strop. Górne oświetlenie, zajmujące większą część sufitu, było wygaszone, za to pod powierzchnią wody paliło się kilka lamp, rzucających ruchome cienie na kamienne ściany i trybuny. Na końcu wznosiły się trzy trampoliny. Woda już uspokoiła się po ostatnich pływakach.

— Magiczne miejsce — szepnęła Nika, stając obok przyjaciela. — Zawsze mi się tu podobało, ale teraz, jak jest pusto...

Net nerwowo przełknął ślinę.

— Ten kąt załamania światła na powierzchni wody... — powiedział — jest mocno niepokojący.

— Przecież nauczyłeś się pływać na basenie. — Felix z trudem przeniósł kuferek nad brodzikiem.

— Ale nie na takim głębokim!

— Ćśśś... — Nika przyłożyła palec do ust.

— Zdejmijcie buty — rzucił Felix.

— Nie będę tupał — stwierdził Net. — No i przecież sam mówiłeś, że cieć tu nie przyjdzie.

— Chodzi o to, żeby nie nabrudzić.

— Mam czyste buty.

— I żeby nie zostawić śladów.

— A, no tak. — Net rozwiązał trampki i postawił je pod ścianą. — Oj, zimno.

Felix i Nika też zdjęli buty, dziewczynie zajęło to znacznie więcej czasu, i podeszli do krawędzi basenu.

— Nie chciałbym do niego wpaść — mruknął stojący krok za nimi Net.

— Nie chciałbyś do niego wpaść, gdyby był pusty — poprawił go Felix.

Przyklęknął przy kuferku i otworzył wieko. Wewnątrz, w stelażu zrobionym ze sztywnej gąbki, leżał Bulbot ze zdemontowanymi sterami poziomymi. Chłopcy wyjęli ważącego dwadzieścia kilo robota i postawili na kafelkach. Kadłub w spodniej części miał dwie podłużne płozy, dzięki którym mógł stać na twardym podłożu. Dopóki ktoś go nie trącił, rzecz jasna. Felix dokręcił płaskie stery boczne i odłożył śrubokręt. Otworzył klapkę z boku. Potem, przyciskiem osłoniętym przed wodą elastycznym kapturkiem, włączył zasilanie i skinął na Neta, by pomógł mu włożyć Bulbota do basenu.

Net pokręcił głową.

— Nie podejść do wielkiej wody.

— Sam mam go targać?

Po obu stronach wieżyczki dokręcone były metalowe uchwyty, a na jej szczycie ucho do podwieszania na haku. Net popukał w nie palcem.

— Mógłbyś skonstruować jakiś dźwig, żeby wodowanie przeprowadzić tak jakoś, ja wiem, z bezpiecznej odległości.

— Wtedy cały ten kuferek ważyłby nie dwadzieścia, lecz pięćdziesiąt kilo.

— Przecież i tak będziemy go nosić razem. Co mogłoby się stać, żebym nie pojechał? Kaska wplacona, na przeziębienie się nie zanosi.

— Nieważne. Staram się przewidywać różne sytuacje.

Nika podeszła i chwyciła jeden z uchwytów.

— Nie no. — Net odsunął jej rękę i sam chwycił Bulbota. — Nie będziesz mi tu dźwigać ciężarów.

Podnieśli Bulbota i z trudem przemieścili go na krawędź basenu.

— Może go... wkopniemy — zaproponował Net.

Felix spojrział na Neta tak, jakby to jego chciał wkopnąć do wody.

— Może najpierw przyczepić do niego sznurek — zaproponowała Nika. — Jak coś nawali, to nie będzie go jak wyciągnąć.

— Można by — zastanowił się Felix. — Ale... jeszcze się zaplącze. Bulbot ma zabezpieczenie. Jeśli przestanie działać silnik lub wyczerpią się akumulatory, to z wieżyczki wysunie się mały balon wypełniony powietrzem pod ciśnieniem. W wodzie się rozpręży i wyciągnie Bulbota na powierzchnię. Jest też migająca dioda. Ten system powinien zadziałać nawet przy ciśnieniu dziesięciu atmosfer.

* * *

Atmosfera przy stole była mieszana. Tata Klemensa siedział milczący i trochę nieobecny. Co chwila odwracał się, by zobaczyć, co ciekawego dzieje się na ekranie przyciszonego telewizora. Mama zagadywała wszystkich, nie przejmując się tym, że Marie niczego nie rozumie, i podśmiewała się ze wszystkiego, nawet z kropli tłuszczu, która spadła jej na fartuch.

— To na szczęście. — Postawiła na stole wazę z żurkiem. — Od tego jest przecież fartuch.

Celina zerknęła to na Klemensa, to na Marie, by wypatrzeć... Ba! Potwierdzić łączącą ich nić sympatii, którą na razie doskonale skrywali. Marie patrzyła z niepokojem na wazę zupy, która wprawdzie pachniała przyjemnie, ale z pewnością okaże się niezwykle tłusta i nie da jej się zjeść. Klemens znajdował się gdzieś pomiędzy przyjemnością jedzenia, która zaraz nastąpi, a obawą o dalsze dziwne zachowanie odmienionej Celiny. Dopiero gdy chochła gęstego żurku wylądowała na jego talerzu, pierwsze uczucie wzięło górę.

— Zupa według przepisu mojej mamy — powiedziała mama Klemensa i na chwilę przestała się uśmiechać. — Zawsze nam go robiła przed wyjazdem na wakacje. Ech... Robiła żurek, żebyśmy mieli energię na podróż. — Wytarła wyimaginowaną łzę rąbkiem fartucha. — Święta kobieta z niej była.

— Ha! — niespodziewanie ożywił się tata. — Polonez 1500 to był samochód! — oznajmił rubasznym tonem. — Tylko łać benzynę i jechać. Żadnych awarii w drodze nad Balaton i z powrotem.

Po tej krótkiej wypowiedzi westchnął, przestał się uśmiechać i zabrał się do jedzenia.

— Pamiętam, jak jedliśmy wtedy po drodze żurek ze słoików. — Żona pogłaskała go po głowie i usiadła, by również jeść. — Zabrakło go już w Rumunii.

Celina wychylała się co chwila, by w ciemnym przedpokoju wypatrzeć chomika, lub najlepiej wiele chomików.

* * *

Ciemny kształt przemieszczał się w wodzie. Net trzymał laptop, Felix zaś pilot zdalnego sterowania. Bulbot pływał powoli, jak bardzo senna ryba,

niemniej pływał. Zanurzał się i wynurzał, zgodnie z poleceniami wysyłanymi z pilota zdalnego sterowania. Niestety każde zdecydowane użycie sterów sprawiało, że zwalniał jeszcze bardziej.

— Coś nie bagła — powiedział Net. — Jak sardynka skręca, to nie musi się przy tym zatrzymywać.

— Czyli problem ze sterami jest bardziej złożony — zastanowił się Felix. Na trzymanym w dłoni pilocie wcisnął przycisk „auto”. — Zobaczmy, jak radzi sobie sam.

Bulbot chwilę płynął jeszcze prosto, po czym obniżył się nad samo dno, skręcił w lewo i zapalił reflektor.

— Mało dyskretna metoda przeszukiwania jeziora — zauważyła Nika.

— Wykorzystuje wszystkie sensory — odparł Net. — Się poprawi...

Obserwował okienko transmisji z kamery Bulbota na laptopie. Obok w regularnych odstępach co chwila pojawiał się komunikat o odnalezionym podejrzanym przedmiocie.

— Znalazł już kilkanaście skarbów. — Net zmarszczył czoło. — Jakieś pływakowi rozpruła się tam sakiewka ze złotem.

— To pręty zbrojeniowe spod dna basenu — odparł Felix. — W jeziorze ich nie będzie. Ale z reflektorem trzeba coś zrobić.

Bulbot zawrócił przed ścianą basenu, zatrzymując się przy tym niemal zupełnie, i kontynuował przeszukiwanie w drugą stronę.

— To działa. — Net podszedł bliżej krawędzi, by lepiej widzieć.

Robot przepłynął w ten sposób do głębszej części basenu, gdzie niespodziewanie skręcił, zgasił reflektor i wpadł na ścianę.

— Co jest? — Net zrobił jeszcze pół kroku. — Podpłynął na tym autopilocie do samej ściany. — Chłopak stanął na krawędzi basenu. — Wcale się nie boję... — Zerkał to na wodę, to na ekran laptopa. — Zatrzymał się. A nie, próbuje przepłynąć przez ścianę. Co za kretyn! Uh... jakbym stał na gzymsie Empire State Building.

Patrzył w dół, trochę zafascynowany tym, że stoi na samej krawędzi basenu. W tej fascynacji przegapił moment, w którym jego środek ciężkości znalazł się tuż za krawędzią. A chwilę później leciał już ku tafli wody. Ostatnie, co zrobił, to rzucił Felixowi laptop, czy też może nim – kanciąstym frisbee – w Felixa. Plusk wody szybko ucichł i zamienił się w głuchy dźwięk ulatujących w górę bąbelków. Nigdy nie był grzecznym dzieckiem. Potwierdzała to cała ta akcja z Marysią z przeciwka, której warkoczyki w tajemniczy sposób połączyły się końcówkami za pomocą paczki gumy do

żucia. A potem jeszcze rowerek Krzysia, tego miłego chłopca z trochę krzywym uchem, który to rowerek w kilka minut zmienił kolor na czerwony, wraz z kawałkiem ściany i Netowymi dłońmi. Ileż to było szorowania, żeby ta farba zeszła ze skóry! Kto w przedszkolu podpalił tablicę pamiątkową? Tego nikt nie wydedukował. Podobnie jak nikt nie odkrył, kto wrzucił kapi-szony do grzejnika elektrycznego w te ferie zimowe, gdy Net uczył się jeździć na nartach. Tata miał podejrzenia, ale nie znalazł dowodów. Podstawówka i wysmarowane masłem schody, żeby poczet niosący flagę się wyłożył. Nie wyłożył się, za to Marysia, ta słodka Marysia, stłukła sobie łokieć. Wyrzuty sumienia. Impreza rodzinna z tortem, w którym przypadkiem znalazło się pół butelki sosu chilli, i wycieczka rodzinna za granicę, gdzie po raz pierwszy na poważnie się zgubił. Potem gimnazjum, w którym pojawiła się ta ruda dziewczyna, która początkowo wydawała się tak wkurzająca...

I wtedy zapanowała jasność tak intensywna, że widział ją mimo zamkniętych oczu.

* * *

Marie otworzyła wreszcie oczy, ale sytuacja na stole prezentowała się jeszcze gorzej niż wczoraj, bo doszła do tego marchewka zasmażana. Rano Francuzka próbowała powiedzieć pani domu, że do normalnego życia potrzebuje warzyw. Narysowała nawet marchewkę, licząc na to, że na stole pojawi się sałatka lub przynajmniej surowa marchewka. Niestety, na półmisku leżała pokrojona w kostkę marchewka, rozgotowana i zatopiona w mieszance rozpuszczonego masła i mąki.

Pani Rajkowska postawiła na stole tacę z górą kotletów mielonych.

— Wczoraj zrobiłam za dużo tych kotletów. Moje kruszynki — pieśczośliwie uszczypnęła Klemensa w policzek — nie zjadły wszystkiego.

Celina posłała mu groźne spojrzenie. Chłopak udawał, że podziwia sufit. Dopiero kopiasta łycha ziemniaków lądująca na jego talerzu przywróciła mu chwilowe poczucie szczęścia.

— Mieliliśmy dziś rano w piekarni zabawną sytuację — ożywił się znów tata Klemensa. — Rudy Robert, ten – wiecie – co nie wymawia „r” –

— Opowiadałeś to wiele razy — przerwała mu żona. — Kto chce więcej zasmażki?

— Ale to z Robertem wydarzyło się dziś rano — próbował protestować gospodarz. — Ja chcę więcej.

— Daj spokój, misiu. Przecież jemu co najmniej raz w tygodniu guma do żucia wpada do kadzi mieszalniczej.

— Tak, to się zdarza, jak się nie ma górnej jedyńki — podsumował pan Rajkowski i stracił ochotę na opowiadanie czegokolwiek.

— Dla ciebie, cukiereczku? — Pani domu spojrzała na Celinę i zachęcająco uniosła łyżkę ociekającą płynnym smalcem.

Celina chciała odpowiedzieć to, co zawsze, czyli że jest wegetarianką, ale przypomniała sobie, że sama nalegała na smalec z cebulką i skwarkami. Skinęła więc tylko głową. Zostawiła zastanawianie się, jak z tego wybrnie, na później. Zerknęła wciąż w stronę przedpokoju.

Chomiki nie nadciągały.

* * *

Jasność. Jasność. Net otworzył oczy i od razu je zmrużył. Był w innym miejscu, jasnym miejscu. Może w innym świecie. Leżał z głową na czymś miękkim, a coś jeszcze bardziej miękkiego i delikatnego masowało go po twarzy. Było bardzo miło. Pachniało... basenem.

Otworzył oczy, zrozumiał, że jasność pochodzi z lamp, które świecą mu z sufitu prosto w oczy. Leżał z głową na kolanach Niki, która wycierała mu włosy. Ręcznikiem.

— Zaraz... — Netowi coś nie pasowało. — Skąd masz ręcznik?

— Od dziewczyn.

Spojrzał w bok. W wodzie w idealnym porządku krążyło sześć rekinów, które zamiast płetw grzbietowych miały damskie nogi, w dodatku poruszające się w jednym rytmie.

— Jestem w niebie? — zapytał.

— Nic ci nie jest — odparła uspokajająco Nika. — Nawet nie napiłeś się wody.

— Jak to nie? Byłem w stanie śmierci klinicznej.

— W stanie paniki klinicznej, co najwyżej.

— Więc co to jest? — Net wskazał basen.

Odpowiedź nadeszła sama. W miejsce nóg pojawiły się głowy w zielonych czepkach, po czym sześciokąt rozpadł się.

— Kobieta kaczka — powiedział Net, wciąż trzymając głowę na kolanach Niki.

Najbliższa dziewczyna w zielonym czepku zdjęła pomarańczową zatyczkę z nosa i oparła się o brzeg basenu, ukazując całkiem przyzwoitą muskulaturę.

— Jesteśmy z sekcji figurowej — wyjaśniła.

— I nie zauważyłyście, że wam lodowisko stopniało? — odparł odruchowo Net.

— To taka nasza nazwa slangowa — odparła dziewczyna. — Ćwiczymy pływanie synchroniczne, nie jazdę na łyżwach.

— Kurna, żartowałem przecież. — Net uniósł się na łokciu. — Fajne pletwy robiłyście.

— Czyli już z nim OK. — Dziewczyna uśmiechnęła się i odpłynęła do pozostałych.

Net usiadł i zauważył, że spódniczka Niki jest zupełnie mokra.

— O, pomocyłem cię, *sorry*. — Przeniósł wzrok na pływaczkę, jedną z sześciu, teraz zupełnie nieodróżnialnych. — Widzieliście jej bary? — zapytał szeptem. — Jak u operatora koparki ręcznej. To ona mnie wyciągnęła?

Nika wstała gwałtownie. Net dopiero teraz zobaczył, że dziewczyna jest mokra cała, łącznie z włosami.

— Ty też wpadłaś? — zapytał.

Nika spojrzała na niego z politowaniem zmieszonym ze złością.

— Ona cię wyciągnęła — podpowiedział Felix, nie odrywając wzroku od laptopa.

— Aha... — Net wstał. — To... ten... dzięki. — Podeszedł i klepnął Nikę w ramię, aż chlapnęło z kurtki. — Ja bym dla ciebie zrobił to samo.

Dziewczyna patrzyła na niego wyczekująco.

— Och. — Objął ją i pocałował. — Dzięki. Kurde, w szoku widocznie jestem. Było usta-usta? Daj, to ci wymnę kurtkę. Zaraz... — odwrócił się do Felixa. — A ty dlaczego jesteś suchy?

— Przyniosłem koło ratunkowe. — Felix, wciąż gapiąc się w ekran Netowego laptopa, wskazał głową w bok, na leżące tam koło.

— Jak chciałeś mi je rzucić na dno?

— To nie wyglądało, jakbyś tonął, tylko jakbyś nurkował. Płynąłeś, tyle że w stronę dna.

— Dzięki za zachowanie zimnej krwi i fachową ocenę sytuacji... O jeżu, straciłem orientację, gdzie jest góra, a gdzie dół.

— W mętnej wodzie można puścić z ust trochę powietrza. Bąbelki zawsze unoszą się w górę.

— Ale ta woda nie jest mętna — zauważyła Nika. — Dlaczego więc płynąłeś w dół?

— Teraz pamiętam! To wszystko było tak straszne, że zamknąłem oczy. Ciekawe, na jakiej głębokości bym się zorientował.

— Na pięciu metrach — podsunął Felix. — Tam jest dno.

Net mruknął coś niewyraźnie i popatrzył po sobie.

— Trudno to będzie wytłumaczyć w domu. Jak... wyglądam?

— Bez tej sterczącej strzechy masz bardzo małą głowę. — Nika uśmiechnęła się. — Widziałeś filmiki z kąpania kotów?

Net nie był rozbawiony. Wyjął z kieszeni ociekający wodą portfel i smartfon, któremu, o dziwo, kąpiel nie zaszkodziła.

— Nie wierzę — powiedział. — Nie powinien tego przeżyć.

— Spray hydrofobowy — wyjaśnił Felix.

— Na coś się przydają te twoje odpaly technologiczne. — Zmarszczył brwi i obejrzał się na tańczące w wodzie pływaczki synchroniczne. — A jak one tu w ogóle weszły?

— Płacą strażnikowi, żeby mogły ćwiczyć — odparła Nika, wyżymając brzeg spodniczki. — Nie stać ich na wynajęcie basenu w dzień.

— Widzicie? Widzicie? — Net odwrócił się do przyjaciół. — A my nawet łapówki dać nie potrafimy.

— Superpaczka nie daje łapówek — odparła Nika.

— Z tego samego powodu, dla którego nie lata na Księżyc — bo nie potrafi.

— Jestem pewien, że byś sobie poradził — wtrącił Felix.

— Moralność nie polega na tym, że czegoś nie potrafi się zrobić — stwierdziła Nika. — Moralność polega na tym, że nie robi się czegoś, choć to możliwe.

— E tam. A gdzie Bulbot?

— Nadal na dnie. — Felix wskazał głową basen. — Nie reaguje na sygnały. One go jeszcze nie zauważyły.

— To na co czekamy? Mogłyby go wyciągnąć.

— Mogłyby — przyznał Felix, patrząc na ekran. — Ale po co im przeszkadza w ćwiczeniach?

Net przysunął się i też zerknął. Transmisja z kamery leżącego na dnie Bulbota ukazywała od dołu pływające synchronicznie dziewczyny.

— Rzeczywiście... nie ma pośpiechu. — Net usadowił się obok. — Jak sobie jeszcze chwilę tam poleży, nic się nie stanie.

* * *

Marie z trudem jadła kotlet. Dobrnęła ledwie do jednej trzeciej, nie tknąwszy nawet ziemniaków z okrasą ani marchewki, gdy gospodarze już skończyli. W tym czasie Celinie udawało się wykonywać działania pozorowane – gmerała w ziemniakach, przesuwiała rozciapany kotlet. Zjadliwa była jedynie marchewka. Pani Rajkowska czekała, aż goście skończą, jednak widząc tempo jedzenia, uśmiechnęła się przepraszająco, wstała i poszła do kuchni. Jej mąż już bez skrępowania przesiadł się na fotel i zajął się oglądaniem wiadomości telewizyjnych. Celina posłała Marie współczujące spojrzenie, wskazała brodą na swój talerz i zrobiła minę „ja też się męczę”. Potem spojrzała na Klemensa w taki sposób, że ten się przygarbił.

— Bułeczko, załadujesz zmywarke? — zapytała mama. — Muszę już iść do piekarni.

Klemens z ulgą wstał i zaczął zbierać ze stołu naczynia.

— Wy, kluseczki, sobie kończcie spokojnie — dodała, zrzuciła fartuch, wsunęła buty i wyszła.

Celina, która prawie nie tknęła swojego dania, choć bardzo je przekonfigurowała, spojrzała na Marie jak na współtowarzyszkę niedoli, objęła brzuch, po czym wyjęła z kieszeni małe pudełko z lekarami. Pokazała na talerz, na brzuch i na pudełko. Połknęła jedną tabletkę i podała Marie. Francuzka wzięła nieufnie żółtą tabletkę i włożyła ją do ust. Popiła kompotem, trzy razy za słodkim, i z miną skazańca wróciła do wpychania w siebie kotleta. Pokiwała głową, że pomogło.

Tabletki w rzeczywistości były witaminą C.

Celina aż drgnęła, gdy w ciemnym końcu przedpokoju pojawił się jasny zarys pierwszego odważnego chomika. A więc zbliża się ten moment! Uśmiechnęła się sama do siebie, czując drzenie ekscytacji, jakie musi chyba towarzyszyć każdemu, kogo plan się powiódł. No, prawie się powiódł. Odruchowo włożyła do ust kawałek kotleta i zaczęła go gryźć. Zorientowała się, co zrobiła, gdy połknęła pierwszy kęs.

* * *

Idealna synchronizacja ruchu sześciu dziewczyn wyglądała na ekranie laptopa jak obraz z kalejdoskopu. Nika spojrzała na to, nim Net zdążył zasłonić ekran, i pokręciła głową.

— Idę się trochę wysuszyć — powiedziała. — Lepiej je poproście, żeby go wyłowiły, bo ja nie zamierzam nurkować po raz drugi.

Wzięła pożyczony ręcznik i wyszła.

— Poprosimy je — zgodził się z opóźnieniem Felix.

— Za chwilę — dodał Net.

Wtedy obraz na ekranie poruszył się, a kalejdoskop zabawka zaczął się powiększać. Chłopakom zajęło chwilę, nim zrozumieli, co się dzieje.

— On się wynurza! — Felix odłożył laptop i wstał, nie wiedząc, co powinien powiedzieć. Włożył ręce do kieszeni, wyjął i włożył z powrotem. — Hej... — Odchrząknął i powtórzył głośniej — hej... dziewczyny!

Nie mogły go usłyszeć, gdyż w tym momencie ponad powierzchnię wody wystawały jedynie ich łydki. To się za chwilę zmieniło, lecz gdy wynurzyły się zielone czepki, jakiegokolwiek ostrzeżenia nie były już potrzebne. Równocześnie z nimi w samym środku kręgu wynurzył się brązowy balon z migającą czerwoną diodą na czubku, a sam Bulbot pozostał pół metra niżej.

Jednoczesny pisk sześciu dziewczyn odbił się od ścian i sufitu. Felix skrzywił się i zatkał uszy.

— Spokojnie — powiedział o wiele za cicho, by mogły to usłyszeć. — To tylko robot.

Dziewczyny megaszybkim crawl'em dopłynęły do drabinek i wyskoczyły z wody. Te dwie, które ewakuowały się od strony Felixa, schowały się za nim. Mocząc mu dłońmi rękawy bluzy.

— Tam coś jest! — Jedna wskazała na unoszący się na wodzie balon. — Ośmiornica!

— To nie jest żadna ośmiornica — zaprzeczył Felix.

— Tylko dziesięciornica. — Net wstał. — Schowajcie się w bezpiecznym miejscu, a my się nią zajmiemy. Pewnie uciekła z zoo.

Dziewczyny, ślizgając się i piszcząc, wybiegły przez natryski do przebieralni.

— No to im załatwiliśmy trening — podsumował Net.

— Trzeba wyłowić Bulbota, zanim wróca. — Felix wyjął z plecaka linkę i przy użyciu odpowiedniego węzła zamienił ją w łąso. Niezbyt zgrabnie rzucił je w stronę balonu, a łąso wpadło do wody kilka metrów za blisko. Niestety rzucanie łąsem wygląda na łatwe tylko na filmach. Po trzeciej nieudanej próbie zrobienia tego tak, jak to robią cowboye, zmienił taktykę i zwyczajnie cisnął mokry sznurek, jakby rzucał kamieniem. Przypadkiem się udało i pętla opadła na wodę, częściowo otaczając wystającą nad powierzchnię wypukłość balonu. Niestety przy minimalnym pociągnięciu linka ześlizgnęła się.

— Trzeba czymś obciążyć. — Felix zajął się przeglądaniem zawartości plecaka. — Zrzucę łąso, a jak zaczniesz tonąć, pociągnę, żeby się zacisnęło pod balonem. Pakujemy Bulbota i się stąd wynosimy.

— Mam pomysł. — Net wziął mokre łąso i zaczął przy nim majstrować.

— Już się boję.

— Niepotrzebnie. Znalazłem obciążenie.

Felix uniósł głowę znad plecaka i zobaczył Neta rzucającego łąso z przywiązany na końcu śrubokrętem. Nie było sensu nawet otwierać ust, gdyż od katastrofy dzieliły ich ułamki sekund. Śrubokręt, samym czubeczką, trafił w balon, a balon pękł z donośnym hukiem.

* * *

Marie krzyknęła przeraźliwie, ale od razu zasłoniła usta dłonią. Pan Rajkowski odwrócił się gwałtownie przez oparcie fotela. Klemens wyjrzał przez otwór łączący kuchnię z salonem, ale szybko się cofnął, napotkawszy spojrzenie Celiny.

— Czkawka — powiedziała po angielsku Marie.

— Zjedz coś, to ci przejdzie — poradził po polsku gospodarz, uśmiechając się. — Ja zawsze jak mam czkawkę, to ją zajadam. Salcesonik i ogóreczki kiszzone są najlepsze, ale i kotlet się nada. Zajadam też przewencyjnie, żeby czkawka się nie pojawiła. Zdzisiek, ten z przeciwka, jeszcze zapija czymś mocniejszym. Ech...

Równie prędko wrócił do poprzedniego nastroju i zapatrzył się w telewizor.

Celina również zasłaniała dłonią usta, ale z innego powodu.

— Zjadłam mięso — powiedziała po angielsku.

— To się zdarza — odparła również po angielsku Marie. — Ja też zjadłam pół kotleta, a on cały jest z mięsa.

Celina gapiała się na nią nieruchomo. Po pierwszym przerażeniu wynikającym z tego, że połknęła coś gorszego niż trucizna, pojawiły się dwie myśli. Pierwsza, że Marie mówi po angielsku, a druga, że gorszy od trucizny kotlet... jest całkiem smaczny. Rozpatrywanie tej drugiej sprawy odłożyła na później.

— Ty mówisz po angielsku? — zapytała przyciszonym głosem.

— Tylko kiedy się wystraszę. Zaraz znów nie będę nic rozumiała.

— Ach, więc boisz się szczurów? — ucieszyła się Celina. — W tym domu jest ich pełno. Właśnie uciekły z klatki. To potworność. Ile jeszcze będziesz mnie rozumiała?

— Już trochę mniej rozumiem. — Marie schyliła się i podniosła chomika. Uśmiechnęła się i przytuliła go do policzka. — Jaki milusi...

— Więc nie boisz się gryzoni?

— Na pewno nie chomików. Uwielbiam je.

W głowie Celiny odbywał się galopek myśli. Działanie pod presją czasu nigdy nie było jej mocną stroną. Co by tu...? Jej spojrzenie padło na połowę kotleta na talerzu Marie.

— Wiesz, z czego są zrobione te kotlety?

— Z wieprzowiny? Raczej na pewno z wieprzowiny. Z czego innego... — i płynnie przeszła na francuski.

— Oj, to już po rozmowie...

Marie rozłożyła ręce i powiedziała coś po francusku.

— Ten chomik to jeden z ocalałych — wyjaśniła szybko Celina, wzięła od Francuzki zwierzątko i pokazała jego malutkie pazurzaste stópki. — Zobacz, jakie ma zaczerwienione łapki. Pewnie uciekł biedak już z patelni.

Ale było za późno. Francuzka zrobiła przeproszającą minę i schyliła się po następnego chomika, a potem po jeszcze jednego. Wreszcie odsunęła krzesło, usiadła na dywanie i zaczęła się bawić z wciąż pojawiającymi się nowymi futrzakami. Celina patrzyła na nią ponuro, gmerając widelcem na talerzu. To nie tak miało wyglądać. Miała się przestraszyć i uciec, nie zabierając nawet walizki. W zamyśleniu włożyła do ust kolejny kawałek kotleta. Zorientowała się, że znów to zrobiła, dopiero gdy przełknęła.

* * *

Nika, z nie całkiem wysuszonymi włosami i w ledwo wyżętym ubraniu, zastała Felixa i Neta patrzących na Bulbota leżącego na dnie.

— Powiedzieliście im, że to ośmiornica? — zapytała oskarżycielskim tonem.

— Dziesięciornica — poprawił ją Net.

— Nieważne. Jeśli one uwierzą... — Nika pokręciła głową. — Już wierzą. Nie mam co prawda pojęcia, jak to możliwe, ale one naprawdę wierzą, że to ośmiornica. Nie możesz robić z ludzi kretynów. Jeśli im nie pokażemy, że to balon, to potem będą się bały wejść do wody.

— Racja, to im może utrudnić karierę pływaczek synchronicznych. Ale jak się przyznamy, że testowaliśmy tu robota, pojawią się trudne pytania.

— Na razie trzeba go wydobyć — dodał Felix. — Dajcie mi chwilę, to coś wymyślę.

Net poklikał w klawiaturę.

— Nie zepsuł się — zauważył ze zdziwieniem. — Jest wyłączony. Przecież go włączyłeś. Sam widziałem.

— Hm... Chyba wiem, co się stało. — Felix podrapał się po głowie. — Woda go wyłączyła. To znaczy ciśnienie wody na pięciu metrach wcisnęło wyłącznik. Głupi błąd konstrukcyjny.

— Niezły peszek.

— Raczej szczęście. Szczęście, że wyłączył się na pięciu metrach, a nie na pięćdziesięciu w Czerwonej Hańczy.

— Nie ma na to czasu. One zaraz tu wrócą, a ten Bulbot wygląda teraz jak mały Kraken. — Nika zerknęła na wejście na basen. Westchnęła z determinacją i zaczęła rozpinąć spódniczkę. — Odwróćcie się.

Felix i Net posłusznie się odwrócili. W stronę laptopa, który wciąż wyświetlał obraz z podwodnej kamery. Net zazdrosnym ruchem odwrócił ekran tak, żeby Felix go nie widział.

* * *

Celina z ponurą miną stała w progu Klemensowego pokoju i przyglądała się ćwierkającej z zachwytem Marie. Francuzka pomagała łapać chomiki. Każdego odnalezionego głaskała, przytulała, całowała w nosek i wkładała do klatki. Dominującym zapachem była łagodna wersja tego znanego z wybiegu słoni w zoo. Marie to najwyraźniej nie przeszkadzało.

— Tak to jest, jak się trzyma chomiki razem — mruknęła Celina.

— Mam za mało klatek — wysapał Klemens, próbujący na czworakach wyciągnąć wyjątkowo upartą sztukę zza regału. — A chomików jest ze trzydzieści.

— Będzie ich jeszcze więcej. Nie wiesz, jak to działa?

Wtedy właśnie Celina poczuła pierwszy symptom tego, co za chwilę miało się wydarzyć. Żołądek planował bunt. Próbowała zignorować to uczucie, jednak szybko się okazało, że to się nie uda. Dyskretnie ruszyła w stronę toalety, nieco mniej dyskretnie otworzyła drzwi i zupełnie niedyskretnie zwymiotowała cały obiad, a może i lunch.

Doprowadziła się do jakiegoś takiego porządku i otworzyła drzwi. W przedpokoju stali wystraszeni Klemens i Marie.

— Chyba już pójdę do domu — powiedziała Celina.

— Trochę blado wyglądasz — zauważył Klemens. — Może cię odprowadzę?

— Dziękuję, obejdzcie się. — Lekko się chwiejąc, dotarła do drzwi wejściowych i wzięła torbę. — To na razie...

Gdy zjechała windą na parter i wyszła przed blok, bunt żołądka powtórzył się. Na szczęście obok alejki rosły krzaki.

Chwilę później bezskutecznie szukała w torbie chusteczek. Była już bliiska wytarcia ust w mankiet, gdy obok pojawiła się ręka z chusteczką.

— Marie? — zapytała zdziwiona Celina.

Marie odpowiedziała coś po francusku. Celina zrozumiała z tego jedynie słowo „bus”, co zapewne znaczyło, że Francuzka zamierza ją odprowadzić na przystanek. W tym momencie przeszła jej cała złość na Marie. Teraz po prostu była jej bardzo wdzięczna.

* * *

Felix i Net ładowali do kufra ociekającego wodą Bulbota. Wyjęte z niego elementy z ciągnącymi się kablami potwierdziły, że wszystko pozostało szczelne, a jedynym powodem awarii było odłączenie zasilania. Felix, mimo pośpiechu, chciał się upewnić co do przyczyny awarii.

Nika kończyła zakładać mokrą spódniczkę. Na górę już założyła zdecydowanie za dużą bluzę Felixa.

— Módlmy się o oberwanie chmury. — Netem wstrząsnął dreszcz. — Nie wiem, jak inaczej wytłumaczę mój stan.

— Awarię spłuczki w szkolnej toalecie — podpowiedział Felix.

— Dzięki. — Net zrezygnował z wyżymania zielonej bluzy i wrzucił ją do kuferka wprost na Bulbota.

— No proszę cię — zwrócił mu uwagę Felix. — To jest futerał na Bulbota.

— Nic mu nie będzie, jest wodoodporny.

Felix gwałtownie zatrzasnął pokrywę kuferka, słysząc za sobą plaskanie mokrych stóp o kafelki.

— Stary, prawie mnie dziabnąłeś — zauważył z pretensją w głosie Net.

Wstali i odwrócili się do sześciu pływaczek synchronicznych. W zielonych kostiumach i zielonych czepkach wyglądały niemal identycznie. Poprawka, wyglądały po prostu identycznie. Lustrowały bojaźliwie wodę i starały się zachować bezpieczny dystans od krawędzi basenu.

— Fajnie, że wpadłyście, ale my się już zbieramy — oświadczył Net. — Szczęście, że Santa nie przyleciał, jak usłyszał wasz wrzask. Nie chcemy nadużywać cierpliwości świętego.

— Przyleciał — odparła jedna z dziewczyn. — Przyleciał, jak usłyszał nasz krzyk, ale wasza koleżanka — wskazała głową stojącą kawałek dalej Nikę — poprosiła nas, żebyśmy go spląwiły. Powiedziałyśmy mu, że ćwiczyliśmy bardzo trudną figurę.

— Trzeba było powiedzieć, że to była figura retoryczna, to by nie zadał żadnych pytań — odparł natychmiast Net. — Dzięki. Jesteśmy tu jeszcze bardziej nielegalnie niż wy.

— Powiedziała też — pływaczka spojrzała na kuferka — że wyjaśnicie nam, co to naprawdę było. Bo jeśli nie ośmiornica ani dziesięciornica...

Net spojrzał na Felixa i zapytał:

— Jak myślisz, ilornice... ilelornice... ileściornice... jeszcze mogą być? Nieważne, ewakuujemy się.

— To jest robot — odezwała się Nika. — Zwykły robot podwodny, taki do poszukiwania –

— Czegokolwiek — dokończył za nią Felix. — Zwykły robot, jak na Discovery Channel. Testowaliśmy stan dna basenu.

— Strażnik nas wpuścił — powiedziała dziewczyna. — Gdyby był zapowiedziany jakiś test, on by o tym wiedział.

— Test nie był zapowiedziany — odezwał się Net — bo to był test niezapowiedziany.

— Pokażcie im — poprosiła Nika. — To tylko kawałek metalu.

Felix oparł się o pokrywę kuferka i pokręcił przecząco głową.

— Jeśli tego nie zrobimy, one więcej nie wejdą do wody — powiedziała cicho Nika. — Co wam szkodzi?

— Dobra, pokażmy im. — Net wzruszył ramionami. — To kilka blach i śruba.

Felix niechętnie odsunął się od kuferka. Dziewczyny za to podeszły bliżej. Net odbezpieczył zamki i zrobił minę prestidigitatora, po czym gwałtownie otworzył pokrywę.

— Ta dam! — zdążył tylko powiedzieć. Przylepiona do pokrywy zielona bluza wyleciała na zewnątrz, ciągnąc za sobą przedziurawiony balon na lince i wiązkę splątanych kabli. Rękaw bluzy pacnął z młaśnięciem o podłogę tuż obok stopy najbliższej dziewczyny, balon uczepony kaptura splunął w górę wąskim strumieniem wody, a kable pod ciężarem mokrego materiału zaczęły się wolno wysuwać przez krawędź kuferka.

Pisk, który się rozległ, był jeszcze głośniejszy niż poprzednio.

* * *

Dyrektor magister inżynier Juliusz Stokrotka eleganckim ruchem odkroił kawałek idealnie wypieczonego steku z krokodyla nilowego podanego w sosie *béarnaise* i jeszcze bardziej eleganckim ruchem włożył go do ust. Ten moment jest zwykle najtrudniejszy dla dżentelmena ceniącego sobie dobry styl. Kęs należało włożyć do ust z jednej strony tak, by nie razić współbiedników widokiem falujących migdałków, a z drugiej strony tak, by nie wysmarować twarzy sosem. Potem rozgryzienie, takie swobodne, broń Boże bez otwierania ust, niewidzialne połknięcie, które powinno być jak dematerializacja, i łyżek wina Bordeaux. Po przełknięciu, a przed następnym kęsem można sobie pozwolić na drobną uwagę o niezobowiązującym charakterze, wymagającą co najwyżej równie krótkiej odpowiedzi.

— Cudowny wieczór, nieprawdaż, Cecylio?

Ekierka przytaknęła z nabitym na widelec ziemniaczkiem *gratin dauphinois* w połowie drogi do ust. Czowała się nieswojo, otoczona taką ilością elegancji występującej pod każdą postacią. Wierzyła jednak, że jeśli nie będzie się za dużo odzywać ani wykonywać gwałtownych ruchów, nikt się nie zorientuje, że ona nie do końca wie, jak się zachować. A restauracja była kwintesencją elegancji: meble, kelnerzy, każdy od innego aspektu eleganckiego posiłku, zasłony, dywany, świeczniki, zastawa, mnóstwo sztuk-

ców, no i ta orkiestra z cicha brzdąkająca na uboczu, zamiast kabli i odtwarzacza. Matematyczka patrzyła na dyrektora, czy raczej w dyrektora, jak w kogoś, kto na co dzień się obraca w takim świecie. Wystarczy się go trzymać i wszystko będzie w porządku. Odwagi dodawały jej kupione dziś zamszowe kalosze. Było w nich co prawda niemiłosiernie gorąco, czoło miała zroszone potem, ale dzięki nim mogła się czuć bardziej wytwornie od innych kobiet ubranych w banalne szpilki.

Dyrektor w dogłębnej lekturze *Podręcznika naturalnego przywódcy* tego popołudnia dotarł do rozdziału *Kontakty z płcią przeciwną* i właśnie realizował zadanie domowe „Traktowanie dam”. Był to jeden z trudniejszych rozdziałów. Na szczęście w podpowiedziach autor umieścił bardzo cenne porady. Najmniej zachęcająca spośród nich okazała się ta, która mówiła, że dżentelmen zawsze płaci za damę. Na szczęście podręcznik był pisany przez fachowca wyznającego zasadę, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Była tam więc podana również procedura postępowania naturalnego przywódcy w sytuacji, w której nie stać go na zapłacenie rachunku. Dołączono nawet ilustrację prawidłowego sposobu podkładania muchy reklamacyjnej na dno talerza.

Dzwonek telefonu w tak eleganckim miejscu był jak pierdnięcie podczas całowania pierścienia królowej Elżbiety II. A jednak dzwonek się przydarzył. Orkiestra na moment zgubiła rytm, kontrabasista niemal spadł ze stołka, a klarncista przygryzł ustnik. Na jednym ze stolików zwiędło kilka eleganckich kwiatów, co było niczym wobec torciku lodowego, który z powodu tego wydarzenia oklapł i zjechał z talerzyka na obrus. Był również niczym wobec rachunku pewnego zagranicznego gościa, który to rachunek spontanicznie się podwoił.

Czerwony na twarzy Stokrotka odebrał połączenie. Już po chwili zawstydzenie ustąpiło miejsca zdziwieniu, a za moment złości.

— Zaraz... — Stokrotka wstał, próbował zasłonić mikrofon ręką i udawać przed wszystkimi, że kaszle. — Jak to ukradli ośmiornicę z zoo? Jak to wpuścili ją do basenu?

* * *

W zaparkowanej z dala od latarni furgonetce panowała cisza przerywana od czasu do czasu odgłosami wiercenia się. Jedyne źródłem światła były przyciemnione do minimum monitory dodatkowo oddzielone od

przednich foteli zasuniętą do połowy zasłonką. Szum miasta wpadał do wnętrza przez uchylone okna w przedniej części. Z tyłu nie było okien.

Błysnęła zapalniczka.

— Mógłbyś tu nie palić?

— Miałem nie wysiadać.

— Więc nie pal w ogóle.

— Robię się nerwowy.

— Czytaj książki.

Westchnienie. Żarzący się papieros wyleciał przez okno. Krótkofalówka ustawiona na częstotliwość policyjną szumiała przez chwilę i ucichła. Rozległo się klikanie w klawiaturę laptopa.

— To dwugłowe ciele koło Warki powinno się urodzić jeszcze dziś.

— Może skoczymy? — W głosie kierowcy dawało się wyczuć nadzieję.
— W czterdzieści minut tam będziemy.

— Nie, mamy priorytety. Wczoraj też twierdzili, że już się rodzi. A nawet jeśli się urodzi, to może nie zdechnie do rana.

Znów cisza i bębnienie palcami w kierownicę.

— Przestań.

— Nie mam żadnej książki.

— Nie płacą ci za czytanie.

— Wychodzi!

— Jeszcze nie odpalaj. Zaczekaj, aż wsiądzie. I tym razem go nie zgub.

* * *

Na szczęście nie było zbyt daleko i całą sprawę zapewne da się załatwić w kilka minut. Dyrektor szybkim krokiem dotarł do zaparkowanego opodal Opla. To niewybaczalne zostawiać damę samą w restauracji, nawet jeżeli przyszła w zamszowych kaloszach. Te małe huncwoty odpowiedzą za swoje postępki. Dyrektor zamierzał wyciągnąć wobec nich surowe konsekwencje. Skąd oni wzięli ośmiornicę? Czy w warszawskim zoo są w ogóle takie zwierzęta?

Wsiadł do samochodu, ale nim uruchomił silnik, telefon zadzwonił ponownie. Po drugiej stronie dziewczęcy głos mówił coś szybko po francusku. Dyrektorowi zajęło chwilę, nim przestawił się na obcy język i zaczął rozumieć słowa.

— Zatrula się? — zapytał. — Dobrze, kochanieńka, zaczekaj tam. Zaraz będę.

Dyrektor miał wrażenie, że rzeczywistość zwróciła się przeciw niemu i otacza go problemami ze wszystkich stron. Żeby chociaż ten telefon zadzwonił pierwszy, to przynajmniej mógłby porozmawiać w restauracji w eleganckim języku. Sięgnął do stacyjki, żeby uruchomić silnik. A telefon zadzwonił ponownie. Dyrektor odebrał go z rosnącą irytacją.

— Halo, Stokrotka — rzucił do słuchawki. Po chwili zaczął żałować, że odebrał. — Jak to spał na ławce w parku? Zamordował kaczkę...? Ech... Dobrze, przyjadę.

Wszystko naraz, a w *Podręczniku naturalnego przywódcy* rozdział *Zażegnwanie sytuacji kryzysowych* wciąż był jeszcze przed nim. Romantyczną kolację i tak diabli wzięli. Tylko w jakiej kolejności załatwiać te wszystkie sprawy? Najpierw ośmiornica, zatrucie pokarmowe czy zagubiony w Łazienkach nauczyciel historii?

1. Tak naprawdę nie ma takiego jeziora. [\[wróć\]](#)
2. Czyli nieco większy od dłoni. [\[wróć\]](#)
3. Im większy docisk, tym większy opór powietrza, więc w wyścigach z małą liczbą zakrętów docisk nawet szkodzi. No, ale to już szczegóły. [\[wróć\]](#)
4. Historia wizyty klasy Felixa, Neta i Niki w Muzeum Gazownictwa została opisana w opowiadaniu *Ściema Smoczysława*. [\[wróć\]](#)
5. Hydrodynamika to to samo, co aerodynamika, lecz w świecie płynów. [\[wróć\]](#)
6. Milicja Obywatelska – mundurowa formacja państwowa o charakterze policyjnym działająca w czasach PRL-u. [\[wróć\]](#)
7. Tak mniej więcej wygląda przednie zawieszenie większości samochodów. [\[wróć\]](#)



4. Helenka

Dyrektor przekroczył próg szkoły jak zwykle za kwadrans ósma. Był tak niewyspany, że przywitał się ze stróżem nocnym, Sylwestrem, jedynie kiwnięciem głowy. Dowłókł się do sekretariatu, który Helenka już zdążyła wypełnić zapachem lakieru.

— Dzień dobry, kochanieńka — rzucił. — Zrobisz mi kawę? Ale taką mocną, mocną.

Sam nie wiedział, po co to mówi. Przecież i tak dostanie lurę zaparzoną z pół łyżeczki kawy.

— Oczywiście. — Sekretarka zamachała dłońmi, by przyspieszyć proces schnięcia. — Jest do pana paczka, panie dyrektorze.

Dyrektor bez słowa wziął dużą i ciężką kopertę bąbelkową i wszedł do gabinetu. Miał ochotę położyć się na kanapie i zasnąć. Oczywiście nie zrobił tego. Usiadł za biurkiem, odruchowo włączył komputer i przyjrzał się paczce. Wyglądała oficjalnie, urzędowo wręcz. Zaadresowana była na szkołę, a dokładniej na dyrektora szkoły.

— Ciekawe... — mruknął i włożył palec w szczelinę pod klapką. W ostatniej chwili przypomniał sobie o zasadach biurowej elegancji i wyjął z szuflady elegancki srebrny nożyk do listów z napisem „30 lat Związku Działkowców w Wałbrzychu”. Otwieranie listów palcem było niedopuszczalne dla prawdziwego dżentelmena.

Pierwsza wypadła kartka z napisem „Otwarcie paczki jest jednoznaczne z zaakceptowaniem regulaminu. Regulamin znajduje się na odwrocie”. Dyrektor odwrócił kartkę i ujrzał szary prostokąt. Nie, to nie był szary prostokąt. To był napisany ciurkiem zwarty blok tekstu. Założył okulary do czytania i przyjrzał się kartce z bliska. Tak, były tam literki, ale tak małe, że

nie dało się ich odczytać. Wyjął z szuflady lupę i przyjrzał się z bliska literkom. Teraz lepiej.

— Co ja wyprawiam... — mruknął około trzeciej linijki i odłożył kartkę. Przeczytanie całości tego prawniczego bełkotu zajęłoby dwie godziny. Wysunął z koperty główną część przesyłki – solidną księgę oprawioną w brązową skórę. Nie, nie w skórę; w papier lakierowany i tłoczony tak, by wyglądał jak skóra. Zresztą na rogach, mimo bąbelkowej koperty, widoczne były załamania i przetarcia. Księga ważyła dobrze ponad kilogram i miała format większy od kroniki szkolnej. Na środku okładki z lakierowanego papieru udającego skórę wytłoczono coś, co dyrektorowi kojarzyło się z rządem, prezydentem i wszystkimi powstaniem narodowo-wyzwoleńczymi. Samo tłoczenie nie było zbyt staranne, bo skóropodobny papier wokoło popękał. Dyrektor otworzył grubą okładkę i ujrzał wkomponowany w pierwszą stronicę portret prezydenta. Zmarszczył brwi i przerzucił stronę, potem następną. Księga składała się z kilkudziesięciu stronic, równie grubych jak okładki. W okienkach ze sztywnej folii ułożono monety z wizerunkami królów i książąt polskich, na pierwszej stronie – medal prezydencki, a na ostatniej – gotowe karty do zamawiania kolejnych tomów albumu.

Stokrotka przyglądał się księdze z podejrzeniem, że się jeszcze nie obudził. Potem wstał, wziął księgę, kartkę, kopertę i otworzył drzwi do sekretariatu.

— Odeślij to, kochanieńka — powiedział. — Na koszt nadawcy. Dziękuję za kawę.

Wrócił do siebie z filiżanką kawy, usiadł za biurkiem i pociągnął łyk. Gdyby nie to, że nie chciał pobrudzić biurka, wypłułby ją natychmiast. W kubku znajdowała się woda o smaku kawowym. Helenka była niereformowalna w sprawie mocy kawy. Zawsze sypała jej tylko odrobinę i nie było siły zdolnej zmusić ją do wsypania pełnej łyżeczki, o dwóch nawet nie wspominając. W dniu takim jak dziś dyrektor nie potrafił tego wypić. Mógł wprawdzie kupić kawę na wynos w Zbędnych Kaloriach naprzeciwko szkoły, ale to było rozwiązanie doraźne. Zresztą kawiarnia o tej porze była jeszcze zamknięta.

Ocknął się, gdy komputer piskiem zaprotestował przeciwko zbyt długiemu wciskaniu klawisza „g” czubkiem nosa. Tak się nie da pracować! Wstał, wyciągnął portfel i przeliczył pieniądze. Powinno wystarczyć. Miał

wprawdzie kartę, ale nie lubił jej używać. Gotówka to jest konkret, który nie zawodzi.

Ruszył do drzwi. To zajmie pół godziny, nie więcej.

* * *

Obcokrajowcy zorientowali się, gdzie są, zaraz po przekroczeniu progu pracowni biologicznej. Dziewczyny w pierwszym momencie chciały się cofnąć, naiwnie licząc na to, że to pomyłka i zaraz pójda gdzieś indziej. Niestety zachowanie gospodarzy wskazywało, że o pomyłce nie może być mowy. Usiadły więc jak najdalej się dało od regałów z przyprawiającą o dreszcze zawartością.

Przez trzy minuty po dzwonku nic się nie działo. Nauczyciel się nie pojawiał i sala z wolna wypełniała się szmerem rozmów w kilku językach. Rozmowy ucichły, gdy zza uchylonych drzwi zaplecza dobiegł dzwonek. Inny dzwonek, dzwonek starego mechanicznego budzika. Po nim nastąpiło głośne ziewnięcie, a zaraz potem z zaplecza wyszedł zaspany profesor Zenon Butler. Długie na kilkanaście centymetrów włosy – nieprzywykłe do wody i szamponu, dziś niespodziewanie świeżo umyte – unosiły się nad głową niczym rzadka aureola. Nauczyciel przyglądał je, ale część i tak uniosła się buntowniczo.

— Testu nie będzie — oświadczył na wstępie. — Uczyć się trzeba cały rok, a nie na sam koniec. Jeżeli ktoś chce się poprawić na szóstkę, może w ramach testu podlać wszystkie kwiatki na parapecie. Kto pierwszy podleje, ma szóstkę. Żartowałem, he, he. — Profesor przetarł zatłuszczone okulary o zatłuszczony fartuch. Oskar z markotną miną usiadł z powrotem. — Przerobiliśmy już cały materiał na ten rok. A nawet trochę na przyszły, wtedy, co mi się kartki pomyliły. Możemy sobie zrobić luźniejszą lekcję, co wyjdzie na zdrowie i uczniom, i nauczycielom. Z nauką jest jak z myciem — co za dużo, to niezdrowo. — Rozejrzał się czujnie po klasie i przeszedł na angielski — zapomniałem, że mamy gości. — Zerknął na Michael. — I to nie tylko z Europy.

— Jestem Niemką — wyjaśniła uprzejmie dziewczyna.

— Czyli jednak prawdziwe jest przysłowie, że pozory mylą. Dzisiejsza lekcja... — Biolog zerknął na swoje paznokcie. — Znów zrobiły się za długie. Dzisiejsza lekcja będzie na wybrany przez was temat. Ja już nie mam pomysłów. Jakież propozycje?

Oparł się o biurko i zaczął obgryzać paznokiec przy prawym kciuku. W ciszy, jaka zapadła, rozlegały się odgłosy, podobne do tych, które można usłyszeć, gdy wiewiórka próbuje dostać się do wnętrza orzecha włoskiego.

— Ostatnia szansa w tym roku — zachęcał Butler. — A dla niektórych Europejczyków, *chrup, chrup*, w ogóle ostatnia. Jestem lepszy od Wikipedii, jeśli chodzi o czas dostępu. *Chrup*.

Obgryzany paznokiec palca wskazującego brzmiał dla odmiany jak orzech laskowy. William podniósł dłoń. Profesor był jednak zbyt zajęty *manicure' em*, by to zauważyć. Chłopak zapytał więc:

— Chciałem się dowiedzieć, jak to jest w Polsce z trawą.

— Zadał to pytanie na wiedzy o, *chrup*, społeczeństwie. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że nadal jest nielegalna.

— Em... Mi chodzi o trawę, taką trawę trawę. Taką w parku. A konkretnie, jak to jest z deptaniem trawy.

— To tylko wykroczenie. Chociaż nie, ostatnio chyba już wolno deptać. A, zaraz, *chrup, chrup*, ty pytasz o biologiczny aspekt deptania? No jasne, przecież to lekcja biologii.

Nauczyciel obrócił się na pięcie i zniknął na zapleczu, by po chwili wrócić z grzejnikiem olejowym. Postawił go na stole, wpiął w kontakt i włączył na maximum. Goście z zagranicy otworzyli szerzej oczy, Polacy wygodniej usiedli, spodziewając się... niespodziewanego. Mimo obrzydliwości często towarzyszących biologii z profesorem Butlerem, lekcje te były zazwyczaj ciekawe. Przynajmniej dla większości.

— Pewnie się zastanawiacie, co ma grzejnik do deptania trawy. — Biolog dłuższą chwilę przyglądał się grzejnikowi, po czym oznajmił — rzeczywiście niewiele.

Znów zniknął na zapleczu. Tym razem przyniósł doniczkę z rośliną o małych łezkowatych liściach i jeszcze mniejszych różowych kwiatach.

— Mało przypomina trawę, co? He, he. — Postawił ją obok grzejnika. — Trawy pojawiły się na Ziemi w trzeciorzędzie, czyli ładnych parędziesiąt, *chrup*, milionów lat temu. Czyli jakby przed chwilą w długiej na kilka miliardów lat historii życia. Sukces ewolucyjny osiągnęły dzięki sprytnemu trikowi. Otóż przeniosły swój stożek wzrostu pod ziemię. Co to jest stożek, *chrup*, wzrostu, zapytacie? To te fragmenty rośliny, które rosną najszybciej, wielokrotnie szybciej niż cała reszta. Jeśli złamiemy, *chrup*, koniec gałęzi drzewa, gdzie znajduje się stożek wzrostu, gałąź przestanie rosnąć na długość. To uszkodzenie jest nie do naprawienia. Drzewo oczywiście będzie

rosło dalej, ale tylko nieuszkodzonymi pędami. To znaczy, że ze złamanej, *chrup*, gałęzi wyrosną boczne pędy, które będą kontynuowały dzieło wzrostu. Jeśli widzicie w budowie drzewa dziwne „zakręty” i załamania, jest to wynik dawnych nieszczęśliwych, *chrup*, wypadków. Trawy rosną inaczej. Stożek wzrostu traw jest bezpiecznie schowany pod ziemią. Sposób, w jaki rośnie trawa, przypomina budowanie domu od dołu. Czyli budujemy parter, unosimy go, żeby się stał pierwszym piętrzem, a pod nim znów budujemy parter. No i znów unosimy. I tak na okrągło. Podnosimy wszystkie piętra i za każdym razem na samym dole dobudowujemy parter.

— To tak się da? — zdziwił się Wiktor.

— Wątpię. Ale w przypadku trawy się jednak udaje. Koza zjada naziemną jej część, a trawa bez problemu tę część odbudowuje. Jeśli ta sama koza wszamie, *chrup*, nadziemną część małego drzewka lub krzewu, to roślina zdechnie. W ten sposób trawa ma wolne pole – he, he – do rozwoju.

— Czyli trawie nie szkodzi, jak koza ją zje... znaczy, konsumuje? — zapytał Oskar.

— Szkodzi jej, ale bardziej szkodzi jej konkurentom. Prakrowy, prakozy i praowce żarły podany na tacy zielony przysmak, a przy okazji zjadały wszystko inne, co próbowało, *chrup*, kiełkować. Można by powiedzieć, że trawy wyhodowały sobie trawożerne zwierzęta, żeby te zjadały konkurencję. Z deptaniem trawy jest podobnie. Jeżeli się nie depta zbyt intensywnie, wychodzi jej to na zdrowie. Zresztą z pożarami też. — Dotknął grzejnika, by ocenić jego temperaturę. — Zeschnięte łodygi traw wydają się stworzone do palenia się. Co więcej, są do tego stworzone naprawdę. Czy pożar łąki jest zły?

— Raczej tak — podsunął ostrożnie Wiktor.

— Małe zwierzęta niespecjalnie radują się z pożaru. — Nauczyciel wypluł obgryzione paznokcie, aż grzejnik zadźwięczał rykoszetem. — Pobliski las też może się zmartwić. Pożar szkodzi zwierzętom i roślinom. Nie ma wątpliwości, że szkodzi. Ale niektórym mniej niż innym. Na przykład trawom. Dlaczego?

— Bo mają stożek wzrostu pod ziemią — odpowiedział Felix.

— I nie przejmują się losem jeży ani motyli — dodał Net.

— Właśnie dlatego, *chrup*, *chrup*. Jest całkiem spora grupa roślin, zwanych pirofitami, które potrafią przetrwać pożar, a wręcz go potrzebują, żeby się rozmnażać. Istnieją całe ekosystemy, na szczęście nie w Polsce, które są

kształtowane przez powtarzające się pożary¹. Pożary niszczą inne rośliny, a te ognioodporne mogą się rozwijać swobodnie. W przyrodzie panuje taki, powiedzmy, dziki kapitalizm, więc niektóre z pirofitów same potrafią wywołać pożar i w ten sposób pozbyć się konkurencji. Sprytnie, nie? Przykładem może być... — Biolog zastanowił się, marszcząc czoło i nos, odsłaniając żółte zęby — Yellowstone. To park, *chrup*, narodowy w USA, wielkości województwa opolskiego. Często wybuchały tam pożary, a strażacy dzielnie je, *chrup*, gasili. Po latach okazało się, że brak pożarów doprowadził do dużych nefajnych zmian w przyrodzie. Gdy strażacy przestali się wtrącać, wszystko wróciło do, *chrup*, normy. I tu dochodzimy do grzejnika. — Dotknął go i wypluł, tym razem na bok, paznokcie. — Dobrze. Sprawdźcie, czy gaśnica ma aktualny przegląd techniczny.

Siedzący najbliżej Oskar wstał i przyjrzał się gaśnicy.

— Tak, jeszcze tydzień do przeglądu — oznajmił.

— O, dobrze, że mi przypomniałeś. Na przerwie dokonam przedłużenia, *chrup*, *chrup*, ważności. Gdzie ja ten flamaster schowałem... Upewnijcie się, gdzie znajduje się najbliższe wyjście ewakuacyjne, a potem zasłońcie żaluzje, bo w tej jasności nie będzie nic widać.

Uczniowie, niepewni zamiarów Butlera, rzucili się, by zaciemnić salę. Tylko Marie i Audrey patrzyły na nauczyciela jak na awarię kanalizacji.

— To jest dyptam jesionolistny, po łacinie zwany *Dictamnus albus*. — Wskazał roślinę obok grzejnika. — Bardziej znany jako biblijny krzew gorejący, z którym podobno rozmawiał Mojżesz. Mój egzemplarz jest małowonny, za to łatwopalny jak najbardziej. Stawiam go z dala od firanek — spojrzął na okna — których nie mam. Grzejnik będzie imitował upalny, bezwietrzny, *chrup*, dzień, podczas którego olejki eteryczne dyptamu pokażą, co potrafią robić najlepiej. Nie oddychajcie w tę stronę, bo będzie lipa, nie pokaz.

Wyjął z szuflady zapalniczkę, zapalił ją i wolno przysunął do rośliny. Buchnął błękitny płomień, który w mgnieniu oka objął całą roślinę. Przez klasę przebiegło nieme westchnienie zaskoczenia. Płomień zgasł niemal natychmiast. Roślina była nienaruszona, jedynie kwiaty osmały się trochę.

— To roślina, która lubi pożary. Innymi słowy, w świecie przyrody pozory również myślą i obowiązuje zasada, że co cię nie zabije, to cię wzmocni. Bo zabije twoich wrogów. — Profesor przyjrzał się swojej lewej dłoni, gdzie paznokcie również wymagały skrócenia. — Jeszcze jakieś pytania? Najchętniej takie na pięć palców.

* * *

Stokrotka wszedł do pokoju nauczycielskiego w podłym nastroju. Miał podkrążone oczy.

— To jakaś katastrofa — oświadczył od progu. — Przeciwności losu spiętrzyły się na koniec roku. Możecie mi to wyjaśnić?

Nauczyciele spojrzeli na niego znad kubków z kawą, gazet i krzyżówek.

— Jacyś uczniowie z naszej szkoły — dyrektor krążył po pokoju — niestety ochroniarz nie pamięta, jak się nazywali, ukradli z zoo ośmiornicę i wpuścili ją do basenu pływackiego. Musiałem tam pojechać, by się przekonać, że w basenie nie ma żadnej ośmiornicy. Co więcej, nie ma jej również w zoo. Ale nie dlatego, że ją ukradli, tylko nigdy jej tam nie było. Jeden z naszych nauczycieli poluje w Łazienkach na kaczkę i potem gubi się tam nocą. — Cedynia nie mógł nic odpowiedzieć, bo spał. — A gubi się, bo drugi z nauczycieli zostawił go tam podczas wycieczki.

— Kolega historyk miał być opiekunem, nie podopiecznym — zauważył trzeźwo wuefista.

— W tym samym czasie inna grupa uczniów w godzinach zajęć robi zakupy w sklepach z modą — ciągnął dyrektor. — A do mojego samochodu nie mogę wsiąść bez maski gazowej z powodu wegetarianki, która zatrąła się mięsem.

— Już się boję przychodzić do pokoju nauczycielskiego, Juliuszu — powiedziała Ekierka. — Jakiś taki... zasadniczy się zrobiłeś.

— Przed chwilą dzwonił do mnie ambasador Wielkiej Brytanii. Ten mały rudy Szkot jest synem jakiegoś lorda... Nie znam się na tym, ale przed nazwiskiem ma „sir”², więc jest kimś ważnym. Z ambasadorem grywał w krykieta, pewnie chodzili razem do szkoły, albo coś podobnego. Ambasador zapytał mnie, czemu syn jego przyjaciela drugiego dnia pobytu w Polsce ma podbite oko.

— Sam je sobie podbił. — Pan Borkowski bagatelizująco żuł gumę. — Wjechał gokartem w bandę i walnął się o swoją własną pięść.

— To mam powtórzyć ambasadorowi? — Stokrotka przyłożył dłonie do skroni i wyjrzał przez okno. — Że dzieciak wjechał w bandę podczas zwiedzania letniej rezydencji ostatniego króla Polski? — Dyrektor powiódł zdesperowanym spojrzeniem po podwładnych. — Musimy zewrzeć szyki na te

kilka ostatnich dni. Potem odpoczniemy. To tylko kilka dni. Pamiętajcie, że dziś po lekcjach jest rada.

Westchnął i wyszedł. Za drzwiami niemal wpadł na ładną, ubraną w elegancki szary kostium blondynę około trzydziestki. Przez moment miał niejasne wrażenie, że ona podsłuchiwała pod drzwiami, jednak szybko o tym zapomniał, bo kobieta wydała mu się znajoma. Wysilił pamięć, by sobie przypomnieć. Jakaś siostrzenica? Kuzynka? Może absolwentka sprzed lat? Kobieta uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła rękę.

— Ilona Bogucka, „Niusy czy Niuanse”. Pan dyrektor Stokrotka?

Dyrektor potrzebował chwili, by dotarło do niego, że stoi naprzeciwko tej sławnej reporterki. Ocknął się i uściśnął jej dłoń. Wyparowały z niego wszystkie porady z rozdziału *Kontakty z płcią przeciwną* i niewiele brakowało, a zaczęłyby się jękać.

— Tak, to ja. Witam w naszych skromnych progach. Czym mogę... służyć?

— Przygotowuję program o wzorcowych szkołach — powiedziała ciepłym głosem. — Chciałam prosić o pomoc w nagraniu materiału.

Dyrektor potrzebował kolejnej chwili, by przyswoić informację. Owiąły go piżmowe perfumy reporterki i teraz, nawet gdyby chciał, nie potrafiłby odmówić. Zresztą nie było powodu, by odmawiać.

— Oczywiście... — przełknął ślinę — oczywiście. To będzie dla mnie ogromna przyjemność. Na kiedy mamy się przygotować?

— Och, przygotowania nie będą konieczne. Pokręcimy się tu trochę dzisiaj.

Wskazała kciukiem w bok. Dyrektor dopiero teraz zauważył wycelowany w siebie z odległości dziesięciu metrów obiektyw kamery.

* * *

Przyjaciele, wraz z gośćmi z Wysp, stali przy oknie przed pracownią plastyczną. Nika szturchnęła Felixa łokciem i wskazała głową koniec korytarza. Stała tam elegancka reporterka z mikrofonem w dłoni. Mówiła coś do kamery.

— To ta sama reporterka i ten sam kamerzysta, co wczoraj w Łazienkach — zauważyła.

— Rany! — Neta aż zatkało. — To Ilona Bogucka z „Niusów czy Niuansów”. Jak mogłaś nie poznać?

— Nie mam... znaczy nie oglądam telewizji.

— To rzeczywiście ona — przyznał Felix. — Nie znoszę baby. Uprawia najgorszy rodzaj dziennikarstwa.

— Dlatego ma najwyższą oglądalność — wtrącił Wiktor, którego ojciec był dziennikarzem. — W środowisku nie lubią tej hieny, ale jej to nie przeszkadza.

— Nic dobrego z tego nie wyniknie — powiedziała Nika. — Jeżeli ona robi program o naszej szkole, to na pewno nie ma zamiaru jej chwalić.

Rozmowę przerwał dzwonek.

— Następna jest plastyka. — Net zarzucił plecak na ramię. Odwrócił się do Brytyjczyków. — Teraz zobaczycie transcendentalne oblicze naszej szkoły.

Wszyscy ruszyli do sal. Korytarz pustoszał. Ilona rozejrzała się dyskretnie, wyjęła z torebki butelkę po piwie, postawiła na parapecie i odsunęła się, by wyjść z kadru operatorowi. Nikt tego nie zauważył, właśnie zamykały się drzwi ostatniej klasy.

W sali plastycznej Zuzanna Zdrój szalała przed sztalugami, na których umocowane było białe płótno. W dłoni trzymała paletę z samymi białymi farbami. Pokrywała płótno fantazyjnymi zawijasami, spiralami i łukami. Oczywiście nie było widać żadnego efektu jej pracy.

— Nie ma Zosi — zauważyła Nika, gdy usiedli za dużymi stołami.

— Ćwiczy smutną minę przed lustrem w łazience — podsunął Net.

— Nie ma jej od rana.

— Zdarza się. — Net wzruszył ramionami. — Ludzie się przeziębiają, łapią grypę, wpadają pod tramwaje.

— Martwię się o nią. Ostatnio jest w kiepskim nastroju. Z przyczyn oczywistych... — zerknęła na Gilberta cały czas rozmawiającego przyciszonym głosem z Michael. — Nie dla wszystkich oczywistych.

Plastyczka mieszała odcienie bieli na palecie, wymieniała pędzle, kciukiem mierzyła proporcje, a obraz wciąż wyglądał tak samo.

— To fakturalizm — ocenił z mądrą miną Net. — Ukryty przekaz. Jeden obraz jest namalowany tylko wypukłościami białej warstwy, a potem drugi, zupełnie inny, na nim. Technika szpiegowska z XIII wieku.

Ci, którzy to słyszeli, nie wyglądali na przekonanych.

— Fakturalizm ma miejsce wtedy, gdy malarz za usługę wystawia fakturę — sprostował Gilbert. — Wiem coś o tym. Ostatnio wujek robił remont parteru.

— To brzmi rozsądniej — przyznał Oskar.
Nika nachyliła się do Gilberta.
— Nie wiesz, co z Zosią?
— Gdzieś tu... — odwrócił się i ogarnął wzrokiem salę. — Chyba gdzieś tu była...
— Nie przyszła dziś do szkoły.
— Poważnie? Nie zauważyłem.
— Kochani! — Zuzanna Zdrój uznała wreszcie, że warto zająć się lekcją. Klasnęła w dłonie. — Bardzo się cieszę, że tu dziś jesteście.
— Bez wzajemności — mruknął pod nosem Net.
— Dziś odwiedzili nas goście z krainy wszelkich sztuk. — Plastyczka ukłoniła się w stronę Marie i Audrey. — Dlatego mam pomysł, żeby dzisiejszą lekcję poprowadzić po francusku. W tym języku można wyrazić więcej, pełniej, głębiej.
Klemens już otwierał usta, żeby powiedzieć, że nikt, no prawie nikt, nie zna francuskiego, ale został zagłuszony przez entuzjastyczną większość.
— Jasne!
— Doskonały pomysł!
— Tego nam trzeba.
Tego dnia z lekcji plastyki nie zrozumieli już niczego więcej.

* * *

Dyrektor był niewyspany i rozeźlony. Nie potrafił się nawet cieszyć z tego, że jego gimnazjum stało się obiektem zainteresowania telewizji. Oprowadził reporterkę i operatora, pokazując im najciekawsze jego zdaniem miejsca szkoły. Zwykle kończył oprowadzanie gości w szkolnym muzeum, ale przecież teraz była tam stołówka. W rezultacie był zmęczony i chyba nie za dobrze wypadł. To mogła być doskonała reklama, a on nie potrafił uwolnić głowy od krążących nad nią problemów. Prawdę mówiąc, ta kręcąca się po całej szkole reporterka działała mu na nerwy. Nawet teraz, gdy siedł do swojego gabinetu, zobaczył ją, jak stoi pod gabinetem lekarskim doktora Jamnika.

Wszedł do sekretariatu i już otwierał usta, by poprosić Helenkę o kawę, lecz przypomniał sobie o nowym ekspresie do kawy, który zakupił dziś rano. Helenka nawet nie zapytała, do czego służy nowe urządzenie. Zajęta była malowaniem powiek, co było o tyle lepsze od malowania paznokci, że

nie śmierdziało. Na samą myśl, by tłumaczyć sekretarce, jak obsługuje się nowy ekspres, dyrektorowi odechciewało się wszystkiego. Włączył urządzenie wciśnięte gdzieś pod okno, za drukarkę i zaczął, aż się nagrzej. Jego spojrzenie padło na księgę z tym dziwnym logo na okładce. Wciąż leżała na biurku Helenki.

— Miałaś odesłać tę księgę do tych wyłudzaczy, którzy ją przysłali — powiedział.

— Nie mogę. Przecież to my ją zamówiliśmy — odparła beznamiętnie sekretarka.

— Zamówiliśmy? — dyrektor włożył kapsułkę z kawą i podstawił filiżankę.

— Przyszło takie pismo, że musimy zamówić, no to zamówiłam.

— Jakie pismo?

Helenka wstała i sięgnęła do trzynastego segregatora na piątej półce, otworzyła go w jednej trzeciej i podsunęła dyrektorowi pod nos. W papierowym świecie poruszała się bezbłędnie, za to miała trudności z samym włączeniem komputera. Stokrotka wcisnął przycisk „double espresso” i przyjrzał się wypiętej kartce.

— Jest godło, orzeł w koronie — sekretarka wskazała nagłówek — i napis „Ministerstwo Narodowe, przesyłka pufna, tylko dla Adresatów”, więc to pismo oficjalne.

Rzeczywiście na pierwszy rzut oka można było się nabrać. Góra kartki wyglądała jak pismo z kancelarii premiera, czy podobnego urzędu, ale już niżej różne wielkości i kolory fontów przypominały raczej powiększony kupon rabatowy z osiedlowego dyskontu. Na samym dole powracał styl urzędowy, był też podpis (nieczytelny) opatrzony opisem „Prezes Fundacji Narodowych Zasobów Numizmatycznych Rzeczypospolitej Polskiej”.

— Chodzi o pamięć narodową — dodała Helenka.

— Bardziej o zyski ludzi żerujących na niej. — Dyrektor zamknął segregator, oddał go Helence i wolno zapytał — a gdyby pismo przysłał Prezes Polskiego... nie, Narodowego Związku Piromanów Rzeczypospolitej Polskiej i poprosił o podpalenie hallu szkoły, to co byś zrobiła?

— Panie dyrektorze — Helenka rozłożyła ręce — ja nawet nie mam zapalniczki.

Dyrektor westchnął głęboko, wziął filiżankę kawy i wszedł do gabinetu.

W kolejce pod sklepikiem Marie i Audrey rozmawiały z Aurelią i Klau-
dią. Stojący dalej Klemens obserwował je z niewyraźną miną. Zwykle prze-
rwy spędzał z Celiną i teraz nie wiedział, co ze sobą zrobić. On zaś był
obserwowany przez przyjaciół, którzy stali jeszcze dalej od początku
kolejki.

— Szkoda mi go — odezwał się Net. — Celina wsiadła na niego, jakby
to była jego wina, a to przecież losowa sprawa. Zwykle wszyscy narzekają,
jak dziewczyna jest brzydka, a u tych Francuzek estetyka jak z jakiejś pod-
paryskiej hodowli genetycznej. — Napotkał spojrzenie Niki. — No co...?

— Celina przegina w jedną stronę — wyjaśniła dziewczyna — a Zosia
w drugą.

— Zosi nie potrafię pomóc. Jej pomogłyby chyba tylko dwa lata w woj-
sku. Z Klemensem jest gorsza sytuacja, bo on nawet sobie nie pogada z tą
Marie. Celina zamieniła się z *Miss Jekyll* w *Mistress Hyde*.

— A ty nie byłbyś zazdrosny, gdyby do mnie przyjechał przystojny
Irlandczyk?

— Pfff... — parsknął Net. — Skąd w takiej mądrej główce taki głupi
pomysł?

Nika wbrew sobie uśmiechnęła się lekko.

— Za to ja mam mądry pomysł — odezwał się Felix. — Wiem, jak im
pomóc w dogadywaniu się. Klemensowi i Marie.

Nika zachęcająco pokiwała głową.

— Nie chcesz tego słyszeć. — Felix spojrzał przepaszająco na Nikę
i nachylił się do Neta. Chwilę szeptał mu do ucha, a Net uśmiechał się
coraz szerzej. Nika aż za dobrze знаła ten uśmiech. Zwykle oznaczał rychłe
kłopoty.

— Nie chcesz z nami iść. — Net na wszelki wypadek powstrzymał ją
gestem Jedi, a sam wyszedł z kolejki.

— Skąd wiesz? — zapytała ostrożnie.

— Uwierz mi na słowo. Nie chcesz.

— OK. Tylko nie władujcie się w kłopoty — poprosiła. — Nie włamuj-
cie się nigdzie ani nic z tych rzeczy.

— Luz, maleńka. — Net uśmiechnął się do niej jeszcze szerzej i obaj
z Felixem odeszli.

Nie zapytała ich, czy im czegoś nie kupić. Teraz było już za późno. Kto
raz opuścił tę kolejkę, nie mógł już do niej wrócić. Takie zasady – łąduje się
na końcu. Dopiero po chwili zorientowała się, że właściwie to nie chce nic

kupować. Wyszła więc na środek hallu. Kusilo ją, żeby pójść za chłopakami i sprawdzić, czy nie zamierzają podprowadzić z biblioteki rozmówek polsko-francuskich albo czegoś w tym rodzaju. I pewnie by to zrobiła, gdyby zauważyła, gdzie poszli. Zamiast tego jej spojrzenie padło na Gilberta, który spacerował z uśmiechniętą Michael. Podeszła do nich i najuprzejmiej jak potrafiła, poprosiła dziewczynę:

— Mogłabyś nas zostawić na chwilę?

Niemka przytaknęła i ku lekkiemu niezadowoleniu chłopaka odeszła.

— Nie wiesz, co się dzieje z Zosią? — zapytała Nika. — Od kilku dni jest przygnębiona.

— Przygnębiona? — Chłopak zastanowił się. — Jakoś nie zauważyłem.

— No właśnie dlatego jest przygnębiona, że jej nie zauważasz. Cały czas spędzasz z Michael.

— Nie chcę zaprzepaścić kilkusetletniej tradycji polskiej gościnności. Oprowadzam ją po mieście i opowiadam, gdzie były największe zniszczenia podczas Powstania Warszawskiego. Puszczam jej klasykę polskiej komedii. Wczoraj oglądaliśmy *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*. Dziś przechodzimy do kina ambitnego. Obejrzymy *Ostatni etap* i *Zakazane piosenki*. To wymaga dużych nakładów czasowych.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł na okazanie gościnności Niemce.

— Taka z niej Niemka, jak ze mnie Zanzibarczyk. Jej się podoba.

— A Zosia? Czy ona jest chora? Dlaczego jej nie ma w szkole?

Gilbert wzruszył ramionami i zerknął na rozmawiającą z kimś Michael.

— Przecież widziałeś się z nią wczoraj — przypomniała Nika. — Coś mówiła?

— Nie przyszła na spotkanie. Siedzieliśmy kwadrans.

— Siedzieliście? To w końcu przyszła czy nie przyszła?

— Siedziałem ja i Michael. Zosia nie przyszła. To w sumie dziwne, bo rano tak jej zależało.

— Przyciągnąłeś Michael na spotkanie z Zosią?! — Nie mogła uwierzyć Nika.

— Przecież się znają.

Nika wypuściła głośno powietrze i pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Nie pomyślałeś, że ona może być zazdrosna?

— Nie pytałem jej o to. Zresztą dlaczego miałyby być zazdrosna o Zosię?

— Nie! Zosia może być zazdrosna o Michael.

— Eee... — Gilbert machnął ręką. — Myślisz...? Przecież to tylko nasza tradycyjna polska gościnność. Dlaczego miałyby być zazdrosna? I z tego powodu się przygnębiła i nie przyszła do szkoły? Celiny też dziś nie ma, a ona nie wyglądała na przygnębioną, tylko na wpienioną.

* * *

— Tak naprawdę, to nic ci nie jest. — Młody lekarz przeglądał kartę. — Ale masz piętnaście lat, więc nie mogę cię wypisać bez podpisu opiekuna.

— Ale ja jestem dorosła — zaprotestowała Celina. — Mama zawsze mi powtarza, że powinnam się zachowywać jak dorosła.

— To nie to samo.

— Ale ona nie może się zwolnić z pracy. — Celina bezradnie rozłożyła ręce. W za małej piżamce czuła się trochę głupio. Na szczęście tutaj wszyscy chodzili w piżamach. Podeszła bliżej stolika, za którym siedział lekarz. Dyżurka szpitalna oddziału zatruc była mała, ciasna i dodatkowo służyła chyba za magazynek, bo pod ścianami i na półkach obok małego okna piętrzyły się kartonowe pudełka z nadrukowanymi nazwami leków.

— Moja mama zupełnie się nie zna na medycynie — ciągnęła Celina. — Po co ten podpis?

— To takie jakby... — zaśmiał się krótko — poświadczenie odbioru.

— Będzie mnie pan tu trzymał do wieczora? — Zrobiła bardzo smutną minę i oczy kota ze Shreka. — To łóżko na pewno jest potrzebniejsze komuś innemu.

— Szczerze mówiąc... — Lekarz podrapał się w głowę. — Przydałoby się nam to łóżko.

— No... no... — Zachęciła go uśmiechem.

— Nie. — Mężczyzna pokręcił głową. — No nie da się. Ordynator łeb mi urwie, jak się dowie.

Dziewczynie opadły ramiona.

— Może się nie dowie — powiedziała ciepłym głosem stojąca w progu kobieta.

Lekarz i Celina spojrzeli na nią z zaskoczeniem.

— To... pani...? — Mężczyzna wstał.

— Przygotowuję materiał o najlepszych placówkach medycznych w kraju. — Ilona Bogucka wyjęła z jego rąk kartę i długopis. — Dokładniej

o takich placówkach, które traktują pacjentów po ludzku. Jak podmiot, a nie przedmiot. — Podpisała bardzo niewyraźnie kartę i oddała lekarzowi. — Takich, które serce cenią wyżej od bezdusznych procedur.

Lekarz spojrział na kartę, potem na reporterkę.

— Jak mogę pani pomóc?

— Nakręcimy kilka ujęć, dodamy komentarze. Mamy to doskonale obcykane.

— Nie wolno nam... używać wizerunku pacjentów.

— Ona już nie jest pacjentką. — Ilona położyła pachnącą dłoń z różowymi paznokciami na ramieniu Celiny. — Chcesz wystąpić w telewizji?

Oniemiała dziewczyna przytaknęła gorliwie.

— Na kiedy powinniśmy się przygotować?

— Przygotowania nie będą konieczne. — Reporterka wysunęła dłoń na korytarz i pstryknęła palcami. — Nagramy wszystko w minutę. — W drzwiach pojawił się człowiek z kamerą. — Może pan zrobić smutną minę, taką przejętą losem pacjenta jako podmiotu.

Lekarz gorliwie przytaknął, wziął w dłonie kartę Celiny i zrobił tak smutną minę, jakby oglądał akt zgonu.

— Mam coś mówić?

— Smutna mina wystarczy. W tle będzie lektor. Jeszcze moment... OK, wystarczy.

— Gdyby były potrzebne moje dane do podpisu, takiego na dole ekranu, to ja już... — Wyszarpnął szufladę i wyrwał kartkę z notesu. Napisał na niej imię, nazwisko i wszystkie swoje tytuły naukowe. — Już proszę. Mam nadzieję, że da się odczytać.

— Oczywiście. — Ilona wzięła kartkę i zwróciła się do Celiny. — Ty się jeszcze nie przebieraj. Przydasz się.

Skinęła na nią palcem i wyszła na korytarz. Kamerzysta podązał za nimi krok w krok.

— Podpiszemy go „zafrasowany pielęgniarz nad rachunkiem za gaz”. — Zwinęła kartkę w kulkę i wrzuciła do śmietniczki. Zajrzała do sali z dwoma pustymi łózkami. — O, tu będzie dobrze.

Weszli do pokoju.

— To nie moje łóżko — zauważyła Celina.

— Ta kroplówka lepiej zakomponuje się w kadrze.

— Ale... tu ktoś leżał. — Dziewczyna spojrzała z niesmakiem na wygniecioną pościel. — Tu stoi czyjaś herbatka.

— Nie tragizuj. To zajmie minutę, a potem będziesz miała wolny cały dzień. Odrobina wdzięczności.

Celina wzięła w dwa place różek kołdry i z przykrością wsunęła się w pościel, Która była rozgrzana i wilgotna.

— Ustaw się tam. — Ilona wskazała kamerzyście miejsce pod oknem. — Tak, żeby w kadrze zmieściła się ta aparatura do podtrzymywania życia, czy co to jest. — Zaczęła wciskać guziki na obwieszonym kablami monitorze. Któryś kolejny odpowiedział dźwięcznym *ping*, a ekran ożył pulsującymi wykresami. Wzięła od operatora mikrofon i podsunęła go pod nos Celinie. Po namyśle przysunęła sobie krzesło i usiadła na nim. Zrobiła zbolaną minę i zapytała:

— Co było wczoraj na obiad w szkolnej stołówce?

— Pulpety — odpowiedziała Celina. — Ale ja nie jem obiadów w stołówce.

— Nieważne. Znalazłaś się w szpitalu z powodu zatrucia mięsem?

— Tak, ale to nie w szko —

— Z czym były te pulpety?

— Nie wiem, z jakimś sosem... Ale to nie dlatego się zatrulałam. Lekarz powiedział, że mój żołądek nie jest przyzwyczajony do trawienia mięsa i tak sobie właśnie zaprotestował. Tak w ogóle — Celina westchnęła — to wszystko moja wina. Zachowałam się bardzo... głupio.

— Czyli można powiedzieć, że jesteś tu za karę.

— W sumie... tak. Głupio się zachowałam. Żałuję tego, ale —

— Powiedz do mikrofonu, że to było za karę.

— Mam powiedzieć... OK. Tak to wygląda...

— Powiedz dokładnie „to było za karę”.

— To było za karę. Chociaż to tylko taka przenośnia, bo w sumie to sama zjadłam tego kotleta.

— Wystarczy. — Reporterka gestem pokazała operatorowi, żeby skończył. — Mamy to.

Celina została w sali sama. Chwilę leżała, nie wiedząc, co dalej robić.

— I co? To już? — Rozejrzała się. Po reporterce nie było śladu. — Mogę już wstać?

* * *

— Wam chyba brakuje jakiegoś kawałka mózgu — oświadczyła Nika, gdy szli korytarzem. — Gilbert nawet się nie domyślał, że Zosia może być zazdrosna o Michael.

— Kawałka mózgu? — obruszył się Net. — Wam też brakuje kawałka mózgu, tego, który jest odpowiedzialny za... na przykład za złożenie przerzutki rowerowej.

— Potrafisz złożyć przerzutkę?

— Felix potrafi. To załatwia sprawę. A ty sama jesteś dziwnie miła dla Angusa.

— Nie jestem dla niego dziwnie miła, tylko normalnie miła. My po prostu rozmawiamy.

Szli w stronę sali informatycznej. Informatyka miała być ostatnią lekcją tego dnia. Net przed rozmową z Eftepem miał coś w rodzaju tremy, wynikającej chyba głównie z tego, że będzie musiał być miły.

— Teraz skup się, żebyś ty był normalnie miły dla Eftepa. — Nika położyła mu dłoń na ramieniu. — Nawet nie zahaczaj o ironię. Zaliczysz test i będziesz mógł sobie myśleć, co będziesz chciał.

— Nawet mówić będziesz mógł, co będziesz chciał — dodał Felix.

— Poza murami szkoły.

— Pomyśl o sobocie.

— Odstresujesz się.

— I ten ukryty na dnie jeziora skarb.

Net odetchnął i przytaknął, że rozumie i się postara. Weszli do sali i usiedli na swoich miejscach. William i Angus pokazali Netowi kciukami *good luck* i zadzwonił dzwonek. Zaraz potem do sali, krokiem Napoleona prowadzącego swą armię na Moskwę, wkroczył Eftep. Usiadł za swoim biurkiem i rozłożył laptop, dziennik oraz notes. Net zaczął się wiercić, przymierzając się do zwrócenia na siebie uwagi.

— Pamiętaj, bądź miły — przypomniała Nika.

Net przesadnie zgodnie skinął głową. Najuprzejmiej, jak potrafił, podniósł rękę.

— Tak, Bielecki, słucham? — Lekceważący ton głosu nauczyciela nie zapowiadał niczego dobrego.

— Nie zaliczyłem ostatniego testu — powiedział Net najuprzejmiej, jak potrafił. — Chciałbym go poprawić.

— Rzeczywiście nie poszło ci najlepiej — odparł z udawanym współczuciem informatyk. Zaczął przeglądać papierowy notes. — Nie tylko

chciałbyś poprawić, ale wręcz musisz poprawić. Zerknijmy, kiedy to będzie możliwe... O, na następnych zajęciach będzie idealnie.

— W poniedziałek? — Net uniósł brwi. — Nie ma mnie w poniedziałek. W sobotę wyjeżdżamy na wycieczkę.

Eftep cmoknął i pokręcił głową.

— Bardzo trudno poprawia się test, będąc nieobecny. Pamiętaj, że nie jesteś zbyt dobry z informatyki. Przemyśl to jeszcze.

— Zaraz! — Net wstał. — Cała klasa jedzie na wycieczkę, bo to jest wycieczka klasowa. Zorganizowana przez szkołę. Mogę poprawić test dzisiaj.

— Niestety. — Eftep spojrział na Neta z nieszczęrym smutkiem. — Dziś nie mam testu dla ciebie. Muszę przygotować nowe pytania, łatwiejsze oczywiście, dostosowane do twojego poziomu.

— Mogę zaliczać jutro.

— Wiesz, że nauczyciele też mają życie prywatne? I tak będę musiał poświęcić kawałek mojego prywatnego weekendu, żeby specjalnie dla ciebie przygotować test.

Na to Net nie znalazł odpowiedzi. Nauczyciel zamknął notes i dodał:

— Oczywiście możesz jechać na tę wycieczkę, ale najpierw musisz zadać sobie pytanie, co jest dla ciebie ważniejsze: rozrywka czy nauka?

* * *

Czarna kawa była jedynym jasnym elementem tego dnia. Wreszcie mocna i aromatyczna, a nie ta lura. Stokrotnie wyraźniej ulżyło, gdy reporterka opuściła budynek szkoły. Jednak monitoring na coś się przydaje. W sumie to nie rozumiał swoich negatywnych uczuć wobec tej kobiety, przecież ona chciała dobrze dla szkoły. To wszystko pewnie z niewyspania.

Z niechęcią zabrał się do przeglądania korespondencji. Sterta listów była na szczęście mała. Wybrał kopertę, która wyglądała najpoważniej – z kuratorium. Pełen złych przeczuc, wziął nożyk do listów i rozciął papier. Podejrzliwie przebiegł wzrokiem po liniijkach tekstu. Człowiek, który czyta dużo tego rodzaju korespondencji, wie, które fragmenty tekstu może spokojnie pominąć. Oczywiście te niepotrzebne fragmenty tak naprawdę były potrzebne – bez nich dokument nie byłby dostatecznie oficjalny. W miarę czytania dyrektor czuł, jak robi mu się cieplej na sercu. Z listu wynikało ni mniej, ni więcej, że uczeń Gimnazjum Numer Trzyznaście imienia Profesora

Stefana Kuszmińskiego nie tylko został zakwalifikowany do półfinału olimpiady, nie tylko przeszedł do finału, lecz jeszcze otrzymał maksymalną możliwą liczbę punktów. Otrzymał ją jako jedyny, co oznaczało, że był lepszy również od licealistów. Dyrektor obejrzał dokładnie kopertę. Była to oficjalna i prawdziwa koperta z kuratorium. Tylko dlaczego nie pisali wcześniej o poprzednich etapach olimpiady?

Sięgnął do interkomu, ale zrezygnował, wstał i osobiście poszedł do sekretariatu.

— Helenko, czy nie przychodziły ostatnio jakieś pisma z kuratorium w sprawie olimpiady?

— Przychodziły. — Pochylona nad lusterkiem sekretarka szczoteczką do rzęs wskazała sporą stertę nieotwartych kopert leżącą między segregatorami.

— Dlaczego mi ich nie pokazałaś?

— Nie chciałam panu zawracać głowy. Do olimpiady przecież jeszcze kilka lat.

Dyrektor potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć, o co chodzi sekretarce.

— Te pisma nie dotyczą igrzysk olimpijskich — wyjaśnił, siląc się na spokój — tylko olimpiady przedmiotowej dla uczniów.

— Naprawdę? Tak czy inaczej, leżą tam, gdyby pan ich potrzebował, panie dyrektorze.

Dyrektor stłumił rozdrażnienie. Tego dnia chciał się bez przeszkód cieszyć choć jedną rzeczą. Nie licząc kawy. Wrócił za swoje biurko i jeszcze raz przeczytał list. Nie było wątpliwości: „Net Bielecki – pierwsze miejsce w Ogólnokrajowej Olimpiadzie Informatycznej”.

* * *

— Nie mogę zostać na drugi rok w drugiej klasie. — Net chodził w tę i z powrotem po korytarzu. — To bardzo słabe wizerunkowo. Chociaż patrząc z drugiej strony, to w takim przypadku rok później bym wydoroślał, rok później bym się wyprowadził od rodziców, rok później przeszedł na emeryturę i rok później kopnął w kineskop. Kuszące jak złamany palec wobec złamanej nogi. Nie... — Ukrył twarz w dłoniach. — Ja się tak nie bawię...

Nika objęła Neta i mocno przytuliła. Felix ograniczył się do poklepania go po ramieniu.

— Wiesz co? — powiedział. — Mamy tam być tydzień. W poniedziałek zaliczysz test, bo przecież zaliczysz, i dojedziesz do nas pociągiem. Raptem dwa dni stracisz. Znaczy... przyjedziesz na gotowe. Rozpoznamy teren, zarezerwujemy dla ciebie najlepsze łóżko. Ominą cię tylko te nieprzyjemności początkowe.

— Dzięki, ale wiesz... — Net podniósł głowę. — Jechać pociągiem z wami i... wzięlibyśmy Gilberta, Oskara i Wiktora do przedziału. Mam nadzieję, że nie będziemy jechać tym bydlęcym ośmiomiejscowym... ech, przecież ja nie jadę... Chcę tylko powiedzieć, że to zupełnie inna jakość podróży, jechać z wami w przedziale, a jechać z zakonnicą, wąsatym spawaczem, spóźnionym kibicem, żulem w interglacjale międzyodwykowym i emerytowanym chrapaczem. Rozumiecie? To taka różnica, jak między życiem a czekaniem, aż skończy się przerwa w życiu.

— Nic nie poradzimy — odparł Felix. — Za to będziemy razem wracać.

— Atmosfera powrotów jest zawsze dołująca.

Felix wypuścił głośno powietrze.

— Chcesz się nad sobą uzalać? — zapytał. — Nie ma sposobu, żeby to zmienić. Musiałbyś iść do Eftepa, klęknąć przed nim i złożyć ofiarę z jagnięcia. Wtedy może by ci odpuścił.

— A skąd ja ci tu wezmę jagnięcie? Jagnię, znaczy. — Net uniósł palec wskazujący. — Żadnego lizania owłosionych łydek informatycznych ameb. Przemęczę się z wąsatymi spawaczami. I z wąsatymi zakonnicami.

* * *

Ilona Bogucka weszła do showroomu i rozejrzała się. Miała specyficzną umiejętność nierzucania się w oczy, kiedy tego nie chciała, oraz szybkiego przechodzenia w tryb gwiazdy. Teraz udawała przeciętną klientkę, ale nie zwracała uwagi na buty, lecz na ekspedientki. Jej spojrzenie padło na niską dziewczynę, która nie dość, że miała okulary jak denka od butelek, to jeszcze lekkiego zęza. Zaczekała, aż dziewczyna znajdzie się na uboczu, i podeszła do niej.

— Dzień dobry, mogę zająć pani minutkę? — zapytała z uśmiechem numer pięć przeznaczonym do przełamywania pierwszych lodów.

Dziewczyna podniosła na nią wzrok znad pudełek z pomieszczanymi parami butów. Z bliska wyglądała jeszcze gorzej. Zajęło jej chwilę, nim się zorientowała, z kim ma do czynienia.

— Och, to pani! Ojeju...

— Przygotowujemy materiał o wzorcowych sklepach obuwniczych — wyrecytowała Ilona. — Ten sklep jest odpowiedni, by w nim nakręcić kilka przebitek.

— Ojeju, naprawdę? — Dziewczyna odłożyła pudełka wprost na ziemię. — To muszę zadzwonić do właściciela.

— Tak szczerze mówiąc — reporterka ściszyła głos i nachyliła się konspiracyjnie — to materiał ma dotyczyć pracowników sklepów odzieżowych. Czyli nie musisz nikogo pytać. Jak ci się tu pracuje?

— Chcą mnie wywalić, bo im odstraszam klientów. — Wskazała na okulary.

— Uuu... to nieładnie.

— To znaczy jest dwóch wspólników. Jeden chce mnie wywalić, a drugi nie chce. Nie wiem, może naprawdę odstraszam ludzi... Ale za to pracuję za dwie. Te pozostałe dziewczyny — wskazała głową w bok — wyglądają identycznie. Klientki zapominają, z którą przed chwilą rozmawiały. Najczęściej więc wybierają mnie, żeby o coś zapytać, bo potem mnie z nikim nie pomylą. Ten „dobry” właściciel za dwa tygodnie jedzie na wakacje i boję się, że ten „zły” wykorzysta okazję, żeby się mnie pozbyć.

Ilona pokiwała głową z troską.

— Myślę, że znam sposób, żeby cię nie wyrzucili z pracy. Masz dostęp do nagrań z monitoringu?

— Teoretycznie nie — dziewczyna spojrzała na nią z niepokojem. — Teoretycznie tylko właściciele i ochrona mogą oglądać nagrania.

— Teoretycznie. — Reporterka pokiwała głową i dała dyskretny znak czekającemu przed wejściem kamerzyście. — Zerknijmy więc.

Wykonała pierwszy krok w stronę zaplecza. Dziewczyna wahała się tylko chwilę. Ruszyła przodem w stronę przebieralni i otworzyła małe drzwi ukryte za przepierzeniem. Weszła pierwsza do małego pomieszczenia z mikrokuchenką, szafkami, stolikiem i dwoma krzeselkami. Na metalowym regale stało urządzenie przypominające nieco laptop z grubą podstawą. Uniosła pokrywę z ekranem i na klawiaturze składającej się z kilku przycisków włączyła odtwarzanie.

— Znajdź wczorajszy dzień około czternastej.

Ekspedientka skinęła głową i z dostępnych obrazków z podglądem wybrała właściwy.

— Jest. — Odwróciła się i wydała z siebie zduszony krzyk, gdy zorientowała się, że w pomieszczeniu oprócz nich jest jeszcze kamerzysta.

— To konieczne — wyjaśniła łagodnie Ilona. — Ja przecież pracuję w telewizji.

— Och... no tak. — Dziewczyna najchętniej wycofałaby się z tego wszystkiego. Puściła nagranie w przyspieszonym tempie.

— Tutaj! — Ilona wskazała ekran. — Cofnij kawałek.

Kamerzysta bez przypominania zaczął nagrywać. Na ekranie widać było nieco natchnioną Zuzannę Zdrój, zagubioną Ekierkę oraz ich uczennice przebierające w butach.

— Jaki to ma związek ze mną? — zapytała ostrożnie ekspedientka. — Jeśli szefostwo się dowie, że wam to pokazałam, to na pewno mnie wywali.

— Zaczekaj jeszcze chwilę — uspokoiła ją Ilona. — To dla twojego dobra. Jeszcze chwila... Jeszcze moment... — Na ekranie matematyczka przymierzała właśnie zamszowe ciepłe buty. — Wystarczy. Mamy to.

Kamerzysta opuścił kamerę i wycofał się z zaplecza.

— Nikomu nie mów, że tu byliśmy — poradziła reporterka.

Dziewczyna przytaknęła gorliwie. Przełączyła urządzenie w tryb nagrywania, zamknęła obudowę i zapytała:

— Ale co pani właściwie robi, żeby mnie nie wywalili?

Ale w kanciapce nikogo już poza nią nie było.

* * *

Aurelia sprawdziła w lusterku, czy wygląda wystarczająco idealnie. Tak, tak właśnie wyglądała. Zebrała się w sobie do ostatecznej rozgrywki. Misterny plan, realizowany od wczorajszego popołudnia, teraz miał przejść do fazy ostatecznej. Podeszła do Marie.

— Cześć. — Uśmiechnęła się, najszczerzej jak potrafiła, będąc nieszczerą. — Możemy porozmawiać?

— O, właśnie Audrey powiedziała mi, że chcesz ze mną porozmawiać — przytaknęła Marie. — O jedzeniu chcesz porozmawiać? Czemu tak oficjalnie?

— Ty przeprowadzić się do mnie chcieć — odpowiedziała płynną francuszczyzną Aurelia. — W dom Klemens zła jedzenia. Bardzo zła jedzenia. Moja mama gotować nie. Moja mama dzwonić do najlepsza karczma i karczma gotować dla mama. Kierowca przywozić jedzenia, my jeść jedzenia. Pyszności mniam.

— Napisałaś do mnie tydzień przed przyjazdem, że masz kłopoty rodzinne — odpowiedziała Marie. — Napisałaś, że nie mogę u ciebie zamieszkać. Rodzina Klemensa przyjęła mnie w ostatniej chwili.

— Problemy rodzinne kaput. *Finito*. Nie ma problemy rodzinne *no longer*. Ty już móc się do mnie przeprowadzić.

— Ale... — Francuzka zrobiła smutną minę. — Oni się tak bardzo starają. No, nie wychodzi im, ale są tacy mili. Chciałabym się przeprowadzić. Niestety bardzo bym ich zawiodła, gdybym teraz się wyprowadziła. Wyrzuty sumienia by mnie zjadły.

— W dom Klemens tłusta jedzenia... Tłusta zjadła. — Aurelia starała się, by jej akcent przypominał slang prosto z Montmartre'u, czyli ten najbardziej artystyczny z artystycznego przecież już i tak Paryża. — Tam tłusta polska zjadła i tłusta ludzie. U nas dobra zjadła *any cuisine*. Klemens nie znać francuska język, a ja znać go płynna. My łatwiej się skonwersować móc. My mieć ta sama zainteresowania – moda, styl i szyk. Ja znać wiele sklepy w Warszawa. Wiele kluby i wiele... Wiele wiele wiele. Wszystko wiele naj.

— Masz rację — Marie pokiwała głową. — Ja nie przeżyję kolejnego dnia w tamtym domu. Mam wielki brzuch. — Pogłaskała się po idealnych rozmiarów płaskim brzuszku okrytym obcisłą pasiastą bluzeczką. — Jest tak wielki, że boję się zaklinować w drzwiach. Nie przeżyję kolejnego obiadu u Rajkowskich. To jest jak tortura. Dobrze, przeprowadzę się dziś. Jakoś im to wytłumaczę. Na migi.

Aurelia niemal podskoczyła z radości. Powstrzymała się oczywiście, bo takie zachowanie byłoby niegodne mówiącej po francusku *madame*.

— Ty zadzwonić do mnie albo wysłać esesman. — Starannie akcentowała każdy wyraz, by uniknąć jakichkolwiek nieprawidłowości wymowy, które mogłaby wychwycić rodowita Francuzka. — Moja tata *will* ³ przysłać po ty taxi. Dobra taxi, nowa Mercedes taxi. Nie stara Mercedes taxi, nie Daewoo taxi. Miętko, czysto, nie śmierdzi. Ty przybyć do my w komfortowa sposób. Ty *will* mieć w nasz dom wielka własna pokoja z wielka własna łazienka.

— OK. Wrócę i jakoś im powiem, o co mi chodzi.

— Ty nie żałować. — Aurelia nie powstrzymała się i zupełnie nieelegancko uściskała Marie. — Ty *will* nie żałować!

Marie uśmiechnęła się jeszcze i być może konwersacja mogłaby trwać nadal, gdyby nie dzwonek. Plan został zrealizowany w dziewięćdziesięciu pięciu procentach. Jezu, co za stres! Aurelia odetchnęła z ulgą. Mam nadzieję, że nie popełniłam żadnego błędu językowego. Jak się mówi: „Ty móc się przeprowadzić do ja” czy „Twoja móc się przeprowadzić do moja”? To by dopiero był obciach, gdybym powiedziała coś złe.

* * *

Ilona Bogucka z szerokim uśmiechem podsunęła mikrofon siedzącemu w swoim fotelu Stokrotce. Operator stał tuż obok i filmował z ręki.

— Jeszcze kilka podsumowujących pytań — zaczęła reporterka. — Czy to prawda, że Stefan Kuzmiński, patron tego gimnazjum, uczył się w szkole podstawowej numer pięć?

Dyrektor spróbował przypomnieć sobie biografię patrona. Uśmiechał się i patrzył w kamerę długą chwilę, nim go oświeciło, że nie należy patrzeć w kamerę.

— Tak — odparł, szukając punktu zaczepienia dla wzroku. — Rzeczywiście uczęszczał do szkoły podstawowej numer pięć. Już nawet nie ma tamtego budynku.

— W tej szkole poznał swoją przyszłą żonę, prawda? To była miłość od pierwszego wejrzenia?

— Tak, można to tak określić. Julia była wtedy w drugiej klasie. Miłość przetrwała próbę czasu.

— Kuzmiński wrócił jeszcze do tej szkoły, prawda?

— Po ukończeniu Politechniki Warszawskiej Stefan Kuzmiński przez kilka lat uczył tam fizyki. Był wtedy dosyć ubogim człowiekiem. Zamieszkał z Julią w małym mieszkaniu na Mariensztacie. Ledwo wiązali koniec z końcem.

— A co z rodzicami Julii? Byli przecież całkiem zamożni.

— Jej rodzice nie akceptowali tego związku.

— To zrozumiałe. Poznali się, gdy ona miała dziewięć lat?

— Tak. Mniej więcej.

— Czyli mamy profesora, który ma romans z dziewięciolatką. Trudno, żeby jej rodzice to zaakceptowali.

— No nie... On miał wtedy też dziewięć lat. Chodzili do tej samej klasy.

— Mało wiarygodne tłumaczenie. A co z tą dziewczyną? — zmieniła temat reporterka. — Z tą, co się zatręła mięsem.

— Zatręła się mięsem, ale nie dlatego, że mięso było złe, tylko dlatego, że jest wegetarianką.

— Czyli siłą zmuszacie wegetarian do jedzenia mięsa?

— Nie, skądże znowu! — Stokrotka był już podenerwowany. — To się stało poza szkołą.

— Ale w szkole tego dnia były pulpety.

— Ona ich nie jadła.

— Ale były.

Dyrektor się zastanowił. O co chodzi tej kobiecie? Nagle zaczęła być napastliwa.

— Naszym celem jest zapewnienie uczniom naturalnych, przyrządzanych na miejscu posiłków bez konserwantów, bez chemii — powiedział.

— Przed tą rozmową sprawdziłam ofertę firm cateringowych. — Reporterka wyjęła z kieszeni złożoną na czworo kartkę, pomachała nią przed kamerą i schowała ponownie. — Oferta jest szeroka. Dania polskie, włoskie, chińskie, tajskie, wegetariańskie. Tu jest wszystko.

— Firmy cateringowe za te same pieniądze oferują wysoko przetworzone, przemysłowe jedzenie. Wybraliśmy zdrową polską kuchnię opartą na świeżych składnikach. Niestety w ten sposób można przygotować tylko dwa dania dziennie. Mamy w szkole trzech wegetarian. Celi... ta dziewczyna zapisała się na stołówkę tylko na ten tydzień, żeby towarzyszyć naszym zagranicznym gościom. Korzysta ze stołówki, jeśli ta serwuje dania bezmięsne.

— Ale gdyby uczniowie niejedzący mięsa chcieli codziennie korzystać ze stołówki, to by nie mogli. Czyli *de facto* pozwala pan na dyskryminację tych trojga uczniów?

— Nie możemy zmuszać reszty uczniów, żeby jedli wyłącznie dania wegetariańskie. Mamy też jednego weganina, dwóch uczniów wymagających diety bezglutenowej, jednego uczulonego na paprykę, jednego na grzyby, dwóch z odruchem wymiotnym przy szpinaku, troje nietrawiących

produktów mlecznych. Ktoś nie tknie spaghetti, ktoś inny nienawidzi barszczu czerwonego albo grochówki, ktoś wymaga kuchni koshernej.

— Czyli pan woli dyskryminować mniejszości.

Dyrektor spojrział na reporterkę i pomyślał, że ma do czynienia z niedorozwiniętym dzieckiem w ciele dorosłej kobiety. Ale to przecież nie była prawda. Ilona Bogucka doskonale wiedziała, co robi.

— Nie stać nas na indywidualne diety dla każdego. — Silił się na spokój. — Staramy się zapewnić zdrowe jedzenie jak największej liczbie uczniów.

— Rozumiem. — Ilona już się nie uśmiechała. Była teraz zupełnie inną osobą niż ta, która weszła do gabinetu kilka minut temu. — Nie sądzi pan, że są takie rzeczy, na które muszą się znaleźć pieniądze, nawet jeśli tych pieniędzy nie ma?

— Nie można zapłacić pieniędzmi, których się nie ma.

Dyrektor chciał tylko, żeby ta wredna baba już sobie poszła. Ilona Bogucka niespodziewanie uniosła palec wskazujący, co miało znaczyć, że dyrektor powinien teraz przestać mówić, wyjęła z kieszeni telefon i przeczytała wiadomość. Pokiwała głową i znów przeistoczyła się w przyjaciółkę całego świata. Przysiadła na brzegu biurka i uśmiechnęła się ciepłutko.

— Czasem tak trzeba — wyjaśniła z uśmiechem. — Trochę troski, smutku i współczucia, żeby potem nie mówili, że jestem stronnicza. A teraz musimy jechać. Urodziło się dwugłowe cielę.

Wstała, pożegnała się, machając ręką jak mała dziewczynka i wyszła. A w ślad za nią podążył operator. Stokrotka wjechał głębiej w fotel. Jak rozmawiać z ludźmi, których nie interesują racjonalne argumenty, tylko oklepane frazesy. Było to tym bardziej przykre, że dyrektor uważał tę stołówkę za swój osobisty sukces. Menu rzeczywiście było ubogie, ale za to naturalne. Gdyby chcieć dogodzić wszystkim, trzeba by podawać na obiad wodę!

Wyłączył komputer i wstał.

— Jest sposób na to, żeby nie dyskryminować żadnego z uczniów — powiedział sam do siebie. — Likwidacja stołówki.

* * *

— Ona znów tu jest? — zdziwiła się Nika.

Ilona, kręcąc biodrami, przeszła przez hall, pchnęła drzwi i wyszła ze szkoły. Operator dreptał, próbując za nią nadążyć.

— Jej znów tu nie ma — podsumował Net, gdy drzwi się zamknęły.

— Mam złe przeczucia.

Przyjaciele zamierzali już wyjść ze szkoły. Czekali tylko na jedną osobę.

— A jak już poszedł? — Net na przemian to sprawdzał godzinę na zegarku, to rozglądał się w dwie strony korytarza.

— Dobre uczynki trzeba doprowadzać do końca — orzekł Felix.
— Inaczej się nie liczą.

Przez hall szkoły przemaszerował dyrektor z plikiem papierów w dłoni. Przyjaciele powiedzieli zwyczajowe „dzień dobry”, na co nawet nie zareagował.

— Zły jakiś — zauważył Net.

— To chyba po rozmowie z Bogucką — zastanowiła się Nika. — Albo przed radą pedagogiczną. Będą ustalać nasze oceny na koniec roku.

— To super...

Pan Brudnica patrzył na nich niechętnie. Gdyby nie to, że inne klasy miały jeszcze zajęcia, z pewnością kazałby im się wynosić. Net nachylił się do przyjaciół i szepnął:

— Ciekawe, jak ktoś tak nieprzychylny ludziom znalazł pracę w miejscu, gdzie przez wiele godzin jest pełno bardzo głośnych niedojrzałych ludzi.

— Widuje ich tylko na przerwach — wyjaśnił Felix, po czym dodał — dziś poprawiamy stery Bulbota i przeprowadzamy ostatni test.

— Jutro poprawiam test z matematyki — stwierdziła smutno Nika.

— Przecież właśnie ty powinnaś lubić te klimaty z legend o skarbach i królewnach — wtrącił Net.

— Jakich królewnach? Mówiliście tylko o skarbie i o diable.

— No ale wiesz, skarb kiedyś był czyjś. To też jest w tej legendzie. Chodziło o to, że tam była jakaś królowa, która miała skarb... A nie, to królewicz z ciepłych krain Zasadmiogórogradu chciał dać skarb za tę królową, w sensie, że chciał tę królową kupić od króla za ten skarb. To się chyba nazywa posag.

— Posag to akurat daje rodzina panny młodej — wtrącił Felix.

— Jak zwał, tak zwał. — Net machnął ręką. — Faktem jest, tym legendarnym faktem, że złoto nie dojechało do zamku króla i jego królowy.

Królewicz zimą przejeżdżał przez jezioro na skróty, a że pierwszy raz był w takiej zimnej krainie, to nie wiedział, co to lód. I lód trzasnął. Skarb i królewicz poszli na dno... a nie, wróć, królewicz się uratował, ale królowna, która już zdążyła go pokochać, myślała, że on też utonął.

— Przecież go nigdy wcześniej nie widziała — zauważyła Nika. — Jak mogła go pokochać?

— Zdalnie go pokochała. Korespondencyjnie. Feromony jej przesyłała w zalakowanych kopertach. No i tak się zakochała, że jak on umarł, znaczy nie umarł, tylko ona tak myślała, to z rozpaczry rzuciła się w odmęty jeziora.

— Zamarzniętego?

— No... pewnie uderzyła się o lód i umarła. Tam jakaś wysoka wieża była z balkonem, czy coś. Wtedy królewicz... zresztą nieważne, nie o nim jest ta legenda. Historia kończy się trupem królowny i skarbem na dnie. A skarbu pilnuje ten diabeł, więc musimy mieć robota.

Nika pokręciła głową.

— Wymyśliłeś to wszystko teraz, prawda? A ja i tak mam cały wieczór zakuwania.

— Cykorzysz — ocenił Net. — Przecież nie pójdziemy na ten sam basen.

— Przeprowadzimy test w fontannie — poparł go Felix. — Nikt nie będzie się mógł przyczepić.

— Naprawdę muszę się uczyć — powiedziała Nika. — Muszę dbać o średnią, bo od niej zależy, czy przedłużą mi stypendium.

— Idzie — rzucił Felix.

Korytarzem nadchodził Klemens. Bez Celiny wyglądał na zagubionego i niekompletnego.

— Co się właściwie stało z Celiną? — zapytała Nika.

— Zjadła kotlet mielony. — Klemens zatrzymał się przy nich. — Pochorowała się, bo nie jest przyzwyczajona do trawienia mięsa. Nic jej nie będzie, ale jeszcze jutro ma zwolnienie.

— Po co zjadła kotlet?

Klemens bezradnie westchnął i potarł czoło.

— Właściwie to nie wiem. Przestraszyła się chomików albo próbowała mówić po francusku.

— Właśnie, francuski. Mamy coś, co ci się może przydać. — Felix wyciągnął w jego stronę dłoń. Leżało na niej małe metalowe pudełeczko po

landrynkach. — To zaawansowany bioniczny translator angielsko-francuski. Polsko-francuskiego nie udało się skonstruować.

Klemens wziął pudełko z pewną dozą nieufności.

— Jak to działa?

— Obsługa jest bardzo intuicyjna. Otwórz. Tylko ostrożnie, bo to prototyp.

Klemens powoli otworzył pudełko i uniósł lekko brwi.

— Tak — przyznał — wygląda na bardzo intuicyjny.

* * *

Stokrotka wparował do pokoju nauczycielskiego w nastroju, który przy jego wzroście można by określić jako diabelskotasmański.

— Dość tego — oświadczył od progu. — To rozprężenie nie może dłużej trwać.

Nauczyciele drugi już raz tego dnia unieśli zmęczone spojrzenia znad kubków z kawą, gazet i krzyżówek. Dyrektor miewał takie ataki despotyzmu raz na jakiś czas. Należało je przeczekać, bo szybko wszystko wracało do normy.

— Juliuszu, naprawdę się ciebie boję — bąknęła Cecylia Bąk.

Normalnie dyrektor poczułby w tym momencie łaskotanie po ambicji, ale to nie był ten dzień.

— Olewacie wszystko, co nie dotyczy was bezpośrednio! — podniósł głos. — Wszystko jest na mojej głowie.

— Przedawkowałaś kofeinę? — Borkowski jak zwykle żuł gumę.

— To też. Koniec z tym lekceważeniem pracy. Od dziś wszyscy mają się przykładać i starać, nawet jeśli to wykracza poza ich obowiązki. I przestań żuć gumę, kiedy rozmawiasz ze swoim przełożonym!

Wszyscy zeszytnieli. Guma samoczynnie wypadła wuefiście z ust. Dyrektor powiódł po osłupiałych podwładnych groźnym wzrokiem.

— Mieliśmy rozmawiać o sprawie ocen — powiedział. — To za chwilę. Najpierw ustalimy kilka spraw zasadniczych. Zaczniemy od jednej oceny jednego tylko ucznia. Przejrzałem bazę danych...

— Jak? — zainteresował się Eftep. — Rano zmieniałem hasła dostępu i jeszcze nikomu ich nie wysłałem.

— Pewnie nawet wywiad Madagaskaru już ma te hasła. Trzymasz je w pliku tekstowym w katalogu głównym. Sprawdziłem, że uczeń Net Bie-

lecki ma na koniec drugiego semestru wystawioną jedynekę. Możesz to wyjaśnić?

— To antytalent informatyczny — wydukał lekko spłoszony nauczyciel. — Robię, co mogę, ale on nawet nie rozwiązał ostatniego testu.

Dyrektor wziął pierwszą z wierzchu kartkę z trzymanego pliku papierów i podsunął pod nos Eftepowi.

— To dokument potwierdzający, że ten chłopak zna się na informatyce lepiej od kilkuset najlepszych w tej dziedzinie gimnazjalistów i licealistów. A ponieważ każdy z tych gimnazjalistów i licealistów na pewno zna się na informatyce lepiej od ciebie, to znaczy, że Net Bielecki też jest od ciebie lepszy.

— To na pewno jakaś pomyłka... — próbował zaprzeczać coraz bliedzy Eftep. — Te całe olimpiady...

— Nawet ja jestem lepszy od ciebie, a pierwszy komputer kupiłem ledwie kilka miesięcy temu.

— Szczerze... to, yyy, tak się może wydawać... bez rozpatrzenia wszystkich, eee, aspektów...

— Nie chcę tego słuchać. Pomyśl, jak to by wyglądało z boku: najzdolniejszy polski informatyk junior ma ocenę mierną, ma dwóję z informatyki. Nie, nie myśl nawet, jak to by wyglądało, bo to nie będzie tak wyglądało. Net Bielecki ma mieć celujący na semestr i celujący na koniec roku.

— Przygotuję mu łatwiejszy test poprawkowy...

— Nie przygotujesz mu żadnego testu. Udział w finale olimpiady zwalnia go z tych testów.

— Ale ja już mu wstawiłem tę jedynekę.

— Przerób na szóstkę rzymską. Tylko sprawnie, bo jesteś dziś opiekunem międzynarodowej wycieczki po Warszawie.

— Mam już plany na dzisiejsze popołudnie — zauważył nieśmiało Eftep.

— Masz plany — przyznał Stokrotka. — Jedziesz na wycieczkę po Warszawie. — Przewertował kilka następnych kartek. — Przy okazji przejrzałem pytania testowe z innych przedmiotów. — Uniósł jedną z kartek i przeczytał — „Jakie jest średnie spożycie cukru na głowę mieszkańca Brazylii i jak się zmieniało na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat?”.

Spojrzał wyczekująco na Konstancję Konstantynopolską. Ta obserwowała dyrektora w ten sam sposób, w jaki patrzyła na uczniów, gdy musieli odpowiadać na to pytanie.

— Pracuję w tej szkole dłużej od ciebie, Juliuszu — wycedziła w końcu.

— Więc pewnie wiesz, ile śrub jest we wszystkich naszych krzesłach i jak ta liczba zmieniała się na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat? Takie testy nadają się na makulaturę. — Zwinął papier w kulkę i wrzucił do kosza. Nie trafił. — Podobnie jak to. — Wziął następną kartkę. — Dziesięć pytań z czterdziestu dotyczy wartościowości pierwiastków.

— To podstawowa wiedza chemiczna — odparła nieco ciszej niż zwykle pani Czartoryska.

— To wiedza dostępna w każdej chwili na tablicy okresowej pierwiastków.

— Odwróciłam tablicę na czas testu.

— No właśnie. — Zmiał kartkę i tym razem trafił nią do kosza. — Na makulaturę. Matematyka, muzyka i plastyka w porządku. Wychowanie fizyczne aż za dobrze – szkoła to nie obóz karny. Fizyka, angielski, polski i biologia – wzorowo. Historia... — zerknął na drzemiącego Cedynię. — Historia pół na pół. Reszta też pół na pół. — Odłożył kartki na stół. — Teraz kilka słów o dyscyplinie pracy. Za przykład niech posłuży wczorajsza wycieczka do Łazienek Królewskich. Część grupy dotarła do celu, ale nie zrealizowała programu zwiedzania, bo wybrała gokarty.

— Sam wspomniałeś, że lekcje powinny być interesujące — wtrącił pan Borkowski.

— Druga część grupy w ogóle nie dotarła do celu, bo udała się na zakupy. Jedna z nauczycielek kupiła sobie ocieplane kalosze na lato. — Ekierka, która wachlowała się testami matematycznymi, aby ochłodzić się choć odrobinę, oblała się jeszcze mocniejszym rumieńcem i cofnęła nogi, by ukryć buty Emu. — Druga zaś kupiła dziurawy pokrowiec na skuter śnieżny!

Zuzanna Zdrój spojrzała po sobie ze zdziwieniem i przygładziła sukienkę.

— Te otwory to jedwabna nieciągłość falistej konstelacji –

— Możesz się ubierać nawet w worki po cementzie — przerwał jej Stokrotka — jeśli będziesz je kupować po godzinach pracy. Jesteśmy odpowiedzialni za tę młodzież. Ona bierze z nas przykład, również jeśli chodzi o dyscyplinę pracy. A praca nauczyciela jest pracą szczególną. Powinna być powołaniem, nie tylko zawodem. Za przykład niech służy Jurek — dyrektor

wskazał Eftepa — który po godzinach, nieodpłatnie będzie się dziś opiekował naszymi zagranicznymi gośćmi.

— Nieodpłatnie...? — zapytał szeptem Eftep.

— Finanse szkoły są w fatalnym stanie. Połowa szkółek tańca, pilatesu, żonglowania, uzdrawiania ptasimi odchodami, kółek ezoterycznych i tego typu grup zrezygnowała z wynajmowania sal popołudniami. Ceny ogrzewania, prądu i cała reszta poszły w górę. Od września podniesiemy czesne.

— Oczywiście po zapisach nowego rocznika — mruknął Czwartek.

— Jak zawsze — przytaknął Stokrotka. — Podniesiemy od września, ale teraz jest źle. Sprawdziłem dziś stan konta. Nie pozwala nam na ekstrawagancje. Musimy przyciąć niestety koszty wycieczek klasowych.

— Połowa klas wyjeżdża jutro — zauważył Czwartek. — Za późno na oszczędzanie.

— Zaraz. — Dyrektor podrapał się za uchem. — Reszta jedzie w sobotę?

— Druga „a” też jedzie w sobotę — odezwała się pełna złych przeczuć pani Jola. — Moja klasa. To trochę nieuczciwe wobec nich.

— Nieuczciwe, to wiem. — Dyrektor pokiwał głową. — Ale jak zaraz nie zapłacimy rachunków, to nam odetną wodę, gaz i prąd. Cyrylu, ty jedziesz razem z Jolą i drugą „a”? — Wuefista ostrożnie przytaknął. — Masz mnóstwo wyobraźni i inwencji, co udowodniłeś na wycieczce do Łazienek, więc znajdź sposób, żeby przeprowadzić tę wycieczkę o połowę taniej.

CyBorek przygarbił się i spochmurniał. Zaczął obgryzać paznokiec w najmniejszym palcu prawej dłoni. Jednak już chwilę później uśmiechnął się pod nosem i pokiwał głową do własnych myśli.

— Podsumujmy początek naszej rady. — Dyrektor odetchnął głęboko i przeszedł na bardziej oficjalny ton. — Nie chcę widzieć więcej żadnych testów o spożyciu cukru ani testów z wartościowości lantanowców. To jest szkoła, nie teleturniej wiedzy bezużytecznej. Szkoła ma uczyć przede wszystkim umiejętności uczenia się, łączenia faktów, rozumienia procesów, a dopiero potem ładować wiedzę, którą przygotowany mózg może przetrwać. Macie wakacje na przemyślenie kilku spraw. Macie też czas na doszkolenie się — zerknął na Eftepa. — Jeśli nauczyciel wie mniej od uczniów albo nie potrafi ich zainteresować tematem, to znaczy, że szkodzi, zamiast uczyć. Mniej będzie szkodził w innej pracy. Mam nadzieję, że

wyciągnięcie wnioski z tej rozmowy i po wakacjach spotkamy się w tym samym składzie.

Nauczyciele patrzyli na niego oczami wielkimi jak spodeczki od filiżanek.

— Proszę, co z człowiekiem robi porządna kawa... — Dyrektor usiadł wreszcie, odetchnął i powiedział znacznie spokojniej — a teraz możemy przejść do ustalania ocen końcowych.

* * *

Album numizmatyczny leżał w tym samym miejscu, co ostatnio. Helenka nadal malowała rzęsy, choć minęło dobre półtorej godziny. Dyrektor przeszedł obok bez słowa i zamknął, właściwie to zatrzaskał za sobą drzwi gabinetu. Opadł na fotel. Tniemy koszty na wycieczkę, która miała być nagrodą dla uczniów za cały rok pracy, a tymczasem trzysta złotych poszło na bezwartościowe medaliki, które z szacunkiem do polskiej tradycji narodowej nie mają nic wspólnego. Bębnił chwilę palcami w blat. A jeśli ona w ten sam sposób kupiła jeszcze coś?

Wygrzebał z otchłani swoich początków z komputerem adres i hasło dostępu do strony firmy księgowej, która obsługiwała szkołę. Zwykle zerkał tylko raz w miesiącu na skrócony raport. Teraz chciał sprawdzić szczegóły. Po kilku kliknięciach i wpisaniu paru haseł wszedł do systemu i otworzył szczegółowe raporty finansowe szkoły z ostatnich miesięcy. Trzy kliknięcia później poziom szczęśliwości dyrektora spadł o połowę. Te nowe kinkiety, całkiem ładne zresztą, które oświetlały gablotki w korytarzu na parterze, nie były zwykłymi kinkietami, lecz kinkietami „ogniskującymi energię kosmiczną w celu poprawienia autoregulacji organizmów”. Z zapisu księgowego nie wynikało, na czym to ogniskowanie ma polegać; wynikało za to, że kinkiety były dwukrotnie droższe od takich samych pozbawionych właściwości transcendentalnych. Kolejne były zasłony w oknach... dyrektor rzucił okiem na nowe zasłony, które rzeczywiście pojawiły się niedawno w gabinecie. Różniły się od normalnych zasłon tym, że były wyprodukowane w fabryce „przestrzegającej zasad równości, tolerancji społecznej i wolnego dostępu do mediów”. Cokolwiek to znaczyło, podnosiło cenę zasłon trzykrotnie. Dalej było już tylko gorzej. Woda w dysytrubutorze w sekretariacie, ta woda, z której robił sobie dziś kawę w zakupionym za prywatne pieniądze ekspresie, pochodziła z gruzińskich źródeł

uzdrowiskowych. Sądząc ze smaku, mają tam naturalnie chlorowane źródła i może stąd ta cena.

W miarę przeglądania kolejnych tabelek dyrektor czuł, jak jeżą mu się na głowie resztki włosów.

Kwadrans później powoli otworzył drzwi dzielące sekretariat i gabinet.

— Zapłaciłaś rachunki za ogrzewanie na rok w przód? — upewnił się dyrektor. — Mogę zapytać czemu?

— Wspominał pan, że musimy oszczędzać.

— No i...?

— Znalazłam taką informację dołączoną do rachunku, że jak zapłacimy za następne dwanaście miesięcy z góry, czyli już teraz, to cena będzie niższa o pięć procent.

Stokrotka poczuł, jak rośnie mu ciśnienie.

— Jest wiosna. — Z całej mocy próbował zachować spokój. — Sezon grzewczy właśnie się skończył. Kaloryfery zaczną działać znów dopiero za pół roku. A ty zapłaciłaś już teraz?

— Ciepłej wody używamy cały rok.

— Do mycia rąk — wycedził dyrektor. — To jedna setna kosztów ogrzewania w zimie. Konto szkoły jest niemal puste, a ty bez konsultacji ze mną opłacasz za przyszły rok?

— Myślałam, że się pan ucieszy.

— Jak myślisz... kochanieńka... skąd się biorą pieniądze na koncie szkoły?

— No, one... po prostu tam są.

Dyrektorowi przebiegło przez myśl, by udusić sekretarkę i ukryć ciało na strychu. Nie zrobił tego. Odchrząknął, wyprężył się na tyle, na ile pozwalał mu jego mikry wzrost i oświadczył:

— Wiem, że nie zrobiłaś tego wszystkiego ze złej woli, choć pojęcia nie mam, czy to lepiej, czy gorzej... — Przetarł czoło chusteczką. — Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradził przez te wszystkie lata, ale kiedyś w końcu trzeba się przekonać.

— Do czego panie dyrektorze?

Stokrotka westchnął.

— Zwalniam cię, Helenko. Już tu nie pracujesz.

1. Podpalanie łąk przez ludzi ma niewiele wspólnego z procesami naturalnymi i przynosi więcej szkody niż pożytku. [wróć](#)
2. Sir [wym. ser] – angielski tytuł honorowy, wywodzący się ze średniowiecznego angielskiego *sire* oznaczającego lorda. [wróć](#)
3. *Will* – ja nie znać francuski. Ja użyć angielska słowo *will* dla śmieszna określenie czas przyszła. Ja prosić Francuzi o *forgiven* (przyp. autora). [wróć](#)



5. Próba generalna

— Już wiem, dlaczego Bulbot zwalnia przy skrętach. Problem nie w sofcie ani w przekaźnikach, tylko w kształcie steru. — Felix podniósł leżący na blacie jeden ze sterów głębokości – płaską blachę aluminiową z ośką, na której się obracał. — Pamiętasz lekcję fizyki z tunelem aerodynamicznym? Ster powinien mieć w przekroju kształt takiej bardzo spłaszczonej kropli. Wtedy nie będzie zawirowań, które zabierają energię.

Felix i Net siedzieli w Felixowym warsztacie nad częściowo rozebranym Bulbotem. Brytyjczycy przyglądali się z zainteresowaniem ich poczynaniom.

— No popatrz. — Net wziął w dłonie ster. — Kto by przypuszczał, że szkoła może się do czegoś przydać?

— Projekt płetwy, czyli steru, już zrobiłem. — Felix usiadł przed komputerem i uruchomił program do modelowania 3D. — Zobacz.

Na ekranie wyświetlił się schemat obłego, wyprofilowanego odpowiednio steru.

— I co dalej? Wystrugasz ster z deseczki?

— Wydrukuję go. — Felix wskazał stojące w dalszej części blatu urządzenie trochę przypominające drukarkę biurową, a trochę ekspres do kawy.

— Masz tu tyle rupieci, że nie zauważyłem jednego więcej. — Net pochylił się nad urządzeniem. — Drukarka, powiadasz? No ale ja pytałem, jak zrobisz ster. Że możesz wydrukować projekt, to ja się domyślam.

— Wydrukuję ster, nie projekt steru. — Felix uśmiechnął się. — To drukarka 3D. Jest pożyczona z Instytutu Badań Nadzwyczajnych. Testuję ją.

— Ej, ty mówisz poważnie. — Net ożywił się. — I można sobie druknąć, co się chce?

— Prawie. Ale tylko z plastiku ABS. To ma być tani model, taki dla ludu. — Felix włączył drukarkę. Piknęła i zapaliło się kilka diodek. — Do naszych celów wystarczy. Oczywiście wolałbym taką, która drukuje tytanem, no ale... — Nacisnął kilka klawiszy i drukarka wydała z siebie kolejne piknięcie, po czym zaczęła regularnie pobzykiwać.

— Jak stara drukarka igłowa — stwierdził Net. — Czekać, chcę zobaczyć, co wyjdzie.

— Skończy za pół godziny. A ja i tak powinienem się zbierać. Umówiłem się z Laurą.

— Zwariowałaś?! — wykrzyknął Net. — Mamy dwa dni na skończenie wszystkiego. Jutro się z nią zobaczysz.

— Przełożyłem z wczoraj na dziś.

— Przypomnieć ci, ile czasu poświęciliśmy na ten projekt? Umów się z nią na wieczór. Przecież ten test zajmie nam kwadrans.

Felix westchnął i zaczął pisać SMS.

— No i jeszcze musimy znaleźć miejsce do testów — zastanowił się Net. — Wszystkie stawy w parkach to mętne bajora. Można by naciągnąć twojego tatę i pojechać nad Zalew Zegrzyński. Hm, ale wtedy on się zainteresuje, o co chodzi.

— Fontanna jest dobrym planem — orzekł Felix. — To znaczy jest złym planem, ale lepszego nie mamy. Wybierzecie się z nami? — To pytanie było skierowane do milczących gości.

— Wasz dyrektor zorganizował nam popołudniową wycieczkę po Warszawie ogórkiem — odezwał się William. — Nie wiemy, o co chodzi. Mam tylko nadzieję, że to nie będzie ogórek kiszony.

— Ogórek to zabytkowy autobus miejski — odparł Felix. — Ma zawieszenie od ciężarówki i to jeszcze starszej, więc bardzo w nim trzęsie. Przez ten czas przetestujemy Bulbota. Jesteśmy w lesie.

— W lesie?

— To taki polski idiom. To znaczy, że mamy jeszcze dużo do zrobienia.

— Wieczorem możemy urządzić sobotni wieczorek filmowy — dodała Nika. — Tak, wiem, że dziś nie sobota. To tylko taka nazwa. Może poznać wreszcie dziewczynę Felixa.

— Umówiłem się z nią przed wieczorem — przytaknął Felix. — Spróbuję ją tu ściągnąć.

— Byłoby fajnie ją poznać — zgodził się William.
— Dziwne. — Angus wstał. — Po mieście jeździecie warzywami, a sobotni wieczorek filmowy robicie w czwartek. W sumie... czemu nie?
— Uśmiechnął się szeroko. — Do zobaczenia wieczorem.

* * *

Felix i Net stali nad nieczynną fontanną bez wody.

— Sucho jak w „Familiadzie” — ocenił Net. — Chodźmy stąd. Zaraz czepnie się nas jakieś ABW czy inne CBS. Nie mogłeś go zapakować do jakiejś walizki z materiału w kratkę z rączką ze skóry ekologicznej? Teraz to wygląda, jakbyśmy tam mieli bombę.

— Prawdziwi terroryści też tak myślą — odparł Felix. — Oni zapakowaliby bombę do walizki z materiału w kratkę z rączką ze skóry ekologicznej.

Ruszyli chodnikiem przez Wołę, gdzie wywiózł ich autobus o zmienionej bez ostrzeżenia trasie. W ciągu ostatniej godziny sprawdzili trzy fontanny, z których dwie były tak płytkie, że dałoby się w nich chodzić w kaloszach, a w tej trzeciej zamiast wody było błoto.

— Zaraz! — Net zatrzymał się gwałtownie. — Doznałem olśnienia. Mam plan. — Wskazał głową zaparkowaną po przeciwnej stronie ulicy granatową furgonetkę z pomarańczowym pasem. — Furgonetka wodociągów. Jeżdżą nią ci kolesie, którzy naprawiają rury.

Rzeczywiście, o otwarte tylne drzwi samochodu oparte były narzędzia, jakie kojarzą się ze specami od wodociągów. Kilkanaście metrów dalej dwóch mężczyzn w kombinezonach roboczych zawzięcie kręciło wielką korbą wystającą z otworu w ziemi.

— Ktoś zaraz nie będzie miał wody — zauważył Net.

— A nawet parę tysięcy ktosiów — sprecyzował Felix. — Oni zamykają zasuwę na magistrali. Na czym polega ten plan?

— Chodź! — Net przejął rączkę kuferka, rozejrzał się i przeszedł przez jezdnię. Felix podążył za nim. Zatrzymali się dopiero obok ładowni furgonetki.

— Wytłumaczysz mi, o co chodzi?

— To bardzo proste. — Net zerknął na robotników – byli wciąż zajęci kręceniem – i chwycił za boczny uchwyt kuferka. — No pomóżże.

Felix złapał z drugiej strony. Podnieśli, a Net pociągnął kuferek tak, że ten znalazł się wewnątrz furgonetki i niezbyt cicho rąbnął o podłogę. Na szczęście hałas miasta zagłuszył ten dźwięk.

— Co ty robisz? — zapytał poirytowany Felix.

— Wskakuj! — szepnął Net. — Chyba tu idą.

Felix odruchowo wskoczył do furgonetki, a Net dociągnął kuferek w głąb ładowni, za skrzynie narzędziowe i zwisające z sufitu kombinezony i fartuchy.

— Co ty wyprawiasz? To ma być plan? Mieliśmy iść do fontanny.

— Fontanna srontanna. — Net wyrżał spomiędzy fartuchów. — Dzieci by się zbiegły, straż miejska by się zainteresowała, a potem nad Czerwoną Hańczą mielibyśmy tabuny poszukiwaczy skarbów.

Felix uniósł się, żeby wysiąść, ale przykucnął ponownie, w drzwiach pojawili się bowiem robotnicy. Rzucili na stertę narzędzi łom i korbę.

— Nadal nie rozumiem, panie majster — odezwał się pierwszy. — Po co zakręciliśmy wodę. Przecież nie ma żadnej awarii.

— Ucz się, młody. — Starszy z mężczyzn zaczął zdejmować z siebie ubranie robocze. — Te nowe rury za rzadko się psują.

— To chyba dobrze?

— Widzisz... — Skrzywił się majster. — Są plusy dodatnie i plusy ujemne. Myśl perspektywicznie. Premie nam ostatnio przycięli, szykują się nawet redukcje zatrudnienia. A jak jest awaria, to się musi znaleźć kasa na nadgodziny i premia za pracę w niedzielę, w nocy i na dodatki socjalne.

— Ale nie ma awarii.

— Czekaj, jeszcze nie skończyłem. Zamkniemy ulicę, rozprujemy asfalt, odkopimy rurę. To praca dla trzydziestu osób. I jeszcze kierowcy beczkowozów przy okazji coś zarobią. Widzisz, młody, trzeba być dobrym człowiekiem i myśleć o innych.

— Ale jak...? — Młody też się przebierał. — Jak już odkopimy tę rurę, to wtedy się już na sto procent okaże, że nie ma żadnej awarii.

— Przy tym kopaniu i operator koparki zawsze może niechcący przyhańczyć rurę i awaria jak ta lala. A może i kable telefoniczne przy okazji ucierpią. Trzeba iść kolegom od telefonii na rękę, bo oni też lekko nie mają. Dziś my im pomożemy, jutro oni nam. Solidarność, młody. A to wszystko wina tych, co kładli ileś lat temu tę magistralę. Za dobrze to zrobili. Egoistycznie uwierzyli w tak zwany etos pracy, a teraz my musimy kombinować te awarie. Już rozumiesz, młody?

Przyjaciele nie przekonali się, czy młody zrozumiał. Od odpowiedzi, a przy okazji i od całego świata odcięły ich zatrzaśnięte drzwi. Siedzieli nieruchomo, aż robotnicy wsiedli do szoferki i zawarczał silnik.

— Nie wierzę — odezwał się Felix. — Dwie minuty temu szliśmy spokojnie chodnikiem, a teraz siedzimy we wnętrzu furgonetki. Wyjaśnisz mi to?

Samochód ruszył. Chłopcy złapali się, czego popadło.

— To proste — wyjaśnił Net. — Woda z Wisły płynie do Filtrów, tam jest oczyszczana i dalej płynie do domów rurami, takimi, co jedną właśnie ci specjaliści zamknęli.

— Nadal nie łąpię tego planu, a już mi się nie podoba.

— Wiesz, jak wyglądają Filtry? Widziałem film. To głębokie zbiorniki pełne czystej, przejrzystej wody.

— Chcesz wpuścić Bulbota do filtrów wody pitnej?

— Przecież jest czysty. Umył się w basenie.

Samochód podskakiwał na nierównościach. Na zakrętach metalowe narzędzia przewalały się z łoskotem. Felix zerknął na zegarek. Do przełożonego spotkania z Laurą została godzina.

— Miejmy nadzieję, że nie zahamuje ostro — stwierdził Felix. — A jak tylko dojedziemy na miejsce, wysiadamy i idziemy do najbliższej fontanny.

— Dlaczego? — zapytał zaskoczony Net. — Pierwszy etap mojego planu zadziałał perfekcyjnie. Tylko ty masz monopol na wymyślanie planów?

— Nie będę wpuszczał Bulbota to filtrów wody pitnej. Po pierwsze, to niebezpieczne, bo można zabrudzić tę wodę, a po drugie przecież ktoś nas nakryje, a wtedy nie skończy się na pogawędce ze Świętym Mikołajem. Nie, wyjdziemy z tego grata i grzecznie pójdziemy do tramwaju.

* * *

Autobus Ogórek¹ rzeczywiście był tak obły, jak to tylko możliwe. Gdyby pomalować go na zielono i zasłonić koła, stałby się nieodróżnialny od wielkiego popromiennego ogórka. A że był czerwony, wyglądał po prostu jak bardzo obły autobus. Że to niewątpliwie zabytek, dało się również wyczuć po gryzącej woni spalin i blachach drgających w rytm klekoczącego silnika. Skrzydła otwartych drzwi trzęsły się swoim własnym rytmem, popiskując na poluzowanych zawiasach. Obok drzwi stał pięćdziesięcio-

letni mężczyzna z łysinką okoloną siwymi włosami przypominającymi watę. Miał na sobie kamizelkę wędkarską w kolorze khaki i grał na przenośnej konsoli.

Grupa kilkunastu Europejczyków zatrzymała się przed trzęsącym się oldtimerem, a ich ponury opiekun podszedł do stojącego przy drzwiach.

— Jerzy Wierszewski — przedstawił się. — Jesteśmy umówieni na wycieczkę po Warszawie.

— Wycieczka po Warszawie — przytaknął mężczyzna, chowając konsolę. — Opcja minimum z dodatkową zniżką za brak poczęstunku na pokładzie.

— Ćśśś... Tak. Dwadzieścia cztery osoby. Język komunikacji angielski.

— Jako przewodnik muszę znać języki — mężczyzna uściśnął rękę Eftepa. — Krystkowiak, miło mi. Macie pół godziny spóźnienia.

— Korki. Tu jest lista pasażerów. — Informatyk wręczył mu złożoną i lekko wymiętą kartkę. — Czy to miejsce obok kierowcy jest wolne?

Ponieważ przednie drzwi Ogórka znajdowały się dopiero za przednią osią, można było usiąść na fotelu obok kierowcy.

— Nie sądzę. — Przewodnik pokręcił głową. — Ono jest zarezerwowane dla najlepszego przyjaciela kierowcy.

Miejsce jednak wyglądało na puste.

— Ale to nie pan jest tym najlepszym przyjacielem...? — zapytał ostrożnie Eftep.

Przewodnik tylko pokręcił głową.

— Wszyscy do środka — zarządził po angielsku Eftep i sam pierwszy wskoczył do wnętrza.

Reszta grupy wolno wspięła się po stromych schodach na wysokość co najmniej metra i zaczęła się rozsiadać na skajowych fotelach, do których bardziej pasowałoby określenie krzeselka.

— Dzień dobry. — Eftep skinieniem głowy przywitał się z kierowcą.

Gruby mężczyzna z kręconymi czarnymi włosami i równie czarnymi wąsami nie raczył nawet skinąć głową. Również siedział na czymś przypominającym krzesło, czy raczej się z niego wylewał na wszystkie strony. Głowę miał niemal nad kierownicą, o którą opierał się brzuchem. Trudno było sobie wyobrazić go, jak się stamtąd gramoli. Tuż obok znajdowała się bowiem pokrywa silnika w kształcie wielkiej odwróconej do góry nogami wanny ². Po prawej stronie, między drzwiami a przednią szybą były dwa

fotele, jeden za drugim. I to właśnie pierwszy z nich, ten tuż przy szybie, był celem nauczyciela ³.

W tym czasie przewodnik liczył pasażerów i nijak ich liczba nie chciała mu się zgodzić. Zbadał ich przenikliwym przewodniczym okiem. Podejrzany od razu wydał mu się mały Chińczyk ukryty w ostatnim rzędzie foteli.

— Czy ty aby jesteś z tej wycieczki? — zapytał po angielsku.

Chińczyk nic nie odpowiedział. Wzruszył ramionami i rozłożył ręce, co miało zapewne oznaczać, że nie rozumie. Miał tak skośne oczy, że chyba nic nie widział, a jego egzotyczność podkreślała jeszcze podtrzymująca włosy opaska na czoło.

Eftep precyzyjnie się do przedniego fotela i na jego twarzy pojawił się wyraz zawodu. Najlepszy przyjaciel kierowcy był małym grubym buldogiem. Siedział na wymarżonym fotelu i łypał nieprzychylnie na intruza. Ślinił się niemłosiernie, więc próba negocjowania innego miejsca dla psa i tak nie miała sensu. Miejsce z pewnością nie nadawało się do użytku. Eftep przymierzył się więc do fotela za tym zajętym przez najlepszego przyjaciela kierowcy ⁴. Jednak leżało tam kilka książek, chyba przewodników po Warszawie.

— Panie kolego — zawołał tymczasem przewodnik. — Może pan tu pozwolić?

Eftep westchnął i przeszedł na tył autobusu.

— Zna go pan? — przewodnik wskazał Chińczyka. — Wygląda mi na to, że się wkręcił na krzywy ryj.

Informatyk otworzył szerzej oczy. Nie pamiętał nikogo takiego. Ale pewności przecież nie miał.

— Na liście są dwadzieścia cztery nazwiska — ciągnął Krystkowiak — a pasażerów jest dwadzieścia pięć sztuk. No i pan, dwudziesta szósta sztuka, ale to oczywiste.

— Znacie go? — zapytał po angielsku Eftep.

Wszyscy w zasięgu wzroku gorliwie przytaknęli. Nawet Francuzki, które nie rozumiały po angielsku.

* * *

Samochód zatrzymał się, tym razem ostatecznie. Silnik zgasł, a obaj robotnicy wysiedli.

— Cicho... — Felix uniósł palec, czego jednak w ciemności nikt nie mógł dostrzec.

Trzasnęły drzwi, a kroki robotników oddaliły się.

— Nie ma alarmu — stwierdził Felix. — Nawet nie zamknęli drzwi na klucz. Parking strzeżony.

— To może... — szepnął Net. — Może, skoro już jesteśmy wewnątrz Filtrów, spróbujemy przetestować Bulbota?

Felix zapalił latarkę i jak najciszej potrafił, przeszedł po prętach, kluczach i łopatach do drzwi. Przyjrzał się mechanizmowi, dotknął palcem w jednym miejscu, a drzwi po prostu odskoczyły, ukazując popołudniowe niebo. Chłopak wyjrzał na zewnątrz.

— Chodź, nikogo nie ma.

Wyskoczył i otworzył drzwi na całą szerokość. W bladym świetle wpadającym przez otwór Net przeszedł przez ładownię furgonetki i wyskoczył na ziemię.

Stali na parkingu zajęтым w tej części przez kilkanaście identycznych furgonetek. Za siatką, na dole nasypu znajdowały się rozjazdy kolejowe, dalej jakieś krzaki. Gdzieś z prawej błyszcząły złotem okna śródmiejskich wieżowców. Zdecydowanie nie byli na terenie Filtrów.

— Dlaczego sądziłeś, że samochód z korbą do zakręcania zaworów powinien parkować obok Filtrów? — zapytał Felix.

— Jakoś tak... Wydawało się to oczywiste. — Net rozłożył ręce.

— Tak samo oczywiste jak to, że kierowca autobusu miejskiego jeździ tym autobusem na wakacje. Zresztą równie dobrze to mogła być furgonetka podwykonawcy.

Felix wrócił do furgonetki i wyciągnął kuferek. Przy pomocy Neta postawił go na ziemi. Ruszyli między rzędami samochodów w stronę centrum, a kuferek mimo zaawansowanego zawieszenia podskakiwał na kamieniach, którymi wysypany był parking.

Pięćdziesiąt metrów dalej natknęli się na siatkę oddzielającą parking od pola chwastów.

— To środek miasta, a wszystko wygląda jak przedmieścia przedmieść Wypierdziszewa Dolnego — ocenił Net. — Masz coś do cięcia drutu?

— Mam. — Felix zawrócił w stronę, gdzie powinna się znajdować brama. — Ale nie zamierzam komuś psuć siatki. Wyjdziemy normalnie, przez furtkę.

Parking był dosyć długi i zastawiony furgonetkami różnych firm. Gdy wreszcie dotarli do szlabanu, okazało się, że wyjście nie będzie takie proste. Z blaszanej budki wytoczył się strażnik i zagroził im drogę.

— Co wy tu robicie?! — zapytał groźnie. — To teren strzeżony.

— Spacerkiem idziemy od placu Zawiszy — pierwszy odezwał się Net.
— Wysiedliśmy z pociągu i szukamy Pałacu Kultury.

— Jak to spacerkiem? Przecież tam jest siatka.

— Tam nie ma żadnej siatki. — Net wskazał kciukiem za siebie.
— Rano może była, ale teraz to chyba ukradli.

Strażnik zmrużył oczy i zapatrzył się na koniec parkingu.

— Czekajcie tu! — polecił i ruszył szybkim krokiem, by sprawdzić stan ogrodzenia. — Zaraz wracam.

Przyjaciele, rzecz jasna, ani myśleli czekać. Przeszli pod szlabanem i najkrótszą drogą dotarli do chodnika. Skręcili w stronę Centrum.

— Ciekawe — odezwał się Felix. — W tej jego budce wiszą wszystkie kluczyki, a obok jest przycisk do otwierania szlabanu. Gdyby sprawdzić w szufladzie, byłyby tam pewnie dowody rejestracyjne. Coś słabo strzeżony jest ten parking.

Przeczytał kolejny SMS „Już jestem”. Zacisnął usta i przyspieszył kroku.

— Czy ci nasi zagranicznicy nie mieli czasem zwiedzać dziś Filtrów?
— zapytał.

— Mieli. To była inspiracja dla mojego planu. Nie goń tak.

— Ale głupio byłoby się na nich natknąć. Sprawdź na serwerze szkolnym, o której mają tam być. Masz zdalny dostęp?

— Jasne, że mam — przytaknął Net. — I tak muszę chwilę odpocząć.

Zatrzymali się, a Net przysiadł na kuferku i wyjął z plecaka laptop. Po kilku kliknięciach pokiwał głową.

— Za pięć minut kończą. Zanim dojdziemy, już ich tam nie będzie.

* * *

— Juliuszu, on wygląda na Chińczyka, ale czy na pewno nim jest?
— Eftep krążył po parkingu z telefonem przy uchu. — Niemka też nie wygląda na Niemkę. Tak, pytałem, ale on nie mówi po angielsku. No... nie pamiętam ich wszystkich. I... wcale nie ma pewności, że to o niego chodzi. Przecież nie będę mu grzebał po kieszeniach.

— Panie, czas leci — zawołał przez drzwi przewodnik. — Jesteśmy poważnie spóźnieni.

Eftep machnął ręką, że już idzie.

— Nie mogę teraz robić wszystkim zdjęć i wysyłać, żebyś sprawdził... Obejrzeć zdjęcie grupowe z apelu? Racja, ale nic z tego. Nie... nie mam dostępu zdalnego... — Potarł czoło. — Ze względów bezpieczeństwa zablokowałem zdalny dostęp do szkolnego serwera. A może ich jest dwadzieścia pięć sztuk? Znaczący, osób. Przypominam, że nie zgłaszałem się na ochotnika. Dobrze, jasne, oczywiście... do jutra. — Rozłączył się i mruknął pod nosem — wykaż się inicjatywą, jak to łatwo powiedzieć.

Wrócił do autobusu i przeszedł na jego koniec.

— Masz jakieś dokumenty? — zapytał po angielsku, na co Chińczyk tylko wzruszył ramionami.

Nauczyciel przyglądał mu się badawczo. Był bliski wyrzucenia go, nawet jeśli wiązało się to z ryzykiem pomyłki albo nawet odwołania wycieczki do czasu wyjaśnienia składu osobowego. Było jednak w tym dzieciaku coś znajomego. Może rzeczywiście widział go podczas apelu?

— I co robimy? — naciskał przewodnik.

— Jestem w trakcie podejmowania decyzji.

Tak, Eftep był już prawie pewien, że widział go na apelu.

— Zresztą co? — Krystkowiak jeszcze raz sprawdził listę, czy nie ma gdzieś podwójnej numeracji. — Wysadzimy go, a potem się okaże, że ktoś się rąbnął przy pisaniu listy. W sumie mała różnica, i tak płacicie od kursu, nie od pasażera. — Wyjął z jednej z licznych kieszeni długopis i dopisał na końcu listy „25. Yum Yum”. — Panie Mietku! — zawołał. — Jedziemy!

— Ale... — Eftep nadal patrzył podejrzliwie na siedzącego w ostatnim rzędzie Chińczyka.

— Siadaj pan — poradził Krystkowiak. — Sprzęgło szarpie.

Na potwierdzenie tych słów zgrzytnął bieg, a autobus szarpnął do przodu. Eftep ledwo zdążył się złapać uchwytów. Przeszedł do przodu i zły, usiadł za kierowcą.

— Skąd w ludziach tyle nieufności? — zapytał Gilbert, zdejmując z czoła opaskę i odlepiając ukryte pod nią plastry naciągające skórę na skroniach.

* * *

Gdy mijali wieżowiec Millennium Plaza, Net wspomniał od niechcienia:
— W hallu jest akwarium na dwa piętra.

— Co pomyśl, to lepszy... — westchnął Felix. — Chodź szybciej. Już się pogodziłem z tym planem z Filtrami. Jeśli się odbijemy od bramy, będziemy myśleć.

Po kilku minutach doszli do placu Starynkiewicza i skręcili w stronę głównej bramy Filtrów.

— Myślisz, że Klemens użyje naszego translatora? — zapytał Net.

— Myślę, że użyje przy kolacji. A teraz skup się i udawaj, że nie umiesz mówić.

Przeszli przez przejście przed samą bramą. I oczywiście zainteresował się nimi strażnik. Felix układał w głowie, co należy mu powiedzieć. Net znów go uprzedził.

— Witam, panie strażniku — odezwał się, ignorując piorunujące spojrzenie Felixa. — Będziemy tu mieć praktyki wakacyjne. Gdzie zawieźć ubrania robocze?

Felix już próbował powstrzymać katastrofę. Nie zdążył, strażnik bowiem wskazał kierunek:

— W prawo, zaraz w lewo, potem trzysta metrów prosto i dalej pytajcie.

— Dziękujemy bardzo. — Net uklonił się nisko i pociągnął rączkę kuferka, która to rączka z kolei pchnęła zaskoczonych Felixa. Dodał więc cicho — udało się, więc okaż mi trochę szacunku.

Felix nic nie powiedział. Ciągnął kuferek za rączkę, licząc na to, że od strony wartowni nie padną strzały ostrzegawcze. Skręcili zgodnie z poleceniem.

— O, zobacz. — Net wskazał placyk przed ceglanyim budynkiem, na którym stały trzy furgonetki. — Teoretycznie miałem rację.

— Teoretycznie. — Felix nerwowo rozglądał się. — Praktycznie nie miałeś, bo wylądowaliśmy na parkingu daleko stąd. Skoro już tu jesteśmy, to zróbmy, co mamy zrobić, i się stąd wynośmy.

— W ogóle nie doceniasz tego, że coś mi się czasem udaje.

— Doceniam, doceniam. Tylko że zwykle pogarszasz sytuację. Zresztą... to, co robimy, wygląda idiotycznie.

Szli alejką wzdłuż rzędów podłużnych kopców porośniętych trawą. Co chwilę mijali ceglane portale wejściowe. Felix pisał SMS do Laury „Trochę się spóźnię. Sorry”.

— To filtry powolne — powiedział, chowając telefon. — Czyli możemy przeprowadzić nasz test w dowolnym.

Net skręcił do najbliższego wejścia. Drzwi, zgodnie z przewidywaniami, były zamknięte na klucz. Felix dyskretnie się rozejrzał i wyjął klucz uniwersalny. Wsunął go w szczelinę zamka i włączył.

— Kiedyś widziałem program o tym miejscu — powiedział. — Te filtry powolne wypełnione są piaskiem, a woda przesączając się przez niego, oczyszcza się. Spod piasku odbierają ją dreny. Ale i tak stąd nie trafia bezpośrednio do kranów, bo jest jeszcze kilka etapów oczyszczania i kontroli jakości. To znaczy, że Bulbot jest czystszy od tej wody.

Klucz uniwersalny zabzyczał mechanizmem, a zamek odpuścił. Otworzyli drzwi i weszli w wilgotną, cichą ciemność. Felix zapalił latarkę. Stali na pochylni prowadzącej wprost do czarnej nieruchomej wody.

— O ja... — Net cofnął się aż do drzwi. — Nie podoba mi się tu.

— To był twój pomysł.

— Pomysł mi się podobał, nie podoba mi się realizacja.

— Myśl o skarbie. — Felix poświecił po ścianach i odnalazł specjalnie uszczelniony włącznik lamp. Wcisnął go i wewnątrz rozjaśniło się żółtym światłem dziesiątek słabych żarówek.

— Ja cię...! — westchnął Net, tym razem z wrażenia, nie ze strachu.

Rzędy wspartych na filarach sklepień z cegły klinkierowej ciągnęły się sto metrów, albo i więcej, aż do miejsca, gdzie perspektywa nie dawała już pewności, czy dalej coś jest, czy nie. Sklepienia odbijały się w wodzie tak idealnie nieruchomej, jakby to było czarne szkło. Panowała tu niczym niezmacona cisza, a wilgotny chłód przyprawiał o dreszcze.

— Uszy mnie bolą od tej ciszy — szepnął Net, a echo szeptu wróciło po chwili. — Aż szkoda robić fal, tak równiutko.

Dźwięk SMS-a zabrzmiał jak wystrzał.

— Stary... — Net złapał się za serce i odetchnął.

Felix przeczytał wiadomość „Nie poganiam, ale siedzę tutaj od półgodziny”.

— To i tak na nic. — Felix przełączył latarkę na maksymalną moc i zaświecił pod kątem w wodę. Dno było nie więcej niż metr poniżej poziomu wody. — Wracamy.

— Jak, wracamy? — Net rozłożył ręce. — Targamy to pudło przez pół miasta, a ty chcesz wracać?

Felix chwilę walczył ze sobą. Wyjął telefon i zaczął pisać SMS z informacją, że się jeszcze trochę spóźni.

* * *

Ogórek podskakiwał, jakby nie miał amortyzatorów. Najbardziej dawało się to we znaki na samym końcu. Pasażerowie ostatniego rzędu czuli się niczym na przejeździe przez tor offroadowy. Było to trochę zabawne, ale tylko na początku, bo przy pierwszym skrzyżowaniu z torami tramwajowymi pasażerowie niemal znaleźli się na podłodze. Nie trwało to jednak zbyt długo, po minięciu kilku przecznic utknęli bowiem w potężnym korku. Teraz zamiast bujania autobus zaczął się trząść na biegu jałowym.

— Dużo tu samochodów, nie uważasz? — zapytał William. — Więcej niż w Londynie. Ale to dlatego, że tu są tylko dwie linie metra, z czego jedna nieskończona.

— Mogą jeździć na rowerach — odparł Angus.

— Sam bym tu nie jeździł na rowerze. Ścieżek rowerowych widziałem ledwie kilka.

— Przeprowadzasz się do Aurelii? — zapytała w innej części autobusu Audrey.

— Tak, już postanowiłam — przytaknęła Marie. — Jak tylko wrócę, spakuję się i uciekam przed kolacją. Chociaż na jedną noc. Nie wepchnę w siebie więcej tej polskiej kuchni.

— To chyba problem wszystkich gości. Polska gościnność objawia się głównie przekarmianiem.

Przyczyna korka ukazała się w całej krasie, gdy autobus skręcił w objazd. Dalsza część ulicy, którą powinni jechać, była zagrodzona barierkami. Na wielkiej pustej powierzchni stała przyczepka z kompresorem, a jeden robotnik młotem pneumatycznym nieśmiało borował asfalt.

— Wygląda na to, że gdzieś strzeliła rura — ocenił przewodnik. — Nie wyrobimy się dziś do muzeum. Przykro mi niezmiernie. Za to mamy jeszcze w planach zoo.

* * *

Ta część Filtrów miała osiemdziesiąt lat. Przeszklona i wyłożona jasnym kamieniem hala filtrów pospiesznych wyglądała przy filtrach powolnych nowocześnie. Tak nowocześnie, jak dla współczesnego czło-

wieka nowoczesna może się wydawać pierwsza lokomotywa elektryczna w porównaniu do pierwszego parowozu. Wnętrze wypełniał cichy równomierny szum pomp. Same filtry pospieszne przypominały niewielkie baseny, a przy każdym z nich stała spora kamienna konsola z zegarami i dźwigniami. Było ich kilkanaście.

Felix i Net podeszli do najbliższego zbiornika i oparli się o barierkę.

— Wystarczająco głęboki — orzekł Felix. — Ale w środku jest pełno rur. Zaraz w którąś walnie.

— W jeziorze też będzie pełno korzeni.

— Ja się nie martwię o Bulbota, tylko o rury. Jeszcze coś tu zepsujemy.

W hali dało się dostrzec tylko jednego człowieka, który w przeciwnym końcu przestawiał coś na konsoli.

Felix wyciągnął telefon, przeczytał SMS i ciężko westchnął.

— Wodujemy? — zapytał Net.

Felix pokręcił głową.

— Zastanów się, co by teraz powiedziała Nika.

— Powiedziałyby... — Net westchnął. — Powiedziałyby, żeby nie wodować, bo coś zepsujemy.

— I tego się trzymajmy, póki nikt nas nie zauważył. Idziemy do fontanny. — Felix miał już ruszyć do drzwi, ale zmarszczył czoło i spojrzał na Neta. — Akwarium, powiadasz?

* * *

Z powodu korków pominęli właściwie wszystkie punkty zwiedzania z wyjątkiem ostatniego, który zresztą był chyba najciekawszy – warszawskie zoo.

W przyciemnionym budynku z akwariami William od dłuższego czasu przyglądał się jednej z ryb.

— Ta ryba wygląda znajomo. — Wskazał obły kształt sunący pod przeciwległą ścianą.

Angus przysunął się bliżej i spojrzał na dziwny okaz. Im bliżej ryba podpływała, tym mniej wyglądała na rybę, a bardziej na Bulbota. Gdy wreszcie majestatycznie przepłynęła przed twarzami stojących obok dzieciolatków, wyglądała na Bulbota już w stu procentach. Na szczęście ktoś, kto nie widział wcześniej Bulbota, nie mógł tego wiedzieć.

Uczestnicy wycieczki z podstawówki po raz pierwszy ucichli, a po chwili, również po raz pierwszy, wykazali zainteresowanie opisami dotyczącymi mieszkańców akwarium. Rzucili się do tabliczek informacyjnych.

— To skalar — ocenił pewnym głosem najwyższy chłopak. — Skalar tygrysi. Widziałem takie, jak byłem z rodzicami nad Balatonem ⁵.

Brytyjczycy nie mogli dłużej podziwiać podwodnego świata. Reszta grupy już wychodziła z budynku.

— Dziwny kraj — ocenił Angus. — Ale ciekawy.

* * *

— Nie przy oknie! — syknął Net. — Nie pływaj nim przy oknie. Ktoś zauważy.

— Stąd nie widzę dobrze, gdzie to okno jest — mruknął Felix. — Możemy kończyć. Wygląda na to, że wszystko działa.

Z perspektywy pierwszego piętra wielka szyba wydawała się lustrem. Akwarium wyglądało jak ekskluzywny, podświetlony podwodnymi reflektorami basen. Ekskluzywność basenu psuły nieco pływające w nim rekiny, no i głębokość. Wszystkie ściany i sufit w pomieszczeniu technicznym pomalowano na czarno, żeby z dołu, przez wodę, nie było niczego widać. Gdyby się lepiej zastanowić, wypadaloby uznać to miejsce za całkiem sympatyczne.

— Przećwiczymy jeszcze wynurzanie automatyczne — powiedział Net i wpisał kilka komend do laptopa.

— Lepiej nie — zaoponował Felix. — Już i tak długo tu siedzimy. — Próbował poruszyć manetką zdalnego sterowania, ale Bulbot nie zareagował. — Net... Powinniśmy się wynosić.

— Patrz, wynurza się. Luz. Na którą umówiłeś się z Laurą?

W odpowiedzi Felix pokazał mu ekran telefonu z jej ostatnim SMS-em „Już się nie spiesz. Wypiłam dwie kawy, przeczytałam książkę. Wracam do domu”.

— Grubo... Bez kwiatów za dwadzieścia zeta się nie obejdzie.

— Nie obejdzie się bez kolacji. — Felix pokręcił głową. — Beznadziejnie to wyszło...

— Ale test przeprowadzony.

Bulbot wynurzał się nadal. Rekiny tymczasem wciąż krążyły w tym samym sennym tempie. Uległo ono zmianie na znacznie szybsze, gdy

wznoszący się Bulbot uderzył największego rekina w brzuch. Zakotłowało się, rekin się nagle ożywił i śmignął w bok z prędkością, o jaką trudno byłoby go podejrzewać. Poruszony prądem wody robot obrócił się do góry dnem. Mniejsze rekiny oddaliły się z miejsca zdarzenia, a ten największy wykonał manewr wymijający i niczym myśliwiec z bitwy o Anglię podpłynął do Bulbota od tyłu. Bulbot w tym czasie zdołał się wypoziomować i beznamiętnie kontynuował manewr wynurzenia. Rekin rozwarł szczęki i chwycił tył robota. Ściślej mówiąc, spróbował chwycić. Okrągła osłona śruby nieznacznie się wygięła, ale zęby ześlizgnęły się po niej.

— Wrzuć mu kanapkę! — Felix machnął do Neta, nie spuszczając z oczu robota, który kontynuował wynurzenie.

— Nie mam kanapek. Wykupiliśmy obiady w stołówce. — Net zajrzał do plecaka. — Mam taką sprzed tygodnia!

— Dawaj! — Felix zanurkował ręką w Netowym plecaku, wymacał kanapkę, wyszarpnął ją z folii i bez zastanowienia wrzucił do wody.

— Przecież on się zatruje...

Net oparł się rękami o krawędź zbiornika i spojrzał w dół. Felix chwycił go za ramię i odciągnął.

— To nie basen w Pałacu, tam jest rekin — przypomniał. — A nawet kilka.

Największy rekin skreślił w stronę kanapki. Trącił ją nosem, po czym pochłonął ją jednym kłapnięciem potężnych szczęk. Felix w tym czasie pośpiesznie przywiązywał do końca linki karabińczyk. Gdy Bulbot się wynurzył, Felix szybko ocenił sytuację i zaczepił karabińczyk o ucho na górze robota. Cofnął się, a linkę okręcił dwa razy o wystający ze ściany hak.

— Nie włożę tam ręki, żeby go wyciągnąć — zaznaczył Net.

— Wyciągniemy go linką — powiedział Felix. — Jak to się w ogóle stało, że on wpadł na rekina. To całkiem spory obiekt.

— *Software* Bulbota zakłada brak przeszkód ruchomych.

— No to szczęście, że nie pisałeś *softu* do automatycznych samochodów.

— W polskich jeziorach nie ma rekinów. A inne ryby będą spływać z drogi. On tworzy przestrzenną mapę otoczenia, a potem nie sprawdza na bieżąco, czy coś się zmieniło.

— Brawo, panie informatyku.

Linka naprężyła się niespodziewanie, a spora fontanna wody wystrze-
liła aż pod sufit.

— Pięknie... — jęknął Net. — Zaraz się urwie.

— Ta linka to paracord. Wytrzyma ponad dwieście kilogramów. Gorzej,
jeśli ktoś się zainteresuje zamieszaniem. — Felix wyjął z plecaka rękaw-
iczki robocze i założył je. — Trzymaj mnie za pasek. — Chwycił linkę
i zaczekał, aż Net go przytrzyma. Szarpnął i wyciągnął Bulbota z akwa-
rium.

Robot spadł na podłogę z łoskotem, jakby tupnął nosorożec. Rekin
wynurzył się jeszcze na chwilę, ukazując trójkątne zęby, i z pluskiem wrócił
do wody. Przyjaciele odruchowo przygarbili się. Echo uderzenia Bulbota
już ucichło, ale oni mieli wrażenie, że słyhać je było na drugim brzegu
Wisły.

— Spadamy stąd. — Felix przysunął kuferek i zdemontował stery głę-
bokości.

Wspólnie włożyli Bulbota do środka i schodami znieśli na dół. Wyszli
na zewnątrz, gdzie wyglądało na to, że nikt nie usłyszał łoskotu dobiegają-
cego z budynku akwarium. Ściemniało się już. Mimowolnie przygarbieni,
szli alejką w stronę bramy, ciągnąc za sobą podejrzany kuferek.

— A jak ktoś zapyta, to co tam niby mamy? — szepnął Net.

— Nie wiem. Lampowy translator polsko-francuski.

* * *

Marie dopiero co wróciła z wycieczki i od razu posadzono ją przy stole
w salonie państwa Rajkowskich. Czuła się jak w celi śmierci. Tym razem
jednak woń smażeniny nie była aż tak intensywna. Być może wynikało to
z tego, że się już przyzwyczaiła. Gdy wszyscy zasiedli do stołu, mama Kle-
mensa postawiła przed nimi wazę, która wydawała się dziwnie chłodna.
Tym razem ku zaskoczeniu Francuzki na pierwsze danie był chłodnik litew-
ski zrobiony właściwie bez grama tłuszczu. Zjadła go z prawdziwą przy-
jemnością, a pani domu po raz pierwszy nie wmuszała w nią dokładki. Nie-
stety zaraz potem na stół zaczęły wjeżdżać wielkie półmiski, a daniem
głównym okazała się golonka z kością. Gdy wydawało się, że po miłym
początku obiadu dalej będzie jak zwykle, mama Klemensa, zamiast
golonki, położyła na talerzu Marie pięknie wypieczony nieduży *quiche* ⁶
z porami. Porcje domowników nieodmiennie były gigantyczne.

Marie popatrzyła po gospodarzach. Klemens pochłaniał z takim zapamiętaniem ogromne ilości purée z groszku, tłuste mięso i kapustę, aż tłuszcz ściekał mu po brodzie. Zerkał na dziewczynę ukradkiem i udawał, że nie zerka. Jego mama uśmiechała się promiennie. Tata czytał kolorową gazetę i jak zwykle nic, co działo się wokoło, go nie obchodziło. Co tu się wydarzyło? Chyba Aurelia, z którą dziś rozmawiała o problemach z jedzeniem, przekazała Klemensowi, że to nie do wytrzymania. Chłódnik był przepyszny, *quiche* również. W dodatku każde z dań wyglądało na przyrządzone od podstaw w domu, a nie kupione. No i świeżo wyciskany sok pomarańczowy zamiast słodkiego napoju z bąbelkami. To nie mógł być przypadek.

Tym bardziej będzie im przykro, jeśli teraz się wyprowadzę.

Marie po powrocie ze szkoły zaczęła się pakować i zastanawiała się, jak powiedzieć o swoich planach gospodarzom. Aurelia, kochana dziewczyna, przysłała jej SMS-em zdanie po polsku, wyjaśniające sytuację. Mimo trudności związanej z przeprowadzką i przykrości, którą sprawiłaby gospodarzom, Marie podjęła już decyzję. Teraz jednak nie była już taka pewna. Ci ludzie okazali się bardzo gościnni i starali się, by jej pobyt tutaj był jak najmiłszy. A skoro zorientowali się już, że pewnym problemem jest jedzenie, głupio będzie ich opuszczać. Z drugiej jednak strony obiecała Aurelii, że się do niej przeniesie. No i tam będzie mogła porozmawiać. Aurelia mówiła kulawym francuskim, ale mówiła.

Skończyła jeść, podziękowała i przeszła do swojego pokoju. Dokończyła pakowanie torby i wyjrzała przez okno na niebo ciemniejące nad szarym blokowiskiem. Jadę, zdecydowała. Wyjęła telefon, żeby wysłać SMS do Aurelii. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę! — powiedziała, a jednocześnie nogą wsunęła torbę pod łóżko.

Ten, kto pukał, raczej nie zrozumiał francuskiego „proszę”, ale z tonu głosu domyślił się, o co chodzi. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Klemens. Był speszony, jak zwykle, i niezgrabnie obracał w dłoniach małe pudełko po cukierkach. A może z cukierkami? Powiedział coś po angielsku, czego oczywiście nie rozumiała. Otworzył pudełko i wysunął w jej stronę. Nie miała ochoty na słodczy, ale jeśli chłopak się stara być miły, to... Pisnęła i odskoczyła krok w tył.

— Co to jest?! — wykrzyknęła z obrzydzeniem po angielsku.

W pudełku zamiast cukierków siedział spory włośchaty pajak. Na szczęście pod foliową, perforowaną po bokach przykrywką.

— Przepraszam — odpowiedział jeszcze bardziej speszony Klemens. Zamknął pudełko. — Wiem, że to ryzykowne i trochę... niegrzeczne. Ale to nie jest głupi żart. To pajak translacyjny.

Marie zdała sobie sprawę z tego, że rozumie każde słowo Klemensa.

— Sprytne — przyznała. — Nie gniewam się. Wiesz... Ja jestem bardzo wdzięczna, że mnie tu awaryjnie przyjęliście. Wszystko jest super, tylko... tylko ja nie mogę jeść takich tłustych dań. Źle się po nich czuję. Normalnie jem mniej więcej to, co twoja mama przygotowała dziś.

— No właśnie chyba się domyśliła, że ci nie wchodzi kotlet ze smalcem.

— Sama się domyśliła? Nikt jej nie podpowiedział?

— Sama. Ona zawsze myśli o wszystkich dookoła... *szszcz... rzybzzz qć czcześćędź*.

Słowa Klemensa zamieniły się w niezrozumiałe zlepki dźwięków. Marie na migi pokazała mu, żeby jeszcze raz użył pajaka translacyjnego. Użył. Znów pisnęła i odskoczyła.

— Nie możemy go nadużywać, bo się uodpornię — powiedziała. — Podziękuj mamie za dzisiejszy obiad. Był bardzo dobry.

— I jeszcze jedno... — Klemens schował pudełko do kieszeni. — Co robisz dziś wieczorem?

— Nie mam planów. Chciałam uzupełnić bloga, ale to mogę zrobić jutro. A co?

— Może chcesz zwiedzić... piekarnię? Dziś w nocy będziemy piec *croissanty*⁷. Tata zainspirował się tobą i taką tam edycję specjalną chce zrobić wypieków francuskich *ściebyłbym wątpliściewiczędź*.

Pajak translacyjny już przy drugim użyciu działał słabiej. Marie uśmiechnęła się i przytaknęła energicznie. Klemens skinął głową i wycofał się z jej pokoju.

Dziewczyna uklękła i zaczęła wypakowywać torbę.

* * *

W piątek w szkole niemal nie było lekcji. Większość zajęć polegała na zaliczaniu testów, podczas gdy niezaliczająca reszta miała czas wolny. Po szkole zagraniczni goście zaczęli się przygotowywać do wyjazdu. William

i Angus mieli samolot wczesnym popołudniem, więc prosto po szkole, razem z przyjaciółmi pojechali na lotnisko.

— Wiesz, stary, jest taki pomysł... — odezwał się po polsku Net.

— Już się boję — odparł Felix.

— Wiesz, nie będziemy się widzieć trochę czasu. — Net objął Nikę ramieniem. — W sumie to mógłbyś nas wyręczyć w pożegnaniach.

— Dwa dni nie będziecie się widzieć i musicie się odpowiednio pożegnać? — upewnił się po polsku Felix. — A nie możecie odprowadzić naszych gości i dopiero potem się żegnać?

— Kawiarnię nam zamkną — odparł Net.

— Poradzisz sobie? — Nika myśłami była już gdzie indziej.

— Jasne. To proste. Muszę być miły przez godzinę i konwersować po angielsku.

— Dzięki. — Net uściśnął mu dłoń.

— Do jutra. — Nika cmoknęła go w policzek.

Wyściskali Williama i Angusa. Obiecali sobie nawzajem, że będą pisać i postarają się spotkać ponownie.

I odeszli.

— Kawiarnię zamykają — mruknął Felix. — Akurat! Po prostu rodzice wracają z pracy. — Po czym przeszedł na angielski — najwcześniej za pół godziny będziecie się mogli odprawić. Możemy iść na taras widokowy.

Felix rozmawiał z Brytyjczykami, a jednocześnie w głowie układał przeprosiny, które wygłosi od progu restauracji. Trzeba jeszcze kupić kwiaty. Dmuchał na zimne i przyjął duży margines bezpieczeństwa – półtorej godziny. Nawet gdyby komunikacja miejska przestała kursować, zdążyłby dojść do Centrum na piechotę. Cóż więc mogło pójść źle?

Gdy wrócili do hali odlotów, na ekranach przy samolocie do Edynburga widniała informacja, że jest opóźniony o godzinę.

* * *

Felix dyskretnie zerkał na zegarek. Do spotkania z Laurą zostało piętnaście minut. Jak dobrze pójdzie, spóźni się pięć–dziesięć minut. To jeszcze nie katastrofa, choć po wczorajszej wtopie nie będzie dobrze wyglądało.

Dobre wychowanie Felixa wzięło górę i chłopak, nie dając po sobie niczego poznać, bez pośpiechu odprowadził Brytyjczyków do stanowiska

odprawy, potem do kontroli bezpieczeństwa, pomachał im z uśmiechem i dopiero gdy stracił ich z oczu, rzucił się biegiem na stację kolejki.

Wpadł zdyszany do pociągu, wzbudzając tym zainteresowanie współpasażerów, usiadł, by odpocząć i zerknął na zegarek. Już był spóźniony, a przecież pociąg nawet nie ruszył. Potem jeszcze tramwaj i kawałek spacerem. Biegiem właściwie.

Pociąg stał i stał, a Felix miał ochotę wysiąść i go popchnąć. Wreszcie rozległ się sygnał ostrzegawczy i drzwi zaczęły się zamykać. I gdy już prawie się zamknęły, w szczelinę między dwoma skrzydłami wcisnęła się damska torebka. Drzwi otworzyły się więc ponownie, a dziewczyna przytrzymała je jeszcze, by jej koleżanka zdążyła dobiec. Felix czuł, jak wzbierają w nim pokłady agresji, których obecności się u siebie nie spodziewał. Miał ochotę wyrzucić obie rozchichrane dziewczyny z powrotem na peron, ale to oczywiście jeszcze bardziej opóźniłoby odjazd.

Drzwi zamknęły się i pociąg wreszcie ruszył. Felix liczył w myślach, ile czasu zajmie mu dobiegnięcie od pociągu do knajpki. W najbardziej optymistycznej wersji wychodziło na to, że spóźni się dwadzieścia minut. Rzeczywistość jednak szybko skorygowała te szacunki. Pociąg zwolnił do prędkości spacerującej staruszki. Felix wstał i przeszedł kawałek do przodu, co oczywiście niewiele zmieniało. Nie pamiętał nawet, z którego miejsca stacji jest najbliżej do wyjścia.

No a potem pociąg zatrzymał się w środku tunelu. Felix sapał z bezsilnej złości. Gdyby to się stało na powierzchni, prawdopodobnie otworzyłyby drzwi i wysiadł, przecież nikt by go nie gonił. W tunelu nawet taki pomysł nie miał szans na realizację.

Kończyły mu się wymówki, chociaż przecież to nie były wymówki, tylko obiektywnie nieszczęśliwe zbiegi okoliczności. Obracał telefon w dłoniach i zastanawiał się, co napisać. Bo przecież coś napisać trzeba, albo lepiej zadzwonić. Wreszcie zdecydował się, że zadzwoni i powie po prostu prawdę. Wybrał numer Laury, a telefon piknął ostrzegawczo i wyświetlił komunikat o braku zasięgu. No tak, tunel...

Trwało długi kwadrans, nim pociąg wreszcie ruszył. Na najbliższej stacji telefon złapał zasięg. Nim Felix zdążył wybrać numer, przyszedł SMS. Chłopak poczuł, jak robi mu się gorąco, a zaraz potem zimno, gdy czytał wiadomość: „Już się nie spiesz. Zrozumiałam, co od kilku dni próbujesz mi powiedzieć”.

1. Jelcz 272 MEX. [\[wróć\]](#)
2. Eftep nie wziął pod uwagę tego, że ten autobus ma osobne drzwi kierowcy z lewej strony. [\[wróć\]](#)
3. Miejsce to było kiedyś najbardziej pożądaną miejscówką w całym autobusie. [\[wróć\]](#)
4. Miejsce to było kiedyś drugą najbardziej pożądaną miejscówką w całym autobusie. [\[wróć\]](#)
5. W Balatonie oczywiście nie ma skalarów. [\[wróć\]](#)
6. Quiche [wym. kisz] – placek składający się z kruchego lub francuskiego ciasta i nadzienia warzywnego zalanego masą jajeczno-śmietanową. [\[wróć\]](#)
7. Croissant [wym. kruasan] – pieczywo z ciasta francuskiego w kształcie rogalika. [\[wróć\]](#)



6. Rozstanie

Net czuł nadchodzącą depresję. Już wiedział, że odprowadzanie przyjaciół nie należało do dobrych pomysłów. Było już jednak za późno, by to zmienić. Dworzec Centralny wypełnił ten sam co zwykle zapach, który można by określić jako „kolejowy”. Tłumy podróżnych przelewały się w tę i z powrotem korytarzami i po peronach. Tym, co odróżniało obecny dworzec od budynku, który Net zapamiętał z ostatniej podróży pociągiem sprzed kilku laty, były wielkie monitory z rozkładem jazdy, który o dziwo chyba odpowiadał rzeczywistości.

Felix miał humor nie lepszy od Neta. Wysłał do Laury już kilka SMS-ów z przeprosinami. Na żaden nie odpowiedziała. Nie odebrała też telefonu ani nie odpowiedziała na e-maila, którego napisał w nocy. Wyglądało to kiepsko, tym bardziej że ona też wyjeżdżała dziś na zieloną szkołę ze swoją klasą.

— Co masz taką minę? — zapytał Net. — Wyglądasz, jakbyś nie mógł jechać na wycieczkę z powodu testu z informatyki.

— Nie... nie wyspałem się.

Nika spojrzała na niego uważnie, ale jej uwaga szybko powróciła do Neta.

Klasa druga „a” zbierała się w umówionym miejscu na peronie drugim wokół czujnie rozglądającego się pana Borkowskiego. Pani Joli jeszcze nie było. Felix, Net i Nika stali lekko z boku grupy. Srebrny kontener z Bulbotem niestety rzucał się w oczy. Wyglądał trochę jak wyjątkowo ekskluzywna walizka, a trochę jak opakowanie na coś bardzo zaawansowanego technicznie.

— Teraz cały pomysł mniej mi się podoba — przyznał Felix. — Mój worek transportowy jest dziesięć razy wygodniejszy.

— Poupychałeś wokół niego ubrania? — zapytała Nika.

— Sam będę to tachał — odparł Felix. — Nie dałbym rady jeszcze nieść plecaka. Znaczący worka transportowego.

— Dżizas, co ty tam masz? — zapytała Celina, stając obok.

Net uprzedził odpowiedź Felixa:

— Lokówka, suszarka z dyfuzorem, żelazko, takie tam... Chłopak chce dobrze wyglądać.

Celina zaśmiała się i uwiesiła na ramieniu Klemensa. Nadrabiała teraz ostatnie dni, chcąc zmyć skutki kilkudniowej infekcji zazdrości.

— Nie jesteś już zły, prawda? — zapytała cicho.

— Nie. Mama powiedziała mi, że to ty powiedziałaś jej o diecie Marie.

— No to będzie jazda... — szepnął Net, patrząc w bok.

Na ruchomych schodach pojawił się kolorowy nieregularny kształt z wielką brązową tekturową walizką. Kształt po chwili okazał się Zuzanną Zdrój.

— Czy nie miała z nami jechać pani Jola? — zapytała cicho Nika.

— Zmiana planów, moi drodzy. — Plastikowa postawiła walizkę i rozłożyła ramiona, jakby witała wszystkich podróżnych na całym dworcu. — Pani Chaber rozchorowało się dziecko — oznajmiła radośnie. — Podjęłam wyzwanie. Rozbucam was przestrzennie zielonością i aromatami wszechprzyrody wszechświata.

Gimnazjaliści wyglądali na nieco zawiedzionych. Wszyscy lubili panią Jolę Chaber, ale z drugiej strony obecność Zuzanny Zdrój zapowiadała wiele zabawnych sytuacji. Z pewnością w najmniejszym stopniu zawiedziony nie był CyBorek. Wymienił z nauczycielką przelotne, ale znaczące spojrzenie. Na nic więcej nie mogli sobie pozwolić w obecności uczniów. Przejął od niej walizkę, dyskretnie przeciągając palcami po dłoni Zuzanny.

— Warunki będą prząsne — ostrzegł wuefista. — Nie jedziemy do pięciogwiazdkowego hotelu.

— Och, nie szkodzi. W czterogwiazdkowych też bywałam.

CyBorek chciał powiedzieć coś jeszcze, zapewne na temat standardu hotelu, ale zrezygnował. Zważył w dłoni podejrzenie lekką walizkę i zmarszczył czoło. Nie zastanawiał się nad tym dłużej, bo w tunelu pojawiły się trzy reflektory i po chwili z ciemności wyłoniła się lokomotywa,

niespodziewanie nowoczesna. Dalsza część pociągu składała się jednak z nie najnowszych wagonów.

— Nawet lepiej — stwierdził Felix. — Mają otwierane okna.

— Grupa! Do przodu! — Pan Borkowski wskazał kierunek i ruszył biegiem za lokomotywą.

Klasa podążyła za nim.

— Czekajcie. — Felix powstrzymał przyjaciół przed ruszeniem w ślad za grupą. — Oni zaraz wrócą.

— Ale miejsca mamy... — Nika zerknęła na bilet — w trzecim wagonie.

— Pociąg jeździ tam i z powrotem. — Felix chwycił rączkę kontenera i ruszył w przeciwnym kierunku. — W jedną stronę wagon numer jeden jest z przodu, w drugą z tyłu. Sprawdziłem w internecie, że nasz wagon zatrzymuje się w tym sektorze. — Przeszli kilkanaście metrów, po czym Felix zatrzymał się. — Sprawdziłem plany dworca i projekt konstrukcyjny tych wagonów. Każdy ma długość dwudziestu czterech i pół metra. Nasz wagon powinien się zatrzymać jakieś trzydzieści metrów od schodów, a do naszego przedziału bliżej jest od pierwszych drzwi.

Net i Nika obserwowali zwalnające wagony. Uwierzyli, że przyjaciel nie zmyśla, dopiero gdy pierwsze drzwi wagonu numer trzy zatrzymały się dokładnie przed Felixem. Net bez słowa chwycił rączkę z tyłu kontenera i pomógł przyjacielowi wnieść go po stromych schodach. Jako pierwsi dotarli do właściwego przedziału. Był całkiem przytulny, wyłożony ciemnym fornirem i tkaninami w ciepłych zieleniach. Na szczęście miał tylko sześć miejsc.

Z trudem władowali kontener na półkę bagażową.

— A jak to zdejmiesz? — zapytał Net.

— Będę miał sześć godzin, żeby się nad tym zastanawiać. — Felix chwilę przyglądał się półce, po czym orzekł — musimy przełożyć na drugą stronę.

— Nie no, stary. Właśnie skończyłem się pocić.

— Te półki nie mają żadnych zabezpieczeń. Jak pociąg gwałtownie zahamuje, to kontener spadnie i...

Net niechętnie przyznał mu rację. Stękając i sapiąc, przenieśli Bulbota na przeciwległą półkę. Nika zerknęła na swój bilet i położyła torbę pod oknem, na miejscu, którego pasażer siedział tyłem do kierunku jazdy, Felix

rzucił swój plecak naprzeciwko. Oboje spojrzeli smutno na równie smutnego Neta.

— To tylko dwa dni — pocieszył go Felix, usiłując nie wyglądać na przybitego.

— Ale ominie mnie ta podróż — westchnął Net. — Ech, życie informatyka naprawdę nie jest usłane chipsami. Dobra, lecę, zanim się tu rozkleję.

Nika objęła Neta i mocno przytuliła. Z korytarza dały się słyszeć nawoływania kolegów klasowych, którzy już odkryli zawłóści kolejowego numerowania wagonów i odnaleźli ten właściwy. Do przedziału pierwsza wkroczyła Klaudia z wielką błyszczącą czerwoną walizką na kółkach.

Nika westchnęła bezgłośnie. Jeśli Klaudia ma tutaj miejsce, to Aurelia na pewno też. Net zauważył jej wyraz twarzy i szybko przeszedł do następnego przedziału.

— Daj mi swój bilet — rzucił do rozlokowującego się Gilberta.

— Stary... — Gilbert pokręcił głową. — Nie będę za ciebie zdawał tego testu. Cudem zdałem ten ostatni, stosując MNG.

— Co stosując...?

— MNG – Metodę Najmniejszego Głupstwa. Wybierałem odpowiedzi, które wydawały mi się najmniej głupie. To działa.

— Ja nie jadę. Chcesz spędzić kilka godzin z Felixem, Oskarem i Wiktorem czy... z niewiadomkim? Może nawet z CyBorkiem?

— Jeśli będzie tam też Nika, to masz. — Gilbert podał mu bilet.

— Nie będziesz siedział obok niej. — Net wycelował w niego palcem. — Ufam ci. Nie zepsuj tego.

Wrócił do przedziału przyjaciół. Klaudia niezdarnie ładowała walizeczkę na półkę. Felix zerwał się, żeby jej pomóc, ale Net powstrzymał go dyskretnym gestem.

— A niech to! — powiedział teatralnie głośno. — Myślałem, że dostaliście bilety na przedział pospieszny. A to zwykły...

Klaudia nawet na niego nie zerknęła. Próbowała wrzucić walizeczkę z zamachem, ale tylko wyrznęła nią o oparcie fotela.

— Wyraźnie zaznaczałem, że chcę dla was przedział pospieszny — ciągnął Net. — Nie mogę znieść myśli, że będziecie drałowali po nocy w deszczu w lesie przez tereny opanowane wściekłą bandą, gdzie straszy i grasują bandy porywaczy blondynek.

Klaudia wykazała szczątkowe zainteresowanie.

— Że co?

— Ten pociąg częściowo jest pospieszny, a częściowo zwykły. — Net udawał, że analizuje bilet. — Ten przedział dojeżdża na miejsce pół godziny później. Może już nie być autobusu i trzeba będzie iść piechotą dziesięć kilometrów po błocie przez trzęsawiska i rewiry wilków stepowych uciekających przed rysiami szablozębnymi.

— Poważnie? — zaniepokoiła się dziewczyna.

— Mogę się zamienić. — Pomachał biletem. — W sumie i tak nie jadę, bo mam tę poprawę testu.

Klaudia szybko wzięła z jego rąk bilet i dała mu swój. Zgarnęła walizkę i wyszła na korytarz. Nika spojrzała na Neta karcąco, ale i z rozba- wieniem. Chwilę potem do przedziału wkroczył uśmiechnięty Gilbert. Odebrał od Neta bilet, pyrznął plecak na półkę i usiadł przy drzwiach. Zaraz jednak zaniepokoił się, gdy zobaczył przechodzących korytarzem Oskara i Wiktora.

— Jeszcze się okaże, że CyBorek siedzi tutaj...

— Spokojnie — szepnął Net i wychylił się przez drzwi. — Pssst... chłopaki...!

Oskar i Wiktor odwrócili się. Net skinął na nich energicznie i cofnął się do przedziału.

— Dajcie wasze bilety — powiedział, gdy weszli.

— Że po co? — Oskar spojrzał na niego podejrzliwie.

— Tam siedzi CyBorek, a tutaj Gilbert i Felix. No i Nika. Gdzie wolicie jechać? — Obaj bez słowa podali mu swoje bilety. — A teraz siadajcie i udawajcie, że tu są wasze miejsca. Będzie dobrze. Ty usiądziesz tu. — Usadził Wiktora między Gilbertem a Niką. — Do ciebie mam większe zaufanie. A ty... — Spojrzał na Oskara. — W sumie to już nie ma wyboru.

Oskar usiadł obok Felixa. Kilka sekund później do przedziału zajrzała Aurelia. Spojrzała na swój bilet, potem na miejsca zajęte przez Oskara i Wiktora.

— A gdzie Klaudia?

— W następnym przedziale — odparł przyciszonym głosem Net. — Chce siedzieć bliżej początku pociągu, żeby być szybciej na miejscu. Możemy się zamienić na bilety, żebyś siedziała z nią.

— Co? — zdziwiła się Aurelia. Popatrzyła na niego podejrzliwie i przeszła do następnego przedziału. — Dlaczego się przesiadłaś?

— Żeby być szybciej na miejscu — odparła Klaudia.

Aurelia uniosła brwi i chwilę na nią patrzyła. Bez słowa cofnęła się i wymieniła bilet z tym trzymanym przez Neta. Wyraz jej twarzy odzwierciedlał chwilową niechęć do zadawania jakichkolwiek pytań.

Zaraz za Aurelią pojawił się Lucjan z jej torbą i swoją. Zajrzał do przedziału.

— A gdzie Aurelia?

— W następnym przedziale. — Net wskazał kciukiem za siebie.
— Mam tu bilet obok niej. Mogę sprzedać za dychę...

Lucjan wyjął mu z dłoni bilet i dał swój.

— Lubię ludzi bezproblemowych — stwierdził z uśmiechem Net, gdy Lucjan nie mógł już tego usłyszeć. Spojrzał na jedno puste miejsce i posmutniał. — No to... już chyba sobie pójdę. Jeszcze bym pojechał niechcący.

Przez myśl przemknęło mu, czy nie dałoby się tak po prostu... pojechać. Zapomnieć o teście z informatyki, zapomnieć o braku bagażu i po prostu zostać z przyjaciółmi w tym przedziale, a potem dopiero zacząć się martwić o całą resztę. Nika wyściskała go jeszcze raz, Felix zaś poklepał po ramieniu i zrobił z nim misia.

— Przyjedziesz na gotowe — pocieszył go Gilbert. — My zaliczymy wszystkie zatrucia pokarmowe, nalot sanepidu i aresztowanie personelu stołówki.

Net westchnął raz jeszcze i wyszedł z przedziału, a potem z wagonu. Nie miał siły czekać na odjazd pociągu. Po prostu pomachał im i odszedł. Nika wyglądała przez okno, odprowadzając go spojrzeniem, aż zniknął na schodach. Usiadła.

— Tylko dwa dni — pocieszył ją Felix.

— Chyba nie skwasicie całej podróży, co? — zapytał Oskar.

Dziewczyna pokręciła tylko głową.

— Z rozstaniem jest jak z brakiem bigosu — odezwał się Gilbert. Wszyscy na niego spojrzeli. — To znaczy, jeśli lubisz bigos. Jak go bardzo lubisz i jesz codziennie, to ci powszednieje. A po dwóch dniach braku bigosu ten sam bigos smakuje dwa razy lepiej. — Odchylił zasłonkę i wyjrzał na korytarz. — Niedobrze... — oznajmił. — Zaraz odczujemy jeszcze boleśniej brak bigosu. Znaczą, Neta.

Nim ktokolwiek zdążył się zapytać, co właściwie ma na myśli, drzwi odsunęły się i do środka władowała się ubrana jaskrawo otyła tleniona blondyna w wieku nieokreślonym, pomiędzy dwudziestką a pięćdziesiątką.

Felix uniósł brwi, co znaczyło „kopia Helenki”. Nika lekko skinęła głową, dodając „w rozmiarze XXL”. Blondyna ciągnęła fioletową, właściwie niemal świecąca fioletowo walizkę. Na jej szyi i ramionach wisały trzy torebki, z czego jedna była różowa, druga złota, a trzecia – psem. Tak, kobieta trzymała pod pachą psa rasy york, albo podobnej, który miał na sobie kilka czerwonych wstążeczek spinających sierść w kitki, przez co wyglądał trochę jak włochoaty ukwiąg.

Piesek szczeknął jak nadepnięta gumowa kaczuszka, na co właścicielka odpowiedziała:

— Tak, już jesteśmy w naszym pociągu, Ciupciulinku. Tylko ta dzisiejsza młodzież zajęła nam tyle miejsca. — Rozglądała się przy tym po przedziale, jakby w fotelach nie siedzieli ludzie, tylko worki z fasolą lub coś równie bezosobowego. — Może ktoś nam pomoże włożyć walizkę na górę. — Wciąż mówiła do psa. — Może się domyślą, że kobietom trzeba pomagać. Przecież sama jej nie podniosę.

Wiktor westchnął, wstał i włożył jej walizkę na półkę. Kobieta pocałowała pieska w nosek i powiedziała:

— Jeden się domyślił. Chociaż tyle.

Felix nachylił się do Oskara i szepnął:

— Opuść podłokietnik.

Oskar spojrział na niego pytająco. Zrozumiał, ale niestety za późno. Opuścić podłokietnika już się nie dało, blondyna usiadła bowiem obok niego i rozlała się na dobre dziesięć centymetrów na Oskarowy fotel. Chłopak został przesunięty w stronę Felixa, a podniesiony podłokietnik znalazł się za plecami kobiety.

— KTS — mruknął Gilbert. — Kolejowe Tsunami Śródkontynentalne.

— Zobacz, jak się rozpychają, Ciupciulinku. Nie ma dość miejsca dla nas. Może zaraz wysiądą.

Oskar siedział ściśnięty między kobietą a Felixem, z jedną ręką wypchniętą do przodu. Felix nie miał się gdzie przesunąć, bo sam opierał się już o ścianę. Kobieta zupełnie ignorowała obecność gimnazjalistów.

Pociąg ruszył bardzo płynnie. Poznali to tylko po przesuwających się filarach Dworca Centralnego, nim jeszcze po raz pierwszy zabujało. Wjechali w mrok tunelu średnicowego, rozpraszany co kilkanaście metrów słabą żarówką. W ciemności rozległ się pisk gumowej kaczuszki.

— I romantyzm podróży poszedł się szcześcić — ocenił Gilbert.

— Nic się nie bój, Ciupciuleńku. Pańcia zaraz da cukiereczka.

W rozbłysku żółtawego światła gimnazjaliści zobaczyli trzęsącego się ze strachu pieska. Szelest rozwijanej folii rozległ się już w ciemności. W kolejnym rozbłysku pies rozwierał malutkie szczęki, by objąć nimi cukierek toffi, który w jego skali zdawał się być wielkości sporego serdelka. Pies glamał i glamał, a gdy skończył, znów szczeknął. Kobieta włożyła do pyszczka yorka następną porcję słodkości, sytuacja powtórzyła się kilka razy, aż pociąg wyjechał z tunelu przy stacji Warszawa Powiśle. Pies przestał się trząść, ale właścicielka z rozpędu wetknęła mu jeszcze jeden cukierek.

— Jak to się mieści? — zapytał retorycznie w przestrzeń Oskar. Właścicielka Ciupciulinka i tak nie zwracała na nic uwagi.

— Gorzej, jak się nie zmieści. — Gilbert wskazał merdający obok ramienia Oskara ogonek z czerwoną kokardką.

Nika wychyliła się nieco, by widzieć Gilberta, i zapytała:

— Czy wiesz, co się dzieje z Zosią? Nie ma jej w pociągu.

— Nie odbiera moich telefonów. — Wzruszył ramionami. — Chyba się obraziła.

— A próbowałaś do niej napisać maila, pojechać do domu?

— Na maila nie odpisała, a po co mam jechać do niej, skoro jest na mnie obrażona?

— Może jest chora.

— Nie odbiera telefonu, nie odpisuje na maile — przypomniał Gilbert. — To musiałyby być bardzo poważna choroba, jak wpadnięciopodtramwajizm albo porażeniowieścielowizm. Nie będę się prosił. Jak nie chce, to nie.

Nika po raz pierwszy, odkąd znała Gilberta, zauważyła u niego coś na kształt podenerwowania. Zdecydowała nie naciskać bardziej. Gilbert spochmurniał, wyciągnął z plecaka laptop i w ten sposób odizolował się od świata.

Pociąg minął most, Stadion Narodowy i zaczął zwalniać przed Dworcem Wschodnim.

— Mogłaś tutaj wsiąść — zauważył Felix. — To dziesięć minut spaceru od ciebie.

Nika wzruszyła tylko ramionami i zapatrzyła się przez okno. Pociąg zatrzymał się przy peronie, brzydkim jak tylko brzydki może być peron. Do pociągu wsiadło kilka osób, smutny kolejarz młotkiem na długim trzonku kolejno opukał wszystkie koła. Nic się nie działo, jedynie blondyna prze-

glądała tabloid „Kronika Sensacyjna” i podjadała cukierki pudrowe z fioletowej torebki. Co trzeci cukierek trafiał do pyszczka yorka.

— Bardzo się starają, żeby to nie był ekspres — odezwał się Oskar.

— Muszą jakoś odróżnić pociągi zwykłe od pospiesznych, a pospieszne od ekspresów — odparł Gilbert, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa. — Wszystkie jeżdżą z tą samą prędkością, bo przecież jeżdżą po tych samych torach. Czyli te zwykłe muszą dłużej stać na stacjach. Inaczej ludzie nie chcieliby więcej płacić za ekspres.

Nika wyciągnęła książkę *Trudny wybór* i zaczęła czytać od miejsca zaznaczonego zakładką. Felix patrzył chwilę na przyjaciółkę, ale uznał, że nie potrafi jej pocieszyć. Wyjął więc *Teorię diabła* i też zaczął czytać. Z trudem powstrzymywał się przed zerkaniem na ekran telefonu.

— Chyba nie będziecie czytać? — zapytał Oskar, wyjmując kanapkę.

— Chyba nie będziesz jadł? — odpowiedział pytaniem Felix.

Pociąg wreszcie ruszył. Gilbert dla odmiany zajął się telefonem, wpisując SMS.

— Wiecie, chodzi mi o to, że Neta nie będzie tylko przez dwa dni. — Oskar ugryzł kanapkę. — To nie powód do żałoby. Zaliczy ten test i zaraz do nas dojedzie.

Nika spojrzała na niego smutno i nic nie odpowiedziała.

— Zwrotnica i skręt w prawo — odezwał się Gilbert.

— Co to ma do...? — zapytał Oskar.

Chwilę później pociąg rzeczywiście zabujał się na rozjazdach i skręcił w prawo.

— Prekognicja? — Oskar popatrzył na Gilberta, ale zaraz stracił zainteresowanie trasą pociągu. Zrobił zęza na swoją kanapkę, na której widniał wyraźny ślad wygryzienia, znacznie mniejszy od tego, który mógł zrobić człowiek. Chłopak spojrzał w lewo na yorka, który właśnie kończył przełykać. Pies warknął na niego, co w jego wydaniu brzmiało jak brzęczenie starej golarki.

— Pani pies zeżarł... nadzarł mi kanapkę — poskarżył Oskar.

Blondyna zareagowała wyciągnięciem ze złotej torebki chustki w kratkę i wytarciem psu pyszczka.

— Ta dzisiejsza młodzież podrzuca Ciupciulinkowi nieświeże kanapki, Ciupciulinek może się rozchorować na brzusek — powiedziała do yorka tonem, jakim czasem mówi się do maleńkich dzieci. — Pańcia poskarży się panu konduktorowi. Pan konduktor nauczy dzisiejszą młodzież moresu.

Oskar patrzył to na kanapkę, to na psa, jakby miał zamiar wetknąć mu ją do pyska w całości. Po namyśle ugryzł z drugiej strony.

Pociąg mijając jakieś chaszczce, włókł się teraz po nasypie z prędkością rannego rowerzysty. Drzwi do przedziału otworzyły się gwałtownie, a york zaczął szczekać.

— Co u was? — Lucjan wsunął głowę do środka. — U nas nudy. O, przepraszam, dzień dobry.

Blondyna nie odpowiedziała. Potraktowała pojawienie się Lucjana jak naturalną siłę, która otworzyła drzwi.

— Tempo takie, że mógłbym wysiąść, nazbierać grzybów i wrócić — zgodził się Wiktor.

Pies szczekał, a właścicielka nie zwracała na to uwagi, zajęta przeglądaniem kolorowej gazetki.

— Trochę tu u was głośno — zauważył Lucjan.

— Zaraz skończą się baterie — mruknął Gilbert. — A tymczasem, ma ktoś gumkę recepturkę?

— W zastępstwie Neta powiem, że przypomina mi się *Powrót Jedi* — odezwał się Felix. — A konkretnie scena ze śmiejącym się trollem na fałdach Jabby the Hutt.

Nika uśmiechnęła się znad książki. I tak już nie czytała. Felix też zamknął swoją i odłożył ją na stolik. Pies wciąż szczekał. Oskar ponownie rozważył wetknięcie kanapki w jego pyszczek, jednak wybrał wyrzucenie jej do śmietniczki.

— Zajrzałeś do trzeciego przedziału? — zapytał.

— Do CyBorka? — Lucjan pokręcił głową. — Oni tam pewnie robią synchroniczne pompki i podciągają się na półce bagażowej. Wolę nie prowokować. — Spojrzał na szczekającego wciąż psa. — Dobra, potem zajrzę. Jak się skończą baterie.

Zamknął drzwi, co wreszcie uciszyło psa.

— Pańcia wszystko powie panu konduktorowi. — Blondyna głaskała roztrzęsionego pupila. — Pan konduktor przemówi do rozumu dzisiejszej młodzieży.

Gilbert zamknął laptop, schylił się i rozwiązał trampek. Zdjął go, położył sobie na przedramieniu, ułożył równo sznurówki i zaczął głaskać. Teraz nawet Nika odłożyła książkę i patrzyła z zaciekawieniem. Gilbert zawiązał sznurówki w elegancką kokardkę, pocałował trampek w nosek i mocno przytulił.

— Już dobrze Trampelinku — mruknął. — Nie będzie więcej deptania, nie będzie nacisku sześćdziesięciu czterech kilogramów, nie będzie szorstkiego chodnika. Pańcio obiecuje. Od teraz Trampelincio będzie noszony na rękach i głaskany.

Gimnazjaliści tłumili śmiech, za to blondyna zamarła z pudrowym dropsem w połowie drogi do ust. Patrzyła na Gilberta szeroko otwartymi oczyma, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że w przedziale jest ktoś oprócz niej. Gilbert najspokojniej w świecie założył but na nogę i zawiązał.

— Pańcio kłamał! — Tupnął kilka razy, aż zatrzęsła się podłoga. Po czym, jak gdyby nigdy nic, otworzył laptop i powrócił do poprzedniego zajęcia.

I pies, i właścicielka gapili się na niego w osłupieniu. Pierwszy otrząsnął się york i zaczął szczekać. To otrzeźwiło blondynę.

— Co za chamstwo! Ta dzisiejsza młodzież w ogóle nie potrafi się zachować — pogłaskała psa i pocałowała w czubek głowy. — Idziemy sobie stąd. Nie będziemy narażać Ciupciulinka na oglądanie takich manier! Ta dzisiejsza młodzież zasługuje, żeby ją całą porwać, nie tylko jedną złą dziewczuchę.

Potrząsnęła gazetą, zwinęła ją i wepchnęła do fioletowej torebki. Wstała i sięgnęła po walizkę. Gdyby nie szybka reakcja Felixa, który zerwał się i złapał walizkę w locie, mogłoby się to skończyć źle. Blondyna odsunęła drzwi i wymaszerowała. Dopiero teraz gimnazjaliści wybuchnęli śmiechem.

— Pańcia Ciupciulinka kontra zło świata — ocenił Wiktor. — Zobaczcie, ile człowiek może się nauczyć podczas zwykłej podróży pociągiem.

— Zauważyliście, że ona mówiła o jakimś porwaniu? — wtrąciła Nika.

— O porwaniu mózgu przez yorki z Saturna. — Oskar powrócił na środek swojego fotela. — Dzięki, stary. Jestem ci coś winien.

Gilbert machnął ręką.

— Eksmisja psychologiczna z użyciem emanacji lustra. Muszę ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy. Teraz zabuja.

— Co zabuja? — zapytał Wiktor. Pociąg rzeczywiście zabujał się mocniej niż zwykle. — Skąd wiedziałeś?

— Mam tu *Train Simulator*. — Gilbert odwrócił komputer ekranem do kolegów. — Całkiem nieźle odwzorowali tę trasę.

Na ekranie animowany pociąg jechał przez monotennie proste tory. Najważniejsze mijane budynki zgadzały się z rzeczywistością.

— Jedziesz pociągiem i grasz w symulator pociągu? — nie mógł uwierzyć Oskar.

— Na tej samej trasie — przytaknął Gilbert. — Podróż jest nudna, to gram. O, czekajcie. — Odwrócił laptop do siebie. — Tu mam ograniczenie prędkości. Muszę zwolnić.

Wcisnął kilka klawiszy. W tym samym momencie pociąg zaczął zwalniać.

— Zwalniasz z dwudziestu kilometrów na godzinę do dziesięciu? — zapytał Oskar. — Podkręć do osiemdziesięciu chociaż.

— To nie jest zdalne sterowanie.

Nika nachyliła się do Felixa i powiedziała przyciszonym głosem:

— Ona mówiła o jakimś porwaniu.

— Masz złe przeczucia? — odparł szeptem Felix. — To z powodu Neta?

— Nie. Z powodu Zosi. Z powodu nieobecności Zosi.

— Wiesz... ona jest trochę dziwna. Może mieć coś w rodzaju depresji po tej sytuacji z Michael.

— Ta sytuacja chyba trwa. — Nika wskazała głową Gilberta, który na chwilę porzucił rolę wirtualnego maszynisty, żeby napisać wiadomość na Facebooku.

Drzwi rozsunęły się i znów pojawił się w nich Lucjan.

— Czasem dojeżdżam tu na rowerze — powiedział. — Słabo się zaczyna ten wyjazd.

— Potem będzie lepiej — wyjaśnił Gilbert. — Tu jest remont torów.

— Tu zawsze jest remont torów — zauważył Wiktor. — Jak miałem kilka lat, to jedno z moich pierwszych wspomnień pochodzi z pociągu wlokącego się właśnie tędy.

— Co porabiacie? — Pod ramieniem Lucjana pojawiła się Aurelia. — Dyrekcja na nas przyoszczędziła. Pociąg drugiej klasy zamiast klimatyzowanego autokaru.

— Na miejscu będzie lepiej. Wycieczka do aquaparku, rejs statkiem po... po czymś tam mokrym, paintball, pokaz zorzy polarnej.

— Czego? — zainteresował się Felix.

— Eee... — Wiktor zastanowił się. — O ile pamiętam, to napisali, że ta zorza to zależy od sytuacji pogodowej.

— Tak to ja mogę zorganizować wycieczkę na Sądelszczyznę — odezwał się znad telefonu Gilbert. — W poszukiwaniu czynnych wulkanów polskich. Istnieje prawdopodobieństwo jak jeden do jednej miliardowej, że akurat gdzieś tam się jakiś wulkan uaktywni.

Nika za złością patrzyła na Gilberta, który powrócił do czatowania.

— To naprawdę nie nasza sprawa — szepnął Felix.

— Wiem, ale... Gilbert! — odezwała się głośniej. — Wtedy, jak się umówiłeś z Zosią, to ona nie przyszła czy nie chciała rozmawiać, bo byłeś z Michael?

Gilbert spojrzał na nią znad telefonu.

— Pierwsza opcja.

— Może zobaczyła was przez okno i dlatego nie weszła?

— Nie wiem, może. Czeka, zwrotnica.

Pociąg zabujał się i zmienił tor. Pod drugim ramieniem Lucjana pojawiła się Klaudia.

— Też się nudzicie?

Lucjan usiadł na wolnym miejscu, żeby nie musieć wyginać pleców nad dwiema dziewczynami.

— Rozważamy pewien problem — odparła Nika.

— O, to ciekawe. — Aurelia szybko przysiadła na kolanie Lucjana. — Problem braku pieniędzy na porządną walizkę?

Spojrzała na górną półkę, gdzie leżał prehistoryczny plecak Niki. Klaudia przymierała się do drugiego kolana Lucjana, ale Aurelia dla pewności przełożyła przez nie nogę, anektując całość chłopaka. Klaudia zadowolona się więc wciśnięciem między nich a przeszkloną ścianę oddzielającą przedział od korytarza. Zasunęła drzwi, żeby mieć lepsze oparcie.

— Zastanawiamy się, co się stało z Zosią — odparła Nika, przełykając gniew. — Od wtorku nie ma jej w szkole i nie wiadomo, co się z nią stało.

— Ja mam wiedzieć? — Gilbert wzruszył ramionami.

— A kto, jeśli nie ty?

— Rzeczywiście, umawiała się z tobą, a potem nikt już jej nie widział — zauważyła Aurelia.

— Ja też jej nie widziałem — przypomniał Gilbert.

— Ta blondyna czytała w „Kronice Sensacyjnej” o porwaniu nastolatki — przypomniała Nika.

— Czeka, zadzwonię do ojca — powiedział Wiktor. — On będzie wiedział, co się dzieje.

Tata Wiktora był dziennikarzem, więc i potencjalnie najlepiej poinformowaną osobą.

— Tato, cześć — rzucił do słuchawki Wiktor. — Takie szybkie pytanie. Chodzi o tę zaginioną dziewczynę...

Zamilkł i tylko przytakiwał. Pociąg wjechał w krótki tunel pod nasympem innej linii kolejowej. Po chwili znów zrobiło się jasno.

— Halo? — Wiktor spojrzał na wyświetlacz. — Rozłączyło nas. Wspomniał o jakimś zaginięciu gimnazjalistki, ale nie zdążyłem usłyszeć, o kogo chodziło. Jest afera ogólnie. Chyba nie chodzi o Zosię, co?

— Tak! — podchwyciła Klaudia. — Trzeba zawiadomić policję! Zamknijmy go w toalecie i zadzwońmy po policję! — Wycelowała palcem w Gilberta.

Lucjan wstał, przy okazji zmuszając również Aurelię do wstania.

— Przegiąłeś, stary — powiedział. — Można być dziwakiem, ale nie aż takim.

Pochylił się nad Gilbertem i wycelował palec w pierś kolegi.

— Nie do końca o to mi chodziło — powiedziała zdezorientowana Nika.

— Czy was pogięło?! — Felix wstał. — Nie wiecie, co się stało, a chcecie urządzać jakieś samosądy jak w średniowieczu?

— Połączę się jeszcze raz. — Wiktor wstał. — To rozwieje wątpliwości.

— Wyjdź z tego przedziału — powiedział Gilbert, a słowa te były skierowane do Klaudii. — Wyjdź stąd!

— Ty, no o co ci chodzi? — Klaudia wyglądała na zdezorientowaną. — Przecież to ty ją porwałś, nie ja.

Wyraz twarzy Gilberta świadczył o tym, że jeszcze sekunda i pomoże Klaudii opuścić przedział w trybie nawet nie pospiesznym, ale wręcz ekspresowym. I pewnie tak by się stało, nawet pomimo stojącego nad nim, nieco zdezorientowanego Lucjana, gdyby nie to, że drzwi rozsunęły się i stanął w nich pan Borkowski. Entuzjastycznie popatrzył po mniej entuzjastycznych gimnazjalistach i oznajmił:

— Już mogę wam zdradzić, że celem naszego wyjazdu jest obóz przetrwania.

— Co?! — Wiktor jako jedyny zdziwił się na głos. — Miał być luksusowy pensjonat nad jeziorem.

— Będzie nad jeziorem — przytaknął nauczyciel. — Dyrekcja szkoły postanowiła przenieść wasz wypoczynek na wyższy poziom. A w związku z tym, że to jest obóz przetrwania... nad jeziorem — CyBorek wyprężył się i wyciągnął przed siebie dłoń — przechowam wasze telefony komórkowe, żeby nie uległy uszkodzeniu. Na przykład zalaniu.

Gimnazjaliści niechętnie wyjęli telefony i podali nauczycielowi.

— Mój jest pancerny — wyjaśnił Felix, obracając telefon w dłoni. SMS-a wciąż nie było. — Można się z nim kąpać i wbijać nim gwoździe.

— Zasady obozu przetrwania są jasne i nie ma od nich odstępstw.

— Miałem zadzwonić do taty, jak dojadę.

— Nie bój nic. Na stronie szkoły będzie relacja na żywo. Przeczyta sobie.

Felix z ociąganiem oddał telefon.

— Ja nie mam. — Nika rozłożyła ręce.

— Zgubiłaś?

— Nie, w ogóle nie mam. Nigdy nie miałam.

— Jak można nie mieć telefonu w dwudziestym pierwszym wieku, dziewczyno?

— Nie mam. — Nika wzruszyła ramionami. — Nie potrzebuję.

— Ja mam jeszcze konsolę. — Oskar wyciągnął urządzenie w stronę nauczyciela. — Na pewno nie jest wodoodporna. Może pan przechować?

— Zawieź w skarpetę — poradził wuefista i odszedł.

Oskar popatrzył na konsolę.

— Przecież skarpetka przemięka...

— Tu się dzieje coś dziwnego — odezwał się Felix. — Nie pamiętam żadnej wzmianki o obozie przetrwania. Zresztą na obozie przetrwania wolno mieć telefony. A ty — ściszył głos i nachylił się do Niki — nic już o tym nie mów. Porozmawiamy potem, na osobności.

Nika przytaknęła.

— To w końcu porwałś ją czy nie? — zapytała Klaudia.

— Tak, porwałem. — Gilbert wskazał kciukiem plecak nad sobą. — Jest tam w środku. W ten sposób nie musi płacić za bilet.

Dziewczyna uniosła wzrok i zmarszczyła brwi. Aurelia westchnęła, wstała i wypchnęła przyjaciółkę na korytarz. Lucjan też wyszedł.

— Na stacji kupimy gazetę — orzekł Felix. — Ale szczerze wątpię, żeby chodziło o Zosię. Jeśli w dzisiejszej „Kronice Sensacyjnej” napisali

o porwaniu, to znaczy, że od rana powinno być o tym głośno w sieci i w telewizji.

— Że też akurat teraz musiał nam zabrać te telefony — narzekał Oskar. — Dlaczego my w ogóle się tak dajemy?

— CyBorek ma osobowość przywódczą — wyjaśnił Gilbert znad laptopa, znów całkowicie spokojny. — Odruchowo wykonujesz jego polecenia, bo ufasz, że on wie, co robić.

Do przedziału wszedł elegancki biznesmen w szarym garniturze.

— Dzień dobry — rzucił, nawet nie patrząc na gimnazjalistów. Wrzucił sporą elegancką walizeczkę na półkę, usiadł i mniejszą położył na kolanach. Wyjął z niej nie mniej elegancki laptop. Od razu zadzwonił jego telefon komórkowy. Mężczyzna odebrał, jednocześnie drugą ręką klikając w klawiaturę komputera. — Wczytuje się, czekaj — rzucił do słuchawki. — Dobra, mam to. Jest wzrost o pół procenta w godzinę. Kupujemy. Tak, tyle samo. Od razu to załatw.

Rozłączył się i zaczął klikać w klawiaturę laptopa. Mimowolnie rozciął wokół siebie aurę nerwowego pośpiechu, wysokiego priorytetu oraz dobrej wody po goleniu. Wszyscy milczeli, lekko przyłoczeni. Po chwili jego telefon znów zadzwonił. Kolejna rozmowa, podobna do poprzedniej, trwała krótko, ale zaraz po niej mężczyzna sam zadzwonił do kogoś.

— Dobra, Hans, pośrednik twierdzi, że ją ma — mówił, nie przestając klawiszować. — Jest w dobrym stanie, młoda. Opchniemy ją na Zachodzie. Jak tak dalej pójdzie, to będzie dobry początek. Przygotuję grunt, zostaw to mnie.

— A teraz efekt Dopplera — odezwał się nagle Gilbert.

Wszyscy, włącznie z biznesmenem, spojrzeli na niego. Z zewnątrz dobiegł dzwonek ostrzegawczy przejazdu. Gdy wagon minął przejazd, dźwięk dzwonka obniżył ton i zaczął cichnąć ¹.

— To znaczy, że jedziemy idealnie zgodnie z rozkładem — stwierdził Gilbert i wskazał ekran laptopa. — Tak samo jak tutaj.

— Gdyby to był Shinkansen ² albo TGV ³, to już byśmy wysiadali — odparł Felix.

— Dzięki temu, że pociąg się wlecze, Polska wydaje się znacznie większym krajem.

— Zaczekaj moment. — Biznesmen odsunął telefon od ucha i zasłonił mikrofon. — Kochani, przepraszam was bardzo, ale ja pracuję. Zachowujcie się trochę ciszej, OK?

Wszyscy zamilkli, a biznesmen wrócił do rozmowy. Gilbert nachylił się i zaczął rozwiązywać but.

— Przykro mi, ale muszę — wyjaśnił przepaszającym tonem, wcisnął palcem kilka dziurek na sznurówki i przyłożył trampek do ucha. — To rozmowa międzynarodowa. Halo?

Chwilę słuchał, przytakując. Wzbudziło to nawet pewne zainteresowanie biznesmena, który miał już trudności ze skupieniem się na swojej rozmowie.

— Tak, Henry, trzy tony skarpet — wygłosił oficjalnym tonem Gilbert do wnętrza buta. — Podtrzymuję zamówienie. Skarpety do trampek, tak. Najlepiej z porannego uboju. Kupuj, tylko żeby miały certyfikat obunożności. Kolor jak zwykle makrelowy, podwójne łożyskowanie i szerokopasmowy abonament na schody ruchome. Do tego miesięczna gwarancja perforacyjna bez limitu przebiegu i wyjście ewakuacyjne od strony małego palca. Nie od pięty, jak ostatnio – ludzie się gubili. Jak dobrze to zregramy, to pchniemy do Laponii kilkaset ton tych największych rozmiarów. Na ludzi nie wejda, ale tam jest dużo reniferów. Ach, na Kubie jesteś? A ja ci tu o zimnie... Wybacz i pamiętaj, przywieź kilka cygar.

Rozłączył się, to znaczy wepchnął język buta do środka.

— Co to miało być? — Biznesmen był na równi wzburzony, co zdziwiony. Schował telefon do kieszeni. — Żartujesz sobie ze mnie?

— Wprost przeciwnie. W pełni się z panem solidaryzuję, jeśli chodzi o nich. — Wskazał resztę gimnazjalistów. — Ludzie nierozmawiający w pociągu przez telefon to dziś prawdziwa plaga.

Mężczyzna schował laptop, wstał i zdjął z półki większą z eleganckich walizek.

— Wystarczy tego — oświadczył. — Nie mam czasu, żeby was uczyć kultury, ale ktoś was z pewnością kiedyś nauczy.

Wyszedł, a gimnazjaliści zareagowali wybuchem śmiechu. Jeżeli nawet to usłyszał, to nie wrócił, żeby ich skarcić.

Pociąg nieco przyspieszył, jechał teraz przez las.

— Jak myślicie, czym on handluje? — zapytała Nika.

— Sądzisz, że Zosią? — Gilbert kończył wiązać but.

— Ciebie naprawdę nie interesuje, co się z nią dzieje? — Nika próbowała się powstrzymać przed uniesieniem głosu.

— Prawdopodobieństwo, że do naszego przedziału wsiadł –

— Nie mówię, że on, ale może ktoś inny.

— Może jest po prostu chora — wtrącił Wiktor. — Gdyby naprawdę zaginęła, to zainteresowaliby się tym jej rodzice.

— Może się zainteresowali — powiedział Felix — tylko my o tym nie wiemy. Bez telefonów tego nie sprawdzimy.

— Zadzwonimy ze stacji, jak dojedziemy.

* * *

Drzwi otworzyły się cicho i do środka wniknął, tak to trzeba nazwać, szczupły mężczyzna w skórzanej kurtce ze ściągaczami. Rzucił niewyraźne „dzień dobry” i już siedział, a drzwi były znów zamknięte. Nowy podróżny wyjął wygniecione piśmko sportowe i zaczął czytać. Wszyscy mieli dziwne wrażenie, że on siedzi tu od dawna. Drugą ręką, niespodziewanie zwinnym ruchem, sięgnął po coś do kieszeni, wsunął do ust i znów czytał. Ani nie żuł, ani nie przełykał, tylko wodził wzrokiem po linijkach tekstu.

Felix i Nika po przygodach z nieuczciwym taksówkarzem z Okęcia zaczęli traktować skórzaną kurtkę ze ściągaczami jako sygnał ostrzegawczy. Mężczyzna miał ostre rysy twarzy i rzadkie włosy zaczesane do tyłu. Poruszał się lekko nerwowo w sposób, który Felixowi skojarzył się z kimś, kto robi ciągle uniki. Albo z jakimś nerwowym gryzoniem. Gdyby w kogoś rzucać piłeczkami pingpongowymi, to zachowywałby się mniej więcej w taki sposób. Obecność mężczyzny, któremu Felix w myślach nadał miano „Typka”, była niepokojąca. Jego ruchy były nieprzewidywalne, co dodatkowo wprawiało wszystkich w konsternację. Typek podnosił na przykład rękę, by podrapać się w ucho, i każdy, kto zobaczyłby ten ruch, pomyślałby, że Typek za chwilę rzeczywiście podrapie się w ucho. A on tymczasem sięgał do kieszeni. I przecież nic złego nie robił i nawet trudno byłoby wskazać czy nazwać, na czym polega problem. A jednak wszyscy w przedziale odczuwali osobliwy niepokój.

— Winny braku Neta odpowie za te wszystkie niegodziwości, które nas spotykają — orzekł Gilbert.

— Tym razem Eftep naprawdę przesadził — zgodziła się Nika. — Przedtem uważałam go za zwykłego gamonia, a teraz już go nie cierpię.

— Z nauczycielami nie wygrasz — powiedział Wiktor. — Trzeba to przełknąć, myśląc o spokojnych wakacjach.

— Pobyczymy się w pensjonacie przetrwania — rozmarzył się Oskar. — Śniadanie w południe, leniuchowanie do obiadu, obiad, leniuchowanie

do kolacji, kolacja...

Typek tym samym płynnym i niemal niezauważalnym ruchem wyjął telefon, który wcale nie dzwonił, i odebrał połączenie.

— Jestem już w pociągu — powiedział przyciszonym, lekko skrzeczącym głosem. — Będę o umówionej porze. Nie skop tego, to zgarniemy tysiaka, nie mniej. Za mniej to niech sobie szukają dalej. Nawet jasnowidz im nie pomoże. — Zaśmiał się skrzekliwie i zakaszłał. — Jest tak schowana, że i pies policyjny jej nie wywacha. Chcą ją mieć, muszą zapłacić tysiaka. Potem się zabawimy. Szampan i kawior. Tylko nie skop tego.

Nawijał w tym stylu przez kilka minut. Nika słuchała uważnie, co mężczyzna mówi, i była coraz bledsza. Chłopcy nie wykazywali zainteresowania treścią rozmowy, byli tylko coraz bardziej znudzeni skrzekliwym monologiem. Wreszcie Gilbert odłożył laptop i zaczął rozsznurowywać trampki. Oskar uśmiechnął się, za to Nika spojrzała na niego z niepokojem.

Gilbert, doskonale parodiując ruchy Typka, podniósł but, wystukał na dziurkach numer i przyłożył go do ucha.

— Henry — powiedział do trampka. — To znowu ja. Jest klient na te skarpety, o których rozmawialiśmy. Tylko z ceny trzeba będzie spuścić, bo tak od nich jedzie, że zbiegną się psy policyjne z sąsiednich miast.

Gimnazjaliści tłumili chichot. Tylko Nika nie była rozbawiona. Zerkła z obawą na zajętego rozmową Typka.

— Istnieje podejrzenie, że to są skarpety używane — ciągnął Gilbert. — Co mówisz? Żeby wyprać? Doskonały pomysł. Jak wypierzemy, to nawet jasnowidz się nie domyśli, że ktoś w nich chodził.

Typek skończył rozmowę, schował telefon i zamarł, widząc Gilberta z trampkiem przy uchu.

— Nieźle się zabawimy. — Gilbert nie zamierzał przerywać. — Piwo i chipsy. Tylko nie skop tego, bo ja już nie mam forsy nawet na bilety na Biebera.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się olśnienie. Spojrzał po chichoczących gimnazjalistach.

— Ze mnie się śmiejecie? — zapytał, po czym powtórzył głośniejszym głosem — ze mnie te żarciki, gnojki?!

— Nic podobnego — zapewniła go szybko Nika. — Kolega jest trochę...

Typek zerwał się z miejsca. Chłopcy przestali się śmiać.

— Myślicie sobie, że można tak żartować z Grublera. To źle myślicie!
— Machnął ręką w przesadnym geście zabraniającym. — Przyjechaliście nie wiadomo skąd i chcecie pomiatać ludźmi?!

— Henry, mógłbyś powtórzyć? — Gilbert przycisnął mocniej trampek do ucha, a drugie zatkał palcem. — W ogóle ciebie nie słyszę.

Nika prześlizgnęła się pod ramieniem Typka i wymknęła na korytarz. Felix zaczął się rozglądać za czymś do obrony, gdyby okazało się to konieczne.

— Nie wiecie, kim ja jestem — kontynuował tymczasem Typek.
— Jestem Grubler!

— Henry, chyba muszę kończyć. — Gilbert sprawiał wrażenie kogoś, kogo sytuacja nie dotyczy. — Mamy tu erupcję godności podróźnej. Nic nie słyszę.

— Zaraz wam pokażę. — Walnął pięścią w drzwi przedziału.

Nikomu nie było już do śmiechu. Typek wyglądał naprawdę groźnie. Gdy wydawało się, że zaraz wszyscy dowiedzą się, co zamierza im pokazać, w otwartych drzwiach przedziału pojawił się pan Borkowski.

— A ty co tu...?! — zdążył krzyknąć Typek, nim potężna siła wyciągnęła go z przedziału i powlokła korytarzem.

Nika wróciła na swoje miejsce.

— Dzięki — westchnął Oskar.

— Podziękuj CyBorkowi — odparła zła, po czym dodała, patrząc na Gilberta — nie możesz się czasem powstrzymać?

— Powstrzymuję się. — Gilbert nie był ani odrobinę poruszony.
— Nawet nie wiesz, co by się działo, gdybym się nie powstrzymywał.

Chwilę później pociąg zaczął zwalniać i wreszcie zatrzymał się w szczerym polu. Trzasnęły drzwi i pociąg znów ruszył. Stojący w trawie Typek machając, wygrażał za oddalającymi się wagonami.

— Następnym razem pomyśl, zanim coś zrobisz — dodała Nika.

— Zły człowiek opuścił pociąg. — Gilbert spokojnie wiązał but. — Zły człowiek poniósł karę. Wszystko gra.

— Typek ma problem — stwierdził Felix. — Albo się tak zachowuje, bo ma rzeczywiście złe zamiary... Widziałem program o kieszonkowcach, też się tak nietypowo zachowywali, żeby potencjalne ofiary ich nie zauważyły. Trik psychologiczny. Albo —

— On raczej rzucał się w oczy — wtrącił Wiktor.

— No wiesz, kamuflaż zebry słabo działa na przykład... na basenie publicznym. Każdy zauważy pływającą w basenie zebkę. A zebra, nawet jeśli wie o swojej zebrowatości, nie potrafi jej się pozbyć. Gorzej, jeśli Typek jest po prostu „specyficzny” i tak się zachowuje, bo to od niego silniejsze. Albo ma taki tik raperski. Nie robił nigdy nic złego, tylko zachowuje się tak, jakby robił. I się wkurza, że wszyscy traktują go jak kieszonkowca.

— To dopiero pech — przyznał Oskar. — I gdziekolwiek próbuje jechać pociągiem, wysadzają go po kilku kilometrach.

— Po paru razach już naprawdę zaczyna nienawidzić ludzi — przyznał Wiktor — co tylko pogłębia problem.

— Bo wysadzają go jeszcze wcześniej.

— Więc reaguje agresywnie, jeszcze zanim go wysadzą — podsumował Felix.

— Czy wy w ogóle nie zwróciliście uwagi na to, o czym on mówił przez telefon?! — wybuchnęła Nika. — Mówił o porwaniu, przetrzymywaniu i wymianie za okup.

— Niekoniecznie. — Felix sięgnął przez Oskara po gazetę pozostawioną przez Typka i zaczął ją przeglądać. — Gdyby rzeczywiście kogoś porwał, byłby bardziej dyskretny.

— Zachowywał się jak *freak*. Może dyskrecja jest ponad jego siły. — Nika zamilkła, po czym dodała ciszej — zadzwońmy ze stacji, wszystko się wyjaśni.

* * *

Po godzinie pociąg zaczął zwalniać.

— Co, to już? — Oskar zerwał się z zamiarem ściągania bagaży.

— Jeszcze dwadzieścia minut — odparł spokojnie Gilbert. — Siadaj i nie wprowadzaj tu niepotrzebnej dywergencji ⁴.

Oskar posłusznie usiadł.

— Ale pamiętajcie, że już teraz rezerwuję sobie łóżko pod oknem — dodał. — Lubię czytać w łóżku.

— Jak wysiądziesz z pociągu za wcześnie, to ci nie pomoże — wtrącił Wiktor znad pisma ekonomicznego.

Pociąg z piskiem hamulców zatrzymał się na małej stacyjce. Nika wstała i otworzyła okno, wpuszczając do przedziału ciepły letni wiaterek.

Wyjrzała na zewnątrz. Stacja wyglądała na zupełnie opuszczoną. Wokół małego budynku dworca rosły dziesięciometrowe brzozy. Dalej ciągnęły się pofalowane pola i dopiero gdzieś na horyzoncie zza łagodnych pagórków wylaniało się kilka dachów chałup. Nie było tu ani żywej duszy.

— Stacja jak z horroru — ocenił Oskar. — Dobrze, że nie ma pól kukurydzy, bo bym się zaczął bać.

— Ciekawe, ile kosztuje zatrzymanie pociągu i ponowne rozpędzenie — zastanowił się Felix. — Pewnie co najmniej stówkę.

— No to musiałyby tu wsiąść z dziesięć osób, żeby to się zwróciło — zauważył Wiktor.

— Ja mam nadzieję, że tu nikt nie wsiądzie. — Oskar wyjął kolejną kanapkę i zaczął ją jeść.

Nika kątem oka zobaczyła ruch. Wysoka postać w niepasującym do pogody czarnym płaszczu zniknęła właśnie w drzwiach wagonu.

— Nie chcę cię martwić — powiedziała — ale właśnie ktoś wsiadł.

— Dziwne — odezwał się Gilbert. — Mój pociąg nie ma tej stacji w rozkładzie. Przejechał ją bez zwalniania.

— Strasz mnie jeszcze — parsknął Oskar.

Drzwi przedziału otworzyły się, aż podmuch wydał zasłonki. Spomiędzy falującego materiału wyłoniły się czarne powiewające zwoje innej tkaniny, a zza niej... zakonnica.

— Niech będzie pochwalony — powiedziała.

Wszyscy byli zbyt zaskoczeni, by cokolwiek odpowiedzieć. Siostra, trzydziestoletnia, całkiem wysoka, całkiem ładna i jak się można było zorientować, wysportowana kobieta, bez większego trudu włożyła walizkę na półkę i usiadła. Oskar mimowolnie i minimalnie się odsunął. Zakonnica uśmiechnęła się do niego, co wcale go nie uspokoiło, po czym wyjęła z małej torebki równie małą czarną książeczkę i otworzyła na stronie zaznaczonej czarną wstążeczką.

Pociąg płynnie ruszył. Nadal nikt się nie odzywał, wszyscy chyłkiem zerkali na nowo przybyłą.

Po chwili podniosła wzrok znad książeczki i popatrzyła na gimnazjalistów.

— Czujcie się zupełnie swobodnie — powiedziała. — Ja nie gryzę.

Z tej samej torebki wyjęła pióro wieczne, odkręciła skuwkę. Zaczęła zapisywać coś maczkiem w notesie. Bo to był notes, a nie książeczka.

Gilbert nachylił się i zaczął rozwiązywać trampek.

— Powstrzymaj się tym razem — poprosiła Nika.
— Czyżby problemy natury higienicznej? — zainteresowała się siostra.
— Raczej psychicznej. — Dziewczyna uśmiechnęła się do zakonnicy.
— Ewentualnie niedojrzałość odbiorców — Gilbert zawiązał but.
Siostra zamknęła notes i spojrzała na Nikę.
— Nie myślałaś kiedyś o wstąpieniu do zakonu? — zapytała. Oskar zakrztusił się kanapką. Zakonnica poklepała go po plecach, nie odrywając wzroku od Niki. — Wydajesz się dobrą dziewczyną.
— Piętnaście minut — powiedział Gilbert. — Bądźmy silni wiarą w punktualność PKP.
— Dziękuję, ale mam inne plany życiowe — odpowiedziała uprzejmie Nika.
— Doprawdy? — Kobieta uśmiechnęła się tak, że dziewczyna aż poczuła ciarki na plecach. — Jakie plany?
— Skończę gimnazjum, pójdę do liceum. Potem pewnie na jakieś studia, jeszcze pomyślę. Jest wiele... możliwości.
— Wiele możliwości, wiele dylematów, wiele pokus i wiele teoretycznie możliwych katastrof, które czekają na końcu każdej z obranych nierozważnie dróg. Niedawno wstąpiła do nas dziewczyna niewiele starsza od ciebie. Odnalazła spokój.
— Wiekuisty? — podsunął Gilbert.
— Jak wyglądała? — zapytała ostrożnie Nika.
— Dla Boga wygląd nie ma znaczenia. Być może przekonają cię argumenty bardziej materialne. To nic złego, po roku w klasztorze zapomnisz o marności dóbr doczesnych. Dla mnie też na początku miało to znaczenie, więc powiem. Zapewniamy pełną opiekę zdrowotną i emeryturę. Nie musiałybyś się więcej martwić o swoją przyszłość.
— Dziękuję, ale jednak nie — odpowiedziała uprzejmie Nika.
— Nie musisz się od razu deklarować. Cierpimy na brak powołań, dopuszczamy kilkuletni okres próbny. To czas na decyzję.
— Skąd wiesz, że nie chcesz włożyć palca w ogień, skoro nigdy nie próbowałaś? — powiedział sam do siebie Gilbert.
Drzwi przedziału rozsunęły się gwałtownie.
— Czy tu się odbywa nabór? — zapytał groźnie CyBorek.
— Wyrzuci mnie pan przemocą? — odpowiedziała ironicznym pytaniem zakonnica.
— Wyjdzie siostra dobrowolnie. Połowa miejsc w pociągu jest wolna.

— Mam bilet właśnie na to miejsce.

— Wobec tego odpowiedź na poprzednie pytanie siostry będzie twierdząca.

Siostra przestała się uśmiechać. Wstała, wzięła walizkę i wyszła. Nauczyciel odprowadził ją wzrokiem, aż usłyszał odsuwane drzwi między wagonami. Spojrzał na uczniów i uśmiechnął się szeroko.

— Za kwadrans dojeżdżamy. Przygotujcie się do przygody, która zmieni wasze życie. Trochę entuzjazmu.

Zasunął drzwi.

— Czy nie to samo proponowała ta zakonnica? — podsunął Gilbert. Pochylił się gwałtownie do ekranu. — A niech to! I po Ursusie ⁵.

— To symulator pociągu czy konfliktu nuklearnego? — zapytał Felix.

— Walnąłem w traktor na przejeździe. Lokomotywa się wykołysała, nasz wagon leży na boku. Masakra.

— Kto jest producentem tej gry? — zapytał ostrożnie Wiktor.

— Nie, to tylko mod ⁶ katastroficzny. Ściągnąłem go ze strony softforschizols.com. Producent gry kilka razy tłumaczył się, że nie ma z tym nic wspólnego. Zainstalowałem i zapomniałem, a teraz patrzę, że opcja „pijany traktorzysta” jest *defaultowo* włączona. Uhuu! Programista miał fantazję. Za pięć zeta jest do dokupienia mod moda „pijana traktorzystka”, a za kolejne piętnaście traktorzystka może być —

— Powiedz lepiej, ile jeszcze czasu zostało — przerwał mu Wiktor. — Jestem bardzo ciekawy, jak CyBorek chce zmienić nasze życie.

Przez zamknięte okno dał się słyszeć zbliżający się dzwonek ostrzegawczy przejazdu.

— O, to właśnie ten przejazd — rzucił Gilbert i klikał zapamiętałe. — Włączę jeszcze „spłoszone krowy”, „rosyjski czołg” i „deszcz meteorytów”. Przez dziesięć minut wiele się może wydarzyć.

— Patrzcie! — Nika wskazała okno.

Wszyscy rzucili się, aby wyjrzeć, licząc co najmniej na deszcz meteorytów lub chociaż meteorów ⁷. Nie było deszczu. Wąską drogą od przejazdu oddalał się traktor.

* * *

Peron był o połowę za niski i nierówny. W wielu miejscach z pęknięć starego asfaltu wyrastała trawa i żółte kwiatki, bynajmniej niedodające sta-

cji uroku. Budynek po drugiej stronie torów pamiętał czasy przedwojenne. Niegdyś był zapewne ładny, teraz znajdował się w opłakanym stanie. Ostatni remont odbył się tam przed drugą wojną światową.

Było całkiem słonecznie, choć niebo zasnuwała ledwo widoczna podejrzana mgiełka. Zakonnica przeszła przez tory i zniknęła w budynku stacji.

— Pociąg zatrzymał się na poprzedniej stacji, żeby wsiadła zakonnica — cicho odezwała się Nika.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ona uratowała tego traktorzystę? — Felix otarł pot z czoła i oparł się o wysuwaną rączkę kontenera Bulbota. — Po pierwsze to pociąg nie zatrzymuje się na żądanie, więc i tak by się zatrzymał, a po drugie symulator pociągu to odwzorowanie rzeczywistości, a nie odwrotnie.

Lucjan rozejrzał się i zamierzał przejść przez tory w miejscu, gdzie perony po obu stronach torowiska obniżają się najpewniej właśnie w tym celu. CyBorek zatrzymał go ręką i wskazał zardzewiałą tabliczkę „Zakaz przechodzenia”.

— Jest zakaz przechodzenia przez tory. Drużyna, górą!

Ruszył w stronę kładki nad torami, a reszta grupy powlokła się za nim. Kładka, podobnie jak budynek dworca, zdradzała czasy minionej świetności.

— Zaczął mówić do nas „drużyno” — stwierdził cicho Felix. — To źle rokuje.

— Musimy tam włączyć? — zapytał Oskar. — Następny pociąg będzie tędy przejeżdżał za kilka godzin.

— Będzie przejeżdżał ten sam — dodał Felix. — W drodze powrotnej. Dalej jest jeszcze jedna stacja.

— Przechodzenie przez tory jest zabronione, bo jest niebezpieczne — odparł nauczyciel. Wziął od Zuzanny walizkę i zatrzymał się, znów zaskoczony jej lekkością. — Nie zapomniałaś czegoś zabrać?

— O cholera, zapomniałam szamponu. — Plastikarka przyłożyła dłoń do ust. — Specjalnie postawiłam go w lodówce, żeby o nim pamiętać.

— Szampon w lodówce? — CyBorek potrząsnął walizką. Coś tam się przewalało, ale waga wskazywała na to, że walizka jest niemal pusta. — Chyba nie tylko szamponu zapomniałaś.

— Pakowałam się w pośpiechu. — Machnęła ręką. — Mogłam zapomnieć jeszcze kilku rzeczy. Artysta nie żyje materialną materią.

CyBorek zważył w dłoni walizkę i oddał ją Zuzannie.

Gdy grupa zaczęła wchodzić na schody, cała konstrukcja kładki odpowiedziała ostrzegawczym popiskiwaniami starych nitów.

— Bezpieczniej jest już chyba przechodzenie przez tory — mruknął Felix.

Nika zaciskała zęby i garbiła się pod ciężarem kontenerka. Idący tuż za nimi Wiktor przejął od niej rączkę i aż stęknął.

— Co ty ze sobą zabrałeś?

— Takie tam — odparł z trudem Felix. — Najpotrzebniejsze rzeczy.

Wgramolili się po chwiejnych schodach na samą górę. Dalej nie dało się iść. Kładka nad torami nie miała bowiem podłogi. Zostały same wiszące w powietrzu barierki.

— Szklana podłoga — stwierdził Gilbert. — Ależ wypucowali.

— Ta tabliczka o zakazie przechodzenia — odezwał się Wiktor — to chyba dotyczyła właśnie kładki.

— Teraz wszyscy wolno się odwracają — zarządził nauczyciel — i wolno schodzą. Nie tupać.

Schody zatrzeszczały ponownie. Stojący na dole Gerald zbiegł po dwa stopnie na sam dół, wprawiając całą konstrukcję w wibracje i bujanie.

— Mówiłem – powoli! — warknął CyBorek.

Reszta grupy zeszła powolutku i ostrożnie. Gdy byli już na dole, wuefista ze złością obrócił tabliczkę tak, by ostrzegała przed wejściem na kładkę. Tabliczka z upiornym piskiem przekręciła się na poprzednią pozycję.

— A co tam! — Nauczyciel rozejrzał się i przeszedł przez tory. — Naturalna selekcja idiotów zawsze się przyda.

Nika zerknęła znacząco na Felixa i wskazała głową poczekalnię.

— Telefon — powiedziała.

Chciała przejąć od lekko już zmęczonego Wiktora uchwyt kontenera, ale chłopak nie pozwolił.

— Poćwiczę trochę — wyjaśnił. — Chodźcie do tego telefonu.

Skręcili w stronę poczekalni. Dołączył do nich Oskar, który pociągnął za rękaw Gilberta, by też poszedł z nimi. Reszta grupy podążyła za CyBorkiem, który okrążał budynek. Obok niego dreptała Zuzanna, wymachując pustą walizką.

Po pchnięciu spróchniałych niemal na wylot drzwi znaleźli się w ciemnej i pachnącej pleśnią poczekalni. Ze ścian odłaziła farba, a w jedynym okienku kasowym wywieszono tabliczkę „Zaraz wracam”. Z tabliczki zwisały się pajęczyny kurzu. Na wprost okienka stała ławka dla podróżnych,

w całości zajęta przez drzemiącego żula. Obok... obok wisiał telefon. Był to bardzo stary automat na monety. Nika podeszła, podniosła słuchawkę, wytarła ją chusteczką i przyłożyła do ucha.

— Jest sygnał. — Wrzuciła monetę. — Jaki jest do nich numer?

— Nie znam go. — Gilbert wzruszył ramionami. — Zawsze dzwoniłem na jej komórkę, a ona i tak nie odpowiada.

Nika z rezygnacją odwiesiła słuchawkę. Automat z brzękiem zwrócił monetę. Żul na ławce zachrapał głośniej i przewrócił się na drugi bok. Dziewczyna podeszła do niego na mniej więcej metr, gdzie zatrzymał ją odór przetrawionego alkoholu.

— Zwykle sprawdzam, czy taki ktoś nie potrzebuje pomocy — odezwał się Felix — ale to na pewno nie jest ten przypadek.

— Potrzebuje pomocy — dodał Wiktor — ale nie naszej.

— Nie zgrzytaj przypadkiem zębami — ostrzegł Gilbert. — W jego przypadku wystarczy jedna iskra.

Zapach i wygląd leżącego nie pozostawiał wątpliwości, że nie jest to spóźniony podróżny, który zasnął.

Wyszli drzwiami z przeciwnej strony budynku na coś, co przy odrobinie dobrej woli można by nazwać parkingiem. Parkingiem gruntowym dla ścisłości, otoczonym krzakami i chaotycznie rosnącymi drzewami, zza których wystawały odległe o sto metrów domy. Na parkingu stała tylko ciemnozielona ciężarówka terenowa i kilka raczej starych samochodów, z których żaden nie wyglądał nawet na taksówkę. Autobusu nie było nigdzie widać.

— Net nas oszukał — odezwała się Klaudia. — To nie był przedział pospieszny. Wszyscy przyjechaliśmy o tej samej porze.

— Miej pretensję do Kolei — rzucił Felix.

— Drużyna druga „a”, do wozu! — zarządził gromkim głosem CyBorek.

— Gdzie? — zapytał Oskar.

— Jak? — uzupełnił Wiktor.

Nauczyciel nie odpowiedział. Szedł już w stronę ciężarówki. Co bystrzejsi gimnazjaliści w tym momencie po raz pierwszy pomyśleli, że być może ich wizja lenienia się przez tydzień w sympatycznym pensjonacie zostanie szybko zweryfikowana. Ciemnozielona ciężarówka terenowa była w rzeczywistości wojskowym Jelczem. Z kabiny wysiadł żołnierz w mundurze polowym i podał rękę CyBorkowi, po czym obaj wykonali misia

oklepywacza. Teraz już nawet nieco mniej bystrzy gimnazjaliści poczuli ukłucie niepokoju.

— Mamy tym jechać? — zapytała z niedowierzaniem Aurelia.

— Nie zmieścimy się wszyscy do kabiny — przyznała Klaudia.

— Wsiada się od tyłu — wyjaśnił wuefista, otwierając jednocześnie drzwi kabiny i wyciągając rękę, by pomóc tam się wdrapać Zuzannie.

Gimnazjaliści obeszlą ciężarówkę. Tylna część plandeki była zrolowana i spięta na górze, a burta opuszczona. Na jej wewnętrznej powierzchni przymocowano drabinkę. Na końcu ciemnej ładowni, czyli przy samej szoferce, leżały całkiem spore pakunki, również w kolorze ciemnozielonym. Do bocznych burt przykręcono długie drewniane ławy z drewnianymi oparciami.

— Na co czekacie? — Wuefista stanął obok. — Wskakujcie. A ty załadujesz wszystkie bagaże. — Wskazał Geralda.

— Co? — Chłopak był wyraźnie zaskoczony. — Jak to?

— Na kładce powiedziałem wyraźnie, że wszyscy mają wolno zejść. Ty zbiegłeś.

— Bo ta kładka wyglądała, jakby się miała zaraz zawalić.

— Dlatego kazałem zejść wolno. Naraziłeś całą drużynę. Ładuj.

Tym razem cała klasa, może z wyjątkiem Klaudii, zgadzała się z nauczycielem.

— Regulamin szkoły nie pozwala panu na to — zaprotestował Gerald.

— Rozejrzyj się. Widzisz tu gdzieś regulamin szkoły? Jeszcze chwila i będziesz biegł za samochodem. A to ponad piętnaście kilometrów.

Gimnazjaliści zaczęli wsiadać, a Gerald wkładać bagaże.

— Delikatnie — pouczył go pan Borkowski. — Nie pomagaj mu — dodał, widząc Felixa sięgającego po kontener.

— Pogniecie mi... koszule. — Felix chwycił kontener i wciągnął na podłogę.

Gerald czerwony na twarzy i zdyszany wgramolił się wreszcie i usiadł na końcu ławki.

— Powiem o wszystkim mamie — mruknął pod nosem.

Nauczyciel zatrzasnął za nim burte.

— Mocno się trzymajcie — polecił. — Będzie trzęsło.

Odszedł i wsiadł do szoferki.

— Mam złe przeczucia — powiedziała cicho Nika.

— Szkoła oszczędza nawet na transporcie — przyznał Wiktor.

— Mówię o Zosi — zaprzeczyła. — Nie wiem co, ale coś się stało.
— W pensjonacie będzie telefon albo internet — uspokoił ją Felix. —
Powiemy Netowi, żeby przeprowadził śledztwo.

* * *

Podróż ciężarówką trwała dwadzieścia minut i zgodnie z zapowiedzią CyBorka niemal przez cały czas trzęsło. Mniej więcej w połowie drogi Klaudia i Aurelia przestały narzekać. Uwierzyły wreszcie, że to niczego nie zmieni.

— Jak tylko dojedziemy — zapowiedziała Aurelia — kładę się do wyrka i nie wstaję nawet na kolację.

Przez szczeliny pod łopoczącą plandeką niewiele było widać. Mogli więc tylko obserwować kłęby kurzu wzbijanego przez koła na szutrowej drodze wijącej się między łagodnymi pagórkami, porośniętymi na przemian trawą bądź lasem.

Wreszcie Jelcz przejechał przez gęstszy kawałek lasu, wspiął się na trawiasty pagórek, z którego roztaczał się piękny widok na jezioro, i zatrzymał w lekkim przechyle. Silnik ucichł, a CyBorek obszedł samochód i otworzył burzę.

— Drużyna, z wozu! — zakomenderował i zajął się wdychaniem świeżego powietrza.

— Może przynajmniej odpoczniemy — stwierdził Felix. — Pensjonat w zupełnej dziczy. — Zeskoczył na trawę, zrobił kilka kroków, rozejrzał się i stanął zdezorientowany. — Brak pensjonatu w kompletnej dziczy.

— Nie ma kompletnej dziczy? — Oskar gramolił się po drabince.

— Nie ma pensjonatu.

— I nie będzie youtubeparty — dodał Gilbert.

Felix pomógł zejść Nice. Dziewczyna odeszła kawałek od ciężarówki i westchnęła. Rzuciła na trawę plecak. Kolejni gimnazjaliści wysiadali, rozglądali się i stawali z wyrazem niezrozumienia na twarzy.

— Zgubiliśmy się? — zapytał z nadzieją w głosie Oskar.

— Nie. — CyBorek radośnie pokręcił głową.

— W połowie drogi zepsuła się ciężarówka?

— Nie. Jesteśmy na miejscu.

Stali na łagodnym zboczu opadającym w ukryte za szuwarami niewielkie jezioro, które z pewnością nie było Czerwoną Hańczą. Dwadzieścia

metrów za nimi zaczynał się las. Z lewej strony szuwary rozstępowały się, tworząc małą plażę, dalej las dochodził do wody. Po drugiej stronie jeziora rozciągał się już tylko las. W zasięgu wzroku nie było za to żadnego budynku, nawet nędznej szopy. Po lewej, pod samym lasem, obok drogi, szemrał strumyk. To szemranie było całkiem donośne, co sugerowało kamieniste ujście.

— Drużyna! — ryknął wuefista, aż wszyscy przygarbili się, zaskoczeni.
— W szeeeeeeeeegu zbiórka!

Odpowiedzią były zdziwione spojrzenia uczniów. Nikt się nie ruszył.

— Nie umiecie stanąć w szeregu? — CyBorek rozłożył ręce. — Liczę do pięciu. Kto się nie ustawi, robi dwadzieścia pompek. Raz...

— Ja stoję w szeregu — oświadczył stojący sam z boku Gilbert. — To jest szereg na miarę moich możliwości. Jednoosobowy.

— Dwa...

Podszedł do niego Oskar i Wiktor. Stanęli w jednej linii.

— Trzy...

Aurelia i Klaudia stanęły obok Lucjana, a Celina stworzyła krótki szereg z Klemensem. Felix ani Nika nie ruszyli się z miejsc.

— Cztery... Ludzie, ustawcie się w jednym szeregu na wprost mnie! Ruchy, ruchy!

Dopiero to poskutkowało i po półminutowej przepychance na wprost nauczyciela utworzył się krzywy szereg. Tylko Gilbert zamiast w nim stanąć, położył się. A dokładniej zaczął robić pompki. Z pewnym trudem, ale zrobił dwadzieścia. Wstał lekko zasapany, za to szczęśliwy. CyBorek zmierzył go wzrokiem.

— Albo się dostosujesz, albo będzie źle — powiedział. — Daję ci czas do jutra. — Po czym dodał głośniejszym głosem do wszystkich — to obóz przetrwania, nie niedzielna szkółka dla mięczaków. Będziemy tutaj przez tydzień zdani sami na siebie. Nauczę was, jak przetrwać w głuszy, jak zdobyć pożywienie i jak zbudować schronienie na noc. Wymagam dyscypliny i pracy zespołowej. Opuśćcie ten obóz odmienieni. Czy są jakieś pytania?

— Kiedy będą rozstawione te namioty? — zapytała Klaudia.

— Zadaj to pytanie koleżance, a koleżanka niech zada je tobie. — Nauczyciel wskazał kciukiem zniżające się nad horyzontem słońce. — Za dnia robi się to łatwiej.

— Za dnia łatwiej się pyta? — Klaudia wzruszyła ramionami i zapytała Aurelię — kiedy będą rozstawione namioty? Teraz ty.

— My sami je mamy rozstawić, kretynko. — Aurelia rzuciła na trawę torebkę. — Jutro rano wracam do Warszawy.

— Druuuuzyna! — zawołał znów CyBorek. — Rozładować ciężarówkę.

Nikt nie wykazywał wielkiego entuzjazmu do pracy fizycznej. Jednak Felix, Lucjan i Wiktor wskoczyli na ciężarówkę i zaczęli przesuwać ciężkie worki i skrzynie w stronę burty. Pozostali zdejmowali je na ziemię. Nie wszyscy – Aurelia rozmawiała z Klaudią, Gerald stwierdził, że się zmęczył ładowaniem plecaków na stacji, a Lambert od pięciu minut zawiązywał but.

Dopiero teraz rozczochrana Zuzanna wygramoliła się z szoferki.

— Zdrzemnęłam się, wybaczcie. — Przeciągnęła się i ziewnęła. — Powietrze tu jest przesycone świeżością letniego popołudnia i musiałam, po prostu musiałam odpłynąć choć na kilka chwil w objęcia Morfeusza. — Zamrugła i rozejrzała się. — Gdzie my jesteśmy?

— U celu, Zuzanno. — CyBorek miał zamiar ją objąć, ale w porę się powstrzymał i zamienił ten gest w przeczesanie włosów, które nie wymagały przeczesania, bo miały długość centymetra.

Gimnazjaliści w poczuciu dobrze wykonanego zadania, czyli rozładowania ciężarówki, czekali, co dalej nastąpi, rozglądali się, rozmawiali. Felix rozłożył płótno jednego namiotu, potem maszty, wysypał z woreczka śledzie i szpilki. Cofnął się o dwa kroki i próbował ogarnąć, jak to zmontować w całość. Instrukcji nie było.

— Co za absurdalna konstrukcja — stwierdził. — Szttywne metalowe rury zamiast kompozytów, do tego jakieś płótno... balastowe. Taki namiot musi ważyć ze dwieście kilo.

— To stary namiot wojskowy na dziesięć osób — odezwał się Wiktor. — Zabytek. Kiedyś mieszkałem w czymś takim na obozie. Przeciekało przy każdym deszczu.

— To może wiesz, jak to rozstawić?

— Stały tam rozstawione chyba od pierwszej wojny światowej.

Felix zaczął na próbę wtykać w siebie maszty, rozplątywać linki, liczyć śledzie.

— Do rozstawienia tego zabytku będą potrzebne ze cztery osoby — stwierdził.

— To nie wygląda jak coś, w czym da się mieszkać — zauważyła Nika. — Co mam robić?

— Na początek rozplącz te linki. Ja spróbuję dojść do ładu z masztami. Lucek, Oskar, rozwińcie tę płachtę.

Wywołani podeszli do zwoju zielonego materiału. Wydawali się nawet zadowoleni, że coś konkretnego wreszcie się dzieje.

— Złap z tej strony. — Lucjan podał Aurelii róg materiału.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i odparła z dumą:

— Rozstawianie namiotów to męskie zajęcie.

— Ja przyjechałam do pensjonatu — dodała Klaudia, po czym obie odeszły kilka kroków.

Felix rozejrzał się, trzymając kompas w dłoni.

— Po co ci kompas do rozstawiania namiotu? — zapytał Lucjan. — Chcesz mieć wejście w kierunku Mekki?

— Nie. Chcę go ustawić tak, żeby rano stał w cieniu drzew. Gdzieś... tam. — Wskazał miejsce odległe o dziesięć metrów. — Drugi stanie obok, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, a przed nimi, w sensownej odległości, zrobimy ognisko. Najlepiej tam. — Wskazał leżący w trawie pień drzewa.

— Dlaczego to właściwie ty decydujesz? — zapytał siedzący na trawie Gerald.

— Bo tylko on wie, jak to robić — odpowiedział za Felixa Lucjan. — Zamknij się, jak nie pomagasz.

— Może zaczekamy na niego? — Oskar wskazał kciukiem CyBorka, rozmawiającego z kierowcą ciężarówki.

— Zróbmy to sami — odparł Felix. — Ja też marzę o położeniu się do łóżka.

W pięcioro, bo dołączył do nich Wiktor, przenieśli stelaż i materiał na wskazane miejsce.

— Kto wymyślił, żeby tu rozbić namiot? — zapytał CyBorek, pojawiając się nieoczekiwanie obok. Oskar natychmiast wskazał Felixa. Nauczyciel uśmiechnął się. — I doskonale. Najlepsze miejsce. Byłeś skautem, że tak się znasz na rozstawianiu namiotów?

— W życiu nie rozstawiałem takiego namiotu — odparł Felix. — Ale to logiczne, że nie może stać na zboczu, bo wszyscy będą spadać z łóżek, ani w dołku, bo będzie kałuża, ani na pagórku, bo może go trafić piorun, ani pod pochyłym drzewem —

— Świetnie — przerwał mu CyBorek. — Od teraz jesteś oboźnym.

— Że kim? — Felixowi wydawało się, że nie dosłyszał.

— Oboźnym. Oboźny to taki ktoś, kto ogarnia sprawy obozu. Rozstawiajcie dalej.

Lucjan popatrzył na Felixa z rozbawieniem.

— Oboźny, leśny woźny — powiedział.

— Wiedziałem, że lepiej się nie wychylać — dodał Oskar. — Lepiej siedzieć i czekać, co się wydarzy. Jak tamci. — Wskazał głową resztę gimnazjalistów, którzy sprawiali wrażenie rozbitków czekających na ratunek.

— Oboźny — mruknął pod nosem Felix. — Kto wymyślił tak idiotycznie brzmiące słowo?

Po kilku próbach zmontowali maszty tak, że przestały przypominać rzeźbę abstrakcyjną. Ciężarówka odjechała i od tej chwili cała grupa była już naprawdę zdana na siebie. Pod kierownictwem Felixa rozwinęli materiał i po krótkiej naradzie ustalili, gdzie jest przód, gdzie tył, a gdzie góra. Ustalili też, że potrzeba będzie kilku osób, żeby unieść taki ciężar i naciągnąć go na maszty. Chwycili materiał, zamachnęli się nim i z rozpędem narzucili na metalowe rurki. Zatrzeszczało, szczęknięło i cała konstrukcja złożyła się, przykrywając połowę ekipy budowlanej. Aurelia, Klaudia i Lambert zaśmiewali się, z odległości obserwując ich wysiłki niczym dobrą komedię. Oskar jako ostatni wygramolił się spod płótna, otrzepał z trawy i powiedział cicho do pozostałych budowniczych:

— A gdyby tak rozstawić tylko jeden namiot i zająć wszystkie miejsca? Po zmroku nie byłoby im już tak wesoło.

— Dobrze gadasz — zgodził się Lucjan.

— Skwasimy atmosferę — zaprzeczyła Nika — i wycieczka zamieni się w koszmar.

— Dla nich ten koszmar będzie zdecydowanie większy.

— Postawmy na razie ten namiot — zaproponował Felix.

Kwadrans później udało się doprowadzić do stanu sprzed katastrofy — maszty stały i czekały na kolejne etapy.

— Za mało nas do tego — ocenił Felix.

— Może jednak pomożecie. — Wiktor skierował to pytanie do Aurelii i Klaudii, które wciąż obserwowały ich poczynania. To była jedyna dostępna tu rozrywka.

— Jesteście mężczyznomi, czy nie? — zapytała kpiąco Aurelia i rozrzuciła włosy. — Co za miejsce... Dobrze, że nie ma komarów...

— Za kilka minut będą — mruknął Felix.

Reszta grupy tkwiła dalej obok śladów ciężarówki. Prośenie o pomoc Geralda lub Lamberta było skazane na niepowodzenie, a pomoc w montażu namiotu Klemensa, Horacego albo Kuby, nawet mimo ich dobrych chęci, bardziej by przeszkadzała. Trzeba więc było sobie jakoś radzić. W tym samym składzie, wzbogaconym po chwili o Gilberta, który dojechał akurat swoim wirtualnym pociągiem do końca trasy, ponowili próbę. Tym razem poszło szybciej, a Felix od razu dla pewności zaczął naciągać linki i wbijać śledzie. Wreszcie namiot stanął o własnych siłach. Lekko zwichrowany, chwiały się, ale stał. Kolejnych kilkanaście minut zajęło im ponaciąganie linek.

CyBorek zagonił część grupy do segregowania zapasów żywności ze skrzyń, po czym musiał się zająć Zuzanną, która właśnie sto metrów dalej odgrywała atak hysterii. Wymachiwała pustą walizką i wykrzykiwała coś, co zapewne było czarną poezją. Do miejsca, gdzie powstawał obóz, docierały jedynie strzępki słów, z których nie dawało się wyczytać nic poza zawartymi w nich negatywnymi emocjami.

Felix obserwował nauczycieli, potem spojrział na słońce.

— Jakies półtorej godziny do zachodu — ocenił, po czym przypomniał sobie o swoim superzegarku. Wcisnął kilka przycisków i powiedział — dokładnie godzina i dwadzieścia trzy minuty. Wiatr raczej będzie wiał wzdłuż linii lasu... — Przeszedł dziesięć kroków i wbił w ziemię patyk. — Tu będzie ognisko. Trzeba wyrwać trawę dookoła.

— Naprawdę wygląda, jakbyś się na tym znał — uśmiechnęła się Nika.

— Nie znam się — zaprzeczył Felix. — Nigdy nie byłem na żadnym obozie. Ale wystarczy znajomość fizyki, żeby wiedzieć, że wokół ogniska trzeba usunąć trawę i suche zielsko, bo inaczej się zapalą.

— Jeśli postawimy namioty na czynnym wulkanie, to więcej się do ciebie nie odezwę — ostrzegł Gilbert.

— Nie możemy wszystkiego robić sami — ocenił Felix. — Nie zdążymy przed zmrokiem. Samo rozstawianie drugiego namiotu zajmie z godzinę. A trzeba jeszcze zrobić kilka rzeczy. Na przykład latrynę.

— Latrynę? — zapytał Oskar, po czym rozejrzał się w popłochu. — Rany, tu nie ma kibli!

Felix wziął ze sterty gratów saperkę, toporek, kilka gwoździ i deskę.

— Naostrzysz dwa paliki, wbijesz w ziemię, na górze przybijesz do nich deskę, a za nią wykopiesz spory dołek.

— Poważnie mam...? — Oskar stał bezradnie z siekierą i saperką.

— Tak, poważnie. Tylko zmontuj całość tak, żeby nie było widać z obozu.

Oskar powlókł się do lasu. Felix ogarnął wzrokiem rozłożony sprzęt i zapasy.

— Nie ma kuchenki gazowej — stwierdził. — Trzeba będzie gotować na ognisku. Czyli potrzebujemy więcej drewna.

— Oskar wziął jedyną siekierę — przypomniał Lucjan.

— Nie trzeba ścinać drzew. Nawet byłoby to... niewskazane. Pozbieramy tylko suche gałęzie z ziemi. Zajmijcie się tym. — Skinął na Wiktora i Gilberta.

Odłożył na bok duży kocioł. Popatrzył na worek ziemniaków, na konserwy i na kocioł.

— Najpierw ziemniaki — podpowiedziała Nika. — Jak się ugotują, odlejemy wodę, wrzucimy zawartość konserw i podgrzejemy. A kiedy się będą gotować, zmontujemy drugi namiot.

— Brzmi sensownie.

— Szkoda, że nie ma z nami żadnego harcerza — powiedział Wiktor. — On by wiedział, jak to wszystko zrobić poprawnie.

— Zagońmy tych nierobów do pracy — szepnął Felix, po czym dodał głośniejszym głosem w stronę Aurelii i Klaudii — trzeba obrać pięć kilo ziemniaków.

— Jestem kobietą, więc mam obierać ziemniaki? — parsknęła Aurelia. — To stereotypowe i obraźliwe, nie sądzisz?

— Wolisz przynieść z lasu drewno?

— W takich sytuacjach zawsze faceci idą po drewno. Jeśli są prawdziwymi facetami, oczywiście.

— Coś mi się wydaje, że CyBorek mianował cię na specja od czarnej roboty — zauważyła Nika.

Felix wolno przytaknął.

— O rany... — westchnęła, patrząc w bok.

Sto metrów dalej CyBorek całował Zuzannę Zdrój w sposób, w jaki Clark Gable całował Vivien Leigh na planie filmu *Przeminęło z wiatrem*. Plastyczka upuściła walizkę i filmowo zgięła jedną nogę w kolanie. Oskar uniósł dłonie, by zacząć klaskać. Nika w porę go powstrzymała.

— Przynajmniej przestała gadać — podsumował Gilbert.

— Idźcie wreszcie po to drewno — ponaglił ich Felix.

Reszta grupy nie zauważyła całego wydarzenia. Rozmawiali, leżeli albo snuli się wokoło, w oczekiwaniu na pojawienie się kogoś, kto powie im, co

mają robić, a najlepiej zrobi to za nich.

Felix podniósł kociołek. Był ciężki, osmalony potężnie od używania nad ogniskiem. Przede wszystkim jednak był koszmarnie brudny.

— Może te ziemniaki to upieczemy w popiele — zaproponował.

— To zajmie kilka godzin — powiedziała Nika. — Daj, wyszoruję go. Wy przynieście to drewno.

— Wciąż chodzi mi po głowie mała secesja — powiedział Oskar. — Przyniesiemy tyle drewna, ile potrzebujemy i obierzemy tyle ziemniaków, ile zjemy w sześć osób.

— Zły pomysł. — Nika wzięła kociołek. — Tylko zepsulibyśmy sobie cały wyjazd.

— On już jest zepsuty — wtrącił Oskar. — Ugryzł mnie komar.

— Idźcie wreszcie — ponaglił ich Felix, a sam zajął się studiowaniem kształtu płótna, które trzeba było nałożyć na drugi namiot. — We trójkę nie damy rady — powiedział do Lucjana. — Mógłbyś na nią jakoś wpłynąć? — głową wskazał Aurelię.

— Nie da rady. — Lucjan pokręcił głową. — Jedziemy na wakacje za kasę jej ojca. A do tego zaczęła czytać jakieś babskie pismo, z którego się dowiedziała, że jest wyjątkowa, że ma czerpać garściami z życia, że jej się należy, albo jakoś tak. No, ogólnie słabo jest ostatnio.

Gołymi rękoma, trochę pomagając sobie scyzorykami, oczyścili z roślin obszar o promieniu kilkunastu metrów.

Wrócili Gilbert z Wiktozem. Zapas drewna, który przytargali, w najlepszym razie mógł wystarczyć do rozpalenia ogniska, ale na pewno nie do jego podtrzymania przez całą noc, nie wspominając o ugotowaniu ziemniaków.

— „Pulpety w sosie pulpetowym” — przeczytał ze słoika Wiktor. — Kreatywni są ci wojskowi specje od żywienia. Masło pewnie nazywa się „Maślane”.

Nika wróciła z kociołkiem i rękoma pokrytymi smugami sadzy aż po łokcie. Kociołek był tylko trochę czystszy.

— Kopciuszek w swoim żywiole — rzuciła Aurelia.

Nika zignorowała uwagę.

— Piaskiem i liśćmi nie da się umyć za dobrze — powiedziała do Felixa. — Ale nikt się nie otruje. Za to nie czuję pleców. Rozmasu...? A, nie! Co ja... Masz jakiś nóż do obierania?

— Nie będziesz obierać ziemniaków — zapewnił ją Felix.

Podszedł do najbardziej zagubionej części grupy i coś im tłumaczył. Chwilę później wokół kociołka siedzieli po turecku Klemens, Horacy i Kuba, a Celina pokazywała im, jak obierać ziemniaki, żeby po obraniu cokolwiek zostało.

— Celina podobała — powiedział Lucjan i położył się na trawie. — Ja już się dziś narobiłem. Do niczego więcej się nie dotykam. Obudźcie mnie na obiad. Kolację.

— Musimy jeszcze skończyć z namiotami — przypomniał Felix. — To robota dla kilku rozgarniętych ludzi.

Położenie akcentu na słowo „rozgarniętych” przyniosło oczekiwany skutek – Lucjan wstał. Stanęli przed pierwszym zmontowanym namiotem, który na oko sprawiał stabilne wrażenie, ale pierwsze potrącenie linki zwerfikowało to. Gdyby najbliżej stojący nie złapali pozostałych linek, namiot zwyczajnie by się złożył. Dopiero teraz ponaciągali wszystko naprawdę solidnie. CyBorek przychodził co kilka minut i doglądał postępów prac. Jednak bardziej zajmowała go Zuzanna, która teraz dla odmiany w euforii krążyła nad brzegiem jeziora.

Felix spojrzął na zegarek – zmontowanie pierwszego namiotu zajęło im ponad godzinę, a słońce powoli chowało się za drzewami. Pod kierownictwem Felixa poskładali maszty i próbowali narzucić płótno, ale drugi namiot nie był zmontowany nawet w połowie.

— Ponawiam pomysł secesji — powiedział Oskar.

— Mamy zasoby, opanowaną technikę i ludzi — poparł go Wiktor. — Nieroby niech śpią pod chmurką.

— Będzie kwas. — Nika pokręciła głową. — Zmontujmy im ten namiot do końca z poczuciem wyższości moralnej. — Rozejrzała się i odechnęła głęboko. — Pomijając towarzystwo, jest pięknie. Nie psujmy tego.

* * *

Do zmroku udało się ustawić wewnątrz namiotów łóżka wraz z obozową, minimalistyczną pościelą i stworzyć podstawowe elementy infrastruktury obozu. CyBorek sprawnie rozstawił mniejszy namiot, w którym umieścił swoje łóżko i zamykaną na kłódkę mniejszą skrzynię. Zuzanna miała spać w namiocie dziewczyn. Było już niemal całkiem ciemno, gdy ziemniaki się ugotowały, a Nika i Celina odlały wodę i wrzuciły do kociołka zawartość kilku słoików z pulpetami w sosie pulpetowym. Wtedy

pojawił się problem, jak to zjeść. W skrzyni, stojącej obok ogniska, znajdowało się kilkanaście poobijanych misek aluminiowych i skrzynka z nadrdzewiałymi sztuczkami ze stali nierdzewnej.

— Miski i sztuczki każdy musi umyć sobie sam — zarządził Felix, coraz lepiej wczuwając się w rolę zarządzającego obozem.

Gilbert spojrział na Aurelię, trzymającą aluminiową miskę w dwóch palcach.

— Będziesz musiała dotknąć przyrody — ostrzegł. — Szczepiłaś się na jad komarów?

Aurelia cisnęła miską o ziemię i wykrzyknęła pod adresem Lucjana:

— Prawdziwy mężczyzna nie pozwoliłby swojej kobiecie chodzić po nocy do jeziora.

— Prawdziwa kobieta nie pozwoliłaby swojemu mężczyźnie zmywać — odpalił Lucjan.

Aurelia zacisnęła usta i odeszła w noc.

— Chyba przegiąłeś — ocenił Oskar.

— Chyba to ona przegiąła — odparł Lucjan. — Ostatnio wciąż mnie poucza, co prawdziwy facet powinien robić, a czego nie powinien. Deska opuszczona, lodówka zamknięta, sufit odkurzony, spodnie w rurkę, opakowania po chipsach do kosza, nie za kanapę. Nie, stary... — Lucjan pokręcił głową. — Ja nie przeginam, ja pasuję. Trzeba mieć jakiś honor. Najwyżej spędzę wakacje na podwórku przed blokiem.

Nie minęło pół minuty, a Aurelia wróciła wściekła i wzięła miskę, żeby ją umyć. W końcu wszyscy siedzieli na zwojach brezentu wokół ogniska i konsumowali prowizoryczne danie z własnoręcznie umytych misek. Ta pozorna jedność nie wynikała jednak z powszechnego zadowolenia i zgody.

Jedynymi szczęśliwymi osobami tak naprawdę byli nauczyciele. Zuzanna wzdychała, patrzyła w rozgwieżdżone niebo, opierając głowę o ramię CyBorka. On uśmiechał się i delikatnie odsuwał jej głowę, żeby nie bulwersować uczniów. Uczniowie nie byli zbulwersowani, a na pewno nie tym, lecz raczej warunkami lokalowymi w pensjonacie pod chmurką. Połowa grupy siedziała jak Napoleon na Wyspie Świętej Heleny, czyli jak na wygnaniu. Druga część, do której zaliczali się Felix i Nika, starała się cieszyć chwilą. Był ciepły gwiazdzisty wieczór. Niebo na zachodzie dogasało granatem. Płonące ognisko nadawało twarzom pierwotny, czysty wyraz. Celina siedziała przyklepiona do Klemensa, Klaudia trzymała się blisko Lamberta, gotowa krzyknąć „Broń mnie!”, gdyby pojawił się nietoperz

albo coś gorszego. Za to Aurelia siedziała dokładnie po przeciwnej niż Lucjan stronie ogniska. Nika odruchowo przysunęła się do Felixa i od razu odskoczyła jak oparzona.

— *Sorry* — mruknęła.

— Nie, luz. — Felix nawet nie zauważył, co się stało. — Zastanawiam się nad sprawą Zosi — powiedział ciszej. — To rzeczywiście nie wygląda normalnie. Musimy się jakoś porozumieć z Netem, żeby sprawdził, co się tylko da, zanim tu przyjedzie. Zauważyłaś, gdzie CyBorek schował telefony?

Nika pokręciła przecząco głową.

— Kuba i Horacy siedzieli z nim w przedziale — szepnął Gilbert, który najwyraźniej słyszał ostatnie zdanie. Jutro go zapytamy.

— Dziś — odparł Felix. — W nocy będzie najlepszy moment, żeby się dostać do telefonów. Wiecie co... — zastanowił się. — Niezupełnie. Słyszeliście jakiś dzwonek telefonu albo sygnał SMS-a, odkąd tu jesteśmy? No właśnie. Tych telefonów tu nie ma. Odjechały ciężarówką. To lekka przesada.

— A twój superzegarek? — zapytała Nika. — Czy ten nowy też ma tę funkcję...?

— Tak, ma. — Felix sprawdził godzinę. Było kilka minut po dziesiątej. — Ale to nie jest sytuacja, która usprawiedliwiłaby jego użycie.

— O czym wy mówicie? — Oskar przysunął się bliżej.

Felix zawahał się, ale uznał, że to nie jest wielka tajemnica.

— Jeśli stłucze się szybko — powiedział — mój tata, a dokładniej Wydział Bezpieczeństwa Instytutu Badań Nadzwyczajnych, odbierze sygnał alarmowy. To nie takie proste, bo zegarek jest bardzo wytrzymały. Zresztą to naprawdę nie jest TA sytuacja. Mamy podejrzenia niepoparte niczym poza przecuciem.

— Mówicie o sprawie Zosi? — Wiktor przysunął się bliżej. — Jakieś nowe pomysły?

— Zastanawiamy się, jak porozumieć się z Netem — odparł Felix.

— W tej sytuacji — odezwał się Gilbert — możemy użyć tylko znaków dymnych. Nie, za daleko — pokręcił głową — odwołuję pomysł. Użyjmy łączy satelitarnych.

— Może złap sowę — podsunął Oskar. — Tu w lesie jakieś powinny być.

CyBorek wstał i odstawił pustą miskę. Odchrząknął głośno.

— Jutro rano czeka was wiele atrakcji — oświadczył. — I oczywiście będą to atrakcje w duchu współpracy i jednocześnie współzawodnictwa. Podzielcie się teraz na dwie drużyny. Drużynowi to Felix i Lucjan. Wstańcie i dobierzcie sobie ludzi.

Nika, Oskar, Wiktor i Gilbert od razu stanęli przy Felixie. Lucjan spojrział na to i z rezygnacją opuścił ręce.

— A nie możemy być w jednej drużynie z Felixem? — zapytał. — Oczywiście ja byłbym drużynowym.

— A ja z chęcią się zrzeknę drużynowania — dodał Felix.

— Już postanowione — CyBorek uciął dyskusję.

— Ja z tobą nie będę — oświadczyła Aurelia i stanęła obok Felixa. — I śpisz w drugim namiocie.

— Oczywiście, że w drugim — przytaknął CyBorek. — Jeden namiot jest męski, drugi żeński. Nie ma wymienianek. Uzupełnijcie składy drużyn.

— Nie możesz tak sobie przystępować do drużyny — zaprotestowała Nika. — To drużynowy wybiera skład.

— To niech mnie wyrzuci. Z nim — wskazała Lucjana — nie będę.

Celina wstała i pociągnęła Klemensa, który z trudem się podniósł.

— To my też z Felixem.

— Zostało jedno miejsce — powiedział CyBorek. — Drużyny mają mieć po tyle samo osób.

Celina spojrzała na Aurelię, ale szanse na to, że zmieni zdanie, były zerowe. Pociągnęła więc za sobą Klemensa i stanęli obok Lucjana. Klaudia chciała być z Lambertem, a Kuba i Horacy po prostu wstali i okazało się, że stoją bliżej Lucjana niż Felixa. Został Gerald. Policzył oba składy i w milczeniu podszedł do drużyny Felixowej.

— Doskonale — ocenił nauczyciel. — Wybierzcie dla siebie nazwy.

— Teraz? — zapytał Lucjan.

— Banalna nazwa, ale to wasza decyzja. — CyBorek uśmiechnął się nieco złośliwie i spojrział na Felixa. — A wy?

— Nic nie mów — ostrzegła go Nika — bo będziemy mieć taką nazwę.

— Dobra, mamy obie nazwy.

— Nie wymyśliliśmy jeszcze — zaprzeczyła Nika.

— Wymyśliliście — „Nic nie mów”.

— Śmieszne jak skórka od banana na schodach — mruknął Oskar.

— Pora spać. — Wuefista spojrział na zegarek. — Cisza nocna za kwadrans. Pierwszą wartę ma drużyna „Teraz”.

— Że jak? — zapytał Lucjan. — Wartę?

— Warta jest konieczna. Trzeba pilnować, żeby nie zgasł ogień albo żeby się nie rozprzestrzenił i żeby nikt nie zakradł się do obozu.

— A kto tu się może zakraść? — Lucjan rozłożył ramiona i rozejrzał się. — Zające?

— Albo wilki — podsunął Gilbert.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Celina i Klaudia przysunęły się do swoich chłopaków. Aurelia chyba pożałowała w tym momencie, że się obraziła na Lucjana.

— Wilki nie atakują ludzi — uspokoił je nauczyciel. — Wybierzcie pierwszą wartę.

— Poważnie nie atakują? — zapytała Klaudia.

— Poważnie. Nie wolno im. Leśniczy zabronił i sprawdza, czy rzeczywiście się powstrzymują.

— Mogę wylosować? — zapytał Felix.

— Drużynowy musi podejmować trudne decyzje i umieć przekonać podkomendnych, że decyzja była właściwa.

Lucjan wskazał Horacego.

— OK, ty pierwszy. To jest właściwa decyzja.

Horacy bez słowa sprzeciwu podszedł do ogniska i rozpoczął służbę od wrzucenia do niego grubej gałęzi.

— O północy zmieni cię ktoś z drużyny „Nic nie mów” — wyjaśnił CyBorek. — A potem kolejne zmiany co trzy godziny.

Felix popatrzył po podkomendnych. Spojrzenie Niki, wbite w Aurelię, wyraźnie sugerowało mu, kogo powinien wybrać.

— Kiedy ja wcale nie chciałem być drużynowym — westchnął Felix.

— Lepszy drużynowy niż oboźny — podsunął Gilbert.

— OK. No to ja wezmę tę pierwszą wartę. Obudź mnie o północy — rzucił do Horacego i powlókł się do namiotu.

Aurelia z zaciętą miną przeszła do namiotu dziewczyn.

— Nie możemy zrobić jednego namiotu uczniów, a drugiego nauczycieli? — zapytała Zuzanna.

CyBorek tylko pokręcił głową.

Aurelia macała wewnętrzną stronę ściany namiotu.

— Gdzie się włącza światło?

Felix wyjął ze skrzyni diodową latarkę, włączył ją i podał dziewczynie. Ta pufnęła z niezadowoleniem, ale wzięła latarkę. Klaudia weszła za

nią, wyszła, znów weszła i znów wyszła.

— Nie mogę znaleźć łazienki — stwierdziła. — Nie ma ani toalety, ani prysznicza, ani nawet umywalki.

— Są tam, gdzie lądowisko dla helikopterów — wyjaśnił Gilbert.

— To znaczy gdzie?

— Pójdiesz tą ścieżką — Gilbert wskazał dłonią kierunek — po dwóch kilometrach skrećisz w lewo, a przy kapliczce pod uschniętym jesionem w prawo i po godzinnym marszu dotrzesz do szosy na Augustów. Tam złapiesz autostop i z litewskim tirowcem dojedziesz do Warszawy. A w Warszawie to już się dopytasz.

Klaudia zmierzyła go ponurym spojrzeniem i zniknęła wewnątrz namiotu.

— Ręczniki są tutaj. — CyBorek wskazał jeden z kilku worków, do których nikt jeszcze nie zajrzał. — A strumień jest tam, gdzie słychać.

— Strumień? — Klaudia wychyliła się z namiotu.

— Spodziewałaś się jacuzzi?

— No... tak było mówione. I jeszcze miał być aquapark.

— To znajdziesz je w miejscu, gdzie najbardziej szumi — wyjaśnił uprzejmie nauczyciel, po czym dodał głośniejszym głosem — najpierw dziewczyny. Dopiero jak wszystkie wrócą, idą chłopcy.

Dziewczyny, przyświecając sobie latarką, powlokły się nad strumień. Gdy kwadrans później wróciły zmarznięte, na straży siedział samotny Horacy.

1. Efekt Dopplera – zjawisko powstawania różnicy częstotliwości fali dla obserwatora poruszającego się względem jej źródła. Dobrym przykładem jest właśnie słyszany z jadącego pociągu sygnał przejazdu. Innym sposobem na doświadczenie tego zjawiska jest słuchanie klaksonu przejeżdżającego obok samochodu. Ta sama zasada obowiązuje w skali kosmicznej. Światło oddalających się galaktyk jest przesunęte ku czerwieni, gdyż pozorna długość fali świetlnej się wydłuża. [\[wróć\]](#)
2. Shinkansen – ultraszybki pociąg japoński. [\[wróć\]](#)
3. TGV – ultraszybki pociąg francuski. [\[wróć\]](#)
4. Dywergencja – wieloznaczne określenie dotyczące między innymi różnicowania się kultur. Gilbert użył go świadomie niepoprawnie. [\[wróć\]](#)
5. Ursus to również dzielnica Warszawy. Właśnie tam mieściła się fabryka traktorów Ursus. [\[wróć\]](#)
6. Mod – tutaj chodzi o modyfikację gry komputerowej w sposób niekoniecznie zgodny z zamierzeniami jej twórców. [\[wróć\]](#)
7. Czym się różni meteor od meteorytu? Sprawdźcie na Wikipedii. [\[wróć\]](#)



7. Nowe znajomości

Net wyszedł z Dworca Centralnego losowo wybranym tunelem, który wyprowadził go na zalany słońcem i tłumem park przed Pałacem Kultury. Ludzie ciągnęli nieprzerwanymi strumieniami w obie strony między nielicznymi budkami z hot dogami i kebabem. Nad drzewami dźwigi pracownicy pomagały budować kolejne wieżowce, gdzieś przelatywał helikopter, gdzieś spieszył się ambulans.

Net stanął z boku szerokiego chodnika i przyglądał się mijającym go dziesiątkom, ba, setkom ludzi. Felix powiedziałaby zapewne, że to wynik nieudolności urbanistów, którzy zaprojektowali stację metra po przeciwnym końcu parku niż główny dworzec kolejowy stolicy. Zapewne dodałby, że tutaj nigdy nie powstanie prawdziwy park, bo ludzie tylko tędy przechodzą w pośpiechu. Nika zauważyłaby, że dawne fontanny z oszczędności zasypiano teraz ziemią, aby udawały wielkie klomby, więc nie ma się gdzie ochłodzić.

Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić, w którą stronę pójść. Gdyby miał się uczyć do testu z informatyki, sprawa byłaby prosta – pojechałby do domu, otworzył podręcznik na losowej stronie i zaczął w coś grać albo oglądać głupie filmiki w internecie. Niestety nie miał się po co uczyć, bo wiedział o wiele więcej, niż było wymagane na teście. Prawdopodobnie Eftep nie potrafiłby nawet napisać testu, którego Net nie mógłby rozwiązać. Musiał w końcu przyznać, że nie wie, co ma ze sobą zrobić. Od pierwszych dni pierwszej klasy gimnazjum właściwie nie rozstawał się z Felixem i Niką. Większość czasu spędzali razem, większość przygód przeżywali razem, razem też rozwiązywali problemy z pozoru nierozwiązywalne.

Ledwo wyczuwalna wibracja ziemi pod stopami oznaczała, że tunelem przejeżdża pociąg. Może nawet był to pociąg, którym jechali jego przyjaciele.

To będą długie dwa dni.

* * *

Willa profesora Jastrzębskiego stała na dalekich przedmieściach wciąż rozrastającej się Warszawy. Gdy tutaj jechali, minęli kilka placów budów, wiele ogrodzonych działek porośniętych chwastami. Miejscami nieużytki czekały dopiero na przyszłych inwestorów. Kilka razy mylili drogę, a właściwie to droga myliła ich. GPS ustalał trasę przejazdu, a po pokonaniu kilku zakrętów dojeżdżali do szlabanu osiedla strzeżonego. Każdy chciał mieć łatwy dojazd do swojego domu, lecz nikt nie życzył sobie, żeby inni jeździli pod jego oknami. W efekcie powstał labirynt chaotycznych dróg, drózek i objazdów.

Net siedział z tyłu pomiędzy dwoma mamami, co niespecjalnie mu się podobało. Zresztą coraz mniej podobała mu się cała ta wyprawa. Na potrzeby tego wyjazdu tata Felixa zamontował foteliki bratosiostry za fotelami drugiego rzędu i to właśnie fotel Neta był tym, w którym trzeba było złożyć oparcie, żeby poprawić któremuś z bliźniaków czapkę albo wytrzeć nosek. Odkąd wyruszyli, poprawianie i wycieranie zdarzyło się już czterokrotnie.

Pierwotny plan zakładał podróż dwoma samochodami, ale oczywiście na grillu miało być wino i piwo, więc po krótkiej naradzie rodzice ustalili, że ścieśnią się w Land Roverze, dzięki czemu tylko jedno będzie musiało ograniczyć się do soku i wody. Teraz trwały narady, kto ma nim być.

Net słuchał tych rozmów, wpatrzony w drogę przed nimi i żałował, że nie wziął empetrójki.

Na grillu u wiceszefa Wydziału Nanotechnologii miało być kilku naukowców z Instytutu Badań Nadzwyczajnych wraz z dziećmi. Z tego co Net się zorientował z rozmów obu tatów, niestety z małymi dziećmi. Gdyby teraz miał ponownie podejmować decyzję, w ogóle by tu nie przyjeżdżał. Teraz, bo wcześniej perspektywa spędzenia samotnego wieczoru w domu wydawała mu się zbyt przygnębiająca.

Po trzeciej próbie tata Felixa zatrzymał się przed szlabanem i zabębnił palcami o kierownicę Land Rovera.

— W linii prostej do celu mamy siedemset metrów — powiedział.
— To będą trzy plastikowe szlabany i może ze dwa aluminiowe płyty.
W minutę byśmy byli.

— Ja bym pojechał — przytaknął tata Neta.

— Bo to nie twój samochód.

— Przecież to czołg. Zapłacę za myjnię.

— Chłopaki, dajcie spokój — powstrzymała ich mama Felixa. — Miał być miły grill.

Obaj tatowie spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się porozumiewawczo. Pan Polon zawrócił, by szukać kolejnej drogi. Znów mijali osiedla niskich domków, ściśniętych tak, że sąsiedzi z przeciwka mogliby wznosić toast, stukając się kieliszkami; mijali pola i rachityczne lasy. Po przejechaniu dziesięciu kilometrów GPS oznajmił wreszcie, że są u celu.

Willa była rozłożysta, parterowa z użytkowym poddaszem, ogród spory, zalesiony. To znaczy na razie rosła tu szkółka, która rokowała na las za jakieś dziesięć lat. Żwirowy podjazd był zapewne elegancki, ale zdecydowanie niepraktyczny, co wyszło na jaw, gdy obie mamy na wysokich obcasach wysiadły z samochodu. Trzymając się taty Neta oraz siebie nawzajem, chichocząc, dotarły do kamiennej części dziedzińca przed głównym wejściem. Tata Felixa zaparkował przy kilku innych samochodach, przy których czarny Land Rover wyglądał jak maszyna rolnicza.

W drzwiach przywitał ich sam gospodarz. Net widział go przelotnie podczas którejś z wizyt w Instytucie, ale nie potrafiłby powiedzieć o nim niczego ponad to, że jest wysokim chudym mężczyzną po czterdziestce z galopującą łysiną ¹. Po wymianie zwyczajowych grzeczności, których Net nawet nie zapamiętał, przeszli przez obszerny, urządzony nowocześnie hall do ogrodu, gdzie rozstawiono stoły, krzesła i rozwieszono niezapalone jeszcze lampiony. W centralnym miejscu dymił grill wielkości i kształtu małego parowozu.

Mama Neta ustawiła wózek z zamontowanymi fotelikami bratosiostry tak, by dym nie leciał na dzieci.

Net zerknął na telefon. Nadal żadnej wiadomości od Felixa i Niki. Mieli przecież przysłać SMS, kiedy dojadą. A najlepiej wysłać mailem zdjęcia z uwzględnieniem jego łóżka. Obiecali mu zarezerwować najlepsze. To nieuczciwe, że wszyscy byczą się teraz w luksusowym pensjonacie, a on musi... miała na oko siedemnaście lat i była bardzo ładna. Jej wejście przerwało spiralę Netowego uzalania się nad sobą. Brunetka, raczej szczupła,

raczej elegancka. Gdyby ją zapytać o hobby, zapewne powiedziała by coś o jeździe konnej i nauce jakiegoś egzotycznego języka. Posłała Netowi przelotny uśmiech i straciła zainteresowanie. Wszystko trwało ledwie chwilę, a Net już znał nawet numer jej buta. Trzydzieści siedem. Plus minus jeden. Mimochodem podążył za nią. Dziewczyna wyszła przez drugie drzwi ogrodowe, eleganckim ruchem wzięła ze stołu szklanę soku i podeszła do grupy nieznanym Netowi ludzi, którzy za to doskonale znali się między sobą. Odnajdywała się w tym towarzystwie doskonale.

W ogrodzie stało kilka mniejszych lub większych grup i jedyne, co sensownego mógł zrobić Net, to dołączyć to tej, w której było któreś z jego rodziców lub rodziców Felixa. Zgarnął z najbliższego stołu tartinkę z krewetkami, z drugiego szklanę (plastikową) soku i tak uzbrojony wolnym krokiem okrążył trawnik otoczony szkółką leśną. Czwórka rodziców dołączyła już do różnych grup, co dawało Netowi potencjalny wybór, do której dyskusji mógłby się włączyć lub chociaż której rozmowie się przysłuchiwać. Niestety wszystkie wydawały się nudne. Zresztą przyłączenie się wcale nie było takie proste, jak się wydawało. Nudy, nudy, nudy. Z boku bawiła się dwójka dzieci, pięcioletnia dziewczynka i najwyżej trzyletni chłopiec.

Zapalono lampiony, gdzieś spod ziemi rozbrzmiała cicha muzyka. Impreza dopiero się zaczynała, a Net miał już dość. Dziewczyna nie zwracała na niego najmniejszej uwagi i wyglądało na to, że przez resztę czasu będzie się snuł i podzerał przysmaki. I wtedy nastąpiło to, czego Net podświadomie się obawiał. Gdyby obawiał się tego świadomie, to z pewnością by tu nie przyjechał.

— Bielecki junior! — zawołała zdeka pulchna kobieta w czerwonej sukience. — Idealna kopia tatusia!

Net uśmiechnął się uprzejmie, choć miał wielką ochotę zapytać „Kim jesteś, babo?”. Kobieta jednak najwyraźniej go znała. Zaśmiała się głośno.

— No, no, naprawdę wykapany tatuś. — Poklepała go po ramionach, jakby chciała mu ułożyć lepiej bluzę i po ciocinemu uszczypnęła go w policzek. — Poznałeś już Kajtusia i Balbinę? — Chwyciła go pod łokieć i pociągnęła w stronę, jakżeby inaczej, bawiących się dzieci. — Na pewno się dogadacie. Pamiętaj, żeby nie dotykały grilla. No i nie mogą siedzieć ciągle przed telewizorem. O, przepraszam, następni goście.

— Że *what*? — zapytał Net, ale kobieta już była w hallu. Obejrzał się na dzieci i napotkał wgapione w siebie dwie pary oczu. — No to pięknie...

Mało atrakcyjna koncepcja snucia się i podjadania stała się właśnie nieaktualna.

— Co się robi z takimi małymi dziećmi? — zapytał w przestrzeń.

— Wystarczy ich pilnować.

Net odwrócił się. Za nim stała dziewczyna, ale nie ta, o której właśnie pomyślał. Ta też była brunetką, ale niższą i nie tak szczupłą. No i miała najwyżej czternaście lat.

— Z chęcią bym je związał albo wsadził do klatki — wyjaśnił odruchowo.

— Nie będzie z ciebie dobrego babysittera. — Uśmiechnęła się. Jak się lepiej zastanowić, nie była wcale brzydka. Może nawet wprost przeciwnie...

— Babysitter powinien chyba wysiadywać dzieci. No i powinien być kobietą. Nie chcesz może przejąć...? — Zachęcająco wskazał głową maluchy.

— Masz coś lepszego do roboty?

Net otworzył usta, żeby powiedzieć, że ma masę ciekawszych rzeczy do robienia, ale nic konkretnego nie przyszło mu do głowy.

— Pomogę ci — zaofiarowała się. — Jestem Justyna.

— Net. To super, bo ja nie znoszę dzieci. To znaczy znoszę tylko własne. Mam dwójkę.

— A całkiem młodo wyglądasz. — Justyna pokiwała głową.

— Idziesz do środka? — obok pojawiła się mama Neta z kieliszkiem czerwonego wina. — Właśnie miałam zabierać Pompka i Prumcię z ogrodu, żeby się nie przeziębili.

Net pokiwał głową, pogodzony z losem. Wziął wózek z drzemiącymi bobasami i pchając go przed sobą, podążył za Justyną.

— Trudno tu w ogóle trafić — powiedział, żeby zejść z tematu dzieci. — Wy też tak bładziliście po drodze? Labirynt. Jak można tu mieszkać? Nawet na rowerze nie da się przejechać na wprost.

— Tanio, cicho — odparła dziewczyna. Za płotem odezwał się młot pneumatyczny. — To znaczy, pewnie będzie cicho, jak się już wszyscy pobudują.

— Totalny wypierdziszew. A ogrodzony jak baza Royal Navy.

Dzieci znudziły się i zaczęły się rozłazić po ogrodzie. Justyna rzuciła się do łapania ich. Ledwo jednak przyprowadziła jedno, drugie już biegło w losowym kierunku.

— Szkoda, że nie ma obroży i smyczy dla dzieci — mruknął Net.

Zła kobieta, która wrobiła go w opiekę nad dziećmi, rozmawiała z kimś w drugim końcu ogrodu i śmiała się tak głośno, że mimo muzyki i rozmów doskonale było słycać aż tutaj.

— To jest żona tego całego Jastrzębskiego, prawda? — zastanowił się. — Jak to się dzieje, że inteligentny naukowiec wziął sobie za żonę taką głośną babę?

— Tata jest maniakiem technologii. — Justyna uśmiechnęła się. — Nie-specjalnie zwraca uwagę na ludzi. Coś mu się pewnie w mamie spodobało.

— Ups, więc to jest...? — Net przejechał dłonią po lekko spurpurowiałej twarzy. — *Sorry*.

— Nie, nic się nie stało. Sama też czasem się nad tym zastanawiam, jak oni się dopasowali.

— Ups... — Net zdał sobie sprawę jeszcze z czegoś. — To znaczy, że to jest twój dom...

— Nie da się ukryć.

— *Sorry*... Ale to nawet lepiej – znasz rozkład pomieszczeń. Możemy wejść do środka i znaleźć im zajęcie z dala od grilla. W środku jest mniej niebezpiecznych przedmiotów. Zawołają nas, jak się już zgrilluje to, co tam dymi?

— Mam nadzieję.

— A oni... one pójdą za nami? — Net nie miał pojęcia, jak się postępuje z dziećmi w tym wieku. Bratosiostra potrafili dopiero siadać.

Justyna wzięła dwa maluchy za ręce.

— Dla nich jesteśmy dorosłymi.

Dzieci, o dziwo, nie próbowały się wyrwać. Trzymając je dość zdecydowanie, Justyna skierowała się do hallu, a Net wypiął foteliki z wózka i ruszył za nią. Spojrzał jeszcze tylko na wciąż zajętą rozmową dziewczynę o numerze buta trzydzieści siedem.

— Podoba ci się? — Justyna zauważyła jego spojrzenie.

— A nie, tak tylko zerknąłem. — Net wykrzywił usta w grymasie mającym zbagatelizować okazane zainteresowanie. — Nic ciekawego. Jakaś taka zagipsowana na sztywno.

— Starszego rodzeństwa się nie wybiera.

— Ups...

— Już przestań. — Ze śmiechem klepnęła go w ramię, po czym szybko złapała Kajtusia, który próbował wykorzystać chwilę wolności do ucieczki.

— Dzieciaki zawsze wolą się bawić w pobliżu dorosłych. Tam jest więcej ciekawych i zwykle niebezpiecznych przedmiotów.

Hall płynnie przechodził w kameralnie oświetlony salon. Stół i wielkie kanapy stały w pomieszczeniu rozmiarów małej salki kinowej, na ścianie wisiał ogromny ekran telewizyjny. Net, który do tej pory był przekonany, że salon w jego domu jest duży, musiał zweryfikować to przekonanie.

— Tor gokartowy można by tu zrobić — powiedział i sięgnął po pilota.

— Tata zaplanował ten dom dla rodziny wielopokoleniowej — wyjaśniła Justyna. — Wystarczy w połowie dodać ścianę i będzie miejsce na cztery sypialnie z łazienkami i garderobami.

— Ma to przemyślane. Tylko czy ten dom z listewek i tektury to wytrzyma.

Net od razu skarcił się w myślach za te słowa. Nie interesował się przecież konstrukcją budynków. Taką uwagę mógłby wypowiedzieć Felix, nie on. Czyżby... czyżby rozstanie z przyjacielem stworzyło w jego umyśle kopię? Czy to pierwszy objaw rozdwojenia osobowości?

— To nie jest lekki szkielet kanadyjski ² — odparła dziewczyna. — To żelbetowa konstrukcja słupowa, jeśli coś ci to mówi.

— A, to spoko. — Net kiwnął głową, choć wcale nie był pewien, co to jest ta konstrukcja... jakaś tam. Felix by wiedział. — Włączmy bachorzątkom telewizję, będzie spokój.

Wcisnął przycisk na pilocie, a telewizor rozbłysnął wieczornym serwisem informacyjnym. Cały ekran wypełniał głęboki na kilkanaście metrów wykop wzdłuż ulicy. Wokoło pracowało kilkudziesięciu robotników i wiele ciężkich maszyn. Spiker w tle czytał monotonnym głosem:

— *Awaria magistrali wodociągowej w Centrum Warszawy okazała się poważniejsza, niż początkowo sądzono. Przerwa w dostawie wody dla części Woli i Śródmieścia może potrwać do poniedziałku. A teraz powracamy do sprawy porwanej nastolatki. W czwartek w godzinach wieczornych –*

Ekran zgasł, a Justyna odłożyła pilota na stół.

— Tata mówi, że sadzanie dzieci przed telewizorem to wychowywanie przyszłych bezmyślnych odbiorców płytkich treści. Możemy im poczytać książkę.

Net zastanowił się, po czym westchnął.

— Ups... To twoje młodsze rodzeństwo. Masz ich więcej?

— Tylko te dwa bachorzątki — zaśmiała się Justyna. — Przestań już upsać.

Net zauważył niespodziewanie, że ona całkiem ładnie się śmieje.

— Dżiew... ekhem — odchrząknął — znajoma nazywa mnie mistrzem ciętego *faux pas*. Czasem mi się coś wymyśli.

— Często ci się to zdarza. — Znów się zaśmiała. Odgarnęła włosy z czoła. — Chodźmy. Co im poczytamy?

— Poważnie chcesz im czytać?

— Jasne!

Korytarzem przeszli do kolejnego pomieszczenia, w którym panowała osobiwa cisza. Pod wpływem ruchu włączyły się lampki. Znajdowali się w dość dużej bibliotece, zajmującej całą szerokość domu – miała okna od frontu i od ogrodu. W przeciwieństwie do innych pomieszczeń, biblioteka była dwukondygnacyjna, jej sufit sięgał dwuspadowego dachu. Regały z książkami, te przy ścianach i te stojące na środku, wykorzystywały tę wysokość. Przez środek pokoju pod samym sufitem biegła wąska kładka z barierkami o drewnianych tralkach. Łączyła obie części poddasza. Na wyposażeniu biblioteki był wózek-drabina z szeroko rozstawionymi kołami. Jeden z wolno stojących regałów był krótszy, aby zmieściły się tam dwa białe i włochate fotele, które wyglądały, jakby ulepiono je z gigantycznych kulek plasteliny i obtoczono w puchu. Między nimi stał stolik i lampka, a na podłodze leżał kosmaty dywan i kolorowe poduszki. Biblioteka była urządzona absolutnie nowocześnie i w niczym nie przypominała tych, które Net widział wcześniej. Szczerze mówiąc, nie podobała mu się.

— Fa... ..ajna ta twoja biblioteka — powiedział. — Taka nowoczesna, inna.

— Mnie się nie podoba. Za nowoczesna.

— No... mpf... — Net uszczypnął się za karę w ucho. — Z każdą minutą jest coraz starsza. Ale jak tutaj cicho! Jak w krypcie.

Maluchy podbiegły do leżących na podłodze kolorowych książeczek i rozsiadły się na poduszkach. Na kilka minut były zneutralizowane. Dla pewności dobrze byłoby zamknąć drzwi... Net już miał to zaproponować, ale ugryzł się w język. Dość już dziś podpadł. Zaparkował wózek ze śpiącymi Pompkiem i Prumcią, odsunął się kilka metrów i na próbę cicho klaśnął. Odpowiedziała mu cisza.

— To cisza aktywna — wyjaśniła ponownie Justyna. — Mikrofony wyłapują dźwięki, a komputer przetwarza je w odwrotność. I w efekcie robi się cisza. Nie wiem, jak to dokładnie działa, ale działa.

— Mówisz o przeciwfazie. — Net zrobił mądrą minę. — Kiedy dwie fale są w przeciwfazie, to się wygaszają. Wiesz, górka i dołek się nawzajem likwidują. Interferencja destruktywna i takie tam.

— Łał...

— Się czytało...

— To teraz wybierzmy, co im poczytamy. — Justyna już przechadzała się między regałami. — Dlaczego przyjechałeś z rodzicami? — zapytała, nie odwracając wzroku od grzbietów książek. — Jest sobotni wieczór. Na pewno znalazłoby się wiele rozrywek.

— Wszyscy znajomi pojechali na wycieczkę na koniec roku. — Net podążał za dziewczyną, nawet nie zerkając na półki. — Obląłem test z informatyki. A dokładniej to nasz informatyk oblał mnie z testu. Poprawiam w poniedziałek.

— Nie powinieneś się teraz uczyć?

— Uczyć? — parsknął Net. — Znam cały materiał lepiej od niego. Dlatego mnie nie znosi. Wywalił mnie z klasy za pomaganie innym.

— U nas też wywalają za ściąganie.

— Nie, nie chodziło o ściąganie. Ja pomagałem z komputerem, bo kumplowi się ciął. Każdy dobry uczynek wraca bumerangiem...

— Ta będzie dobra. — Wyciągnęła grubą, starą książkę i zaczęła czytać.

* * *

Bratosiostra zaczęli się wiercić, co zapowiadało bliskie przebudzenie. Kajtuś i Balbinka ożywił się wyraźnie i już zamierzali przejść do innych aktywności. Net niby mimochodem podszedł i zamknął drzwi, by nie trzeba było ganiać ich po całym domu. Obok zauważył coś zdecydowanie ciekawego.

— A cóż to takiego? — Puknął we wmontowany w ścianę ekran dotykowy. Ekran ożył i wyświetlił kilka przycisków. — Sterowanie domem? Macie inteligentny dom?

— Tak. Już ci mówiłam, tata ma świra na punkcie nowych technologii. — Widać było, że Justyna nie podziela tego świra. — Konsola jest w każdym pokoju. Lepiej tego nie dotykać, bo to, wiesz, raczej skomplikowane. Kiedyś niechcący otworzyłam wszystkie okna podczas burzy. Chciałam je

zamknąć, ale pomyliły mi się przyciski. Teraz tylko włączam i wyłączam światło.

— A ja myślałem, że to my mamy inteligentny dom. — Net już klikał w przyciski. — Programuję sobie, kiedy mają się odsłonić żaluzje i przy jakiej temperaturze ma się włączyć klima. A tutaj...

— Naprawdę lepiej tego nie dotykać...

— Monitoring... — Net, jak to Net, nie zamierzał słuchać ostrzeżeń, zajęty nową zabawką. Wyświetlił plan domu z zaznaczonymi kamerami. Kliknął na jedną z ogrodowych. Na ekranie pojawili się goście robiący mniej więcej to samo, co przedtem. Gospodarz odwrócił mięso na grillu i odszedł razem z tatą Neta na bok. Rozmawiali. Net przełączył widok na bliższą kamerę. — O, jest i audio. — Podkreślił dźwięk. — Mam nadzieję, że nie mówią o niczym, co jest *top top top secret*.

— Nie powinniśmy — zaoponowała bez przekonania Justyna. Nie zrobiła jednak nic, by w tym przeszkodzić.

— ... *tak czysto teoretycznie* — to mówił tata Neta — *gdybyśmy mieli jej szukać, to co byśmy mieli do zaproponowania poza algorytmami rozpoznawania twarzy, wyszukiwania słów i fraz kluczowych w korespondencji elektronicznej? Cóż z tego, że można śledzić na przykład Tweetera, skoro algorytmy nie nadążają za zmianami slangu? Zapis korespondencji nawet nie będzie mógł być dowodem w sądzie, bo zanim dojdzie do procesu, zmieni się język. I każdy się wyprze. Powie, że to, co napisał, znaczyło co innego.*

— *Myślałem o metodach bardziej klasycznych* — odparł profesor Jastrzębski. — *A dokładniej klasycznych w mało klasycznym wydaniu. Przechwytywanie dużych obszarów przez chmurę mikrobotów.*

— *Minirobotów ³, chciałeś powiedzieć?*

— *Nie, mamy już nowe, mniejsze. Tamte miały średnicę centymetra, te mają niewiele ponad milimetr. Działają tak samo, lepiej wręcz. Tylko obawiam się dekonspiracji.*

— *Chyba jednak jest to top top top secret* — mruknął Net.

— *Czekaj, czekaj, to ciekawe.* — Justyna wzięła jego rękę znad panelu sterowania. Net przełknął ślinę.

— *Po każdej medialnej akcji policji dziennikarze ujawniają użyte metody* — przyznał tata Justyny. — *Oczywiście to politycy sprzedają te informacje. Dzięki temu przestępcy wiedzą, na co uważać.*

— *Zasada jest prosta, jeśli dopuścisz polityka do informacji, to on użyje ich do autopromocji. A jak nie dopuścisz polityka do informacji, to on wyleje cię z pracy.*

— *Na szczęście to Stary się z nimi użera.*

— *A te mikroboty?*

— *Mamy nowy model, znaczy całą chmarę tego modelu, jakieś dwa metry sześciennie, czyli lekko licząc półtora miliarda mikrobotów wyposażonych w odorosensory zdolne rozpoznać zapach konkretnej osoby. Są ledwie sto razy mniej czułe niż węch psa. Sto razy to może źle brzmi, ale pies jest mistrzem – potrafi złapać trop po jednej molekule. Ledwie naśladujemy naturę. Jeżeli dostarczysz do laboratorium skarpetę losowo wybranej kiełeczanki, czy jak to się tam odmienia, to po osiemnastu godzinach będziesz miał gotowy wzorzec i chmarę zaprogramowaną do poszukiwania tej konkretnej osoby.*

— *Osiemnaście godzin? Psu zajmie to sekundę. Tyle, ile dwa niuchnięcia.*

— *Ale pies jest jeden, a chmara ogarnie miasto wielkości Kielc i po dwóch godzinach najdalej wywącha zębę.*

— *Chyba nie powinniśmy podsłuchiwać.* — Justyna puściła dłoń Neta.

— *Sama mówiłaś, że to ciekawe.* — Net chciał, by trzymała tę dłoń dalej, bo w jakiś dziwny sposób było to przyjemne.

— *Wiemy, gdzie mniej więcej jest* — mówił tata Neta. — *Moglibyśmy ją znaleźć.*

— *Moglibyśmy, ale Instytut jest w niełasce politycznej. Nie dadzą nam nawet spróbować.*

Justyna wyłączyła transmisję.

— *Jak zaczynają o polityce, to będzie nudno* — powiedziała. — *Zaczekaj. Kajtuś!*

Pobiegła do chłopczyka, który wdrapywał się na drabinę.

— *Na jakim systemie to stoi?*

— *Nie mam pojęcia, ale nie sprawdzaj.* — *Przyprowadziła chłopczyka.* — *Już lepiej pooglądajmy telewizję albo jakiś film, bo nam tu rozniosą dom. Balbinka!* — *To ostatnie było skierowane do dziewczynki, która sięgała do klamki.* — *Czekaj!*

Net wykonał na ekranie gest trzema palcami, który na części urządzeń otwierał okno programisty. Zadziałało i tutaj.

— No proszę... — mruknął z zadowoleniem, obserwując linijki kodu programu. — Opcje zaawansowane. Coś, co lubię. — Przewinął listę w dół, kliknął, powiększył literki. — Hm. — Podrapał się po głowie. — Nie wyświetla się klawiatura. Jak tu się cokolwiek zmienia, skoro nie ma klawiatury?

— Kiedy tata zamierza grzebać w systemie, to bierze klawiaturę bezprzewodową. Lepiej już to zostaw.

Net ponownie dotknął ekranu, a Justyna ponownie dotknęła jego dłoni. Ich spojrzenia na moment się spotkały. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, konsola piknęła, a ze wszystkich stron rozległ się cichy szum.

— Co zrobiłeś? — Justyna zbladła.

— No... jakoś tak mi rękę przesunęłaś... — Puknął kilka razy w ekran. — Coś się włączyło.

— Wyłącz to. Zrób... *undo*.

— Nie da się zrobić *undo* bez klawiatury. — Net rozejrzał się rozpaczliwie po najbliższym otoczeniu, jakby chciał znaleźć leżącą tam klawiaturę. Znow puknął w ekran. Okno programisty zamknęło się, odsłaniając podgląd na ogród. Wszyscy goście stali nieruchomo i patrzyli na dom. Prostokąty światła padające na trawnik, na którym stali, zmniejszały się.

— Rolety się zamykają — szepnęła Justyna. — To rolety!

— Czekaj, spoko, poradzę sobie. — Net otwierał kolejne okienka, przesuwając suwaczki, kręcił wirtualnymi pokrętłami, włączał i wyłączał, co tylko popadło.

Mimo jego wysiłków rolety zamknęły się całkowicie, za to goście zaczęli nagle biegać w różne strony i machać rękami, jakby zaatakował ich rój pszczół.

— Cieszą się? — zdziwił się Net.

— Włączyłeś zraszacze... — jęknęła Justyna. — Będzie awantura...

— Stres nie działa na mnie stymulująco. — Net spojrzął na swoje dłonie. Na szczęście się nie trzęsły. — Myśleć, myśleć...

Poczuł, że coś go rytmicznie pociąga za spodnie. Spojrzął w dół i napotkał wpatrzone w siebie błękitne oczy chłopczyka.

— Kupę.

— A skąd ci wezmę? — Net zerknął na wierzące się w wózku bliźniaki. — Może jak zaczekasz minutę, to będą dwie.

Maluch nie ustępował.

— Kupę.

— To rób. — Net powrócił do konsoli.

— Nie, nie rób! — Justyna chwyciła malca za rączkę i pociągnęła w stronę łazienki. — To pierwszy tydzień Kajtusia bez pieluchy. Nie zepsujmy tego.

Net wyłączył podgląd ogrodu, żeby panujące tam zamieszanie go nie rozpraszało. Próbował wszystkiego, ale rolety nie chciały się podnieść.

Justyna wróciła i wycierała o spódniczkę mokre dłonie.

— Trzeba będzie wszystkich przeprosić — powiedziała z rezygnacją. — Będę miała szlaban na co najmniej dwa tygodnie.

— Czekaj z tym przepraszaniem. — Net włączył podgląd ogródka. Komuś udało się zakręcić wodę. — Oni, zdaje się, nie wiedzą, że to nasza sprawka.

— Twoja, ściślej mówiąc.

— Nasza. Ty mnie potrąciłaś.

— Co ty właściwie zrobiłaś?

— Jak mnie potrąciłaś — odparł Net, podkreślając słowo „potrąciłaś” — niechcący przesunąłem palcem fragment kodu z linii 8945 do linii 8946. Jakiś wewnętrzny algorytm sprawdzający uznał, że to włam i ktoś majstruje przy kodzie.

— I miał rację. — Justyna spojrzała na niego i zapytała niespodziewanie — co robisz jutro po południu?

— Eeem... — Net wyduł wargi. — Nie mam specjalnych planów. A co?

— Skończyłem! — dobiegło z łazienki.

— Na razie zrób coś z tym — powiedziała dziewczyna i pobiegła do młodszego brata.

Wózek zabujał się, a znajome ostrzegawcze kwęknięcie było niezawodnym sygnałem, że pozostało nie więcej niż pół minuty ciszy.

— Jeść! — zażądała Balbinka.

— Czekaj, mam tu mały kryzys.

— Kryzys z dżemem.

— Daj mi pięć minut. — Net klikał zapamiętane w kolejne okienka, menu i przyciski.

— Jeść! Jeść! Jeść!

— Jeść! Jeść! Jeść! — dobiegło z łazienki.

— Zdecydujcie się, czego chcecie — mruknął Net. Wyprostował się i patrzył ze złością na konsolę. Gdyby miał laptop, mógłby spróbować połą-

czyć się bezprzewodowo i wszystko poprawić, ale jak na złość akurat dziś stwierdził, że nie chce mu się nosić plecaka.

Dotknął jeszcze jednego przycisku i aż podskoczył. Włączyła się mała syrena alarmowa, a po chwili dołączyła do niej druga. To bratosiostra domagali się uwagi. Net z doświadczenia wiedział, że tym razem chodzi o tę najmniej wdzięczną formę uwagi. Tylko gdzie wykonać tę formę uwagi? Na stoliku? Po krótkim namyśle wypiął z wózka oba foteliki i zaniósł je do łazienki. Justyna kończyła ubierać Kajtusia.

— Jeść! — zażądał dzieciak.

— Jeść! — poparła go Balbinka, stając w progu.

— Zaczekajcie tu chwilę, to wam minie ochota. — Net uśmiechnął się złośliwie. — Apetyt przejdzie wam do jutrzejszego wieczoru.

— Pomóc ci? — zaofiarowała się Justyna.

— Dzięki, ale możesz tego nie znieść.

Wypchnął ją z łazienki i zajął się tym, czego w obsłudze dzieci nie lubił najbardziej. Po chwili drzwi się otworzyły i Justyna wślizgnęła się do środka.

— Pamiętam, jak to się robi — powiedziała. — Najpierw głęboki wdech...

Rzeczywiście poszło sprawniej i po dwóch minutach bratosiostra, zadowolony, siedzieli w nowych pieluszkach.

Justyna i Net wyszli z łazienki, łapiąc oddech.

— Ale smród... — skrzywiła się dziewczyna. — Odzwyczaiałam się. — Zmarszczyła brwi i pociągnęła nosem. — Jakby się coś...

— ... paliło — dokończył Net.

W zasięgu wzroku nie było ani Kajtusia, ani Balbinki.

— Na piętrze! — Justyna pokazała kciukiem sufit.

Odstawili foteliki i pobiegli. W jednej chwili byli na poddaszu, które okazało się piętrem o normalnej wysokości. Przy lustrze sypialni stało coś, co wyglądało jak umalowana, ubrana w elegancką sukienkę, czerwone szpilki i obwieszona biżuterią pięcioletnia dziewczynka. Obok z klatki gapił się na nią szary szczur.

— Co to ma być? — zapytał Net.

— To Crisper, rodzinny szczur.

Nie mieli czasu zastanawiać się nad tą scenką, bo z górnej łazienki wydobywał się siwy dym. Net spojrzał na sufit. Tak, był tam czujnik dymu

i dym właśnie się do niego zbliżał. Chłopak podbiegł do okna i otworzył je na oścież.

— Gaś! — syknął tak, żeby goście w ogrodzie nie usłyszeli.

Sam chwycił poduszkę i zaczął nią machać, żeby odepchnąć dym od czujnika. Balbinka przyglądała mu się w milczeniu, nieudolnie umalowana i ubrana w biżuterię matki. Pomógł mu przeciąg, więc odrzucił poduszkę i wbiegł do łazienki. W umywalce płonęło pudełko wyciąganych chusteczek higienicznych, a lecąca z kranu woda nie sięgała płomieni. Justyna nie wiedziała co robić, więc dmuchała, co tylko bardziej podsycalo płomienie. Patrzyła rozpaczliwie na Neta, a Net miał ochotę spojrzeć rozpaczliwie na Felixa. Co zrobiłby Felix? Jezu, co zrobiłby Felix?! Myśleć... Sięgnął po prysznic i odkręcił wodę na maximum. To znaczy wydawało mu się, że odkręcił. Panel sterujący prysznicem, połączonym z wielką wanną jacuzzi, miał pięć pokręteł. Net zaczął nimi kręcić chaotycznie. Z otworów na dnie wanny wytrysnęło pod dużym ciśnieniem pięć gejzerów. Uderzyły w sufit i rozprysnęły się, zalewając ściany, meble i podłogę. Net zdążył uskoczyć. Mokre było wszystko dookoła, a płomienie harcowały w najlepsze. Podwinął rękaw i po omacku zakręcił feralną gałkę. Spróbował szczęścia z drugą i trzecią. Dopiero kombinacja drugiej z piątą okazała się właściwa. Net wycelował prysznic w umywalkę i w jednej chwili zgasił pożar. Wrzucił dymiące jeszcze pudełko do sedesu i spuścił wodę.

Justyna odetchnęła i przeniosła wzrok na młodszego brata. Kajtuś stał za koszem na brudy i patrzył na to wszystko z przerażeniem.

— Ja nie ciałem — wydukał. — Siamo się zapaliło.

— Oj... — Justyna wskazała sedes.

Pudełko zatkało odpływ, a poziom wody wciąż się podnosił. Net rzucił się do spłuczki.

— Jak to się wyłącza? — Ponownie wcisnął guzik na górze, na co spłuczka odpowiedziała głośniejszym szumem, a wody zaczęło przybywać szybciej. — O, mamusiu...

— Już więcej nic nie wciskaj! — ostrzegła Justyna.

Wyglądało na to, że zaraz woda się przeleje. Dziewczyna otworzyła szafkę obok umywalki z zamiarem odszukania czegoś do wybierania wody. Niestety były tam tylko waciki, pałeczki do uszu, chusteczki kosmetyczne, butelki, tubki z kremami i cała masa kosmetycznego drobiazgu. Net chwycił kubek ze szczoteczkami do mycia zębów. Zawahał się, ale zanurzył go w sedesie, nabrał wody i wylał do umywalki. W przyspieszonym tempie

powtórzył operację kilkakrotnie, chlapiąc przy okazji na podłogę. Wreszcie poziom wody ustalił się dwa centymetry poniżej krawędzi muszli.

Net odetchnął i odwrócił się, by zakręcić prysznic. Okazało się, że sposób zakręcania prysznic również nie jest oczywisty. Wprawdzie woda z prysznic przestała lecieć, za to z boku wanny pod kątem strzelił strumień i trafił prosto w otwartą szafkę obok umywalki. Waciki, pałeczki do uszu, chusteczki kosmetyczne, butelki i tubki z kremami, wszystko zostało stamtąd wyrzucone ciśnieniem wody. Lawina tego drobiazgu zasypała łazienkę.

— Pewnie w instrukcji jest napisane, żeby nie używać pustego jacuzzi — mruknął Net.

W milczeniu patrzyli to na dwie szczoteczki do zębów smętnie pływające w sedesie włosiem do dołu, to na łazienkę wyglądającą, jakby wewnątrz wybuchł granat.

— To pudełko w końcu się rozpuści... — Net wolno odstawił kubeczek na miejsce, pod lustro.

— Balbinka! — Justyna przypomniała sobie o siostrze.

Wybiegła z łazienki, a Net wyjrzał za nią. Balbinka wyglądała jak dziecko z horroru. Taka ilość naszyjników upodabniała ją do karykatury nieletniego białego rapera udającego hippisa. Z kolei szminka rozsmarowana po połowie twarzy przypominała make-up clowna. Za duża, pomarszczona w harmonijkę sukienka i cztery razy za duże buty na wysokich obcasach dopełniały obrazu rozpacz.

— Przynieś chusteczki — powiedziała Justyna. — A nie, nieaktualne. Papier toaletowy.

Net przyniósł wilgotną rolkę, zostawiając na dywanie ciemne ślady. Justyna pobieżnie starła z ust i policzków dziewczynki szminkę, a z czoła tusz do rzęs. Dopiero teraz, by uniknąć pobrudzenia, rozpoczęła demontaż biżuterii i garderoby.

— Nie mam pojęcia, jak to wytłumaczę.

— Może fikcyjną awarią rury? Coś byśmy odkręcili...

Justyna złapała go za rękę, choć wcale nie miał zamiaru psuć rury. Pospiesznie zamknęła drzwi do łazienki, z parapetu otwartego okna zgarnęła Kajtusia i spojrzała na klatkę Crispera. Była otwarta.

— Wypuściłeś go? — zapytała. — Znowu pogryzie kable. Powinam cię wiązać za każdym razem, gdy mam cię spuścić z oczu. Potem go poszukamy. — Spojrzała na Neta. — Chodźmy na dół. Trzeba podnieść te rolety.

W salonie, w zupełnie niewyjaśniony sposób Pompek i Prumcia przysunęli się z fotelikami do stolika i teraz cokolwiek nieudolnie, ale jednak skutecznie raczyli się nachosami z pikantnym sosem jalapeno. Krzywili się, ale jedli.

— O słodki jeżu... — Net dopadł do dzieci i jedyne, co mógł zrobić, to otrzepać im rączki z okruszków. — Zatrują się.

— Nic im nie będzie. — Justyna odsunęła bliźniaki od stolika. — Otwieraj to lepiej.

— Co ja poradzę, że wciąż zdarzają mi się takie sytuacje? — zapytał retorycznie Net i wrócił do konsoli. — Podobno jak się urodziłem, jeszcze w szpitalu, wyplułem pierwszy smoczek prosto w przycisk alarmu pożarowego.

Justyna parsknęła śmiechem, ale zaraz spoważniała. Przyglądała się poczynaniom Neta.

— Zaraz, właśnie! — wykrzyknął. — Nie mogę wyłączyć tego alarmu, ale mogę włączyć pożarowy. Wtedy rolety powinny się podnieść.

— A wewnątrz uruchomią się zraszacze. Kiepski pomysł.

— No tak. Mamy tu jeszcze... O! Ulatniający się gaz. Super. — Net bez zastanowienia puknął w ekran.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a zaraz potem otworzyły się wszystkie okna, a rolety zaczęły się unosić. Justyna posadziła młodsze rodzeństwo na kanapie i włączyła telewizor. Wycelowała w maluchy palcem i groźnie zapowiedziała:

— Ani słowa, bo zwałę wszystko na was!

Gdy chwilę później mokry gospodarz wszedł do salonu, cała szóstka siedziała przed telewizorem, wgapiona w program „Gwiazdy śpiewają pod wodą”. Jedynie Kajtuś „zauważył” pojawienie się kogoś nowego. Uniósł brewki i posłał tacie spojrzenie kogoś, kto nie ma pojęcia, że wydarzyło się coś nietypowego. Za profesorem Jastrzębskim zgromadziła się reszta nieco mniej ociekających wodą gości. Tego już nie dało się ignorować. Gimnazjaliści odwrócili się.

— Pada? — zapytał z miną niewiniątka Net.

Gospodarz odetchnął głęboko.

— U was wszystko w porządku?

— Tak — zapewniła go z uśmiechem Justyna. — Poczytaliśmy im bajkę, a teraz będziemy oglądać telewizję. Najwyżej kilka minut.

Mężczyzna podszedł do konsoli i kilka razy dotknął ją palcem.

— Coś się zepsuło — stwierdził. — Jakiś błąd programu. A przecież testowałem to na wszystkie strony.

— Lepiej nie grzeb — powiedziała docent Gajda. — Wyświetli ci komunikat, żebyś się skontaktował z administratorem systemu.

— Ja jestem administratorem systemu. A miałem nadzieję na leniwą niedzielę... — Pociągnął nosem. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach spalenizny. — To pewnie zwarcie. Sprawdzę.

Zrobił krok w stronę, gdzie zapewne znajdowała się główna tablica bezpieczników, ale zatrzymał się i spojrzał po sobie. Ociekał wodą. Przytaknął sam swoim myślom i wszedł do łazienki po ręcznik.

— Jak wyjaśnisz ten sajgon na piętrze? — zapytał szeptem Net.

— Nie mam pojęcia.

Gospodarz wyszedł z łazienki nieco tylko suchszy, za to na pewno bardziej blady.

— Coś poważnie śmierdzi w dolnej łazience — powiedział. — Chyba wybiło z kanalizacji.

— To pewnie właśnie było przyczyną awarii — podchwycił Net. — Tu wybiło z kanalizacji, a gdzieś na górze — wskazał kciukiem sufit — aż tak potężnie chlupotnęło. A jak jest chlupot, to jest też przyczyna zwarcia. Szczególnie jeśli izolacja przypadkiem jest ponadgryzana przez jakieś... zbiegłe zwierzątka domowe.

— Zostaw to, kochanie. — Żona chwyciła go pod rękę i pociągnęła w stronę tarasu. — Jest ciepło, dobrze się bawimy. Nie przerywajmy imprezy, potem coś z tym się zrobi.

Gospodarz stracił ochotę do sprawdzania przyczyny uszkodzeń. Skoro wszystko w sumie działało, nie było potrzeby przerywać przyjęcia. Na wszelki wypadek postawił tylko krzesło pod roletą i wrócił do obsługi grilla. Goście w trochę lepszych nastrojach, podśmiewając się ze swoich mokrych fryzur i ubrań, również wyszli z hallu.

— Teraz przez pół niedzieli będzie szukał związku między awarią rolet a rozstrojem kanalizacji — stwierdził Net.

— Powiem mu, co się stało — odparła swobodnie Justyna.

— Poważnie?

— A ty byś nie powiedział?

— Yyy... nie no, jasne, że bym powiedział. Zaufanie, wiesz... i takie tam. Współzycie społeczne czy tam rodzinne.

Justyna pokiwała głową i uśmiechnęła się.

— Chodźmy na te hamburgery, które kończy przypalać mój tata. Sprzedam bachorzątką mamie.

* * *

Impreza zbliżała się do końca. Hamburgery w lekko rozmoczonych bułkach wszystkim smakowały, Pompek i Prumcia zasnęli z błogimi uśmiechami na buźkach i nic nie wskazywało na to, by nachosy z pikantnym sosem zrobiły na ich żołądkach jakiegokolwiek wrażenie. Goście powoli kierowali się do wyjścia, a rodzice Neta nie byli wyjątkiem.

— Co z jutrem? — zapytała już przy drzwiach Justyna.

— Z jutrem... — Netowi przebiegło przez myśl, że może to być ciut nie fair wobec Niki, umawiać się z inną dziewczyną pod jej nieobecność.

Justyna dostrzegła jego wahanie. Zapisała na kartce numer telefonu i podała Netowi.

— Umówmy się na SMS-a albo telefon jutro — zaproponowała. — Jeśli nie będziemy mieli ochoty, to się samo rozwiąże.

— OK. — Net zastanawiał się, jak się z nią pożegnać i wreszcie zdecydował się na podanie ręki. — To do jutra. Znaczący... teoretycznie. Potencjalnie.

Pomachała mu z uśmiechem i pobiegła gonić Kajtusia. Chłopiec już zapomniał o katastrofie, którą niemal wywołał, i znów wykorzystał chwile nieuwagi, by czmychnąć.

Rodzice trochę jeszcze mokrzy, ale zadowoleni z wieczoru, pożegnali się z gospodarzami i wyszli na zwirowy podjazd. Podeszli do samochodu i chwilę stali obok, patrząc po sobie nawzajem. Nikt nie kwapił się do wsiadania za kierownicę. Net szybko zrozumiał, co się stało.

— Wszyscy piliście? — Rozłożył ręce. — A podobno to ja jestem nieodpowiedzialny...

— To przez to zamieszanie — powiedziała cicho jego mama. — Najpierw te rolety, potem woda...

— Dużo się działo — przyznał tata Neta. — Nie ustaliliśmy, kto ma prowadzić.

Patrzyli na siebie bezradnie. Mama Felixa wyjęła telefon, żeby zadzwonić po dużą taksówkę, ale mąż ją powstrzymał.

— Jest wyjście z tej sytuacji. Wsiadajcie.

— Ale... — zaproponowała mama Neta.

— Spokojnie. Mam plan.

Net uniósł brwi. Jakby słyszał Felixa. Pomógł zamontować foteliki z wiercącymi się i uśmiechniętymi bliźniakami i władował do bagażnika wózek. Wszyscy usiedli na tych samych miejscach, co poprzednio. Tata Felixa włączył zasilanie i zaczął klikać w ekran komputera pokładowego.

— Wypiłeś trzy piwa — przypomniała mu pani Polon.

— Nie zamierzam prowadzić — uspokoił ją. — Zapnijcie pasy.

Wszyscy zrobili to i czekali, co będzie.

— Naprawdę nie powinieneś prowadzić — poradził tata Neta.

Pan Polon wcisnął przycisk „enter” na małej klawiaturze i założył ramiona. Samochód zaszumiał wentylatorem, wrzucił wsteczny bieg i posługując się tylko silnikiem elektrycznym, cofnął się kawałek. Wyjechał żwirowym podjazdem na ulicę i dopiero po przejechaniu kilkuset metrów włączył silnik spalinowy. Kierownica obracała się sama, samochód sam przyspieszał i sam zwalniał.

— Autopilot? — zapytał Net.

— Autokierowca — przytaknął tata Felixa. — Kamery w kilku miejscach na karoserii obserwują otoczenie, a samochód jedzie po zaprogramowanej trasie.

— Poczułem się znacznie spokojniejszy. — Net mocniej naciągnął pas i przez szklany szyberdach zapatrzył się w nieskażone zanadto warszawską łuną rozgwieżdżone niebo.

1. To właśnie w Wydziale Nanotechnologii powstała chmara, o której mogliście przeczytać w książce *Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa*. [\[wróć\]](#)
2. Lekki szkielec kanadyjski – popularna w USA, Kanadzie i krajach skandynawskich technologia budowy, opierająca się na lekkiej konstrukcji z desek. [\[wróć\]](#)
3. O przygodach z minirobotami można przeczytać w książce *Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa*. [\[wróć\]](#)



8. Okoliczności przyrody

Ciemność kosmosu nigdy nie była idealna. Za oknem gwiazdy świeciły jak jasne diody. Na Ziemi takie widoki się nie zdarzały, ale po kilku dniach na stacji orbitalnej każdemu to powszedniało. Wyćwiczonym ruchem odbił się od ściany i przeleciał przez otwartą gródź do modułu laboratoryjnego – gdzie pozdrowił gestem pochylonych nad przyrządami badawczymi dwóch astronautów – i dalej, do sypialnego. Tutaj pory dnia były umowne, stacja okrążała bowiem Ziemię w dziewięćdziesiąt minut. Wsunął się do przypiętego do ściany śpiwora i zgasił światło.

Śnił mu się leśny dzwoneczek – kwiat, który we śnie nie tylko wyglądał jak dzwonek, ale też wydawał dźwięki, jakby był wykonany z metalu z metalowym sercem. Czasem tęsknił za Ziemią i takie sny się zdarzały. Nigdy jednak nie śnił mu się dzwoniący kwiat, w dodatku dzwoniący tak głośno. Bardzo głośno, za głośno, by dalej spać. Gdy otworzył oczy, nadal było ciemno i nadal słychać było dzwonienie. Ale nie było to dzwonienie miłe dla ucha, takie disneyowsko-wróżkowe, towarzyszące rozpylaniu księżycowego pyłu, ani orkiestralno-filharmoniczne, ani nawet nie to dzwonienie podczas mszy w kościele, gdy wszyscy wierni mają chwilę, by pomyśleć nad własnymi grzechami. To był dzwonek alarmowy.

— Alarm!!! — darł się ktoś w ciemności. — Alarm! Ewakuacja! Pożar! To nie są ćwiczenia! Powtarzam, to nie są ćwiczenia!

Zerwał się z koi, wsunął stopy w buty i tylko zaciągnął sznurówki. Chwycił małą torbę na ramię. Nie było czasu na nic więcej. Wybiegł na korytarz, na którym więcej marynarzy biegło w stronę schodów. Upiornie migąły czerwone lampy między żebrami kadłuba. Razem z innymi dotarł trzy poziomy wyżej, na pokład. Dziób lotniskowca płonął. Porozrywane

blachy nie zostawiały pola do domysłów – zostali zaatakowani. Ogłuszający terkot działek szybkostrzelnych nakładał się na krótkie dźwięki syreny alarmowej. Był środek nocy. W chaosie, który panował na pokładzie, z drugiego, nieuszkodzonego toru wystartowały dwa myśliwce. Bliżej rufy helikopter rozpędzał rotory. Dwa szybko zbliżające się z prawej strony jasne punkty nie dawały mu wielkich szans. Jeden punkt zamienił się w błysk i rosnącą kulę płomieni. Działka zrobiły swoje. Jednak druga rakietka zbliżała się nadal. Szybko, bardzo szybko. Za ile trafi? Za pół sekundy? Za ćwierć?

Gdy otworzył oczy, nadal było ciemno i nadal słyhać było dzwonienie. Alarm. Koledzy już zakładali hełmy i biegli do wyjścia. Niedokończona partia szachów nie była już ważna, karty też rzucono na stół bez zamiaru dokończenia gry. Zjazd po rurze do garażu to już rutyna. Wyjazd w wyciu syren i błyskach niebieskich stroboskopów rozbudził go całkowicie. Otworzył okno i wystawił twarz na chłodny podmuch nocnej Warszawy. Jechało osiem wozów – a więc wszystkie. Łuna wskazywała kierunek.

— Pożar! Pali się!!!

Nadal słyszał to dzwonienie. Przypominało ordynarne walenie łyżką w stalowy garnek.

I rzeczywiście było waleniem łyżką w stalowy garnek.

Otworzył oczy i spojrzał w górę. CyBorek w jednym ręku trzymał powgniatany garnek, w drugim łyżkę.

— Co to za drużynowy, który gramoli się z namiotu ostatni?!

Gdyby trzymać się faktów, trzeba by stwierdzić, że Felix nie gramolił się z namiotu. Leżał w nim w dziwnej pozycji, bo z głową na ziemi, a nogami wciąż na łóżku.

— Co się dzieje? — zapytał nieprzytomnie.

— Był alarm! — krzyknął nauczyciel. — Było polecenie ewakuacji, a ty śpisz na ziemi!

— Pali się? — Felix zgramolił się z łóżka i zaczął nakładać buty.

— Mogłoby się palić. Zbiórka przy ognisku!

CyBorek wyszedł z namiotu. Nie tylko Felix nie zareagował poprawnie na alarm. Reszta albo kiwała się na łóżkach w pozycji siedzącej, albo wiązała buty, albo szukała po omacku włącznika lampki nocnej na stoliku stojącym czterysta kilometrów stąd. Minęła dobra chwila, zresztą nikt potem nie pamiętał ile dokładnie, nim zaspana gromada ustawiła się przed namiotem w oczekiwaniu na dalsze nieprzyjemności. CyBorek chodził tam

i z powrotem z założonymi z tyłu rękoma. Z dezaprobatą patrzył na wychodzące niemrawo z drugiego namiotu dziewczyny w koszulkach nocnych lub dresach.

Noc była chłodna, gwiaździsta. Felix zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia.

— Miałeś mnie obudzić o północy — powiedział do Horacego.

— A... jakoś tak... — odparł tamten, patrząc w ziemię.

Felix domyślił się, o co chodzi. Chorobliwie nieśmiały Horacy nie zdobył się na obudzenie Felixa i zrobił to, co zwykle – zaczekał, aż problem sam się rozwiąże. Felix spojrzał na rozczochną Nikę i pomyślał, że nie będzie potrafił jej wyznaczyć na nocną wartę. Dobry drużynowy by potrafił, tylko on przecież wcale nie chciał być drużynowym.

— Ale coś się paliło? — Oskar niemal spał na stojąco. Miał otwarte tylko jedno oko. — Słyszałem wyraźnie „To nie są ćwiczenia”.

Odpowiedź nie była konieczna. Wystarczyło się rozejrzeć, by stwierdzić, że poza ogniskiem nic się nie pali.

— A gdyby to naprawdę nie były ćwiczenia, tylko pożar? — zapytał Felix.

— Wtedy byłoby gorąco i dużo dymu — odparł CyBorek. — Gdzie Aurelia?

— Już kończę — padło w odpowiedzi z namiotu.

— Co kończysz?

— Rzęsy.

CyBorek westchnął ciężko.

— Skaranie boskie z tymi cywilami. Ale jeszcze zrobię z was żołą... skautów. Prawdziwy mężczyzna musi znać dyscyplinę.

— Ja nie chcę zostać prawdziwym mężczyzną — zauważyła nieśmiało Celina.

Aurelia wyszła z namiotu i stanęła na końcu krzywego szeregu.

— Przecież nie mogłam wyjść nieumalowana — wyjaśniła.

— Punkt karny dla drużyny „Nic nie mów” — zarządził CyBorek.

— To my zbieramy jakieś punkty? — zdziwił się Felix.

— Tak. Zwycięska drużyna pójdzie na koniec na lody. Przegrana będzie likwidować obóz.

— A będzie można go zlikwidować pożarem? — zapytał Gilbert. — Bo jeśli tak, to chętnie zrezygnuję z lodów.

CyBorek zignorował pytanie i polecił:

— Zmiana warty. Teraz kolej drużyny „Teraz”.

— Ja miałem mieć wartę po Horacym — przypomniał Felix.

— Jest trzecia, więc twoja warta dobiegła końca. Lucjan, wyznacz kogoś.

— Dobra, ty. — Lucjan wskazał Kubę. — To jest słuszna decyzja.

— Ale dlaczego akurat ja? — zaprotestował zgodny zwykle Kuba.

— Decyzje drużynowego są nieomyślne. Jeszcze słowo i będziesz robił dwadzieścia pompek.

— Łapiesz, o co w tym chodzi — przyznał CyBorek. — Koniec alarmu. Wszyscy do łóżek.

— Podpalmy coś chociaż, jak już wstaliśmy — zaproponował Oskar.

Nikt nie podchwycił pomysłu. Zresztą nie było na to czasu, bo z wnętrza namiotu dziewczyn dobiegł dziki wrzask. Wszyscy schylili się odruchowo. Klaudia wybiegła z namiotu, wymachując rękoma i wciąż się drąc wniebogłosy. Strząsała coś z głowy, strzepywała z koszuli nocnej.

— Co się stało?! — krzyknął CyBorek.

Roztrzęsiona Klaudia podbiegła do niego i chyba najchętniej wskoczyłaby mu na rękę.

— Tam... — Drżącą dłonią wskazała namiot. — W środku...

Pozostali spojrzeli na namiot i wolno się od niego odsunęli. Wuefista podniósł kij służący za pogrzebacz.

— Co dokładnie zobaczyłaś?

— Tam był wielki... włochaty... pająk! Łaził po suficie.

Dziewczyny wzdrygnęły się, chłopcy westchnęli i odwrócili się, by wrócić do namiotów.

— Zachowaj trochę decybeli na łążące po suficie niedźwiedzie — poradził Gilbert.

— Drużyna „Teraz”, punkt karny za fałszywy alarm — oznajmił nauczyciel.

— A czym się różni fałszywy od ćwiczebnego? — zainteresował się Gilbert.

— Dwadzieścia pompek.

— I to rozumiem. To jest konkretna odpowiedź.

Gilbert położył się na ziemi i z lekkim trudem wykonał dwadzieścia pompek. Wszyscy z ulgą powlekli się do łóżek. Kuba usiadł przy ognisku i owinał się kocem. Nie minęła minuta, a przewrócił się i zaczął chrapać.

* * *

Felixa znów obudziło walenie w garnek. Miał wrażenie, że minęło nie więcej niż pięć minut. A jednak przez szczeliny namiotu wpadało światło słoneczne. Była szósta zero jeden.

— Co znowu? — warknął spod koca Lucjan. — Powódź?

— Może Słowacja nas najechała — podsunął Gilbert. — Albo Wyspy Zielonego Przylądka. To bardziej prawdopodobne, bo oni tam nie mają złóż gazu łupkowego.

Tym razem sprawniej, bo było już jasno, wszyscy ubrali się, wyszli przed namiot i ustawili się w krzywym szeregu. Aurelia pojawiła się od razu, już umalowana. Widocznie nie zmyła makijażu po poprzednim alarmie.

— Drużyny! — CyBorek przechadzał się z rękoma założonymi z tyłu. — Dzisiejsze szkolenie zaczniemy od prostego zadania. Ukryłem wasze śniadanie gdzieś na tej polanie lub w okolicznym lesie. Zadanie polega na znalezieniu śniadania.

— Po co nam śniadanie w środku nocy? — zapytał Felix.

— Jest ranek, nie noc.

Dłuższą chwilę zajęło wszystkim przyswojenie informacji, że już nie wrócą do łóżek.

— Ale... — Oskar rozłożył ręce — za co?

— To nie kara, tylko ważny element kształtowania charakteru.

— Mnie tam dobrze z moim charakterem. Na wakacjach to ja nie wstaję przed południem.

— Na razie twój charakter to kupka gliny. Ale zmienimy go przez ten tydzień, obiecuję. Wstawanie rano jest dobre dla zdrowia i dyscypliny.

— Jest dobre dla kogoś, kto lubi rano wstawać — odparł Felix. — Czytałem kilka artykułów na ten temat. Część ludzi dobrze funkcjonuje rano, a część wieczorem.

— Dwadzieścia pompek — odparł CyBorek i potwierdził to gwizdkiem.

— Za to że mówię, jaki jest stan wiedzy na ten temat?

— Za podważanie autorytetu komendanta.

Felix z trudem zrobił dwadzieścia pompek. Trochę go to rozbudziło.

— Jest szósta — dodał CyBorek. — Pora na zmianę warty. Teraz drużyna „Nic nie mów”. Pozostali idą na poszukiwania.

— Ja biorę tę wartę — oświadczyła Aurelia, zanim Felix wstał i złapał oddech. Usiadła przy ognisku i nakryła się kocem. — Wróćcie szybko, bo jestem głodna.

Obie drużyny kończyły ubieranie się w tempie, jakie na pewno nie zasługiwało na miano ekspresowego. CyBorek patrzył z niesmakiem na tę rozlazłą zgraję. Zastanawiał się, czy ich nie pospieszyć, jednak odwrócił się i zniknął w namiocie.

Wreszcie wszyscy byli gotowi. Felix poszedł przodem, a reszta ruszyła za nim. Klaudia od razu została z tyłu, gdyż obcasy jej szpilek wbijały się w miękki grunt.

— Nie, czekajcie. — Felix odwrócił się i przystanął. — Musimy się rozdzielić. My sprawdzimy północną część polany, „Teraz” niech sprawdzi południową. — Napotkał pełne niezrozumienia spojrzenia kolegów. — Tam jest wschód. — Wskazał słońce wiszące jeszcze nisko nad horyzontem. — A więc tam jest południe.

— Nie dam się znowu wkręcić — odezwała się Klaudia. — Ziemia się obraca, więc wschód nie może być zawsze z tej samej strony.

— Nieważne. — Felix pokręcił głową. — Nie masz innych butów?

Klaudia, bo do niej było skierowane pytanie, popatrzyła na swoje stopy.

— Trampki nie pasują do tej spódniczki — odparła.

Felix wzruszył ramionami i wskazał ręką w bok.

— „Teraz”, sprawdźcie tamtą połowę polany i lasu. My przeszukamy tę ze strumieniem.

Obaj drużynowi ruszyli w przeciwne strony. Felix po chwili zorientował się, że „Nic nie mów” idzie gęsiego za nim. Jedyne Nika szła obok, ale niezbyt daleko.

— My też musimy się rozdzielić. — Znów się zatrzymał. — Ty — wskazał Oskara — przejdiesz nad brzegiem jeziora, ty wzdłuż prawego brzegu strumienia, ty wzdłuż lewego, a wy środkiem łąki (ale nie obok siebie) do lasu. Tam się spotkamy. Szukajcie zdeptanej trawy, świeżo rozkopanej ziemi, sterty kamieni, górki mchu i temu podobnych.

— Znasz się na tym — przyznała z uznaniem Nika.

— Nie tam... — Machnął ręką. — To po prostu logiczne. — Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, więc po prostu mruknął — szukajmy tego śniadania.

Szedł, rozglądając się w wysokiej trawie. Szukał wydeptanego szlaku, jaki każdy, nawet najzwinniejszy człowiek, musi za sobą pozostawić. Nie

potrafił się na tym skupić, bo miał wrażenie, że Nika na niego patrzy. Może patrzyła, może nie. Prawdopodobnie nie, ale i tak czuł się dziwnie. Czyżby Nika go onieśmiała? A przecież to się nigdy nie działo. Znali się doskonale i byli przyjaciółmi od dawna. To pewnie z powodu sytuacji z Laurą. Szczerze mówiąc, Felix nie był pewien, czy ją jeszcze zobaczy, więc... No właśnie, więc co? To chyba z niewyspania.

Dotarł do pierwszych drzew. Na skraju lasu dostrzegł świeże ślady kopyt. Nie wyglądały na końskie, były za małe i miały inny kształt. Nie znał się na tym za dobrze, jednak z pewnością ślady nie mogły mieć związku ze śniadaniem.

Zaczekał na resztę drużyny. Ostatnia przyszła Nika. Rozłożyła ręce i pokręciła głową.

— Czyli szukamy w lesie. — Felix spojrzał na drużynę Lucjana. Szli dwieście metrów dalej zwartą grupą, zajęci rozmową. — A coś czuję, że będziemy musieli sprawdzić też drugą część łąki.

— Nie masz...? — zapytała Nika i uniosła brwi, co miało znaczyć „jakiegoś wynalazku, który przeszukałby teren z powietrza”.

Felix pokręcił głową w sposób, który mógł oznaczać tylko „Bulbot i tak był wystarczająco ciężki”. Rozumieli się doskonale bez słów jak przyjaciele, jak starzy kumple. Ale czy istnieje w ogóle coś takiego, jak przyjaźń damsko-męska?

— Gdyby wejść na drzewo — powiedział — można by wyszukać ścieżkę, którą musiał wydeptać CyBorek, żeby dojść do lasu. Tyle że... — Podrapał się za uchem. — Tyle że on o tym wie, więc zapewne nie szedł przez łąkę, tylko skrajem lasu.

— Albo zrobił nam dowcip i schował jedzenie w czyimś łóżku — dodała Nika.

Felix uśmiechnął się i spojrzał na nią przelotnie. W dziwny sposób miał problem z utrzymaniem spojrzenia dłużej.

— Prześpijmy się tu ze dwie godziny — powiedział cicho Oskar. — Powiemy potem, że długo szukaliśmy albo że się zgubiliśmy.

Łączka, po której szli, porastała bardzo łagodny pagórek, co sprawiało, że ponad trawę wystawały tylko obłe szczyty namiotów. Pomysł był więc jak najbardziej wykonalny.

— Trochę zgłodniałem — zauważył Wiktor.

— No to śniadanie znajdzie Lucjan. Co za różnica?

— Zjedzą nam wszystko — wtrącił Gerald.

— Nie oceniaj wszystkich swoją miarką — odparł Felix. — Znajdziemy śniadanie, a potem się drzemniemy na jakiejś polance. Żeby nas CyBorek nie zagonił do pracy. — Bezskutecznie próbował odszukać wzrokiem „Teraz”. — Musimy tylko najpierw znaleźć Lucjana, żeby oni nie łazili głodni.

— Jest z nimi Klemens — przypomniał Gilbert. — Zlokalizujemy ich po trzasku łamanych gałęzi i krzyku małych zwierzątek.

Weszli między drzewa. Tym razem już bez przypominania szli w pewnej odległości od siebie i sprawdzali otoczenie. Im głębiej wchodzili w las, tym szczelniejsza stawała się warstwa liści nad ich głowami. Robiło się coraz ciemniej i zdecydowanie chłodniej niż na otwartym terenie.

— Słyszeliście o tej wycieczce szkolnej, co zabłądziła w tych lasach trzydzieści lat temu? — odezwał się Gilbert.

— Nie — odparł Wiktor. — Co się z nimi stało?

— Jak ich znajdziemy, to może nam opowiedzą.

— Wymyśliłeś to, prawda? — upewniła się Nika.

— Takie myśli same pojawiają się w mojej głowie i już nie wiem, czy to wymyśliłem, czy wyssałem z palca, czy zwyczajnie skonfabulowałem.

Z lewej strony szumiał strumień, co dawało sporą gwarancję, że będą potrafili wrócić. A jednak las o poranku wydawał się mało przyjemnym miejscem. Wilgotne gałązki nie trzaskały pod nogami, lecz wyginały się, jakby były z gumy. Buty zapadały się na kilka centymetrów w mchu, który po chwili, nieuszkodzony, powracał do poprzedniego stanu.

— Znaleźli śniadanie przed nami. — Oskar wskazał w bok. — Klemens chyba porządnie zgłodniał, bo się dobrał do torby. Ej! Zostaw trochę dla nas! Stary, spokojniej, wywalasz na ziemię!

Klemens rzeczywiście, około trzydziestu metrów od nich, dobierał się do zawieszanej na drzewie plastikowej torby w sposób bardzo niedelikatny. Małe pakunki z kanapkami wypadały przez rozdarcia.

— Pouczanie niedźwiedzia w lesie może zostać odebrane jako brak taktu — zauważył ze stoickim spokojem Gilbert.

— Taki z niego niedźwiedź, jak ze mnie... Niedźwiedź?! — wykrzyknął Oskar i sam zasłonił sobie usta dłonią. A zaraz potem też drugą dłonią.

Reszta grupy zmartwiała i przyglądała się badawczo koledze. W tym świetle Klemens rzeczywiście wyglądał trochę jak niedźwiedź, a wyobrażenia dopowiadała reszta. Włochatymi łapami uzbrojonymi w długie pazury rozrywał torbę, której zawartość lądowała na ściółce leśnej. Miał długi pysk

pełen żółtych zębów i brunatne futro na całym ciele. Z każdą sekundą stawało się jasne, że niedźwiedziowatości Klemensa nie można składać na karb słabego oświetlenia. Ten Klemens zdecydowanie był niedźwiedziem, a nie gimnazjalistą.

— Nie myśleliście o zakupie okularów? — zapytał znacznie ciszej Gilbert.

— Niedźwiedź brunatny — potwierdził Wiktor.

— Zaraz będzie niedźwiedź brutalny.

— Sugeruję zmianę lokacji — powiedział cicho Felix. — Powolutku. Dopóki jest zajęty jedzeniem —

— A jak to jest maciora z młodymi?! — przerwał mu Oskar i znów zasłonił usta dłońmi.

— Świnie nie mają futra. — Felix cofał się wolno i popychał Nikę, by trzymała się za nim.

— Nie znam się na niedźwiedziach...

— Maciora to świnia — wyjaśnił cicho Felix. — Może masz na myśli żonę dzika? To będzie locha. Ale mało ważne, jak się nazywa. Ważne, co robi.

Niedźwiedź, jakby w odpowiedzi na te słowa, stracił zainteresowanie torbą i spojrzał na gimnazjalistów. Gdy ruszył w ich stronę, w najmniejszym stopniu nie przypominał już Klemensa. Wszyscy, jak na komendę, odwrócili się i zaczęli uciekać. Tylko Nika stała w miejscu. Felix dostrzegł to po przebiegnięciu dziesięciu metrów. Jako jedyny się zatrzymał.

— Nika! — krzyknął. — Uciekaj!

Niedźwiedź wielkimi susami zbliżał się do dziewczyny, łamiąc gałęzie i wyrzucając spod łap liście i grudki ziemi. Ona za to stała nieruchomo, jak pieszy czekający na zderzenie z tirem. Z miejsca, w którym znajdował się Felix, wyglądało to, jakby zwierzę już miało ją stratować. Chłopak postąpił dwa kroki w jej stronę, jednak nie miał nawet pomysłu, co mógłby zrobić. Było już przecież pewne, że nie da się nic zrobić. A jednak w ostatniej chwili niedźwiedź wyhamował, wyrzucając w powietrze mech, ziemię i gałęzie. Nika zasłoniła się ramieniem, po czym opuściła ręce i spojrzała niedźwiedziowi w oczy. A niedźwiedź odpowiedział spojrzeniem. Obwąchał dziewczynę jak wielki psiak, mruknął wcale niegroźnie i położył się u jej stóp. Nika podrapała go za uchem i wyglądało to zupełnie naturalnie, jakby głaskanie trzystukilowych drapieżników było tym, co przydarza się w lesie równie często, jak znalezienie nierobaczywego prawdziwka. Gdy

niedźwiedź zaczął się dopominać o więcej, użyła obu rąk. Potem przytulił ją wielką łapą, przewracając dziewczynę tak, że zapadła się w jego futro, warknął jeszcze w powietrze, polizał ją po policzku, wstał i wolno odszedł w las.

Felix zaczekał, aż zwierzę oddali się na bezpieczną odległość, i dobiegł do siedzącej na mchu Niki.

— Co to było? — zapytał, rozglądając się czujnie.

— Niedźwiedź brunatny. — Nika pozwoliła się Felixowi podnieść. Wytarła rękawem policzek.

— Ale... dlaczego on się tak...?

— Nie mam pojęcia. Może chciał się pobawić. Może chciał być pogłaskany.

Wciąż miała miękkie nogi. Felix zwrócił uwagę, że Nika nie wygląda na przestraszoną, lecz raczej podekscytowaną, jakby wysiadła właśnie z rollercoastera [1](#).

— Może wolisz wrócić do Warszawy — zaproponował Felix. — Znajdziemy najbliższą szosę i dostaniemy się na stację.

Nika chwiała się lekko, ale Felix jakoś nie chciał jej puścić. Tak na wszelki wypadek.

— Ten niedźwiedź nie będzie nam więcej sprawiał kłopotów — powiedziała. — Nie wróci tu przez kilka dni.

— Skąd wiesz?

— Wiem. — Odetchnęła, wyprostowała się i poprawiła włosy. — Tylko musimy mu zostawić to śniadanie. Przyjdzie po nie wieczorem.

— Zrozumiałaś, co powiedział?

— Niedźwiedzie nie mówią, ale w jakiś sposób znam jego zamiary. Tak się czasem dzieje. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie mów nikomu, co tu się stało.

Felix nie miał najmniejszego zamiaru tego robić.

— Ciekawe, co my zjemy na śniadanie. — Felix objął Nikę. Zrobił to lekko, ledwo wyczuwalnie, trochę asekuracyjnie, po megaprzyjacielsku i delikatnie poprowadził ją w stronę polany. Zaraz jednak, gdy Nice przestały się plątać nogi, puścił ją i wolnym krokiem poszli dalej. Dziewczyna zatrzymała się i przyłożyła palec do ust.

— Słyszysz? — zapytała. — Dzwony.

Felix nasłuchiwał. Rzeczywiście z oddali dochodził dźwięk dzwonu.

— Pewnie kościół — powiedział.

— Nie. Nie kościół. Klasztor. Klasztor, o którym mówiła ta zakonnica. Dzwon wyznacza im rytm dnia.

— Wracajmy.

W obozie panował chaos. Wszyscy biegali, pakowali plecaki i torby, coś wykrzykiwali. CyBorek próbował przywrócić porządek, gwizdał i wykrzykiwał polecenia. Ze słabym rezultatem. Horacy i Kuba już stali z plecakami w miejscu, gdzie wysadziła ich ciężarówka. Wyglądali, jakby czekali na stacji na pociąg. Aurelia krzyczała do Klaudii, że ta spakowała się w jej walizkę, a obie pokracznie biegały na obcasach w tę i z powrotem. Oskar upychał ubrania w plecak, ale nijak nie mógł go dopiąć. Celina krążyła jak elektron wokół Klemensa i poganiała go, żeby szybciej ich pakował.

Zuzanna Zdrój zbierała kwiaty.

— Jesteś pewna, że on nie zamierza odwiedzić obozu? — zapytał Felix.

Nika przytaknęła.

— Co wy wyprawiacie?! — wykrzyknął Felix, gdy podeszli bliżej. — Co się stało?

— Co się głupio pytasz? — odparł Oskar. — Przecież widziałeś. Niedźwiedź tu biegnie!

Na słowo „niedźwiedź” dziewczyny zaczęły piszczeć i robić jeszcze szybciej to, co właśnie robiły.

— Nie biegnie — zaprzeczył Felix. — Przyszliśmy tu spacerkiem i nie ma tu żadnego... misia.

— Przecież był — powiedział nieco tylko spokojniej Wiktor. — Gonił nas.

— Nie biegł w naszą stronę, tylko uciekał — skłamał z przykrością Felix.

— Widziałem, jak biegł prosto na nas! — dodał Oskar.

— Najpierw widziałeś Klemensa — przypomniał Felix. — To był mały niedźwiadek i uciekł zaraz potem, jak cię zobaczył.

Panika w obozie z wolna zamieniała się w ostrożne zaciekawienie.

— Jesteś tu jedynym przytomnym człowiekiem. — CyBorek podszedł do niego. — Raportuj, co się wydarzyło.

Felix opowiedział w skrócie wszystko, z tym że dużego goniącego ich niedźwiedzia zamienił na małego uciekającego misia.

— Niestety wszystkie kanapki zaślinił i rozdeptał — dokończył.

— Słyszeliście — powiedział nauczyciel. — Niebezpieczeństwo było iluzoryczne. Rozpakujcie się.

— A jak przyjdzie inny niedźwiedź? — zapytał całkiem sensownie Wiktor.

— Niedźwiedzie mają swoje terytoria. — CyBorek zerknął na plastikę, która uzbierała już całkiem spory bukiet. — Polon, zajmij się śniadaniem zastępczym i zaplanuj pozostałe posiłki. Obiad o dwunastej, kolacja o dziewiętnastej. Ja z panią Zdrój ustalę plan zajęć na dziś. Zmontuj jeszcze stojak na dystrybutor wody pitnej.

CyBorek podał mu zwinięty worek z grubego, matowego plastiku. Odszedł. Gimnazjaliści powlekli się do namiotów, by się rozpakować.

Felix został z Oskarem, Gilbertem i z workiem.

— Musimy to zrobić? — zapytał Oskar.

— Tej butelkowanej wystarczy max na dwa dni, a gotowanie wody dla tylu osób jest mało wygodne.

Felix rozwinął worek. Jeśli wierzyć opisowi, miał dwadzieścia pięć litrów pojemności. Na górze widać było otwór do wieszania i dużą nakrętkę do nalewania wody. Od dołu zakończony był sztywną rurką wielkości półlitrowej puszki i kranikiem z pokrętłem.

— Filtr z włókna szklanego z węglem aktywnym — ocenił Felix. — Miejmy to z głowy.

Wykopał dołek w ziemi, przy pomocy kolegów pionowo wetknął w niego solidną, w miarę prostą gałąź, przysypał to wszystko ziemią, a na koniec utupał ją. Dla pewności podparł dwoma mniejszymi patykami i związał konstrukcję sznurkiem. Wyglądała solidnie.

Zawiesili na niej worek, napełnienie go zostawiając na później.

— Ten pluszak, który się przestraszył Oskara, może mieć kłopoty — odezwał się Gilbert. — Sąsiedzi zrobią mu rozbiory terytorium.

Felix podszedł do skrzyni i uniósł skrzypiące wieko. Wewnątrz było kilka zgrzewek wody mineralnej i karton sucharów. Felix rozejrzał się. Ziemia wokół ogniska usłana była rozrzuconymi częściami garderoby; leżały tam też książka, damska kosmetyczka i odtwarzacz MP3. Nie było jednak z pewnością niczego, co dałoby się zjeść.

— Czy mi się zdawało, czy wczoraj z ciężarówki ściągaliśmy dwie skrzynie?

— Nie pamiętam. — Nika wzruszyła ramionami. — Tyle było tych pakunków...

Felix podał jej paczkę sucharów i wodę mineralną. — Zjedz, a potem się prześpij. Przyda ci się sen.

Nika uśmiechnęła się z wdzięcznością i włożyła do ust pierwszy suchar. Felix wyjął ich cały karton i zaczął przeliczać zawartość. Gilbert podszedł i zajrzał do skrzyni.

— Umiesz strzelać z łuku? — zapytał.

— Strzelać z łuku? — Felix uniósł na niego wzrok i nagle doznał olśnienia. Plany CyBorka naprawdę mogły być zakrojone na większą skalę, niż do tej pory przypuszczał. Wstał i obejrzał się na rozmawiających nad jeziorem nauczycieli. — On chyba poważnie mówił o tym planowaniu posiłków.

— Zanosi się na to, że obóz będzie nie tylko teambuildingowy, ale i survivalowy ² na poważnie.

— Planujecie polowanie? — zaciekawiał się Lucjan. — Wreszcie coś się zaczyna dziać.

— To chyba podpada pod kłusownictwo — zastanowiła się Nika. — Nie można, ot tak, zastrzelić zająca i go zjeść.

— W jakiej fazie głodu kłusownictwo zamienia się w zwykłe polowanie? — zapytał retorycznie Gilbert. — Gdzieś około wieczoru będziemy już stawiać wnyki i kopać wilcze doły. Ale i tak nic nie złapiemy, bo jesteśmy z miasta, więc zaczniemy się zastanawiać nad sposobem przyrządzenia Klemensa.

Nika skrzywiła się z niesmakiem.

— Zaczniemy może od łowienia ryb.

Felix skinął głową.

— Wystarczy spinacz biurowy i mocna nitka.

— Jeśli tu gdzieś znajdziesz sklep papierniczy, to będzie też mięsny — ocenił Oskar.

Felix miał w plecaku kilka spinaczy, które nosił na wszelki wypadek, jednak wpadł mu do głowy inny pomysł. Podszedł do leżącej na ziemi książki, podniósł ją i przyjrzał się wnętrzu.

— Stare wydanie. Bardzo dobrze.

Za pomocą multitoola zamienionego w kombinerki wyciągnął z grzbietu zszywkę. Delikatnie, by nie złamać metalu, uformował z niej haczyk. Otworzył leżącą obok kosmetyczkę. Nie miał pojęcia, czyja może być, ale zdecydował, że w tej sytuacji nie jest to szczególnie ważne. Wyjął

opakowanie nici dentystycznej i odwinął kilka metrów. Chwilę zajęło mu zrobienie spławika z kawałka kory i wędki z metrowej elastycznej gałązki.

— Jeszcze tylko robak i możemy łowić — oświadczył z satysfakcją.

— Naprawdę imponujące — pochwaliła go Nika.

Felix uśmiechnął się i znów poczuł to niewytłumaczalne onieśmienie.

— Prześpij się — poradził. — CyBorek na pewno planuje na dziś jeszcze kilka atrakcji.

Nika przełknęła ostatni kęs, uśmiechnęła się do przyjaciela i odeszła w stronę namiotu. Felix westchnął i zebrał myśli. Co jeszcze będzie potrzebne? Podbierak można zrobić z siatki podpinkki kurtki przeciwdeszczowej. Nie, szkoda kurtki. Wystarczy zwykła torba foliowa.

— Oskar, lubisz wędkowanie?

Już gdy o to pytał, przeczuwał, jaka będzie odpowiedź.

— Stary, już się nałaziliśmy rano. — Oskar żuł źdźbło trawy. — Do obiadu się nie ruszam.

Wszystkim odpuściła adrenalina, więc jedyne, na co mieli ochotę, to odpoczynek. Tym bardziej że byli przecież niewyspani. Aurelia i Klaudia leżały na kocu jak księżniczki i opalały odsłonięte brzuchy. Klemens i Celina grali w karty. CyBorek gdzieś zniknął – prawdopodobnie przygotowywał kolejną „atrakcję”. Felix, jako obożny, został sam. Obozowicze jeszcze nie rozumieli, że są zdani na siebie. Czekali na obiad, ciesząc się, że nikt niczego od nich nie chce. Około południa poczują głód i zapytają, o której będzie jedzenie. I dopiero gdy się okaże, że jedzenia nie ma, zaczną się zastanawiać, jak zamówić pizzę w środku lasu.

Felix stwierdził, że nie ma dość sił, by organizować tę bandę leni i zapędzać ich do pracy. Wbrew oczekiwaniom CyBorka nie miał talentów przywódczych. Potrafił wymyślić, co trzeba zrobić, potrafił podzielić pracę między ludzi, ale już nie umiał ich zmusić, by tę pracę wykonywali. Wziął więc wędkę i sam poszedł nad jezioro.

Zupełnie nie znał się na łowieniu ryb. Jedyne co wiedział na ten temat, to że trzeba mieć kartę wędkarską i płacić gdzieś jakieś składki. Postanowił się tym chwilowo nie przejmować i po prostu wykopał z wilgotnej ziemi małą dżdżownicę, nabił ją na haczyk zrobiony ze zszywki i zarzucił przywęętę. Usiadł na trawie i czekał.

Kwadrans później, gdy zupełnie nic się nie wydarzyło, zaczął się zastanawiać, co robi źle. Gołym okiem widział przecież srebrzyste ryby śmigające tuż przy brzegu, krążące wokół spławika, łapiące muszki nisko lecące

za spławikiem. Czemu te małe stworzenia nie chciały dać się zwabić na tak łakomy kąsek? Może trzeba poczekać?

Wykorzystał wolny czas, by wykopać na małej plaży basenik, gdzie zamierzał przechować złowione ryby. Potem wyjął przynętę, by się przekonać, że na haczyku nie ma żadnej przynęty. Wykopał więc mniejszego robaczka i nabił go na haczyk. Zarzucił i czekał, pilnie obserwując haczyk pod wodą. Gdy pierwsza ryba przymierzyła się do robaka, pociągnął i, o dziwo, złowił rybę. Nie była duża, nieco większa od dłoni. Ale to zawsze coś, zawsze to satysfakcja. Zdjął trzepoczącą się rybę z haczyka i wpuścił do basenu. Spojrzał na zegarek. Minęła siódma trzydzieści, co oznaczało, że do południa, na kiedy to był zaplanowany obiad, zostało pięć godzin. A ryby trzeba jeszcze będzie oprawić i usmażyć, więc trzy, góra cztery godziny. Do wykarmienia było trzynaście osób; piętnaście, jeśli liczyć opiekunów. Taka ryba jest akurat odpowiednia dla jednej osoby, i to na przekąskę. A to znaczyło, że w obecnym tempie połów zajmie siedem godzin. W optymistycznej wersji. No a potem od razu pojawi się problem kolacji. I tak w kółko.

Przez myśl przemknęło mu wykorzystanie Bulbota. Wystarczyłoby przypiąć do jego ogona odpowiednio ukształtowaną sieć i zrobić trzy kółka po jeziorze. Niestety wiązałoby się to z dekonspiracją zawartości skrzyni, no i nikt nie miał przecież sieci. Przyłapał się na myśli, że musi coś zrobić, żeby Nika nie była głodna. Nie żeby wszyscy nie byli głodni, tylko żeby głodna nie była Nika. Skąd nagle ten instynkt opiekuńczy? Potem przez myśl przeszło mu poparcie wczorajszej propozycji Oskara, żeby nie przejmować się losem nierobów. No ale przecież tego nie robi... Tak czy inaczej jednoosobowe łowienie ryb było zbyt mało efektywne. Wetknął wędkę w ziemię i z saperką w dłoni wrócił do obozu. CyBorka wciąż nie było. Większość obozowiczów spała w namiotach, część na zewnątrz. Jedynymi aktywnymi ludźmi byli Oskar, Wiktor i Gilbert – pięćdziesiąt metrów dalej rzucali papierowym samolocikiem. Felix nie miał siły przekonywać ich, żeby mu pomogli. Do tej pory narzekał na Neta, że trudno zmusić go do konkretnych działań, a teraz musiał przyznać, że bardzo mu brakuje tego roztrzepanego i nierozsądnego przyjaciela. On by pomarudził, ale ostatecznie zrobił to, co było do zrobienia. Nika też, ale nie miał sumienia jej budzić.

Obszedł obóz, pozbierał kilka przedmiotów i ułożył je na ziemi przy przewróconym pniu. Usiadł i popatrzył na nie: na saperkę, zapasową linę

do namiotu, urwaną sprężynę od wieka skrzyni i na kilka drobiazgów, co do których pochodzenia nie miał pewności.

Chwilę później miał już gotowy plan.

* * *

Nika obudziła się głodna. Przez ostatnie kilka minut mocno subiektywnego czasu wewnątrzennego próbowała się dostać do stołówki, gdzie wszyscy pałaszowali pieczenie i gulasze z talerzy wielkich jak miski. We śnie próbowała tam wejść, ale przeszkadzały jej albo szklane przepierzenia, albo niedziałające bramki, albo grubi ludzie blokujący wąskie przejścia. Jak w grze komputerowej.

A teraz leżała w łóżku z otwartymi oczami, patrzyła na zielony dach namiotu poruszany delikatnym wiatrem. Suchary ze śniadania w dziwny sposób wyparowały z żołądka i teraz wydawało jej się, jakby nie jadła od wczoraj. Przełknęła ślinę. Nadal czuła ten zapach. Usiadła na łóżku i już miała wsunąć nogi w Martensy, gdy przypomniała sobie dobrą radę Felixa, żeby najpierw wytrząsnąć potencjalnie niechcianą zawartość butów. Tak uczyniła, na wszelki wypadek nie sprawdziła, co wypadło, założyła je i wyszła przed namiot.

Nad ogniskiem, na rożnie wykonanym z patyka kończył się piec zając. To on właśnie był źródłem zapachu, który wpłynął na treść snu Niki. Obok, na mniejszych patykach wetkniętych w ziemię, piekło się kilka ryb. Obóz sprawiał wrażenie lepiej zorganizowanego niż rano. Imponująca sterta drewna powinna wystarczyć na kilka dni, a wokół paleniska pojawiły się prowizoryczne ławeczki. To właśnie stukot młotka, którym Felix wbijał teraz ostatnie gwoździe, obudziły ją przed chwilą. Chłopak przydzielał innym zadania i choć połowa gimnazjalistów nadal nic nie robiła, reszta współpracowała i szło to całkiem sprawnie. Wiktor siedział i sortował gałęzie według grubości, Oskar obracał ruszt i pilnował ognia, Lucjan wracał właśnie znad jeziora z kubłem wody.

Nika porównała Felixa w myślach z Netem, który w podobnej sytuacji niestety zachowywałby się prawdopodobnie raczej jak Oskar, czyli beztroško czekał, aż ktoś inny wszystko zorganizuje. Wtedy przyszło jej do głowy pytanie, które pojawiłoby się znacznie wcześniej, gdyby nie senność.

— Skąd wzięliście zająca?

— O, wstałaś! — Felix zauważył ją dopiero teraz. — Upolowałem go.

Nika ziewnęła, przetarła oczy i upewniła się, że zajac nadal jest na różnie. Felix upolował zajaca – przyswojenie tej informacji było trudniejsze. Chłopak podniósł z ziemi coś, co wyglądało jak saperka z przywiązany patykiem i jakimś drutem.

— To kusza — wyjaśnił. — Niespodziewanie celna.

— Zrobiłeś kuszę i upolowałeś zajaca?

— Z przykrością. Łowienie ryb było za mało efektywne, a z zapasów mamy tylko suchary i trochę ziemniaków. Wczoraj zjedliśmy wszystkie pulpety w sosie pulpetowym. CyBorek źle coś policzył.

— Pewnie policzył dla siebie i Zuzanny — odezwał się Oskar.

CyBorka nie było nigdzie widać; albo był w lesie, albo w namiocie dowodzenia, jak nazwał swoją kwaterę. Zuzanna tworzyła rysunek ołówkiem. Sztalugi o teleskopowych nogach rozstawiła kilkanaście metrów od obozu i w twórczym zapamiętaniu oraz w dziwnych pozach dorysowywała kolejne kreski i kreseczki. Prawdopodobnie powstawał pejzaż, ale pewności nie było. Lekki wiatr poruszał jej zwiewną strzępiastą spódnicą, takimż fifrączkiem, kilkoma szalami i rozwiewał jeszcze włosy.

— Malowniczy widok — oceniła Nika.

— Wygląda, jakby miała odlecieć — przyznał Gilbert, który akurat wrócił z nową porcją drewna. Rzucił je na stertę. — Myślicie, że pingwiny mają kolana?

— A co to ma wspólnego... z czymkolwiek?

— Prawdopodobnie nic — odparł po prostu Gilbert i poszedł po więcej drewna.

Nika nachyliła się do Felixa i powiedziała cicho, żeby tylko on słyszał:

— Poproś CyBorka o telefon. Powiedz, że masz do załatwienia tylko jedną ważną sprawę. To zresztą prawda. Zadzwonimy do Neta.

— Już o tym myślałem. I powiemy Netowi, żeby wziął dwa telefony, bo jeden na pewno skonfiskuje mu komendant obozu. Na razie gdzieś poszedł. Zastanawiałem się, czy nie zagrozić, że w ogóle wrócimy do Warszawy, jeśli nam nie odda telefonów.

Wbił ostatni gwóźdź, wyprostował się i ocenił swoje dzieło. Ławy były trzy i razem z przewróconym pniem powinny wystarczyć dla wszystkich.

— Zadomawiamy się — zauważyła Nika.

— Polej mi — poprosił ją, wyciągając przed siebie brudne dłonie.

Nika nabrała kubek wody z kubła i polała dłonie przyjaciela.

— Idzie CyBorek — oznajmił Oskar. — Z jakimś żołnierzem.

— Może niosą zapasy — zainteresował się Wiktor, ale nie chciało mu się wstawać.

— Coś tam niesie na ramieniu, ale to nie jest... — Oskar wszedł na pień. — To karabin! Prawdziwa broń. Może da nam postrzelać.

— Najpierw ja strzelam do ciebie, a jak trafię, to się zamieniamy. — Gilbert rzucił drewno na stertę i też podsunął dłonie pod strumień wody.

Nie było mydła ani ciepłej wody, więc mycie rąk zajmowało znacznie więcej czasu. Gdy Felix skończył i wytarł dłonie, było już za późno. Karabin okazał się strzelbą dwururką, a żołnierz – pięćdziesięcioletnim tęgim leśniczym. Leśniczym, który patrzył z uniesionymi brwiami na upieczonogo zająca. Felix dyskretnym, jak się tylko dało, ruchem wepchnął prowizoryczną kuszę za skrzynię.

— Jeśli powiecie mi, że to nie to, co myślę, to nie uwierzę — powiedział leśniczy.

Nie mniej zdziwiony był CyBorek.

— To nie to, co pan myśli — odparł odruchowo Oskar.

— Jeśli to nie jest upolowany nielegalnie i upieczony zając, to co?

— Sojowy królik z Tesco — odparł Gilbert.

— Z Tesco? — Leśniczy odruchowo poprawił zjeżdżającą mu z ramienia dwururkę. — A gdzie tu jest Tesco?

— Pójdzie pan tą ścieżką — Gilbert wskazał dłonią kierunek — po dwóch kilometrach skręci pan w lewo, a przy kapliczce pod uschniętym jesionem –

— Przywieźliśmy mrożonki — przerwał mu CyBorek. — To tworzy lepszą atmosferę obozową niż żarcie mielonki z puszki. — Poufale położył dłoń na ramieniu leśniczego i delikatnie skierował go dalej od ogniska. — Zające zającami... to znaczy zające królikami, a problemem jest niedźwiedź. Dzieciaki czekały na ten obóz przetrwania przez cały rok. Dyrekcja szkoły chciała ich skierować na wypoczynek do luksusowego pensjonatu, ale oni twardo, że nie, że chcą pod namiot, że chcą mrożone króliki zamiast jakiejś tam pizzy.

Gimnazjaliści słuchali tego z niewyraźnymi minami.

— Pizza... — Oskar przełknął ślinę.

— A tu pojawia się niedźwiedź i burzy poczucie bezpieczeństwa — ciągnął nauczyciel. — Na popołudnie mamy zaplanowaną ciekawą grę terenową i dzieciaki będą niepokieszone, jeśli trzeba będzie ją odwołać. Może

dałoby się...? — Spojrzał wymownie na strzelbę. — Grasujący na wolności niedźwiedź to wielkie niebezpieczeństwo.

Możliwość odwołania gry terenowej, czymkolwiek miała być ta gra, ożywiła obozowiczów.

— Ranny niedźwiedź jest bardziej niebezpieczny — powiedział Wiktor.

— Tak, lepiej go nie drażnić — poparł go Oskar.

— Przeczekajmy, aż sobie pójdzie — dodał Gilbert. — Tak z tydzień przeczekajmy.

Nauczyciel zgromił ich wzrokiem.

— On nie grasuje — dodała Nika. — On jest u siebie w domu.

— Obejdzie się bez strzelania — obiecał leśniczy. — Pogadam z nim jeszcze dziś. Co zaś do tego... królika — nie miał zamiaru dać się odciągnąć od dowodu rzeczowego na kłusownictwo — to coś duża sztuka była.

W tej sprawie nauczyciel i uczniowie zwarli szyki.

— Na sterydach teraz hodują wszystko — wyjaśnił Gilbert. — Kurczaki sprzedają jako indyki, a indyki jako prosiaki. W zeszłym roku na targu w Małkini sprzedali krowę, która udawała mamuta.

— To jest królik piętnastoosobowy — dodał CyBorek. — Dla całego oddziału... grupy.

— Ma dwa razy dłuższe tylne łapy niż największe króliki, jakie widziałem. — Leśniczy skubał siwe wąsy.

— Specjalnie je hodują na takie wycieczki klasowe — wyjaśnił szybko Gilbert. — Trzeba go zamówić pół roku wcześniej. Naciągają mu czymś te łapy, żeby dziko wyglądały. Takie śruby się przekręca, codziennie pół obrotu...

Leśniczy nie był przekonany, ale brakowało mu argumentów.

— Hm, skoro tak twierdzicie. A ryby macie z jakiego sklepu?

— Sądząc po wielkości — ocenił Gilbert — to bardziej z zoologicznego niż z rybnego. Ot, wyrośnięte skalary.

— No, to nie zatrzymujemy pana leśniczego, obowiązki z pewnością wzywają. — CyBorek uznał, że lepiej nie ryzykować dłuższej rozmowy z Gilbertem.

— Bardzo ładny kolor — powiedziała Zuzanna Zdrój, stając ze skończonym rysunkiem obok leśniczego. — Mówię o mundurze. Jednolity, prosty, skromny. Widać, że ma pan gust i dobrego krawca.

Leśniczy nie słuchał komplementów. Przyglądał się rysunkowi, który w niczym nie przypominał większości abstrakcyjnych dzieł plastyczki. Ten

był wyjątkowo realistyczny. Przedstawiał gimnazjalistę Felixa Polona polującego z kuszą na zająca.

* * *

Zajac okazał się całkiem smaczny, ale przyjemność z posiłku była niewielka. Przez cały czas nauczyciel siedział naładowany jak armata. Wszyscy jedli w milczeniu, bojąc się doprowadzić do eksplozji. Eksplozja nastąpiła planowo, gdy skończyli.

— W szeregu zbiórka! — ryknął CyBorek.

Uczniowie, dogryzając ostatnie kosteczki i oblizując palce, ustawili się w całkiem równym szeregu. Nauczyciel chwilę przechadzał się przed nimi i każdemu posyłał groźne spojrzenie.

— Co to miało być? — zapytał wreszcie. — Co wam strzeliło do łbów, żeby polować na zająca.

— Zaatakował nas — powiedział Gilbert. — Musieliśmy się bronić. — I już bez przypominania zaczął robić pompki.

CyBorek sięgnął po gwizdek, żeby go skarcić i kazać mu robić za karę dwadzieścia pompek. Byłoby to bez sensu. Chwilę gapił się na niego, po czym oznajmił:

— Wszyscy zrobią po dwadzieścia pompek. Ruchy, ruchy!

Przez następną minutę klasa z mniejszym lub większym powodzeniem wykonywała polecenie. Klemens nie zrobił ani jednej pompki; z dziewczyn tylko Nice i Aurelii udało się zrobić kilka.

— Tak będzie za każdym razem, kiedy Kurtacz wprowadzi w życie pomysł opowiedzenia głupiego żartu — oświadczył nauczyciel.

— Dzięki, stary — Lucjan posłał Gilbertowi nieprzychylne spojrzenie.

— Więc słucham — zachęcił CyBorek. — Kto wpadł na pomysł kłusownictwa? Ktoś mi to wytłumaczy?

Zapadła cisza, w której wszyscy patrzyli w różne strony, byle nie wskazać wzrokiem Felixa.

— Ja opowiem — odezwał się Gerald.

— Ja go upolowałem — przyznał się Felix, uprzedzając to, co i tak by nastąpiło. — Wczoraj zjedliśmy całe zapasy żywności, nie licząc sucharów i ziemniaków.

— Jest cała skrzynia żarcia — odparł ze złością nauczyciel.

— Jest niemal pusta. — Felix wskazał skrzynię.

— Druga skrzynia. Żywność jest w drugiej skrzyni. W tej było tylko to, co się nie zmieściło w tamtej. — CyBorek rozejrzał się po obozie. — Gdzie druga skrzynia?

Zapadło milczenie. Wszyscy patrzyli po sobie. Celina odchrząknęła i powiedziała:

— Coś podobnego stoi w naszym namiocie.

Nauczyciel odwrócił się, podszedł do namiotu dziewczyn i zamasy-
stym ruchem odwinął połą przy wejściu. Wszyscy opuścili szereg, żeby też
zajrzeć. W pierwszym momencie nie udało im się dostrzec sporej przecież
skrzyni. Dopiero po chwili zauważyli nakryty kocem prostokątny kształt na
końcu, między dwoma łózkami. Rozmiary wskazywały na to, że jest to
zaginiona skrzynia. Na jej środku na serwetce stały kubek w charakterze
wazonika z kwiatami oraz lustro, a obok leżało kilka dziewczęcych
drobiazgów: jakieś kremy, tusz do rzęs, balsamy do ciała, bransoletki
i naszyjniki.

— Co to jest? — CyBorek skrzywił się z niesmakiem.

— Nasza toaletka — wyjaśniła Aurelia. — Toaletka w sypialni to
konieczność.

— Ustawcie ją obok drugiej skrzyni. — Nauczyciel wyszedł z namiotu.
— I ani słowa. Teraz czas na popołudniową drzemkę.

— Drzemkę? — zapytał Gilbert.

— Dwadzieścia pompek. Nie ty — powstrzymał chłopaka, który już się
schylał. — Pozostali.

To nie był dobry moment na pytanie o telefony.

* * *

Zaśnięcie o tej porze było trudne. Felix poczuł się, jakby znów był
w przedszkolu – leżakowanie należało do najbardziej przykrych wspo-
mnień. Leżał więc i gapił się w sufit. Początkowo próbował czytać, ale
CyBorek zajrzał do namiotu i pogroził mu palcem. Nauczyciel zaglądał co
kilkanaście minut i sprawdzał, czy wszyscy śpią. Udało się to tylko Kle-
mensowi. Gilbert zaczął słuchać muzyki, ale skończyło się to konfiskatą
odtwarzacza. Leżakowanie trwało półtorej godziny i jedyną pozytywną
stroną okazało się to, że Felix mógł zebrać myśli i zastanowić się, co robić.
Nie zamierzał spędzić w ten sposób tygodnia, który przecież miał być

nagrodą za cały rok nauki. Sen zmorzył go pięć minut przed końcem leżankowania.

Tym razem pobudka nie polegała na waleniu w garnek. Wuefista odchylił połę namiotu i nawet nie unosząc głosu, powiedział, że mają wstać. Felixowi chwilę zajęło dobudzenie Klemensa, który tak się rozespał, że nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Gdy wreszcie dotarło do niego, że obóz namiotowy to nie sen, spochmurniał i zwałóknął się z łóżka.

W wyjściu z namiotu Lucjan niby niechący, ale naprawdę zupełnie chcący, potracił Gilberta.

— Ty się nawet nie odzywaj — zagroził.

Bez przypominania ustawili się w szeregu, a CyBorek oznajmił optymistycznym głosem:

— Popołudniowa gra terenowa polega na rywalizacji między drużynami. Wasze zadanie to odnalezienie fantu, który jest ukryty gdzieś w lesie. Drużyna „Teraz” ruszy brzegiem jeziora. Drogę będą wam wskazywały różowe wstążki. Drużyna „Nic nie mów” będzie miała drogę dłuższą, ale łatwiejszą, bo obejdzie jezioro lasem. Wstążki niebieskie. Jest o co walczyć. Drużyna, która przegra, zmywa naczynia. Wyruszacie od razu. Nie gadać!

To ostatnie było skierowane do Felixa, który zamierzał coś powiedzieć Lucjanowi.

— Chciałem ustalić, która drużyna wyrusza pierwsza — wyjaśnił Felix.

— To nie ma znaczenia. Zaczynacie w przeciwnych kierunkach.

— Rywalizacja będzie ciekawsza — poparła go Nika. Nie podejrzewała, co zamierza Felix, ale wiedziała, że ma jakiś cel.

— Rzucajcie monetą — zdecydował CyBorek. — Wybrany będzie miał dwie minuty forów.

Felix wygrzebał z kieszeni monetę i głową wskazał Lucjanowi, żeby odeszli kawałek na bok. Gdyby ktoś się nad tym zastanowił, musiałby przyznać, że to niczemu nie służyło. To znaczy na pewno nie służyło poprawie jakości losowania. Felix podrzucił monetę, złapał, położył na dłoni i nachylił się do Lucjana:

— Spotkajmy się po drugiej stronie jeziora, za drzewami, żeby nie było nas widać. Musimy porozmawiać. Wygraliście.

Nie czekając na odpowiedź, odszedł. Lucjan chwilę stał nieruchomo z głupim wyrazem twarzy.

— Nad czym myślisz? — zapytał po wojskowemu CyBorek. — Orzeł to ten ze skrzydłami.

— To z radości. — Lucjan wyprostował się. — Wygraliśmy.

Machnął ręką na drużynę i wszyscy, z wyjątkiem Klemensa, który miał wartę, odeszli w kierunku widocznej całkiem nieźle wstążki, którą przywiązano do wbitego w ziemię patyka.

Dwie minuty później „Nic nie mów” wyruszyli w przeciwną stronę. Ledwie oddalili się na kilkadziesiąt metrów od obozu, stres opadł.

— Też to macie? — zapytał Wiktor. — Jakbym wyszedł z egzaminu.

— Coś mi się wydaje — odezwała się Nika — że cała ta gra terenowa służy tylko temu, żeby oni mieli dla siebie czas w obozie.

— Czyli czeka nas co najmniej godzina łażenia — ocenił Oskar. — Ciekawe, co za fant jest na końcu.

— Ani trochę mnie nie obchodzi, co jest na końcu — oświadczył Felix bez cienia humoru. — CyBorek próbuje nas podzielić, żeby łatwiej wprowadzić dyscyplinę. Musimy pogadać z resztą. Spotkamy się z Luckiem na drugim brzegu.

Nika trzymała się blisko niego. Chciała zapytać, jakie ma plany, ale postanowiła poczekać.

Obejście jeziora zajęło nie więcej niż pół godziny. Przy okazji zauważyli, że jezioro jest podłużne, a obóz znajduje się blisko jednego jego końca. Miało też dość nieregularną linię brzegową, dzięki czemu nie było widać drugiego końca. Woda oglądana pod odpowiednim kątem rzeczywiście wydawała się czerwona, co tłumaczyło nazwę. Przyczyną tego zjawiska mogła być spora ilość kory, która lądowała na dnie, torf albo zawartość minerałów. W tym momencie nawet dociekliwy zwykle Felix nie miał ochoty tego badać.

W połowie drogi stracili z oczu niebieskie wstążki. Lucjan i jego drużyna czekali na nich za szczytem pagórka, skąd nie było już widać obozu. Wszyscy stanęli w okręgu i patrzyli wyczekująco na Felixa.

— Czy wy też odczuliście ulgę, kiedy wyszliście z obozu? — zapytał. Część przytaknęła. — To miało inaczej wyglądać. Miał być relaksujący odpoczynek, a robimy pompki.

— To nieuczciwe, że Gilbertowi odwała, a my mamy karę — zauważyła Aurelia.

— Nie odwała mi — zaprzeczył Gilbert. — Raz mi kiedyś odwaliło i już tak zostało.

— To metoda odpowiedzialności zbiorowej — wyjaśnił Felix. — Po kilku takich akcjach sami zaczniemy gnębić Gilberta, żeby się nie wychylał. A raczej zaczęlibyśmy gnębić, gdybyśmy byli w wojsku. Nie zamierzam do tego dopuścić. Jeżeli CyBorek nie odda nam telefonów i nie przestanie zamieniać wycieczki w obóz karny, zamierzam wrócić do domu. — Spojrzał na Nikę. — Razem z tobą.

— Już widzę, jak mu to mówisz — pokpiwał Lucjan.

— On się nie zgodzi. — Nika popatrzyła na Felixa i lekko się uśmiechnęła.

— Więc zorganizuję ucieczkę.

— Wtedy dopiero zacznie gnębić pozostałych — stwierdził Lucjan.

— To wynika z tej twojej teorii — poparł go Wiktor.

— Możemy uciec wszyscy — powiedział Felix. — Ale na razie musimy się trzymać razem. Te ciągłe pompki to sposób, żeby nas podzielić. On próbuje nas trenować, jak trenuje się niedoświadczonych żołnierzy.

— Przemówię do rozsądku Gilbertowi, to nie będzie pompek. — Lucjan założył jedno ramię na drugie, co uwydatniło jego muskulaturę. Aurelia przesunęła po nim wzrokiem.

— Nie możesz przemawiać do czegoś, co nie istnieje — zauważył Gilbert.

— Zastanawialiście się, po co on nam zabrał te telefony? — zapytał Felix. — Przecież nie po to, żeby się nie zniszczyły. Empetrójek nam nie zabrał, konsoli do gier też nie.

— Żebyśmy się nie skarżyli starym? — zapytał Oskar.

— To też. Ale głównie po to, żeby nas odizolować od świata. I żeby sam dzięki temu miał na nas większy wpływ. Jedyne autorytet w naszym zasięgu. On był w wojsku i to chyba w jakichś jednostkach specjalnych, więc wie, jak robić takie szkolenia. Pierwsza zasada, to oduczyć samodzielnego myślenia. Więc nie daj się oduczyć i myśl. Nie pozwól, żeby CyBorek się tobą posługiwał w gnębieniu Gilberta. Jeśli zaczniesz to robić, to będzie znaczyło, że on wygrał i nie potrafisz już samodzielnie myśleć. Pompki każe ci robić CyBorek, nie Gilbert.

— Jak Gilbert nie będzie świrował, CyBorek nie każe nam robić pompek.

Felix westchnął. Tłumaczenie klasie popołudniowych przemyśleń okazało się trudniejsze, niż przypuszczał.

— Gdyby tu była pani Jola, nic takiego by się nie wydarzyło — zauważyła Nika. — Na pomoc Zuzanny nie mamy co liczyć. Musimy sami sobie poradzić. Porozmawiajmy z nim.

— Gadamy, a czas ucieka — zauważył Lucjan.

— Spiesz ci się do musztry? — Felix wskazał obóz.

— Na pewno nie spiesz mi się do zmywania.

W obu drużynach zapanowało lekkie poruszenie. Felix znów ciężko westchnął.

— O tym mówię. On próbuje nas skłócić ze sobą, żebyśmy wykonywali jego rozkazy. Bo to przecież są rozkazy. Ale nie musimy tego robić. Jedyne, co nas teraz pogania, to przeciwna drużyna. Całkiem prosty mechanizm.

— Jaki masz pomysł, żeby przestał działać? — zapytał Wiktor.

Felix podrapał się za uchem. Nie miał pomysłu. Cała ta przemowa nie miała sensu, skoro i tak ten, kto przyjdzie jako drugi, będzie musiał zmywać.

— Wróćmy równocześnie — zaproponowała Nika. — Wtedy nie będzie zwycięzcy i nie będzie mógł wskazać, kto ma zmywać.

— Wtedy wszyscy będziemy zmywać — zauważyła Aurelia. — A ja nie zamierzam zmywać. Rano zrobiłam paznokcie. — Na dowód tego uniosła dłonie.

— Chyba te szpony wyschną ci przez godzinę — powiedział Lucjan.

— Dlaczego niby akurat dziewczyny mają zmywać?

— A dlaczego chłopaki mają zmywać? — odparował Lucjan. — Namiotu nie rozstawiałaś, drewna nie nosiłaś, zająca nie upolowałaś. Nic nie robisz, tylko czekasz, aż inni zrobią to za ciebie!

— To się kiedyś nazywało dżentelmeństwo, prymitywie!

— Dżentelmeni zmywali naczynia? Poważnie, królowo?!

— Przestańcie — poprosił Felix. — O co my się kłócimy? O mycie miski i łyżki? Przecież to zajmuje kilka sekund. Ja umyję tę twoją miskę. A teraz pójdziemy razem, razem odnajdziemy fant i razem przyniesiemy go do obozu. Powiemy, zgodnie z prawdą, że odnaleźliśmy fant w tym samym momencie. Musimy się trzymać razem i nie dać mu się podzielić.

Lucjan rozważał te słowa, a reszta drużyny „Teraz” czekała na decyzję.

— Dobra, prowadź.

Felix skinął głową i ruszył przodem do miejsca, gdzie widzieli ostatnią wstążkę. Nika szła tuż obok.

— On się i tak wkurzy — powiedziała cicho. — Zanim wrócimy, powinniśmy przygotować się na poważną rozmowę.

— Jeśli tylko będziemy się trzymać razem, jakoś się uda.

Przeszło mu przez myśl, żeby chwycić ją za rękę. Powstrzymał się.

* * *

Fant znaleźli po godzinie spaceru zygzakami i krążenia po okolicy, choć w prostej linii do obozu było nie więcej niż kilometr. Okazała się nim wypalona w ognisku i pomalowana na granatowo puszką po konserwie.

— Kiedy on zdołał to wszystko przygotować? — zdziwił się Oskar. — On chyba w ogóle nie sypia.

Nikt tego nie skomentował. Wszyscy powlekli się z powrotem. Felix pomyślał, że to porównywanie CyBorka do jakiegoś superbohatera nie ułatwi całej rozgrywki o wolność na obozie. Nie miał jednak pomysłu, jak to mądrze skomentować.

Przezornie nie wrócili do obozu ani od południa, ani od północy, lecz przez sam środek polany, czyli od wschodu. Felix i Lucjan wspólnie trzymali puszkę, pilnując, by nikt nie był bardziej uprzywilejowany. Nika szła tuż obok Felixa, a Aurelia chyba bardzo chciałaby iść obok Lucjana, ale wciąż przecież była obrażona.

CyBorek leżał na leżaku plażowym przed swoim namiotem i czytał miesięcznik militarny z reklamą okrętu podwodnego na tylnej okładce. Zaczekał, aż wszyscy podejną, dopiero wtedy wstał. Gimnazjaliści bez przypominania ustawili się w szeregu. To również nie spodobało się Felixowi. Wspólnie z Lucjanem położyli puszkę na ławie i dołączyli do szeregu.

— Drużynowi — powiedział rozkazującym tonem CyBorek. — Złóżcie meldunek.

— Meldunek? — zdziwił się Felix.

— Fant został odnaleziony — zameldował niepewnie Lucjan.

Felix zebrał się w sobie i zapytał:

— Po co to wszystko? Po co łazimy po lesie, szukając puszki? Ten wyjazd miał być nagrodą za cały rok nauki.

— To wszystko po to, żebyście nie wyrosli na ciepłe kluchy — odparł CyBorek. — Przez rok gnuśnieliście w szkolnych ławkach z przerwami na wychowanie fizyczne. Kiedyś mi podziękujecie.

— Rozumiem obóz przetrwania, uczymy się budować namioty i... polować, ale ta cała musztra i dyscyplina... — Felix szukał odpowiedniej formy, jednocześnie stanowczej i grzecznej. — To nie jest wypoczynek.

— To jest czynny wypoczynek. — Nauczyciel podniósł puszkę. — Gratulacje. Doskonale zagranie, Polon. Wygraliście.

— Że co?! — wykrzyknął Lucjan.

— Daliście się wykiwać, „Teraz” — odparł nauczyciel. — Przynieśliście fant przeciwnej drużyny.

— To były dwa fanty? — zapytał równie zdziwiony Felix.

— Wzięliście granatowy, bo szliście trasą drużyny „Nic nie mów”. Gdybyście nie dali się wykorzystać i szli własną trasą, moglibyście wygrać. A tak niestety zmywacie po kolacji. Rozejść się!

To również nie był dobry moment na pytanie o telefony. Obie drużyny odeszły w przeciwnych kierunkach, zerkając na siebie spode łba.

— Czułem, że coś się za tym kryje. — Lucjan posłał Felixowi groźne spojrzeenie. — Jeszcze parę dni. Zobaczymy, kto będzie górą.

Felix stał przygarbiony na środku placu. Nika objęła go pocieszająco ramieniem. Przełknął ślinę. Jutro przyjeżdża Net.

* * *

Na kolację był makaron z czymś, co od biedy można było uznać za sos bolognese. Gdy skończyli jeść, Lucek wstał i ostentacyjnie zebrał od wszystkich miski. Cała drużyna „Teraz” poszła nad jezioro. Felix przez chwilę rozważał, czy nie pójść z nimi i samemu nie pozmywać wszystkiego. Po namyśle uznał, że nic by to nie dało, co najwyżej doprowadziło Lucjana do wybuchu.

— Sprytnie to rozegrałeś — przyznała Aurelia.

— Niczego nie rozgrywałem — odparł ponuro Felix. — To stara zasada „dziel i rządź”. Karę wyznaczył CyBorek, ale wskazał mnie jako winnego. — Zerknął na siedzącego w leżaku CyBorka. Był dostatecznie daleko, żeby nie słyszeć przyciszonej rozmowy. — Zaraz dostaniemy stopnie wojskowe i będziemy kończyć każde zdanie słowami „panie komendancie”.

— Zadaż sobie pytanie, kto tutaj ustala zasady, a potem wyciągnij z tego wnioski — poradził Wiktor.

— Zobacz, jak się skończyło dla Neta zadzieranie z Eftepem — przypomniał Oskar. — Tkwi w domu i poprawia test.

— Nie ma go tu, bo na teście próbował ci pomóc — wtrąciła z pretensją w głosie Nika.

Oskar wydał wargi.

— Wkopiesz nas tylko bardziej — odezwał się Gerald.

Felix odetchnął i mówił dalej:

— Eftep gnębi Neta, ale wystarczyłoby, żeby Net przestał mu się odgryzać i byłoby po sprawie. CyBorek nie przestanie nas dyscyplinować, bo on to zwyczajnie lubi.

— Eftep to taki Kim Dzong Il naszego gimnazjum — zauważył Gilbert.
— CyBorek to bardziej Stalin. Nie dość że zły, to jeszcze ma prawdziwe czołgi. Masz jakiś plan? Plan Barbarossa ³ na przykład?

— Mam plan, żeby trzymać się razem.

— Wystarczył jeden trick — przypomniał Wiktor — i nici z trzymania się razem.

— Nie rozumiem tej całej polityki — przyznał Oskar. — Nie będę się więc w to łądował. Po prostu róbmy, co chce CyBorek.

— Ja ją za to rozumiem całkiem dobrze — dodał Wiktor. — Więc tym bardziej nie będę się łądował.

— Dasz się tak... — Felix szukał odpowiedniego słowa — zgłębić?

— Wytłumaczę ci. Można spędzić tydzień przyjemnie, od czasu do czasu łążąc po lesie i znajdując puszki. Pogoda sprzyja. A można go spędzić na robieniu pompek i innych karnych zajęciach, których jeszcze nie doświadczyliśmy. Nie potrafisz tego zmienić, więc przyjmij opcję pierwszą. Gdzie jest ośrodek władzy? — Wskazał kciukiem na CyBorka. — Tam. Jeśli nie potrafisz zmienić tego ośrodka, to ja się dalej nie bawię w konspirację.

Odszedł, a Oskar poszedł za nim.

— Nic nie będzie z twojego planu — przyznała Aurelia. — Ale jak zorganizujesz tę ucieczkę, to jadę z tobą.

Nika zmarszczyła brwi.

— Najpierw spróbujmy odzyskać telefony — powiedziała.

Felix odwrócił się i spojrzał na namiot dowodzenia. W jego głowie rodził się kolejny plan.

* * *

Klaudia i Celina poszły się wykąpać pierwsze, nawet nie wspominając o tym swoim koleżankom z drużyny „Nic nie mów”. Aurelia i Nika zorientowały się, dopiero gdy tamte wróciły i było już niemal całkiem ciemno. Wzięły więc ręczniki, turystyczną lampę elektryczną stylizowaną na naftową i ruszyły do ujścia strumienia. Nika wcale nie była zadowolona z towarzystwa Aurelii, ale jeszcze bardziej nie chciała iść sama. Ciepła letnia noc pod gwiazdami mogła być bardzo przyjemną odmianą po kilku miesiącach życia w zgiełku miasta. Mimo spartańskich warunków cały ten wyjazd mógł być doskonałym sposobem na odstresowanie się po trudnej końcówce roku szkolnego. Mógłby, gdyby nie atmosfera, jaka zapanowała w obozie.

Gdy dochodziły do szemrzącego strumienia, Nika z zaskoczeniem zdała sobie sprawę z tego, że towarzystwo milczącej Aurelii nie jest dla niej przykre. W szkole jej nie znosiła, zaczynała się denerwować, gdy tylko tamta pojawiała się w pobliżu.

— Wykąpmy się w jeziorze — zaproponowała Aurelia. — Wczoraj w strumieniu woda była lodowata.

— A pijawki?

— No to chociaż przy ujściu strumienia.

Nika poświeciła lampą na wodę. Tutaj strumień rozszerzał się do paru metrów, a dno było w większej części piaszczyste. Kawalek dalej woda przelewała się do jeziora przez kilka dużych głazów. Nika postawiła lampę na płaskim kamieniu i przyciemniła ją niemal do zera. Dziewczyny rozebrały się, ułożyły ubrania na suchej trawie i związały włosy, by ich nie zamoczyć. Pijawek raczej nie mogło tu być, za to woda niestety była równie zimna, jak w wyższej partii strumienia. Krzywiąc się i sycząc, zanurzyły się w niej. Po pierwszym szoku termicznym ten chłód można było uznać nawet za przyjemny. Umiarkowanie przyjemny.

— Poważnie planujecie stąd nawiać? — zapytała Aurelia, mydląc ramiona. — Nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy.

— Z Felixem wychodziliśmy z gorszych sytuacji. On zawsze ma plan. A jak plan nie wypali, to będzie miał plan B. Na razie ucieczka musi zacząć, bo minęlibyśmy się z Netem. Chyba że uda się z nim porozumieć wcześniej. No i jest jeszcze jedna sprawa.

— Naprawdę myślisz, że Zosię ktoś porwał?

— To tylko przeczucie. Jeśli uda się zdobyć telefon, zadzwonimy do Neta, żeby dowiedział się czegoś.

— Odzyskajcie mój telefon. — Aurelia myła nogi. — Zadzwoń do ojca, żeby po mnie przyjechał. Nie chcę tu zostać z tym półgłówkiem. Was też zabiorę.

— Lucek w jednym ma rację. — Nika już szczękała zębami. — Jeśli uciekniemy, to dopiero wtedy zacznie gnębić pozostałych.

— Nas już tu nie będzie. To jak? Wy załatwiacie telefon, a mój ojciec was zabiera. Razem z Netem.

Nika zastanowiła się.

— OK.

— No to mamy umowę.

Chwilę myły się w milczeniu.

— Zastanawiałaś się, dlaczego CyBorek zabrał nam telefony? — zapytała Aurelia.

— Dlatego, żeby miał nad nami większą władzę. — Nika zanurzyła się, żeby spłukać mydło. — Ma misję zrobić z nas zdyscyplinowanych skautów.

— A może nie. Jeśli masz rację w sprawie Zosi, to może zabrał nam telefony właśnie po to, żebyśmy się o niczym nie dowiedzieli.

Nika spojrzała na Aurelię z zaskoczeniem. To mogła być prawda.

— Myślisz, że CyBorek nie chce nam psuć wyjazdu?

— Sobie nie chce psuć. Przecież policja chciałaby nas przesłuchać jako świadków. Może nawet musielibyśmy wrócić do Warszawy. A tak minie kilka dni, zanim w ogóle się zorientują, gdzie jesteśmy... Ćśśś... — Aurelia przyłożyła palec do ust. — Słyszałaś?

Nika wstała, ale zaraz zanurzyła się w wodzie po szyję. Aurelia zresztą też.

— Jest tam kto?

Odpowiedzią był szelest trawy.

* * *

Felix leżał w trawie i nasłuchiwał. Nie miał planu na wypadek, gdyby został odkryty. Sytuacja była ewidentna i żadne tłumaczenia by nie pomogły. Nie mógł przecież powiedzieć, że znalazł się tu przypadkiem i tylko podziwia przyrodę. Nikt by w to nie uwierzył; tym bardziej w podziwianie przyrody przez noktowizor. Tak więc miał tylko jedno wyjście – nie dać się zauważyć. Podczołgał się metr do przodu i znów znieruchomiał. Wolno rozchylił źdźbła trawy, by lepiej widzieć.

Wyciągnął rękę i delikatnie wysunął szpilkę naciągającą tylną ścianę namiotu dowodzenia. Materiał zmarszczył się nieznacznie. Felix przesunął się więc i wyciągnął kolejną szpilkę. Miał nadzieję, że nie będzie konieczne luzowanie żadnej linki, bo to już ktoś mógłby zauważyć. Jeszcze jedna szpilka i materiał dało się unieść na tyle, by zajrzeć do środka. Łóżko, krzesło, stół, plecak i skrzynia. CyBorek nadal siedział przy ognisku i opowiadał historię, która była trochę straszna, a trochę śmieszna. Felix nie słuchał, bo nie zamierzał dać się nabrać na to ocieplanie wizerunku. Wsunął się do wnętrza namiotu, czując, jak serce bije mu dwa razy za szybko. Zbliżył się do skrzyni i dotknął kłódki. Model z czterocyfrowym zamkiem szyfrowym. Dziesięć tysięcy kombinacji. Zajrzał na tył skrzyni. Była stara, pogięta i nadrdzewiała. Zawiasy naprawiono i zamiast na bolcach trzymały się na długich śrubach z dwoma zakontrowanymi⁴ nakrętkami. Teoretycznie łatwo byłoby je odkręcić. Ale jeszcze łatwiej narobić hałasu.

Przyjrzał się więc dokładniej kłódce. W zielonkawym obrazie noktowizora wszystko było niewyraźne i wyglądało zupełnie inaczej niż za dnia. Jednak wygląd nie miał tu wielkiego znaczenia. Felix zapamiętał układ cyfr, by na koniec zostawić kłódkę w takiej samej pozycji, pochylił się i przyłożył do niej ucho. Palcami lewej dłoni naciągnął nieznacznie zamknięcie, a prawą zaczął obracać pierwszy pierścień, wsłuchując się w kliknięcia mechanizmu. Gdy usłyszał minimalnie inny dźwięk, zaczął kręcić drugim pierścieniem. I wtedy usłyszał zupełnie inny dźwięk. Szelest odchylanej poły wejściowej do namiotu.

— ... i wciąż powtarzał, że nie ma pojęcia, skąd się wzięły te żaby w butach. — CyBorek wszedł do środka, na szczęście z głową odwróconą do tyłu, w stronę roześmianych obozowiczów, siedzących wokół ogniska.

Poła opadła, pogrążając wewnątrz w ciemności. Felix wstrzymał oddech. Widział doskonale nauczyciela po omacku próbującego znaleźć coś na stole. Coś się przewróciło i spadło tuż obok Felixowego buta. CyBorek mruknął niezadowolony pod nosem i przykucnął. Zaczął przesuwać dłonią po trawie i było jasne, że zaraz albo włączy latarkę, albo natrafi na nogę intruza.

Felix dostrzegł przedmiot – metalowy kubek. Podniósł go i wsunął w dłoń nauczyciela. CyBorek wstał i wyszedł, by kontynuować opowieść. Felix odetchnął i prawie puścił kłódkę. Gdyby to zrobił, ona uderzyłaby w skrzynię i cały plan ległby w gruzach. Nie było czasu na przerwę. Ponownie przyłożył ucho do kłódki i zakręcił drugim pierścieniem.

Chwilę później skobel odskoczył z cichym kliknięciem. Pozostawało jeszcze ryzyko, że przy otwarciu wieka zawiasy zapiszczą tak, iż wszyscy obozowicze przypomną sobie o dentyście. Uniósł więc wieko najwolniej, jak potrafił. Zawiasy nie miały jak zapiszczeć, tylko skrzypiały delikatnie. Felix uklęknął, zajrzał do skrzyni i uśmiechnął się szeroko. Były tam. Telefony leżały równo ułożone w tekturowym pudełku. Sięgnął po swój, wsunął go do kieszeni i wolno, wolniutko, opuścił wieko. Zamknął kłódkę i ustawił pierścienie w pozycji, w której je zastał. Korciło go, żeby od razu sprawdzić, czy nie przyszedł SMS od Laury, ale wiedział, że dźwięk zaalarmuje wszystkich. Przełączyć na tryb cichy można było dopiero po włączeniu telefonu, a wtedy aparat odegrałby powitalną melodyjkę. W tych warunkach słyhać by ją było aż na drugim brzegu jeziora.

Wycofał się i z powrotem wbił szpilki. Rozpierała go euforia, ale mimo to pilnował się, żeby nie zrobić czegoś głupiego w stylu potknięcia się o którąś z linek.

* * *

Aurelia i Nika wparowały do obozu w połowie pointy kolejnej dykteryjki komendanta. Wszyscy zamilkli i skierowali spojrzenia w ich stronę. Dziewczyny miały na sobie częściowo mokre ubrania – nie zdążyły się dokładnie wytrzeć.

— Który cham nas podglądał?! — zapytała groźnie Aurelia, rozglądając się po chłopakach.

— To nie ja — odezwał się jako pierwszy Gilbert. — Ja wolę sobie wyobrazać, niż zobaczyć i się rozczarować.

— Zamknij się.

Wszyscy siedzieli na ławach przy ogniu, tylko Felix stał kawałek dalej, na granicy światła.

— W szeregu zbiórka! — CyBorek wstał i zczekał, aż wszyscy się ustawią. Przeszedł wzdłuż obozowiczów i zatrzymał się przy Felixie. — Masz na ubraniu trawę. Jak to wytłumaczysz?

Felix spojrzął po sobie i strzepnął źdźbła.

— Przewróciłem się... — wyjaśnił cicho. Był wściekły sam na siebie, że przeoczył taką oczywistość.

— Gdzie byłeś przez ostatni kwadrans?

— Spacerowałem. — Wykonał nieokreślony gest.

— Nie widziałam cię tutaj — odezwała się Klaudia.

— Wszyscy tu siedzieliśmy — przytaknęła Celina — a ciebie nie było.

— Nie szedłem do strumienia. Tutaj spacerowałem.

CyBorek pokiwał wolno głową.

— Koniec przyjemności — powiedział. — Wszyscy do namiotów.

Cisza nocna za pięć minut.

Felix chciał zaprotestować, lecz nie miał jak. Oskarżenie nie zostało nawet wyartykułowane, choć wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Nie mógł się też oczywiście przyznać, gdzie naprawdę był. Czuł na sobie nieprzychylnie spojrzenia. Koledzy i koleżanki mijali go w milczeniu. Pewnie gdyby podejrzenie o podglądanie pojawiło się wczoraj, zostałyby przez wszystkich zbyte śmiechem, ale dziś sytuacja wyglądała inaczej. Ciekawe, jak oceny moralne zależą od sympatii i chwilowego nastroju.

Aurelia odwróciła się do Niki i powiedziała:

— Zapomnij o naszej umowie. — Po czym zniknęła w namiocie dziewczyn.

Felix napotkał trochę smutne, a trochę zdziwione spojrzenie Niki. Zanim zdołał sklecić jakieś sensowne zdanie, ona też odwróciła się i weszła do namiotu.

1. Kolejka górską w lunaparku. [\[wróć\]](#)
2. Team building [wym. tim bilding] – (ang.) budowanie zespołu. Survival [wym. sewaiwl] – (ang.) sztuka przetrwania. [\[wróć\]](#)
3. Plan Barbarossa – plan ataku Niemiec na ZSRR w 1941 roku. [\[wróć\]](#)
4. Kontrowanie polega na skręceniu na gwincie śruby dwóch nakretek w taki sposób by się wzajemnie blokowały. [\[wróć\]](#)



9. Nierandka

Umawiać się, czy nie umawiać... Net chodził tam i z powrotem po swoim pokoju. Siadał, wstawał, znów siadał. Co złego jest w umawianiu się z potomstwem wiceszefa Wydziału Nanotechnologii? Usiadł i sam sobie odpowiedział:

— Jak nazwę fajną dziewczynę potomstwem, to może się pojawić podejrzenie o chęć ukrycia prawdziwych motywacji.

Znów wstał. Wyrzął przez okno.

— Bez przesadyzmu — powiedział sam do siebie. — Dwoje ludzi ma się spotkać na niezobowiązującej kawie, żeby nie spędzić tej niedzieli, łącząc każde po swoim pokoju. To normalne zachowanie społeczne. Po co się nudzić osobno, skoro można się nie nudzić razem? Gdyby to miało być tak, że jak kogoś poznam, to już nie mogę poznać nikogo innego, to jak by wyglądała cywilizacja? Ludzie żyliby dwójkami i ukrywaliby się przed innymi dwójkami.

— Mówisz tak, bo masz wyrzuty sumienia — stwierdził siedzący Net.

— Jakie wyrzuty sumienia? — zapytał stojący Net. — Nie prosiłem się, żeby jechać na to przyjęcie.

— Ale zamierzasz się właśnie umówić na kawę z dziewczyną, która ci się podoba.

— Zaraz tam podoba... Kilka tematów zaczęliśmy i warto dokończyć rozmowę. Jakoś tak dobrze się nam rozmawia.

— No widzisz? Tak to się zwykle zaczyna. Jedne tematy się kończą, a inne zaczynają. I znów będziesz musiał je kończyć.

Net w milczeniu rozważał wszystkie za i przeciw. Nika się nie odzywała, choć wysłał jej już kilka wiadomości przez Net.com, przez Facebook

i kilka e-maili. Nie odpowiedziała, przecież niemożliwe, że nigdzie nie da się znaleźć sieci. Tym bardziej w luksusowym pensjonacie. Widocznie jest więc zajęta tamtejszymi rozrywkami.

— Może nie odzywa się dlatego, że nie ma telefonu — podsunął siedzący Net.

— A może właśnie dlatego nie ma telefonu, żeby mogła być nieuchwytna, kiedy tylko zechce — odparował stojący.

— Nazwijmy rzecz po imieniu. — Siedzący Net założył nogę na nogę, jak rasowy psychoanalityk. — Nika wyjechała ledwo na dwa dni, a ty już podrywasz inną.

— Nic z tych rzeczy. To ona podrywała Angusa, i to przy mnie.

— Nie podrywała go. Była po prostu miła.

— No to on podrywał ją, a ona na to pozwalała. Ta spódniczka powiewająca na wietrze...

— Masz dom na dachu wieżowca, to spódniczki powiewają. Czysta fizyka. Może zamiast narzekać, powinieś kupić jej telefon – wtedy byłaby uchwytna.

Stojący Net oparł się o parapet i założył ręce.

— Gdyby chciała zadzwonić, toby pożyczyła telefon od Felixa.

— Może tam nie ma zasięgu.

— Wystarczy wejść na drzewo... Znaczy na górkę, czy coś. Przecież nikt im nie zabrał telefonów.

— Podejrzewam, że Nika miałaby coś przeciwko temu spotkaniu...

— ... za to z drugiej strony, nie musi się dowiedzieć.

— Chcesz przed nią zataić randkę?

— Zaraz tam zatajać... W żadnym wypadku. Po prostu ludzie nie opowiadają sobie o nieistotnych sprawach. Wystarczy więc, że uznam to spotkanie za nieistotną nierandkę, i nie będę musiał o nim opowiadać. *Brilliant!* ¹

Dalsze rozważania przerwał krzyk dobiegający gdzieś z mieszkania. Net wybiegł do hallu i skręcił do pokoju bratosiostry. W drzwiach stała mama. Zasłaniała dłonią usta i patrzyła na scenkę rozgrywającą się wewnątrz. Pompek i Prumcia siedzieli w kojcu i zaśmiewali się, klaszcząc. Uwagę maluchów przykuwały pluszaki ułożone wzdłuż jednej ze ścian kojca, a szczególnie jeden szary pluszak, który łapkami czyścił sobie futerko na głowie.

— Nie pamiętam tej zabawki — powiedziała cicho mama.

— To Crisper — zauważył ze zdziwieniem Net. — Szczur.
— Wygląda bardzo realistycznie. Musiała się włączyć w nocy.
— Nie, to prawdziwy szczur. Nazywa się Crisper i należy do Justyny, córki profesora Jastrzębskiego. Musiał się gdzieś schować i przyjechał z nami.

— Prawdziwy szczur?! — wykrzyknęła mama i rozejrzała się, zapewne w poszukiwaniu czegoś ciężkiego.

Net podszedł do kojca, wyciągnął rękę do Crispera, a ten wskoczył mu na rękaw i wdrapał się na ramię. Bliźniaki zareagowały głośniejszym śmiechem, ale zaraz zrozumiały, że zabawka się oddala, i posmutniały.

— Jest oswojony — powiedział i wrócił z nim do pokoju

Teraz nie było już wątpliwości. Szczura trzeba przecież oddać. Wyjął z kieszeni kartkę z zapisanym numerem Justyny i wolny od wyrzutów sumienia, wpisał numer do telefonu.

* * *

Problem, jak przetransportować szczura na miejsce spotkania, okazał się nie taki prosty do rozwiązania. Nawet jeśli dotyczył tak przyjaznego szczura, jak Crisper. Pierwszą rzeczą, którą zrobił Net, było wygrzebanie z dna szafy najstarszego i najbrzydszego plecaka, włożenie do niego nieużywanego T-shirta i umieszczenie Crispera wewnątrz. Szczur nie podzielał entuzjazmu Neta na temat komfortu podróżowania w ten sposób i w pół minuty wygryzł właz ewakuacyjny z boku plecaka. Odpowiedzią Neta było zaklejenie otworu taśmą, a odpowiedzią Crispera na tę odpowiedź, okazało się wygryzienie kolejnego włazu. Należało więc albo zastosować przemoc w postaci na przykład słoika z podziurawioną nakrętką, albo przekupić szczura, by ten został wewnątrz plecaka z własnej woli.

Crisper był na tyle miłym zwierzęciem, że Net postawił na drugą metodę. Po pierwsze zainstalował wewnątrz latarkę nauszną, by Crisper nie bał się ciemności. Po drugie włożył do środka stary piernik w kształcie serca, by Crisper miał prowiant na drogę. Po trzecie zdemontował latarkę nauszną, a zamiast tego wyciął dwa otwory i zaklecił je taśmą przezroczystą, by Crisper mógł obserwować otoczenie. Po czwarte wyrzucił piernik i wsywał do środka pestki słonecznika, których zabranie w jednym kawałku było niemożliwe, co miało demotywowwać do ucieczki. Po piąte Net ponownie zainstalował latarkę, by widzieć, co Crisper porabia.

— Teraz bądź grzeczny przez jakieś pół godziny — powiedział i zamknął plecak.

Zajrzał przez okienko, by stwierdzić, że plan działa i szczur w wygodnej pozycji obzera się słonecznikiem. Chwilę zastanawiał się, co zrobić z resztą pestek. Po namyśle schował je do kieszeni na wypadek, gdyby po drodze naszedł go głód.

* * *

Krzyk dobiegający gdzieś z tyłu przebił się przez kakofonię dźwięków Die Antwoord² i wyzwolił w Netowym mózgu ciąg skojarzeń prowadzący do wniosku, że przyczyną może być pasażer jego plecaka. Odwrócił się przez ramię. Krzyczała siedząca za przegubem tramwaju starsza matrona, a ludzie wokoło rozglądali się, nie wiedząc na razie, o co chodzi. Net ściągnął słuchawki, na wszelki wypadek przeszedł kawałek do przodu tramwaju, gdzie nikt nie znał przyczyny zamieszania, i dyskretnie zdjął plecak. Przypuszczenia okazały się słuszne. Crisper wygryzł kolejny otwór w plecaku i wyglądał przez niego jak Gustlik³ przez właz w wieżyczce T-34⁴.

— Wytrzymaj jeszcze dwa przystanki — wyszeptał Net i wepchnął szczura do środka.

Niemal od razu zaczął się pojawiać kolejny właz z przeciwnej strony. Net w pośpiechu próbował wymacać w kieszeni torebkę z pestkami.

— Bileciki do kontroli — usłyszał tuż obok ucha.

Odwrócił się i spojrzał z przerażeniem wprost w twarz kontrolera. Ten źle odczytał jego emocje i uśmiechnął się, licząc na udane łowy.

— Zaraz, już daję... — Net teraz szukał jednocześnie karty miejskiej i wyciągał rozlatującą się torebkę. Bałagan w kieszeniach czasem okazywał się bardzo niekomfortowy.

Z lewej kieszeni wyjął wreszcie pestki, a z prawej kartę, po czym natychmiast zasłonił nią nowo powstający otwór od strony kontrolera.

— Już, momencik, zaraz znajdę. — Podskakiwał i przeginał się, by przerzucić plecak na drugą stronę, tak by mężczyzna nie mógł zobaczyć szczura.

— Przecież trzymasz ją w ręku. — Konduktor już się nie uśmiechał. Chyba zaczynał podejrzewać, że ma do czynienia z kimś niespełna rozumu.

— A tak, rzeczywiście. Tylko... mam skurcz. — Drugą ręką, wygiętą nienaturalnie, usiłował nasypać pestki, by szczur przerwał demolkę. Nagle

poczuł, że karta drży, jak przytknięta do głośnika basowego. Cofnął ją szybko od Crispera, przypadkiem wprost pod nos kontrolera.

— Co to jest? — Kontroler przyjrzał się karcie, która z jednej strony była postrzępiona od dziesiątek ugryzień małych ząbków.

— No, skasowana jest — wyjaśnił Net, sypiąc do plecaka pestki słonecznika. — Niechcący ją włożyłem do kasownika i mu zasmakowała.

— Czemu sypiesz pestki do plecaka? — zapytał wolno mężczyzna.

— Kasownik głodny, plecak też głodny. Afryka.

Kontroler zrezygnował ze sprawdzania karty i szybko przeszedł na tył tramwaju.

* * *

Zaproponowana przez Justynę kawiarnia wyglądała podejrzanie elegancko. Kwiaty w donicach, ozdobna witryna i szatnia, wprawdzie nieczynna w lecie, ale jednak istniejąca, źle rokowały w temacie cen. Net miał przykre podejrzenie, że Justyna milcząco założy, że to on ma płacić.

Wszedł do całkiem sporej salki z kilkunastoma stolikami. Każdy był inny, każde krzesło też było inne, a wszystko stare i na oko zabytkowe. Do tego grube obrusy, ciężkie zasłony i wielki kredens antyk za barem. Filiżanki stały w stuletnich przeszklonych gablotkach, a kasę z terminalem kart płatniczych ukryto w obudowie przedwojennej kasy mechanicznej. Naprawdę Netowi nie było do śmiechu. Nastroju ekskluzywności dopełniał brzdąkający w kącie pianista i nieskazitelnie ubrany kelner, którzy przywitał Neta w progu, nie dając po sobie poznać, jakie ma przeczucia na temat zawartości Netowego portfela.

— Witam pana. — Ukłonił się, jakby Net był prezesem banku. — Życzy pan sobie stół reprezentacyjny czy bardziej na uboczu?

— Jestem umówiony z pewną damą...

Nie musiał kończyć, bo od stolika pod oknem zerwała się Justyna. Podeszła do Neta i na powitanie pocałowała go w policzek. To go nieco zbiło z tropu, bo myślał, że spotkanie będzie... inne. Neutralne.

— Sorki za spóźnienie. Ładunek miał własne zdanie na temat... załadunku.

— Tak myślałam. Ten ładunek zawsze ma własne zdanie.

Podeszli do stolika. Gdy Net siadał, aż podskoczył, zaskoczony, gdy kelner uczynnie podsunął mu krzesło.

— O, dzięki... — bąknął. — Dzięki — powtórzył, gdy kelner podał mu kartę. Zerknął tylko na ceny obok ciast i z trudem powstrzymał unoszące się mimowolnie brwi. — Chyba za wcześnie na jakieś produkty spożywcze stałe — powiedział do Justyny. — O tej porze wolę płynny.

— Ja też. — Dziewczyna z uśmiechem skinęła głową.

Zamówili czekoladę na gorąco. Gdy potem Net próbował sobie przypomnieć, o czym właściwie rozmawiali, pamiętał tylko, że rozmawiało im się bardzo dobrze. Ale na jakie tematy? Coś o pogodzie, coś o szkole, coś o planach wakacyjnych. Justyna była dziewczyną, z którą rozmawiało się bardzo miło, ale nie udawało się zagłębić w żadną ze spraw na dłużej, bo ona miała już kilka nowych tematów.

Tak minęła godzina.

— Dzięki, że chciało ci się przyjechać, żeby go odwiedzić. — Justyna oparła łokcie na stole, a zaplecionymi palcami podparła brodę. Zamrugła, jak flirtujące gwiazdy czarno-białych filmów.

Net poczuł, jak czerwienieją mu uszy.

— To chyba... — Dotknął portfel przez materiał spodni. — To chyba weźmiemy już rachunek i się przespacerujemy, co?

— Spacer jest jak najbardziej wskazany — zgodziła się.

— Zabierz go z opakowaniem. — Net przesunął do niej plecak. — I tak miałem go wyrzucić. To znaczy... plecak, nie Crispera. To znaczy... nie w tym sensie to mówię, że plecak jest wyjęty ze śmieci...

— Rozumiem przecież. — Justyna uśmiechnęła się i poufale położyła mu dłoń na przedramieniu. — Nie wzięłam żadnego pojemnika, więc plecak się przyda. — Spojrzała na plecak. — Rzeczywiście jest w kiepskim stanie.

Net, najkulturalniej jak potrafił, skinął na kelnera i dopiero potem zerknął na plecak. Plecak na samej górze miał wygryziony kolejny właz. Net, pełen już złych przeczuc, podniósł plecak, otworzył i przez nowy właz zajrzał do środka. Nie było ani szczura, ani pestek.

— Niedobrze. — Net przegrzebał zawartość. — Zeżarł wszystko i uciekł. Jak takie małe coś... taki mały ktoś może wciągnąć paczkę pestek?

— W czym mogę państwu pomóc? — zapytał kelner. — Czy może reflektują jednak państwo na deser?

Net rozglądał się po podłodze.

— Chcieliśmy prosić o rach... — zamilkł nagle i otworzył szerzej oczy.

Przy sąsiednim stoliku odbywała się właśnie ceremonia przyrządzania ciasta. To była jedna z tych eleganckich kawiarni, gdzie ciastka na stole nie pojawiały się tak po prostu, podane na talerzyku. Tutaj kelner, taki specjalny inaczej ubrany ciasteczkowy kelner, podjeżdżał do stolika z drewnianym wózkiem pełnym przysmaków. Najpierw postawił przed starszą panią podgrzany porcelanowy talerzyk, potem wielkim nożem odkroił dokładnie jedną dwunastą okrągłego sernika i przełożył ją srebrną łopatką na tenże talerzyk. Następnie sięgnął po miseczkę z miodem i drewnianą szpatułką starannie wyrysował ściekającą słodką wonnością kratkę na cieście i talerzu. Z syropu czekoladowego stworzył spiralę, przyozdobił to łyżeczką konfitury, listkiem mięty i płatkami gorzkiej czekolady, a na koniec oprószył całość cukrem pudrem.

— Słucham? — zapytał kelner.

— Rach... — powtórzył mechanicznie Net.

Nie zrobiła na nim wrażenia ceremonia podawania sernika (ostatecznie był raz z rodzicami w równie – a może nawet bardziej – wytwornej kawiarni we Wiedniu), lecz siedzący na paterze z szarlotką Crisper. W łapkach trzymał zjedzony do połowy herbatnik i zaciekawionym spojrzeniem wodził za dłońią kelnera. Ciasteczkowy kelner albo nie zauważał szczura, albo robił dobrą minę do złej gry, czyli profesjonalnie udawał, że nic się nie dzieje. W tym drugim przypadku, po powrocie na zaplecze, Crispera czekała egzekucja. Tak czy inaczej, trzeba było działać, zanim wózek oddali się poza zasięg wzroku.

— Rach... — Net spojrział na cierpliwie czekającego na jego decyzję kelnera. — Rach-ciach-ciach racuchy poprosimy.

— Racuchów akurat nie posiadamy w naszym menu, ale możemy państwu zaproponować...

Kelner zmaterializował, nie wiadomo skąd, dwa menu i podał je Justynie i Netowi. Tymczasem wózek oddalał się już od stolika starszych pań.

— Dwa serniki! — zdecydował Net i wskazał kciukiem na wózek popychany przez ciasteczkowego kelnera.

— Oczywiście, proszę pana, podgrzejemy tylko talerzyki.

— Nie, nie, na zimnych nawet będzie lepiej! Naprawdę nam się spieszy, więc rach-ciach-ciach jest wskazane.

Kelnerzy wymienili się spojrzeniami. Ta milcząca narada trwała zaledwie chwilę, po czym wózek zawrócił. Jednak kelner stanął tak, by zasłaniać paterę z szarlotką.

— Poproszę sernik — powiedziała Justyna.

Nakładanie go i przyozdabianie trwało prawie minutę.

— A dla mnie... — Net wychylił się i wskazał ręką coś przy brzuchu ciasteczkowego kelnera. Ten, chcąc zachować się zgodnie z zasadami profesjonalizmu, cofnął się o krok, odsłaniając Crispera. — Waham się między bajaderką a ciastkiem pączowym. A może szarlotka.

Palec Neta zbliżył się do newralgicznej patery. Crisper jakby przeczuwając, co go może czekać na zapleczu restauracji, wskoczył na rękaw chłopa i ociężale, bo z pełnym brzuchem, wbiegł mu na barki. Po drugim rękawie zsunął się do plecaka. Żadnemu z kelnerów nawet nie drgnęła powieka.

— To ja może też serniczek. — Net również udał, że nie stało się nic niezwykłego.

— Oczywiście, proszę pana. — Ciasteczkowy kelner sprawnie nałożył sernik i wykonał wyuczoną sekwencję przyozdabiania.

Nikt z siedzących wokół gości nie zauważył zajścia.

Gdy wózek odjechał, Net najbardziej dyskretnym ruchem, na jaki go było stać, odkroił kawałek sernika, na łyżeczce przetransportował go do plecaka i elegancko wrzucił do środka. To powinno załatwić temat na jakiś czas.

Obliczył, choć nie chciał tego robić, że ten kawałeczek kosztował trzy złote. Miał na końcu języka uwagę, że taniej byłoby kupić nowego szczura, a jeszcze taniej złapać jakiegoś na stacji metra i oswoić. Taki przygarnięty i odkarmiony szczur byłby wdzięczny, a więc i wierny. Może nawet by nie uciekał ani nie gryzł kabli. Powstrzymał się jednak, gdy ujrzał wpatrzony w siebie brązowe oczy.

Tak minęła kolejna godzina i wreszcie trzeba się było zbierać. Przy płaceniu rachunku Net z bólem wysupłał równowartość swojego miesięcznego kieszonkowego.

Wyszli przed kawiarnię i dopiero teraz Net zajrzał do plecaka.

— Oj... — Skrzywił się, widząc Crispera leżącego do góry łapkami i z brzuchem wielkości piłki tenisowej.

— Przeżarł się — zbagatelizowała Justyna. — Teraz będzie spał przez kilka godzin. Odprowadzisz mnie na przystanek?

Stali na wprost przejścia dla pieszych, za którym był przystanek.

— Jasne.

— Ale nie na ten. Na następny. Musimy spalić te kalorie. Nie spieszysz się?

— Aha... Nie, skądże...

Ruszyli chodnikiem wzdłuż torów. Dziewczyna nieco staromodnym gestem wzięła go pod ramię, co go zaskoczyło. Nie wyrywał się oczywiście.

— Wprawdzie idziemy nie w tę stronę, ale co za różnica? — uśmiechnęła się. — Praga też jest ładna.

— Na Pradze mieszka... — Net odchrząknął — taka jedna koleżanka z klasy. Ale do Pragi to stąd jest ze trzy kilometry.

— Mówiłeś, że ci się nie spieszy.

Net zerknął w bok i napotkał jej spojrzenie. Miała bardzo ładne oczy. W jego głowie zapaliła się czerwona kontrolka z napisem „Rwie mnie”. Analizował sytuację i toczył ze sobą wewnętrzne boje. Przez chwilę, po której stwierdził, że kontrolka ma bardzo ładny odcień czerwieni.

1. *Brilliant* – (ang.) genialny, błyskotliwy. [\[wróć\]](#)
2. *Die Antwoord* – południowoafrykańska grupa wykonująca muzykę rap-rave. [\[wróć\]](#)
3. *Gustlik* – jeden z tytułowych bohaterów (ludzkich) serialu *Cztery pancerni i pies*. [\[wróć\]](#)
4. T-34 – radziecki czołg średni produkowany w latach 1941–1958. Najpopularniejszy czołg drugiej wojny światowej. [\[wróć\]](#)



10. Zabawa w chowanego

Pobudka nie była tak przykra, jak wczoraj, choć pora się wiele nie zmieniła. Felix otworzył oczy, obudzony dźwiękami harfy czy też może fletu. Nie znał się na instrumentach, więc nie miał pewności. A może to lutnia? Była szósta piętnaście i coś grało rzewnie w pobliżu. Pora zgadzała się z grubsza z pobudką, więc to zapewne była pobudka. Jej charakter natomiast pasował bardziej do Zuzanny niż do CyBorka. Plastikczka musiała w jakiś sposób generować te dźwięki, bo nie pochodziły one z odtwarzacza. Grała na liściu trawy?

Pomysł na alibi, tak jak cięta riposta, zwykle pojawia się za późno. Tak było i tym razem. Leśna toaleta, latryna właściwie, była tym miejscem, gdzie każdy chodził bez świadków. Tylko że to trzeba było powiedzieć wczoraj, od razu. Cały ten ciąg myślowy przeleciał Felixowi przez głowę, a finałem była zwięzła konstatacja, że skopał wieczorną akcję, jak tylko się dało. To znaczy, miał telefon, i tyle z tego dobrego, ale PR-owo ¹ poległ. Może należało to przełknąć, a może przepracować. Tak naprawdę to miał ochotę wstać, założyć plecak i wyruszyć na południe, gdzie znajdowała się stacja kolejowa.

Usiadł na łóżku i sięgnął po buty. Uniósł je i odwrócił. Z wnętrza... wylała się woda. Chwilę na to patrzył, nie rozumiejąc, co się właściwe stało. Skąd tyle wilgoci w butach? Spojrzał w bok i napotkał spojrzenie Lucjana. Na jego twarzy wypisane było pytanie „Skąd wiedziałeś?”. Felix nie wiedział. Po prostu zawsze wytrząsał potencjalną zawartość butów przed ich założeniem. Udał jednak, że sytuacja wcale go nie zdziwiła, że się spodziewał. Wyjął z plecaka sandały i założył je. Skończył się ubierać, wyszedł na zewnątrz i postawił buty na słońcu, by wyschły. Pozostali gim-

nazjaliści gramolili się z namiotów, a Zuzanna Zdrój grała na słoikach. Felix był zbyt niewyspany, by go to zdziwiło. Przyjrzał się jednak dokładniej, bo nie działało się nic innego. Na jednej z ław stało kilka starannie umytych słoików po pulpetach w sosie pulpetowym, a każdy wypełniono wodą do innego poziomu. Nauczycielka pocierała wilgotnym palcem o krawędź słoików, co wywoływało serie piskliwych dźwięków, które w jej mniemaniu zapewne były muzyką. W mniemaniu Felixa były jedynie serią piskliwych dźwięków.

— Nenufary sprężyste ponad wód słowami, niezrozumiane, smutne zażyłością — nuciła nauczycielka. — Wplatom, wplatom je serdecznie w nozdrza listopadowe. Dobrą monetą ten zgiełk zamaszysty. Antylopa uciec tak bardzo chce.

Obok stał CyBorek z bardzo niezadowoloną miną.

— Och, wstaliście więc. — Zuzanna raczyła zauważyć, że jej wysiłki pobudkowe odniosły skutek.

— Ja leżę na stojąco — odparł sennie Gilbert. — Albo stoję na śpiąco.

Zuzanna radośnie klasnęła w dłonie.

— Nie, nie ustawiajcie się w szereg! — zawołała, widząc klasę odruchowo już zachowującą się jak oddział wojska. — Dziś zapanuje tu empatyczna swoboda. Nie będzie musztry ani dyscypliny. Żadnych wart, drużyn, salutowania ani marszobiegów.

— Do obiadu — sprecyzował niby mimochodem CyBorek.

— Marszobiegów? — zapytała Celina.

— Dziś zrobicie coś spontanicznego. — Nauczycielka wykonała piruet. — Uwolnicie swoją ukrytą wewnętrzną energię i —

CyBorek patrzył gdzieś w bok, udając, że go tu nie ma. Felix zerknął na Nikę. Też była niewyspana.

— Co byście chcieli zrobić, gdybyście mogli wybierać? — zapytała Zuzanna.

— Spać — mruknął Klemens.

— Blisko, blisko, ale nie całkiem. Będziecie zbierać kwiaty. — Plastikowa zatoczyła dłońmi krąg. Wuefista ledwo zauważalnie przewrócił oczami. — Będziecie zbierać najpiękniejsze kwiaty i układać je w bukiety. Kolorami, odcieniami, niuansami, metaforami. — Spojrzała na CyBorka i dodała innym tonem — zwycięzca otrzyma dodatkowe punkty.

— Punkty zbierają drużyny — przypomniał wuefista.

— Och, to się wszystko jakoś spontanicznie wymiesza na koniec. Ruszajcie w... Jak ty to mówisz? — Znów spojrzała na CyBorka. — W teren!

— Jeszcze śniadanie — przypomniał znów Klemens.

— A, tak. — Sprowadzona na ziemię Zuzanna nieco zmarkotniała. — Śniadanie, paliwo dla ciała.

* * *

Kwadrans później łąka zaroiła się od tratujących wszystko gimnazjalistów. Nikt nie prowadził statystyk, ale było pewne, że na każdy zerwany kwiat przypadało dziesięć zdeptanych. To zadanie przynajmniej było jakąś odmianą po tych wymyślanych przez CyBorka. Felix szedł sam, bo nikt nie chciał z nim iść. Bardzo mu to akurat odpowiadało. Podążał w bezpiecznej odległości za Niką. Miał zamiar wyjaśnić jej wczorajszą sytuację, a to najlepiej zrobić bez świadków. Czekał więc, aż grupa bardziej się rozproszy i tylko zrywał przypadkowe trawy, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Z przykrością stwierdził, że bardzo się zawiódł na swoich klasowych kolegach i koleżankach. Wystarczyło półtora dnia, by wszyscy uznali, że zadania po prostu są i trzeba je wykonywać. Podporządkowali się nawet bez stawiania specjalnego oporu. Felix nie miał zamiaru się podporządkowywać. Znał mechanizm tego wojskowego treningu. Niestety, to, że znał mechanizm, nie znaczyło, że potrafił nim kierować. A równie dobrze ktoś, kto go nie znał, mógł opanować go intuicyjnie, co zapewne czynił właśnie CyBorek. Tej nocy woda w trampkach, następnej kocowa i siniaki. To też Felix wiedział. Wiedział nawet, jak temu zaradzić. Wystarczyło się podporządkować.

Znów dostrzegł dziwne ślady kopyt. Przykucnął. Ziemia w zagłębieniach była jeszcze wilgotna, a załamania łądyg świeże, co oznaczało, że właściciel kopyt przechodził tędy tuż przed świtem. Sarna? Jeleń? Raczej nie. Wątpliwe, by dzikie zwierzęta podchodziły tak blisko obozu. Więc co innego?

W zamyśleniu prawie wpadł na Nikę, gdy ta schylała się po kolejny kwiat.

— Ups... *sorry*. Nadal jesteś na mnie zła? — zapytał po prostu.

— Ja nawet nie jestem zła — Nika popatrzyła na niego smutno. — Ja jestem... jestem rozczarowana.

— Zobacz. — Felix wyjął z kieszeni swój telefon. — Nie mogłem wczoraj powiedzieć, co naprawdę robiłem.

Nika popatrzyła na telefon, potem na Felixa i uśmiechnęła się. A potem uśmiechnęła się szerzej.

— Mogłeś mi powiedzieć od razu. — Wyglądała, jakby chciała uściśkać przyjaciela. Niewiele brakowało, a zrobiłaby to.

— Więc to nie byłeś ty? — zapytała Klaudia, która przypadkiem słyszała rozmowę.

Felix spojrzał na telefon i stwierdził, że nie ma sensu zaprzeczać, że trzyma go w dłoni.

— Spędziłem chyba kwadrans, włamując się i wykradając ten telefon. Dlatego byłem cały w trawie. Nie mogłem się przecież do tego przyznać.

— Więc nie podglądałeś Aurelii i Niki?

— Nie. Kiedy CyBorek opowiadał te swoje śmieszne historie, byłem w namiocie dowodzenia.

Klaudia zastanowiła się, po czym powiedziała:

— Nieważne, że nie podglądałeś. Byłeś... Byłeś podejrzany o podglądanie. Nie będę z tobą rozmawiała.

— I tak nie bardzo jest o czym — mruknął Felix, gdy tamta odeszła. Trzymał w dłoni telefon i coś mu nie pasowało, tylko nie potrafił powiedzieć co.

— Zaczekam, aż skończy test. — Felix spojrzał na zegarek. — Dwie i pół godziny minimum. Głupio by było, gdyby oblał przez nas. Musimy tylko pod jakimś pretekstem oddalić się od obozu.

— Zbierajmy kwiaty — zaproponowała z uśmiechem Nika. — Możemy je zbierać długo i namiętnie. No i gdziekolwiek.

Felix przytaknął. Net przyjedzie po południu. To ledwie kilka godzin. Tęsknił za przyjacielem, ale z drugiej strony... zerknął na Nikę.

— Nie musimy się spieszyć — powiedział. — Ważne, żebyśmy wrócili na obiad. To dużo czasu.

Przekroczyli strumień i weszli do lasu. Nika obracała w dłoniach mały bukietek.

— Zastanówmy się, co robić — powiedziała. — Może najlepiej powiedzieć Netowi, żeby tu nie przyjeżdżał? Jeśli tak, to moglibyśmy wyrwać się stąd już dziś.

— Możemy dotrzeć do stacji i wrócić pociągiem, ale wtedy musielibyśmy zostawić Bulbota. — Felix pokręcił głową. — Za dużo pracy w niego

włożyłem, żeby ot tak go porzucić. Myślę, że mój tata mógłby po nas przyjechać, gdybym to dobrze uzasadnił. — Potarł palcem szkiełko zegarka. — Tylko że to nie takie proste. Nie mogę mu powiedzieć, że mamy tutaj wojskową dyscyplinę, bo on odpowie, że to mi się nawet przyda.

— Miałby trochę racji.

Felix po raz pierwszy pomyślał, że chciałby mieć taką dziewczynę jak Nika. Porównał ją z Aurelią, która zostawiła Lucka po pierwszej kłótni, nawet nie próbując niczego wyjaśnić. A potem pomyślał o Laurze i stwierdził, że nie ma pojęcia, co ona by zrobiła na miejscu Niki. Nigdy nie znaleźli się w takiej sytuacji. Natomiast Nika... Otrząsnął się z tych myśli. Teraz, skoro odzyskał telefon, mógł już sprawdzić, czy Laura przysłała SMS, mógł do niej zadzwonić. Nie robił tego. Bał się włączyć telefon i przekonać się, że żadnego SMS-a tam nie ma. To było zupełnie niepodobne do niego. Nie czuł się dobrze, kierując się tak irracjonalnymi powodami.

Szli dalej. Nika zerknęła na niego i widać było, że chce go o coś zapytać. Gdy weszli na kolejne wzniesienie, zrobiła to:

— Czy z Laurą wszystko w porządku?

Felix spojrzał na nią z zaskoczeniem.

— Trochę źle nam poszło umawianie się na spotkanie przed wyjazdem — powiedział wymijająco. — To nic takiego. Naprostujemy to po powrocie.

Spojrzenie Niki świadczyło o tym, że doskonale zdaje sobie sprawę, że to nie jest „nic takiego”. Postanowiła jednak nie drążyć tematu. Zatrzymała się i przyłożyła palec do ust.

— Słyszysz? — zapytała. — Znowu dzwony.

— No i... ?

— Chodźmy tam. Tylko zerkniemy.

— To może być kilka kilometrów. Rozsądniej byłoby zacząć od rozmowy z Netem. Zastanów się, jakie jest prawdopodobieństwo –

— Już o tym rozmawialiśmy — przerwała mu. — Tu nie chodzi o prawdopodobieństwo, tylko o przeczucie. Przespacerujmy się. Jeśli w klasztorze będzie Zosia, upewnimy się, że jest tam z własnej woli.

Trzy pagórki dalej wyczuli w powietrzu dym, a za czwartym spomiędzy drzew wyłonił się spadzisty dach pokryty eternitem. W małej dolince stał dom, dwupiętrowy i bardzo brzydki. Wymurowany z białych bloczków pianobetonu, nieotynkowany, sprawiał wrażenie niewykończonego. Wokół

okien wyraźnie widać było burchle nierówno ułożonej pianki montażowej, schody przed drzwiami wejściowymi straszyły gołym betonem z odciskami desek po szalunku. Zacieki świadczyły zaś o tym, że dom stoi w takim stanie co najmniej od kilku lat. Z blaszanego komina snuł się siwy dym.

Wśród zabudowań były jeszcze szopy, garaż i stodoła. I ta szara, drewniana, rozsypująca się ze starości stodoła była najładniejszym budynkiem. Na podwórku leżało kilka zardzewiałych i obrosniętych chwastami części od maszyn rolniczych, a nawet samochód niezidentyfikowanej marki. Spod maski wyrastało mu drzewo. Wyglądało to tak, jakby samochód zepsuł się w tym miejscu i już tak został. Ścieżka prowadząca od domu do stodoły po prostu go omijała.

— To nie jest klasztor — stwierdziła oczywistość Nika. — Net powiedziałby, że to jest bardzo brzydki nieklasztor.

— Mieszkają tu jacyś niezwykle leniwi ludzie — dodał Felix. — Od kilku lat obchodzą ten wrak, zamiast go przesunąć.

— Tu mieszkają inwalidzi estetyczni — dodała Nika. — Ale na pewno nie zakonnice.

— Więc chodźmy stąd. — Felix skręcił z zamiarem obejścia domu w bezpiecznej odległości. — Tu jest tak brzydko, że boli od samego patrzenia.

— Czekaj... — Nika wskazała podwórko. — Ze stodoły ktoś wyszedł.

Przyjrzeni się szczupłemu mężczyźnie w gumiakach i skórzanej kurtce. Felix żałował, że nie wziął lornetki. No ale kto chodzi zbierać kwiaty z plecakiem wypełnionym sprzętem? A jednak i bez niej poznał z łatwością, kim jest ten człowiek.

— Typek — powiedziała Nika. — Ten sam, którego CyBorek wywalił z pociągu.

— Ciekawy zbieg okoliczności. — Felix potarł brodę.

— Wcale nie. Przecież on jechał pociągiem w tę stronę. Przyjrzyjmy się dokładniej.

— Założę się, że Typek nie darzy nas specjalną sympatią.

Nika już schodziła łagodnym zboczem wśród drzew. Felix po chwili namysłu uznał, że i tak jej nie przekona, więc ruszył za nią.

Z bliska gospodarstwo wyglądało na jeszcze bardziej zaniedbane. Nie było ogrodzenia, jedynie w kilku miejscach spomiędzy chwastów wyrastały zardzewiałe resztki słupków. Koleiny drogi przebiegały obok nieco grubszego słupka, na którym kiedyś osadzona była brama.

Felix przykucnął.

— To ślady opon. — Wskazał wzór odcisnięty na piasku. — Na pewno nie zostawił ich traktor ani inna maszyna rolnicza. To były opony samochodowe, i to dobre opony, szerokie. Jakoś mi to nie pasuje do tego domu. Czeka! Zobaczą nas przez okna.

Felix dopiero po chwili zauważył, że dom od tej strony nie ma ani jednego okna, nie licząc okienka na strychu. Dosyć niepraktyczne rozwiązanie.

— Nie ma domofonu ani nawet ogrodzenia, więc możemy wejść — zaproponowała cicho Nika. — Jeśli ktoś nas zauważy, zapytamy o drogę do stacji.

— Brakuje Neta, który teraz zacząłby panikować — mruknął Felix. — I rozsądnej Niki, która powstrzymałaby nas przed pójściem tam.

Weszli na podwórko, odruchowo lekko się garbiąc. Nie wyglądali na kogoś szukającego stacji kolejowej. Dwadzieścia metrów dalej, pod ścianą garażu stała buda, a przed nią spał stary pies.

— Nie wchodźmy dalej — szepnął Felix.

Nika zatrzymała się i wskazała uchylone drzwi wejściowe. Obok schodów rdza kończyła pożerać wypełnioną śmieciami beczkę.

— Jak można żyć w takim syfie? — Nika zmarszczyła nosek, choć zapach dobiegający z beczki tylko sobie wyobraziła.

Zza uchylonych drzwi dobiegał nerwowy głos. Słów nie było słyhać, ale ze sposobu mówienia można się było domyślić, że ktoś rozmawia przez telefon. Zgodnie z obawami Felixa, Nika podeszła do trzech schodków prowadzących do drzwi. Ponieważ stąd nadal nie było dobrze słyhać, weszła na nie, a Felix, chcąc nie chcąc, podążył za przyjaciółką.

— Chcę za nią tauzena, nie mniej. — To był skrzekliwy głos Typka. — Żadnych targów i żadnych sztuczek! Pamiętaj, że Grublera się nie oszukuje.

— Chodźmy stąd — szepnął Felix. — On po prostu coś sprzedaje.

Nika przyłożyła palec do ust. Nie miała zamiaru teraz odpuścić.

— Mała jest dobrze ukryta — ciągnął Typek. — I lepiej się pospiesz, bo nie wiem, jak długo wytrwa taka świeżutka. Szkoda by było takiej ślicznotki.

Nika zbladła i spojrzała na Felixa znacząco.

— Sprzedaje coś albo kogoś — szepnęła.

— Nie słyszę cię — mówił Grubler. — Co? Powtórz... Słaby sygnał. Zaczekaj chwilę.

Felix w ostatniej chwili pociągnął do siebie Nikę, by uchronić ją przed uderzeniem drzwiami. Typek otworzył je gwałtownie i wyszedł na schody. Przyjaciele wcisnęli się między beczkę a drzwi i z musu przyłgnęli do siebie. Felix poczuł zapach włosów Niki.

— Już słyszę. — Typek chwilę słuchał, co mówi jego rozmówca. — O, i teraz gadasz do rzeczy. Dobrze, niech tak będzie. Forsa do wieczora. Ta, jasne, że ją trzymam w piwnicy, ale nie w domowej. Nie od dziś się tym zajmuję.

Drzwi powoli się zamykały, odsłaniając ukrytych za nimi przyjaciół. Wstrzymali oddech. Typek stał tyłem do nich, na pierwszym stopniu i jasne było, że za chwilę odwróci się, żeby wejść do środka. Nie mogli nawet zeskoczyć z podestu, bo narobiliby hałasu. Nika już przygotowywała w głowie uzasadnienie, dlaczego tak bardzo pobłądzili, idąc do stacji. Oraz gdzie są ich bagaże.

Jednak zanim miała okazję wypróbować łatwowierność Grublera, poczuła dłonie Felixa na plecach. Chłopak delikatnie popychał ją w stronę mężczyzny. Nie знаła jego zamiarów, ale miała zaufanie do jego pomysłów, więc nie opierała się.

— Znajdź bezpieczne miejsce na wymianę. Bez świadków ma być.

Felix powolnym ruchem sięgnął do klamki i otworzył szerzej drzwi. Stawiając jak najciszej kroki, tyłem wszedł przez próg. Teraz ciągnął za sobą Nikę. Drzwi przymknęły się same, gdy byli już w środku. Odwrócili się i napotkali zaciekawione spojrzenie czteroletniej na oko dziewczynki. Miała blond włosy związane w kitki czerwonymi kokardkami i różową poplamioną sukienkę. Stała na bosaka, a jej stopy też były nie pierwszej czystości.

— Co robicie? — zapytała.

— Bawimy się w chowanego — odpowiedziała zgodnie z prawdą Nika.

— Mogę się bawić z wami?

Nika nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przynajmniej tyle dobrego, że mała nie wszczęła alarmu.

— Schowaj się gdzieś — szepnął Felix. — Liczymy do trzydziestu i szukamy.

Dziewczynka uśmiechnęła się i pobiegła korytarzem w głąb domu. Nie było czasu na dalszą rozmowę, bo Grubler mógł w każdej chwili wrócić. Nasłuchując, wolno ruszyli w przeciwną stronę niż mała. Dom nie miał posadzki. Na betonowej podłodze ułożono różne dywany, chyba nieprane

od nowości, nie dało się bowiem rozpoznać, w jakich są kolorach. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach, który stał się bardziej intensywny, gdy weszli do kuchni.

— O Jezu... — Nika przesłoniła dłonią usta.

Kuchnia przedstawiała sobą obraz nieopisanego brudu i niechlujstwa. Mocno zniszczony blat kuchenny z jednej strony opierał się na szafce, z drugiej na prehistorycznym motorowerze, który poprzez lata obrósł ścierkami, pustymi pudełkami i gazetami. Pod stołem, przy którym stały różne krzesła, znajdowało się kolejne składowisko rupieci. Ale najgorszy z całej kuchni był garnek, w którym bulgotała zupa. Wyglądał, jakby nigdy nie był myty. Wewnętrzna strona jego rantu obrosła dwucentymetrową warstwą pozostałości poprzednich zup. Spora część historii tej kuchni znajdowała się na ścianie w postaci osmaleń i chlapnięć potraw gotowanych tu zapewne od wielu lat.

Nika, nie bacząc na niebezpieczeństwo wykrycia, wycofała się. Felix z ulgą podreptał za nią. Skręcili w korytarzyk prowadzący na tył domu i z trudem otworzyli drzwi do pokoju, od podłogi po sufit wypełnionego gratami. Pomędzy nimi została tylko wąska i kręta ścieżka prowadząca do okna. Zamknęli za sobą drzwi i odetchnęli z ulgą. Jeśli dziewczynka nie powie ojcu, bo Typek zapewne był jej ojcem, mogli tu przeczekać dłużej.

— Brawo, kręgosłupie moralny — szepnął Felix. — Włamaliśmy się do czyjegoś domu.

— To trochę inaczej miało wyglądać — przyznała Nika. — Ale przecież on tu kogoś ukrywa, słyszałeś, co mówił?

Panował tutaj, tak jak i w całym domu, wilgotny zaduch nigdy niewietrzonych i niesprzątaných wewnątrz. Przez brudne i zaparowane okno widzieli tylną część podwórka, jeszcze bardziej zawałoną gratami.

— Jak można żyć w czymś takim?

— Są biedni — zauważył Felix.

— Bieda nie usprawiedliwia brudu.

Rozległy się kroki, ktoś schodził z piętra.

— Na razie mieliśmy fart. — Felix przyciszył głos. — Do tego pokoju prędko nie wejdą, ale i tak musimy się stąd wydostać.

— Musimy jeszcze sprawdzić, kogo on tu ukrywa.

Felix uważał, że nie muszą, ale wiedział, że nie przekona Niki.

— Wyślę do taty naszą pozycję. Na wszelki wypadek. — Wyjął telefon i zawahał się. — Nie. Zaraz zapyta o powód.

Za brudnym oknem pojawił się Typek. Otworzył garaż i zniknął w środku. Po chwili wyjechał stamtąd srebrnym pick-upem.

— Toyota Hilux — zauważył Felix. — Najnowszy model. Czyli jednak nie są tacy biedni.

Typek odjechał, co ułatwiało sprawę wydostania się z tego domu. A jednak nadal stanowiło to pewien problem. Słysząc było krzątającą się po domu osobę, no i ta dziewczynka przecież znudzi się wreszcie oczekiwaniem na odkrycie i zapyta mamę, gdzie są goście.

Felix, starając się nie potknąć o ustawione na chwiejnych stertach graty, podszedł do okna i przyjrzał się zamknięciu. Okno miało starą konstrukcję z oddzielnie otwieranymi skrzydłami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Wyglądało na nieotwierane od dawna, a może nawet nie otwarto go nigdy. Liczba martwych much leżąca pomiędzy skrzydłami czyniła bardziej prawdopodobną tę drugą wersję. I z pewnością nigdy go nie myto. Felix wolno przekręcił klameczkę. Zamek z cichym zgrzytem odpuścił, a skrzydło otworzyło się, ciągnąc za sobą pajęczyny kurzu i muszych truchełek. Z zewnętrznym zamknięciem poszło nieco tylko trudniej. Do wnętrza wleciało świeże powietrze, co przyjaciele przyjęli z ulgą.

Felix wychylił się i ocenił sytuację. Zdmuchnął muchy na bok i wszedł na parapet. W tym momencie otworzyły się drzwi do pokoju. Przyjaciele zamarli, gotowi do natychmiastowej ucieczki.

— Czekałam, a wy nie przyszliście — powiedziała dziewczynka.

Felix odetchnął.

— Brawo. — Przyłożył palec do ust. — Ale ćśśś. Podczas tej zabawy trzeba być cicho. Tak dobrze się schowałaś, że cię nie znaleźliśmy. Teraz nasza kolej. Licz do trzydziestu. A my się schowamy.

— Potrafię tylko do dziesięciu.

— No to... policz trzy razy do dziesięciu.

Dziewczynka przytaknęła energicznie, odwróciła się i zaczęła liczyć. Felix, najciszej jak potrafił, zeskoczył na podwórko. Pomógł zejść Nice, łapiąc ją pod pachy.

— Mamy pół minuty na ewakuację — szepnął.

— Sprawdźmy piwnicę — upierała się Nika. — Musi być ziemianka albo piwnica pod którymś z budynków gospodarczych.

Znów przygarbieni, jakby teren był pod ostrzałem snajpera, przebiegli do otwartego garażu, z którego przed chwilą wyjechał pick-up. Felix zdawał sobie sprawę z tego, że w ten sposób tylko bardziej rzucają się w oczy,

niż gdyby po prostu szli, ale i tak nie mógł na to nic poradzić. O tym, że pies może zacząć szczekać, pomyślał, gdy wbiegli już w półkole pozbawionej roślinności ziemi. Półkole wytarte psim łańcuchem. Pies uniósł łeb i spojrzał na nich bez zainteresowania. Nika przykucnęła przy nim, aby go pogłaskać po splątanej sierści na grzbiecie. Był mniejszy od Cabana i zdecydowanie bardziej apatyczny. Zamachał leniwie ogonem i znów położył łeb na ziemi.

Garaż okazał się po prostu garażem, tyle że jak wszystko w tym gospodarstwie, niemiłosiernie zagraconym. Pozbawiony był nie tylko zejścia do piwnicy, ale nawet tylnego wyjścia.

— Wejście może być ukryte — powiedziała Nika.

— Użyj swoich przeczuć.

— Przeczuć się nie używa. To one używają ciebie.

— Dobrze. Przynajmniej się tak nie garbmy. — Felix zerkał w stronę okien domu. — W razie czego powiemy, że nam się zgubił pies.

Przeszli do następnych drzwi małego składziku, potem do drewnutni, a wreszcie uchylili poskrzypujące skrzydło wrót stodoły i wślizgnęli się do środka. Ciemność przeszywały dziesiątki smug lub prawie niewidocznych promieni wpadających przez szczeliny w spróchniałych ścianach. Aż kręciło w nosie od unoszącego się w powietrzu kurzu przemieszanego z zapachem siana. Na ziemi i na antresoli leżało go całkiem sporo.

— Pamiętam taki widok i zapach z dzieciństwa z wakacji — powiedziała cicho Nika. — Miałam wtedy może trzy lata.

Do antresoli przystawiona była drabina. Aż kusiło, żeby tam wejść, wskoczyć na siano i położyć się na wznak. Może nawet zasnąć.

Zrobiło się jakby jaśniej.

— To za proste! — usłyszeli za plecami. Odwrócili się gwałtownie i zmrużyli oczy przed światłem wpadającym przez małe drzwiczki w jednym ze skrzydeł. — Wszyscy się tutaj chowają.

To była znów ta dziewczynka.

— Wygrałaś po raz drugi. — Nika klasnęła w dłonie. — Jesteś bardzo dobra w tę grę.

— A my jesteśmy kiepscy — poparł ją Felix. — Teraz ty się chowasz.

— Znowu mnie nie znajdziecie.

— Wybierz jakieś łatwiejsze miejsce. Ostatnie było za trudne.

Dziewczynka chwilę się namyślała, wreszcie skinęła główką.

— Tylko nie podglądajcie! — Pogroziła im palcem i wyszła na podwórko.

— Zaczyna mi działać na nerwy — powiedział cicho Felix. — A tutaj też nie ma piwnicy.

— Myślę, że jest bardzo samotna.

Zaczekali umówione trzydzieści sekund, bynajmniej nie z zamiarem szukania dziewczynki. Przynajmniej nie tej.

Felix zatrzymał się i spojrzał w dwumetrowy odstęp między stodołą a magazynkiem z białej cegły. Na stercie leżały tam jakieś blachy, dwa worki i kilka rur.

— Wygląda mniej syfiasto od całej reszty — powiedział. — Prawdę mówiąc, wygląda jak kamuflaż, który ktoś często przekłada.

Nika spojrzała na rury i nie zauważyła w nich niczego niezwykłego. Felix jednak podszedł do nich, zerknął na okna domu, co i tak niewiele mogło zmienić, i zaczął przekładać cały ten bałagan na bok. Worki wyglądały na solidne, więc zaparł się nogą o betonowy postument, chwycił pierwszy i niemal przewrócił się na plecy. Worek był tak lekki, jakby wypełniał go styropian. Felix przeniósł worki na rury i przyjrzał się prostej pokrywie wjazdu, którą wykonano z grubej blachy. Zasuwany skobel i uchwyt były wyslizgane od częstego otwierania.

Felix i Nika spojrzeli na siebie. Jeśli to było to, co myśleli, znajdowali się właśnie w wielkim niebezpieczeństwie. Ale jednak nie mieli pewności. Felix rozważał użycie telefonu, ale stwierdził, że jeszcze pół minuty, na sprawdzenie, co jest w środku, niewiele zmieni, a pozwoli uniknąć masy wyjaśnień. Odetchnął, odsunął skobel i otworzył ciężką pokrywę.

Z mrocznego środka wydobywało się wilgotne, dość ciepłe powietrze. Pachniało znajomo, ale nie potrafili sobie skojarzyć, co to jest. Felix wyjął z kieszeni latarkę i zaświecił do wnętrza. Strome betonowe schody prowadziły jakieś trzy metry w dół.

— Sprawdźmy — poprosiła Nika. — Jeśli nie sprawdzimy, pomoc może nadejść za kilka godzin.

Felix jeszcze raz obejrzał się na dom i skinął głową.

— Tylko zajrzemy — zastrzegł i położył na progu wjazdu mały patyk, by zapobiec przypadkowemu zatrześciu się klapy. — Zaczekaj tutaj.

Zszedł, przyświecając sobie latarką.

Nika denerwowała się coraz bardziej, choć nie działo się nic szczególnego. Nie licząc oczywiście tego, że szperali po podwórku kogoś, kto może

być porywaczem. Czuła coś, co nie było oczywistym przecuciem, lecz jedynie jego cieniem.

— Coś widzę — usłyszała spod ziemi.

— Co?

Nie chciała krzyżeć, a odpowiedź była jeszcze cichsza. Dziewczyna przekroczyła próg i zeszła kilka stopni.

— Co mówiłeś?

Cisza. Zeszła więc kolejnych kilka stopni, aż dostrzegła poruszające się między regałami światło latarki.

— Coś znalazłem — powiedział.

I wtedy przecucie objawiło się jej z całą mocą. Poniewczasie. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, był spadający po schodach patyk. Chwilę później zrobiło się ciemno, a łomot oznajmił zatrzaśnięcie się klapy. Naiwnej nadziei, że kłapa zatrzasnęła się sama, pozbawił ją dźwięk zasuwanego skobla.

— Felix! — krzyknęła. Nie było już sensu się ukrywać.

Felix potykając się na schodach, ruszył biegiem do wyjścia. Napał na kłapę, która drgnęła leciutko, na ile pozwalał luz skobla. Chłopak uderzył w grubą blachę kilka razy, co też oczywiście nic nie dało. Cofnął się na dół schodów, objął dziewczynę ramieniem i oświetlił kłapę latarką. Od środka nie było żadnej klameczki ani niczego, czym można by odsunąć zewnętrzny skobel.

— Gdyby był z nami Net, mielibyśmy na kogo zwalić. — Wyszarpnął z kieszeni telefon. — Oby tu był zasięg.

— Co tam widziałeś?

— Nie chcesz tego oglądać. — Włączył telefon... a raczej spróbował go włączyć. Przytrzymał przycisk dłużej. To też nic nie dało. Zważył aparat w dłoni. — O nie...

Nika próbowała przebić wzrokiem ciemność. Żałowała, że zostawiła latarkę w obozie. Widziała tylko zarys jakiegoś mebla, jakby fotela. Na fotelu coś było.

Felix włożył latarkę w usta, odwrócił telefon i za pomocą multitoola otworzył tylną kłapkę. W środku brakowało akumulatora.

1. PR (Public Relations) – kształtowanie stosunków z otoczeniem. Celem działań public relations jest dbałość o dobry wizerunek, akceptację i życzliwość wobec działań danej osoby lub firmy.



11. Przecież diabły nie istnieją

Latarka omiatała stare rozpadające się kanapy, fotele i wersalki pokryte obłymi bladymi naroślami. Wyglądały niepokojąco organicznie. Jakby obce formy życia obsiadły zgromadzone w tej piwnicy meble ze śmietnika. W ciepłym i wilgotnym powietrzu unosił się zapach torfu i mokrego siana. Nika trzymała się blisko Felixa, gdy krętymi ścieżkami szli wzdłuż zapadających się wersalek. Te dziwne obłe kształty były różnej wielkości: od pomarańczy do sporego melona. Nice przywodziły na myśl głowy ośmiornic, były jednak matowe i nie ruszały się. Na razie.

— Nie dotykaj...! — syknęła dziewczyna, widząc, że Felix wyjmuje z kieszeni długopis i wyciąga w stronę najbliższego łepka. — Obudzisz je...

Felix cofnął rękę, ale tylko kawałek.

— Nie udawaj Neta — szepnął. — I tak musimy znaleźć inne wyjście.

Nika zobaczyła oczyma wyobraźni, jak dotknięty długopisem łepiek unosi się, zaczyna piszczeć, a spod spodu wysuwa wijące się macki. A zaraz potem budzą się pozostałe łepki...

— Rzeczywiście bez Neta jest jakoś dziwnie. — Otrząsnęła się. — Nie ma kto panikować.

Felix skinął głową. Znów długopisem delikatnie trącił to coś. Oboje podskoczyli, gdy lekko poruszyły się wszystkie łepki na tej wersalce. Nika zrobiła krok do tyłu, a Felix złapał ją w pól. Całe szczęście, w przeciwnym razie przewróciłaby się na fotel za nimi, wprost w kilkanaście innych tworów.

Nic nie zaczęło piszczeć, nie wysunęły się żadne macki. Felix puścił dziewczynę i przykucnął, by z bliska przyjrzeć się tajemniczemu strukturalom.

Długopisem puknął najbliższy z wierzchu. Odpowiedzią był głuchy odgłos, jaki wydałaby puknięta w ten sposób piłka. Reszta tworów bujnęła się razem z tym jednym. Chłopak wyprostował się i odetchnął.

— To pieczarki — powiedział z ulgą. — To tylko pieczarki.

— Pieczarki... — Nika rozluźniła się. — Są tak z pięć razy za duże. No i kto hoduje pieczarki na starych meblach?

Felix poświecił wyżej, na przykręcone do ścian wiszące regały. Całe były zastawione pudłami z napisem „Pieczarki wersalskie”. Nika parsknęła śmiechem, stres odpuszczał.

— Pieczarki wersalskie, bo rosną na wersalkach. — Pokręciła głową. — Co za absurd.

— To jakaś specjalna odmiana. — Felix świecił na kolejne pudełka. Były na nich wypisane flamastrem ceny. — Dziesięć razy droższe od zwykłych. A to pewnie ta „ślicznotka”, którą Grubler chce sprzedać za tysiąka. — Wycelował latarkę w zajmującą cały fotel pieczarkę wielkości dyni. — Zamknął nas tu, bo wziął nas za złodziei.

— Czyli on nie porwał Zosi — stwierdziła Nika, już poważniejąc. — Ani nikogo innego.

— Tym razem twoje przeczucia zawiodły. Nie wiem, co to za grzyby ani czy ich hodowla jest legalna, ale to nie nasza sprawa.

Dotknął zegarka. Wolał się tłumaczyć ojcu niż policji. Ważył w dłoni multitool i był już niemal zdecydowany na to, by stłuc szybkę. A jednak tego nie zrobił.

— Jesteśmy pod ziemią — powiedział. — Nie wiem, jak silny nadajnik jest w zegarku. I nie wiem, jak długo może wysyłać sygnał. Możemy zmarnować szansę na wezwanie pomocy.

Obeszli całą piwnicę, która miała wielkość sporej sali szkolnej. Jedyne, co znaleźli, to kratki wentylacyjne zdecydowanie za małe, by się przez nie wydostać.

Drgnęli, gdy rozległo się pukanie w klapę.

— Jakoś to wytłumaczymy — powiedziała Nika. — Chodź.

— Powiemy, że nas też CyBorek wyrzucił z pociągu...

W smętnych nastrojach wrócili do wyjścia.

— To nieporozumienie — zawołał Felix, nie siląc się na zachowanie ciszy. — Znaleźliśmy się tu przez przypadek.

— Znalazłam! — znad klapy dobiegł znajomy głos. — Teraz za każdym razem was znajdę.

— To ty nas zamknęłaś? — zapytał zdziwiony Felix.
— Zamknęłam. Zaraz znowu was znajdę.
Felix pokręcił głową i mruknął pod nosem:
— W takich chwilach człowiek żałuje, że klapsy wyszły z mody. — Po czym dodał głośniejszym głosem — teraz nasza kolej. My powinniśmy szukać.
— I tak mnie nie znajdziecie. Liczę trzy razy do dziesięciu i szukam!
— Czekaj! Pokażemy ci lepszą zabawę — zaproponowała Nika.
— Znacznie ciekawszą od zabawy w chowanego.

Chwila milczenia.

— Jaką?

— Zabawę w berka. Znasz ją?

Odpowiedzią był zgrzyt otwieranego skobla. Felix, nie czekając na zmianę decyzji czterolatki, wskoczył na schody i pchnął klapę. Sam się sobie dziwiąc, zrobił to na tyle lekko, by przypadkiem nie uderzyć małej. Dla pewności jednak wsunął w jasną szczelinę multitool. Dopiero wtedy całkiem otworzył klapę.

Gdy przyjaciele wyszli na powierzchnię, przez zmrużone od światła oczy ujrzeli dziewczynkę stojącą z założonymi z tyłu rączkami i niewinną miną.

— Niech wam będzie, ale ja gonię pierwsza.

— Doskonały pomysł — przytaknął Felix. Chwycił dłoń Niki i pociągnął za sobą. Pobiegli w kierunku drogi.

* * *

Zatrzymali się, dopiero gdy minęli szczyt pierwszego pagórka. Zdyśzani, przewrócili się na mech i łapali oddech, ciesząc się widokiem drzew kołyszących się na tle błękitnego nieba. Słońce stało już niemal w zenicie.

— Przepraszam — powiedziała cicho Nika.

Felixowi zrobiło się jej żal. Chciał ją objąć, ale tylko poklepał po ramieniu.

— Każdy czasem się myli.

— Już nie wspomnę o Zosi. — Pokręciła głową. — To... nieracjonalne. Ogarnęła mnie jakaś obsesja.

— Każdy czasem się myli — powtórzył Felix. — Z tego, co pamiętam, zwykle miałaś rację. Może to wszystko dlatego, że superpaczka jest w niepełnym składzie.

— Nie mówmy o tym Netowi. Przynajmniej teraz mu nie mówmy.
— Nika zamilkła, patrząc na słońce, chowające się właśnie za mały obłoczek. — Która godzina?

— Za kwadrans południe.

Spojrzeli na siebie z przerażeniem, bo zrozumieli, co to znaczy. Bez słowa zerwali się i szybkim krokiem, bo nie mieli siły biec, ruszyli w drogę powrotną.

* * *

Nika obracała w dłoni zwiędły bukiet. Razem z Felixem stała na środku placu obozowego, a CyBorek chodził przed nimi z rękoma splecionymi z tyłu. Dziewczyna naprawdę się go bała. Reszta obozowiczów stała obok w szeregu, przyglądając się scenie z niewyraźnymi minami. W tle stygł kociołek z nienapoczętym obiadem.

— Co macie na swoje usprawiedliwienie? — zapytał nauczyciel.

— Zgubiliśmy się — powiedziała, patrząc w ziemię.

— Mieliście zbierać kwiaty na łące — warknął CyBorek. — Jak wam się udało zgubić na łące?

— Nie było mowy o łące — sprostował Felix. — Tylko o kwiatkach.

— Milczeć! A teraz połowa obozowiczów robi po dwadzieścia pompek. A ty — nauczyciel wskazał Felixa — wyznaczysz tę połowę.

— Nie będę nikogo wyznaczał — odparł Felix.

— Dopóki nie wyznaczysz sześciu osób do pompek, nikt nie dostanie obiadu.

Przez szereg obozowiczów przeszedł pomruk niezadowolenia.

— Wyznacz mnie — szepnęła Nika.

— Nie dasz rady zrobić nawet pięciu.

— Nie szeptać! Wyznaczaj. Gołąbki stygną.

Felix poczuł na sobie kilkanaście nieprzychylnych spojrzeń i znów nie mógł uwierzyć, że tak prosty mechanizm przeniesienia niechęci może działać. Ale mechanizm, jak każdy, można przecież wykorzystać. Popatrzył po kolegach i koleżankach w sposób, w jaki powinien patrzeć ktoś, kto ma pomysł, i oznajmił:

— Potrzebuję sześciu ochotników.

Oskar i Wiktor spojrzeli na siebie, skinęli głowami i jednocześnie wystąpili przed szereg.

— My się zgłaszamy do pompek.

— Nic z tego. Zajmijcie się kociołkiem! — CyBorek podkreślił polecenie gestem. — Odsuńcie go dalej od ognia. A ty Polon pospiesz się, jeśli nie chcesz, żeby wszyscy jedli zimny obiad. Masz wyznaczyć sześć osób.

Gilbert dawał mu coraz intensywniejsze znaki brwiami. Wyglądało to tak komicznie, że Felix niemal się uśmiechnął.

— Zrobimy to dwójkami — powiedział. — Do pierwszej dwójki wyznaczam Gilberta i... siebie.

— Ustalmy tylko, czy chodzi o pompki imperialne czy metryczne. — Gilbert spojrział wyczekująco na CyBorka.

— O co ci znowu chodzi? — zapytał nauczyciel.

— To jak cale i centymetry. Jeden cal to dwa i pół centymetra.

— Rób dwadzieścia zwykłych pompek! Już!

Obaj zgodnie położyli się na ziemi i z pewnym trudem wykonali dwadzieścia pompek. Gdy zakończyli i wrócili na swoje miejsca, Felix powiódł wzrokiem po obozowiczach:

— Następna dwójka... Gilbert i ja.

Zanim CyBorek wymyślił, jak zareagować, Felix i Gilbert znów położyli się na ziemi i zrobili po dwadzieścia pompek. Trzeci raz tego numeru powtórzyć nie było można. Gilbert lekko pokręcił głową, na znak, że już nie da rady. Felix zresztą też miał ramiona jak z waty.

— Nawet nie myśl o powtórzeniu tego numeru — powiedział CyBorek. — Wyznacz kogoś innego.

Do szeregu akurat wrócili, po wykonaniu polecenia, Oskar i Wiktor.

— Oskar i Wiktor — powiedział Felix, uprzedzając sprzeciw nauczyciela.

Koledzy posłusznie przystąpili do pompkowania. CyBorek zacisnął usta. Nie miał jak zaprotestować. Za to, gdy skończyli, wyciągnął do Felixa dłoń.

— Poproszę twój zegarek.

— Po co...?

— Odepnij go i mi oddaj.

Felix, jakby wbrew sobie, odpiął zegarek i podał nauczycielowi. Nie musiał tego robić. Formalnie to nawet mógł w tym momencie spakować plecak i odejść. I nikt by go nie zatrzymywał przemocą. A jednak oddał zegarek.

Chwilę później wszyscy usiedli do obiadu, który okazał się niezbyt smaczny, ale przynajmniej dostatecznie ciepły. Felix i Nika solidnie zgłodzieli po porannych przygodach. Usiedli obok Oskara i Wiktora.

— Dzięki za pomoc — powiedział Felix po pierwszym kęsie.

— Pomagamy ci, bo jesteśmy kumplami — oświadczył Wiktor.
— Więc ty, jako kumpel, pomóż nam i przestań się wyłamywać.

Felix pokiwał głową. Trochę mu ulżyło, że nie wszyscy się od niego odsunęli. Niestety podejrzewał, że prędzej czy później to nastąpi, bo podporządkowywać się wojskowej dyscyplinie nie zamierzał.

— To nie do końca tak, że CyBorek wściekł się tylko na was — dodał Oskar. — Był zły już wcześniej.

— Do obozu przyleciała Celina, z wrzaskiem że widziała w lesie diabła — uzupełnił Wiktor. — Nakrzyczał na nią, że sieje panikę.

Felix zastanowił się nad tą informacją, ale nie skomentował jej.

Po obiedzie wszyscy zgodnie poszli zmywać. Nika trzymała się blisko Felixa, wyczuwając niechęć większej części grupy.

— Po co mu mój zegarek? — zastanowił się Felix. — To ma być jakaś kara za... niesubordynację?

— Nie możesz wygrać z kimś, kto ustala zasady gry — powiedziała dziewczyna. — Tym bardziej, jeśli zmienia zasady w jej trakcie.

— To też można wykorzystać.

— Pytanie tylko, czy chcemy to robić.

— Szczerze, to chcę wstać od stołu i przestać grać. Jak przyjedzie Net, przekonamy go, że powinniśmy wracać. Na ile go znam, to miejsce zacznie go uwierać bardzo szybko. Myślisz, że Celina mogła znać legendę o diable znad Czerwonej Hańczy?

* * *

Pomruk dużego diesla dotarł do obozu, zanim jeszcze ciężarówka wyłoniła się zza szczytu pagórka. Obozowicze zgromadzili się na placu i patrzyli wyczekująco w stronę, z której dobiegał dźwięk.

— Jedno jest pewne — ocenił Gilbert. — To nie jadą ninja.

Najpierw nad zakrzywieniem pagórka pojawił się czarny dym, a dopiero po nim kanciasta szoferka. Był to oczywiście Jelcz; ten sam, którym tu przyjechali. Kierowca nie wyłączył silnika ani nie wysiadł, za to CyBorek ruszył w jego stronę szybkim krokiem.

— Wracam za godzinę — rzucił przez ramię. — Nie oddalajcie się od obozu, ten niedźwiedź może gdzieś tu krążyć. I słuchajcie drużynowych.

Wskoczył do szoferki i zatrzasnął drzwi. Wynikało z tego w oczywisty sposób, że nikt poza nim nie pojedzie na stację.

Ciężarówka zaczęła wolno zawracać.

— Uważaj, żeby nie zobaczyli nas w lusterkach — powiedział Felix i pociągnął Nikę za sobą.

Nie zdążyła o nic zapytać, bo już biegła. Felix pierwszy chwycił krawędź burty, podciągnął się i przerzucił nogę do środka. Wyciągnął dłoń, chwycił Nikę za nadgarstek w ten sposób, że ona również mogła chwycić jego nadgarstek – taki chwyt był dwa razy mocniejszy i bezpieczniejszy. Pomógł jej wskoczyć do ładowni. Przez chwilę miał idiotyczną ochotę, aby pomachać kolegom, ale na szczęście się powstrzymał. Nie wyglądali na zadowolonych.

Usiedli na ławce, żeby się nie przewrócić.

— Powiedz mi, że nie uciekamy — poprosiła Nika.

— Nie uciekamy. Chcę tylko porozmawiać z Netem, zanim CyBorek zabierze mu telefon.

— Przecież i tak zabierze.

— Jak to dobrze rozegramy, to zabierze mu ten. — Felix wyjął z kieszeni swój telefon bez baterii. — A jeśli się nie uda, to mam plan B. Do jego realizacji będę potrzebował kasy biletowej.

— Chcesz kupić bilety powrotne?

Felix pokręcił głową.

— Chcę rozmienić pięć złotych.

* * *

Gdy wjechali na parking przed stacją, przyjaciele ukryli się za workami leżącymi w przedniej części ładowni. Na wypadek, gdyby wuefista tu zajrzał.

— I co teraz? — zapytała Nika.

— Są dwie możliwości. — Felix dyskretnie wyglądał znad worków. — Albo CyBorek zaczeka w szoferce i wówczas pójdziemy na peron odebrać Neta przed nim, albo on pójdzie na peron, a wtedy my pójdziemy do kasy. Czyli pan B.

Nika pokręciła głową, nieprzekonana co do szans powodzenia któregośkolwiek planu. A rzeczywistość jak zwykle nie zamierzała ułatwiać zadania. Ciężarówka zatrzymała się, a gdy tylko trzasnęły drzwi szoferki, znów ruszyła.

— Niedobrze... — mruknął Felix.

Żaden z planów tego nie przewidywał. Najzwyczajniej w świecie odjeżdżali. Zobaczyli jeszcze tylko nauczyciela idącego w stronę stacji, a oni znaleźli się z powrotem na szosie.

— Może jedzie zatankować albo zrobić zakupy — zastanowił się Felix. — W najgorszym razie po prostu przejeździemy się po okolicy.

Na wszelki wypadek nie wrócili na ławeczki, tylko przysiedli na workach, które leżały na podłodze.

Dziesięć minut później ciężarówka skręciła i po chwili zwolniła, by przejechać po czymś, co zapewne było progiem zwalniającym. Przyjaciele zobaczyli zamykający się za nimi szlaban. Niestety nie był to szlaban kolejowy, tylko raczej taki, jaki można spotkać przy wjeździe do jednostki wojskowej. Jeśli mieli jeszcze jakieś wątpliwości, gdzie są, to widok kilkunastu zaparkowanych wojskowych ciężarówek rozwiął je całkowicie. Dalej stało kilka czołgów, a zielony helikopter Sokół właśnie rozgrzewał silnik.

— Z tego będzie się trudno wytłumaczyć — jęknął Felix.

— Jeszcze oskarżą nas o szpiegostwo.

Na wszelki wypadek schowali się za workami i nawet nie próbowali zza nich wyglądać. Ciężarówka zatrzymała się, jednak silnik wciąż pracował, co dawało nadzieję, że postój długo nie potrwa. Zgrzytnęły zamki tylnej burty i przyjaciele przyłgnęli jeszcze bardziej do ziemi. Coś ciężkiego zaszurało o podłogę i burta znów się zamknęła, a ciężarówka ruszyła.

Felix i Nika leżeli nieruchomo, aż poczuli, że znów przejeżdżają przez próg zwalniający. Odczekali jeszcze chwilę i ostrożnie wychylili głowy. Jechali po szosie, a w ładowni przybyła metalowa skrzynia, zdecydowanie mniejsza od tych, w których trzymali żywność.

Podeszli do skrzyni i otworzyli ją – nie miała kłódki. Wewnątrz leżały mundury polowe. Nika wyjęła spodnie i rozprostowała je.

— Damskie — zauważyła.

— Skąd wiesz? Spodnie jak spodnie.

— Poznają po kroju. Czy on chce, żeby dziewczyny chodziły w moro?

— Ściślej mówiąc, to jest woodland. — Felix wziął od niej spodnie i przybliżył do światła, czyli tyłu samochodu. — A jeszcze ściślej – pan-

tera ¹.

Pod dwoma parami mundurów leżała wojskowa bielizna i w tym przypadku nie było już wątpliwości, że jest damska. Zamknęli skrzynię i ponownie się schowali. Ciężarówka zjechała na parking przed stacją i zatrzymała się. Jednak kierowca nie wyłączył silnika, co zapowiadało krótki postój.

Po chwili burta opuściła się i do ładowni ktoś wskoczył. Nika wychyliła się minimalnie i uśmiechnęła szeroko. To był Net. Wyglądał na trochę zdeorientowanego.

— Usiądź, będzie trzęsło — ostrzegł CyBorek i zamknął burtę.

Chłopak rozejrzał się po ładowni. Rzucił plecak na podłogę, opadł na ławkę i mruknął pod nosem:

— Bentley Continental, normalnie. Czemu więc z zewnątrz wygląda jak Jelcz?

Nika stłumiła śmiech. Bardzo chciała pobiec do przyjaciela i przywitać się. Rozsądnie jednak zaczekała, aż ciężarówka ruszy. Dopiero wtedy wyszła z ukrycia.

— Tylko się nie przestrasz — ostrzegła.

Net zerwał się na równe nogi i o mało co nie wypadł przez tylną burtę. Zajęło mu chwilkę, zanim się zorientował, że w ładowni znikąd zmaterializowała się Nika. Rzucili się sobie w ramiona, by się wyściskać i wycałować. W kluczowym momencie powitania Felix przeniósł wzrok na interesującą fakturę plandeki, która przecierała się już w miejscu styku z metalowymi pałakami. Interesujące były też metalowe oczka i sposób mocowania plandeki za pomocą...

— Cześć stary! — Net klepnął go w ramię. — Już skończyliśmy się witać.

Uścisnęli sobie dłonie i wykonali klasycznego misia oklepywanego.

— Nie mogliśmy wyjść na stację — wyjaśnił Felix. — Więc zaczekaliśmy tu. CyBorek nie wie, że tu jesteśmy, więc się nie wygadaj.

— Czemu nie jedziesz w szoferce? — zapytała Nika.

— Tam są tylko dwa miejsca. A już się cieszyłem, że się przejadę czymś fajniejszym niż trzydziestoletnia taksówka. No a to tutaj, to trochę słaba atrakcja.

— Czyli Zuzanna wtedy... — Nika pokręciła głową. — Zresztą nieważne. Opowiadaj, jak poszło.

— Masakra, mówię wam. — Net się ożywił. — Znaczy testu nie zdałem, więc luz. Masakra w domu.

— Jak to nie zdałeś?! — wykrzyknęła Nika.

— No bo wygrałem olimpiadę informatyczną, a ci, co wygrali, nie muszą zdawać. Znaczy testu. Opałaś się.

— To dlaczego zdawałeś za pierwszym razem?

— Bo Eftep mi nie po... — Net zawiesił się. — A to szuja! Nie powiedział mi. A musiał o tym wiedzieć.

— Ciebie też powinni powiadomić.

— Nie przypominam sobie żadnego maila w tej sprawie.

— Oni to pewnie przysłali analogową pocztą — wtrącił Felix.

— Ja nawet nie otwieram papierowych listów. — Net machnął ręką. Zastanowił się nad czymś, patrząc w bok. — Leży mi na biurku sterta z kilku miesięcy. Sądziś, że list do laureata olimpiady informatycznej, czyli do mnie, wysyłałoby analogową pocztą? Kartka, koperta, znaczek, stempelek?

— Myślisz, że list do laureata olimpiady historycznej dostarcza goniec konny?

— A co się stało w domu? — zapytała Nika.

— Łoooch... — Net pokręcił głową. — Gruba sprawa. Awaria ciepłej wody. To pewnie przez te wykopki na Woli. Wyobrażacie to sobie w XXI wieku?! Przez pół dnia z jednego kranu leciała zimna woda, a z drugiego bardzo zimna. Ależ wam zazdrościłem! Nawet rąk nie było jak umyć. Nie to, żebym przesadnie często... No ale wiecie, człowiek przyzwyczaja się do jakichś tam standardów. Ciepłe łóżeczko, szybki internet, konkretne żarełko: zupka, drugie, deserek. Bez tego trudno sobie wyobrazić normalne życie.

Felix i Nika wymienili szybkie spojrzenia.

— Co robiłeś przez te dwa dni? — zapytała Nika.

— Ambh... — Net rozłożył ręce i spojrzał gdzieś w górę. — Takie tam... nudy. A wy co robiliście?

Tym razem Felix i Nika spojrzeli w różne strony.

— W sumie też nic ciekawego — odparł po dłuższej chwili Felix.

— Lenicie się całymi dniami? Z CyBorkiem? Nie uwierzę! Na pewno przed obiadem strzela pogadankę i każdy musi zrobić dziesięć przysiadów.

— Coś w tym stylu — przytaknęła Nika. — Nawet bardziej w tym stylu, niż sądziś.

— Ale pensjonat wporzo, nam nadzieję? A, właśnie, zajęliście mi fajną miejscówkę?

— Jest kilka wolnych. — Felix odchrząknął. — W podobnym standardzie. Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

— Mów, zniosę wszystko. Nie ma jacuzzi? Łazienki są wspólne, na korytarzu?

Uciekająca w tył droga asfaltowa zamieniła się w uciekającą w tył drogę gruntową, a wreszcie leśną.

— Brak jacuzzi nie jest największym problemem. — Felix starał się odpowiednio dobierać słowa, by przygotować przyjaciela na trudną prawdę. — Przynajmniej nie jedynym.

— Nie, nie mówcie mi. — Net zrobił minę filmowego twardziela. — Sam się przekonam. Czy to będą migające energooszczędne żarówki w lampkach nocnych, skrzypiące drzwi czy niski transfer pensjonatowej sieci – przeżyję to jakoś. A propos, wiecie, czemu CyBorek zabrał mi laptopa na przechowanie? Kradną w tym pensjonacie?

Felix i Nika spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

— Zabrał? — upewniła się Nika. — Skąd wiedział, że go masz?

Net wzruszył ramionami.

— Po prostu wiedział. Obiecał, że się nim zaopiekuje dla bezpieczeństwa.

Felix dotknął nadgarstka, na którym jeszcze widniał jaśniejszy, nieopalony pasek po superzegarku.

— Skądś też wiedział o tym, że mój zegarek ma wbudowany nadajnik alarmowy.

— A może chodzi o to, żeby nie zamókł, czy coś?

— Jest wodoodporny do głębokości... nawet nie wiem, do jakiej, bo mi nie grozi taka głębokość. Jest też wstrząsoodporny.

— To czemu po prostu nie powiesz mu, żeby ci oddał?

— Technicznie jest to wykonalne. Tak samo, jak podniesienie gorącego garnka bez rękawic. Ale za to bardzo nieprzyjemne. Zrozumiesz to szybciej, niżbyś chciał. I nie zdziw się naszym zachowaniem. Będziemy musieli wyskoczyć, jak tylko ciężarówka zwolni, a potem wylewnie się z tobą przywitamy.

* * *

Tym razem obie drużyny musiały się ustawić w osobnych szeregach, na wprost siebie, pozostawiając odstęp trzech metrów. Net stał z boku i rozglądał się nerwowo, jakby podejrzewał, że na powitanie robią mu jakiś dowcip.

— Dziś dołączył do nas szerego... uczeń Bielecki — oznajmił CyBorek, swoim zwyczajem przechadzając się przed szeregiem. — Niektórzy z was może mieli okazję go poznać.

— Wszyscy mnie znają — zauważył Net.

Stojący obok Wiktor uciszył go syknięciem.

— Bielecki dołączy do drużyny „Teraz”, czyli do Lucjana.

— Moment — zaprotestował Net. — Ja bym wolał do tej drugiej. Przecież tu i tu jest po sześć osób.

— Nie udzieliłem ci głosu. Dołącz do swojej drużyny.

Net miał minę, jakby zorientował się w trakcie imprezy, że zamiast na urodziny, trafił na stypę. Posłusznie stanął jednak w szeregu.

— Dziś nie będzie ciszy nocnej o dziesiątej — ciągnął wuefista i od razu uciszył radosne szepty. — Będzie nocny marsz na azymut. — Teraz odgłosy były już mniej entuzjastyczne. — To fajna zabawa i nauczycie się przy okazji odczytywania kompasu i krokomierza. Podjąłem też decyzję o pewnych zmianach kadrowych. Polon! Degraduję cię. Już nie jesteś drużynowym. — Felix nic nie odpowiedział. Gdyby nie okoliczności, uśmiechnąłby się i podziękował za zwolnienie go z tej przykrew funkcji. — Od tej chwili drużyną „Nic nie mów” dowodzi Gerald. — Wymieniony uśmiechnął się dumnie i uniósł wyżej brodę. — Drużynowi, wystąp!

Lucjan i Gerald wykonali krok do przodu, a nauczyciel wręczył im po kartce zapisanej cyframi. Z min obu drużynowych bez trudu można było wyczytać, że nie mają pojęcia, na co patrzą.

— Wyruszacie po zmroku — dodał CyBorek. — U celu czeka fant, a wygrywa ten, kto pierwszy do niego dotrze. Spocznij, rozejść się.

Net przyglądał się temu ponuro. Podszedł do Felixa i Niki:

— Atmosfera napięta jak plandeka na Jelczu — stwierdził. — Jakaś musztra? Jakies drużyny i drużynowi? O co tu chodzi? Czuję się jak normalny w domu wariatów.

— Jeśli się nie dostosujesz, to szybko zaczniesz się czuć odwrotnie — ostrzegł go Gilbert. — Przewaga wariatów jest taka, że to oni wyznaczają normę. Ja już się czuję jak wariat wśród normalnych.

— To mnie akurat nie dziwi. — Net rozejrzał się po obozie. — Najpierw odświeżyłbym się trochę po tych wozach. Gdzie są prysznice?

Niestety, im bardziej się rozglądał, tym bardziej pryszniców nie było.

— Do wyboru jest strumień lub jezioro — wyjaśniła Nika.

— Nie wiedziałem, że tu są ciepłe źródła. A na kolację to o której idziemy, bo już trochę zgłodniałem?

— Nie idziemy, tylko sami robimy na miejscu. — Felix wskazał kciukiem ognisko. — I niestety sami zmywamy. Kolacja będzie o siódmej, czyli za... — Zerknął na zegarek, którego nie było. — Chyba już wiem, skąd CyBorek wiedział o zegarku i laptopie. — Wskazał głową Geralda. — Pewności nie mam, ale na dziewięćdziesiąt dziewięć procent on mu doniósł, żeby się podlizać. Dzięki temu został drużynowym.

* * *

Po kolacji, na którą było... coś z puszek, co Gilbert określił mianem „ćtapy”, w obozie zapanowało leniwe rozprężenie. Jednak nikt nie narzekał, że w nocy czeka ich łażenie po lesie. Metody CyBorka zdawały się działać.

Gdy zaczęło się ściemniać, Aurelia i Klaudia uznały, że wykapią się teraz, na zapas przed wyprawą. Wzięły ręczniki, ubranie na zmianę i odeszły w stronę strumienia. Net zerknął na nie, potem na krzątającą się przy ognisku Nikę, znów za odchodzącymi i zmarszczył brwi. Nachylił się do Felixa, przeglądającego zawartość plecaka.

— Nie przeszedłbyś się na spacer po okolicy?

— Zapomnij. — Felix pokręcił głową. — Już wczoraj była z tego afera.

— Podglądałeś je?

— Nie, ale niektórzy myślą, że tak. — Felix przyciszył głos jeszcze bardziej — w tym czasie wykradałem telefon ze skrzyni w namiocie CyBorka.

— Przecież twój jest wodoodporny. Dlaczego ci go zabrał?

— Bo robi sobie tutaj szkoleniowy obóz wojskowy i chce nas odizolować od świata, żeby nas mieć tylko dla siebie. Taka realizacja marzeń i ambicji. Poważnie się zastanawialiśmy z Niką, czy nie nawiać. Tylko że nie mielibyśmy jak zabrać Bulbota.

— O, właśnie. Prawie zapomniałem. Kiedy zaczynamy poszukiwania?

— Chwilowo nie zaczynamy. CyBorek ma twój laptop.

— O żeż... Fakt.

Na sąsiedniej ławie Lucjan i Gerald wraz z Oskarem i Wiktoorem z niewyraźnymi minami pochylali się nad kartkami, które dostali od wuefisty. Obracali w dłoniach kompas i krokomierze.

— Jakież zaklęcia — stwierdził Oskar. — Czarna magia.

— Nie, to banalnie proste. — Felix podszedł, wziął od niego kartkę. — Azymut i odległość.

— Jeśli to banalnie proste, to czemu nie jest... proste? Daleko to?

— Zaraz policzę. — Felix otworzył swój brudnopis, ten sam, który dostał od przyjaciół na urodziny, i zaczął przepisywać wszystkie cyferki z jednej kartki, potem z drugiej. Gdy skończył, oświadczył — jakieś pięć kilometrów.

— Ale... — Gerald gapił się na kartkę i mrugał. — W którą stronę. Jak to się czyta?

— To ty jesteś drużynowym. — Felix wzruszył ramionami.

Gerald spojrział na niego nienawistnie, ale zaraz złagodniał:

— Mogę cię mianować moim zastępcą.

— Dzięki, obejdzcie się. Popatrzcie. — Położył na kartce kompas. — To jest kompas, busola właściwie, ta strzałka, co się obraca, wskazuje północ.

Lucjan sapnął z irytacją.

— Mam tłumaczyć czy nie? — zapytał Felix.

— Tłumacz, tłumacz.

— Ta strzałka na płytce pokazuje kierunek marszu. Pierwsza liczba z kartki to kierunek, czytasz go z kompasu i ustawiasz ten pierścień, no i idziesz w tę stronę, w którą pokazuje ta strzałka. Ta druga liczba to odległość w metrach. A to jest krokomierz. — Felix położył na kartce małe czarne urządzenie z trzema pierścieniami z nadrukowanymi cyframi i przyciskiem. — Przypinasz to do paska i on liczy kroki. — Potrząsnął dwa razy i ostatnia z cyfr z zera zamieniła się w dwójkę. — Nie możesz podskakiwać, bo też policzy. Te kroki przeliczasz na metry i już wiesz, ile masz przejść.

— Skąd mam wiedzieć, jak to przeliczyć? — zapytał Lucjan. — Czemu to nie jest podane w krokach?

— Bo każdy ma inną długość kroków. Przejdź dziesięć kroków i je zmierz, podziel przez dziesięć. Proste. Jak już przejdiesz tyle metrów, ile masz przejść, to zerujesz liczniki i znów ustawiasz pierścień na kompasie. Na busoli właściwie. Proste?

— Proste — przyznał Lucjan, choć jego mina mówiła zupełnie co innego.

— Macie drobne?

— Chcesz opłatę za szkolenie?

— Nie, zbieram pięciogroszówki, dziesięciogroszówki. Takie naprawdę drobne drobne.

Koledzy nie byli pewni, czy Felix mówi poważnie, ale wiedzieli, że jeszcze może być potrzebny, więc wysupłali z kieszeni drobniaki. Zebrało się tego kilkanaście monet. Razem nie były warte nawet dwóch złotych.

— Masz, sklej sobie z nich żaglowiec. — Lucjan dołożył mu jeszcze dwa grosze.

— Dzięki.

Od strony strumienia rozległ się dziewczęcy krzyk, a po chwili dołączył do niego drugi. Wszyscy zerwali się na równe nogi. Część chłopców zaczęła biec w tamtą stronę, ale zatrzymali się, gdy zza wzniesienia wyłoniły się Aurelia i Klaudia. Biegły, niekompletnie ubrane, częściowo mokre. Aurelia zamiast spódniczki miała owinięty wokół bioder ręcznik.

— Diaaaabeeł! — krzyczała Klaudia. — Widziałam diabła!

Dziewczyny zwolniły dopiero przy samym obozie. Aurelia wpadła w ramiona Lucjana, nagle zapominając, że była na niego zła. Lambert, co było do niego raczej niepodobne, objął ramieniem Klaudię.

— Co się stało? — zapytał CyBorek.

— To on! — Klaudia wskazała palcem Felixa. — To znowu był on.

Felix westchnął.

— Siedział tu z nami cały czas — odparł za niego Oskar.

— Nie broń go, bo będziesz współwinny! — skarciła go Klaudia. — Wiem, że to był on. Znów nas podglądał.

— Był tu cały czas — potwierdził Wiktor.

— Nieważne! Poprzednio to był on, więc teraz też... to jego wina.

— To nie byłem ja — powiedział Felix. — Ani wczoraj, ani dziś. Siedziałem tu ze wszystkimi.

— Co tam widziałyście? — zapytał CyBorek.

— Diabła! — wykrzyknęła Klaudia. — To znaczy Felixa przebranego za diabła.

— Przecież to nie on, kretynko — warknęła Aurelia. — Tamten miał rogi i poziome źrenice.

— Może się przebrał. Nieważne! To jego wina. Przestań go bronić!

— To nie był Felix. — Nika stanęła obok przyjaciela. — Przestań go oskarżać.

— Ktoś musi być winien!

— Winna jest natura, która dała ci taki mały mózg. Zostaw Felixa w spokoju.

Klaudia zacisnęła usta, odwróciła się na pięcie i zniknęła w namiocie. Felix spojrzał na Nikę z wdzięcznością, ale zaraz uciekł wzrokiem gdzieś w bok.

— Co widziałyście? — zapytał ponownie CyBorek.

Aurelia spojrzała z obawą w stronę strumienia.

— Coś dziwnego. Wyglądało jak diabeł. Miał zarośniętą twarz i szpiczaste skrzycone rogi.

— To pewnie jakieś zwierzę — powiedziała Celina. — Może krowa?

— Skąd krowa w środku lasu? — zapytał Oskar.

— Nie wyglądał na zwierzę. — Aurelia pokręciła głową. — Wyglądał bardzo... ludzko. Gapił się na nas... — Wzdrygnęła się. — Gapił się pomiędzy zielska, a jak go zauważyliśmy, uciekł. Widziałyśmy tylko tę twarz.

— To pewnie była dzika krowa — wtrącił Gilbert. — Może nawet prąsłwiańska.

— Przebierzcie się w suche ubrania — polecił CyBorek. — Lucjan, Wiktor i Lambert, weźcie latarki i kije. Sprawdźmy, co to było. Reszta obserwuje okolicę obozu.

Przeczesywanie okolic strumienia zajęło kilka minut, po których grupa poszukiwawcza wróciła z niczym.

— Cokolwiek to było, już go nie ma — oznajmił nauczyciel. — Dla pewności rano sprawdzimy ślady. Marsz na azymut przenosimy na jutrzejszy wieczór. Nikomu nie wolno opuszczać obozu w pojedynkę. W ogóle nikomu nie wolno opuszczać obozu. Straż... znaczy wartę pełnić będą dwie osoby, po jednej z każdej drużyny.

— A co z ciszą nocną? — zapytał nieśmiało Oskar.

— Jak co dzień.

Net nachylił się do Felixa i zapytał szeptem:

— Cisza nocna? To jak będziemy oglądać telewizję? W słuchawkach?

— Słuchawki nie będą konieczne. Myślisz, że one, albo Celina, czytały o tej legendzie diabła znad Czerwonej Hańczy?

— Nie sprawiają wrażenia szczególnie oczytanych. A legenda to i tak tylko legenda.

— Więc co one tam widziały?

1. Woodland, pantera – rodzaje wojskowego kamuflażu dostosowanego do lokalnych warunków leśnych. [wróć](#)



12. Co las kryje nocą

Ta noc nie należała do najprzyjemniejszych w życiu Neta. Było zimno i wiało, jakby w pokoju był przeciąg. Chłopak kilka razy się budził z zamiarem wstania i podkręcenia klimatyzacji na wyższą temperaturę. W półśnie walczył ze sobą, rozważał argumenty za wyprawą do przedpokoju i przeciw niej, mieściła się tam bowiem najbliższa konsola klimatyzacji. Niestety, wyjście z relatywnie ciepłej pościeli i wyprawa przez zimne mieszkanie wystawiała jego słabą wolę na trudną próbę. No i ciepło zaczęłoby się robić najwcześniej po kwadransie. Kulił się więc w łóżku, podciągał nogi, nakrywał się na głowę i balansował na granicy snu i jawy. Czasem był to sen wydający się jawą, a czasem jawa wydająca się snem, chociaż sam Net dopuszczał też możliwość, że śni mu się jawa będąca snem.

Wreszcie zwlókł się z łóżka, nasunął buty i w półśnie wstał. Drzwi pokoju wydały mu się dziwnie miękkie, jakby były wykonane z grubego brezentu, nie drewna. Zbadanie tego fenomenu zostawił na rano. Puszysty dywan w salonie zeszytywniał od tego zimna i stał się szorstki jak rżysko. Noga za nogą, bo nie chciał zapalać światła, żeby się całkiem nie rozbudzić, dotarł do regulatora i przekręcił dziwnie duże pokrętło w prawo. Zamiast zwyczajowego piknięcia, usłyszał bulgotnięcie, ale ważne, że w ogóle konsola działała.

Przeszedł do kuchni z zamiarem zrobienia sobie gorącej czekolady na rozgrzewkę. Na płycie kuchennej płonął ogień, choć przecież była to płyta elektryczna. Widocznie ojciec coś skonfigurował, może doprowadził gaz, żeby choć trochę ogrzać mieszkanie. Net poczuł dumę, że jest sprytniejszy, bo wpadł na pomysł podkręcenia klimatyzacji, zamiast skomplikowanego i czasochłonnego podłączenia instalacji gazowej do elektrycznej

płyty. Ale to przecież naturalne – każde kolejne pokolenie powinno być mądrzejsze i zdolniejsze od poprzedniego.

Obok, na blacie kuchennym siedzieli owinięci w koce i oparci o siebie Oskar i Celina. Spali. Czyżby Celina jednak zerwała z Klemensem z powodu tej Francuzki? To też do ustalenia rano. Na razie niech śpią, w końcu to goście. Po ciemku nie mógł znaleźć lodówki i właściwie to odeszła mu ochota na tę czekoladę. Pogłaskał psa i postanowił jednak wrócić do łóżka, by tam zaczekać, aż ogrzewanie zacznie działać. Wprawdzie nie pamiętał, żeby mieli psa, ale przecież mama wspominała kilka razy, że bliźniaki będą się lepiej rozwijać, jeśli zapewni się im kontakt ze zwierzęciem domowym.

Zakopał się ponownie w jeszcze cieplej pościeli i postanowił, że rano porozmawia z mamą na temat psa. Mama była szurniętą artystką, choć nie tak szurniętą, jak Zuzanna Zdrój, no ale jednak decyzję o kupnie psa powinna skonsultować z resztą rodziny. Tym bardziej że chodziło o psa z rogami.

* * *

Pobudka polegała na tradycyjnym waleniu łyżką w garnek. Tradycyjnie też gimnazjaliści nie spieszyli się zanadto ze wstawaniem.

— Obudziłem się już? — Net siedział na łóżku, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

— Jeżeli się obudziłeś, to pytanie nie ma sensu — stwierdził Gilbert. — A jeżeli nadal śpisz, to sensu nie ma odpowiedź.

— Co za mongolska godzina... — Net kiwał się na łóżku. — Słońce dopiero włączyli...

Kilka minut zajęło wszystkim ubranie się i ustawienie w szeregu. Oskar i Celina stali obok ze spuszczoneymi głowami.

— Warta spała — powiedział groźnie CyBorek. — A w tym czasie ktoś spuścił całą wodę pitną.

Wszystkie spojrzenia przeniosły się na zwisający smętnie pusty worek.

— Może ktoś nie dokręcił? — odezwał się Lucjan.

— Zawór był odkręcony do oporu — wyjaśnił Wiktor. — Wieczorem napełniłem ten worek osobiście i pamiętam, że go zakręciłem. Trzy razy chodziłem z wiadrem do jeziora.

— Ludzie to jednak szuje — stwierdził Net. — Kim trzeba być, żeby mieć w sobie taką bezinteresowną złośliwość?

Obok placu apelowego przeszła Zuzanna ze sztalugami pod pachą. Była jak istota z innego świata, która nie ma pojęcia o dyscyplinie i obowiązkach. Połowa obozowiczów jej zazdrościła.

— Piękny poranek, słońce radośnie muska skrzydła motyli — deklamowała własny biały wiersz — pieści rosą królicze nory, wznieca optymizm wśród pstrągów, gra niewidzialne serenady na pajęczynach, ciężkich jeszcze od nocy. Błękit rośnie, trawa faluje, drozd się waha.

CyBorek odprowadził ją poirytowanym spojrzeniem i oznajmił:

— Jeżeli ktoś zdobędzie informacje przydatne do ujęcia sprawców, ma obowiązek mi o tym powiedzieć. Spocznij! Rozejść się.

Odszedł energicznym krokiem i zniknął w namiocie dowodzenia. Reszta rozeszła się wolno. Oskar i Celina bez przypominania wzięli wiadra i poszli po wodę. Nika i Lambert, których warta właśnie się rozpoczynała, zajęli się przygotowywaniem śniadania. To znaczy Nika się zajęła, a Lambert kręcił się wokół i udawał zajętego. Tylko Net stał w tym samym miejscu, jako ostatnia pozostałość szeregu, i oglądał świat spod na wpół przykniętych powiek. Słońce przełamywało chłód poranka, świerszcze nieśmiało zaczynały grać na łące, jaskółki krążyły po niebie. W sumie był to całkiem przyjemny poranek. Net wzruszył ramionami i wrócił do łóżka.

* * *

Tego dnia CyBorek nie przydzielał im nieprzyjemnych zadań. Przed obiadem obszedł z Lucjanem, Wiktoorem i Geraldem okolice strumienia. Jedyne, co znaleźli, to ślady kopyt należących do kozy albo owcy. Jednak i Aurelia, i Klaudia stanowczo twierdziły, że to nie mogło być żadne z tych zwierząt. Nie wyjaśniło się więc nic, a w obozie panowała nieprzyjemna atmosfera podejrzliwości, bo przecież wodę z worka ktoś spuścił celowo.

Felix starał się nie zadrażniać sytuacji z CyBorkiem i trzymał się strategii, żeby nie rzucać się w oczy. Korzystając z jego nieuwagi, wyciągnął Neta nad brzeg jeziora, które o tej porze wydawało się zdecydowanie czerwone w tych miejscach, gdzie było widać dno. Brzegiem dotarli do ujścia strumienia, tego małego naturalnego jacuzzi.

— To nie wygląda na ciepłe źródło — zauważył Net.

— Może jakaś awaria — odparł Felix, a gdy Net nie załapał, dodał — no co ty! Jakie ciepłe źródło? To zwykły strumień.

— To jak podgrzewacie wodę?

— Siłą wyobraźni. Wyobrażamy sobie, że jest ciepła.

— To nic dziwnego, że z tego zimna można zobaczyć diabła.

— Popatrz tutaj.

Na zielonym dywanie mchu, schodzącym niemal do samego strumienia, widniały wyraźne ślady kopyt. Były zdecydowanie mniejsze od końskich czy krowich.

— Czyli koza albo owca. — Net wzruszył ramionami.

— W lasach nie żyją dzikie kozy ani owce. Kozice występują tylko w wysokich górach.

— To może część się tu przeprowadziła, bo mają wiarygodne informacje o planowanym wypiętrzeniu tych pagórków w góry.

— To pagórki polodowcowe. — Felix szedł wzdłuż strumienia i wypatrywał dalszych śladów. — Nie wypiętrzą się. — Tu jest odcisk wyszczerbienia. — Wskazał następny ślad prawego kopyta w gołej wilgotnej ziemi tuż przy granicy wody. — Tu też jest.

— No więc mamy owcę z wyszczerbionym kopytkiem. Dzwon do telewizji.

— Na każdym prawym śladzie jest takie wyszczerbienie. To coś chodziło na dwóch nogach.

Net chwilę przyswajał usłyszaną informację.

— Ja pierdykam! — Ożywił się wreszcie i rozejrzał czujnie. — Co ma kopyta i chodzi na dwóch nogach? Nie, nie odpowiadaj! Pakujemy się i zmieniamy okoliczności przyrody na okoliczności miasta. Tym bardziej że i tak nie ma ciepłej wody.

— Nie dziś. Mam do sprawdzenia jedną teorię.

— Sprawdź ją sobie na Wikipedii czy gdzieś.

— Chyba nie wierzysz w diabły?

— To tak samo jak z duchami. — Net pociągnął przyjaciela za rękaw w stronę obozu. — One mogą się zupełnie nie przejmować tym, że ja w nie nie wierzę.

* * *

W przeciwieństwie do większości obozowiczów, Net przyjął konieczność poobiedniego leżakowania z zadowoleniem. Położył się na pryczy i od razu zasnął. Felix czytał *Teorię diabła*, gotowy w każdej chwili, by w razie pojawienia się CyBorka szybkim ruchem schować ją za łóżko. Lucjan wiercił się nerwowo. Gilbert udawał, że chrapie, ale szybko mu się znudziło.

Nika leżała na swojej pryczy i patrzyła w sufit. Przez całe przedpołudnie walczyła ze sobą, by nie zacząć wypytywać Neta o Zosię. Pamiętała sytuację, do jakiej wczoraj doprowadziły jej nieracjonalne przeczucia, i podjęła decyzję, że nie będzie ciągnąć tego tematu. A jednak mimo całej racjonalnej wiedzy, jaką miała na ten temat, mimo nieskończonego niskiego prawdopodobieństwa, że naprawdę doszło do porwania, przeczucie nie dawało jej spokoju.

Aurelia i Klaudia przeglądały kolorowe pisemka, Celina spała na wznak i chrapała. Dla nich był to zwykły, choć mało przyjemny wyjazd klasowy. Na pewno nie zadawały sobie pytania, dlaczego Zosi tu nie ma. Przecież była tak cicha i nieśmiała, że jej obecność niewiele się różniła od nieobecności.

Nika nie zasnęła do końca leżakowania.

* * *

Upalne popołudnie przechodziło w wieczór. Wizja przełożonego z wczoraj marszu na azymut większości gimnazjalistów nie nastrojała optymistycznie. Nikt, może poza Klaudią, nie wierzył w istnienie diabła, a jednak nocna wyprawa do lasu wzbudzała niepokój. Im słońce było niżej, tym atmosfera w obozie robiła się bardziej napięta. Lucjan strugał grubym kijem, który miał w razie czego służyć za broń, Gilbert poprzestał na związaniu dwóch patyków w krzyż, który jego zdaniem w przypadku diabła był wart więcej nawet od karabinu maszynowego. Zuzanna ubrana w zbyt luźny mundur polowy w kamuflażu pantera od rana szalała przy sztalugach. W transie malowała wielki obraz przedstawiający rogatego diabła chwytającego szponiastymi łapami uciekającą dziewczynę. W tle kłębiły się płomienie. Trudno było o lepszy demotywator przed marszem.

Felix przeliczał drobne i mrucał coś z niezadowoleniem. Net przysiadł obok i chwilę się przyglądał jego poczynaniom.

— Jachty podrożały — odezwał się. — Może nie wystarczyć.

CyBorek co jakiś czas wchodził na szczyt wzniesienia i oglądał okolicę przez lornetkę. Do pasa przypiął pochwę z wielkim nożem taktycznym.

— Coś mi się wydaje, że jemu jest na rękę ta cała sprawa z diabłem — stwierdził Felix. — Dzięki temu może mieć nad nami jeszcze większą kontrolę.

Wreszcie nadszedł ten moment. Nauczyciel zwołał zbiórkę i popatrzył z czymś w rodzaju dumy po podopiecznych. Tym razem szereg był całkiem równy.

Nadzieja, że wuefista zmieni zdanie i oszczędzi wszystkim błąkania się po lesie, została szybko rozwiana.

— Nie pozwolimy, żeby te drobne niedogodności zakłóciły nam plan ćwiczeń. Zająć — wygłosił. — Wszystkie wczorajsze ustalenia zostają w mocy. Z powodu zagrożenia nieznanego rodzaju nie odłączajcie się od swoich drużyn.

— Ale diabeł... — nieśmiało protestowała Klaudia, która już chyba uwierzyła, że nie podglądał jej Felix.

— To tylko legenda.

— Widziałyśmy tę legendę — poparła ją Aurelia. — To znaczy, że legenda jest potwierdzona.

CyBorek odetchnął, zastanowił się i powiedział:

— Wy dwie widziałyście diabła. W obozie jest szesnaście osób, czyli legenda jest potwierdzona w... — Nauczyciel zmarszczył czoło i spojrzał gdzieś w bok, licząc w myślach. — Potwierdzona w...

— W dwunastu i pół procenta — policzył Net. — *Sorry*, odruchowo...

— Czyli w jednej dziesiątej — z ulgą oznajmił wuefista. — To naprawdę niewiele.

— Ja też go widziałam — zauważyła Celina. — No jest jeszcze ten niedźwiedź

— Niedźwiedzie nie atakują grup powyżej czterech osób. Dlatego idziecie w drużynach.

— Do ilu potrafi liczyć niedźwiedź? — zapytał sam siebie Gilbert. Niestety na głos.

— Właśnie do czterech — CyBorek uniósł głos. — Wyruszacie za pięć minut. Rozejść się!

Rozpoczęły się przygotowania do wymarszu. Każdy wziął latarkę, kurtkę, a drużynowi dodatkowo – przyrządy nawigacyjne. Nikt jednak nie kwapił się do opuszczenia obozu, a drużynowi zerkali na Felixa. Gdy ten

wreszcie narzucił plecak, obozowicze potraktowali to jako sygnał do wymarszu. Felix nie był zadowolony z tego, że wszyscy traktują go jak przewodnika.

— Chodźmy — powiedział.

— A, nie ma tak! — Lucjan powstrzymał go. — Drugi raz się nie nabierzemy.

— Popatrz tutaj. — Felix wziął od Geralda kartkę i przyłożył do Lucjanowej. — Trzy pierwsze odcinki na obydwu kartkach są identyczne. Dopiero dalej się rozchodzą. Rozchodzimy. Idźmy wreszcie.

— Nie jesteś już drużynowym — przypomniał z pretensją w głosie Gerald. — Ja daję sygnał do wymarszu.

— No to daj sygnał do wymarszu. — Felix podał mu kartkę i wskazał dłonią łąkę. — Prowadź.

Gerald zamilkł, spojrzał na kartkę, potem na łąkę i znów na kartkę. Net był trochę rozbawiony, ale bardziej zaniepokojony zapadającym mrokiem. Nika patrzyła na niego. Chciała porozmawiać z Netem o Zosi, mimo że sama sobie obiecała zostawić ten temat.

— Dobra, chyba łapię — Lucjan skinął głową. — Niech będzie, że krok ma pół metra. Idziemy... — obracał w dłoniach kompas — tam.

Drużyna „Teraz” ruszyła za nim. Gerald, który zupełnie nie wiedział, jak nawigować, obrócił kompasem dwa razy i oznajmił:

— Tam.

Przy czym „tam” oznaczało podążanie za Lucjanem. Nika nachyliła się do Felixa i zapytała szeptem:

— Dobrze idziemy?

Felix skinął głową. Lucjan w przeciwieństwie do Geralda już opanował proste zasady nawigacji na azymut. Przy pierwszym skręceniu wyzerował licznik i całkowicie poprawnie wyznaczył nowy kierunek. Gerald oczywiście podążył za nim, nieporadnie udając, że coś wylicza. Ta strategia mogła jednak działać jeszcze tylko przez chwilę.

Niebo z granatowego przechodziło już w czerń, na której coraz wyraźniej jaśniały gwiazdy. W lesie było już prawie zupełnie ciemno. Większość gimnazjalistów zapaliła latarki. Rozglądali się trwożliwie.

Felix nachylił się do Niki i szepnął jej na ucho:

— Udawaj, że kulejesz.

Dziewczyna zerknęła na niego z zaskoczeniem, ale posłusznie zaczęła lekko utykać. Przy kolejnym postoju Felix oznajmił:

— My wracamy do obozu. Nikę boli noga. Net idzie z nami.

— Idę? — zdziwił się Net. — No dobra. — Podszedł do przyjaciół. — Zakładamy trzecią drużynę.

— Trzecią drużynę? — zapytał zaskoczony Lucjan. — To wbrew zasadom. Znowu narobicie kłopotów.

— Diabeł grasuje — przypomniała Celina. — Mieliśmy się nie rozdzierać.

— Tak nie można — oburzył się Gerald, a u podstaw tego oburzenia z pewnością leżała jego totalna nieznajomość nawigacji. — Są dwie drużyny i już.

— My som rebelianci — odparł dumnie Net, po czym zapytał ciszej Felixa — ale dlaczego właściwie?

— Aby pokazać diabłu, że się go nie boimy.

— Noga mnie boli — odezwała się Nika. — Muszę wrócić do obozu, a z powodu diabła nie chcę iść sama.

Na to nikt nie znalazł dobrej odpowiedzi.

— Ale... — Gerald jednak próbował. — Ale otrzymaliśmy jakieś zadanie, nie?

Felix podszedł do niego, na co Gerald zareagował minimalnym przykurczem. Felix zabrał mu kartkę, podał ją Wiktorowi.

— Na czas tej misji drużyną „Nic nie mów” dowodzi Wiktor — powiedział i powtórzył w kilku zdaniach zasady marszu na azymut.

Wiktor skinął głową, że wszystko jasne. Wziął od Geralda kompas i krokomierz, wyznaczył azymut i oznajmił:

— Idziemy.

Przejęcie dowództwa przeszło gładko. Obie drużyny oddaliły się w przeciwnych kierunkach.

— Musimy jakoś nazwać tę naszą drużynę — zauważył Net. — Strażnicy, czy jakoś tak.

— Ona ma już nazwę — powiedziała Nika. — Superpaczka. Nie wracamy do obozu, prawda?

Felix pokręcił głową.

— Cel jest jakiś kilometr w linii prostej od nas. Albo pięć kilometrów, jeśli ktoś będzie kluczyć według wskazówek CyBorka. Oczywiście my nie będziemy. Wystarczy narysować te kreski na kartce w odpowiedniej skali — wyjdzie jakiś zygzak — połączyć początek z końcem i otrzymamy prostą linię, która będzie znacznie krótsza. Posługiwanie się kompasem i kroko-

mierzem jest w miarę proste, jeśli ma się mózg większy od żaby. Od mózgu żaby. Za to posługiwanie się tym — wyjął z kieszeni mały odbiornik GPS — jest banalnie proste. Znaczący, jak się umie.

— Mam jakiegoś tam GPS-a w telefonie — przytaknął Net. — Czasem się przydaje.

— Ale nie masz telefonu. A to — Felix podrzucił i złapał urządzenie — to jest GPS, który jest tylko GPS-em i nie robi niczego więcej. Dzięki temu może pracować kilka razy dłużej. No i jak ci zabiorą telefon, ciągle masz GPS-a.

Net rozejrzał się po ciemnym lesie. Latarki obu drużyn już zniknęły za drzewami.

— Jak zwykle podziwiam krystaliczną precyzję twego logicznego umysłu — powiedział wolno — ale co my tu robimy?

— Chcę sprawdzić pewną teorię, żeby mieć spokojne sumienie.

Felix poprawił latarkę nauszną, wyjął brudnopis i otworzył go na stronie z przepisanyymi wartościami z kartek. Nika spojrzała na niego badawczo, ale nic nie powiedziała. Net za to zainteresował się czym innym.

— Stary. — Nachylił się nad kartką. — To są zwyczajne wektory. Banalna sprawa. Wektor ma moduł, czyli długość i zwrot, zwany potocznie kierunkiem. Da się to uprościć.

Chwilę przebiegał wzrokiem przez linijki liczb i poklepał się po kieszeniach. Nika domyślnie podała mu długopis, a Net wpisał pod pierwszą listą azymut oraz odległość, a zaraz potem to samo pod drugą. Uśmiechnął się i dumny, oddał długopis.

— Co będziesz wklepywał wszystko. Połączyłem początek z końcem. Matematycznie.

— Mózg w służbie człowieka — przytaknął Felix. — Wygląda na to, że obie drużyny zmierzają do tego samego punktu. Tyle że obie idą innymi trasami. — Rzeczywiście, w obu przypadkach azymut i odległość były niemal identyczne. Felix wprowadził dane do GPS-a. — Kilometr i sto metrów. Będziemy tam za kwadrans. Im zajmie to pewnie półtorej godziny, albo i więcej, bo się z pięć razy pomylą.

Ruszyli szybkim krokiem wprost za strzałką wyświetlaną na ekranie.

— Słuchajcie. — Nie wytrzymał po chwili Net. — Ale tak naprawdę to o co chodzi? CyBorek wymyśla wam... nam te zadania, a my potem biegamy po lesie, tak?

— Mniej więcej — przytaknął Felix.

— No dobrze, ale przecież pięć minut temu wyłgaliśmy się od karmienia kleszczy, a obóz jest tam. — Wskazał kciukiem za siebie. — Wysiudaliśmy całą ekipę, ale i tak idziemy po ten fant na skróty. To co to jest, ten fant? Garniec złota, garniec najprzedniejszego bigosu? O co kaman? Nie jestem aż takim koneserem bigosu.

Wspinali się na kolejne zalesione zbocze.

— No i w kontekście tego diabła — Net omiatał otoczenie światłem latarki nausznej — to może lepiej trzymać się tej wersji z bolącą nogą. Zawsze lepiej przy ogniu.

— Wcale nie mam pewności, czy to ma sens — przyznał Felix. — Ale chcę sprawdzić.

Gdy weszli na szczyt pagórka, zatrzymali się.

— Podpowiem ci — odezwał się Net. — To nie ma sensu.

Wyglądało na to, że ma rację. Przed nimi w nieruchomej wodzie jeziora odbijały się gwiazdy i wschodzący nad lasem księżyc w pełni.

— Będzie trzeba to obejść — przyznała Nika.

— W sumie po to właśnie wymyślono marsz na azymut — przyznał Felix. — Żeby omijać takie przeszkody. Ale tym razem to nic nie da, bo Czerwona Hańcza jest wąska, ale długa na co najmniej dziesięć kilometrów. Jeśli ją obejdziemy z lewej strony, wpadniemy na którąś z drużyn. Jeśli z prawej, zajmie nam to kilka godzin.

— A wytłumaczysz nam, o co chodzi? — zapytał Net. — Bo wiesz, wy już jesteście zaprawieni w zwiedzaniu lasu, a ja to nadal z miasta jestem...

— Chcę sprawdzić pewien klasztor.

Nika spojrzała na niego z zaskoczeniem.

— Mówiłeś, że... — zawiesiła głos.

— Zastanawiałem się nad tym — przytaknął. — Zwykle miewałaś rację, więc nie zaszkodzi sprawdzić. Co za różnica, czy idziemy z tamtymi, czy sami?

Nika uśmiechnęła się z wdzięcznością. Z ulgą poczuła się zwolniona z postanowienia.

— No ja bym wolał w większej grupie — przyznał Net. — Najpierw giną ci, którzy najwolniej biegają. Więc z powodu Klemensa i Klaudii mielibyśmy fory.

— Najpierw giną ci, którzy nie mają latarek — sprostował Felix. — Sprawdzimy klasztor.

— Czemu teraz, a nie w dzień?

— Też bym wolał w dzień, ale w dzień CyBorek wszcząłby alarm już po kwadransie naszej nieobecności. Zresztą teraz zerkniemy dyskretnie przez okno... Nie mam dokładnego planu. Będziemy improwizować.

— Jechałem w przedziale z czterema zakonnicami — przypomniał sobie Net. — Wspominały coś o nowym nabytku, czy jakoś tak. W sensie, że mają powitać nową. To o ten klasztor chodzi? Po co wam zakonnice?

— Nie słyszałeś niczego w sprawie Zosi? — zapytała Nika.

— Niby czego? — Net wzruszył ramionami. — Nie kumplujemy się. A co, wstąpiła do zakonu?

— Chcemy to ustalić.

— Chyba nie mówicie poważnie! Zresztą... — wskazał jezioro — O, łódź...

Rzeczywiście, przy brzegu zacumowana była łódka. Z miejsca, w którym stali, wyglądała jak czarne wrzeciono na odbiciu Drogi Mlecznej.

— O, kurna! — Net pacnął się w czoło. — Po co ja to mówiłem...

Felix już schodził po łagodnym zboczu, a Nika podążała za nim. Net zamierzał zaprotestować, ale zdecydowanie nie chciał zostać sam. Pobiegł więc za nimi.

W tym miejscu nie było plaży. Trawa urywała się dwudziestocentymetrową skarpką, za którą znajdował się krótki pomost i drewniana łódka. Panowała tu idealna cisza, a powierzchnia jeziora wyglądała jak czarne lustro.

— Ta łódka jest czyjaś — stwierdziła Nika.

— Przyświeć, ma obrożę? — Net zachichotał nerwowo. — Nie ma dzikich łódek. Wszystkie są czyjeś. A nie... zaraz! — Zreflektował się. — Nie możemy jej zabrać. Ktoś może być do niej przywiązany. Ludzie zwykle mają swoje ulubione łódki i jest im bardzo smutno, kiedy ktoś je zabiera.

Nika uśmiechnęła się. Felix poświecił po najbliższej okolicy, ale oczywiście nikogo nie było widać.

— Oddamy za godzinę — zdecydował.

— Nie no, proszę cię. — Net cofnął się o krok, ale dalej nie chciał odchodzić. — Jezusiu, wróćmy tu w dzień. Nie zlikwidujmy wam klasztoru przez noc.

— Teraz jest idealna okazja. — Felix wszedł na chybotliwy pomost i oświetlił wnętrze łódki. — Łódź jest w dobrym stanie. Ktoś nawet wylał z niej wodę.

— No ale jak to? — Net na przemian świecił to na łódkę, to na las. Nie wiedział, co gorsze.

— Przestań migać — poprosił Felix. — I mów ciszej. Po wodzie niesie się dźwięk. Możesz tu poczekać i pogadać z właścicielem, jak się pojawi.

— W życiu! — Net wszedł na pomost, wprawiając go w niebezpieczne bujanie.

— Znów chcesz zanurkować? — Felix aż przykucnął. — Masz w plecaku bidon?

— Mam półtoralitrową butelkę.

— Wylej z niej wodę, zakręć i schowaj do plecaka. W razie czego pomoże ci się utrzymać na powierzchni.

— Ty to wiesz, jak człowieka pocieszyć. — Net wyciągnął butelkę i zaczął z niej wylewać wodę.

— Nie do łódki — syknął Felix.

— *Sorry...*

Weszli na chwiejny pokład. Net, mimo stresu, podał Nice rękę. Felix przytrzymał burtę i pomost, żeby ograniczyć kołysanie. Po wodzie rozeszły się łagodne fale, psujące efekt lustra.

— Usiądźcie na rufie. — Felix odwiązał cumę.

— Mokro — poskarżył się Net.

— Sam przed chwilą naląłeś tam wody. Zgaście światło.

Net i Nika wyłączyli latarki nauszne. Felix usiadł na środkowej ławeczce, tyłem do dziobu, odepchnął się od pomostu i przyciemnił maksymalnie światło czołówki. Chwycił wiosła. Pierwszemu ich pociągnięciu towarzyszył upiorny jęk zardzewiałych dulek ¹. Felix westchnął, sięgnął do plecaka po mały przedmiot, którego przyjaciele nie rozpoznali w ciemności. Rozległo się psyknięcie, potem drugie i zapachniało chemicznie. Następne ruchy wiosel powodowały tylko ciche zgrzytanie.

Net trzymał Nikę za rękę, żeby dodać jej otuchy. Tak to sobie tłumaczył. Powstrzymywał się, żeby nie zaciskać palców zbyt mocno. Obok była woda tak czarna, tak zupełnie niewidoczna, że poczuć można było jedynie bijący od niej chłód. Gwiazdy tańczyły gdzieś daleko w dole, jakby planeta Ziemia stała się nagle przezroczysta.

— Trochę w prawo — szepnęła Nika. — Skręcasz.

— Wiem — odszepnął Felix. — To trudniejsze, niż myślałem. Biorę namiar na Wenus.

Przeciwny brzeg był oddalony o nie więcej niż dwieście metrów, ale mimo wysiłków Felixa pokonywali ten dystans zygzakami.

— Jak zamierzasz znaleźć klasztor w lesie w nocy? — zapytał Net, by choć na chwilę zapomnieć o wodzie dookoła, o tym, jak jest ciemna i jak głęboka. I o tym, jakie monstra żyją pod powierzchnią. Aż się wzdrygnął.

— Wczoraj o tej porze słyszałem dzwon. Dźwięk dochodził mniej więcej z tej strony. — Felix wskazał dłonią dziób łódki. — Teraz jesteśmy bliżej, więc jeśli znów zadzwoni, łatwo tam trafimy.

— W ogóle się nie przygotowaliśmy do tego wyjazdu.

— To przez to, że się przyzwyczailiśmy do internetu i do tego, że w każdej chwili mamy dostęp do dowolnych danych. Jeszcze rok temu nie ruszyłbym się z domu bez papierowej mapy.

Net zaświecił na brzeg, z którego przyплыnęli.

— Oj... — jęknął.

Przyjaciele spojrzeli tam, gdzie świecił, ale nic tam nie było, poza pomostem i krzakami.

— Coś widziałem — szepnął Net. — Parę świecących oczu.

— Niczego tam nie ma — uspokoił go Felix. Dla pewności zaświecił tam większą latarką. — Wyobraźnia ci nadinterpretuje.

— Widziałem — upierał się Net.

— Nawet jeżeli, to w lesie jest bardzo dużo zwierząt — powiedziała Nika. — To mógł być zając albo sowa.

— Albo diabeł leśny. — Net już sam nie był pewien, czy coś widział.

Odwracał się co jakiś czas, żeby sprawdzić odległość od brzegu. Wreszcie w ciemności zamajaczył zwalony pień. Felix rozjaśnił nieco latarkę i pozwolił, by łódka rozpedem wsunęła się dziobem na trawę tuż obok pnia.

— Siedźcie jeszcze — polecił, a sam wszedł na pień i pociągnął łódkę dalej, gdzie ziemia była suchsza. Przywiązał cumę do gałęzi. — Schodźcie.

Net z ulgą wszedł na trawę i pomógł zejść dziewczynie. Felix schował latarkę i sprawdzał ekran GPS-a. Skinął ręką, by przyjaciele podążyli za nim. Wspięli się na niewielki pagórek, wyszli na polankę zarastającą młodymi drzewkami i dotarli do kolejnej ściany lasu.

— Plus minus trzydzieści metrów — odezwał się Felix i uniósł wzrok. Dwa metry przed nim na drzewie wisiła jaskrawożółta puszcza. — Aż za dobrze.

— Po co jest ta puszcza? — zapytał Net.

— Puszka jest po to — Felix zdjął ją z gałęzi i schował do plecaka — żebyśmy mieli więcej czasu. Oddalmy się, na wypadek gdyby przyszli przed czasem.

— Stary, nie poznaję cię. To jakaś mroczna strona twojej osobowości. Ćśśś... — Przyłożył palec do ust. — Słyszeliście?

— Co znowu? — niecierpliwił się Felix.

— Coś chlupotnęło, jakby ktoś lub coś wskoczyło do wody.

— Proszę cię... — Felix pokręcił głową. — Diabły boją się wody.

— Tylko święconej.

— Chodźmy, zanim przyjdzie tu reszta.

— Czy jak ksiądz poświęci jezioro, to cała woda się liczy jako święcona? No i jak wtedy się liczy woda ze strumieni i deszczówka? Czy rozcieńcza tę wodę święconą, że jest coraz mniej święta?

— To raczej tak nie działa.

Pokonali kolejne dwa pagórki i przysiedli za dużą kępą krzaków jałowca.

— Macie jakiś papier? — zapytał Felix. — Nie chcę brudzić zeszytu.

— A czy brudnopis nie powinien być brudny? — zapytał retorycznie Net.

Wyjął z plecaka zwiniętą w trąbkę gazetę z dużym zdjęciem kobiecej twarzy na pierwszej stronie, rozprostował papier i rozłożył na mchu. Felix założył na ucho latarkę, wysypał na gazetę monety i zaczął je segregować według nominałów. Odrzucił wszystkie powyżej pięćdziesięciu groszy.

Net i Nika przyglądali mu się w milczeniu. Do czasu.

— Ufam ci... — powiedział Net. — Ufam ci... Ufam ci...

— Mógłbyś przestać — poprosił Felix.

— Ufam ci, albowiem jesteś —

— Nie pomagasz w ten sposób — przerwał mu Felix. — Pomóż rozdzielać. Srebrne monety tu, brązowe tu, a wszystko powyżej pięćdziesięciu groszy do portfela.

— Czyjego?

— Mojego.

Net i Nika nie wiedzieli, do czego dąży Felix, ale wypełnili jego prośbę. Portret na pierwszej stronie gazety pomagał, bo prawy policzek kobiety został magazynem brązowych monet, lewy – srebrnych, a na czole wylądowały pozostałe, czyli wyższe nominały.

Net co kilkanaście sekund podnosił głowę i sprawdzał otoczenie.

— Nie czytałeś ani nie oglądałeś żadnych wiadomości? — zapytała Nika.

— Akurat nie bardzo. — Net wzruszył ramionami. — Taki... luźny weekend sobie zrobiłem. Skoro nie mogę gadać z Manfredem... O co chodzi z tą Zosią?

— Nika uważa, że została porwana. — Felix rozłożył na mchu ręcznik papierowy, polał go wodą i posypał solą z saszetki. — Może jest ofiarą tego seryjnego mordercy, a może wstąpiła do klasztoru.

— To tylko przeczucia. — Nika sama czuła się głupio, słuchając tego opisu. — Po prostu nie daje mi to spokoju i chcę to sprawdzić.

— I dlatego ty solisz ręcznik papierowy? — Net znów omiół latarką las za nimi. — Co wy tu jecie w ogóle? Może jakieś złe grzyby się napatoczyły w kociołku?

Nika również nie miała pojęcia, co Felix robi. On tymczasem kilka razy złożył mokry ręcznik i nożyczkami zaczął przycinać wszystkie warstwy.

— Serwetka łowicka? — zapytał Net. — Wycinasz takie ludziki trzymające się za ręce po okręgu jak komuniści opasujący kulę ziemską?

— Nie. — Felix wycinał kółka wielkości jednogroszówek. — To będą trzydzieści dwie komory elektrolityczne.

— I wszystko jasne. — Net pokiwał głową.

Następnie Felix położył na gazecie cienki drut, na nim miedzianą monetę, na niej mokre kółeczko z papieru, na nim srebrną monetę, miedzianą, papierek, srebrną, miedzianą... i tak dalej. Gdy słupek osiągnął trzy centymetry, wyjął z plecaka miernik elektryczny i ustawił pokrętkiem odpowiednią funkcję.

— Wziąłeś do lasu woltomierz? — Net uniósł brwi. — Masz też kasę fiskalną?

Felix nie odpowiedział, przyłożył jedną sondę miernika do spodu stosu, a drugą do jego szczytu. Spojrzał na wyświetlacz i skrzywił się ledwo zauważalnie. Budował wyżej, a gdy stos zaczął się chwiać, sięgnął po dłoń Neta jak po naturalny przycisk. Net domyślił się intencji przyjaciela i ścisnął tę baterię monet, by się nie rozpadły. Felix dokładał kolejne, przysuwał miernik i znów dokładał. Net rozglądał się nerwowo, ale widział jedynie ledwo majaczące pnie drzew.

— A jak byłeś w szkole, nic dziwnego nie rzuciło ci się w oczy? — przerwała milczenie Nika.

— W szkole było dwóch policjantów — przypomniał sobie Net — a przed wejściem stał wóz transmisyjny „Niusów czy Niuanów”. Poza tym nic.

— Poza tym nic?! To nie wydało ci się podejrzane?

— Czy ja wiem? — Net zastanowił się. — Nie bardzo. Przecież oni robią reportaże o wzorcowym gimnazjum.

— A w telewizji, w gazetach, w internecie? Niczego nie było o Zosi?

— Jakoś tak... nie sprawdzałem.

— Nie wchodziłeś do internetu? — tym razem zdziwiła się Nika. — To co robiłeś przez cały weekend?

— Empf... Jakiś grill z rodzicami... Takie tam. Rozmawiali na tym grillu o jakimś porwaniu gimnazjalistki.

— Nie zainteresowałaś się, o kogo chodzi?

— Dużo jest gimnazjalistek. Czemu myślisz akurat o Zosi?

— Mam przeczucie.

— No i Zosia przecież przestała przychodzić do szkoły — dodał Felix. — Dlatego chcę to sprawdzić.

— Wiecie, jakoś tak... — Net wzruszył ramionami, aż zachwiały się stosik monet. — Jakoś tak się nie zastanawiałem, po co ten wóz transmisyjny ani po co policja. Chciałem mieć za sobą test i wsiąść już w pociąg.

— Przepraszam. — Nika pogładziła jego ramię. — Ja myślę o tym na okrągło. Chyba straciłam obiektywizm.

— Co ty właściwie robisz? — Net zaczynał się nudzić trzymaniem stosiku monet.

— Dziesięciogroszówki i te inne białe, znaczy srebrne, monety są zrobione z niklu. — Felix suchym ręcznikiem wycierał boki stosu. — Dla ścisłości to jest jakiś tam stop niklu, ale to nieważne. Za to te brązowe monety, jak pięciogroszówka, to mosiądz, czyli głównie miedź.

— No i...?

— No i to jest akumulator z ogniwo Volty. Prawie.

— Ogniwo Volty — powtórzył Net. Coś mu świtało, ale słabo. — To coś takiego jak szalka Petriego czy bozon Higgsa?

— Alessandro Volta to ten koleś, od którego na wiertarce, mikserze i baterii w latorce masz to „V” — wyjaśnił Felix. — Dwieście trzydzieści woltów w gniazdku i tak dalej.

— A jak mnie kopnie?

— A kopnęło cię kiedyś trzy koma siedem wolta? Boli mniej więcej tak, jak wciskanie guzika w windzie. Trzy koma siedem to napięcie akumulatora w moim telefonie. Baterię zabrał mi CyBorek, ale ja mam drobne.

Wsunął drugi drucik pod palec Neta, otworzył klapkę z tyłu telefonu, przytknął oba druciki do styków baterii. Docisnął palcem i włączył telefon. A telefon posłusznie piknął.

— Czary... — szepnął Net trochę z ironią, a trochę jednak z podziwem.

— Siła pieniądza w praktyce. — Felix uśmiechnął się, widząc jaśniejący ekran telefonu. — Oby natężenie było wystarczające. Spróbuj nie ruszać tą baterią.

Wpisał PIN i czekał, aż telefon zaloguje się do sieci. Zasięg był tu bardzo słaby.

— Dziesięć nieodebranych połączeń. — Felix przełknął ślinę — pierwsze od... Zosi.

Nika poderwała się i pochyliła nad telefonem. Ikona baterii na ekranie zaczęła migać.

— Za małe natężenie prądu — stwierdził Felix. — Jeszcze momencik wytrzymaj... Są trzy SMS-y.

Wybrał odczytywanie wiadomości. Trzy twarze oświetlone tylko bładą poświatą ekranu wpatrywały się w kręcący się animowany wiatraczek pokazujący, że pierwsza wiadomość się wczytuje. Gdy wreszcie się wyświetliła, telefon piknął ostrzegawczo i zgasł. Stos monet rozsypał się po twarzy modelki na okładce gazety.

— Widzieliście to, co ja? — upewniła się Nika.

Felix i Net wolno przytaknęli. Wszyscy to widzieli – SMS pochodził od Zosi, a jego treść brzmiała „Jestem nad Czerwoną Hańczą”.

— Powinniśmy zadzwonić do niej i zapytać, co się z nią dzieje — wolno powiedziała Nika. — A jak nie będzie odbierała, to na policję.

— CyBorek się wścieknie — stwierdził Net.

— W tym momencie CyBorek mnie średnio obchodzi. Złóżmy tę baterię jeszcze raz i zadzwońmy do niej.

— Potrzebujemy więcej monet.

Nika popatrzyła na monety rozrzucone po okładce.

— Może wystarczy je złożyć ponownie?

— I tak było za małe natężenie prądu, żeby gdzieś zadzwonić. Trzeba by dwie albo trzy takie baterie połączyć równolegle.

A chwilę potem gdzieś u dołu zбочa trzasnęła gałązka.

Felix zebrał leżące na gazecie monety i wsypał je do kieszeni plecaka. Podniósł gazetę z modelką na okładce, bo Net pewnie by ją po prostu zostawił w lesie. Net za to zabrał latarkę Felixa i ustawił ją na maksymalną moc. Świecił w dół zbocza, skąd dobiegł podejrzany dźwięk. Nika też tam świeciła. Robiła to bardziej przez ciekawość niż ze strachu, ale nastrój przyjaciela powoli zaczynał jej się udzielać. Las stawał się bardziej mroczny, a mniej przyjazny. Jakiegokolwiek dźwięki, nawet cichy szum skrzydeł, wydawały się nagle podejrzane.

— Chodźmy już do tego klasztoru — poprosiła.

Felix zapiął plecak i ruszył przodem. Net nie chciał iść ostatni, więc zrównał się z przyjaciółmi. Co chwilę odwracał się, by sprawdzić drogę za nimi. Potykał się więc i robił sporo hałasu. A jednak usłyszał kolejną trzaskającą gałązkę za nimi.

— Macie przy sobie... jakiś krzyżyk? — zapytał szeptem i omal się nie przewrócił o korzeń. — Gilbert wiedział lepiej...

— To może być któraś z drużyn — powiedział bez przekonania Felix. Jemu też las podobał się mniej niż kilka minut temu.

— Sam w to nie wierzysz. Czemu nie wzięłeś tu Cabana? Z nim byłoby bezpieczniej.

— Pierwszy by uciekł.

Do pojawienia się pierwszej drużyny dzieliło ich co najmniej pół godziny, a bardziej prawdopodobne, że i godzina. Szli przed siebie, licząc na to, że za chwilę spomiędzy drzew wyłoni się budynek klasztoru. Net wysforował się do przodu, ale i tak co chwilę oglądał się za siebie.

— A może obejść to wszystko jakimś takim łukiem i zaczekać na resztę tam, skąd zabraliśmy tę puszkę? — powiedział. — W kupie różnie. No i będzie Gilbert z tym krzyżem...

— Diabły nie istnieją — powiedział Felix.

— Sam w to nie wierzysz — powtórzył Net.

— Siejesz panikę — wtrąciła Nika, również przyspieszając kroku.

— Stójcie! — Felix zatrzymał się. — I bądźcie przez chwilę cicho.

Nasłuchiwali, świecąc w las.

— Przestań dyszeć — poprosił Felix.

— Nie dyszę — odparł Net.

To stwierdzenie zawisło w powietrzu, po czym trzy latarki w tym samym momencie skierowały się w prawo. Często strach sprawia, że

w ciemności każdy jałowiec wydaje się potworem. Rzadko, naprawdę bardzo rzadko zdarza się, że jałowiec rzeczywiście okazuje się potworem.

Tym razem tak się właśnie zdarzyło.

1. Dulki – umieszczone na burcie łodzi mocowania służące do utrzymania wiosła w odpowiedniej pozycji. [\[wróć\]](#)



13. Kozolaki

Cała trójka biegła z krzykiem przed siebie, nie oglądając się i nie dbając o to, że robią tyle hałasu, co stado żubrów. Można nie wierzyć w diabły, ale jak cię któryś goni, to uciekasz. To coś, co zobaczyli kilka metrów od siebie, wyglądało dokładnie tak, jak opisała to Klaudia. Wyglądało jak diabeł, nie jak koza. Przecież kozy nie chodzą na dwóch nogach. Biegli, zasłaniając twarze przed gałęziami i omijając pnie. Net raz się przewrócił, wstał, znów się przewrócił. Potem przewróciła się Nika, a Net resztką silnej woli zatrzymał się i ją podniósł. Biegli dalej. Nie wiedzieli, czy diabeł ich goni, czy może wręcz dogania.

Zdyszani, wypadli na małą polankę i dopiero tu się obejrzeni. Las był cichy i mroczny. Nikt ich nie gonił albo gonił zbyt powolnie. Zatrzymali się, łapiąc oddech.

— Diabły nie istnieją. — Felix opierał się dłońmi o kolana.

— Widziałeś przecież jednego! — Net wskazał dłonią kierunek, z którego przybiegli. — Lazł za nami od strumienia, przepłynął jezioro, a teraz postanowił nas dopaść na odludziu i... nie wiem, co chciał zrobić. Nie chcę wiedzieć.

— Te legendy nie wzięły się znikąd — przyznała Nika.

Świecili w las. Niczego podejrzanego nie było tam widać.

— Rano pakujemy się i wyjeżdżamy — oświadczył Net. — Jeśli chodzi o Zosię, to niech się tym zajmie policja. Oni mają procedury na diabły. Znaczą na porwania. Mamusiuboska, ale jak my wrócimy do obozu?

— Czujecie? — Nika węszyła z uniesioną głową.

— Dym jakby... — przyznał Felix. Poślinił palec i uniósł. Nie było czuć wiatru, za to między drzewami prześwitywał mały jasny punkt.

— Tam.

Ruszyli szybkim krokiem, ale nie biegli. Za to wciąż się za siebie oglądali.

— Wiem, że idzie za nami — powiedział Net. — Na pewno idzie za nami.

— Przestań — poprosiła Nika.

— Teraz nie możesz powiedzieć, że mi się przywidziało.

— Sama widziałam, ale przestań to powtarzać.

— Ja go widziałem! — Net odwracał się tak często, że niemal szedł tyłem. — Wszyscy go widzieliśmy. Nie wmówicie mi, że to jakaś tam rzeźba, antyświątek na rozstaju. To było... żywe.

Las skończył się gwałtownie, ustępując pola polu. Przyjaciele szli teraz po trawie, zresztą skoszonej na dwa centymetry, a przed nimi, na końcu drogi gruntowej, znajdował się klasztor. Dzięki jasno świecącemu księżycowi mogli dostrzec zarys budynku, a dokładniej całego kompleksu. Kamienne ściany, strome dachy, małe szpiczaste wieżyczki i smukłe okna — oto stał przed nimi klasztor. Niestety otaczało go wysokie ogrodzenie z kutych prętów i kamiennych filarów. Brama, zwieńczona ostrymi grotami, była wysoka chyba na pięć metrów.

— Całkiem niezłe schronienie, jeśli goni cię diabeł — powiedział Felix.

— Nie ma dzwonka — zauważył Net.

— I bardzo dobrze. — Nika badała zamknięcie bramy. — Musimy tam zajrzeć po cichu.

— Ja chcę się tam ukryć, nie zaglądać.

— Nie podejmuję się przechodzenia górą — stwierdził Felix. — A tego zamka nie otworzy klucz uniwersalny. Ta konstrukcja ma ze sto pięćdziesiąt lat i pewnie tak ciężko chodzi, że się otwiera oburącz.

W nocy trudno było się zorientować w układzie budynków. Najwyższy wyglądał na kaplicę, dym zaś unosił się z komina mniejszego, gdzie zapewne mieściła się kuchnia albo kotłownia. Kompleks był bardziej złożony, ale w obecnej sytuacji brakowało możliwości i chęci, żeby to sprawdzić.

— Może przejdziemy po filarze — zaproponował Net. Zerknął po raz kolejny w stronę drzew i znieruchomiał. Coś stało na granicy lasu. — O mamusiu... — Wolno, najwolniej jak się dało, Net uniósł latarkę i włączył ją. — O mamusiuboska...

Diabeł stał na dwóch krótkich i krzywych nóżkach zakończonych kopytami. Cały, razem z twarzą, był zarośnięty krótkim szarym futerkiem. Oczy o żółtych tęczęwkach miały poziomie źrenice, a nad dziwnie ludzką twarzą wyrastały dwa ostre, skręcone jak wiertła rogi.

— Kozołak — jęknął Net.

Cofał się krok za krokiem, a przyjaciele razem z nim. Wreszcie pognali biegiem wzdłuż ogrodzenia, skręcili za ostatnim filarem. Reprezentacyjne z frontu, z boku ustąpiło miejsca znacznie niższemu płotowi, który jednak wciąż był prawie niemożliwy do pokonania, składał się bowiem z prętów zakończonych grotami. Biegli wzdłuż niego, nie oglądając się, aż Felix zatrzymał się gwałtownie.

— Furtka!

Nacisnął klamkę, a furta na szczęście się otworzyła. Wbiegli na równo wystrzyżony trawniczek i zamknęli za sobą furtkę. Pościgu nie było nigdzie widać, ale wciąż nie czuli się bezpiecznie.

— Myślicie, że kozołaki nie mają wstępu na świętą ziemię? — zapytał Net.

Felix założył noktowizor i przeczesał drogę, którą tu dotarli. Niczego nie zobaczył.

— Jeżeli granica świętej ziemi pokrywa się z granicą działki wyliczonej przez geodetę.

Klasztor wyglądał posępnie, co chyba jest normą wśród klasztorów. Ten jednak oprócz tego stał w środku lasu, no i teraz była noc.

I pełnia.

— Te okna, przez które mieliśmy zajrzeć, są trochę wysoko — zauważył Net.

— Narobimy hałasu — przyznała Nika. — Ale spróbujmy.

Podeszli do kamiennej ściany. Dobre trzy metry wyżej jaśniało ciepłą żółcią okno.

— Podsadź mnie — poprosiła Nika.

Net ułożył dłonie w podnózek. Nika wsunęła tam but i uniosła się, jak tylko się dało. Do dolnej krawędzi okna było jednak daleko. Wspięła się więc wyżej. Opierając się o mur, postawiła jedną nogę na barku Neta. Chłopak pomógł jej utrzymać równowagę, choć równie dobrze ta ekwilibrystyka mogła się zakończyć upadkiem. Dziewczynie udało się jednak stanąć na jego ramionach, dzięki czemu jej twarz znalazła się tuż powyżej kamiennego parapetu.

— Trochę uwiera... — poskarżył się Net. — Coś widzisz?

— Sala, chyba jadalnia. Jest długi stół, stoją krzesła. Na stole pali się świeczka. Nikogo nie ma, ale są nakrycia na kilkanaście osób.

— Złaż, bo mi się wpijasz... — Net poruszał ramionami, żeby choć minimalnie przenieść ciężar.

— Nie wierć się — poprosiła Nika. — Czekaj, chyba ktoś...

Nie dokończyła, bo noga zsunęła jej się z Netowego barku. Udało jej się nie krzyknąć i już leciała w dół, nie mając się nawet czego chwycić. Net złapał ją i częściowo zamortyzował upadek.

— Wszystko w porządku?

Nika spojrzała w górę i ujrzała pochylające się nad nią dwie rogate głowy. Zamrugła. Rogi znikły, głowy nie.

— Chyba tak. — Przy pomocy przyjaciół podniosła się. — Tak niczego się nie dowiemy. Musimy wejść do środka.

— Co?! — syknął Net. — Nawet o tym nie myśl!

— Tylko zerkniemy.

— Mam *déjà vu*. Mieliśmy tylko zerknąć przez okno.

Na zewnątrz było strasznie, ale wchodzenie do środka też nie wydawało się przyjemne. Nie wiadomo, co tam się znajdowało.

— Cała ta wycieczka będzie bez sensu — zauważył Felix — jeśli nie sprawdzimy, kim jest ta nowicjuszka. Z drugiej strony to jednak prawie jak włamanie.

— To całkiem jak włamanie — potwierdził Net. — Tu mieszkają ludzie. Zakonnice, ściślej mówiąc. Klasztor to ich dom i... no nie można tam, ot tak, wchodzić. Proponuję szybki sprint do najbliższej wsi.

Felix znów założył na głowę noktowizor i przeczesał okolicę. Znieruchomiał, patrząc na ogrodzenie.

— Stoi przy furtce — szepnął.

Net zaczął się szamotać w poszukiwaniu latarki, ale Felix go powstrzymał.

— Po zewnętrznej stronie — wyjaśnił.

— Po namyśle — powiedział zduszonym głosem Net — wchodzenie do klasztoru to nie jest takie bardzo włamanie.

— On się nie rusza. — Nika i bez noktowizora widziała już rogatą postać.

— Może ta poświęcona ziemia działa — Net rozejrzał się i zerknął na dach. — Jeżeli to jest klasztor, bo na razie wygląda mi na antyklasztor. Tu

nawet gargulce¹ mają kształty diabłów. — Na krawędzi dachu tkwił kamienny gargulec, rzeczywiście przypominający przykucniętego kozołąka. — To normalne, że klasztor tak się obrandowuje symbolami konkurencji? W Coca-Coli nie nalepiają na ścianach logo Pepsi. Przemroczone to jakieś. Wygląda jak kościół czarnoświątkowców.

— Czy ten gargulec przed chwilą nie kuczał? — zapytała Nika.

Wszyscy spojrzeli na gargulca w postaci stojącego kozołąka. Dziwnym trafem stał na tle księżyca. Felix zsunął z twarzy noktowizor.

— Gargulec to końcówka rynny — przypomniał. — Taki kształt, jak ten tutaj, nie bardzo...

Nie musiał mówić nic więcej. Kamienny kozołąk przestał być kamienny. Zeskoczył na dach i zniknął przyjaciółom z oczu. Słysząc było jedynie delikatne klekotanie łupków² pokrycia dachowego.

— Mamusiu... — Net już szedł szybkim krokiem w stronę małego portyku z dwiema kolumnkami. — Oby tam były drzwi...

Felix i Nika podążyli za nim.

— Nie wiemy, co jest w środku — zauważył Felix.

— Ale wiemy, co jest na zewnątrz! — Net prawie krzyknął, ale zakrył usta dłonią. — Wchodzenie do klasztoru to nie jest żadne włamanie. Klasztor to taki prawie... gmach publiczny.

Felix wolno nacisnął klamkę. Ciężkie, okute drzwi z grubych dech, o dziwo, otworzyły się, ale zawiasy skrzypnęły ostrzegawczo. Chłopak skrzywił się i zatrzymał drzwi. Echo tego skrzypnięcia w długim korytarzu powoli cichło.

— Najlepszy system alarmowy. — Wyjął puszkę ze smarem w sprayu i psiknął na obydwie zawiasy. — Na szczęście w dwudziestym pierwszym wieku istnieją sposoby jego dezaktywacji.

— Możesz się pospieszyć?

Felix na próbę pchnął drzwi, które znowu skrzypnęły.

— Smar jeszcze nie wniknął do zawiasu — wyjaśnił.

— Ale ja chcę wniknąć do budynku!

Felix uciszył go gestem i opuścił noktowizor.

— Jest ich więcej — powiedział wolno.

— Gdzie...? — Net wyjrzał i już wszystko było jasne. Po trawie, wolnym krokiem zbliżało się kilkanaście rogatych postaci, całkiem niezłe widocznych w świetle księżyca. Wychodziły zza ostatniej przypory budynku, który zapewne był kaplicą.

Net tym razem nie dał się powstrzymać, zapalił latarkę i skierował na kozołaki odległe o jakieś dwadzieścia metrów. Żółte ślepie zabłyśły jak małe reflektory. To wystarczyło. Net pchnął drzwi, które otworzyły się niespodziewanie cicho. Cała trójka wpadła do środka i zamknęła je za sobą. Felix powstrzymał w ostatniej chwili Neta, który chciał je z całą mocą zatrzaskać. Docisnął je szybko, ale delikatnie i przekręcił klucz.

Net usiadł pod zimną ścianą i ukrył twarz w dłoniach.

— Miał być pensjonat... miało być ciepło i leniwie... Miała być nagroda za rok trudów i znojów... Więcej nie chodzę nocą po lesie... Więcej nie wyjeżdżam z miasta... Nawet z centrum na przedmieścia...

— ...*mieścia*... — powtórzyło echo.

— Cicho — syknął Felix.

— ...*lich*o...

W wysoko sklepionym korytarzu panowała cisza jeszcze bardziej przytłaczająca niż przedtem w lesie. Wrażenie było silniejsze, każdy dźwięk powracał bowiem powtórzony echem. Przez wysokie okna wpadało światło księżyca. Oświetlało kamienną posadzkę kontrastowymi pasami. Wyglądało to bardzo klimatycznie, ale ten klimat lepiej doceniać, czytając książkę, niż samemu tam będąc. Chwilę trwali nieruchomo. Nikt nie próbował otworzyć drzwi. Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy.

— Więc granica przebiega na murach klasztoru — szepnął Net. — Co za szczęście, że kozołaki boją się ziemi święconej.

— ...*conej*...

— Ups...

— ...*ups*...

— Przestań otwierać paszczę — skarciła go Nika.

— ...*szczę*...

Podawała mu rękę, żeby wstał. Przeszli cały korytarz na palcach, a towarzyszył temu dźwięk, jakby stepowali w kaloszach. Słysząc było każde skrzypnięcie podeszwy, każde przesunięcie się Felixowego gadżetu w plecaku.

Gdy zatrzymali się przed kolejnymi drzwiami, jakby spod ziemi dobiegł bulgot czy też warczenie, a echo oczywiście to powtórzyło. Przyjaciele odruchowo przygarbili się.

— To ja — wyjaśnił Net. — Burczy mi w brzuchu.

— ...*uchu*...

— Nie możesz się powstrzymać? — zapytał Nika.

— ... *się trzymać...*

— Kolacja była pięć godzin temu.

— ... *sześć godzin temu...*

Felix schował do plecaka noktowizor, a zamiast niego zapalił latarkę w najbardziej energooszczędnym trybie, w jakim się dało. Prewencyjnie psiknął smarem na zawiasy i odczekał kilkanaście sekund, po czym wolno otworzył drzwi. Korytarz zakręcał pod kątem prostym. Z oddali dobiegał przyciszony śpiew. Słów nie dało się zrozumieć, ale z pewnością były to głosy kobiet.

— Zakonnica to prawie jak ksiądz — szepnął znów Net. — Chyba się nadaje do przepędzania demonów.

— ... *demonów...*

— Śpiewają, nie słyszą nas. — Wzruszył ramionami, widząc spojrzenie Niki. — Myślicie, że wiedzą o kozołakach dookoła?

— ... *dookoła...*

— Może dlatego śpiewają — podsunęła Nika. — Może ten śpiew to modlitwy.

— ... *dla Litwy...*

— Jakby mi dookoła domu chodziły takie stwory, to bym zaczął od zamknięcia zamków.

— ... *zamków...*

— Z jakiegoś powodu nie wchodzi do środka.

— ... *wychodka...*

— Zaraz, a może to jak w tym kawale z plażą, na której nie ma rekinów, bo się boją krokodyli. Znacnie? A, spaliłem... Chodzi o to, że może tu w środku siedzi coś gorszego. Zabunkrujmy się gdzieś do rana.

— ... *barana...*

Felix już szedł dalej. Klasztor był bardziej rozległy, niż na to wyglądał z zewnątrz. Na lewej ścianie znajdowało się kilkanaście otwartych drzwi prowadzących do małych pokoików. Zajrzeli do kilku kolejnych. Każdy był urządzone identycznie: kamienne, nieotynkowane ściany, łóżko, szafa i dziwny mebel, który zapewne był klęcznikiem. Mała „umywalka”, czyli znane z filmów historycznych: wpuszczona w stół miednica i dzban. Światło wpadało przez małe okienko z grubego szkła.

— To ich cele — stwierdziła Nika.

— Cele? — zdziwił się Net. — Są tu za karę? Patrzcie... — Wszedł do pomieszczenia, które właśnie oglądali, i uniósł krawędź poduszki. Pod

spodem migąła niebieska dioda. — Trochę nowoczesności tu dotarło. To przecież laptop.

— Nie dotykaj — poprosiła Nika.

— Luz. Jak zamierzacie sprawdzić, czy tu jest Zosia?

— Ukryjemy się gdzieś — odparł Felix — i zaczekamy, aż zakonnice pójdą spać. Przyjrzymy im się po drodze. Chwilowo i tak nie możemy wyjść.

— Chłodno tutaj. — Net potarł ramiona. — Ciekawe, jaka temperatura panuje tutaj zimą.

— Pewnie prawie taka sama. — Wyszli na korytarz. — Grube mury trzymają temperaturę.

— ... *maturę*...

— Też macie wrażenie, że to echo trochę się myli? — Net podejrzliwie zerknął na ginące w mroku podziemie.

— ... *się umyli*...

I wtedy nagle, bez przeciągu ani niczego podobnego, zwisający przy ścianie sznur, zakończony supłem, poruszył się. Co więcej, poruszył się w dół i w górę, jakby go ktoś pociągnął.

— Niewidzialny człowiek... — Net szarpnął się do tyłu. — Niewidzialny koziołek...

— ... *wilkołak*...

Z zewnątrz dobiegł dźwięk dzwonu. Przyjaciele gapili się na poruszający się wciąż sznur i nie wiedzieli, co myśleć. Wyglądało to osobliwie. Felix zaświecił w górę. Sznur przechodził przez kołowrotek, i dalej, podtrzymywany przez kilka mniejszych kołowrotek, ginął w otworze w ścianie.

— To system przekładni linowych — ocenił Felix. — Zapewne w kilku miejscach kompleksu są takie... terminale sznurowe. Można za dowolny z nich pociągnąć, żeby rozbujać dzwon na dzwonnicy.

— ... *donicy*...

— Ale dlaczego akurat teraz?!

— ... *zaraz*...

— Czy wy też zauważyliście, że to echo naprawdę powtarza co innego?

— ... *to samo*...

— Wydaje ci się.

— ... *mu się*.

Felix spojrział na puste miejsce po zegarku i klepnął się w nadgarstek. Wyjął z kieszeni GPS i na jego ekranie sprawdził godzinę.

— Jest północ. Chodźcie, to mógł być sygnał do powrotu do cel.

— ... *cel*...

Net zerkał w górę, ale nie było czasu na rozważanie natury zjawiska. Szybszym krokiem, już nie dbając o zachowanie ciszy, doszli do kolejnego zakrętu, a dokładniej skrzyżowania. Śpiew dochodził z lewej strony, korytarz na wprost prowadził do sporych drzwi i dalej skręcał, obiegając dziedziniec – tam, w różnych drzwiach i wnękach, znalazłaby się najlepsza kryjówka. Idąc w prawo, mijało się okna wychodzące na dziedziniec.

Net zaczął węszyć.

— Czuję ser wędzony.

— ... *zwędzony*...

— Nie uprzedzajmy faktów. — Obejrzał się przez ramię, na uchylone drzwi, obok których przeszli. — Tylko na chwilę zajrzę.

— ... *niemalże*...

— Net, proszę cię — szepnęła Nika. — Schowajmy się.

— ... *dajmy się*...

Śpiew ucichł. A za oknami pojawiło się blade białe światło. Z powodu grubych, krzywych szyb nie dało się dostrzec, co to dokładnie jest.

— Ktoś idzie korytarzem po drugiej stronie dziedzińca — ocenił Felix.

— Ktoś albo coś — szepnął Net. — Wybiła przecież północ, godzina duchów.

— ... *duchów*...

Niewyraźny kształt zdawał się świecić własnym blaskiem. Przyjaciele obserwowali to światło z niewyraźnymi minami. Wolno przesuwało się w lewo.

— To ten sam korytarz, w którym jesteśmy — zauważył Net. — Jezu, to zaraz dojdzie do zakrętu.

— W prawo — zdecydował Felix.

— Nie, to nadal ten sam korytarz... Tędy!

— ... *owędy*...

— Skąd wiesz, co tam jest? — syknął Felix, ale chcąc nie chcąc, podążył za przyjacielem. — Może to droga bez wyjścia?

Było już za późno. Światło zbliżało się do zakrętu i za chwilę zobaczyliby je w końcu korytarza. Wślizgnęli się przez wąskie drzwi i zeszli kilka stopni po kamiennych schodkach. Felix wolno przymknął drzwi. W ścianie

między schodami a korytarzem zamontowano kilka okienek – smukłych, szerokich na najwyżej pięć centymetrów. Było tu trochę chłodniej.

— Co to za miejsce? — zapytał szeptem Net. — Kozołaki? Zjawy? To naprawdę jest antyklasztor.

W drzwiach nie było zamka, więc tylko nasłuchiwali ciszy po drugiej stronie. Światło pojawiło się bezszelestnie. Przyjaciele wstrzymali oddechy, gdy z prędkością bardzo wolnego spacerowicza mijało kolejne okienka. Od centralnego punktu rozlewało się w większy biały obszar. Niestety krzywe od nowości i zmatowiałe ze starości szkło nie pozwalało dojrzeć szczegółów. Równie bezszelestnie, jak się pojawiło, światło zniknęło.

— To duch tej królowy — szepnął Net.

— W klasztorze? — zapytała Nika.

— Może przy okazji była zakonnica.

— Przecież sam wymyśliłeś tę legendę.

— Więc co to niby było?

— Nie wiem — odparł Felix. — Wiem tylko, że sobie poszło.

— Kiedy następnym razem wyciągniecie mnie na nocne łożenie...

— Net odwrócił głowę i wciągnął powietrze. Znów rozległo się warczenie połączone z demonicznym gulgotaniem. — Kiełbasa... Kiełbasa wędzona w jałowcowym dymie. I nie tylko.

W bladym świetle latarki, którą zapalił Felix, zeszli kilka stopni niżej, gdzie znajdowało się średniej wielkości pomieszczenie.

— Wytrzymamy tu do rana — ocenił. — A rano okaże się, że to był tylko zły sen.

— To spiżarnia?! — zapytała Nika. — Jeśli w refektarzu czekają nakrycia, to ktoś tam za chwilę wejdzie...

— Refe... co? — nie zrozumiał Net.

— Refektarz to klasztorna jadalnia — wyjaśniła Nika.

— A... *food court*.

Jednak uwagę Neta zaprzętała już jedynie zawartość spiżarni. Nawet nie musiał zaglądać do szaf ani chłodni, bo zwieszające się z sufitu szynki i kiełbasy to było na razie dla niego aż nadto. W jednej chwili zapomniał, po co przyszli do klasztoru, co widzieli na zewnątrz i wewnątrz. Z wielkiego stołu wziął wielki nóż i odkroił po kawałku kiełbasy, szynki, a potem jeszcze gruby plaster leżącego na drewnianej tacy wędzonego sera.

— To już kradzież — zauważyła Nika.

— Zakonnice powinny dzielić się z głodnymi, czyli na przykład ze mną, i dawać im jedzenie.

— Dawać a być okradanym to co innego — zauważyła Nika — Zresztą zaraz tu wejdą. Ta taca czeka, żeby ją zabrać do refektarza.

— Refektarz... co za słowo... Brzmi jak pasożyt żołądka.

Na szczęście z drugiej strony spiżarni były szersze schody, prowadzące w górę, i kolejne drzwi. Net obrzucił pożegnalnym spojrzeniem pęki suszonych szynek, kindziuków oraz kiełbas krakowskich i wraz z przyjaciółmi przeszedł do przestronnej kuchni. Jej dominującym elementem był wielki kamienny kominek, w którym dawno temu zapewne gotowano. Obok stała duża współczesna kuchnia ze stali nierdzewnej i całkiem nowoczesny sprzęt w postaci zmywarki, lodówki i kilku maszyn kuchennych. Było tu przytulnie i przyjemnie, ale jedyne, co teraz interesowało przyjaciół, to brak miejsca do ukrycia się.

— Wolniej — poprosił z pełnymi ustami Net. — Ja jem.

Otworzyli kolejne drzwi i znaleźli się w pustym refektarzu, nieznacznie tylko rozjaśnionym świecą stojącą na środku stołu.

— To miejsce widziałam przez okno — powiedziała Nika.

Pomieszczenie było wysokie na jakieś siedem metrów. W górze w ciemności kryło się skomplikowane sklepienie żebrowe. Większe drzwi prowadziły na korytarz, ale było za późno, by tamtędy wyjść. Kroki zbliżały się jednocześnie i od strony korytarza, i spiżarni. Nie było czasu na kombinowanie. Mogli się ukryć albo pod stołem, albo za kotarą zasłaniającą sporą część ściany obok drzwi spiżarnianych. Felix zgasił latarkę, rozejrzał się i pierwszy wślizgnął za kotarę, a Net i Nika poszli w jego ślady. Za kotarę zauważyli konstrukcję z drewna, jakby wysoki i skomplikowany regał, ale w ciemności nie mogli dostrzec szczegółów.

Ledwie materiał przestał falować, do jadalni weszła pierwsza zakonnica, szczupła, sztywna i wysoka sześćdziesięciolatka. Za nią kolejne, maszerowały dwójkami jak oddział wojska. Net, który stał najbliżej krawędzi kotary, wychylał się delikatnie tak, by jego twarz nie znalazła się w blasku świecy. Widział więc wchodzące i nawet rozpoznał dwie, z którymi podróżował w przedziale. Z całą pewnością nie było wśród nich Zosi. Odwrócił się do przyjaciół i pokręcił głową. Nie miał pewności, czy to dostrzegli.

Zapalono kolejne świece, przez co kotara stała się lekko prześwitująca. Na szczęście tylko w jedną stronę. Zakonnice stały przy stole z pochylo-

nymi głowami, każda przed swoim nakryciem, jakby na coś czekały.

Net poczuł, że swędzi go nos. To stara historia. Działo się to zwykle w najmniej odpowiednich momentach, zapewne właśnie dlatego, że były to momenty najmniej odpowiednie. Net wiedział, że to jeden z objawów stresu.

Zakonnice tymczasem tkwiły nieruchomo. Usiadły, dopiero gdy najstarsza, czyli zapewne przeorysza, dała znak. Zajęła miejsce u szczytu stołu, tyłem do przyjaciół. I właśnie w tym momencie Net kichnął. W ostatniej chwili zdążył zatkać nos, ale ciśnienie znalazło inne ujście. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się kichnąć uszami. Wyszło z tego osobliwe piśnięcie, po którym dźwięki otoczenia dobiegały do niego jak przez grubą ścianę.

— Która to? — zapytała przeorysza.

Pozostałe zakonnice popatrzyły po sobie i nic nie odpowiedziały. Zapadła cisza. Net zerknął w prawo i napotkał spojrzenia przyjaciół. Przepraszająco wzruszył ramionami. Nagle wyraz twarzy Niki zmienił się. Ruchem głowy wskazała otwarte drzwi. Po ścianach korytarza pełgał biały blask. Tym razem widoku nie przesłaniało krzywe szkło, tylko półprzezroczysta zasłona.

— O nie... — szepnął niemal bezgłośnie Net, który jako jedyny widział drzwi w szczelinie z boku zasłony. One wywołują ducha, pomyślał.

Zakonnice nadal milczały i nie poruszały się. Wreszcie zjawa pojawiła się w drzwiach. Net cofał się, aż oparł się o regał. Zjawa... nie była zjawą. Była kobietą około trzydziestki w białym habicie, a płomień trzymanej przez nią świeczki odbijał się od białego materiału, co sprawiało, że cała postać zdawała się świecić.

Przyjaciele odetchnęli z ulgą. Twarz kobiety wydała im się znajoma, ale jednak z całą pewnością nie była to twarz Zosi.

Kobieta podeszła do wolnego miejsca na szczycie stołu, vis-a-vis przeoryszy, i znieruchomiła ze spuszczoną głową.

— Jeżeli ktokolwiek ma coś przeciwko przyjęciu nowicjuszek Agacji do naszej wspólnoty, niech powie to teraz albo zamilknie na wieki.

Net odwrócił głowę do Niki, ale zamiast tak miłej sobie twarzy, ujrzał twarz kozołąka. Odskoczył i oparł się o zasłonę. Wtedy zrozumiał swój błąd – kozołąk był tylko rzeźbą, która stanowiła część drewnianych zdobień. A prawa fizyki zrobiły swoje. Net przechylał się coraz bardziej, lecz nie mógł złapać podparcia dla lewej nogi, bo prawa przydeptywała zasłonę. Bezradnie machał rękoma w ciemności, aż złapał się czegoś, w czym roz-

poznał gruby sznur. Sznur elastycznie ustąpił, z góry rozległ się trzask rozrywanego materiału, a zaraz po nim, stłumiony przez zamknięte okna, spiszowy dźwięk dzwonu. Rozerwana zasłona opadła, odsłaniając widok na stojących Felixa i Nikę oraz wiszącego pod kątem czterdziestu pięciu stopni Neta. Sznur, którego trzymał się Net, pod ciężarem dzwonu z odległej dzwonnicy uniósł się, przywracając zdeorientowanego chłopaka do pozycji pionowej. Cała trójka stała teraz na wprost kilkunastu zakonnic, które wpatrywały się w nich jak w zjawy.

— Niech będzie pochwalony — wyrzucił z siebie Net.

— Na wieki wieków amen — automatycznie odpowiedziały zgodnym chórem siostry.

— Tak na wstępie pragnę panie... eee... siostry... gorąco zapewnić, że nie mamy nic przeciwko przyjęciu nowicjuszek Agacji. — Net nerwowo pocierał dłonie. — To tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że się tu znaleźliśmy. Powinniśmy być teraz w pensjonacie, ale nasz dyrektor przyoszczędził i wysłał nas pod namiot na obóz przetrwania z takim sadystą, a tam niestety pojawił się diabeł, więc złapałem niechcący ten sznur i zadzwoniłem. Bo tam jest taki system przekładni linowych i... To tak w dużym skrócie...

Zamilkł wreszcie.

Felix nie miał pomysłu, co w tej sytuacji można by powiedzieć, wszystko wydawało się bowiem głupie. Nika miała podobne uczucie, bo jak wyjaśnić, że znaleźli się tu, bo diabły ganiają po dachu i buszują w ogrodzie? To wszystko skończy się przyjazdem policji...

— Jestem matka Absolucja, przeorysza tego klasztoru — odezwała się najstarsza. — Emerencjo, Perpetuo przynieście nakrycia dla naszych gości. Prudencjo, Symfonio, Pankracjo podajcie na stół nocobiad, a Kalasancja niech napali w kominku. Wszystkie chyba zgłodniałyśmy podczas obłóczyn ³ Agacji. A wy siadajcie, miejsca jest sporo.

Felix, Net i Nika, bo do nich było skierowane ostatnie zdanie, pośpiesznie wykonali prośbę, na wypadek gdyby przeorysza zmieniła zdanie. Wymienione zakonnice zajęły się powierzonymi im zadaniami. Przed Niką wprawdzie leżało nakrycie, gdyż zapewne zawsze czekało na niespodziewanego gościa. Trzech niespodziewanych gości jednak nikt się nie spodziewał.

Po chwili siostry Emerencja i Perpetua postawiły przed przyjaciółmi talerze, a siostry Prudencja, Symfonia i Pankracja wniosły półmiski

z serami i mięsiwem na zimno oraz dwie butelki wina. Wyglądało to na bardzo przyzwoite jedzenie, jednak jego ilość była ascetyczna. Net już sięgał do najbliższego półmiska, ale Nika złapała go za rękaw. Szybko zrozumiał dlaczego. Zakonnice złożyły dłonie do modlitwy. Jadalnię wypełnił szepcany monolog, którego słów nie dało się rozpoznać. Skończyły równocześnie i przystąpiły do spożywania nocobiadu. Przyjaciele mieli nieodparte wrażenie, że skądś znają milczącą nowicjuszkę.

Net dyskretnie wyjął z kieszeni podkradzioną kielbasę i położył ją na talerzu, po czym sięgnął do półmiska po szynkę.

— Po jednym kawałku! — szepnęła do niego Nika.

Okazało się, że liczba plasterków szynki, pajd chleba, kawałków kielbasy i porcji sera jest wyliczona co do jednego. W tej sytuacji Net, zacierając ślady buszowania w spiżarni, natychmiast wepchnął sobie do ust całą kielbasę. By nie napotkać niczyjego wzroku, spojrzął na odsłonięty regał, który nie był regałem, tylko bogato zdobionym drewnianym ołtarzem. Ze starości odłaziła z niego farba. Na górze widniały anioły, na dole diabły, środkowe poziomy wypełniały natomiast sceny z życia codziennego. Średniowiecznego życia codziennego, rzecz jasna.

— Tak, trzeba będzie go wreszcie odmalować — powiedziała przeorysza. — Po pięciuset latach należy mu się mały remont.

Net próbował coś odpowiedzieć, ale z pełnymi ustami mu nie wyszło.

— Przepraszamy za najście — odezwała się za niego Nika. — Szukamy koleżanki z klasy i trafiliśmy tu przypadkiem.

— Pamiętam was — odezwała się siedząca najbliżej przeoryszy młoda zakonnica. — Jechaliśmy razem w przedziale.

— A ty jechałeś z nami — inna zakonnica wskazała Neta.

— Zaiste, to co mówią siostry Amata i Hilaria, wydaje się dużym zbiegiem okoliczności — zauważyła matka Absolucja. — Jak to możliwe?

Net przełknął z trudem i odparł:

— O to samo my możemy zapytać. Tak to już jest ze zbiegami okoliczności, że jak gimnazjalista spotyka zakonnice, to ta sama zakonnica w tym samym momencie i w tym samym miejscu spotyka tego samego gimnazjalistę.

Matka Absolucja uśmiechnęła się przelotnie.

— Termin obozu był ustalony miesiące temu — szybko dodał Felix. — To ostatni tydzień przed wakacjami. Kolega przyjechał dwa dni później, bo zaliczał test.

— Matko Absolucjo, jedna z naszych klasowych koleżanek zaginęła — uzupełniła Nika. — Nie wiemy tego na pewno, ale to bardzo prawdopodobne. Zniknęła kilka dni przed wyjazdem i nie mamy z nią kontaktu. Wiemy tylko, że jest gdzieś nad Czerwoną Hańczą.

Gdy drwa w kominku rozpały się na dobre, w jadalni zrobiło się całkiem przyjemnie.

— Minęła północ — zauważyła przeorysza. — Wolno wam chodzić nocą po lesie?

— To jest marsz na azymut — odparł Felix. — Schowaliśmy się w klasztorze przed... przed... diabłami. To znaczy, nie wiemy dokładnie, co to było, ale wyglądało na diabły.

— Pewnie widzieliście nasze kozy — wyjaśniła, uśmiechając się pod nosem siostra Amata. — Czasem udaje im się otworzyć zamknięcie i wybierają się na spacer wokoło budynków.

— To nie były kozy. — Net pokręcił głową.

— Ciemność płata figle wyobraźni — powiedziała matka Absolucja. Miała w sobie coś z dobrej babci i coś z Konstancji Konstantynopolskiej. Była dobrotliwa, ale pod tą dobrotliwością kryła się również stanowczość. — Opowiedzcie nam coś o tej przyjaciółce.

Opowiedzieli w skrócie całą historię. Głównie mówiła Nika. Rozsądek podpowiedział jej, by nie przypominała o podejrzeniu, że Zosia wstąpiła do klasztoru. Teraz zresztą wydawało się to absurdalne.

Matka Absolucja pokiwała głową i zapytała niespodziewanie:

— I pomyśleliście sobie, że ta Zosia wstąpiła do naszego klasztoru?

Przyjaciele spojrzeli na nią z zaskoczeniem.

— W sumie... — Net wzruszył ramionami — ona zawsze była dziwna.

— Kolega chciał powiedzieć „u duchowiona” — sprostowała szybko Nika.

— Wiemy, że jest gdzieś w tej okolicy, ale nie mamy pojęcia, co się z nią dzieje — wyjaśnił Felix.

— Tak szczerze, to nawet nie wiemy, czy naprawdę zaginęła — dodał Net. — Na tym obozie przetrwania nie mamy żadnego kontaktu ze światem. Komendant, to znaczy nauczyciel, jest sadystycznym maniakiem i nawet zabrał nam komórki. Tak więc gdybyśmy mogli skorzystać z tego laptopa, który leży pod poduszką, byłibyśmy bardzo wdzięczni... matce Absolutu i... i innym kuzyn... siostrom znaczy.

Ostatnie słowa spowodowały poruszenie na sali. Siostry patrzyły po sobie i szeptem wymieniały uwagi. Nika spiorunowała Neta wzrokiem.

Przeorysza wstała.

— Siostro Agacjo, czy chcesz nam o czymś powiedzieć?

Nowicjuszka podniosła się ze spuszczoną głową.

— Chciałam jeszcze zamknąć kilka spraw, mameczko Absolucjo...

— Przynieś, proszę, ten laptop.

Agacja skinęła głową, wzięła świeczkę i wyszła z jadalni. Net nachylił się do Niki i szepnął:

— Jeśli ma dostęp do internetu, sprawdzimy *newsy* o porwaniu.

Dziewczyna pokręciła głową.

Zapanowało niewygodne milczenie, które w tym wnętrzu miało podwójny ciężar.

— Przepraszam — odezwał się Net. — Mam pytanie o tutejsze echo. Czy mnie się tylko wydaje, czy ono jest... mało precyzyjne? Miałem wrażenie, że powtarza co innego, niż powinno.

— To efekt ukształtowania sklepienia — odparła mameczka Absolucja.

— Z tego powodu przychodziły tu kiedyś pielgrzymki, a to tylko trick architekta.

Net nie był przekonany, ale nie wypadało naciskać.

Wróciła Agacja. Przyciskała laptop do piersi, jakby to był szczególnie cenny przedmiot albo groziło mu jakieś wyjątkowe niebezpieczeństwo. Mameczka wstała i wzięła od niej komputer. Net również wstał, by go przejąć, lecz zamiary przeoryszy były inne. Podeszła do kominka i zwyczajnie, jakby to była szczapa drewna, wrzuciła komputer w płomień.

— Mamy tu pewne zasady — wyjaśniła, patrząc na zaskoczonych przyjaciół. — Jedną z nich jest zakaz używania komputerów osobistych, smartfonów, tabletów i podobnych urządzeń.

— Bym go przygarnął, mamusiu Abso... — Net wyciągnął rękę w stronę płomieni, jakby chciał cofnąć czas. — Nowiutki ThinkPad...

— Bez jasnych zasad byłybyśmy squatem, nie zakonem. Żyjemy tu bardzo podobnie, jak żyły nasze poprzedniczki sto, dwieście i trzysta lat temu. Nie kontaktujemy się ze światem zewnętrznym bez wyraźnej potrzeby, a wszelkie nowinki wprowadzamy tylko, jeśli to naprawdę konieczne.

— No to du... — Net usiadł — duże utrudnienie jest.

— Matko Absolucjo, czy moglibyśmy w takim razie porozmawiać z siostrą Agacją? — zapytała Nika. — Jeśli, rzecz jasna, nie jest to zabronione ani sama siostra nie ma nic przeciwko.

Mateczka skinęła głową.

— Macie kwadrans. Potem rozpoczynamy drugą część obłóczyn, którą zakończy ceremonia przyjęcia nowicjuszek. Jeśli obawiacie się ciemności w lesie, możecie u nas przenocować. Kilka cel jest wolnych. Ale uwierzcie mi, tam na zewnątrz nie ma żadnych diabłów. To tylko kozy, słabe światło księżycy i wasza wyobraźnia karmiona złymi przykładami.

Mateczka Absolucja wyszła, a pozostałe zakonnice, z wyjątkiem Agacji, jak na komendę wstały i podążyły za nią. Ich kroki wkrótce ucichły wraz ze skrzypnięciem drzwi kaplicy. Nowicjuszka siedziała pochylona i obserwowała płomienie.

— *Sorry* za laptopa — powiedział Net. — Nie sądziłem...

— Nie, nie przepraszaj. — Siostra zupełnie niesiostrzanym gestem klepnęła go dłonią w ramię. — Tak jest nawet lepiej. Nie będzie mnie kusiło, żeby zatajać cokolwiek przed Mateczką i siostrami. A im szybciej zerwę z dawnym życiem, tym lepiej dla mnie.

— Ja bym tu zwariował — mruknął Net.

Agacja pokręciła głową.

— To świat na zewnątrz zwariował. Jeśli zostałabym tam jeszcze trochę, to samo stałoby się ze mną. Tu mam nadzieję odnaleźć spokój, harmonię. Pytajcie, o co chcecie. Może to ostatnia rozmowa, jaką prowadzę z ludźmi z zewnątrz.

Przyjaciele przysunęli krzesła i usiedli w półokręgu przy kominku.

— Kiedy pani... kiedy siostra tu przyjechała? — zapytała Nika.

— W środę, więc w sprawie koleżanki wiele wam nie pomogę.

— Ale miała tu pani... siostra laptop z dostępem do internetu.

Agacja przytaknęła.

— Ostatni tydzień był dla mnie trudny. Nie oglądałam serwisów internetowych, zamykałam tylko stare sprawy, odpisywałam na maile. Nie powinnam, ale trudno tak nagle się całkowicie przestawić. Jeżeli coś przeczytałam, to tylko przypadkiem. Pamiętam tę sprawę porwania tak ogólnie. Tyle jest podobnych historii: tu spadł samolot, tam zastrzelili ministra, gdzieś zatrzęsła się ziemia. Człowiek się na to wszystko uodparnia i przestaje zwracać uwagę. Media walczą o widza, więc starają się przekazywać coraz bardziej sensacyjne i przerażające wiadomości. Historia waszej kole-

żanki niemal utonęła w tym oceanie nieszczęścia, ale pamiętam, że to się zaczęło w sobotę. Gimnazjalistka, piętnaście lat. Niska blondynka.

— Taka nijaka? — podsunął Net.

— Można by ją tak określić. Macie zdjęcie?

Przyjaciele pokręcili głowami.

— Widziałam apel matki — ciągnęła kobieta. — Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... i tak dalej. Nie interesowałam się tym, bo i tak nie mogłam pomóc. Jestem tu od sześciu dni, a rano Mateczka zadecyduje ostatecznie, czy jestem godna, by tu zostać. Narodzi się z pozostałymi siostrami i zadecyduje. Wtedy zakończą się obłóczyny.

— Zgodzą się — pocieszył ją Net. — Były bardzo podjarane nowym nabyt... Chciałem powiedzieć, że były bardzo zadowolone, że zgłosiła się pani na ochotnika.

Nowicjuszka uśmiechnęła się przelotnie.

— Mam nieodparte wrażenie, że skądś panią znam. — Felix przyglądał się nowicjuszce.

— No właśnie — poparł go Net. — Też tak mi się wydaje.

Agacja rozejrzała się, jakby chciała wyciągnąć z torebki paczkę papierosów przed dłuższą opowieścią. Ani jednego, ani drugiego rzecz jasna już nie miała. Zacisnęła więc usta i wpatrzyła się w ogień.

— Pracowałam w telewizji, chociaż nie na pierwszej linii. Czasem mogliście mnie widzieć w wywiadach. Moje imię i nazwisko pewnie nic wam nie powie. Kiedyś tworzyłam reklamy, potem zajęłam się programami telewizyjnymi. Wymyślałam je, czasem pisałam scenariusze, ale częściej wynajdywałam tematy. Stworzyłam program w konwencji reportażu interwencyjnego. Nawet nie chcę wymieniać jego nazwy. Miał być o problemach ludzi, miał pomagać im te problemy rozwiązywać. Chodziło o codzienne problemy prostych ludzi. Ot, ktoś złamał nogę i nie może prowadzić taksówki; kasjerka pomyliła się, wydała za dużo reszty i teraz musi oddać ze swoich oszczędności; czyjeś dziecko potrzebuje regularnych dializ, a skończyły się limity z NFZ. Myślałam, że robię coś dobrego i tak było przez jakiś czas. Szybko okazało się, że te sprawy są za mało interesujące. Zaczęliśmy więc wymyślać fikcyjne problemy, zatrudniać aktorów, żeby udawali. Po jakimś czasie i to przestało wystarczać, bo aktorzy byli nie dość naturalni. To jeszcze miało jakiś tam sens, ale nie podobało mi się, bo chciałam robić inne programy, prawdziwe. Decyzję o odejściu podjęłam, kiedy producenci zaczęli rozmawiać o tym, żeby te problemy tworzyć,

a potem, jeśli ciekawie się rozwiną, robić o nich program. Coś jak strażak podpalacz. Uczucia negatywne zaczęły się sprzedawać lepiej od pozytywnych, a oni to podsycali. Zaczęłam wątpić w sens tego wszystkiego. Odeszłam z programu i wymyśliłam najgłupszy, najbardziej idiotyczny show, jaki tylko przyszedł mi do głowy. Poszłam z tym do producentów. Chciałam im pokazać, do czego zmierza cały ten showbusiness. Chciałam dać im do myślenia. — Agacja westchnęła. — A oni ten pomysł kupili i zrealizowali. „Gwiazdy śpiewają pod wodą”, znacie pewnie ten program. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej idiotycznego? — Dłoń jej się trzęsła. — Muszę zapalić.

— W tym akurat nie pomożemy — powiedział Felix.

Net wyjął z kieszeni podkradziony kawałek kielbasy krakowskiej i nieśmiało jej podał. Wzięła i wgryzła się w niego nerwowo.

— Minął kwadrans — powiedziała innym tonem, jakby z pretensją. — Czas na mnie. Możecie iść albo przeczekać tu do rana, jak powiedziała Mateczka. Są miejsca w celach. Wasz wybór.

— Pójdziemy. — Nika wstała. — I dziękujemy bardzo za rozmowę.

— Że jak...? — Net również wstał. — Że my? Że pójdziemy? Że w noc? Ale... diabły...

Agacja wstała, odstawiła krzesło na miejsce i powiedziała cicho:

— Przez ostatnie kilka lat zarabiałam na życie okłamywaniem ludzi, więc doskonale wiem, o czym mówię. Jeżeli dacie sobie wmówić, że koza jest diabłem, to naprawdę zobaczycie w niej diabła. Tak powstawały legendy, historie przekazywane z ust do ust. Plotki stawały się dla ludzi tak prawdziwe, że zaczynali w nie wierzyć. W imię tych legend palili na stosach czarownice, niewinne kobiety – ofiary przesądów. Dziś to samo robi przemysł medialny, czyli telewizja, radio, prasa, serwisy internetowe, blogi domorosłych hejterów. Oświecenie jest mitem, bo plotka i pomówienie wciąż mają się nieźle. Inteligentnych i rozsądnych ludzi po studiach bez trudu da się przekonać, że czarownice i diabły istnieją. Więc pewnie dałoby się ich też przekonać, że należy je palić na stosach. Od takiego właśnie świata uciekłam. Jeśli wierzycie w diabły chodzące po powierzchni ziemi, zostańcie tu do rana. W przeciwnym razie możecie wyruszyć już teraz. Nic wam nie grozi.

Wyszła, nie mówiąc nic więcej. Przyjaciele słuchali oddalających się kroków.

— Przynajmniej taka z tego korzyść, że jedną noc spędzimy w wygodnych łózkach — ocenił Net.

— Wracajmy — poprosiła Nika.

— Chyba cię pogięło! A diabły?

— Te siostry mieszkają tu od lat. Jeżeli mówią, że diabły są niegroźne, to może... źle oceniliśmy sytuację.

— Te siostry pewnie codziennie biorą prysznic z wody święconej. Uodporniły się, a diabeł ich nie tknie, bo by się zatrzał.

— Nika ma rację — poparł ją Felix. — CyBorek się wścieknie. Obiecałem sobie nie zadrażniać sytuacji. Jeśli teraz wyruszymy, to może jeszcze napotkamy te ciamajdy płaczące się po lesie.

— Ale... — Net wskazał okno. — Ale diabły...

— Może naprawdę to tylko nasza wyobraźnia. Zналиśmy legendę o diabie, resztę dopowiedzieliśmy sobie sami.

— Czyli że widzimy diabła, bo czytaliśmy książki o małych czarodziejach i mamy zeszyty z Hello Kitty? Nie, to nie tak. Zobaczyliśmy diabła, bo to był diabeł. Hej, gdzie idziesz?

— Chodźcie — Felix już szedł w stronę drzwi. — Mamy kilka kilometrów do przejścia, a trzeba jeszcze oddać łódź.

Net westchnął i wstał.

— Ale najpierw tylko wyjrzymy — zastrzegł.

Bez trudu trafili do bocznego wyjścia. Tutaj Felix stracił trochę swojej pewności w to, że diabły były złudzeniem optycznym. Zgasił latarkę, przyłożył ucho do drzwi i chwilę wsłuchiwał się w ciszę. Potem przekręcił zamek i delikatnie nacisnął klamkę. Wolno, bardzo wolno uchylił drzwi i wyjrzał. Żadnego diabła nie było widać. Jedynie obok, niedaleko ogrodzenia stała koza. Najzwyczajniejsza koza najzwyczajniej w świecie stała sobie na trawie i gapiła się gdzieś w przestrzeń.

— Czy kozy nie powinny w nocy spać? — zapytał Net.

— Może ta koza jest sową — powiedziała Nika.

— Nie włączajcie światła — szepnął Felix i wyszedł na zewnątrz.

Net chciał go powstrzymać, ale wyszła również Nika. Mruknął więc coś pod nosem i wolno podążył za przyjaciółmi. Rozglądali się czujnie, ale nikogo poza tą jedną kozą nie było widać.

— O jeżusiu... — szepnął Net. — Patrzcie tam!

W miejscu, gdzie przed chwilą była koza, teraz stał kozołak i gapił się na nich. Net już się cofał z zamiarem kolejnej ucieczki, ale Nika złapała go

za rękaw.

— To nie jest żaden diabeł ani kozołąk — powiedziała. — To koza.

— Co? Gdzie ty widzisz kozę?! — Chętnie by czmychnął z powrotem do klasztoru, ale Nika mocno go trzymała.

— To koza, która stoi na tylnych nogach.

— Kozy nie stają na tylnych nogach!

Jakby w odpowiedzi na jego słowa diabeł opadł na czworaka i już wcale nie wyglądał jak diabeł. Nie wyglądał nawet jak diabeł na czworakach. Wyglądał jak koza, zresztą niezbyt duża.

— Transmutuje — wyszeptał Net.

— Nie transmutuje — zaprzeczyła Nika. — To koza. Zwykła koza.

— Koza, która staje na tylnych nogach, żeby obżerać drzewka z listków — dodał Felix.

Tymczasem koza, zupełnie nieświadoma wrażenia, jakie zrobiła na ludziach, podeszła do lekko jeszcze zdrętwiałych przyjaciół i jak przyjazny psiak zaczęła się ocierać bokiem o nogę Neta. Chłopak odruchowo pogłaskał ją po głowie, za rogami. Miał głupie wrażenie, że już to kiedyś robił. No ale niby kiedy?

— Chce nam pokazać wyjście. — Nika kucnęła i przytuliła policzek do koziego pyska. — Chyba ma wyrzuty sumienia, że nas nastraszyła.

— Jest jeszcze mokra — zauważył Net. — Mówiłem, że płynie za nami, to nie wierzyliście. — Powąchał dłoń. — Ta koza śmierdzi mokrym psem, który śmierdzi mokrą kozą.

Koza wolno ruszyła w kierunku furty, co chwilę oglądając się, czy człowieki za nią idą. Szły. Krótka przyszczyżona trawa, która tak naprawdę była krótko wygryzioną trawą, spokojnie nadawałaby się do gry w golfa. Cały teren nawet w tym świetle wyglądał na doskonale utrzymany.

Gdy byli w połowie drogi, koza wstała na tylne nogi.

— O jeżu... może się pomódlmy czy coś... — Net aż się cofnął o krok.

— Ćśśś — skarciła go Nika.

— Tak, wiem. Nie loguj się na serwer pana swego nadaremno. Ale ten kozołąk...

— Chodzi o to, że mogą nas usłyszeć pozostałe. Chyba tego nie chcesz?

— Za późno...

Z małej obory, przylegającej do głównego budynku klasztornego, zaczęły wychodzić identyczne szare kozy z żółtymi ślepiami. Na widok

przybyszów unosiły się na tylne nogi. Było ich nie więcej niż dziesięć.

— Odczuwam jednak pewien dyskomfort — odezwał się Net. — One chodzą na dwóch nogach i zupełnie nie wiem, jak się do nich zwracać. Per „ty” czy per „pani”...

— To kozy — przypomniał mu Felix. — Nie musisz z nimi konwersować.

— Szkoda, że nie mogę zrobić zdjęcia — szepnął Net. — Miałbym na tapetę do laptopa, a wszyscy by mówili, że zfotoszopowałem.

Kozołaki tymczasem podchodziły zaciekawione bliżej, wciąż w pozycji wyprostowanej. Nie były agresywne, ale kto tam wie, co wpadnie kozie do rogatego łba. Przyjaciele starali się obejść je bokiem, a kozy starały się nie dać się obejść bokiem, trzymały się teraz jeszcze bliżej, tak że niemal dotykały przyjaciół. Gapiły się przy tym bezczelnie.

— Czego one od nas chcą? — Poziom dyskomfortu Neta wzrastał.

— Nudzą się tu same — wyjaśnił Felix. — A tu nagle ktoś przed nimi ucieka, ktoś się wspina, ktoś spada, ktoś wychodzi. Dzieje się.

W eskorcie kozołaków doszli do klasztornej furty.

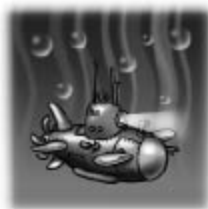
— Przepraszam. — Net przeciskał się między nimi, starając się żadnego nie dotykać i nie patrzeć im w oczy. — Przepraszam najmocniej, *excuse me*, przepraszam panią, przepraszam... Kozy molestujące są skuteczniejsze od psów stróżujących. Cóż za brak ogłady.

Koza przewodniczka nacisnęła kopytkiem starą klamkę i furta otworzyła się z cichym jękiem zawiasów. Koza zaczęła, aż przyjaciele wyjdą, starannie zamknęła furtkę i opadła na cztery nogi. Kozołaki zostały wewnątrz, a nawet kolejno zaczęły opadać na cztery nogi. Były chyba trochę zawiedzione, że na powrót muszą się stać zwykłymi kozami.

1. Gargulec (rzygacz) – dekoracyjne zakończenie rynny dachowej. [\[wróć\]](#)

2. Łupki – tutaj kamienne płytki, którymi pokrywa się dach lub ściany. [\[wróć\]](#)

3. Oblóczyny – uroczystość pierwszego założenia habitu w zakonie. [\[wróć\]](#)



14. Misja Bulbota

Rano Felix zebrał od obozowiczów jeszcze trochę drobniaków. Jego pozycja w grupie, a przy okazji pozycja Neta i Niki, wzrosła po tym, jak około drugiej w nocy znalazł błakające się po lesie drużyny „Teraz” i „Nic nie mów” i wręczył im żółtą puszkę – tym razem fant był tylko jeden. Doceniono go jeszcze bardziej, gdy posługując się tylko kompasem i krokomierzem, doprowadził ich z powrotem do obozu.

Następnego dnia pobudka była znacznie łagodniejsza i miała miejsce dopiero o dziewiątej. CyBorek na razie nie zapowiedział żadnych atrakcji, aż do piętnastej, kiedy to mieli ruszyć, tym razem wspólnie obiema drużynami, by wykonać zadania w punktach oznaczonych znaczkami „x” na mapie. Nie wyjaśnił, jakie to będą zadania, bo pochłaniała go dyskusja z Zuzanną. Nie było słychać, o czym rozmawiają, wuefista przezornie zabrał ją daleko poza obóz. No, ale przynajmniej mieli mapę. Felix pracowicie przerysował ją do brudnopisu, przewidując, że natychmiast po wykonaniu zadania mapa zostanie skonfiskowana. Na razie zabrał ją Lucjan, chyba bojąc się, że uprzedzi go Gerald.

Teraz Felix siedział po turecku niedaleko ogniska i na okładce wymiętego magazynu segregował monety. Nika przysiadła obok.

— Próbujesz uruchomić telefon?

Przytaknął.

— Jeśli udałoby się zbudować dwa ogniwa i połączyć je równolegle, to może by zadziałał dłużej. Niestety monet jest wciąż za mało i nawet lepiej przygotowany elektrolit nie pomoże. Myślałem już o wykorzystaniu akumulatora z tabletu sterującego Bulbotem, ale nie zgadza się napięcie.

— A czy tablet czasem nie daje się wykorzystać jako telefon? — zapytała Nika.

— Daje się, ale nie ten. Ten nie ma modułu komórkowego. Użyliśmy taniego urządzenia, żeby w razie wtopy, dosłownej wtopy, mniej bolało.

— A akumulatory samego Bulbota?

— Są dwunastowoltowe, więc nadają się tylko do usmażenia obwodów telefonu. — Felix potarł brodę. — Myślałem nawet o zrobieniu transformatora. Miedziany drut można by wyciągnąć z któregoś silnika. Tylko że to by oznaczało unieruchomienie Bulbota.

— Chyba nie myślisz nadal o poszukiwaniu skarbów?

Felix wzruszył ramionami.

— Poświęciłem sporo czasu na konstruowanie tego robota. Nie chcę go psuć.

— A drut z silnika suszarki do włosów może być? — Nika powiedła wzrokiem za Aurelią krążącą jak elektron wokół Lucjana. Rano nawet z własnej woli umyła jego miskę i sztućce.

— Może być, ale ona nam nie da tej suszarki. Zamiast transformatora można użyć oporników, ale wymontowanie ich z elementów sterujących to by było... elektromechaniczne morderstwo na Bulbocie. Hm... W suszarce jest spirala grzejna, która jest doskonałym opornikiem i nawet można by idealnie ustawić opór. Ale... — Felix zerknął na Aurelię — żadnych szans. Nie mamy czasu na eksperymenty z naturalnymi opornikami w stylu wilgotnego drewna czy błota. Rozwiązaniem jest rozmowa z CyBorkiem, żeby oddał nam telefony.

Spojrzeli na wuefistę kłócącego się z plastyczką. Oboje energicznie gestykulowali i chyba niewiele brakowało, by doszło tam do rękoczynów.

— O, więcej monet. — Net przysiadł obok przyjaciół.

— Mam pewien plan. — Felix otworzył brudnopis na stronie z mapką. — Nad jeziorem jest –

— To my mamy mapę? — zdziwił się Net. — Czemu wczoraj leżliśmy przez jakieś chaszczki na pałę?

— Przerysowałem przed chwilą, zanim mi zabrali. Obaj drużynowi bardzo się wczuli w role przywódcze. Traktują kompas, krokomierz i tę mapę jako insygnia władzy. Słuchaj, nad jeziorem stoi taki większy budynek, zapewne pensjonat, w którym mieliśmy mieszkać. Ledwie pół kilometra od niego jest jeden z „iksów” CyBorka. Planuję trochę zmienić trasę wycieczki i odwiedzić pensjonat.

— Pensjonat, w którym mieliśmy mieszkać. — Net westchnął. — To będzie traumatyczna wizyta. Myślisz, że Zosia się tam zatrzymała? To trochę... no wiesz, bez sensu. No bo jak?

— Może nie mogła dojechać, tak jak ty. Może miała coś do zaliczenia albo była chora i nikt jej nie powiedział, że zmieniło się miejsce docelowe.

— I nic nikomu nie powiedziała wcześniej?

— Jest bardzo nieśmiała — wtrąciła Nika. — A po tej sytuacji z Gilbertem i Michael jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Nie wiedzielibyśmy, gdyby miała coś poprawiać w poniedziałek. Zobaczycie, kiedy wysłała tego SMS-a?

Felix pokręcił tylko głową.

— Brak dostępu do internetu ssie mnie gdzieś w boku — skrzywił się Net. — Człowiek sobie przez lata wykształca ten szósty zmysł, a tu go nagle odłączają.

— Nadłożymy trochę drogi — powiedział Felix — ale jeśli zastaniemy tam Zosię, koncepcja porwania przestanie istnieć.

Nika wolno pochyliła się nad gazetą. Otworzyła szerzej oczy i chwyciła ją, strącając monety na trawę. Nic więcej nie trzeba było tłumaczyć. Modelka na okładce była młodą dziewczyną, i to dziewczyną doskonale przyjaciołom znaną – była Zosią Frankowską, a nad zdjęciem czarny tytuł głosił: „Porwanie gimnazjalistki”.

— Poważnie? — Net przejął magazyn, by mu się przyjrzeć. — Bawimy się tą gazetą od dwóch dni...

Felix otworzył pismo na stronie z artykułem. Przyjaciele usiedli obok siebie i wspólnie przeczytali. Było tego raptem dwie strony, i to mocno nadmuchanego materiału, z którego wynikało, że Zosia zniknęła z domu w środę i do zamknięcia numeru (sobota wieczór) nie było wiadomo, co się z nią stało. To proste stwierdzenie zostało rozdęte do pełnych dwóch stron.

— Z tego nic nie wynika — powiedział Net.

— Wprost przeciwnie — zaoponowała Nika. — Wiemy już, że została porwana i że jest nad Czerwoną Hańczą.

— Była, jak wysłała SMS-a — sprecyzował Felix. — Nie wiemy kiedy. Dziś jest środa, czyli minął tydzień. Ale miałaś rację.

— Skoro to jednak porwanie, to raczej nie znajdziemy jej w pensjonacie — zauważył Net.

— Sprawdzenie nie będzie nas wiele kosztowało, więc dla świętego spokoju możemy to zrobić. Za dwie godziny.

* * *

Cała grupa niespodziewanie wyszła z lasu na szutrową drogę. To znaczy spodziewali się drogi, bo była oznaczona na mapie, ale po kilku dniach w głuszy widok tego okruchu cywilizacji naprawdę ich zaskoczył.

— W opisie pierwszego zadania jest... — Lucjan wygrzebał spod mapy kartkę. — Mamy „znaleźć ukrytą listę i postępować według instrukcji na niej zawartych. Lista znajduje się pod słupem numer sześćdziesiąt pięć”.

Wzdłuż drogi stały stare drewniane słupy połączone kablami zawieszonymi na szklanych izolatorach. Na najbliższym słupie widniał mocno zatarty numer sześćdziesiąt pięć właśnie.

— Idealnie w cel — stwierdził Oskar.

Gerald wysforował się przed Lucjana i obszedł słup dookoła.

— Pod tym słupem nic nie ma — stwierdził.

— Pewnie jest dosłownie pod słupem — powiedział Gilbert. — Trzeba będzie go wykopać.

Felix podszedł do słupa i wyciągnął z ziemi czerwoną wstążkę, na której końcu przywiązana była torebka foliowa ze złożoną kartką. Podał ją Lucjanowi.

— My was na chwilę opuścimy — powiedział. — Musimy odwiedzić pewne miejsce niedaleko stąd.

— Co? Znowu?! — zapytał ze złością Gerald. — Co tym razem?

Nika wyjęła z torby magazyn.

— Tym razem to.

Klasa dłuższą chwilę patrzyła z zaskoczeniem na zdjęcie Zosi.

— Porwali ją?! — zapytała Klaudia. — Kto? Po co?

— Skąd mam wiedzieć? Tydzień temu nie wróciła do domu. W sobotę, po naszym wyjeździe na poważnie zaczęła się afera.

— Pięknie... — Oskar pokręcił głową. — Chodziła do naszej klasy...

— Nie mów o niej w czasie przeszłym — poprosiła Nika. — Powinniśmy pomóc jej szukać, zamiast łązić po lesie w poszukiwaniu puszek.

— A gdzie chcesz jej szukać? — zapytał Wiktor. — Chyba nie myślicie, że porywacz trzyma ją tuż koło naszego obozu. Prawdopodobieństwo jest tak małe, że nie warto nawet o nim rozmawiać.

Nika ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć o swoich przeczuciach, bo przecież wszyscy by ją wyśmiali. Felix też ugryzł się w język. Nie mógł zdradzić, że odzyskał telefon, bo Gerald od razu by o tym doniósł.

— Pewnie dlatego CyBorek zabrał nam telefony — powiedział zamiast tego. — Żeby rozmowy o porwaniu nie przeszkadzały mu w realizacji programu obozu.

— I tak byśmy nic nie pomogli — zauważyła Aurelia. — Przecież nic nie wiemy.

— Nawet nie zauważyłam, że ona nie przyszła do szkoły — poparła ją Klaudia.

— Zróbmy cokolwiek, żeby ją znaleźć — zaproponowała Nika. — Jeżeli możemy poszukać jej tutaj, to czemu nie?

— Możemy też szukać w lesie przy okazji wykonywania zadania — zauważył Lucjan. — Chodźcie, bo jeszcze osiem iksów przed nami.

— Was to w ogóle nie obchodzi?

Miny Aurelii i Klaudii zdradzały, że rzeczywiście tak jest. Podobnie zresztą w przypadku Geralda, Lamberta, a nawet Gilberta.

— Ciebie też to nie rusza? — zapytała tego ostatniego Nika. — Przecież chodziliście... chodźcie ze sobą.

Gilbert przyjrzał się jeszcze raz okładce i wzruszył ramionami.

— Prasa wszędzie szuka sensacji. Pewnie pojechała z ojcem, a matka sieje panikę. Oni są po rozwodzie i się tłuką o córkę. Znajdzie się, zanim wrócimy do domu.

— Nie wierzę... — Nika rozłożyła ręce.

— Nic się nie dzieje, wyluzujcie.

— Jak się znudzicie, to znajdźcie nas na trasie — dodał Lucjan i ręką dał znak do wymarszu. Grupa ruszyła w las.

— Powodzenia. — Oskar zasalutował im na pożegnanie.

— Banda egoistów bez cienia empatii — wyrzuciła z siebie ponuro Nika.

— Na ich miejscu też byłbym sceptyczny — przyznał Felix. — Na początku i my ci nie wierzyliśmy, pamiętasz? To brzmiało zbyt niewiarygodnie.

— Chodźmy. — Net ruszył drogą. — Dowiedzmy się, jak to wygląda.

— Chodźmy — zgodził się Felix. — Ale pensjonat jest tam. — Wskazał kciukiem za siebie.

— Zawsze musisz wiedzieć lepiej...

* * *

Dwa zakręty dalej droga wyprowadziła ich na drewniany mostek nad strumieniem. Za nim, na trawiastym pagórku wśród starych drzew wznosiły się parterowe i jednopiętrowe drewniane budynki. Wykonane z grubych bali, kryte strzechą, z małymi okienkami wyglądały jak skansen, jak zgromadzone w jednym miejscu stuletnie chałupy, nie zaś jak coś, co się reklamuje jako nowoczesny pensjonat. Topolową aleją wspięli się po brukowanej drodze na podwórko z zaparkowanymi kilkoma całkiem niezłymi samochodami. Drzwi głównego budynku stały otworem. Napis na drewnianym szyldzie nad nimi głosił, że mieści się tam recepcja.

Teraz już było dokładnie widać, że pensjonat składał się z ustawionych na pagórku odrestaurowanych starych chat. Łączyły je krzywe kamienne alejki, między którymi rosły krzewy i drzewa. Wyglądało to wszystko jak skompresowana wieś, w dodatku nic nie zdradzało tego, że jeszcze dziesięć lat temu nie istniała nawet ta droga. I było tu bardzo, bardzo pięknie.

— Już jestem zły, że tu nie mieszkamy — mruknął Net.

Okoliczności nie sprzyjały podziwianiu kunsztu architekta. Przyjaciele weszli do przytulnej recepcji, urządzonej w stylu wiejsko-rustykalnym, pełnej glinianych dzbanów z kwiatami, starych narzędzi rolniczych i rzeźbionych świątków. Z sali obok dobiegały dźwięki telewizora, na fotelu przed odbiornikiem siedziała zaś blondyna w białej lnianej koszuli. Za drewnianą ladą recepcji nie było nikogo. Net już chciał puknąć w dzwonek recepcyjny, ale kobieta odwróciła się i zerwała z fotela. Miała na sobie nie koszulę, lecz lnianą sukienkę, podobną zapewne do tych, jakie kiedyś nosiły w tych rejonach wieśniaczki.

— Oj, przepraszam. — Uśmiechnęła się i weszła za ladę. — Nie spodziewaliśmy się dziś żadnych gości. W czym mogę pomóc?

— Nie jesteśmy gośćmi — powiedziała Nika.

— Choć bardzo byśmy chcieli — wtrącił Net.

— Biwakujemy niedaleko stąd, jesteśmy na obozie z naszą klasą. — Nika wyciągnęła gazetę i pokazała okładkę. — Szukamy tej dziewczyny.

— Cała Polska jej szuka. — Kobieta wskazała głową telewizor.

Na ekranie widać było zdjęcie Zosi oraz jakiegoś mężczyzny, pod spodem przesuwwały się na czerwonym pasku numery telefonów policji i adres internetowy. Po chwili pojawiło się animowane logo programu „Niusy czy Niuanse”, a po nim twarz Ilony Boguckiej.

— Witam po przerwie w programie „Niusy czy Niuanse”. Dziś zajmujemy się porwaniem gimnazjalistki, które od kilku dni bulwersuje opinię

publiczną w całej Polsce. Przypomnijmy, w czwartek została porwana piętnastoletnia Zosia Frankowska i do tej pory nie znamy jej losów. Była widziana na stacji benzynowej w okolicach Zambrowa.

— To po drodze tutaj — zauważył Felix. — Albo za granicę z Białorusią.

— Gościem „Niusów czy Niuanów” jest pani Andżelika Osmoza, liderka Partii Prawdziwych Patriotów. Witam panią.

Kamera pokazała Osmozę siedzącą na fotelu obok. Była szczupłą pięćdziesięciolatką z zaciętym wyrazem twarzy i okularami o wąskich, podłużnych szklach.

— Dzień dobry państwu. — Ledwo zauważalnie skinęła głową.

— Jak skomentuje pani ostatnie wydarzenia?

— To hańba, że minister spraw wewnętrznych nie przewidział tej sytuacji — powiedziała zimno. — Niedopuszczalna jest sytuacja, kiedy z domu od kochającej matki porywana jest niewinna gimnazjalistka, a minister w tym czasie przebywa za granicą, zamiast zapobiegać. Niewybaczalne jest to, że do tej pory nie ujęto sprawcy, a przecież sama kochająca matka wskazała winnego. To rzuca cień na całą pracę ministerstwa, a w szczególności na samego ministra. Minister powinien jak najszybciej podać się do dymisji.

— Mam *déjà vu* — stwierdził Felix. — Już kiedyś mówiła coś takiego. — Po czym zapytał głośniejszym głosem — wiadomo, kto ją porwał?

— Jej ojciec — powiedziała recepcjonistka. — Zwyródnialec porzucił jej matkę i jeszcze próbował odebrać dziecko. Jak się nie udało w sądzie, to ją porwał i uciekł gdzieś. Powinni go zastrzelić bez pytania.

Kamera powróciła do Ilony.

— Zobaczmy, co o Zosi mówią jej koleżanki.

Na ekranie pojawiły się dwie dziewczyny, których przyjaciele nie rozpoznali. W tle widać było gwarny korytarz szkolny. Z pewnością jednak nie był to korytarz Gimnazjum Numer Trzy na ście imienia Profesora Stefana Kuszmińskiego.

— Była nieśmiała, ale zawsze chętna do pomocy — powiedziała z przejęciem pierwsza dziewczyna. — Wszyscy ją lubili. Pożyczyła mi długopis na ostatnim teście.

— Bardzo nam jej brakuje — dodała druga, niemal płacząc. — Proszę, jeżeli teraz nas pan słucha, panie porywaczu, niech ją pan wypuści. Niech jej pan nie robi krzywdy.

— Kto to, kurna, jest? — Net zmrużył oczy.

— Jej koleżanki z klasy — wyjaśniła recepcjonistka. — Co za potwór...

Przyjaciele popatrzyli po sobie.

— Dobrze, że były na miejscu. — Net pokiwał głową. — Gdyby wyjechały na taki obóz, jak nasz, nie dałoby się z nimi nakręcić wywiadu.

Przyjaciele pożegnali się i wyszli.

— Całe te „Niusy i Niuanse” jadą fejkami — stwierdził Net, gdy minęli mostek i nikt już nie mógł ich usłyszeć.

— Widocznie takie programy muszą tak wyglądać — powiedziała Nika. — Pamiętasz, co mówiła siostra Agacja? Że muszą być bardziej interesujące niż rzeczywistość. Nie mogli przeprowadzić wywiadu z nami, bo jesteśmy tu, więc zatrudnili aktorki. To nie zmienia sytuacji, że Zosia została porwana. Więc jej szukajmy.

— Założenie, że jeśli Zosia jest nad Czerwoną Hańczą, to mieszka w pensjonacie, właśnie stało się nieaktualne — zauważył Felix. — A tu nie ma innego hotelu, motelu ani ośrodka wypoczynkowego.

Nika wskazała drogowskaz przy odbijającej w lewo wąskiej drodze.

— „Agroturystyka” — przeczytała. — Nie pomyśleliśmy o tym wcześniej.

— I co z tego? Sądysz, że ojciec przywiózł Zosię do gospodarstwa agroturystycznego? Jakoś tego nie widzę. Jak się kogoś porywa, to raczej nie chce się rzucać w oczy. To samo dotyczy zresztą pensjonatu.

— Może są tu też domy do wynajęcia — zastanowił się Felix. — Ktoś, kto wynajmuje dom, daje ci po prostu klucz i zostawia cię w spokoju. Nie musi widzieć, co masz w bagażniku.

Zatrzymał się, wyjął brudnopis i otworzył na stronie z mapą. Na szczęście naniósł na mapę również pozostałe budynki w pobliżu jeziora. Część z nich znajdowała się tuż przy brzegu.

— Czasem ta twoja pedantyczność się przydaje — przyznał Net. — Chcesz je wszystkie obejść?

— To by zajęło dwa dni. — Felix pokręcił głową. — Linia brzegowa jest poszarpana. Pełno tu półwyspów, zatoczek i mokradeł. Jeżeli można jakoś sprawdzić te domy, to tylko od strony wody.

— Chcesz wiosłować dwadzieścia kilometrów? — zapytała Nika. — Nawet jak będziemy się zmieniać...

— Chcę wykorzystać Bulbota. — Felix schował brudnopis i zarzucił plecak na ramiona. Ruszyli dalej.

— Przecież to robot podwodny — zauważyła Nika.

— Jest podwodny, ale wcale nie musi się zanurzać. Przepłynie wzdłuż brzegu i zrobi zdjęcia wszystkim domom. Istnieje szansa, że coś interesującego uchwyci.

— Nie mam laptopa — przypomniał Net. — Nie możemy sterować ani odbierać zdjęć.

— To i tak za daleko, żeby sterować nim ręcznie. Sygnał zaniknie, jak Bulbot minie drugi pagórek. On musi wykonać tę misję autonomicznie, a zdjęcia obejrzymy, jak wróci. Akumulatory powinny wystarczyć, jeśli będzie płynął powoli. Teoretycznie powinny. Kryć się!

Felix skoczył w bok, w przydrożne krzaki, a Net i Nika odruchowo poszli w jego ślady. Nie musiał niczego tłumaczyć. Wszystko było widać jak na dłoni. W poprzek drogi zamaszystym krokiem przeszła Zuzanna Zdrój, wymachując z zapałem swoją gigantyczną walizką. Kilka metrów za nią podążał CyBorek. Gestykułował i coś do niej mówił, ale że odbywało się to sto metrów dalej, przyjaciele niczego nie słyszeli. Widowisko trwało ledwie chwilę, po czym oboje nauczyciele zniknęli między drzewami po przeciwnej stronie drogi.

— Niezły cyrk — ocenił Net. — Mamy opiekunkę, która sama wymaga opieki.

— Widziałeś kiedyś normalną plastyczkę? — zapytał Felix. — A, *sorry*.

— Nie, nie przepraszaj. Moja mama też jest trochę walnięta. Dobrze, że to nie jest dziedziczne.

Nika spojrzała na niego z ukosa, nic nie mówiąc.

— Chodźcie. — Felix wstał i skreślił w las. — Tym lepiej, że ich nie ma. Zwodzujemy Bulbota bez zbędnych tłumaczeń.

* * *

Częściowo rozkręcony Bulbot leżał na kocu, a Felix i Net siedzieli obok z zafrasowanymi minami i obracali w dłoniach elementy wnętrza robota.

— Nie ma jak nawigować — wyjaśnił Felix, widząc pytające spojrzenie Niki. — Podczas poszukiwania skarbów wszystko byłoby prostsze. Bulbot

trzymałby się metr nad dnem i badał je kawałek po kawałku. Ale to metoda za mało dokładna, żeby go tak wysłać na drugi koniec jeziora. Można zaprogramować trasę tak, jak przy tym marszu na azymut, czyli płyn pięć minut prosto, skręć o dziesięć stopni w lewo i płyn trzy minuty prosto. Niestety tu nie można liczyć kroków, i pięć minut pod wiatr a pięć minut z wiatrem to zupełnie co innego. Zaryje w pierwszy cypel po drodze.

— Nie przewidzieliście tego wcześniej? — zdziwiła się Nika.

— Odbiornik GPS jest nieprzydatny pod wodą, a to jest najtańszy tablet. — Felix popukał w hermetyczne pudełko. — Ma tylko Wi-Fi, a to chwilowo do niczego się nie przyda. Teraz zanurzenie nie przekroczy kilku centymetrów – wystarczająco, żeby Bulbot nie rzucał się w oczy, więc GPS by działał.

— Ale go nie ma — dodał Net.

— Przecież masz GPS-a — przypomniała Nika. — Wczoraj prowadził nas przez las.

— Tak, ale tu chodzi o taki, jaki jest w środku w tablecie — odparł Felix. — O układ scalony, nie o osobne urządzenie.

— A tego osobnego urządzenia nie da się przypiąć kabelkiem?

Felix potarł brodę.

— Teoretycznie się da.

Zanurkował ręką w plecaku. Najpierw wyłowił z niego odbiornik GPS, później kabel.

— Jestem pesymistą — powiedział Net. — Skąd na tablecie bez GPS-a miałby się wziąć sterownik do GPS-a? A z internetu go nie ściągniemy.

Felix jednak spiął kablem oba urządzenia, a tablet po chwili wyświetlił komunikat o poprawnym podłączeniu odbiornika GPS.

— Ta dzisiejsza technika nie przestanie mnie zadziwiać — mruknął Net. — Producent z lenistwa wrzuca to samo do wszystkich modeli tableków. Pewnie jest tu gdzieś zaszyty program do wyważania kół i prania bawełny. — Wziął tablet i poklikał w ekran. — Teraz tylko pytanie, jak zmusić mój *soft* sterujący do czytania danych z tego GPS-a. — Uniósł dłonie, by naciągnąć rękawy, i pomachał w powietrzu palcami jak pianista przed koncertem. — Nie wzięłeś klawiatury na bluetooth? Jasne, że nie... Dobra, zaraz coś wymyślę. — Przeszedł do rozgrzewania samych kciuków, a zaraz potem zaczął nimi klikać w wirtualną klawiaturę.

— Pamiętaj, że nie mamy jak naładować tabletu — przypomniał Felix. — Bateria musi starczyć na cały rejs.

— Uważasz, że za mało trzęsą mi się ręce od pośpiechu?

Net był już całkowicie pochłonięty pracą. Felix i Nika na wszelki wypadek wstali i odeszli, żeby go nie rozpraszać.

— Zastanawiałaś się, co zrobimy, jeśli ich znajdziemy? — zapytał Felix. — Porywacze są niebezpieczni. Dużo ryzykują i bardzo nie chcą być złapani.

— Znajdźmy ich najpierw. Poza tym to jest jej ojciec. Raczej nie chce jej zabić. A tak naprawdę to jaka jest szansa, że Bulbot zrobi zdjęcia tych domów?

— Jest pięćdziesiąt procent szans, że w ogóle wróci. Jeśli nie wróci, żadnych zdjęć nie zobaczymy.

* * *

Dwadzieścia minut później Net odetchnął, odłożył z ulgą tablet i pomachał rękoma, by strząsnąć z nich zmęczenie.

— Pływanie pod wodą różni się od pływania po powierzchni mniej więcej tak, jak prowadzenie samochodu różni się od pilotowania samolotu. Kciuków nie czuję od tego palcowania, plecy mnie bołą...

— A bez martyrologii? — zapytał Felix.

— Nigdy nie zrozumiesz dramaturgii tragedii greckiej. Od razu byś chciał epilog. Nie udało mi się tak na szybko napisać programu do nawigacji po powierzchni. Na to trzeba kilku tygodni, odległość od brzegu, trzciny, interakcje z kaczkami, kajakami i takie tam. Dopisałem więc tylko do nawigacji podwodnej kilkanaście linijek kodu. Ta twoja mapa jest niezbyt dokładna, więc zadałem mu tak z grubsza trasę po brzegu, ale nie wpłynię tam, gdzie głębokość jest mniejsza niż trzy metry. Prosta pętla logiczna, więc może się nigdzie nie rąbnąłem. Nie ma jak sprawdzić. Tutaj dno stromo opada, czyli jest szansa, że przepłynie wystarczająco blisko brzegu, by coś pstryknąć. Przy założeniu, że patrol będzie trwał trzy godziny, akumulatory rozładują się w dziewięćdziesięciu procentach. Zdjęcia będzie robił z prawej burty, co pięć sekund, bo przecież jest za głupi, żeby odróżniać budynek od niebudynku. Ten moduł do omijania przeszkód, który napisałem tuż przed wyjazdem, jednak się przyda. Może się nie rozwalimy o pomost czy zacumowaną łódkę. Jak dobrze pójdzie, to na kończących się akumulatorach Bulbot dobieje do brzegu.

— Jesteś geniuszem. — Felix poklepał go po ramieniu. — Medal zrobisz ci potem z kapsla po oranżadzie. A teraz go wodujemy, zanim pojawi się CyBorek i nam skonfiskuje flotę.

Skręcili osłony, a GPS-a, który był wodoodporny, przykleili taśmą Mac-Gyvera ¹ do wierzchu kiosku ² Bulbota. Chwycili z obu stron i z trudem podnieśli. Na zamglonym lekko niebie nie było ani jednej chmurki, a w powietrzu unosiła się gorąca wilgoć. Gdy doszli do brzegu jeziora, byli cali mokrzy od potu.

— Nie wzięliśmy butelki — skrzywił się Net. Spojrzał na Nikę. — Kopnij go lekko w kadłub, to będzie bardziej oficjalnie.

Nika stuknęła w kadłub Bulbota czubkiem Martensa i powiedziała:

— Nadaję ci imię Bulbot. Płyn po morzach i oceanach... Dalej nie pamiętam.

— Wystarczy. — Felix włączył zasilanie i odepchnął Bulbota od brzegu. — Tradycji stało się zadość. Teraz niech zadziała technika.

Bulbot zatoczył półokrąg o średnicy pięciu metrów i wyrznął w piasek króciutkiej plaży.

— Uuu... nic tam — zbagatelizował Net. — Drobna poprawka.

Wyciągnęli go z Felixem na brzeg, Net poprawił program, po czym znów go wypuścili. Tym razem Bulbot oddalił się na dziesięć metrów od brzegu i dopiero wtedy skręcił.

— Na pojawienie się sytuacji „jest zbyt płytko” miał reagować skrętem — wyjaśnił Net. — Teraz doprecyzowałem polecenie, żeby skręcał tam, gdzie jest głębiej.

— Ciekawe, ilu takich sytuacji nie przewidziałeś — mruknął Felix.

Bulbot tymczasem zanurzył się tak, że ponad powierzchnię wystawały tylko anteny i peryskop, który był odpowiedzialny za robienie zdjęć. O ile sam robot prawie nie rzucał się w oczy, o tyle fale powodowane przez wystające ponad gładką powierzchnię anteny i czujniki widać było ze sporej odległości.

— Jak powinno wiać, to nie wieje — stwierdził Net. — Brakuje tylko flagi z napisem „Tu jestem”.

— Przynajmniej płynie w odpowiednim zanurzeniu — stwierdził Felix. — Jeśli się wynurzy kioskiem, ktoś go zauważy, bo kilwater będzie znacznie większy. Jeśli się zanurzy głębiej, GPS straci zasięg i nawigacja sięga.

— A kto projektował głębokościomierz? — zapytał retorycznie Net.

— Wiem, sam go zrobiłem z dętki od ciężarówki.

— Trochę optymizmu, człowieku. Pomyśl, że przynajmniej opłaciło się ślęczenie nad autopilotem. Pierwotnie mieliśmy go nie robić.

Odprowadzili spojrzeniem Bulbota, aż zniknął za najbliższym cypelkiem. Felix miał taką minę, jakby się zegnał ze swoim robotem na zawsze. Spojrzał na zegarek, którego nie miał, westchnął.

— Teraz nie mam już niczego, co by pokazywało godzinę. — Spojrzał na ukryte za mgiełką słońce. — Wyruszył kwadrans po piątej, czyli po kolacji powinniśmy tu czekać.

— W sumie to nie brałem prysznic, odkąd wyszedłem z domu w poniedziałek rano. — Net popatrzył po sobie krytycznie. — A wręcz od niedzieli wieczór.

— Ty brudasie... — skrzywiła się Nika.

— Ta historia z diabłem zaniżyła mi standardy higieniczne. Nie dość, że zimna woda, to jeszcze w łazience straszy.

— Nie rozmawiam z tobą, dopóki się nie wykąpiesz.

— Dobra, dobra. — Net przytaknął. — Lepiej teraz, jak nikogo nie ma. A tam w tym jacuzzi nie ma aby pijawek?

— Boją się piranii.

Wzięli z namiotów ręczniki i ruszyli w stronę strumienia.

— Ale ty tu zostajesz — zaznaczył stanowczo Felix.

— Jasne... — Nika uśmiechnęła się i założyła ramiona. — Czujcie się bezpiecznie.

* * *

CyBorek i Zuzanna wrócili, gdy Bullbot był już daleko. Wuefista zobaczył kręcących się po obozie przyjaciół, ale, o dziwo, wystarczyło mu wyjaśnienie, że wrócili wcześniej. Co, jak się chwilę zastanowić, było stwierdzeniem oczywistości w stylu „deszcz pada, dlatego że z nieba lecą krople”. Na deszcz zresztą zapowiadało się od kilku godzin. Upał i poziom wilgotności osiągnęły poziom daleko wykraczający poza granice komfortu.

Felix zerknął na zamglone słońce.

— Nie mam pojęcia, która jest godzina.

— Nie potrafisz tego odczytać z kompasu? — zapytał Net.

— Da się, ale z tak małą dokładnością, że to nie ma sensu. — Felix narzucił plecak. — Chodźmy już nad wodę. Tam zresztą będzie chłodniej.

— Zostaw ten plecak, człowieku.

— Może się przydać.

— Do czego niby? Wszędzie go targasz ze sobą. Szczęśliwy człowiek to nieobjuczony człowiek.

Poszli jednak z plecakiem. Usiedli nad wodą, gdzie rzeczywiście było odrobinę chłodniej. Zapewne z tego powodu akurat to miejsce wybrały wszystkie komary z okolicy. Plecak przydał się po raz pierwszy – Felix wyjął z niego spray na komary. Po jego użyciu komary wprawdzie nadal brzęczały i lądowały na powierzchni skóry, ale od razu z obrzydzeniem odlatywały.

Ze wschodu nadciągały ciemne chmury. Tam, gdzie odbijały się w tafli jeziora, można było dostrzec czerwoną barwę wody. W tym świetle Czerwona Hańcza wyglądała niepokojąco.

A Bulbota nie było.

— Został wpiekłowzięty — wyszeptał Net.

Przyjaciele poczuli senność. Przedburzowa pogoda rozleniwiała. Net obserwował jezioro i wyraźnie coś go gryzło.

— Wiesz, w ten weekend jak byłem sam w Warszawie... — zaczął. Nika spojrzała na niego czujnie. — Eee... Wyszła taka sytuacja z pewnym szcurem. Tak sobie pomyślałem, że może to... eee... hm... Jakby to ująć... No, że w sumie powinnaś wiedzieć. Ten szczur to był taki całkiem oswojony, ale musiałem go oddać właścicielowi. Właścicielce.

Felix spojrzał w bok na lesiste pagórki i westchnął. Nie miał odtwarzacza MP3, więc wyjął książkę *Teoria diabła* i zanurzył się w lekturze. Absolutnie nie chciało mu się iść na spacer, by zapewnić przyjaciołom intymność. Niech oni idą, jeśli chcą.

— Szczur wrócił do domu? — zapytała Nika, całkiem nieźle kryjąc rozbawienie.

— No tak, wrócił. Ale, wiesz, to przekazanie go do macierzy było dość, jakby to rzec... rozbudowane.

— Ale nic się nie stało?

— No... nie.

Felix tymczasem twardo czytał.

— Możemy więc uznać tę sprawę za nieistotną. — Nika z uśmiechem pogłaskała go po policzku. — Ludzie zwykle nie opowiadają sobie o nieistotnych sprawach. Pomówmy więc o pogodzie.

— Jest. — Net usiadł prosto. — Jest!

Zerwali się z trawy. Sto pięćdziesiąt metrów dalej na granicy odbicia błękitnego nieba i ciemnych chmur, w gładkiej jak zwierciadło wodzie, fale układały się w kształt litery „V”. Felix wyjął z plecaka lornetkę. Podniósł ją do oczu i wycelował w czoło fali.

— To Bulbot — orzekł. Wyjął z plecaka zwój linki, szybkim ruchem przywiązał na końcu długopis taktyczny.

— Co ty robisz?

— To może ułatwić... przycumowanie.

— No proszę cię. Wątpisz w zdolności cumownicze programu sterującego Bulbotem?

— Jakby ci odpowiedzieć, żeby cię nie urazić...

— Dobrze, już dobrze. Motaj te swoje plany B. Ja wolę ufać mojemu profesjonalizmowi.

— To filozofia szczęśliwych ludzi. Tak trzymaj.

Bulbot zbliżał się do brzegu i już było widać gołym okiem, że to na pewno jest on. Wystające nad wodę antenki i sensory nie pozwalały go pomylić z kaczką ani rekinem. Przyjaciele zeszli nad samą wodę.

— Chyba się udało — powiedziała z nadzieją w głosie Nika.

Gdy Bulbot był nie więcej niż dziesięć metrów od brzegu, niespodziewanie zaczął manewr skrętu.

— Co on robi? — zapytała zaniepokojona Nika. — Odpływa?

Net pacnął się dłonią w czoło.

— Tu jest płycej niż trzy metry — powiedział. — Zaczął program patrolu od początku i chce opłynąć jezioro drugi raz. Felix, wymyśl coś!

Nika zaczęła rozwiązywać buty, ale Felix ją powstrzymał.

— On za szybko płynie.

Rozejrzał się i jego wzrok padł na leżący obok zwałony suchy pień niewielkiego świerku. Takich pni leżało kilka i najwyraźniej zostały przegapione przez ekipę poszukującą drewna na opał. Chwycił go, podniósł i rzucił do wody. Na szczęście wyschnięte drewno było lekkie. Pień wpadł do wody tuż przed Bulbotem, więc ten nie zdążył zmienić kursu, wpłynął w gąszcz suchych gałęzi i zaklinował się. Silnik jednak nadal pracował i Bulbot oddalał się wolno, pchając przed sobą przeszkodę. Felix sięgnął po linkę z długopisem taktycznym, zamachnął się jak lassem i rzucił. Długopis wpadł do wody między gałęziami. Felix pociągnął i pień wraz z Bulbotem zaczął skręcać w stronę brzegu.

— Dobrze, że wzięłeś plecak — zauważył Net. — Mówiłem, że się przyda.

Gdy pień był już niemal na wyciągnięcie ręki, Bulbot stwierdził, że jest zdecydowanie za płytko, skręcił stery do oporu i zwiększył moc silnika. I tak już jednak nie mógł uciec. Felix złapał Neta za prawą rękę, Nika za lewą, po czym dziewczyna jako najlżejszy element układu wychyliła się niemal poziomo nad wodą, chwyciła Bulbota za uchwyty na kiosku i przyciągnęła do samego brzegu.

— Nie mam siły — syknęła. — Nie wyciągnę go.

— Czyli... kąpiemy się? — zapytał Net. — Wolałbym nie.

— Trzymajcie mocno! — polecił Felix.

Pochylił się mocniej i pociągnął Neta, Net pociągnął Nikę, a Nika Bulbota. Uchwyt wysunął się z dłoni Niki, ale wtedy robot dziobem był już na brzegu.

Przyjaciele odetchnęli.

— Zobacz. — Net wskazał młócającego wodę robota. — Jaki głupi. Nie potrafi się wycofać.

— Zapomniałeś dopisać subprogram sterujący biegiem wstecznym?

— Nie zapomniałem. To ty mówiłeś, że śruba ma się kręcić w jedną stronę.

— Wygląda, jakbyście żalowali, że nie może nam uciec — wtrąciła Nika.

— Śruba jest tak wyprofilowana, żeby się w nią nie wplątywały wodorosty i żyłki wędkarskie — wyjaśnił Felix. — Ale są wyjątkowe sytuacje, jak na przykład teraz, kiedy powinien mieć możliwość wycofania się.

— Gdybyś mi o tym powiedział, tobym dopisał bieg wsteczny — odparł urażonym głosem Net.

— A może silnik strumieniowy byłby lepszy?

— Chyba nie będziecie go teraz modernizować? — zapytała Nika. — Zabierzmy go do obozu i sprawdźmy nagrania.

Chłopcy przytaknęli, chwycili Bulbota z obu stron i z dwoma przystankami donieśli go do męskiego namiotu.

— Jakoś inaczej tu u was pachnie — stwierdziła Nika, marszcząc nos.

— Zachodni stok — odparł Net. — Inne szczepy bakterii czy tam drożdży. Otwierajmy to, bo sam jestem ciekaw, co się nagrało.

Felix już rozkręcał obudowę. Wyjął z niej pudełko z tabletem, które podał Netowi, oraz GPS. Oba urządzenia przetrwały misję bez wyraźnego uszczerbku. Net przechwycił tablet, by z Niką uwieszoną na ramieniu przejrzeć zdjęcia. Felix tymczasem sprawdzał na GPS-ie trasę, jaką pokonał Bulbot.

Szybko okazało się, że na miniaturkach na tablecie niewiele widać i trzeba przeglądać zdjęcia kolejno.

— Trawa, trawa, drzewo, trawa... — wyliczał Net, przesuwając kciukiem kolejne zdjęcia. — Błagam was, ich jest dobrze ponad dwa tysiące. Jeju, dlaczego nie możemy poprosić o pomoc Vidoktora³...? Drzewo, drzewo, niedźwiedź z fajką w zębach, drzewo, krzak, drzewo, łąka, bateria.

— Co? — Felix oderwał się od GPS-a.

— Skończyła się bateria. — Net pokazał mu czarny ekran. — Koniec oglądania.

— Zaczekajcie chwilę. — Nika wyszła z namiotu.

— Mógłbym rozebrać jeden z silników i zrobić transformator — zastanowił się Felix. — Wtedy dałoby się podłączyć i tablet, i mój telefon. Tylko w akumulatorach jest już niewiele prądu. Może gdyby je połączyć szeregowo...

Nika wróciła po kilku minutach z Netowym laptopem.

— Jak to zrobiłaś? — Net z radością przejął laptop i usiadł na pryczy.

— Powiedziała mu, żeby zrobił, co uważa za słuszne; żeby wybrał między regulaminem a sumieniem.

— Czyli pojechałaś metodą zuzannozdrojową. — Net położył komputer na kolanach i pogłaskał obudowę po znajomych rysach i przetarciach. — Dla pewności powinnaś powiedzieć, żeby wybrał między bezdusznym, srogim i kolczastozimnym regulaminem mroku a błękitnym w swej niewinnej szczeroci sumieniem wielkich serc.

Włączył komputer, przełożył do niego kartę pamięci ze zdjęciami i powrócił do przeglądania. Teraz było to znacznie łatwiejsze dzięki klawiaturze i większemu ekranowi.

— Pensjonat — powiedział ponuro Net. Zdjęcie przedstawiało kilka osób na leżakach rozstawionych nad brzegiem. Czytali, rozmawiali, popijali coś ze szklanek. — To mogliśmy być my. Patrzcie!

Felix i Nika pochylili się nad ekranem, na którym Net wyświetlił obok siebie dwa kolejne zdjęcia.

— Widzicie? — Net popukał palcem w ekran. — Jak się ustawi dwa kolejne zdjęcia obok siebie i zrobi zeza, to jest 3D.

— Przeglądaj dalej — ponagliła go Nika.

— Przydałby się Manfred. Jemu by to zajęło kilka sekund.

— Przeleć następne piętnaście minut — poradził Felix, odczytując odległość z GPS-a. — Tam nic nie ma.

— *Fast forward*. — Net przeskoczył sto zdjęć i wrócił do monotonnego klikania. Zatrzymał się, gdy w kadrze pojawiły się dwie osoby stojące nad samą wodą. Ponad wszelką wątpliwość byli to Lucjan i Aurelia.

— Co oni robią? — zapytał Felix.

— Całują się — odparła Nika.

— To proste — wyjaśnił przesadnie uprzejmie Net. — Przytykasz wargi do powierzchni organizmu płci przeciwnej i wywołujesz podciśnienie w jamie ustnej.

— Dzięki, bym się nie domyślił — mruknął Felix. — Klikaj dalej.

Po kilkunastu obrazkach przyrody w kadrze pojawił się stojący blisko brzegu dom, przed którym na niewielkiej plaży bawiło się dwóch może dziesięcioletnich chłopców, sądząc z podobieństwa – braci.

— Oj, zaraz nas zauważą... — szepnął Net i zaczął naciskać klawisz szybciej.

W napięciu oglądali kolejne fotografie, na których dzieciaki lepią babki z piasku. I już się wydawało, że Bulbot przemknął niezauważony, gdy jeden z braci wskazał palcem wprost w obiektyw.

— Tego nie przewidzieliśmy — mruknęła Nika.

Przyjaciele obserwowali przeskakujące zdjęcia, na których bracia biegną po zabawkowy ponton, zrzucają go na wodę i wiosłują w stronę Bulbota.

— Szybciej... — szepnęła Nika, chociaż wiedziała, że to niczego nie zmieni.

— Są emocje — stwierdził Net. — Ale skoro Bulbot wrócił, to raczej go nie złapali. Logiczne, nie?

Następne zdjęcia jednak najwyraźniej temu przeczyły.

— A to ci! — Net aż się cofnął.

Zdjęcie przedstawiało ręce jednego z braci. Chłopiec sięgał po Bulbota, ale ten okazał się za ciężki, by go włożyć do pontonu. W poklatkowym filmie doholowali robota do brzegu, wytaszczyli na piasek i oglądali ze wszystkich stron.

— Nieźle. — Net pokiwał głową. — Szkoda, że Bulbot nie ma mikrofonu, bo byśmy poznali ich trzy życzenia.

Przyjaciele mimowolnie uśmiechnęli się. Po dobrej minucie, czyli po kilkunastu zdjęciach, bracia zorientowali się, że Bulbot jest wyposażony w kamerę. Zaczęli machać i robić miny. Potem z domu wyszła kobieta, pochyliła się nad Bulbotem. Na następnym zdjęciu nadal się pochylała, ale z uniesionymi brwiami, a na kolejnym już biegła z powrotem do domu. Pięć zdjęć później w drzwiach pojawił się mężczyzna z wielką siekierą w dłoni. Cała czwórka dyskutowała, gestykulując przez kilkanaście zdjęć. Wreszcie mężczyzna odstawił siekierę, ostrożnie podszedł i pomachał do obiektywu. Bracia usiłowali go do czegoś przekonać i można się było tylko domyślać, że chcą zatrzymać zabawkę. Ojciec, bo to zapewne był ich ojciec, podniósł Bulbota i postawił na stole na werandzie, przyniósł album ze zdjęciami i pokazywał kolejne strony.

— To urocze, ale nie mamy czasu — Net pominął kilkanaście kadrów.

Ojciec pokazał jeszcze dyplom i puchar dla serowara roku, a na końcu cała rodzina ustawiła się do zdjęcia rodzinnego i Bulbot został odniesiony do jeziora.

— Jakie to miłe — stwierdziła Nika. — Wypuścili go.

Na ostatnim ujęciu bracia trzymali kartkę z napisem „Ziemia pozdrawia Marsjan”.

— Bali się, że przyplynie statek matka — wyjaśnił Net.

Nika uśmiechnęła się przelotnie, ale nikt nie miał nastroju do żartów.

Przez następne kilka minut oglądali brzeg, cypelki, zatoczki, sitowia, przez które robot z trudem się przebijał. Na szczęście nie ugrzązł. Oglądali domy, w których nie dało się dostrzec niczego podejrzanego, był też jeden wędkarz w łódce.

— A to co? — Net zatrzymał się z palcem nad klawiaturą. Ekran wypełniała wielka głowa kozołąka. To znaczy kozy. — Mówiłem, że one pływają!

Koza towarzyszyła Bulbotowi przez kilka zdjęć, po czym się znudziła.

— Koniec jeziora — stwierdził obserwujący GPS Felix. — Teraz zawróci. Jeżeli się nie zgubi.

— Jeszcze drugi brzeg — powiedziała Nika. — Oby tam coś było.

Rzeczywiście Bulbot dopłynął do zwężenia kończącego jezioro. Na zdjęciach było widać wylot rzeczki i piknikujących ludzi. Zgodnie z prze-

widywaniami Bulbot zawrócił, ale wtedy stało się coś dziwnego. Zamiast odpłynąć, wykonał zwrot i znów zbliżył się do brzegu. I znów.

— To głębsze miejsce, przy ujściu tej rzeczki — stwierdził Net. — Zapętlili się jełop, bo wszędzie dookoła jest płycej.

Oglądając kolejne zdjęcia, przyjaciele mieli wrażenie, że robot nie wydobędzie się z pułapki i nie zdoła wrócić do obozu. Jednocześnie przecież doskonale wiedzieli, że wrócił, bo leżał obok nich.

— To jak z dobrymi filmami o drugiej wojnie światowej — powiedział Net. — Niby znasz zakończenie, a i tak oglądasz.

— Dobrze, że nie mieliśmy podglądu na żywo, wykończylibyśmy się psychicznie — stwierdziła Nika.

Przy trzecim okrążeniu od siedzących na trawie ludzi oddzielił się kilkuletni chłopiec i z zainteresowaniem podszedł do brzegu.

— Co znowu?! — Net pochylił się nad ekranem. — Ten bachor rzuca patykami.

Na zdjęciach widać było kolejne fontanny wody powodowane przez wpadające do wody pociski.

— Jakbym dorwał główniarza... — Net zaciskał pięści.

Bulbot tymczasem wyprostował kurs i odpłynął na bezpieczną odległość.

— Podziękuj bachorowi. — Felix potarł palcem wgniecenie na kiosku Bulbota. — Bez niego Bulbot krążyłby tam aż do wyczerpania akumulatorów.

Net po raz kolejny zmienił palec i klikał dalej. Bulbot sfotografował jeszcze cztery domy, z których tylko przed jednym byli ludzie. Gdy pokonał już połowę drogi powrotnej, Net zamarł z palcem nad klawiaturą, a cała trójka wstrzymała oddech. Zdjęcie przedstawiało drewniany dom ze spadzistym dachem i tarasem widokowym od strony wody. O barierkę tarasu opierała się... Zosia. Patrzyła gdzieś w przestrzeń. Gapili się na to zdjęcie, nie wierząc, że widzą to, co widzą. Net powiększył twarz – nie było wątpliwości, że to Zosia. Nika sięgnęła do klawiatury i kliknęła strzałkę. Na następnym zdjęciu Zosia była odwrócona i patrzyła na wysokiego, przystojnego bruneta około czterdziestki. Mężczyzna pokazywał na dom. Na trzecim zdjęciu Zosia drzwiami tarasowymi wchodziła do domu, a mężczyzna szedł za nią. Czwartego zdjęcia domu już nie było.

— Nie wierzę, że się udało — szepnęła Nika. — To tak nieprawdopodobne.

Raz za razem oglądali te trzy zdjęcia.

— I co teraz? — zapytał Net.

— Zastanawiam się, czy grozi jej jakieś niebezpieczeństwo.

— Przecież została porwana! — Nika wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem. — Trzeba... trzeba jakoś się tam dostać.

— I co? — zapytał Net. — Powiesz jej, że została porwana, a jemu, że ją porwał? Oni to wiedzą.

— Porywacze bywają niebezpieczni — przytaknął Felix. — Miałś chyba jakiś plan?

— To ty masz zawsze plan.

— Nie będziemy przecież dzwonić na policję, jak nie wiemy, co się stało.

— Wprost przeciwnie — powiedział CyBorek, stojąc w wejściu do namiotu. Przyjaciele odwrócili się gwałtownie. — Wiemy dokładnie, co się stało. Ten degenerat porwał dziewczynę i uwięził w domu na odludziu. Gdyby to ode mnie zależało, powinien dostać czapę bez przesłuchania. Ale to nie zależy ode mnie. Dobra robota, skauci. Teraz sprawą zajmą się profesjonaliści. — Chwilę jeszcze patrzył na nich, zastanawiając się nad czymś. — Potrzebny będzie mi adres.

— Nie znamy adresu — odparł Felix. — Mogę podać przybliżone współrzędne.

— To będzie musiało wystarczyć. — CyBorek skinął głową i wyszedł.

Felix spojrzał na przyjaciół. Skinęli głowami. Pochylił się więc nad GPS-em i odszukał lokalizację tamtego domu. Współrzędne, rzecz jasna, nie były dokładne – miejsce zrobienia zdjęcia można było na oko ocenić, porównując kąt ujęcia z zakrętami na śladzie z ekranu odbiornika GPS. Nic więcej jednak nie dało się zrobić.

Felix zapisał współrzędne na kartce i zaniósł je wuefiście. CyBorek wyjął z plecaka telefon, który po chwili okazał się jednak nie telefonem, lecz radiostacją wojskową. Chwilę przechadzał się po obozie i rozmawiał. Przyjaciele, bezczelnie podsłuchujący przy wejściu do namiotu, słyszeli tylko skrawki słów, z których najmocniej wbiło im się w pamięć „Teraz jesteśmy już kwita”. Potem CyBorek wrzucił radiotelefon do namiotu dowodzenia i kręcąc głową, poszedł na szczyt pagórka, gdzie Zuzanna malowała pejzaż przedstawiający jezioro i zbliżającą się burzę. Wuefista zamiast jednak docenić kunszt pejzażystki, chwycił jej sztalugi i bez pytania przeniósł do obozu, gdzie prawdopodobieństwo trafienia piorunem było

znacznie niższe. Rozzłoszczona malarka przysła za nim z ustami w podkówkę. Jednak gdy ją pocałował, podkówka zamieniła się w uśmiech.

Malowała dalej w wyznaczonym miejscu.

* * *

Przedwcześnie ściemniało się, a prawie całe niebo zasnuły chmury burzowe. Do obozu wróciła reszta grupy. Wszyscy byli zmęczeni, podrapani przez krzaki i pogryzieni przez komary. Nie licząc tych, którzy zawsze marudzili, większość była zadowolona i dumna z siebie.

— W szeregu zbioóórka! — ryknął wuefista, po czym dodał ciszej do przyjaciół — wy tu.

W efekcie Felix, Net i Nika stanęli pod kątem prostym do szeregu. Gerald zerkał w ich stronę z poczuciem satysfakcji. Myślał zapewne, że zaraz przyjaciele zostaną przykładnie ukarani za odłączenie się od grupy.

— To było ostatecznie zadanie, jakie mieliście wykonać na tym obozie — powiedział uroczyście CyBorek. — Przypominam, że jutro wracamy. Proszę o raport.

Lucjan zasalutował i wręczył mu wygniecioną i ponaddzieraną kartkę z rozwiązanymi zadaniami.

— Wszystkie zadania wykonane — oświadczył dumnie. — Zagadki rozwiązane, obliczenia zrobione, tajne zapiski rozszyfrowane.

— Doskonale. Jestem z was wszystkich dumny.

— Chyba nie ze wszystkich... — zauważył Gerald, patrząc znacząco na przyjaciół.

— Ze wszystkich — zaprzeczył nauczyciel. — Ze wszystkich bez wyjątku.

— Ale oni niczego nie zrobili — zaprotestował Gerald. — Odłączyli się od nas, bo nie chciało im się wykonywać zadań.

— Wykonali w tym czasie znacznie poważniejsze zadanie. Teraz już mogę wam przekazać pewną ważną informację. W czwartek wasza koleżanka Zosia Frankowska została porwana.

Wszystkich zamurowało. Satysfakcja z wykonanego zadania gdzie się ulotniła.

— Poważnie? — zdziwiła się Celina. — Myśleliśmy, że to tylko... — spojrzała na Nikę.

— ... że to tylko chora wyobraźnia Niki — dokończył za nią Oskar.
— A tu taka zaskoczka.

— Została porwana z domu matki przez swojego ojca — kontynuował nauczyciel. — Porwana i uwięziona na odludziu, przypadkiem, jak się okazało, całkiem niedaleko stąd. Nie mówiłem wam o porwaniu, żeby nie zakłócać przebiegu procesu szkolenia. Teraz ten proces dobiega końca, więc nie ma potrzeby dłużej zachowywać tajemnicy. Wasi koledzy, Felix, Net i Nika, wykonali najważniejsze zadanie tego obozu – odnaleźli przetrzymywaną koleżankę i powiadomili odpowiednie służby.

— To nieuczciwe — bąknął Gerald. — Nic nie wiedziałem, że mamy takie zadanie.

— Niektóre zadania każdy musi sobie wyznaczać sam. Zaczekajcie moment.

Zniknął w namiocie dowodzenia. Po chwili wyszedł, trzymając oburącz wojskowy chlebak pełen telefonów komórkowych. Oddał je gimnazjalistom, co wywołało falę radości. Felixowi oddał sam akumulator i klepnął go poufale w ramię.

— Będą z ciebie ludzie — rzucił i odszedł.

Odległe pomruki towarzyszyły błyskom wewnątrz chmury, jakby ktoś bawił się lampą błyskową pod grubą pierzyną. Jedynym źródłem światła w obozie było ognisko, do którego Klemens i Gilbert dorzucali aż za dużo drewna. Gilbert seriami opowiadał kawały, a Klemens chichotał i ocierał łzy śmiechu. Dorzucał jeszcze więcej drewna.

Nisko wiszące chmury burzowe wyglądały jak piekielne dymy oświetlone złościście od spodu przez zachodzące słońce. Po prawej na chwilę pojawiła się nawet tęcza. Nika objęła Neta i zapatrzyli się w powolny spektakl rozgrywający się ponad ich głowami. Felix stał obok z rękoma w kieszeniach. Nie trwało to długo; słońce zaszło za drzewa, jego miejsce zajęły migające regularnie niebieskie światła, które nie były błyskawicami. Zmierzwały w stronę domu położonego gdzieś na drugim brzegu Czerwonej Hańczy.

— Więc to się tak kończy? — zapytała Nika. — Tak... po prostu?

A potem niebo zrobiło się całkiem ciemne, nie licząc coraz częstszych błysków nadciągającej burzy. Wreszcie zaczęło padać.

Chłopcy weszli do męskiego namiotu, a chwilę później to samo zrobiły dziewczyny – przybiegły i przysiadły na łózkach chłopaków. Deszcz bębnił o dach, a wszyscy zajęli się swoimi telefonami. Zasięg był bardzo słaby

i rozmowy czasem się rwały. Wszyscy sprawdzali e-maile, poczty głosowe, portale społecznościowe i SMS-y, a przede wszystkim dzwoniли do domów. Co ciekawe, nikt nie narzekał na wycieczkę. Obozowicze wychwalali fajny wyjazd i opowiadali o odnalezieniu Zosi. Net poszedł na pewien kompromis i poświęcił lewą rękę na objęcie Niki, która telefonu przecież nie miała. Prawą odpisywał na SMS-y. Dotarł do wiadomości „Odezwij się, jak wrócisz. Może wybierzemy się na spacer nad Wisłą?” i zamarł z palcem nad ekranem. Trwało dobrą chwilę, nim wybrał polecenie „Skasuj”.

Mimo deszczu Felix samotnie siedział przy ognisku – akurat zaczął się jego dyżur. Przeglądał wiadomości na ekranie telefonu. Nagle zauważył ruch z lewej strony – dwie postacie bliżej jeziora, w których mimo deszczu i odległości rozpoznał nauczycieli. CyBorek ukląkł przed Zuzanną i podał jej coś na wyciągniętej dłoni. Plastikowa chwilę stała nieruchomo, po czym zaczęła podskakiwać jak uradowana dziewczynka. Objęła mężczyznę, a ten wstał i uniósł ją. Deszcz głośniejsz zabębnił o brezentowy dach nad ławą i wodna kurtyna zasłoniła tę scenę przed wzrokiem postronnych.

Felix uśmiechnął się przelotnie, westchnął ciężko i znów spoważniał. Powrócił do przeglądania wiadomości. Właściwie to wyświetlał naprzemiennie dwa SMS-y od Laury, wysłane przez nią jeszcze w sobotę. Pierwszy brzmiał: „Zadzwoń”, a drugi, wysłany po kilku godzinach: „Nie dzwoń. Po powrocie musimy porozmawiać osobiście”.

* * *

Całą noc padało i grzmiało. Wiatr szarpał płótnem namiotów, a przez wszelkie szczeliny do środka wpadał deszcz. Około północy namiot dziewczyn zaczął przeciekać, co wymusiło przestawienie łóżek. Zuzanny nie było, jeszcze wieczorem przeniosła się do namiotu dowodzenia. Godzinę później materiał na samym szczycie namiotu dziewczyn pękł, wpuszczając nawałnicę do środka. Spontaniczna akcja, która odbyła się bez udziału opiekunów, uratowała sytuację – dziewczyny ewakuowały się do męskiego namiotu. Przeniesiono kilka łóżek i wszystkie bagaże. A że łóżek było za mało, trzeba je było dzielić. Pełniący dyżur przy ognisku Wiktor wreszcie nie wytrzymał i też przyczłapał do namiotu. Jedynie co kilka minut narzucał ciężką pelerynę i sprawdzał, czy ognisko nie przygasa.

Rano nie było pobudki. Wszyscy obudzili się po dziewiątej. Mniejszość, która chciała spać dalej, musiała zmienić plany z powodu zamiesz-

nia, jakie robiła większość, która już wstała. Nadal lało. Wybrana przez Felixa lokalizacja namiotów okazała się idealna, gdyż strumienie spływającej z pagórka wody opływały obóz z obu stron. Nikt już jednak nie pamiętał, komu zawdzięcza suchą podłogę i nieprzemoczone buty.

Baterie w połowie smartfonów padły, w drugiej połowie były na wyczerpaniu. Jedynie pancerny telefon Felixa wciąż wskazywał pełne naładowanie. Felix na wszelki wypadek nie chwalił się tym, żeby nie ustawiła się do niego kolejka potencjalnych rozmówców.

Potem wszyscy przenieśli się pod rozpięty obok ogniska brezentowy daszek i zgodnie oraz sprawnie przygotowali śniadanie. Składało się z kanapek z pasztetem i soku jabłkowego. Obyło się bez konfliktów i bez marudzenia. Obyło się wręcz niemal bez słów i chyba nikt nie zauważył tego, że jeszcze tydzień temu nie byłoby to możliwe. Wtedy skończyłoby się kłótnią, kto ma otworzyć puszkę, kto pokroić chleb, kto dorzucić do ognia, a jedyne, co wszyscy robiliby zgodnie, to narzekanie na pogodę. Teraz działali jak dobrze naoliwiony mechanizm.

Gdy nauczyciele dołączyli do podopiecznych, czekały na nich dwie gotowe porcje. CyBorek miał na sobie T-shirt z napisem... „CyBorek”. Po krótkiej chwili konsternacji gimnazjaliści nagrodzili to oklaskami. O punktach, które obie drużyny miały zbierać przez te wszystkie dni, nikt już nie pamiętał. Mimo pogody i kończącego się wyjazdu wszyscy żartowali i śmiali się. Jedynie Felix pozostał poważny.

Po śniadaniu przyjaciele wzięli płachtę brezentu i poszli nad jezioro. Materiał trochę się szarpał na wietrze, ale w miarę dobrze chronił przed deszczem.

— Mamy zwinąć namioty w taką pogodę? — Net pokręcił głową.
— Jakoś tego nie widzę.

— Coś mi tu nie pasuje — odezwał się Felix. — Jeszcze nie wiem, co dokładnie, ale coś na pewno jest nie tak.

— Co niby? Porywacz złapany, ofiara uwolniona. Odnalezienie Zosi sprawiło, że wszyscy są jacyś tacy mili dla siebie.

— Są mili, bo metody teambuildingowe CyBorka okazały się skuteczne — odparł Felix. — Natomiast jeśli chodzi o Zosię, to wszystko wciąż nie bardzo pasuje do siebie. Dlaczego ojciec zabrał ją właśnie tutaj?

— To samo mówiłeś wcześniej. Twierdziłeś, że to nieprawdopodobne, że Zosia może być w pobliżu Czerwonej Hańczy. A przecież właśnie tutaj ją znaleźliśmy.

— No przecież o tym mówię. Rusz mózgiem! Nic się nie zmieniło. Nadal nie wiemy, czemu ona była akurat tutaj. Weź mapę Polski i zobacz, ile jest możliwych miejsc, gdzie mógł ją zabrać. Potem weź mapę Europy i zobacz kolejne miejsca. A jednak zabrał ją do domu ledwie kilka kilometrów od naszego obozu. Prawdopodobieństwo, że to przypadek, jest jak jeden do... — Felix chwilę się zastanawiał. — Jak jeden do miliona. Co najmniej.

— Jeden do miliona? Tak to się niepokalanie rodzą sześcioraczki. Więc jakie jest wyjaśnienie, twoim zdaniem?

— Jeszcze nie wiem.

— Po co pytałem...

— Zaczęło padać — zauważyła Nika.

— Co ty powiesz? Pada od wczoraj — przypomniał Net.

— Zaczęło padać, gdy znaleźliśmy Zosię.

— Nie mów, że jesteś przesądna.

— To tylko przeczucie. — Nika wzruszyła ramionami. — Poprzednio się sprawdziło.

— I to przeczucie mówi, że...?

— Mówi, że Felix może mieć rację i coś tu nie gra.

Dalszą rozmowę przerwał im pomruk silnika wojskowego Jelcza. Obóz dobiegał końca i pora się było zbierać. Czerwona Hańcza zegnała ich naprawdę paskudną pogodą.

1. Duct Tape – mocna taśma klejąca zwana w Polsce taśmą MacGyvera. [\[wróć\]](#)

2. Kiosk – nadbudówka okrętu podwodnego. [\[wróć\]](#)

3. Vidoktor – możecie o nim przeczytać w tomie *Felix, Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi*. [\[wróć\]](#)



15. Pozory mylą

Z Dworca Centralnego odebrał ich tata Felixa. Z ulgą zapakowali się do ciepłego i przytulnego wnętrza.

— Jak udał się obóz? — zapytał tata. — Zmogliście?

— Zmogliśmy i wyschliśmy — odparł Felix.

— Ogólnie pozytywnie — dodał Net.

— Wiecie już pewnie, że Zosia się znalazła? — zapytał tata, wyjeżdżając z parkingu.

Przyjaciele spojrzeli po sobie. Wyglądało na to, że ich udział w sprawie uda się zachować w tajemnicy. To im w sumie bardzo odpowiadało.

— Coś tam słyszeliśmy — przyznał Net. — Znalazła się, więc chyba po sprawie.

— Afera dopiero się zaczęła.

— Afera? — zainteresował się Felix.

— Żandarmeria wojskowa wyręczyła policję i teraz komendant główny musi się tłumaczyć ministrowi spraw wewnętrznych, a minister premierowi. A wszyscy razem tłumaczą się mediom.

— A jakie to ma znaczenie, kto ją znalazł?

— Policja podlega Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, a żandarmeria Ministerstwu Obrony Narodowej. Jakieś, hm... tarcia wewnętrzne z tego wynikają. Nie interesuję się polityką, ale od tej sprawy nie da się uciec, bo trąbią o tym wszyscy i wszędzie. — Chwilę bębnił palcami w kierownicę, po czym skręcił w boczną uliczkę. — Pojedziemy naokoło. Przez tę awarię wodociągów są straszne korki.

Bocznymi uliczkami nie dawało się jechać przesadnie szybko, ale przynajmniej nie stało się w korku. Przyjaciele zaczęli przysypiać, ale rozbu-

dzili się, gdy kilka skrzyżowań dalej wyjechali wprost na maszerujący środkiem ulicy tłumek z transparentami. Około stu osób skandowało hasła, których nie dawało się zrozumieć w zgiełku ulicznym.

— Demonstracja? — zainteresował się Felix. — Co tym razem?

— Andżelika Osmoza zorganizowała „Marsz Oburzonych” — wyjaśnił tata. — Apeluje o wtrącenie porywacza do więzienia bez sądu.

— To tak można? — zdziwił się Net.

— Oczywiście, że nie można, bo prawo jest prawem. Politycy budują popularność właśnie na naiwności i niewiedzy. Dlatego nie interesuję się polityką. To sztuka kłamania i manipulacji. Wolę moje wynalazki, bo tam sprawa jest prosta – albo coś działa, albo jest szmelcem. Politycy potrafią przeforsować najgłupsze pomysły tylko dlatego, żeby zwiększyć swoją popularność.

— I ona to robi tylko po to, żeby minimalnie zwiększyć swoją popularność?

— Ona robi to przede wszystkim po to, żeby doprowadzić do odwołania ministra i zająć jego miejsce.

Minęli demonstrację, za którą korek wyraźnie zelżał. Odwieźli Nikę i Neta, a gdy pan Polon parkował pod domem na Serdecznej, Felix smacznie spał, przewieszony przez pasy. Rozbudzony, w północy zatargał do domu kontener z Bulbotem i plecak. Mamy jeszcze nie było, przywitał się więc tylko ze stęsknionym Cabanem, stwierdził, że nie ma siły niczego jeść, i poszedł prosto do siebie. Wreszcie spokój, wreszcie można odpocząć po tym trudnym tygodniowym odpoczynku. Wyjął telefon, żeby napisać do Laury albo lepiej zadzwonić i umówić się na rozmowę, której bardzo się bał, ale którą musiał przecież odbyć. Zamiast tego, rzucił się na łóżko i zasnął z telefonem w dłoni.

* * *

Pięć minut później obudził go dźwięk SMS-a. Na dworze było jeszcze jasno. Wybity ze snu, odczytał wiadomość od Neta: „Śpisz?”. Odpisał „Tak” i pacnął twarzą w poduszkę. Niemal od razu przyszedł SMS „To się obudź i przyjeżdżaj”. Felix ze złością spojrział na zegarek, którego zapomniał zdjąć przed położeniem się. Pięć minut okazało się prawie trzynastoma godzinami, a za oknem było jasno, bo zaczął się już następny dzień. Było wpół do jedenastej. Wpół do jedenastej rano. Usiadł na łóżku i stwier-

dził, że ma na sobie ubranie. Odpisał „Będę za pół godziny z hakiem” i poszedł wziąć prysznic.

Pospieszenie zjadł śniadanie, przeglądając na laptopie serwisy informacyjne. Każdy z nich pełen był informacji o odnalezieniu Zosi. Towarzyszyły im komentarze Andżeliki Osmozy, z których wybijały się dwa żądania: natychmiastowego skazania porywacza oraz natychmiastowego odwołania ministra. Notowania jej partii szybko rosły.

* * *

Na chodniku prowadzącym do domu Neta Felix dogonił Nikę.

— Cześć, dawno się nie widzieliśmy.

Cmoknęła go w policzek.

— Wiesz, o co mu chodzi? — zapytała. — Nie chciał mi powiedzieć.

Felix pokręcił głową.

— I tak nie mogę długo siedzieć — powiedział. — Powiniennem się z kimś spotkać.

— Z Laurą? — domyśliła się Nika.

Felix przytaknął.

— Trochę się nam nie układało ostatnio. Tak naprawdę to nie wiem, co zrobić.

— Porozmawiaj z nią. Powiedz jej prawdę.

— No tak, to wiem, ale jak? Ten tydzień przed wyjazdem wyglądał, jakbym jej unikał, a przez cały obóz nawet nie zadzwoniłem, bo nie miałem jak. Mam jej powiedzieć, że nie znalazłem dla niej chwili, bo testowałem zabawkowy okręt podwodny?

— No tak. — Nika pokiwała głową. — Lepiej zacznij od końca, od uwolnienia Zosi.

Uklonili się panu Mietkowi, nowemu portierowi, i wsiedli do windy.

— Wczoraj nie miałem siły zadzwonić, zasnąłem. — Felix patrzył w przeskakujące na wyświetlaczu cyfry. — A dziś... hm. Dziś nadal nie mam siły zadzwonić.

Dojechali. Drzwi otworzyły się z cichym dźwiękiem gongu, który zaraz po przeprowadzce tata Neta przyciszył ścierką kuchenną. Na ostatnim piętrze znajdowało się tylko mieszkanie państwa Bieleckich.

Net otworzył drzwi do mieszkania, nim zdążyli zadzwonić.

— To ma być pół godziny z hakiem? — zapytał. — Hak to było drugie pół godziny.

— Nasłuchujesz pod drzwiami? — zdziwił się Felix.

— Wpiąłem się w system monitoringu i widziałem was jeszcze przed budynkiem. Właźcie. — Machając ręką, wgonił ich niemal do środka. — Na kanapę.

Przeszli do salonu i posłusznie usiedli. Net pilotem włączył telewizor.

— To nagranie z wczoraj wieczór. Oglądajcie.

Na ekranie pojawiło się studio programu „Niusy czy Niuanse”. Na wysokim krześle siedziała Zosia, a obok niej z mikrofonem w dłoni stała Ilona Bogucka.

— *Cała twoja klasa pojechała na wycieczkę, prawda?* — zapytała z troską w głosie Bogucka, a Zosia przytaknęła. — *Ale tata dwa dni wcześniej ZABRAŁ cię od mamy?*

Silny akcent na słowo „zabrał” zmieniał sens pytania, bo zdecydowanie nie chodziło o „odebranie”, tylko o „porwanie”. Zosia przytaknęła.

— *I wywiózł cię na zupełnie odludzie?* — ciągnęła dziennikarka.

— *Na Suwalszczyznę* — powiedziała Zosia. — *Chyba tak się nazywa ten region. Nie wiem dokładnie.*

— *Czyli zabrał cię w nieznaną. Ale zostałeś uratowana przez odpowiednie służby.*

— *Oni przyjechali wieczorem...* — powiedziała Zosia. Nie miała przypiętego własnego mikrofonu. Jej słaby głos było słychać tylko wtedy, gdy Ilona podsuwała swój.

— *Przyjechali wieczorem i uratowali cię z rąk tego złego człowieka. Odwieźli cię do mamy. Dzięki temu jesteś dziś bezpieczna tutaj z nami.*

Zosia coś odpowiedziała, ale nie było tego słychać, bo Ilona cofnęła szybko mikrofon i przeszła do drugiej części studia, gdzie w cieniu stały dwa fotele. Na jednym siedziała kobieta, na drugim mężczyzna. Nic więcej nie dało się dostrzec, gdyż ten kawałek pozostawał w ciemności.

— *Naszymi następnymi gośćmi są...* — reflektor oświetlił kobietę — *pani Andżelika Osmoza, prezes PPP, czyli Partii Prawdziwych Patriotów* — z sali rozległy się burzliwe oklaski — *oraz pan minister spraw wewnętrznych.* — Tym razem oklaski były słabsze. — *Nie zmieniamy tematu. Nadal jest nim bestialskie porwanie bezbronnej gimnazjalistki. Oddaję państwu głos. Pani prezes...*

Osmoza zaczęła natychmiast:

— Łączę się w bólu z rodzicami... z matką ofiary i z samą ofiarą naturalnie też. To niewiarygodne, że w XXI wieku w środku Europy wciąż zdarzają się takie sytuacje, a instytucje demokratycznego ponoć państwa nie podejmują należytych działań.

Minister próbował odpowiedzieć, ale nie było słychać, co mówi. Jego mikrofon nie działał.

— Jestem tu w innym charakterze niż pan minister. — Osmoza mówiła dalej. — Jestem tu, można powiedzieć, prywatnie, jako zwykła troskliwa obywatelka zaniepokojona bezprawiem szerzącym się w naszym kraju.

Minister coś odpowiadał, ale nie dało się usłyszeć co. Podbiegł do niego technik i teraz niemrawo poprawiał ministerialne wtyki przy mikroporcie ¹. Mówiła cały czas Osmoza:

— W biały dzień, w środku stolicy dużego europejskiego miasta bezlitośny porywacz może odebrać dziecko kochającej matce i wywieźć je w nieznanym kierunku. Minister nie reaguje, a może, co gorsza, nawet o tym nie wie. Niech pan zobaczy, co się dzieje. Jakie są nastroje społeczne.

Ekran zajęła przebitka z „Marszu Oburzonych”.

— Sama pani skrzyknęła tych ludzi — odparł minister, którego mikrofon zaczął wreszcie działać. — To nie są nastroje społeczne. To grupka kilkadziesiątu głośnych osób.

— Przyszli spontanicznie. Są oburzeni beczynnością pana i pana podwładnych. Jest zapotrzebowanie społeczne na ten wyrok. Czy pan, panie ministrze, trzyma stronę tego zwyrodnialca?

— Nie. Ja uważam, że to jest sprawa dla policji, śledczych i sądu. Ujęliśmy go wczoraj wieczorem. Śledztwo trwa.

— Ujęła go Żandarmeria Wojskowa dzięki wytrwałej pracy wojskowych służb i uruchomionej przez PPP infolinii.

— Śledztwo trwa. Jako minister nie mogę być stronnicy. Za wcześnie na wydawanie sądów.

— Za wcześnie?! — zapytała z oburzeniem Osmoza. — Czy pan w ogóle dopuszcza możliwość, że ten człowiek może być niewinny?! Powie pan to prosto w oczy ofierze, tej biednej dziewczynce? — wskazała dłonią na Zosię, która nadal siedziała w fotelu przygarbiona, ze wzrokiem wbitym we własne buty. — Sugerowanie, że porywacz może być niewinny jest... brak mi słów... to jest po prostu nieludzkie wobec ofiary i zwyczajnie nieprzyzwoite. On powinien zostać natychmiast skazany.

Publiczność nagrodziła ją głośnymi brawami, zagłuszając zupełnie odpowiedź ministra. Zresztą jego mikrofon znów przestał działać.

Net wyłączył telewizor.

— Nie możemy oglądać takich programów w całości, bo zgłupiejemy — powiedział. — „Dzięki wytrwałej pracy wojskowych służb i infolinii”? Co to ma być? My odwaliliśmy całą robotę.

— CyBorek zadzwonił na infolinię Partii Prawdziwych Patriotów? — Nika spojrzała na Felixa.

Ten pokręcił głową.

— Zadzwonił do tego kumpla, co mu pożyczył namioty i sprzęt na nasz obóz. I ciężarówkę. To, co mówi Osmoza, to się nazywa rzeczywistość medialna i nie ma wiele wspólnego z prawdą. To jedna wielka ściema. Dlaczego to nagrałeś?

— Samo się nagrywa. — Net wskazał wieżę urządzeń stojących obok telewizora, nie precyzując, o które chodzi. — Nagrywa się, dopóki jest miejsce na dysku, a potem kasuje najstarsze nagrania, i tak w kółko. Teraz chyba mam jakieś dwa dni archiwum. Pejzaże Suwalszczyzny dobrze się kompresują. Najgorzej jest z confetti i tancerkami w błyszczących sukienkach – w sylwestra spada do dwudziestu czterech godzin. Nieważne. Nie oglądałbym tego, gdyby nie poranny e-mail od Manfreda.

— Czy nie mieliśmy się z nim nie kontaktować do czasu zakończenia wdrażania dronów? — zapytała Nika.

— No tak. A jednak przysłał. — Net położył na stoliku laptop i otworzył wiadomość – zawierała tylko adres internetowy i słowo „jatyłkoja”. — Myślałem nad tym jakieś pół sekundy i uznałem, że czemu nie.

Pochylił się nad laptopem, wpisał adres, a na ekranie pojawiło się okienko do wprowadzania hasła. Wpisał „jatyłkoja” i ekran wypełnił się listą plików. Chłopak uśmiechnął się szeroko.

— Co to niby jest? — zapytał Felix, nie mogąc się doczekać wyjaśnień.

— Konto Ilony Boguckiej na serwerze „Niusów czy Niuansów”. — Net uśmiechnął się jeszcze szerzej. — A dokładniej pliki z nagraniami do programu, głównie te przed obróbką.

— Po co nam to?

— Też się nad tym zastanawiałem, aż ściągnąłem kilka i obejrzałem. Patrzcie na przykład... na ten.

Kliknął na jeden z plików i na ekranie pojawił się samochód dyrektora magistrza inżyniera Juliusza Stokrotki.

— *Gdzie on jedzie?* — zapytał kobiecy głos.

— *Skąd mam wiedzieć?* — odparł głos męski. — *Puszczę za nim drona. Wszyscy pomyślą, że to te miejskie drony do sterowania ruchem.*

Obraz przeskoczył na kamerę drona. Robot podążał za samochodem Stokrotki. Cięcie. Następne ujęcie przedstawiało dyrektora wychodzącego ze sklepu z pudłem zawierającym ekspres do kawy.

— *Na wystawie jest zegar.* — To był głos Boguckiej. — *Przerobimy godzinę na jakąś trzynastą i dodamy komentarz, że dyrektor w godzinach pracy i za służbowe pieniądze kupuje sobie ekspres do własnego domu. Luksusowy ekspres, tak będzie lepiej. A w tym czasie... tu damy te zdjęcia ze stołówki.*

Następny film przedstawiał stołówkę szkolną i Lucynę Apis z zaciętą miną nakładającą na kolejne talerze ziemniaki i pulpety.

— *Fotogeniczna to ona nie jest* — przyznał Net. — *Chodźcie do CSW, zobaczycie to na większym ekranie.*

Przeszli do pokoju Neta, gdzie znajdowało się CSW, czyli Centrum Sterowania Wszechświatem – kilka komputerów, monitorów i sprzętu o wyglądzie nic niemówiącym laikowi.

— *Ściągnij więcej filmów, zanim się połapią* — poradził Felix.

— *Stary, proszę cię. Za kogo ty mnie uważasz?* — Net zajął miejsce w dużym skórzanym fotelu, przysunął do siebie klawiaturę i uruchomił następny film. — *Od półtorej godziny wszystko ciągnie się w takim tempie, że nawet windy w budynku wolniej jeżdżą. Jest małe opóźnienie, bo idzie przez trzy proxy ², żeby mnie nie namierzyli.*

Film przedstawiał Celinę leżącą pod kroplówką w wymiętej pościeli szpitalnej. Przyjaciele aż zamarli, bo przecież widzieli ją jeszcze wczoraj w doskonałym zdrowiu. Dziewczyna miała podkrążone oczy, a monitor obok wyświetlał najważniejsze funkcje życiowe.

— *Co jej się stało?* — zapytała Nika.

Odpowiedzi udzieliła reporterka z nagrania.

— *Ta dziewczyna to Celina, klasowa koleżanka porwanej dwa tygodnie temu Zosi Frankowskiej. Wylądowała w szpitalu po ostrym zatruciu pokarmowym w szkolnej stołówce. Celina jest wegetarianką, a w szkole zmuszano ją do jedzenia mięsa. Zapłaciła za to wysoką cenę. Dyrektor w tym czasie był na prywatnych zakupach. Nie zajmował się młodzieżą, bo za szkolne pieniądze kupował do swojego domu luksusowy ekspres do kawy.*

— Czy ona się nie struła kotletami w domu Klemensa? — zapytała Nika.

— Tak — zgodził się Net. — Zobaczcie teraz to.

Następne nagranie było tym samym filmem, tyle że przed montażem i obróbką komputerową. Prowadzona przez Bogucką Celina weszła do szpitalnej sali. Nie wyglądała na ani trochę chorą, nie miała cieni pod oczami.

— *To nie moje łóżko* — powiedziała.

— *Ta kroplówka lepiej zakomponuje się w kadrze.*

— *Ale... tu ktoś leżał.* — Dziewczyna wskazała wygniecioną pościel.
— *Tu stoi czyjaś herbatka.*

— *Nie tragizuj. To zajmie minutę, a potem będziesz miała wolny cały dzień. Odrobina wdzięczności.*

Celina wzięła w dwa place różek kołdry i wsunęła się w pościel. Minę miała bardzo niewyraźną.

— *Ustaw się tam* — powiedziała do operatora Ilona. Kamera odsunęła się od łóżka. — *Tak, żeby w kadrze zmieściła się ta aparatura do podtrzymywania życia, czy co to jest.*

Zaczęła wciskać guziki na obwieszonym kablami monitorze. Któryś kolejny odpowiedział dźwięcznym *ping*, a ekran ożył pulsującymi wykresami. Podsunęła mikrofon pod nos Celinie i usiadła na krześle. Zrobiła zbolalą minę i zapytała:

— *Co było wczoraj na obiad w szkolnej stołówce?*

— *Pulpety* — odpowiedziała Celina. — *Ale ja zwykle nie jem obiadów w stołówce.*

— *Nieważne. Znalazłaś się w szpitalu z powodu zatrucia mięsem?*

— *Tak, ale to nie w szko* —

— *Z czym były te pulpety?*

— *Nie wiem, z jakimś sosem... Ale to nie dlatego się zatrulałam. Lekarz powiedział, że mój żołądek nie jest przyzwyczajony do trawienia mięsa i tak sobie właśnie zaprotestował.*

Net wyłączył nagranie.

— Obejrzałem tego więcej, zanim przyszlście — powiedział. — To są materiały do następnego wydania „Niusów czy Niuansów”. Z tego, co się zorientowałem, program ma wyjaśniać, dlaczego doszło do porwania Zosi. Przyczyną ma być nasza szkoła. Ma być przedstawiona jako szkoła patologiczna, w której Zosia nie mogła znaleźć oparcia i samotnie z matką sta-

wiała czoła przeciwnościom... i tak dalej. Pojawia się też nieudolna policja i minister.

— Stokrotka nie kupowałaby niczego dla siebie za szkolne pieniądze — zastanowiła się Nika. — Ma swoje wady, ale to uczciwy człowiek i chce dobrze dla szkoły.

— Jeszcze nie załapałaś, że to wszystko jest manipulacja?

— Załapałam. Ja tylko zawsze mam trudności z uwierzeniem, że ludzie są aż tak źli. Dlaczego... ona to robi? Przecież to wszystko nieprawda.

— Pewnie ma znajomego, który chce zostać dyrektorem naszej szkoły. — Net wzruszył ramionami.

— Niekoniecznie — zastanowił się Felix. — Pokażę wam to na przykładzie, zamiast opowiadać. Chodźcie.

Zaprowadził ich do kuchni. Na blacie stała duża miska z owocami. Felix wziął z wierzchu kilka jabłek i położył je w rzędzie na blacie. Zanurkował ręką na dno miski i wygrzebał stamtąd jeszcze jedno jabłko, pomarszczone i zbrązowiałe w kilku miejscach.

— Oj, co za wstyd... — szepnął Net.

Felix położył jabłko między innymi.

— No, jabłka — Net wzruszył ramionami. — Jedno zgniłe. A przynajmniej na prostej drodze do zgnicia. Odstawiasz jakiś *performance* artystyczny?

— Masz na myśli to, że nadgniłe jabłko jest ciekawsze od zwykłego? — zapytała Nika. — To chyba mówiła nam siostra Agacja.

— Rzeczywistość to za mało, żeby zainteresować ludzi — przypomniał Felix. — Rzeczywistość to wszyscy mają na co dzień.

— No ale co z tego praktycznie wynika? — zapytał Net.

— Jeżeli nie ma ciekawego tematu, to temat trzeba stworzyć. To też mówiła Agacja. Myślę, że ona wymyśliła „Niusy czy Niuanse”, a potem przeraziła się, w którą stronę to zmierza. Ilona Bogucka to strażak podpalacz. Wymyśla z niczego temat, a potem robi o tym reportaż.

— No ale to przecież nieprawda — zauważyła Nika. — Nasza szkoła jest normalną szkołą. Nie da się tak kłamać. Przecież...

— Przecież co? — zapytał Felix. — Co z tego, że ktoś dojdzie do prawdy? Jeden pozna prawdę, a kilka milionów widzów „Niusów czy Niuansów” będzie wierzyło w kłamstwo. Program będzie miał większą oglądalność, zyski z reklam też wzrosną.

— Chyba że... — Net zmarszczył brwi. — Chyba że prawdę pozna jeszcze więcej ludzi. Nie jestem fanem Stokrotki, ale to, co planuje zrobić Bogucka, to jest *bip*. Możemy te materiały ujawnić. Możemy je wrzucić do sieci. Bułka z masłem. Tylko skonfiguruję reklamy.

— Reklamy? — zdziwiła się Nika.

— Jak się da przy okazji zarobić, to czemu się wzbraniać?

— Spokojnie. — Felix zajął się swoim telefonem. — Trzeba to jakoś obrobić, powiedzieć, o co chodzi, pokazać materiał „przed” i „po”. Inaczej nikomu nie będzie się chciało tego oglądać.

Usiadł na kanapie i zaczął wreszcie pisać SMS do Laury. Starannie dobierał słowa, poprawiał, trzy razy zmieniał kawiarnię, w której mieli się spotkać. Lepsza w Centrum, a może w spokojniejszej okolicy? Jego myśli wciąż uciekały do gnębiącego go problemu.

— Nie daje mi spokoju temat porwania Zosi. Coś tam nie gra.

— Już przestań — poprosił Net. — Porwał ją przecież, nie? Co z tego, że trzymał ją blisko naszego obozu? Przypadki się zdarzają. Reszta to jakieś medialne sztuczki Boguckiej, żeby podbić oglądalność programu.

— Pomyśl, Celina zatrąła się kotletami we wtorek. Bogucka była w naszej szkole w środę, a zaginięcie Zosi zostało zgłoszone w czwartek.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Pierwsza odezwała się Nika:

— Bogucka zaczęła przygotowywać reportaż o przyczynach porwania Zosi, zanim doszło do porwania.

— Hm... — Net zmarszczył brwi. — Jak się lepiej zastanowić, to rzeczywiście chronologia się nie zgadza.

— Za ile skończy się ściągać? — zapytał Felix.

— Pliki ściągają się od najnowszych do najstarszych. Ściągnąłem tego już ponad dwa terabajty ³ i aż dziwne, że się nikt nie zorientował. Mają tam słabe zabezpieczenia. Hm... Albo często ściągają duże pliki, przecież to telewizja. Jest tego ze trzy razy tyle.

— Przerwij i zacznij ściągać od najstarszych. Jest większa szansa, że wyjaśnienie będzie na początku.

Net skinął głową i wklepał kilka komend.

Z boku ekranu wyskoczyło okienko komunikatora z prośbą o połączenie. Net skrzywił się.

— To Bartek z dziewiętnastego. Będzie marudzić. — Odebrał połączenie głosowe. — Co tam, jełopie?

— *U ciebie też internet tak słabo działa? Mam tu takie lagi ⁴, że mnie za każdym razem ktoś zastrzeliwuje. Przed chwilą czołg mnie przejechał.*

— Taaak... ciągnie się i ciągnie. Pewnie jakieś przejściowe problemy.
— Net pochylił się nad ekranem i przeczytał z okienka „download” przewidywany czas zakończenia transferu. — Za trzy i pół godziny powinno się poprawić.

— *Czemu akurat za trzy godziny?*

— Znam się na tym, nie? Na razie graj w szachy.

Net rozłączył się i zaczął odpalać kolejne ściąające się filmy. Początkowo nie było na nich nic interesującego, ale sytuacja się zmieniła, gdy pojawiły się nagrania z dronów. Jedno przedstawiało CyBorka trafiającego kamieniem kaczkę w Łazienkach, następnie Cedynię trzymającego truchło za szyję. Z ekranu Net machał do kamery.

— *Więc to nie był dron Manfreda?* — zdziwił się Net.

Przejrzeni jeszcze kilka filmików, na których widać było ujęcia z drona startującego z dachu furgonetki. Był na nich nawet Czwartek przypalający cygaro przed eksperymentem w sali fizycznej, Felix i Net z dużą srebrną skrzynią, włamujący się do filtrów warszawskich, Lucyna Apis własnoręcznie lepiąca pulpety późnym wieczorem i kilka przypadkowych scenek z okolic szkoły.

Felix powrócił do telefonu. Stwierdził, że niczego lepszego już nie wymyśli. Ważne, żeby się spotkać, mniej ważne gdzie. Kątem oka zerkał na miniaturki plików ściąających się co pół minuty–minutę.

— *Zaczekaj.* — Zerwał się z kanapy i nachylił nad ekranem. — *Pokaż to ostatnie.*

Nagranie wyglądało na przypadkowe. Kamera leżała w torbie, krzywo i filmowała Ilonę Bogucką siedzącą przy stole z nieznaną kobietą w skromnym mieszkaniu w bloku.

— *Chciałabym, żeby Zosia nie miała żadnych kontaktów z ojcem*
— *mówiła kobieta.* — *Mam nowego męża i to on teraz powinien być dla niej ojcem.*

— *Zosia uważa inaczej, prawda?*

Jakość dźwięku nie była zbyt dobra, ale słowa dawało się rozpoznać bez trudu.

— *Robię, co mogę, żeby jej wytłumaczyć, że to przeszłość, że powinna już dać sobie spokój... zapomnieć. Zmieniłam jej nazwisko z Kamińska na Frankowska – moje panięskie. Ale to nie pomogło.*

— *Ona nadal kocha ojca?*

— *Obawiam się, że tak, chociaż tłumaczyłam jej, że powinna przestać. Rozwiedliśmy się rok temu, gdy poznałam mojego obecnego partnera. Myślałam, że to będzie łatwiejsze, że Zosia po prostu się... przestawi na nowe warunki.*

— *Ona obwinia panią o ten rozwód, prawda?*

Westchnienie.

— *To nie ma nic do rzeczy. Ja po prostu chcę, żeby on zniknął z naszego życia. Czy to tak wiele?*

— *Właśnie dlatego chciałam się z panią spotkać. Możemy spowodować, że pani były mąż przestanie pani sprawiać kłopoty. — W głosie reporterki dawało się wyczuć fałszywe współczucie. — Sąd rodzinny uznał, że ojciec ma prawo widywać się z Zosią?*

— *Tak, kradnie mi ją na co drugi weekend, a dwa razy do roku może ją zabrać na dziesięciodniowy wyjazd. Najbliższy termin jest ustalony na za dwa tygodnie. Klasa Zosi wróci z wyjazdu szkolnego, a wtedy on ją zabierze gdzieś pod Zakopane. Nie będę jej widziała całe dwa tygodnie!*

— *Chce pani, żeby ojciec nie miał żadnych kontaktów z Zosią, prawda? Możemy to załatwić. Zrobimy z niego potwora znęcającego się nad córką.*

— *Widzowie pani programu w to uwierzą?*

— *Widzowie... — Ilona zaśmiała się. — Wolę określenie „motłoch”. Motłoch lubi takie historie. Motłoch chce jasnych odpowiedzi – to jest „ofiara”, a to „sprawca”. Ofierze współczujemy, sprawcy nienawidzimy. Motłochowi więcej nie trzeba, żeby wyrobił sobie opinię. Tak to działa. Założę się, że po tej historii sąd przyzna pani pełną opiekę nad córką, a były mąż więcej nie będzie pani przeszkadzał. Powiem pani, co trzeba zrobić. Najważniejsze, żeby nie został żaden ślad na piśmie.*

Tu kończyło się nagranie. Widocznie operator zorientował się, że wcześniej nie wyłączył kamery.

— *Zakopane? — zdziwił się Net. — Gdzie Zakopane, a gdzie Suwalszczyzna? To sześćset kilometrów różnicy.*

— *Termin też się nie zgadza — zauważyła Nika. — Miał ją zabrać po naszym powrocie z wyjazdu, a zabrał wcześniej.*

Felix wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Znanym gestem pocierał brodę. Czuł, że jest blisko rozwiązania, czuł, że ma wszystkie elementy i wystarczy je odpowiednio ułożyć.

— *O co tu chodzi... — mruczał pod nosem.*

Miał to blisko, gdzieś blisko, na końcu mózgu. Wreszcie poczuł, jak ostatni element wskazuje na odpowiednie miejsce. Uśmiechnął się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

— To oczywiste — powiedział. — To jest tak oczywiste, że aż zbyt oczywiste. Musimy naprawić, co zepsuliśmy. Czeka nas trochę pracy. To będzie trudny kawałek bułki z masłem. — Spojrzał na telefon, który cały czas trzymał w dłoni. Westchnął, przesunął palec z przycisku „wyślij” i po krótkim namyśle wcisnął „skasuj”. — Gilbert ma chyba kamerę cyfrową, prawda? Teraz się przyda.

* * *

— *Dzień dobry. Nazywam się Zosia Frankowska i nie zostałam porwana.*

Net nacisnął „stop” i Zosia na ekranie zamarła ze smutnym wyrazem twarzy na tle wnętrza pokoju Gilberta. Miała podkrążone od płaczu oczy.

— Stary, zanim zaczniemy, wytłumacz mi, co tu się dzieje. — Net odwrócił się do Felixa. — Albo umknęło mi gdzieś ostatnie półtora tygodnia, albo odstawiamy tu jakąś szopkę.

— Bogucka kłamie i manipuluje — poparła go Nika. — Ale my nie powinniśmy tego robić. Zwalczanie kłamstwa innym kłamstwem niczego nie naprawi.

— Pozory myślą — odparł spokojnie Felix. — Jak byłem mały, tata powiedział mi przy jakiejś okazji dwa mądre zdania „Nie oceniaj po pozorach” i „Nie wydawaj wyroków przed wysłuchaniem racji wszystkich stron”. Nie możemy porozmawiać z tatą Zosi, ale możemy się zastanowić, co się wydarzyło naprawdę. A naprawdę nie było żadnego porwania. Termin, kiedy tata Zosi miał ją zabrać na krótkie wakacje, wypadał dzień po naszym powrocie z wyjazdu. Czyli dziś. To było ustalone pewnie dawno temu. To nagranie, w którym Bogucka rozmawia z mamą Zosi, pochodzi z poprzedniego poniedziałku. Wtedy akurat siedzieliśmy na apelu z Williamem i Angusem. Zosia też była na apelu i nic nie zapowiadało tego, co się dopiero miało wydarzyć. Bogucka powiedziała, że „najważniejsze, żeby nie został żaden ślad na piśmie”, pamiętacie?

— I czego to niby dotyczyło? — zapytał Net.

— Przesunięcia terminu wyjazdu. Mama Zosi zadzwoniła do swojego ex-męża i powiedziała, że muszą zmienić plany i że ma zabrać Zosię wcze-

śniej, bo potem jej nie dostanie. Kochający ojciec przestawił swoje plany i wyjechał z Zosią wcześniej, dokładnie wtedy, kiedy chciała matka. Dlatego Zosia nie przyszła do szkoły. A w czwartek mama Zosi, zgodnie z instrukcjami Boguckiej, zgłosiła na policji porwanie.

— Jak można być tak podłym? — Nie mogła uwierzyć Nika.

— Bogucka ma swoją sensację, którą sama wymyśliła. Oglądalność „Niusów czy Niuansów” wzrosła pewnie dwukrotnie. Ale gdyby Zosia wróciła z ojcem do Warszawy i została odwiedzona do mamy, to by nie było afery i całą sprawę dałoby się wyjaśnić na spokojnie. Plan Boguckiej zakładał, że „porywacz” musi zostać złapany ze swoją „ofiara” i aresztowany. Wtedy nie mógłby udowodnić, że miał zamiar odstawić Zosię do matki. Niewiele brakowało, a cały plan by nie wypalił, bo wszyscy szukali go w Zakopanem, a nie nad Czerwoną Hańczę.

— A my pomogliśmy Boguckiej w realizacji jej planu... — szepnęła Nika. — Przez nas niewinny człowiek siedzi w areszcie, a wszyscy uważają go za potwora.

— I teraz musimy to odkręcić — przyznał Felix. — Zrobimy własny program, wrzucimy go do sieci, żeby prawdę poznało jak najwięcej ludzi. Na razie Zosia mieszka u Gilberta, ale to nie może trwać wiecznie.

— Ja cię ... — Net aż się przygarbił. — Teraz mi się wydaje, że byliśmy ostatnimi kretynami, że się tego nie domyśliliśmy od razu.

— To dlatego, że daliśmy się przekonać — wyjaśniła Nika — jak to powiedziała Agacja, „że diabły i czarownice istnieją i że należy je palić na stosach”.

— Obejrzyjmy dalej, co nagrali — poprosił Felix.

Net nacisnął „play”.

— *Mama powiedziała mi, że musimy zmienić plany — powiedziała Zosia. — Powiedziała, że mam wyjechać z tatą wcześniej. Zmartwiłam się, bo to oznaczało, że nie pojedę na wycieczkę z klasą. Ale jeszcze bardziej chciałam jechać z tatą, więc nie protestowałam. Poprosiłam go tylko, żebyśmy pojechali nad Czerwoną Hańczę, bo chciałam się spotkać chociaż raz, może dwa razy z kolegami. Tata się zgodził, wynajął tam dom. Nawet pojechaliśmy raz do tego pensjonatu, ale ich tam nie było. Dzwoniłam kilka razy i pisałam SMS-y. Zasięg był tylko, jak weszłam na szczyt pagórka. Gilbert już mi opowiedział o obozie i o telefonach.*

Spoza kadru dobiegł teatralny szept Gilberta:

— Nikt nie będzie wiedział, o co chodzi. Ludzie to kretyni. Dokładniej mów.

— To chyba lepiej wytniemy — stwierdził Net.

Zosia odetchnęła i wytarła łzę.

— Okazało się, że w ostatniej chwili plany się zmieniły i klasa pojechała nie do pensjonatu, tylko na obóz pod namioty. Nad tym samym jeziorem, tylko dwa kilometry dalej. Tam jest taki słaby zasięg, że nie udało się nam dogadać i nie spotkaliśmy się. Ale to i tak był najfajniejszy wyjazd od kilku lat. Do czasu, kiedy wpadli ci uzbrojeni po zęby żołnierze. — Znów wytarła łzę. — Moi rodzice na każdych wakacjach, mniej więcej od trzech lat, klócili się prawie codziennie. Potem, po rozwodzie zamieszkałam z mamą. Tak zdecydował sąd. Od razu wprowadził się „wujek”. Mama kazała mi mówić do niego „tato”. On jest całkiem miły, stara się... Wiem, że jest dobrym człowiekiem, ale ja nie potrafię mówić do niego „tato”. Chciałabym, żeby było jak kiedyś — Zosia spuściła głowę. Płakała. — Wypuście mojego tatę... Zostały nam jeszcze dwa dni wspólnych wakacji.

Z boku kadru wyłoniła się głowa Gilberta.

— Pamiętajcie, żeby mnie wymieniść w napisach końcowych.

I to był koniec nagrania.

Przyjaciele siedzieli jeszcze chwilę, gapiąc się w pusty ekran. Nika wstała i wyszła do łazienki, żeby chłopcy nie zobaczyli, że płacze. Net pociągnął nosem, odetchnął i rozprostował palce.

— Bierzmy się do roboty. Pulitzer ⁵ sam się nie zdobędzie.

1. Mikroport – nadajnik bezprzewodowego mikrofonu, zwykle w postaci pudełka przypinanego w niewidocznym miejscu, np. do paska spodni. [\[wróć\]](#)
2. Proxy – serwer pośredniczący, używany m.in. gdy użytkownik chce utrudnić odkrycie swojej tożsamości (swojego adresu IP). [\[wróć\]](#)
3. Terabajt – jednostka ilości informacji równa (w uproszczeniu) tysiącowi gigabajtów. [\[wróć\]](#)
4. Lag – potoczne określenie opóźnienia transmisji danych np. między graczem a serwerem, na którym rozgrywa się gra on-line. Efektem opóźnienia jest chwilowy brak kontroli nad własnym avatarom. [\[wróć\]](#)
5. Nagroda Pulitzera – prestiżowa nagroda przyznawana za wybitne dokonania m.in. w dziedzinie dziennikarstwa. [\[wróć\]](#)



Światło nie padało na niego bezpośrednio, a jedynie oświetlało jego kontur odbiciami za wielkim pustym biurkiem. Wnętrze gabinetu płynnie przechodziło w panoramę nocnej Warszawy. Zdawało się, że można sięgnąć po któryś z wieżowców, podnieść go i przestawić w inne miejsce.

Zaciągnął się cygarem. Pomarańczowe światełko na chwilę oświetliło fałdy tłuszczu na twarzy. Zaraz potem kłęb dymu wypłynął jak chmura między wieżowce.

Andżelika Osmoza siedziała w fotelu z boku biurka i paliła długi cienki papieros. Była już kilka razy w tym gabinecie, ale zawsze robił na niej ogromne wrażenie. Kiedyś zafunduje sobie podobny, ale od tego „kiedyś” dzieliło ją dużo czasu i wiele możliwych potknięć.

— Jakież dzieciaki wrzucają do sieci film i nagle cały plan się wali? — zapytała w przestrzeń.

Trzęsącą się ze zdenerwowania dłonią zgasiła wypalonego do połowy papierosa w popielniczce i sięgnęła po następnego. Z cienia spowijającego biurko wyłoniła się tłusta dłoń ze złotą zapalniczką i sygnetem z wrytymi trzema ząbującymi się trybami. Błysnął płomień. Andżelika zaciągnęła się dymem i opadła na fotel.

— Przez trzy dni film obejrzało osiem milionów internautów — powiedziała. — To dwa razy więcej niż całe te „Niusy czy Niuanse”! Jak to możliwe? Musi być jakiś sposób, by tego zakazać.

— Kontrolujemy telewizję, radio, prasę, serwisy internetowe. — Jego głos zdawał się dobiegać ze studni. — Nie całą sieć.

— Wszystkie media powinny być kontrolowane przez organy państwa. Oczywiście my powinniśmy kontrolować te organy. Wywaliłeś Bogucką i rzuciłeś ją na pożarcie prokuraturze. Co z tego, skoro sprawa jest już skompromitowana? No przecież już po wszystkim. Trzeba motać nowy plan od zera!

W ciemności znów rozjarzyło się pomarańczowe światełko, a zaraz potem chmura błękitnego dymu opuściła strefę cienia.

— Za czterdzieści pięć minut minister spraw wewnętrznych poda się do dymisji, ponieważ dopuścił do manipulacji na taką skalę. My wiemy, że to nie jego wina, ale motłoch uwierzy, w co chcemy. Premier nie będzie miał wyboru i za godzinę zadzwoni do ciebie z propozycją objęcia tego stanowiska. Twoją pierwszą decyzją jako ministra będzie dokładne wyjaśnienie sprawy pewnej nieuczciwej dziennikarki i przykładowe jej ukaranie.



Rozwrzeszczana rzeka uczniów wylała się przez otwarte na oścież drzwi Gimnazjum Numer Trzy naście imienia Profesora Stefana Kuszmińskiego. Elegancki tłum w czerniach, granatach i bieli krzykiem i tupotem wyrażał radość z początku wakacji. Słoneczna pogoda radość tę tylko potęgowała. Powietrze pachniało latem, ptaki śpiewały w drzewach. Wszystko było na swoim miejscu i działało, jak powinno.

Felix, Net i Nika stanęli na schodach z boku rzeki wymachujących świadectwami gimnazjalistów. Odszukali wzrokiem dziewczynę o mysich włosach. Zosia szła wolniej od innych, a w pewnym momencie skręciła w stronę stojącego przy krawężniku granatowego Audi. O błotnik opierał się, półsiedząc, mężczyzna, którego twarz przyjaciele znali ze wszystkich serwisów informacyjnych ostatnich dni. Wypatrywał kogoś w tłumie. Gdy zobaczył Zosię, wstał i uśmiechnął się szeroko. Dziewczyna zatrzymała się na moment, a potem pobiegła i rzuciła mu się na szyję. Trwali tak dłuższą chwilę, po czym mężczyzna otworzył jej drzwi. Obejrzała się jeszcze i pomachała przyjaciółom.

Tata Zosi spojrział na nich i też uniósł na chwilę dłoń. Był to zwykły gest wynikający z uprzejmości. On nie wiedział, kim jest superpaczka ani nie znał ich roli w wydarzeniach ostatnich dni. Przyjaciele mieli nadzieję, że tak zostanie.

— Wygląda na to, że się udało — stwierdziła Nika, gdy samochód odjechał.

— Udało się, nawet bardziej, niż sądzicie. — Net uśmiechnął się tajemniczo. — Wiecie, ile, całkiem przy okazji, zarobiliśmy na reklamach przy naszym filmie?

— Ty materialisto! — Nika pokręciła głową, ale uśmiechnęła się. — Naprawdę dodałeś reklamy? To... ile?

— Wystarczająco dużo, żebyśmy na wakacje nie musieli jechać pod namiot.

Felix nie słuchał tej rozmowy. Patrzył na drugą stronę ulicy i nie widział niczego, poza dziewczyną o wściekle czerwonych włosach. Laura stała dokładnie na wprost niego z rękoma w kieszeniach przesadnie luźnych, workowatych spodni i świdrowała go wzrokiem. Przełknął ślinę i wolno zaczął schodzić po schodach. Podeszedł do krawężnika i zachował na tyle samokontroli, by się rozejrzeć, czy nic nie jedzie. Przeszedł przez ulicę i zatrzymał się metr przed dziewczyną. Serce biło mu dwa razy za szybko. Zupełnie nie wiedział, co powinien powiedzieć, co zrobić. Czy uciekać, czy zrywać kwiaty i rzucać jej pod nogi, czy zacząć się tłumaczyć. Stał więc tylko.

Laura wreszcie nie wytrzymała i pierwsza uśmiechnęła się szeroko. Jednym skokiem pokonała dzielącą ich odległość i mocno objęła Felixa. Zacisnął oczy i z całej siły ją przytulił.

— Prawie zapomniałam, jak wyglądasz. — Dziewczyna cofnęła się o krok. — Hm. Tak samo, tylko trochę bardziej zużyty przez słońce.

— Więc... nie jesteś zła? — wydukał Felix.

— Nie, luz. — Laura machnęła ręką. — Zapomnijmy o sprawie.

— Tak... po prostu?

— A co byś chciał? Może jeszcze to ja mam cię przeproszać?

— Nie, no skąd! Co ty! Ja tylko...

Laura stanęła na palcach i przysunęła usta do jego ucha. Zamarł w niepewności, a dziewczyna szepnęła coś zupełnie innego, niż się spodziewał:

— Nika powiedziała mi, czym byliście zajęci przez ostatnie dni. — Cofnęła się i dodała — złość przeszła mi od razu. Chodźmy na kawę czy coś. Ja stawiam.

Chwyciła go mocno za rękę, jakby się bała, że znów jej gdzieś zniknie, i razem poszli na kawę czy coś.

Warszawa–Jaczno–Whitby–Edynburg–Kyleakin–Tigh Ban Lek–Londyn–Amsterdam–Katowice 2013

Dotychczas w serii ukazały się:

1. Felix, Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi
2. Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa
3. Felix, Net i Nika oraz Pałac Snów

4. Felix, Net i Nika oraz Pułapka Nieśmiertelności
5. Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek
6. Felix, Net i Nika oraz Orbitalny Spisek 2. Mała Armia
7. Felix, Net i Nika oraz Trzecia Kuzynka
8. Felix, Net i Nika oraz Bunt Maszyn
9. Felix, Net i Nika oraz Świat Zero
10. Felix, Net i Nika oraz Świat Zero 2. Alternauci
11. Felix, Net i Nika oraz Nadprogramowe Historie
12. Felix, Net i Nika oraz Sekret Czerwonej Hańczy

